

Kálmán Mikszáth

Czarne miasto

Tytuł oryginału węgierskiego «A fekete város»
Przełożyła i opatrzyła posłowiem Camilla Mondral

Rozdział pierwszy

(O PEWNYCH ZAISTNIAŁYCH JUŻ ZDARZENIACH I SZCZEGÓŁACH, KTÓRYCH ZNAJOMOŚĆ JEST NIEODZOWNA)

Wczasach Thökölyego wiceżupanem komitatu spiskiego był Pál Görgey, którego rządy wyryły się głęboko w ludzkiej pamięci. Czasy były wtedy złe, niepewne. W poniedziałek rządili labance, w środę władza była w rękach kuruców. Trzeba było tańczyć na linie, a przy fałszywym kroku spadały ludzkie głowy. Inna rzecz, że ludzkie głowy w niewielkiej były wówczas cenie.

No cóż, władza to mimo wszystko zawsze władza, i człowiek jest wobec niej jak morfinista: domaga się coraz większych dawek. Co prawda, władza tylko dla rządzonych bywa niewygodna, dla rządzących jest raczej przyjemna.

Pál Görgey był dość zamożnym szlachecciem, ród jego cieszył się znacznym autorytetem na całym Spiszu, chociaż to nie było to samo co za czasów świętej pamięci Arpadów, niech Bóg przynajmniej im da wieczny spokój, skoro już ich ziemie skazał na wieczny niepokój.

Czas mijał i mijał, a w miarę jak przemijał, Görgeyowie zsuwali się coraz niżej... Ich pierwszy antenat Arnold i jego synowie nosili jeszcze tytuł saskich hrabiów i byli największymi oligarchami na polskich rubieżach. To Arnold zachęcił Sasów do osiedlenia się na bezludnym

Spiszu, ale nie w taki sposób, jak to uczynił zaklinacz szczurów z Hammeln z siedmiogrodzkimi Sasami. Ci Sasi byli roztropni i nie daliby się wziąć na głos piszczałki: zażądali dotrzymania obietnic i przywilejów, które uzyskali. A samemu Arnoldowi król Bela IV nadał szmat ziemi między Dunajcem i jedwabistym nurtem Popradu. Arpadowie byli bowiem hojnymi królami i nie odmierzali ziemi na sążnie i morgi, lecz od jednej rzeki do drugiej. Synowie Arnolda też byli dzielnymi rycerzami, szczególnie hrabia Jordan. Jego to król László IV wynagrodził wsią o nazwie Görgő. Stąd wzięło początek nazwisko.

Jako posiadacze olbrzymich włości, grali pierwsze skrzypce na całym Spiszu. Ród wydał szereg komesów, później zaś Görgeyowie przez wiele pokoleń zasiadali na żupańskim stolcu. Jeden Pan Bóg wie, na czym obracała się wtedy kula ziemiska — może na ostrzu szabli? — dość, że im więcej czasu upływało, tym stawali się biedniejsi, a nowe rody wysuwały się przed nich. Zjawił się potężny Csák, potem rody Zápolyów i Thurzó, a ostatnio Csákych, którzy zepchnęli ich w cień, pozbawiając ród Görgeyów dawnego nimbu i znaczenia.

Dunajec i Poprad wciąż sobie płynęły dawnymi korytami, ale rozciągające się między nimi ziemie już nie należały do Görgeyów; to, co jeszcze tu i ówdzie pozostało, było zaledwie strzępem dawnych włości, a drzewo rodowe, jakby zgrzybiałe ze starości, przestało wydawać wodzów i mężów stanu, rodząc najwyżej wiceżupanów i starostów. Raz, co prawda, licząca sobie sto siedem lat Cyganka z Kieżmarku przepowiedziała imć panu Mihályowi Görgeyowi, że owo drzewo rodowe jest równie zdrowe jak dawniej, tyle że teraz zimuje i odpoczywa, a ta zima trwać będzie dwa stulecia. Za dwieście lat wypuści świeży pęd, który przerośnie drzewa rodowe przynajmniej siedmiu krajów.

Nasz bohater, Pál Görgey, należał już tylko do tak zwanej zamożnej szlachty, spokrewnionej z Berzeviczymi, Jekelfalussymi, Máriássymi i Darvasami — jego siostra, Katalin, była żoną Darvasa z Osgyánu w komitacie Gömör. Wspominam te koligacje, a nie dwieście czy trzysta mórg przynależnych do umocnionego obronnymi basztami dworu, gdyż przede wszystkim koligacje i stosunki, a nie majątności stanowiły o tym, kto jakim jest panem. Przy wielkich stosunkach można było wówczas łatwo dojść do znacznego majątku odwrotnie niż obecnie, kiedy piszę te słowa, gdyż teraz mając wielką fortunę zdobywa się wysokie stosunki. Bardziej krewcy wielmoże, tacy jak Balassowie i Csákyowie, to posiadają coś, to nie mają nic; raz na wozie, raz pod wozem. Bywa, że pięć i sześć zamków zagarną, albo znów cały ich majątek stanowi odzież na grzbiecie i muszą się ukrywać w nędznych lepiankach w głębi puszczy i na porośniętych trzciną moczarach; ale to nie ma znaczenia, traktują to jako zabawę i wcale się nie przejmują. Król zabrał, król odda — bo od czego są stosunki. Jak jeden z rodu postawi na niewłaściwego konia, to z całą pewnością drugi lub trzeci krewniak już się ociera o królewski płaszcz i powoli wszystko powraca do dawnego porządku.

Nie to jest zatem dziwne, że posiadłości Görgeyów się skurczyły; mogliby nawet nic nie mieć! Bieda w tym, że przestali być zaliczani do znamienitych rodów. Dlaczego tak się stało i w jaki sposób do tego doszło, nie warto dociekać. Hasłem, które otwierało drogę do powodzenia, było wówczas: „Dobrze się bić i dobrze się żenić.” Należy przypuszczać, że źle się żenili, bo o ich waleczności świadczą zapisy w kronikach. Zresztą mieli pecha i w innych sprawach: stanęli po złej stronie, gdy do tronu pretendowali János Szápolyai i Ferdynand, i złego Boga wybrali przyłączając się do wyznawców Lutra.

Spośród wszystkich Görgeyów najwięcej po przodkach odziedziczył Pál: majątności wprawdzie niewiele, ale pychę przejął w całości. Staturę miał potężną, a z szarych oczu wiało takim chłodem, jakby pod krzaczastymi brwiami poruszały się dwie lodowe kule. Twarz miał szpetną i grubo ciosaną, ale gdy zabierał głos na komitackiej radzie, geniusz jego promieniował tak, że wydawał się piękny. Suty wąs zdobił mu twarz i zwisał wokół warg, ale na brodę już nie

starczyło, porastał ją rzadki, rudawy zarost. Mocno wypukłe czoło przecięte było bruzdami, które pozwalały domyślać się uporu i okrucieństwa. Usta miał przeważnie zaciśnięte, żaden uśmiech się wokół nich nie błakał, za to często drgały gniewem. Twarz ta przywodziła na myśl okolice, gdzie nigdy nie świeci słońce, gdzie zawsze jest ciemno i zimno, tylko błyskawice od czasu do czasu ją rozświetlają.

Głowa jego miała kształt pnia i była tak wielka, że imć pan János Kammleitner, sławny czapnik z Lewoczy, musiał specjalnie robić dlań kołpaki. Jednak w tej ogromnej głowie był i rozum. Pál Görgey trząśł szlachebnym komitatem według własnego widzimisię. Chociaż miał zaledwie czterdzieści dwa lata, już po raz trzeci wybrano go żupanem, i za każdym razem jednogłośnie. Do tego faktu przykładał wielką wagę i po każdym wyborach popisywał się takim to śmiałym frazesem:

„Szlachetni panowie bracia! Jeśli jest wśród was choć jeden, kto nie chce mnie na żupana, niech wystąpi, a ja tej godności nie przyjmę; jakom żyw, inaczej nie uczynię, niech mi Pan Bóg świadkiem będzie !”

Z reguły zapadała wtedy grobowa cisza. Panowie szlachta gdzieżby się śmieli odezwać, choć w głębi duszy niejedyn by chciał, żeby się jego sąsiad zerwał. Byłby to jednak śmiertelny skok, o tym każdy był przekonany. Prawdopodobnie sam Pál Görgey z całą powagą uznawał to za dowód własnej popularności, a wielu podzielało to zdanie. Rozumowali: „Ja bym wołał kogo innego, ale reszta za nim stoi, byłbym szalony, gdybym się narażał.”

Popularność! Zaiste dziwna to rzecz. Jedyne, której pozór wart jest tyle samo co rzeczywistość. Może nawet więcej, gdyż człowiek uznany za popularnego może zająć wysoko w karierze urzędowej, chociażby w istocie był znieawidzony. Do niczego natomiast nie dojdzie ten, kogo kochają, jeśli tej miłości nie widać. Rzeczy prawdziwe są niewątpliwie potężnymi granitowymi skałami, ale największe kariery powstały na pozorach.

Imć pana Görgeya — szczerze mówiąc — nawet pies nie kochał, ale do jego osoby tak już przylgnęło określenie „ogólnie kochany i szanowany”, że nikt nie śmiał tego zakwestionować. Okrutny, pyszałkowaty, kapryśny, podejrzliwy i próżny, a na dokładkę leniwy — taka była o nim opinia. Niektóre z tych wad były w gruncie rzeczy tylko pozorne. Jego okrucieństwo i tyranizowanie otoczenia wynikały po prostu z porywczego charakteru. Nieraz gwałtownie wybuchał, ale gdy ochłonął z gniewu i zastanowił się, to żałował swego postępku i często starał się go naprawić.

Pewnego razu — tak opowiadano — rozchorował się w czasie sejmiku komitackiego w Lewoczy, febra go trzęsła, uczony felczer András Plasznik karmił go chininą w deszcz i pogodę, ale febra nie ustępowała, nie było na nią lekarstwa; leżał tak wiele dni na swojej kwaterze, aż posłał hajduka do Görgego po ciepłą flanelową bieliznę. Tak się też stało, gospodyni, jejmość pani Marjákowa, przesłała bieliznę, imć pan Görgey już ją zaczął wciągać, kiedy spostrzegł, że brak jednego guzika. Wpadł w niepohamowaną wściekłość, wyskoczył z łóżka, narzucił na siebie ubranie, wybiegł i wskoczył na nie rozsiodłanego jeszcze konia hajduka.

— Dokądże to, dokąd? — wykrzykiwali ze zdumieniem napotkani panowie.

— Na miłość boską, co czynisz, mości panie? — wrzasnął z przerażeniem nadchodzący felczer.

— Muszę skoczyć na chwilę do domu — odparł ochryplym głosem, sypiąc z oczu skrami gniewu — żeby ukarać swoją gospodynię.

Pół godziny galopował krętym gościńcem i przez ten czas wyparowała z niego wściekłość. Był już niemal w domu, aż nagle grzecznie zawrócił. Za to ów szalony galop rozpędził całą febrę.

Znał siebie tak dobrze, że wszystkie narzędzia kar, jak kłody, ławy do chłosty, żelaza i tym podobne, kazał zamykać w komorze, a po każdym ich użyciu któryś z parobczaków wdrapywał

się na starą topolę na podworcu i przywiązywał klucz do jednej z najwyższych gałęzi. Kiedy klucz był potrzebny, imć pan żupan brał strzelbę i tak długo strzelał, póki klucz nie spadł. Ta rozrywka trwała nieraz godzinę, bo z gniewu ręce mu drżały, i trafiał dopiero wtedy, kiedy odzyskał spokój, po czym, rzecz jasna, na chłodno rozpatrywał sprawę delikwenta, którego zamierzał ukarać, i z reguły już się nie uciekał do wariackich kar.

Niewątpliwie starał się być sprawiedliwym, z czego wynika, że nie był złym człowiekiem. Istotnie. Był tylko zgorzkniały, i to pod wpływem rozlicznych ciosów. Próżno miał sławę najrozumniejszego w całym komitacie, skoro trzech rzeczy nie był w stanie uczynić: nie mógł ani spać, ani jeść, ani też zapomnieć. Czegóż by nie dał, żeby się porządnie, prawdziwie wyspać! Kazał wyróżnić cały ród koguci w sąsiedztwie zamku i nawet we wsi, a pastuchowi, który o świcie buczeniem rogu zwoływał krowy, kazał wymierzyć dwadzieścia pięć kijów. Szczególnie niewskazane było przerwanie mu popołudniowej drzemki. Niejeden źle na tym wyszedł. Popołudniowy sen jest bowiem najśłodszy. Nocny spoczynek dany jest od Boga, ale popołudniowy sen człowiek kradnie komitatowi, jeżeli jest urzędową osobą. Dlatego jest więcej wart.

Wszelkie żywe stworzenie musiało przechodzić na palcach pod jego oknami; znajdujący się w pobliżu młyn przestawał mleć ziarno, kiedy imć pan żupan wstawał po obiedzie od stołu — co oznajmiano wystrzałem z haubicy na jednej z baszt — żeby szum nie przeszkadzał mu w drzemce. Każdy baczył, żeby nie wywoływać hałasu; żuraw przy studni nie miał prawa skrzypnąć, łańcuch brzęknąć, nikt nie śmiał czegokolwiek tłuc w móżdżerzu ani nucić, ani głośniej zagadać. Nawet stary ogrodnik Mihály Apró wysilał cały swój koncept, ilekroć nie mógł uniknąć przejścia pod oknami pana: zdejmował podkute buty z cholewami i szedł latem na bosaka, a zimą naciągał filcowe kapce, póki nie minął niebezpiecznej strefy.

Pewnego razu do starego ogrodnika przyjechał ze szkół jego wnuk, aby u dziadków spędzić lato. Radowali mu się starzy, tym bardziej że chłopak do pańskiego stanu się rychtował, gdyż ojciec, piernikarz z Kieżmarku, na księdza go kształcił, jako że chłopiec był słabowitego zdrowia. Starzy chętnie by go w mleku i maśle kapali, uwijali się wokół niego, pył zdmuchiwali z miejsca, gdzie miał usiąść... ale jak go na chwilkę zostawili samego, od razu stało się nieszczęście. (O Boże, Boże, czemu te dzieciaki zawsze zgadną, czego nie wolno czynić!) Otóż chłopaczek wypatrzył gdzieś na szafie harmonijkę, wyszedł z nią na ocieniony podworzec, usiadł pod lipą — niemal pod oknem sypialni jego wielmożności żupana — i zaczął wygrywać smętną melodię:

Oj, Buda, Buda, czy ktoś uwierzy mi,
Że za ciebie przelano tyle węgierskiej krwi?

Nie trwało to dłużej niż minutę, gdyż natychmiast zbiegli się wszyscy, którzy byli w pobliżu. Stara żona ogrodnika, która zwykle powłóczyła nogami, przyleciała teraz jak na skrzydłach, aż szumiały, szeleściły wykrochmalone spódnice, i wyrwała mu z ręki harmonijkę.

— Przestań, nieszczęsny! Umykaj natychmiast!

Pociągnęła go za sobą, okrywając miłośnie fartuchem, i pobiegli przez krzaki i zarośla, bo już było słyhać trzask otwieranego okna (O Boże, Stworzycielu nasz!) i ostry, rozkazujący głos:

— Hej, co to za hałasy?

Nie padła żadna odpowiedź, tylko z gęstwiny dobiegał coraz cichszy szelest krzaków i gałęzi.

Ze zmienioną twarzą i przekrwionymi oczyma imć pan żupan wypadł na podworzec, który długoletnie zabiegi starego Apró zamieniły w iście bajkowy ogród. Między potężnymi drzewami rosły wspaniałe krzaki, a cudowne kwiaty układały się w tym roku na klombie w herb komitatu spiskiego, stanowiący połączenie herbów Thurzó, Berzeviczy i Draveczyki wraz z jednorożcem

rodu Korotnokych. Co niedziela z odległych wiosek ściągali włościanie, by ujrzeć ten cud, gdyż nie przypisywali go sztuce ogrodniczej starego Apró, lecz matce ziemi, która sama z siebie wydała kwiaty ułożone w herb Spiszu na znak, że tron królewski należy się teraz synowi tej ziemi.

(Istotnie na to się zanosilo, ale nic z tego: miłościwy książę Thököly wraz z małżonką schronił się gdzieś na Dalekim Wschodzie.)

Służba właśnie podlewała kwiaty dzbanami, kiedy Pál Görgey pojawił się na ganku.

— Przyprowadzić mi tego z harmonijką! — wrzasnął.

— Żywego lub umarłego, ale natychmiast!

Aż zgrzytał zębami z wściekłości. Miał paskudne żółte zęby, jako że należał do ludzi „postępowych”. (Postępowymi nazywano wówczas tych, którzy od Turków przejęli palenie tytoniu, co stanowiło rozkosz godną prawdziwego mężczyzny.)

Służba struchlała, jedni spoglądali na drugich, stary Apró zbladł jak ściana, a jejmość pani Marjákowa z zapalem czyściła jakimś białym proszkiem formę do pieczenia wafli.

— Kto to grał? — padło ostre pytanie.

Nikt nie odpowiedział, choć wszyscy wiedzieli, ale służba lubiła starych Apró i z tego względu milczała.

— Marjákowa musiała go widzieć.

— Nie widziałam — odparła śmiało — niech mnie tak pokręci! (Miała na tyle rozumu, że mówiąc to wyprostowała palce.)

— No, pięknie mnie traktujecie — wściekał się Görgey. — Nikt nie wie?

Milczenie.

— I ty nie wiesz, Preszton? (Tak się nazywał przyboczny hajduk.)

— Nie wiem, wasza wielmożność.

— Ani ty, Mátyás? (To imię nosił stangret paradnego pojazdu.)

— Ja też nie wiem — odpowiedział załamującym się głosem.

— Dobrze, bardzo dobrze, moi drodzy, widzę, że wierne z was sługi. — I mrozący krew w żyłach śmiech przeszedł w zgrzytanie zębów. (Najbardziej bezwzględny był wtedy, kiedy udawał łagodnego.) — No, to jeśli w ciągu pół godziny nie doprowadzicie mi tego grajka, wszyscy zostanieie wychłostani. *Dixi.*

Z ponurym pomrukiem wszedł do pałacu i słyhać było, jak trzaska drzwiami i rozdaje kopniaki psom, które się po wszystkich komnatach wałęsały. Ich skomlenie dochodziło aż na dwór, a ludziom po grzbiecie przechodziły ciarki.

Na podworcu wszystkich ogarnęło przerażenie, ludziska szeptali, wdychali i naradzali się, co czynić. Czy wydać żaka, czy nie? Stara Aprówa załamywała ręce i przysięgała, że nie przeżyje tego dnia, woli skoczyć do studni niż doczekać spełnienia groźby wielmożnego pana żupana. (O Boże, Boże, co by powiedziała moja biedna córka?)

Słyszając lamentsy żony stary Apró też stracił głowę, a że znany był jako nedorajda, więc poleciał do izby szukać ... nie głowy, ale różańca, i jako dobry katolik zaczął odmawiać modlitwę, a nuż pomoże. Jedna tylko jejmość pani Marjákowa podparła się pod boki.

— A ja wam rzeknę, że nie pozwolę, aby jakiś tam poganin tę chudzinę skrzywdził! Nie bój się, syneczku, wezmę cię pod opiekę. (Pogłaskała po głowie żaka, który stał obok struchlały.) Idź do kuchni, tam cię zamknę. Nawet baba Jaga się nie wśliźnie, a ja przez ten czas załatwię sprawę. Idź i siedź cicho, póki burza nie minie. W duchówce znajdziesz gęsie udko i kawałek sernika. No, a teraz idę i zabieram z sobą klucz.

— A jejmość niech będzie dobrej myśli! — rzuciła na odchodnym starej Aprówej.

Imć pani Marjákowa popędziła przez sad i małą furtkę prosto na pole za wsią, gdzie Cyganie

wybierali glinę na cegły. Najstarszym z cygańskiej dzieciarni był Peti, już wyrostek, który wybuchał jak szubienica. Na niego padł wybór Marjákowej i dobrym słowem usiłowała go nakłonić, by wziął na siebie winę za grę na harmonijce. Po długich targach zgodził się za cenę czterotygodniowego prosiaka i dwóch bochnów białego chleba. Tak go Marjákowa doprowadziła do pałacu.

Zebrani na podwórku ludziska i starzy Apró w mig zrozumieli chytrą niewiastę. (Nie tylko włosy ma długie, ale i rozum!) Życzliwie przyjęli wybawcę i pomogli wepchnąć go do pałacu ze słowami zachęty i otuchy; tylko dwulicowy Preszton straszył go szepcząc do ucha: „Nie chciałbym być w twojej skórze, Cyganie!”

Widocznie Cygan też nie czuł się w niej zbyt dobrze i pewne znaki wskazywały, że chętnie by uciekł. Ale imię pani Marjákowa trzymała go za kark i z rozmachem po prostu wepchnęła na pokoje.

— Oto sprawca, proszę waszej wielmożności — wykrzyknęła z triumfem.

Żupan, który spokojnie palił fajkę, wyciągnięty na niedźwiedziej skórze okrywającej sofę, leniwie spojrział w stronę drzwi.

— Aha — powiedział obojętnie i ziewnął znudzony. — Bardzo ładnie grasz na harmonijce, Petyusko! Niech mu jejmość da reńskiego florena i dziesięć łokci sukna.

Wiele dałoby się podobnych wydarzeń przytoczyć, gdyby się chciało udowodnić, że z wielmożnym panem Görgeyem niełatwo było dojść do ładu. Był niejako wcieleniem nieobliczalności. Cokolwiek jednak uczynił, nie brano mu tego za złe, jakby go strzegło jakieś przekorne szczęście, które stawiało jego przywary przed zwariowanym lustrem, dzięki któremu stawały się niemal zaletami. Kogo innego dawno by ktoś zatłukł, jego broniono. Dajcie spokój biedakowi! Trzeba go zrozumieć. To wzniosła dusza. Wciąż jeszcze jest pogrążony w rozpacz po żonie. Nosi w sercu żalobę, w takiej sytuacji nie można człowieka sądzić. Jest pobudliwy, zgorzkniały i okrutny — to właśnie potwierdza, że ma dobre serce.

Niektórzy jednak szeptali (*audiatur et altera pars*), że wielką żalobę już dawno czas w jego sercu stępił, pozostawiając wady, i że nie żyje w tak surowej ascezie, jak usiłuje to światu przedstawić. Kiedy mrok okrywa pałac w Görgő, można dość często wypatrzeć przemykające pod murami cienie i usłyszeć szelest spódnic na opustoszałych korytarzach...

Ci, którzy Pála Görgeya znali bliżej, nie wierzyli w te gadki, to przecież nie taki człowiek! Ale jeśli lepiej znali tamtejsze wiejskie dziewczęta niż żupana, nie mieli wątpliwości, gdyż dziewczęta z Görgő słyszeły z urody i zalotności, a większość mężczyzn straciła zęby w bitwach z „królem Kieżmarku”.

W bliższym gronie rodziny Görgeyów, w której przestrzegano purytańskiej moralności, szerzące się tego rodzaju plotki budziły zrozumiałe oburzenie na „dzikusę”; tylko mający poczucie humoru János Görgey, znacznie od Pála starszy jego brat, zbywał to żartem:

— Nie wierzę w to, co prawda, ale jeśli tak postępuje, to też nie grzech. Biedna Karolina zmarła dobre dziesięć lat temu. On zaś nie jest z drewna, a nawet gdyby był, to nie po to, żeby robić z niego nagrobek nad jednym jedynym grobem. Zresztą i nagrobek rozpadłby się po dziesięciu latach. A właściwie komu co do tego? Człowiek stara się o zwiększenie liczby swych poddanych, tak jak potrafi.

Za to powiedzenie żona, jejmość pani Maria z domu Jánoki, porządnie trzepnęła męża po plecach, ale zarazem sprawa szwagra zesłała z czarnej tablicy nie tylko w ich domu, ale i u reszty krewniaków. Imię pan János był bowiem wyrocznią dla całego rodu i choć nie tak utalentowany jak młodszy brat, to jednak wszyscy uznawali, że szczerze kocha ojczyznę, że dobry z niego kuruc i że ma charakter czysty jak świeżo spadły śnieg.

Istotnie Pál Görgey był wdowcem od lat dziesięciu i od tego czasu stał się „dzikusiem”. Tak

go nazywano w rodzinie. Stary János zwykł mówić: „Myślę, braciszku, żeś wyskoczył z naszego herbu.” Trzeba wiedzieć, że na tarczy herbowej rodu Görgeyów widnieje postać pierwotnego człowieka — może dla upamiętnienia czasów, kiedy karczowano tu puszcze.

Przed kilkunastu laty Pál był wesołym mężczyzną o spokojnym usposobieniu, ze wszech miar godnym sympatii, i dopiero śmierć żony stargała mu nerwy. Powiadają, że gdzieś w głębi serca i teraz jest w nim dużo dobroci i uczucia, ale po śmierci żony nałożyła się na to gruba warstwa goryczy, przez którą trudno się przebić. Stał się nerwowy, kapryśny i porywczy — jednym słowem, przemienił się w dzikiego człowieka za to go obmawiano, a teraz mu się zarzuca, że przestaje być dzikim. Czy to nie zwariowany świat?

Skoro już mowa o zmarłej żonie, to rzeczywiście było po kim płakać. „Prawdziwą perłę oddajemy ziemi...” — tymi słowami rozpoczął mowę pogrzebową wielbny Samuel Podolinczi, który podczas pogrzebu sam się rozplakał. Choć po prawdzie miał powody, żeby przeklinać.

Już jako młoda panienka Karolina Jekelfalussy słynęła z urody nawet w dalszych okolicach, a co dopiero po wyjściu za mąż! W kronice Porubszkyego można wyczytać, że gdy kończyła siedemnaście lat, już dziewięćdziesiąt sześć razy proszono o jej rękę, ale pyszałkowaty ojciec, György Jekelfalussy, za nic nie chciał się zgodzić na jej małżeństwo z KristófeM Máriássym, chociaż tak w oczach ojca jak i córki był pod każdym względem odpowiednim kandydatem, przystojnym i zamożnym. Nie chciał się zgodzić, póki liczba starających się nie dojdzie do okrągłej setki. Na to Kristóf Máriássy wpadł na koncept, żeby wciągnąć do gry paru przyjaciół: niech dla kawału poproszą o rękę panny Karoliny, dla zadowolenia ojczulka. Jednym z nich był wielkogłowy Pál Görgey, który lubił kawały; i cóż się stało? Pokochali się na śmierć i życie, Kristóf Máriássy przestał się liczyć (takie są białogłowy!), odbył się ślub, i koniec. Sam Imre Thököly rozpoczął tany z piękną panną młodą i tak się rozpalili, że raz i drugi ją objął, co w widoczny sposób nie podobało się panu młodemu.

— No, cóż to, Görgey? Co tam pomrukujesz? — zapytał książę z uśmiechem podczas weselnej biesiady. — Właściwie jest ona bardziej moja niż twoja. Jestem przecież królem Górnych Węgier (właśnie sułtan nadał mu ten tytuł), więc czyją jest królowa tej prowincji?

Żart był ukryty w miodzie, ale mogło w nim tkwić i ziarno prawdy. Już podczas miodowego miesiąca książę raz i drugi wpadał do Görgó. Przyjeżdżał incognito, w towarzystwie jednego konnego sługi, niczym zwykły szlachcic. Görgey czuł się dotknięty. Aż raz, kiedy z deputacją jeździł do Thökölyego i ten prosił, by uprzedził małżonkę, że w najbliższych dniach do nich wpadnie na dobrą kolacyjkę — Görgey poczerwieniał i mruklawie odparł:

— W najbliższych dniach nie będzie nas w domu.

Thököly zmarszczył czoło. Siedzący przy Görgeyu Miklós Berzeviczy w najlepszej intencji, ale nietaktownie pociągnął go za rękaw i półgłosem upomniał:

— Bacz na swą głowę, młody przyjacielu, *per amorem Dei*.

Na to młody żonkoś dumnym ruchem dłoni odrzucił tę uwagę:

— Moja głowa należy do księcia pana, niech więc ma ją w swej pieczy, ale żona jest moja i ja jej będę pilnował.

Odpowiedź spodobała się Thökölyemu, roześmiał się:

— Jeżeli nie chcesz mnie u siebie przyjąć, to bądź przynajmniej moim gościem.

Zatrzymał go na obiedzie, co było niemałym wyróżnieniem w oczach panów deputatów. Od tego dnia jednak noga księcia nie postąpiła już nigdy w Görgó. Czy dlatego że poczuł się dotknięty? Jeden Pan Bóg wie. Może po prostu dlatego że nie miał czasu.

Promień słońca, który wtedy najjaśniej rozświetlał jego drogę życiową, wkrótce przygasł. Był to bowiem zły promień. Nie z nieba na niego spływał, lecz z sułtańskich oczu. Sułtan zaś często przymykał powieki, kiedy tak mu było wygodniej, albo też w jego oczach błyskał gniew. Inaczej

mówiąc sławne boje dobiegły końca: Thököly usunął się w zacisze jakiegoś tureckiego zakątka i tam snuł swe wspomnienia. W kraju wszystko powróciło na dawną złą drogę. Nastąpiły monotonne i smutne lata. Tylko na górzejskim zamku panowało szczęście i zadowolenie. Śliczna panna Karolina przeobraziła się w uroczą panią domu. Pálowi Görgeyowi nie brakowało niczego, żył w najcudowniejszym raju. Z serca zniknęła nawet zazdrość, która go z początku żarła. Kto by śmiał się pokusić o porwanie mu Karoliny, kiedy sam Thököly się na to nie odważył!

Tymczasem pokusiła się o to potęga większa niż sam książę: śmierć. Piękna pani zmarła w 1689 roku wydając na świat dziewczynkę; słabym głosem zażądała jeszcze, by jej przyniesiono nowo narodzone dziecko, i przykazała, aby je ochrzczono imieniem Rozalia.

Rozpacz Pála Görgeya przechodziła wszelkie wyobrażenia. Krzyczał, rozdzierał na sobie szaty, chciał bić i gryźć, zupełnie jak dzikie zwierzę. Przez długie lata wspomniano jego zachowanie na pogrzebie. Kiedy zjawił się ksiądz, wielbny Samuel Podolinczi, aby celebrować ostatnią posługę, Görgey wpadł w niepomaganą wściekłość.

— Co to za człowiek? — wrzasnął. — Czego tu chce? Nie pozwolę zabrać Karoliny! Nie, nie! Przecz stąd!

— Na Boga, mości szwagrze, opanuj się — uspokajał go Darvas. — Czy ci nie wstyd tak przemawiać do sługi bożego?

— Jak powiadasz? Sługa boży? Właśnie mam porachunki z jego panem. Nie wypuszczajcie go stąd! — wykrzykiwał w paroksyzmie gniewu. — Tego właśnie chcę! Dobiorę się do jego sługi, kiedy jego samego nie mogę pochwycić, tego, który mi zabrał najukochańszą żonę. Tak, to Twój sługa, okrutny Boże (i groźnie potrząsał wzniesionymi rękami). No, dobrze. Hej, hajducy, Preszton, Szlimicska, wyliczcie mu natychmiast dwadzieścia cztery kije! (Wtedy Pál Görgey był tylko starostą.)

Żałobne zgromadzenie drgnęło, wszystkim włosy się zjeżyły. Co za bluźnierstwa! Duchowny zaś wznosił ku niebu łagodne spojrzenie: „Wybacz mu, Panie, albowiem ból przez niego przemawia.” Krewnych ogarnął wstyd, ale nie byli w stanie Pála uspokoić. Wreszcie, żeby ceremonia żałobna mogła się odbyć, pochwyciono biedaka i trzech silni mężczyźni — János Görgey, Kristóf Jekelfalussy i Dávid Horánszky — ledwie mu dali radę. Zamknęli go w piwnicy i nie był obecny, gdy piękną małżonkę grzebano.

Rozdział drugi

(PODEJRZENIE)

Przezorność Opatrzności daje się często zauważyć w najdrobniejszych sprawach. Teraz też tak było. Nieco wcześniej jejmość Maria Görgeyowa, żona Jánosa, powiła dziewczynkę imieniem Borbála, która miała teraz około sześciu tygodni. Poczciwa niewiasta, jako że pokarmu jej nie brakowało, postanowiła wziąć do siebie i wykarmić osierocone maleństwo. Przecież nie mogła jej tak zostawić, na opiece służby! Ludzie byli wtedy nieuczenni, nie chcieli wierzyć, by białe mleko wiejskiej mamki mogło się przemienić w błękitną krew pańskiego dziecięcia. Tak więc, kiedy z Pálem Görgeyem można już było porozmawiać, zapadło postanowienie i mała Rozalka została zabrana do dworu w Toporcu.

Pogrążony w rozpacz ojciec nawet małej nie odwiedził, przez wiele tygodni jakby mu się rozum pomieszał, a Marjákowa wciąż go straszyla, że imć pani Jánosowa Görgeyowa za mało będzie miała dla małej pokarmu. Aż nagle przyszła wiadomość, że córeczka brata, mała Borbála,

umarła. Było to spóźnione dziecko, jak powiadają „wyskrobek”, bo państwo Jánosowie mieli już dorosłe dzieci, więc w całej rodzinie nie przywiązywano wielkiej wagi do tego wydarzenia. Takie małe dziecko jeszcze się nie liczy, nikt go nie zna, jest jak obce. Odeszło, jakby go wcale nie było. Nikt się tym szczególnie nie przejął, a że była zima, drogi zasypane śniegiem, rodzina nie pojechała na pogrzeb. Rodzice spokojnie, choć z głębokim bólem w sercu, złożyli zmarłą córeczkę w rodzinnym grobowcu. Jednym słowem, nie zdarzyło się nic szczególnego. Kiedy jednak około Zielonych Świątek ojciec Rozalki wybrał się w odwiedziny do Toporca (to nadzwyczajne, maleństwo już się śmiało!), odniósł bardzo dziwne wrażenie. Doszukiwał się w drobnutki buzi ślicznych rysów Karoliny i nie mógł się ich dopatrzeć. Wiele godzin na to strawił. Dziecko było ładne i miłe, ale nie dostrzegł żadnego podobieństwa. Nie, ani odrobiny. Chwilami w oczach jakby błysnęło coś, co przypominało spojrzenie łagodnej sarenki, jakie miała Karolina, ale zaraz gasło... może to było tylko przywidzenie? Mała była tłuściutka jak aniołki malowane w katolickich kościołach, buzię zdobiły urocze dołeczki. Na widok imć pana Jánosa wymachiwała rączkami niczym skrzydełkami, wrywała się do niego, ale kiedy ją pani Jánosowa położyła w ramiona ojca, rozplakała się: najwyraźniej się go bała. Gdzież jest instynkt dziecka? Pana Pála ogarnął niepokój, któremu bał się dać wytłumaczenie. W głowie mu huczało i myśli kołatały się w niej jak wrony we mgle. Ściągnął brwi na widok brata, który wziął małą z kołyski i pieszczotliwymi słowami tak długo do niej przemawiał, aż wywołał słoneczny uśmiech. Dziw, że mu nie wstyd przy siwych włosach tak się zachowywać w obecności skrybów, którzy z pewnością podśmiewali się za jego plecami: „Patrzcie no, imć pan żupan chyba zwariował, za niańkę się zgodził...”

Gdyby to przynajmniej było jego własne dziecko — snuł dalej pstre nitki wyobraźni, jakby kontynuował myśli przypisywane urzędnikom. Ale były to jego własne myśli, które niczym muchy bzykały wokół tego samego tematu.

Czemu János tak kocha to dziecko? Czy to naturalne, żeby aż tak kochać cudze dziecko?

I to kto? Dostojny pan żupan! (W owym czasie właśnie imć pan János Görgey był żupanem.) Bratowa też uwielbia małą. A własnej zmarłej córeczki nawet nie wspominają. Umarła, nie ma jej, nie ma o czym mówić... Brat János parę razy o niej wspomniał, ale czoła małżonków ledwie się zasepiły. Tak jakby im kanarek zdechł. János powiedział coś w tym rodzaju, że kto jeszcze nie stanął stopą na ziemi, ten jeszcze nie żył, należał do nieba, a mała Borbála umarła w powijkach, nawet u matki na rękach nie siedziała. No tak, jak dziecko już siedzi, to co innego, to już panienczka. Prawda, ptaszyno, ty już jesteś panienczką, no, uśmiechnij się do swego tatusia...

Ale Rozalka ani rusz nie chciała się uśmiechnąć, nadaśana ukryła główkę na szyi Jánosa. Nic więc dziwnego, że Pál Görgey wtedy stał się dzikim człowiekiem. Na ponurej twarzy widniało rozgoryczenie, opuścił się zupełnie, włosy spadały mu na oczy, broda była zmierzwiona — nie tylko dzieci mogły się go przestraszyć, ale i dorośli obojga płci.

Dziesięcioletni syn Jánosa Görgeya, György, był ładnym chłopaczkiem. On też przyjechał do domu na Zielone Świątki z Kieżmarku, gdzie uczęszczał do szkół. Imć pan Pál uznał go za dobry obiekt do badań i zaczął go ostrożnie zachodzić pytaniami.

— Cóż to, kawalerze, więc i na Zielone Świątki macie wakacje? Chciałbym wiedzieć, kiedy się uczycie! Jak widzę, taki sam z ciebie żak jak Pista Sváby, który tylko szuka okazji, żeby wyrwać się do domu, i prosi o zwolnienie nawet wtedy, kiedy matka gęś zarzyna.

— O nie, stryju, ja jestem inny, nigdy o nic nie proszę, nawet o parę dni zwolnienia.

— Hm, widzę że prawdziwy z ciebie Görgey. Czym chcesz zostać?

— Żołnierzem — odpowiedział dumnie panicz.

— No, ale żołnierz musi słuchać dowódców, mój drogi.

— Tak jest. Słuchać umiem, ale nie prosić. Wtedy przyjeżdżam do domu, kiedy mi pozwalają.

— No proszę, co za cnota! A w tym roku ile razy byłeś w domu?

— Na Gwiazdkę, na Wielkanoc i teraz.

— A jak umarła twoja mała siostrzyczka?

— Nie było mnie tutaj.

— A to czemu?

— Nawet nie wiedziałem, że umarła.

— Jak to? Rodzice nie napisali ci o tym?

— Nie.

— A kiedy się dowiedziałeś? Od kogo?

— Ojciec mi o tym później powiedział, jak przyjechał do Kieżmarku.

— Ojciec bardzo był smutny, widać to było po nim?

— Możliwe.

— Jak to, nie widziałeś?

— Nie przyglądałem mu się.

— A ty, bardzo się zasmuciłeś tą wiadomością?

Chłopiec zastanowił się, żeby powiedzieć prawdę, gdyż surowo przestrzegano w domu, by kłamstwo z jego ust nie wyszło.

— Nie znałem jej — odpowiedział wreszcie z absolutnym spokojem.

— Ale przecież widziałeś ją na Gwiazdkę.

— Owszem, widziałem, ale...

— Wobec tego wiesz, jaka była... Przypomnij sobie, no, wysil trochę umysł — nalegał Pál Görgey.

— No, nijaka...

— Cóż to znaczy? — zachnął się stryj.

— Bo, proszę stryja, małe dzieci to nie to co kotki, które od razu są jedne pstre, drugie czarne albo bure i łatwo je rozróżnić. Dziewczynki potrafię rozpoznać dopiero wtedy, kiedy mają na sobie sukienki.

— A idźże, ty asinusi! Czy chcesz powiedzieć, że Borbála była taka samiutka jak Rozalia? Gdyby tak było, to w jaki sposób twoja mama by rozpoznała, która jest jej córeczką?

— Jej to łatwo, bo wiedziała, jakiego koloru wstążeczki wiąże im na czepeczkach.

Ta naiwna rozmowa nie zadowoliła imć pana Pála Görgeya, ale go w jakiś sposób podnieciła. Kiedy na trzeci dzień pocałował córeczkę słodko śpiącą w kołysce i pożegnał się z bratem i bratową, jadąc powozem zaprzężonym w cztery siwki zastanawiał się nad wzruszającą serdecznością i dobrocią, z jaką się do niego odnosili braterstwo. Zabawiali go wyłącznie wesołymi rozmowami i unikali wszelkich tematów, które by mogły zadrasnąć rany jego duszy. Zbudziło się w nim bolesne podejrzenie, które niepostrzeżenie się w nim kształtowało, a teraz nagle stało się żywe: może ta mała to ich Borbála, a Rozalia umarła?

O Boże! Czy to możliwe? Aż jęknął, ale mimo wszystko zaczął rozważać, czy to jest możliwe.

Czemu nie? János to człowiek o niezwykle szlachetnej duszy i najprzypadniejszy brat, jaki tylko może być na świecie. Przecież nawet w stosunku do obcych jest życzliwy, w całej okolicy powiadają o nim: *Patronus et pater lutheranorum*. Jego miękkie serce podszeptuje mu wniosłe myśli. Maria zaś to godna towarzyszka jego życia. Ucieleśnienie szlachetnej poezji.

To więcej niż białogłowa. Maria — to święta.

Powiedzmy sobie teraz, że Rozalia umarła, założmy, że tak się stało — ciągnął w myśli swoje

wywody pan Pál. — Jánosowie wpadli w rozpacz na myśl, co będzie ze mną, obawiali się, że ten cios przyprawi mnie o szaleństwo. Kiedy się zastanawiali, w jaki sposób mnie o tym powiadomić i jakie będą dla mnie skutki tej wieści, albo jedno, albo drugie z nich wpadło na zbawczą myśl i wypowiedziało ją mniej więcej w te słowa: „Wiesz, kochanie, co mi przyszło do głowy? Dziecko nie żyje, ale Pála trzeba oszczędzić. Małeńka duszyczka przeniosła się do mamusi, ale jak Pál się o tym dowie, to jego dusza nie podaży za nimi, tylko stoczy się w wieczny mrok, w chaos. Lepiej mu nie mówmy, że Rozalia umarła, ale powiedzmy, że Borbála nie żyje. Cóż na tym stracimy? Nasza Borbála przecież żyje, możemy ją widzieć i kochać, rozkoszować się nią, tyle tylko że będzie się zwała Rozalią. Może nawet kiedyś, w przyszłości, powiemy mu o tym, nadejdzie dzień, że odzyskamy naszą córeczkę, on zaś przyjmie to spokojnie, bo z takiego smutku każdy przecież się kiedyś wyleczy. Spójrzmy natomiast z drugiej strony, co on na tym zyska. Wszystko. A bez tego będzie zgubiony, potępiony. Tym uczynkiem zostanie uratowany dla życia, dla spraw publicznych, dla ojczyzny. Odzyska równowagę i może nawet szczęście. My zaś mamy i tak jeszcze dwie córki, są co prawda zameżne, ale i ta mała wyjdzie kiedyś za mąż; a dzieci naszych córek, ledwie nauczą się chodzić, tutaj będą biegały po naszym ogrodzie; on zaś, Pál, nie ma nikogo.”

Tak sobie to wszystko wykoncypował w wyobraźni imć pan Pál i już było dla niego jasne, czemu państwo Jánosowie tak łatwo przeboleli śmierć córeczki (przecież nie była ich córeczką!) i dlaczego tak uwielbiają pozostałe przy życiu dziecko (bo starsi wiekiem rodzice z reguły bardziej szaleją za swym potomstwem niż młodzi), a wreszcie pojął także, czemu mała nie jest podobna do Karoliny i czemu nie odzywa się w niej instynktowna miłość do niego jako do rodzica...

To dziwne podejrzenie rozwijało się w nim i rozrastało jak wrzód: z początku tylko go niepokoiło, potem bolało, wreszcie odebrało mu sen. Po dwóch czy trzech tygodniach znowu pojechał do Toporca i z namiętnością godną detektywa węszył, wypytywał służbę, obserwował brata i bratową, wymyślał najchytrzejsze sztuczki, żeby się dowiedzieć czegoś pewnego, ale wszystko się coraz bardziej zaciemniało. Były chwile, kiedy był w stanie wytłumaczyć sobie wszystko od drugiej strony. O Boże, ależ ze mnie wariat. Ci dobrzy ludzie dlatego tak rozpieszczają maleństwo, żeby tą serdecznością zasklepić moje rany; nie wspominają o śmierci Borbáli, żeby nie naprowadzać moich myśli na smutny temat. Że niby mało się przejęli jej śmiercią? Skąd mogę wiedzieć, co odczuwali? Że Rozalka nie jest podobna do Karoliny? Czy jabłuszko ledwie poczęte może być podobne do zeszłorocznego dojrzałego jabłka? Pod koniec lata może będzie doń podobne. Nie, to zupełny nonsens, co sobie wymyśliłem...

Niestety, próżno usiłował umknąć przed zmorami trawiącymi duszę, usypiały tylko na chwilę, aby zaraz się zbudzić i znowu go dręczyć. Starał się w zmartwieniach innych ludzi utopić własne. Jako starosta objeżdżał okolicę, a pozostały wolny czas spędzał na łowach, polował do upadłego, ale wszystko na nic. Zbudziło się w nim pragnienie, żeby przed kimś otworzyć serce. Może osoba, której wyjawi tę sprawę, wyśmieje go, wykaże cały nonsens tych podejrzeń i to mu przyniesie ulgę? Nie dowierzał własnemu sądowi, chociaż zwykle wierzył w siebie, podobnie jak wierzone w niego. Był jednak bystrym obserwatorem i wiedział, że człowiek potrafi sam siebie wpędzić w przywidzenie.

Z kim jednak mógłby się podzielić swym podejrzeniem? Pomyślał o Marjákowej. Wierna niewiasta przez kilka dni była przy małej Rozalii, pomagała przy kąpieniu, póki jej nie zabrano. Marjákową przywiozła z sobą Karolina i Pál Görgey miał wrażenie, że w ten sposób spełni niejako obowiązek, gdyż rozmawiając z gospodynią przez niewidoczne powiązania jakby mówił do samej Karoliny.

Pewnego dnia podstarości István Rolly był nieobecny i starosta sam zasiadł do obiadu. Zagadnął Marjákową, która się kręciła przy kredensie:

— Powiedz mi jejmość, do kogo jest podobna mała Rozalia?

— Do kogo może być podobna, jak nie do matki? — odpowiedziała niewiasta.

— A może nie ?

— Tak czy owak, ja żadnego podobieństwa nie mogę dostrzec — powiedział z westchnieniem starosta.

Marjákowa wzruszyła ramionami.

— Żadnego, nawet najmniejszego — skarżył się w dalszym ciągu. — Czy to nie dziwne?

— Dziwne? Czemu miałyby być dziwne? Jeżeli jest w tym cokolwiek dziwnego, to z pewnością nie z winy tego aniołka, lecz dlatego że każdy inaczej widzi. Prawda czy nie?

— To prawda, mości pani Marjákowa, nawet bym o tym nie wspomniał, gdyby nie okoliczność, że jedno z niemowląt umarło. No, są i inne okoliczności.

— Inne? Hm.

— Bo człowiekowi przychodzą do głowy różne głupstwa, kiedy cierpi na bezsenność tak jak ja, a jedną z takich myśli jest pytanie, czy nie podmieniono tych maleństw?

Marjákowa pochwyciła tę myśl, jak wąż chwyta przelatującego nad nim tłustego owada. Uwielbiała plotki, była szczęśliwa, gdy wygrzebała coś złego i mogła to dalej ponieść. Opatrzność jednak dała jej tak niewinną, dobrotliwą twarz, a przy tym głębokie, szczere spojrzenie, i z takim mistrzostwem używała swego złego języka, że niemożliwością wydawało się posądzić ją o plotki lub złe intencje. Jej metoda polegała na tym, że nigdy nic nie twierdziła, tylko pytała i pytała, a w pytaniach zręcznie ukrywała żądła.

— To wasza wielmożność powiada, że podmienili dzieci? (Jej usta aż pozostały otwarte ze zdumienia.)

O Boże, Boże, czyżby nasza mała Rozalia już była przy swojej mamusi? Ojczy nasz w niebie (tu pobożnie się przeżegnała), nie wódź nas na pokuszenie! To znaczy, że zamienili je?

— Skądże, wcale tego nie twierdzą — sprzeciwił się Görgey — tylko tak mi przyszło do głowy.

— Przyszło waszej wielmożności do głowy? — zastanowiła się pani gospodyni i przykręciła prasę przytrzymującą obrusy. — Co za rozum, co za wielki rozum! Czemuż to mnie nic podobnego nie przyszło do głowy, chociaż o wielu podobnych przypadkach słyszałam !

Wspomniała o dziecku z rodziny Ostroluckych, które ongiś w zamierzchłych czasach podmieniono, słyszała też o dziewczynce, której nazwiska zapomniała, ale to pewne, że chodziło o hrabiankę, której rodzice mieszkali w Koszycach. I tak dalej, i dalej, wysuływała z pamięci coraz to nowe historie o zamianie dzieci, historie, które tkwiły w niej jak świecidełka w gnieździe sroki.

— No, ale we wszystkich tych przypadkach koniec był pomyślny — oświadczyła. — Zawsze jakiś pieprzyk albo znamię pozwoliło rozpoznać dziecko. Bieda w tym, że nasz mały aniołek nie miał na ciałku nawet takiego maleńkiego pieprzyka jak ziarno maku. Widocznie dawniej wszystkie dzieci rodziły się ze znamionami.

— Znowu jejmość opowiada głupstwa.

— Głupstwa opowiadam? — broniła się z łagodnym wyrzutem. — No pewnie, jestem tylko nieuczoną wdową po biednym kożuszniku. Jakże mogłabym coś mądrego powiedzieć! Bo albo to jest prawda, a w takim razie nie wiem, co wasza wielmożność chce ode mnie usłyszeć, przecież nic na to nie mogę poradzić, albo też nie ma w tym ani krzty prawdy, wobec tego czemu wasza wielmożność powiada, że gadam głupstwa?

— Ho ho, jejmość zaczyna być cięta — pogroził jej na pół żartobliwie starosta, ale po prawdzie dobrze mu zrobiło, że Marjákowa zaczęła z niego podkpiwać.

— No i proszę! Ładnie wyglądam. Teraz ja jestem cięta, ja jestem złośliwa. Tylko dlatego

że słowa nie chcę powiedzieć, bo mam duszę łagodną i nawet złej myśli nie dopuszczam o ich wielmożnościach z Toporca.

— Ejże! — gniewnie wybuchnął Görgey. — Wszak mówię, że jeśli nawet tak się stało, to przecież tylko z ich dobroci wynikło.

— No właśnie — uchwyciła się Marjákowa podsuniętego słowa. — Z dobroci. Boże wielki, a z czego? Czyż może być większa dobroć niż rodzicielska miłość? Czy przed Panem Bogiem jest cokolwiek pocziwszego, bardziej Bogu miłego? A czy ich wielmożności z Toporca mogłyby być inni niż dobrzy i doskonali? Jakże wdzięczne powinno być dziecko, które troskliwa rodzicielska dłoń prowadzi do raju wszelkiego ziemskiego dobra! A szczególnie wtedy, kiedy nie przynosi to szkody nikomu żyjącemu, kiedy nie trzeba o to zabiegać ni wojskiem, ni przemocą, ni lichwą. Jeżeli wystarczy tylko powiedzieć, że od tej chwili dziecko nosi imię Rozalia. Komu to może szkodzić? Nikomu nie przynosi szkody, a małej tylko korzyść, bo odziedziczy Görgö z zamkiem, polami, młynami i lasami.

— Bzdura! — zaklął półgłosem Görgey, raczej sam do siebie. — Przecież Görgö i tak odziedziczą dzieci mego brata, jako że Darvasowie są bezdzietni.

Te słowa zgasiły Marjákovą. Wcisnęła głowę między ramiona i zaczęła opędzać się przed osą, która wleciała przez okno i bzykała wokół niej.

— A sio, ty bzykało! Tak bzyka, że człowiek sam nie wie, co gada. Głupia osa mi dokucza, choć ja nigdy nikomu nie dokuczam... że niby i tak oni będą dziedziczyć, tak wasza wielmożność powiada? No tak, może to i prawda. Waszmość wie lepiej. Ja powiedziałam źle, bo ja nic dobrze nie wiem. Skąd może coś wiedzieć prosta niewiasta, wdowa po zwykłym kozuszniku? Ja tylko jedno wiem, że najbardziej bym chciała, żeby wszystko dostała prawdziwa Rozalia. Ale co ja gadam o prawdziwej Rozalii, jakby nie było prawdziwej Rozalii. Nic na świecie nie dzieje się bez racji, wszystko, co się zdarza, ma swoją przyczynę, tak powiada wielebny ksiądz Podolinczi. Borbála nie może być bez powodu Rozalią, bo Görgö, tak albo tak, z czasem by jej przypadło, i byłoby w dobrych rękach, jeźliby nie mogło być w lepszych, ale czy w takim razie do niej trafiłyby też Jekelfalva i Lesznice, ziemie Jekelfalussych? To już znowu tylko wasza wielmożność wie i, jeśli zechce, to i mnie rzeknie.

Ukradkiem podniosła szczerę, niewinne spojrzenie na swego pana i dostrzegła, jak ten się zachwiał niczym po niespodziewanym ciosie.

— Wynos się do piekła! — huknął gniewnie i uderzył pięścią w stół, aż się talerze i szklenice przesunęły na gładkim obrusie, i Marjákowa wyniosła się, tylko że nie do piekła, a do kuchni. Piekło pozostawiła swemu panu.

Otworzyły się przed nim nowe horyzonty. O tym przedtem nie pomyślał. To nowa droga dla rozmyślań. Takimi drogami nie chadza rozum szlachezca. Ale i taka droga jest możliwa, zdrowy rozsądek Marjákowej właśnie tu doszukuje się rozwiązania zagadki. Czyż jednak wolno brata i jego żonę posądzać o tak niskie pobudki? Z całą pewnością nie. Państwo Görgeyowie z Toporca nie poniżyliby się do takiego kłamstwa z chęci zysku. Zdobyliby się na nie tylko w wypadku, gdyby jemu mogli się tym przysłużyć. No dobrze, ale jeśli przysługa idzie w parze z korzyścią, to czyby z niej zrezygnowali? Tylko dlatego że byłaby w tym jakaś korzyść? Chyba nie są aż takimi purytanami. Ostatecznie człowiek po to ma ręce, żeby dla siebie zgarniać korzyści, takie rzeczy zdarzają się w najlepszych rodzinach. Przypomniawszy sobie różne bogate rody i sposoby, jakimi zdobyły majątki. Wszędzie można się było dopatrzeć jakichś brzydkich czynów. Może i sam cesarz nie jest całkiem czysty. Chytróść i podstęp wszędzie się zdarzają. Chęć pomnażania dóbr tkwi w głębi każdego madziarskiego serca i wychodzi na jaw w chwilach najbardziej niespodziewanych. Z czystym sumieniem Pál Görgey nawet za swego brata Jánoša nie włożyłby ręki w ogień. Myśli gonily jedna drugą i rezultat był taki, że choć Marjákowej opowiedział o

swych podejrzaniach po to, żeby odjęła choć jeden kamień ze stosu, który mu przygniatał serce, to ona odwrotnie — dorzuciła ogromny głaz.

Krażył stale wokół tej myśli, chudł z wewnętrznego niepokoju. Często też wpadał do Toporca, bo sądził, że nowe spostrzeżenia wymażą dawniejsze. Wszystkiego próbował, postarał się nawet o szpiega w tamtejszym pałacu: córkę Marjákowej, Zsuzsannę, posłał jako nianię dla Rozalii, dając jej tajne polecenia. Ale nie pojawiły się ani nowe poszlaki, ani też nie zniknęły poprzednie. Wszystko stało w miejscu. Jakby sam czas się zatrzymał... Tylko wiatr szumiał nad Kieżmarkiem.

Aż wreszcie zaszumiało z innej strony. Z Siedmiogrodu przysła wieść, że wdarł się tam z sułtańskimi wojskami Imre Thököly, a całe księstwo z entuzjazmem okrzyknęło go swym panem. Krew zawrzała w żyłach, serca się poruszyły. Na koń, kuruce! Na koń! Stare siodła zniesiono ze strychów, na podworcach obracały się kamienie szlifierskie, ostrząc zardzewiałe szabliska...

János Görgey zebrał gromadkę szlachty, zwanej na Spiszu oszczepnikami, i natychmiast puścił się w drogę. Stanom i urzędowi komitackim pozostawił po sobie tylko list, w którym zrzekał się stanowiska żupana, jako że „ważniejsza sprawa stanęła mu w drodze”. (Tak nazwał wyruszenie na wyprawę wojenną, miast użyć jakiegoś górnolotnego frazesu.) Jednocześnie jako swego następcę zaproponował młodszego brata Pála Görgeya, gdyż „ma twardą rękę, lecz mocny umysł, a czasy tego właśnie wymagają”.

Jak to już wiemy, Pál Görgey został jednogłośnie wybrany żupanem. Objęcie stanowiska i sprawowanie władzy bawiły go przez jakiś czas, pod tym względem było to rzeczywiście lekarstwo, gdyż ożywione życie towarzyskie w siedzibie komitatu znacznie stępiło żal za zmarłą żoną. Fantastyczne mrzonki o zamianie dzieci zostały zepchnięte na dalszy plan przez ciągle zebrania i narady, podniecające wydarzenia i polityczne posunięcia, ale do całkowitej równowagi wewnętrznej nie wrócił. Kornik drażył go w dalszym ciągu, posuwał się, gryzł, nie spoczywał ani na chwilę. Nieraz sprawy publiczne kierowały jego myśli na sprawy rodzinne.

Okoliczność, że János Görgey opowiedział się po stronie nowego księcia siedmiogrodzkiego, mogła ściągnąć na pałac w Toporcu niebezpieczeństwo. Wrzenie w Kieżmarku zaczynało kluczyć w oczy wiedeńskie władze. Nie było wykluczone, że jakaś zgraja labanców pojawi się w okolicy i będzie szukała zemsty na Jánosu Görgeyu. Toteż mieszkańcy pałacu w Toporcu nie mogli się ani przez chwilę czuć bezpieczni.

Właściwym następstwem tych obaw powinno być ze strony dobrego żupana, jako krewniaka, umieszczenie rodziny w jakimś obronnym mieście, na przykład w Lewoczy. Görgey jednak wpadł na istic Salomonowy pomysł, dzięki któremu Rozalia miała się znaleźć w bezpiecznym miejscu.

Postanowił zabrać ją do Osgyánu, do swej siostry Darvasowej. Pięknie to wszystko obmyślił. Wraz z siostrą zamierzał udać się do Toporca, wyłożyć rzecz o grożącej wojnie i pod pozorem, że w Osgyánie dziecko będzie bezpieczne (bowiem chorowity szwagier trzymał się z dala od wszelkich spraw politycznych), a tu groziłoby mu ciągle niebezpieczeństwo, poprosi bratową, aby spakowała manatki Rozalii, bo niezwłocznie ją zabiorą. Taki nagły atak uniemożliwi bratowej odegranie jakiegokolwiek przygotowanej z góry roli. Jeśli ona jest matką dziecka, nie zdoła się opanować, z pewnością się czymś zdradzi i nie zechce małej zbyt łatwo wydać. Jeżeli zaś łatwo się zgodzi, to znaczy, że jest to córeczka Karoliny.

Tak też się stało. Listownie omówił wszystko z siostrą i dzielna niewiasta, znana z bojowego temperamentu, śmiałej mowy i szybkiego działania, zjawiła się zaraz po winobranii w Görgő, skąd oboje udali się do Toporca, zabierając jeszcze z sobą Marjákową. Tą ostatnią kierowały dwie intencje: najpierw chciała zobaczyć małą Rozalię, aby przy okazji podzielić się swymi spostrzeżeniami, gdyż czuła, że jej porównanie trzydniowego niemowlęcia z rocznym dzieckiem

będzie miało szczególne znaczenie dla żupana, ona zaś będzie mogła wypełnić je niczym pączek takim lub innym nadzieniem. Poza tym chciała się także pożegnać z córką Zsuzsą.

Jesień była łagodna i słoneczna, dla pani Darvasowej ta jazda stanowiła wielką przyjemność, bo przywodziła jej na myśl własne dzieciństwo. Droga wiodąca ku Karpatom przecina komitat spiski wijąc się wśród wzgórz i dolin, przez lasy i gaje, mijając piękne wodospady. Ze szczytów spoglądają stare zamczyska, wioski przycupnięte w dolinach zdają się o czymś śnie. Tu i ówdzie krajobraz ożywia jakiś młyn nad potokiem. Stada owiec bielą się na stokach wśród głazów, aż trudno z daleka odróżnić owcę od kamienia.

W Toporcu ucieszono się z przyjazdu gości, ale radość krótko trwała, gdyż Darvasowa nie owijała sprawy w bawełnę i niemal na wstępie oznajmiła, że przyjechali w swaty. Pani Jánosowa zdumiała się.

— Ależ, Katinko, obie córki są już zameżne.

— A jednak po córkę przyjechaliśmy, i to nie tylko o nią prosić, lecz z miejsca ją zabrać.

Pál Görgey kolejno wyłożył swoje zamiary, omówił sytuację i powody, dla których postanowił zabrać Rozalię do Osgyánu.

— Przecież własnym ciałem bym jej broniła — powiedziała zaskoczona pani na Toporcu, przenosząc spłoszone spojrzenie z żupana na szwagierkę dla sprawdzenia, czy nie żartują.

— Droga bratowo, ciało to ciało, ale nie zastąpi obronnego muru.

Darvasowa uśmiechnęła się, gdyż pani Maria była masywną niewiastą niezgorszego wzrostu.

— Całym sercem małą pokochałam, nie potrafię się z nią rozstać, wolałabym śmierć — westchnęła, a z jej oczu popłynęły potokiem łzy.

Po każdym jej słowie na czole Pála Görgeya pojawiały się nowe bruzdy.

— Tak musi być, Marisko. Tak mi podpowiada ojcowskie serce.

— Ładne ojcowskie serce! Oddajesz swe jedyne dziecko do trzeciego komitatu, skąd nawet wiadomości nie będą dochodziły. Nie będziesz mógł tam wpadać, ilekroć zapragniesz dziecko uścisnąć.

— Pozostanie tam tylko do czasu, póki nie przeminie groźba wojny. Potem przywiozę ją tu z powrotem.

— Właśnie ta wojna... Mąż na polu bitwy, syn w Kieżmarku, tylko ta kruszyna jest moją pociechą.

— Czemuż to pani bratowa nie powie od razu, że ta mała to jedyna obrona — przerwał jej szyderczo żupan. — Jakiej pociechy może takie biedactwo udzielić!

Tymczasem Darvasowa wzięła małą na ręce i podniosła ją.

— Tłuściutka jest, ciężka niczym armata — powiedziała — dobrze jej tu było, szkoda ją zabierać, ale że ojciec tego chce, musisz się z tym pogodzić, Marisko. U mnie też nie będzie głodowała.

Położyła dziecko z powrotem na niedźwiedziej skórze rozciągniętej na środku pokoju. Dziecko było ładne, pulchne i różowe, ale jakieś leniwe. Skończyło właśnie roczek i odstawiono je od piersi. Gaworzyło już, ale nie chodziło. (No tak, u dziewczynek wcześniej zaczyna się ruszać język, u chłopców nogi.) Mała Rozalka nawet nie próbowała chodzić czy choćby posuwać się na czworakach lub pełzać na brzuszku od jednego krzesła do drugiego. Stawała w miejscu, podobna do lilipuciej damy dworu, i wydawała rozkazy piastunce albo pani Görgeyowej: „Tam, tu, daj...”

Teraz stara Marjákowa przykucnęła obok dziecka i starała się przypodobać małej różnymi dziecinnyymi powiedzonkami: „Czarrna krrrowa w krrropki borrrdo...” Aż gruchały te wszystkie „r”, a Rozalka się śmiała (Bóg świadkiem, że nagle cały pokój się zmienił, rozjaśnił go dziecinny śmiech, nawet piękne szafy i komódki inaczej błyszcząły). Marjákowa dobrze wiedziała, jak

przemawiać do dziecka.

— Czy mnie pamiętasz, śliczna ptaszyno? Pewnie nie, prawda? Oj, ty brzydka, zaraz cię zbiję i — puf, puf — trzepnęła parę razy niedźwiedzią skórę. (To także podobało się małej.) A przecież mnie pierwszą ujrzałaś na tym świecie, ty pączuszkę mój różany. Najpierw do moich rąk trafiłaś, ślicznotko, kwiatuszku ty mój. Jak bocian przyleciał, wyrwałam cię z jego dzioba: „Hej, bocianie, nie nieś tej malutkiej gdzie indziej, bo ona nasza!” No, przyjrzyj mi się lepiej. Jestem stara Marjákowa. A tam stoi twój tatuś, perełko moja śliczna. Twój najmiłszy tatuś. Popatrzże, przyjrzyj się!

Dziecko popatrzyło we wskazanym kierunku, ale nie znalazło niczego godnego uwagi w wielkiej wąsatej postaci, więc tylko obojętnie przesunęło po ojcu spojrzenie.

Pál Görgey westchnął.

— Katalin — zwrócił się lekliwie do siostry, zatroskanym tonem, co nie było w jego zwyczaju — powiedz, do kogo jest to dziecko podobne?

Darvasowa, która miała właśnie zapytać szwagierkę o coś interesującego, a odezwanie się brata przerwało tok jej myśli, odpowiedziała z urazą:

— Do wszystkich dzieci, mój drogi. A że twarze dorosłych kształtują się z dziecinnych rysów, Rozalka w tej chwili podobna jest do każdego człowieka, który ma dwoje oczu, dwoje uszu i jedno usta... z wyjątkiem ciebie. Ty z pewnością się spodziewasz, że znajdę w niej podobieństwo do ciebie. Nie, właśnie do ciebie wcale nie jest podobna, i to jej szczęście, bo nigdy by nie wyszła za męża.

Twarde rysy Görgeya wykrzywił wymuszony uśmiech.

— Nie o to mi chodzi, skądże. Tylko dlatego pytam, Katarinko, bo mi się wydaje...

— i szybko przeniósł badawczy wzrok na panią Jánosową — że jej buzia to dokładna, choć pomniejszona kopia twarzy bratowej.

Było to niewątpliwie z góry przygotowane zdanie, mające zaskoczyć bratową, ale spaliło na panewce, gdyż w tej samej chwili w otwartych drzwiach ukazał się kot, towarzysz zabaw małej Rozalki. Kot trzymał w pyszczku trzepoczącą skrzydłami sójkę, która nedorzecznie wrzeszczała: „Nie bój się, Mátyás... Nie bój się, Mátyás.” Kot, słysząc tuż przy uchu ludzką mowę, stanął zaskoczony zadziwiającym fenomenem i patrzył na dziecko.

— Pipi! — zaszczębiotała Rozalia rozkazująco, wyciągając rączki po sójkę. — Daj! Daj!

Görgeyowa krzyknęła:

— Na Boga, toż to sójka Gyurki!

Wszyscy rzucili się, żeby schwytać kota. Görgeyowa i Marjákowa w pierwszym rzędzie.

— Daj, daj! — wołała Rozalka do kota.

Kotu jednak ani się śniło oddać łupu, przyszedł się tylko pochwalić przed Rozalką z czystego koleżeństwa, ale widząc, że chcą mu odebrać sójkę, rzucił się do ucieczki przez wszystkie pokoje, aż trafił na otwarte okno i wyskoczył przy akompaniamencie wrzasku ptaka, który bezustannie dodawał sobie odwagi wykrzykując: „Nie bój się, Mátyás! Nie bój się, Mátyás! Nie bój się, Mátyás!” (Gyuri uczył go tych słów niez mordowanie przez całe wakacje.) Teraz kot już przywykł do dziwnego głosu i śmiało wdrapał się na basztę, gdzie w samotności mógł się rozkoszować zasłużoną nagrodą za długie i cierpliwe wyczekiwanie przed ptasią klatką.

Ten mały dramat zupełnie odmienił nastrój, na który liczył żupan, żeby wyluskać całkowitą prawdę. Pani Jánosowa wszczęła głośnie dochodzenie, kto ze służby zostawił otwartą klatkę, a że winny się nie znalazł, więc każdemu coś się oberwało. W końcu pani Jánosowa tak się tym zdenerwowała, że zasłabla, trzeba ją było położyć do łóżka i kurować ziółkami i olejkami.

Nazajutrz o świcie Darvasowa kazała po cichu zaprząć, żeby nie obudzić chorej, bo rozstanie mogłoby jej zaszkodzić. Śpiącą Rozalkę otuloną w pierzynkę i kołderkę wzięła na ręce piastunka,

i tak ruszono do Osgyánu.

Wkrótce po pierwszym zaprzęgu ruszył drugi, z żupanem i Marjákową. Ta ostatnia siedziała naturalnie obok stangreta, ale coraz to odchylała się do tyłu, kiedy ją pan zagadnął. Mogli swobodnie rozmawiać, gdyż stangret mówił tylko po słowacku. Marjákowa natomiast doskonale znała węgierski.

— To jednak dziwne — zastanawiał się żupan, jakby robiąc przegląd wydarzeń wczorajszego dnia — żeby się bratowa tak przejęła z powodu ptaka...

— Z powodu ptaka? — powtórzyła jak zwykle pytanie Marjákowa. — To wielmożny pan uważa, że z powodu ptaka? Hm... no tak, z powodu ptaka...

Zapadł w głębokie milczenie, ponurym wzrokiem zapatrzony w zmieniający się krajobraz, słuchał szumu świerkowego lasu, zapomniał nawet o fajce. Siedział tak długie godziny, w milczeniu, najwyżej gałki oczne mu drgnęły, kiedy stangret albo Marjákowa na coś mu zwracali uwagę, jak na przykład: „O, proszę spojrzeć, jak wysoko wybijała tu kukurydza”, albo „Ależ piękny skop”. Dopiero w pobliżu młyna Draveczkych odezwał się słowami, które dowodziły, że cały czas zaprzętała go ta sama sprawa:

— Czy Marjákowa zauważyła, jak się bratowa zaczerwieniła, kiedy powiedziałem, że Rozalka jest do niej podobna?

— Zaczerwieniła się? Nie widziałam, nie patrzyłam na nią. Właśnie wpadł ten paskudny kot. Powiada wielmożny pan, że się zaczerwieniła? (Pokręciła głową i oburzona tak zamachała ramionami, że omal nie wytrąciła bata z ręki stangreta.) No, to ładnie. Czemu się zaczerwieniła? Ciekawe czemu? — I z chytrą naiwnością dodała: — Czy to wstyd być podobną do takiego ślicznego aniołka?

Jeszcze coś tam mruczała, ale turkot kół i stukot podków czwórki koni zagłuszyły jej słowa.

Rozdział trzeci

(QUIETA NON MOVERE *)

Powróciwszy do domu Pál Görgey wkrótce się przekonał, że nie osiągnął celu. Całe to posunięcie było bezcelowe. Chyba diabeł go podkusił. I chyba rzeczywiście diabeł maczał w tym palce dorzucając wciąż żaru do podejrzeń, aby nie wygasły; choćby się utworzyła warstewka popiołu, nie mogła się utrzymać dłużej niż kilka godzin, bo od spodu nieustannie płonął zły ogień i wystarczyło dmuchnięcie albo lekki powiew, żeby wszystko się znów żarzyło.

Żupan był z natury zamknięty w sobie, więc już z nikim nie dzielił się swymi wątpliwościami, tylko w godzinach samotności dyskutował sam z sobą, jakby dwóch Pálów Görgeyów siedziało naprzeciwko siebie, jeden trzeźwy i rozsądny, drugi podejrzliwy. I tak z sobą gadali:

„Nie bądź głupi, Pál — mówił rozsądny Görgey. — Czemu właśnie twoja Rozalia miała umrzeć? Przecież równie dobrze mogła umrzeć Borbála. Szanse były jednakowe. Jeżeli więc János i jego żona powiadają, że umarła ich córeczka, na jakiej podstawie przypuszczasz, że było odwrotnie? A co byś zrobił, gdyby twierdzili, że twoja Rozalka umarła? Czy i wtedy sądziłbyś, że stało się odwrotnie, że właśnie ona żyje?”

* Nie budź licha, kiedy śpi (łac.)

„Nie sądziłbym tak — odpowiadał podejrzliwy Görgey — bo wtedy nie mieliby powodu, żeby mnie zwodzić.”

„W porządku — odciął się zaraz trzeźwy Görgey. — Podchodząc do sprawy z dużą dozą wyobraźni trzeba stwierdzić, że w tym drugim wypadku rzeczywiście możliwe było takie wielkoduszne podmienienie dzieci, ale na czym opiera się twoje fantastyczne podejrzenie? Głównie na tym, że twoim zdaniem János i Maria za mało oplakiwali swoją zmarłą córeczkę. No tak, ale gdyby to twoja mała umarła, a oni by chcieli ciebie oszukać, to w poczuciu popełnionej podłości urządziliby taki pogrzeb i takie sceny rozpacz, że nie mógłbyś żywić żadnych podejrzeń.”

Co prawda, to prawda. Trzeźwy Görgey miał zupełną słuszność, tym razem podejrzliwy Görgey musiał się uznać za pokonanego. Na jakiś czas zapanował spokój. Na bardzo krótki czas, co prawda, bo dyskusja trwała i w godzinie słabości znowu podejrzliwy Görgey wziął górę, rozważając sprawę dóbr Jekelfalusszych albo jakieś świeżo narodzone argumenty. Tak trwało całe miesiące i lata, dusza jego wciąż przeskakiwała z jednej strony na drugą, niczym mucha na szachownicy, która z białego pola przechodzi na czarne i znów na białe.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby zdobył jakiś decydujący dowód i stwierdził, że to Rozalia umarła. Byłby o niej szybko zapomniał, gdyż serce człowieka w końcu godzi się jakoś z wyrokami losu, ale w tej zwodliwej grze na pewno palce maczał sam diabeł, on to poruszał wahadłem zwątpienia tak, żeby nigdy nie dotknęło skraju pewności.

Niemniej jednak gorączkowo dążył do zdobycia pewności. U Görgeyów w Toporcu była stara sługa, Słowaczka, imieniem Weronka Görlin. Była jak zadomowiony mól, który o wszystkim wie. Hm. Jeśli ktoś w ogóle zna tę sprawę, to tylko ona! Żupanowi przyszło do głowy, że można by ją przyjąć do własnej służby i dobrym słowem wydobyć z niej wszystko, co wie. Nie była to prosta rzecz. Większa płaca w owych czasach nie imponowała służbie. Nie mógł jej też obiecać lepszych warunków utrzymania, bo i w Toporcu płacono w mleku i maśle. Jedyną sprężyną mogła być wszechmocna miłość. Tą drogą można coś osiągnąć. Weronka dochodziła już co prawda do sześćdziesiątki, była wdową, ale nikt jeszcze nie ustalił, w którym roku życia kończy się władza miłości. Görgey postanowił spróbować. Miał starszego hajduka, wdowca Presztona, któremu obiecał dwie dojne krowy i tydzień urlopu, jeśli się z Weronką ożeni. Hm, dwie dojne krowy! Dzięki nim Weronka stała się od razu wspaniałą partią. Preszton wykorzystał wolny tydzień na to, by pojechać do Toporca. Wyprostował się, jak mógł, wypomadował wąsy, czapkę z daszkiem przybrał ozdobną chustką i *dictum-factum*: poprosił o rękę Weroniki. Ta zrobiła wielkie oczy, śliną przyglądziła siwiejące włosy, bo a nuż są potargane, potem się rozplakała i wyprawili wesele. Na Wszystkich Świętych Preszton przywiózł żonę i jej skrzynkę z rzeczami do Görgó.

Kiedy się już zadomowiła i zapoznała z gospodarstwem, najpierw zabrała się do niej Marjákowa, stosując własne metody, ale nic z tego nie wyszło. Inaczej mówiąc, Weronka nic nie wiedziała, w przeciwnym razie Marjákowa byłaby z niej wszystko wydobyła. Swoją drogą i żupan próbował rozwiązać jej język, to łagodnością, to groźbami, naturalnie podchodząc do głównej sprawy z daleka, metodami sędziego śledczego, aby przesłuchiwany nie spostrzegł, o co właściwie chodzi. I te wysiłki poszły na marne. Weronka, co prawda, mieszała się, raz i drugi wydawało się, że coś wie, ale to, co opowiadała, było tak bez znaczenia, że szkoda było tych dwóch krów.

Görgey stracił już wszelką nadzieję; aż pewnego wieczoru zaczął narzekać na zgagę, a w takich wypadkach zalecano wówczas porządne ugniatanie ziemskiej powłoki cierpiącego. Weronka sławna była z tej umiejętności, nabrała się więc do wcierania w plecy żupana świeżego

gęsiego smalcu. Podczas wypędzania choroby miała zwyczaj gadać, żeby czas szybciej mijał, a chory żupan też jest przecież człowiekiem.

Gadała więc Presztonowa, język się jej nie zatrzymywał, a leżący na brzuchu pacjent od czasu do czasu odmrukiwał: „Hm...”, albo: „To prawda...”

— Może moje gadanie nudzi waszą wielmożność?

— Co mowa, to mowa — odpowiedział żupan — ale mogłaby mi Presztonowa o czym innym opowiadać, bo przecież potrafi.

— O czymże? — zapytała Weronka zasapanym głosem, wciskając kościsty duży palec w kręgosłup leżącego.

— O dworze w Toporcu i tamtejszych wydarzeniach.

— Przecie ino o tym gadam, nic innego nie robię.

— Dobrze, dobrze, ale Presztonowa wie różne rzeczy, o których nie chce mówić, mnie Presztonowa nie oszuka.

— Nic takiego nie wiem. Bóg mi świadkiem.

— Nie przysięgajcie, Presztonowa, bo ja nawet wiem, co Presztonowa wie.

— Jeżeli wielmożny pan coś wie, to nie ode mnie.

— Któż to wie, czy nie od Presztonowej słyszałem? Jak człowiek gada, to nie tylko w samych słowach, ale i za nimi może być coś ważnego, a mądry człek od razu to spostrzeże. Nigdy nie można być pewnym, że „tego lub tamtego nie ode mnie się dowiedzieli”, bo nawet przez sen można się wygadać.

Na to stara z taką siłą wgniotła dłoń w plecy leżącego, że omal mu kości nie pogruchotała. Żupan wyciągnął z tego wniosek, że Weronka niezgorszą ma siłę, ale nazajutrz to mimowolne naciśnięcie zyskało inne wytłumaczenie.

W kancelarii zjawił się rano Preszton z podrapaną gębą.

— Cóż ci się stało? — zapytał żupan. — Z kotami zadarłeś czy co?

Preszton kwaśno się uśmiechnął.

— Trzecia krowa mnie ubodła, proszę waszej wielmożności.

— Co za trzecia krowa?

— No, moja połowica. W nocy doskoczyła do mnie z pazurami, że niby wygadałem przed waszą wielmożnością coś, co ona przez sen gadała. A przecież wasza wielmożność wie najlepiej, że to nieprawda.

— Co u diabła! — ożywił się Görgey. — Ona gada przez sen?

— Nie wiem. Nie zauważyłem.

— Ależ z ciebie łamaga, jeśli nawet tego nie wiesz.

Preszton wzruszył ramionami.

— Chyba wasza wielmożność wie, że to tylko żona na dzień.

Teraz już Görgey wszystko wiedział. To pewne, że Presztonowa zna jakąś tajemnicę, a to może być tylko zamiana dzieci. Cóż innego mogło się zdarzyć w życiu uczciwych, otwartych ludzi, o czym wierna służa musi milczeć, bo może sama w tym maczała palce?

Przyszłość nabrała ciemnych barw, nawet żałował, że coś zaświtało. Prawda, że i mrok go dręczył, ale to mimo wszystko było lepsze. Niechby tak pozostało na zawsze. Mógł się przynajmniej ludzić, że ma kogoś bliskiego. Teraz zaś świat nagle opustoszał. Trzeba to do końca wyjaśnić, trzeba wychylić puchar goryczy do dna.

Kazał przywołać Weronkę i ostro spojrzął jej w oczy.

— Presztonowa zna pewną tajemnicę i żądam, aby mi ją natychmiast wyjawiała.

— Nic nie wiem — odpowiedziała stanowczo.

Żupan pogroził jej palcem.

- Ostrzegam, Presztonowa. Wiem nawet, co Presztonowa wie.
- Jeżeli wielmożny pan wie, to czemu pyta?
- Bo chcę od Presztonowej to usłyszeć.

Niewiasta miętosila różaniec zawieszony na szyi, palce jej drżały, ale słowa nie zdradzały strachu.

— Nic nie wiem, a gdybym wiedziała, to wolałabym, żeby mi język wyrwano, niżbym miała coś złego powiedzieć o swoich państwu. Niech mnie wasza wielmożność każe zakuć w kłody albo głowę mi każe ściąć, a ja i tak nic nie powiem.

Görgey wpadł w dziki gniew, był wściekły, że nic nie wskórał. Dopiero Marjåkowa go uspokoiła obietnicą, że jakoś nakłoni starą do gadania, jej można zaufać. Przekona się wasza wielmożność, że ona lepiej potrafi przeprowadzić śledztwo niż władze komitackie albo sarn wiceżupan.

Nazajutrz żupan z hajdukiem wyjechali do Lewoczy, bo trzeba było załatwić sprawy komitackie, które się przez dwa tygodnie uzbierały, poza tym chciał się w mieście podleczyć, jako że mu wciąż dokuczały bóle żołądka. Weronka pozostała na noc sama. Koło północy przy jej łóżku stanęła biała zjawa, która głową sięgała do samej powały (jeżeli to był człowiek, musiał mieć szczudła, a jeżeli duch, to chyba na tamtym świecie dużo było deszczu, że tak wybujał). Weronka przebudziła się, z przerażenia aż jej zęby dzwoniły, cała drżąca zagrzebała się w piernaty. A straszliwa zjawa grobowym głosem rzekła:

— Weronko, Weronko, Weronko! Ulżyj swej grzesznej duszy i wyznaj wszystko swemu panu, w przeciwnym razie zabiorę cię i będziesz potępiona. Przyjdę jeszcze dwa razy.

Rano Weronka dostała gorączki, żona ogrodnika przez cały dzień ją kurowała. Po południu poczuła się lepiej, święconą palmą wykadziła izbę, ale pod wieczór ogarnął ją śmiertelny strach. Fornale szelmy z niej żartowali, to jeden, to drugi ofiarowywał się, że przyjdzie stróżować (co by na to powiedział Preszton?)... nie, tak nie można, ale przecież trzeba coś zrobić. Za kwaterek gorzałki najęła starego dzwonnika z Görgö, żeby się zgodził spać u niej w sieni. Stary József Hamelik był już po siedemdziesiątce i nie w głowie mu były zaloty.

Stary zjawił się późnym wieczorem uzbrojony w żelazne widły i już na zapas łyknął lek przeciwko duchom w postaci kwaterek gorzałki. Weronka zaświeciła kaganek, Hamelik zaś nadstawił widły i razem poszli do małej przybudówki, przylepionej do dworskiej komory. Już byli w sieni, kiedy nagle zgasł kaganek, a gdzieś ze stryszka odezwał się grobowy głos:

— Weronko, Weronko, Weronko! Ulżyj swej grzesznej duszy i wyznaj wszystko panu, bo będziesz potępiona. Jeszcze raz przyjdę, a potem cię zabiorę!

Weronka wrzasnęła, a stary rzucił widły i uciekł, dokąd go nogi poniosły, a później — kiedy ochłonął i wszyscy z niego kpili — stwierdził, że kwatereka to za mało, jak się ma do czynienia z duchami, do śmierci człek się uczy, trzeba co najmniej dwie kwatereki.

Weronka uciekła do dworu, do Marjåkowej, i tam w kuchni zemdląła. Dziwnym trafem Marjåkowej nie było w domu (opowiadała później, że właśnie w piwnicy porządkowała gąsiorki z winem), kiedy wróciła, znalazła niewiastę na ziemi i musiała ją wodą polewać, niczym zwiędłą sadzonkę. Marjåkowa miała dobre serce, położyła Weronkę we własne piernaty, zaparzyła tysięcznika i udawała, że nie wierzy w tę zjawę. — Ależ, duszko, jak można sobie takie rzeczy wmawiać! Następnej nocy pójdę spać do twojej izby i miotłą pokażę owemu duchowi, gdzie jest cmentarz...

Na to jednak Weronka nie czekała. Ledwie się o świcie zbudziła, poszła pieszo do Lewoczy i stanęła przed jego wielmożnością, który wytrzeszczył oczy na widok niewiasty; przez dwa dni włosy jej tak posiwiały, jakby je kto wapnem pobieliał.

— Cóż to, Weronko? Co was tu przyniosło? Co się w domu stało? — pytał zdumiony.

— Przyszłam, żeby powierzyć swoją tajemnicę waszej wielmożności.

Spojrzała za siebie, czy aby drzwi są zamknięte.

— Więc jednak? — powiedział żupan i serce zaczęło mu walić jak młotem. — No to mówcie, tutaj nikt nie usłyszy.

— Mój mąż także nie?

— Nie. Wysłałem go w pięć miejsc po zioła, wezykatoria i wywary, bo czuję się gorzej, a już nie mam felczera: umarł tej nocy.

(W całym mieście Lewoczy był tylko jeden doktor, i to nie zawsze. Zresztą w owych czasach tylko najwięksi magnaci sprowadzali sobie doktorów, nieraz z samego Wiednia, a pomniejsi panowie wysyłali umyślnego do jednej lub drugiej pani dziedziczki w komitacie z listem albo ustnym opisem objawów choroby. Co doświadczona niewiasta przysłała — czy to wywar, czy nalewka — posłusznie spijali, a rezultat był taki sam jak dzisiaj, to znaczy, albo zdrowieli, albo umierali. W Lewoczy było łatwiej. Hajduk szybko obleciał co znamienitsze domy. Najpierw wpadł do jejmości Mihályowej Mauksowej, która przyrządzała takie maści i balsamy z jaszczurek, żab, robaków i mysich ogonków, że nawet raz umarły stanął na nogi, jak go posmarowano w okolicy serca — co już *probatum est*, choć powiadają niektórzy, że ów umrzyk był w letargu. Potem skoczył do uczonej Matyldy Klöster, do której z dalekich okolic przysyłano wytworne panienki, aby przez rok lub dwa wpajała w nie dobre maniere i różne pożyteczne wiadomości; jak się która rozchoruje, to ją leczy sokami z ziół, wyciskanymi do malutkich flaszeczek. Warto też zajrzeć do jejmości pani burmistrzowej Károlyowej Krámler, która jako siostrzenica pewnego doktora ze Lwowa ma od wuja całą masę recept, chyba więcej, niż jest na świecie chorób. Obeznana z leczeniem jest także matka handlującego żelazem Sztehlöwicsa, która w ubiegłym roku wkroczyła w dziewięćdziesiątkę, a zdrowa jest jak rydz, więc tak czy owak musi znać sposoby przeciwko śmierci.)

— I co? — zapytał zniecierpliwiony żupan na widok Weronki, która stała drżąca i milczała, w zmieszaniu skręcając frędzle czarnej chusty. — Słucham.

— Nie da się zaprzeczyć, że nasza biedna pani dziedziczka, niech jej Pan Bóg odpuści, potknęła się, przecież wasza wielmożność sam to wie.

— Naturalnie — potwierdził smutnym głosem. — Wiem, wiem, ale mówcie dalej.

— Ja zawsze powiadam — i niech mi wasza wielmożność nie weźmie tego za złe — że jak białogłowa nawyknie do chłopca, to tak jak do machorki... Trudno odwyknąć, a niewiasta jest tylko niewiastą, a każda słomiana wdowa — słomianą wdową.

— Co tu gadacie od rzeczy — przerwał jej żupan. — O kim mówicie?

— A o kim, jak nie o mojej kochanej jejmości.

— Kim jest ta kochana jejmość?

— Wielmożna Jánosowa Görgeyowa — wyjąkała Weronka, jednocześnie zdziwiona i zmieszana.

Teraz z kolei żupan zaczął się dziwić. Może starej coś się w głowie pomieszało? Przyjrzał jej się uważnie. Oczy miała podkrążone granatowymi podkówkami, ale błękitne spojrzenie było jasne i uczciwe.

— Jakiego chłopca macie na myśli, nie rozumiem.

— Tego niecnotę czeladnika młynarskiego, proszę uniżenie.

— Czeladnik młynarski? Co on ma z tym wspólnego?

— Bo właśnie z nim potknęła się wielmożna dziedziczka.

— Potknęła się? Co to ma znaczyć?

— Wzięła go sobie za kochanka, proszę uniżenie.

Twarz żupana wykrzywiła się, gniewnie huknął pięścią w stół.

- Moja bratowa? — ryknął jak zraniony tygrys.
- Tak — wybąkała Weronka cała drżąca — tego młynarczyka.
- Jak śmiesz takie rzeczy opowiadać, stara czarownico? — Skoczył ku niej ze wzniesioną pięścią. — Pięćdziesiąt batów każę ci wymierzyć!

Szarpnął oba skrzydła drzwi, żeby wezwać hajduka czy strażnika, ale nie było nikogo ani w poczekalni, ani na korytarzu. Chłodny wiosenny wiatr owiał mu twarz, nierówny, zdyszany oddech uspokoił się i przyszło mu do głowy, że takiej delikatnej sprawy nie wolno popsuć nieprzemyślanym gestem, poza tym ta kobieta nie jest gadatliwa, przecież niemal przemocą próbowano z niej wyciągnąć tę tajemnicę, a to, że teraz sama przyszła do niego, to z pewnością machinacja Marjákowej... Nie, nie... tej niewiasty nie wolno skrzywdzić, ona nie ponosi żadnej winy, wystarczy popatrzeć, jak drży i męczy się, z całą pewnością nie roznosi plotek dla przyjemności. Z drugiej strony to, co mówi, nie jest prawdą, to pewne. Ale umysł takiej prymitywnej istoty inaczej działa, z innych części składowych jest zestawiony, inaczej reaguje na różne sprawy; słowa uważa za wydarzenia, a rzeczy wymaginowane kołaczą się w takich ciemnych łbach w postaci słów. Czy nie wariat ze mnie — uspokajał sam siebie — że z takiego powodu wpadam w gniew? Powinienem się z tego śmiać. Przecież to zupełny nonsens. Raczej by się gwiazdy zbrukały niż Jánosowa Görgeyowa. Głupota. Trzeba raczej spojrzeć sprawie prosto w oczy, żeby wy badać, skąd się zrodziła, niż usiłować to zagłuszyć. Jasne, że okaże się to śmiesznym nieporozumieniem, wyssaną z palca historyjką, z której będzie dużo śmiechu.

Powrócił zupełnie uspokojony do kancelarii i był nawet zadowolony, że na tym polegała tajemnica Weronki.

- Ojej, bardzo was przestraszyłem, Weronko — podjął łagodnym głosem, a nikt nie potrafił mu dorównać, jeżeli chciał kogoś ująć. — Ale nic nie szkodzi. Nie bójcie się, żadna przykrość was nie spotka, tylko śmiało opowiedzcie, co macie na sercu; widzicie, tak mnie to oburzyło, bo wprost nie mogę uwierzyć, żeby ta uczciwa, dobra niewiasta...

Presztonowa załamała ręce.

- O właśnie, proszę waszej wielmożności, ja bym prędzej uwierzyła, że nasz Pan, Jezus Chrystus (niech Jego Imię będzie pochwalone na wieki wieków, amen), nie wstąpił do nieba, niż że moja pani stamtąd zstąpiła.

- I to w takim wieku, Weronko, w takim wieku — dodał żupan, który przyjął teraz taktykę spokojnej rezygnacji. — Ileż to lat ma teraz moja bratowa?

- Prawdę mówiąc, młoda z niej jeszcze niewiasta. Jak to jest? Tak, łośńskiego roku skończyła czterdzieści jeden lat. Ale wiek to jeszcze nic, proszę waszej wielmożności, tylko żem ją zawsze uważała za świętą i gdybym na własne oczy nie widziała tego, com ujrzała, tobym ślepią wydrapała każdemu, kto by coś podobnego rozpowiadał.

Görgey zerwał się z krzesła.

- To Weronka widziała? — wrzasnął oburzony, ale zielony błysk w jego oczach natychmiast zgasł. Potem znowu usiadł, przymknął powieki i opuścił ramiona. — Nic to, wszystko w porządku. Niech no Weronka opowie, jak to było, tylko dokładnie, nic nie opuszczając. Nie będę już przerywał. (To ostatnie zdanie skierował raczej do samego siebie.)

- Ano, proszę waszej wielmożności, to było tak, że od czasu jak nasz pan wyruszył na wojnę, to ja spałam z jejmością w jednej komnacie, jako że bała się być w nocy sama. To znaczy, że spałam tam od tego dnia, kiedy wasza wielmożność kazał zabrać Rozalkę, bo właśnie malutka tam spała i jej niania, Zsuzsika. Z początku pani okropnie się smuciła z powodu małżonka i z powodu Rozalki.

- Z powodu Rozalki też się smuciła? — Görgey podniósł głowę i wytrzeszczył szeroko oczy.

- Pewnie, że się smuciła.
- Ale dlaczego? — dopytywał się wlepiwszy w nią badawcze spojrzenie.
- Bo bardzo kochała małą Rozalkę.
- Jak Weronka myśli, dlaczego ją tak kochała, przecież to nie jej dziecko?

— Dlatego że tacy wielcy państwo, co nie mają innej roboty, mogą sobie pozwolić na kochanie cudzych dzieci, nie tak jak my, co nie mamy czasu kochać nawet własnych.

Ta prostacka odpowiedź całkowicie przekonała Görgeya, że nie dowie się od Presztonowej niczego w sprawie zamiany dzieci.

- No dobrze. Mówcie dalej, Weronko, śmiało.

— Na tym skończyłam, że była bardzo smutna. Pisała i dostawała często listy od męża, potem już rzadziej, nawet mniej wzdychała, pewnie przywykła do samotności, a jeszcze później, tak na początku jesieni, kiedy powróciła z Osgyánu, dokąd pojechała odwiedzić małą Rozalkę...

— Jeździła więc do Osgyánu? — zaniepokoił się Görgey. — To podejrzane... (Ostatnie słowa powiedział do siebie samego.)

— A jeździła. Po powrocie do domu kilka razy chodziła do młyna. Od tego się wszystko zaczęło. Czemu tam poszła pierwszy raz, tego nie wiem, może z powodu grobli, bo młynarz nachodził nas przez całe lato, żeby mu ją dwór naprawił. Dość, że nasza jejmość chodziła do młyna. Mówiono wtedy, że młynarz przyjął nowego parobka, no i jejmość go spotkała, tak powiadają, i tak musiało być. Jakie tam słowa między nimi padły, jeden Pan Bóg wie, no i oni, ale wiadomo, że na drugi dzień i na trzeci też tam poszła i pięknie się stroiła, tak samiusieńko jak wsiowe niewiasty, kiedy złe je zaczyna kusić. Jak długo to trwało, tego nie wiem. Aż raz, kiedy nastały gorsze chłody, moja paniuńcia gołąbeczka tak do mnie powiada: „Słuchaj, Weronka, nie mogę przez ciebie spać w nocy, bo strasznie chrapiesz. Od jutra gdzie indziej sobie pościel.” To mi się od razu nie podobało. Nigdy ja nie chrapałam, ani przedtem, ani potem, zaświadczyć może Preszton, jak go wasza wielmożność zapyta. A jak przedtem mała Rozalka płakała, to jejmość spać mogła? Teraz znów nie może, bo niby ja chrapię!/? Zobaczmy, co to ma znaczyć. I co się okazało? Że młynarski czeladnik zakradł się późną nocą, kiedy służba się do snu pokładła, a moja święta jejmość (oj, niechybnie koniec świata niedaleczko!) wstała i naciągnawszy prędko jakąś halkę, wyszła do zimnej sieni i wpuściła go.

Panie Jezusiku, żeby to chociaż był kto znaczny, ale taki prostak!

Na czoło Görgeya wystąpił perlisty pot. Szlachecka krew się w nim wzburzyła, ale usiłował zdławić gniew i mocno splótł ręce na piersiach, jakby chciał powstrzymać gwałtowny oddech.

- Od kogo Weronka o tym słyszała? — zapytał ponuro.

— Służba szeptała po kątach, z początku niepewnie. Widziano o szarym świcie człowieka, który się wymykał niby cień z pałacowych wrót. Później już widziano, że to parobek z młyna przychodzi do naszej jejmości.

- Coś im się przywidziało albo kłamali — wycharczał żupan.

— Ja też tak myślałam jak wasza wielmożność — odpowiedziała ze smutkiem Weronka. — Przysięgam sobie, że sprawdzę te gadki. Jednego wieczoru odbyła się w pałacu wieczorynka z łuskaniem kukurydzy. Zawsze się to robiło w wielkiej pałacowej jadalni, z której jest wejście do pokoju naszej jejmości. Co roku schodziliśmy się tam, a nie w dużej izbie, u rządcy. Nie tylko nasi chłopci przychodzili, ale także ludzie Budamérych, szczególnie młodzi. Nasza jejmość zawsze siadywała z nami i jegomość także, jak był w domu. Bito barana, gotowano kukurydżę z makiem na wieczerzę dla wszystkich. Wesoło jest wtedy, ludzie śpiewają, a robota w tyłu rękach aż się pali, tak że zwykle do północy wszystko jest skończone. Potem szybko uprzęta się salę stołową, oddzielnie wynosi się czerwone kaczany, dobre na różę, oraz kukurydziane kaczany i włosy, których jest zawsze ogromny stóg, skądś pojawia się juhas z dudami i zaczynają się tany,

ludziska tańczą długo po północy, do pierwszej albo i drugiej godziny. Tego roku jednak, ledwie nocny stróż zatrąbił na dziesiątą, w kuchni zjawiała się jejmość. Tam warzyło się mięsiwo i kukurydza. Powiedziała, że rozbolała ją głowa i chce pójść na spoczynek, więc wieczerza nie odbędzie się w pałacu, tylko u rządcy, i nie po północy, ale już teraz. Niech ludzie porzucą pracę i zanoszą kotły do tamtego domu. Tak się też stało, pogaszono światła w całym pałacu, także w sali stołowej, i wszyscy się przenieśli do rządcy. Mnie jednak świdrowała ciekawość, czułam, że teraz coś będzie, więc się nie przyłączyłam do gromady, tylko niepostrzeżenie wśliznęłam się z powrotem do jadalni i tak się zakopałam w stosie kukurydzianych włókien i kaczanów, że mi tylko czubek głowy wystawał. Głęboka cisza zapadła we dworze, tylko świerszcz cykał gdzieś w ścianie. Nasłuchiwałam bacznie, nigdzie najmniejszego szmeru, wreszcie po dobrej pół godzinie psy raz i drugi zaszczekały, jakby ktoś przechodził przez podwórzec, i rozległo się ostre gwizdnięcie. Na to ze swojej sypialni szybkim krokiem wyszła jejmość, przemknęła przez jadalnię i w drzwiach wejściowych zgrzytnął klucz. Aż mi serce bić przestało. Boże wielki, zaraz się pod ziemię zapadnę, jeżeli to prawda. Przez okno wpadał słaby promień księżyca, tyle co by człowiek wylał trochę mleka na rozpuszczoną smołę. Drzwi skrzypnęły i dostrzegłam mężczyznę w szerokim kapeluszu i ciężkich buciorach. „Uważaj, kochanie, żebyś się nie potknął — szepnęła jejmość — bo wszędzie leży kukurydza” — i chyba go ujęła za rękę, prowadząc do swojej komnaty. Ale i tak parę razy chrupnął rozdeptany kaczan. Kiedy zniknęli, wygrzebałam się spod kukurydzianych kaczanów i drżąc niczym osika pobiegłam do dużej izby w domu rządcy. Taka byłam blada, że się mnie ludziska przestraszyli...

Na tym Weronka zakończyła swoje opowiadanie i widać było, że jej się lżej zrobiło na duszy po wyznaniu tej strasznej i niebezpiecznej tajemnicy. Zapadła męcząca cisza. Czekwała, co powie żupan, ale i on milczał. Siedział na fotelu w dziwnej półszyćwnej pozie, a twarz mu spopieliała. Niewiasta ukradkiem nań zerkała, nieco przestraszona, bo wyglądał jak nieżywy. Ale nie. Jabłko Adama na szyi lekko mu się poruszało, a więc oddychał. Tak przeszły ze trzy albo cztery minuty. Weronka raz i drugi zakasłała, żeby jegomość pan żupan przypomniał sobie jej obecność, ale nie zwracał na nią uwagi. Myśl jego bujała gdzieś daleko. Dręczyła go zagadka, której jeszcze żaden śmiertelnik nie zdołał rozwiązać: z czego ulepiona jest białogłowa? Czyżby w niej nie było żadnej twardej materii? Sam klajster, który się do każdego i do wszystkiego przylepia? Klajster po wierzchu i klajster w środku, sam klajster w każdej najmniejszej cząsteczce. Czyżby i Karolina była taka? (Westchnął głęboko i wielka kędzierzawa głowa opadła mu na pierś.) A więc Bóg nie stworzył niczego absolutnie czystego? Najjaśniejsza ozdoba świata, słońce, też ma plamy, a w przejrzystej źródlanej wodzie roją się obrzydliwe wymoczki. Najbielsza lilia rzuca cień...

— Czy mogę odejść? — zapytała wreszcie Weronka.

Görgey wzdrygnął się i dopiero wtedy spostrzegł, że stara jeszcze przed nim siedzi. Skinął głową, że może iść, ale już od drzwi ją odwołał.

— Poczekajcie, Presztonowa, jeszcze o jedno chcę zapytać. Czy to się często zdarzało?

— Przynajmniej co drugą noc rozlegało się na podwórku gwizdnięcie.

— W porządku. Tylko nikomu więcej o tym nie mówcie. Możecie odejść.

Rozwiały się ostatnie wątpliwości. Z natury był łatwowierny, a w tym wypadku przypomniał mu się wczorajszy dzień, kiedy to w traktierni „Pod Murzyńskim Królem” zeszedli się wszyscy panowie z komitackiego urzędu. Przy wieczerzy rozmowa zeszała na sprawy publiczne i ktoś wspomniał Jánosa Görgeya, który wyruszył na wojenną wyprawę. Péter Marsalkó zaczął mówić: „Dziwne wieści dochodzą...” A lekko podchmielony wicenotariusz przerwał mu: „Z Toporca”. Zebrani popatrzyli jedni na drugich z głupimi minami, jakby padła jakaś nietaktowna uwaga, a imć pan Marsalkó spieszenie naprawił ten bład mówiąc: „Skądże, z Siedmiogrodu nadchodzą

dziwne wieści, że tam wszystko się już skończyło”. Wczorajszego wieczoru żupan nie rozumiał, o czym była mowa, ale teraz wszystko stało się jasne. Panowie komitaccy musieli już to i owo słyszeć o przygodzie bratowej. Nie, na to nie można dłużej pozwalać, trzeba temu położyć kres w obronie braterskiego honoru.

Ledwie powrócił Preszton obładowany przeróżnymi słóiczkami, flaszeczkami, ziołami, maściami i recepturami, opisującymi, jak tego zażywać, wezwał do siebie dwóch co sprytniejszych pandurów: Andrása Göbölyő i Gergelya Szabó, nakazując im, żeby natychmiast ruszyli w drogę i, gdy zapadnie mrok, w największej tajemnicy zaczęli się w pobliżu pałacu Görgeyów w Toporcu. Niedawno przyjęty czeladnik młynarski zwykł tam bowiem krążyć w złych zamiarach. Należy go pojmać i możliwie cicho, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, sprowadzić przed żupańskie oblicze.

Stało się to w środę z rana, a już w piątek wieczorem, kiedy się żupan miał rozdziewać na spoczynek, Preszton zameldował:

- Pandurowie przywieźli z Toporca jakiegoś łotrzyka. Co mam im powiedzieć?
- Że teraz nie mam czasu. Rano z nim pogadam.

Po krótkiej chwili Preszton powrócił z zapytaniem, czy nie należałoby przekazać pojmanego straży kasztelańskiej.

— Idź i powiedz, że w żadnym wypadku. Najpierw ja muszę z nim pomówić. To mój osobisty więzień. Niech go na razie wsadzą do jakiejś pustej celi.

Preszton znowu się zjawił.

— Pandurowie powiadają, że biedny więzień od wczorajszego wieczoru nic nie jadł, ani kęsa strawy nie dostał, a przywieźli go na strasznie trzęsącej furze, nawet gdyby coś jadł, to i tak umierałby teraz z głodu.

Żupan, który zdążył się już do snu przyodziać i wsunąć w pościel, odparł gniewnie:

— Powiedz pandurom, żeby tyle nie gadali. Co oni sobie myślą, łapserdaki, w czyjej są służbie? Prosić mnie mogą, a nie prowadzić ze mną rozmowy. Jak się ośmielią jeszcze z czymś wystąpić, każę im wymierzyć dobrą porcję kijów. A co do więźnia, to niech pości, nicpoń!

Tak więc sprawa została zawieszona. Z rana natomiast tysiące zajęć osaczyły żupana. W korytarzu jeden za drugim czekali ludzie z ważnymi sprawami, zjechały deputacje, musiał brać udział w naradach, niemal mu głowa pękała i szumiało w niej jak w ulu.

O więźniu całkiem zapomniał. Nazajutrz była niedziela, więc w sobotni wieczór pojechał do domu, żeby wydać gospodarskie dyspozycje. Tam czekali nań także kupcy ze Lwowa, którzy zjechali po tuczone bydło. Następnego dnia pogoda się popsuła, szalała śnieżycą i wichura, aż drzewa w lesie trzaskały. W taki czas nawet psa nikt by nie wygnał na dwór. Przez cały dzień żupan nie ruszył się ze swego pokoju. Przez okno świat pięknie wyglądał, drzewa obielone, dachy pokryte śniegiem, białe góry, jak daleko sięgnąć spojrzeniem, biel i biel... tylko gdzieś w głębi, na białej drodze, poruszał się czarny punkt. Zbliżał się coraz bardziej. Z początku był wielkości wrony, potem kozy, wreszcie przybrał kształt karety, którą cztery gniade ciągnęły z wysiłkiem w śniegu po osie. Kareta musiała jechać z daleka, bo gdyby dzisiaj ktoś wyruszył, toby raczej wziął sanie. Dojechawszy do kościoła powóz z wielkim trzaskaniem z bicza skręcił w aleję prowadzącą do zamku.

— Ot, i gości mamy — rzuciła zgryźliwie Marjákowa, która właśnie układała na piecu pigwy, żeby jegomości ładnie pachniało w komnacie. — Ani rusz nie można pojąć, że też się ludziskom chce w taką pogodę w drogę puszczać!

Tymczasem kareta zajeżdżała pod daszek przed gankiem. Sam żupan był ciekaw, kto to taki, podszedł więc do okna wychodzącego na podjazd i ujrzał niewieścią postać w wielkiej chuście, która wygrzebała się z wilczej szuby i gdy wysiadała, wypadły za nią z karety cegły i flaszki

zabrane na drogę dla ogrzania nóg. Z okutanej chustą twarzy widać było tylko oczy i zaczerwieniony od mrozu nos, toteż trudno było poznać, kto zacz. Dopiero kiedy w przedsiionku Preszton pomagał jej zdjąć wierzchnie odzienie, z kilku głośniejszych wypowiedzianych słów Marjákowa ją poznała:

— Toć to jejmość pani z Toporca, jakem Marjákowa! — zawołała i pobiegła ją witać.

Görgey zacisnął wargi, a na skroniach nabrzmiały mu żyły. Choć dobre maniere tak nakazywały, nie wyszedł bratowej naprzeciw, tylko siadł przy stole i zabrał się do pisania, a przynajmniej udawał, że pisze.

Po chwili weszła jejmość pani Jánosowa. Görgey słyszał szelest jej spódnicy, ale nie odwrócił się, tylko dalej nerwowo pisał. Za nic w świecie nie byłby się odwrócił! Toteż nie widział rozpaczy malującej się na jej twarzy ani złamanej bólem postaci.

Jejmość pani Jánosowa przystanąła na chwilę pośrodku komnaty, po czym cichym, lekko schrypniętym głosem zagadnęła szwagra zatopionego w pisaniu,

— To ja, szwagrze.

Nawet po tych słowach żupan się nie odwrócił, pilnie dalej pisał i tylko przez zaciśnięte zęby rzucił obojętnym, pełnym pogardy głosem:

— Czego sobie bratowa życzy?

Nieszczęsna może nawet nie zdała sobie sprawy z zimnego, obraźliwego tonu tych słów, bo któż by zwracał uwagę na ukłucie szpilki, kiedy ma serce rozdarte straszliwym bólem. Opadła z sił, osunęła się na krzesło i z trudem zdołała w słowa ułożyć okropną wieść:

— Ujęli mego męża, brata waszmości.

Teraz żupan trzasnął gęsim piórem o stół i z gorzką ironią wybuchnął:

— A jejmość pani bratowa z tego powodu rozpacza ?!

— Boże wielki — wykrzyknęła zdławionym głosem. — János jest zgubiony, trafi na galery albo na szubienicę!

Żupan zbladł.

— Kto go kazał ująć? — dopytywał się z przejęciem.

— Z pewnością cesarz.

— A gdzie teraz jest?

— Nie wiem, dokąd go zabrali.

— Gdzie i kiedy go pochwycili? W drodze czy gdzie indziej.

— W domu — odpowiedziała i wybuchnęła płaczem.

Żupan wlepił w nią zdumione spojrzenie.

— To on był w domu? Nic o tym nie wiedziałem.

— Bo trzeba to było w tajemnicy trzymać, przebrany za parobka ukrywał się w toporczańskim młynie.

Błada twarz żupana pokraśniała po tych słowach jak rak wrzucony do wrzątku, w oczach zgasł gniewny płomień, a z czoła zniknęła chmura. W spojrzeniu, które utkwiał w drżącej białogłowie, było współczucie, żal, wstyd i wyrzuty sumienia. Nagłym ruchem padł przed nią na kolana i chwyciwszy róg czarnego fartuszka, który jej opinał kolana, podniósł go do ust i ucałował.

— Cóż to waćpan czynisz? — Przestraszona zerwała się z krzesła.

— Pokutę odprawiam, którą sam sobie w tej chwili wyznaczył, ale wiem, że tego nie godzien. (Wstał, strząsnął pył z kolan i żywo kontynuował.) Droga Mario, szanowna pani bratowo, ani chwili się już nie zamartwiaj. To nie cesarz pojmał Jánosa, lecz ktoś, kto ci go zwróci.

Görgeyowa głęboko westchnęła i choć jeszcze niezupełnie wierząc, patrzyła na niego z

budzącą się nadzieją.

— O Boże, któż to taki?

— Ja — odparł żupan. — To ja go kazałem pochwycić.

Rozczarowana spuściła głowę. Otóż i nowe nieszczęście! Bóg szwagrowi rozum pomieszał, i to w najgorszej godzinie, kiedy potrzebowała pomocy. Już poprzednio zauważyła jego dziwne zachowanie, ale teraz nabrała pewności.

Z twarzy niewiasty Görgey wynioskował, jakie myśli snuje, toteż pospieszył ją uspokoić:

— Jejmość pewnie sądzi, że m zwariował, ale jam nie wariat, tylko podły człowiek. Nie wiem, czy zechcesz mi kiedy przebaczyć. Doszły mnie plotki, jakoby jejmość pani bratowa przyjmowała u siebie co noc jakiegoś młynarskiego parobka. Pod wpływem wzburzenia kazałem tego parobka pojmać. Podłością było, że uwierzyłem w plotki. Oto mój policzek, uderz mnie pani, zasłużyłem na to.

Och, warto było zobaczyć ów cudowny widok, kiedy nie tylko z nieba spływają słoneczne promienie, ale przeblysku ją przez łzy. Oto uśmiech przedarł się przez łzy. Płakała i śmiała się jednocześnie.

— Jeszcze czego, tylko tego by brakowało, bym mości szwagra spoliczkowała. Przecież to, co ludzie plotkowali, to była prawda — rozgadała się, a na jej lica wystąpiły rumieńce. Kąciki same układały się w figlarny uśmieszek (była ładniejsza od niejednej młódki). — Co tu przeczyć! To prawda, że Jánośa wpuszczałam do siebie nocą, niczym prosta wieśniaczka lubego kochanka. Tyle przecież mieliśmy do omawiania. Niech szwagier o niczym innym nawet nie myśli, skądże! (tu wstydliwie spuściła oczy). Ale to była lekkomyślność, teraz widzę. Bogu dziękujmy, że tak się skończyło, a nie gorzej. Bo mógł go przecież ktoś poznać. Chociaż brodę zapuścił, a wąsy zgolił... po cóż zresztą tyle gadam, szwagier na własne oczy widział, jaki jest zmieniony.

— Nie, jeszcze go nie widział.

Po czole pani Marii przebiegł cień.

— Jakże to być może? Czyż on nie tutaj przebywa? Gdzież jest?

Niespokojnie wpatrywała się w żupana, ten jednak nie był w stanie odpowiedzieć, gdyż język mu skołowaciał z przerażenia i dech mu zapało. Uprzytomnił sobie, że nie pozwolił odprowadzić więźnia do kasztelańskiego więzienia, gdzie by go wciągnięto na listę uwięzionych. W ten sposób nikt nie ma obowiązku podawać mu strawy, kto wie, czy do tej pory z głodu nie umarł?

— Na miłość boską, mości szwagrze, co się stało? Czemu nie odpowiadasz?

Wrażliwy kobiecy instynkt podpowiadał jej, że z Jánosem coś niedobrego się stało.

Żupan doskoczył do drzwi, szarpnął je gwałtownie i wrzasnął:

— Zaprząć natychmiast czwórkę najszybszych koni! Marjákowa, szubę i sukienne buty! Prędko!

— Umrę z niepokoju, mości szwagrze, jeśli mi nie odpowiesz — drżącym głosem błagała bratowa.

Żupan ocierał rękawem pot z czoła ruchem takim jak prosty chłop.

— Ile czasu może żyć człowiek bez jadła i napoju? — zapytał zdławionym głosem.

— Nie wiem — wyszeptwała przerażona bratowa.

— Może Marjákowa to wie. Hej, Marjákowa! Duchem do mnie! Jak długo żyje człowiek bez jadła i napoju?

— Nigdy tego nie próbowała — odpowiedziała gospodynie. — Ale myślę, że to od człowieka zależy. Katolik i tydzień wytrzyma, bo nawykł do postów, za luterana zaś to bym nie ręczyła. Kiedy mój nieboszczyk mąż, niech Pan Bóg ma jego duszę w opiece, dostał tej wielkiej zimnicy...

— Nie gadajcie tyle! Pogońcie lepiej woźnicę!

Pani Jánosowa w rozpaczy chwyciła szwagra za ramię.

— Co się stało z moim mężem?

— Jest w ręku Boga — odparł złamany.

— To straszne! — krzyknęła.

— Zapomniałem o nim — odpowiedział zrozpaczony. — Nocą go przywieźli, kazałem go zamknąć w oddzielnej celi i nie zatroszczyłem się o stawę dla niego, bo miałem zamiar następnego rana go nastraszyć, nawymyślać mu i wygnać z granic komitatu.

— Chyba nie przypuszczasz, mości szwagrze, że mu się coś z tego powodu stało albo też...

Görgey zaprotestował ruchem ręki.

— Skądże znowu! Niech Bóg broni... (Drżał przy tym na całym ciele, jakby nim febra trzęsła.) Nic podobnego. Niczego takiego nie myślę, pani bratowo. Na honor. Bo i cóż złego mogło mu się stać? Ale, rzecz jasna, jak się nic nie je od piątku... a właściwie od czwartku, nic a nic, ani kęska... Musi być bardzo głodny. Przygotujcie więc dobrą wieczerzę, a ja skoczę i przywiozę go. Niech się jejmość bratowa przestanie niepokoić.

— Pojadę ze szwagrem. Muszę pojechać.

— Jak sobie jejmość życzysz. Choć doprawdy nie ma powodu do niepokoju, żadnego powodu. Nawet bym tak nie spieszył, tylko że mnie trochę boli głowa...

O mało nie pęknie... Taka jazda saniami, świeże powietrze, to mi dobrze robi.

Nieufnie spoglądali jedno na drugie.

— Dobrze, dobrze, ale mimo to pojadę. Przynajmniej się szwagier nie będzie nudził w drodze.

Tymczasem sanie zajechały, dzwonki zdobiące uprzęż dzwoniły jak żałobne sygnaturki za każdym wierzgnięciem niespokojnych koni. Zaczął zapadać zmrok, na biały puch opadała brudna, niebieskawa mgła, wiatr się uciszył, ale śnieg wciąż sypał; wyglądało, jakby białe muszki pływały w mętnej cieczy.

Görgey pomógł bratowej wsiąść do sań i otulił jej nogi.

— Więc jednak pani bratowa naprawdę chce ze mną jechać? Hej, Marjákowa, zaraz wracamy. Przygotujcie wieczerzę, i to dobrą, na trzy osoby. Nie zapomnijcie, na trzy osoby! (Potem wskoczył na miejsce obok bratowej.) Do Lewoczy, Macieju! Nie żałuj koni! Choćby miały wszystkie paść!

Maciej zastosował się do rozkazu. Sanie mknęły po lśniącym białym puchu jak strzała wypuszczona z łuku. Tylko migały osypane brylantami lasy i zagajniki po obu stronach drogi. Koniom z nozdrzy i pysków buchały żółtawe kłęby pary.

Görgey żałował, że nakazał taki pośpiech. Jeszcze się bratowa przestraszy. Wystarczy, że on ledwie żyje z przerażenia. Wydawało mu się, że powinien się wytłumaczyć.

— Chciałbym jak najprędzej dojechać do miasta, bo zostawiłem u kasztelana nożyk do ostrzenia piór. Wiem, że kasztelan w niedzielę zawsze gdzieś chadza na wieczerzę. Ja zaś, jeśli go nie zastanę i nie odzyskam kozika, będę nieszczęśliwy. Przez cały dzień nie udało mi się przyzwoicie pióra wystrugać. Głównie po to jadę teraz do Lewoczy.

Wyrecytował to wszystko obojętnym tonem, jakby rzeczywiście nie miał innego kłopotu. Jejmość pani Jánosowa uczyniła podobnie. Opanowała się jak mogła i z wszelkimi szczegółami opowiedziała, że głównie dlatego jedzie teraz ze szwagrem, bo nie znosi pustej paplaniny Marjákowej. O Jánosu nie padło nawet słowo, jakby go w ogóle nie było na świecie. Ta obopólna delikatność, mająca na celu uspokojenie drugiej strony, zakrawała niemal na bohaterstwo, przy czym nie miało ono najmniejszego sensu; każde z nich bowiem wiedziało, że dusza drugiego jest wręcz na torturach. Gadali więc trzy po trzy, jak znudzeni podróżni dla zabawienia towarzyszy,

nawet pogody nie pominęli, że podobno zima zapowiada się niezwykle ostra (Görgeyowi wydawało się, że gdzieś z oddali dochodzi wycie wilków), a jejmość pani Jánosowa zauważyła, że „właściwie nasz nieszczęsny pan jego wysokość Thököly całkiem nieźle wyszedł na tym, że został pobity, bo teraz może sobie spokojnie siedzieć w Turcji, gdzie zima jest łagodniejsza”.

O tym pan żupan jeszcze nie wiedział, bo w owych czasach wiadomości nie przybiegały po elektrycznym drucie, lecz dochodziły na ślimaczym grzbiecie. Przywozili je podróżni. Zatrzymywali się w kuźniach dla podkucia koni i czekając opowiadali o wszystkim, co po drodze słyszeli, nieraz z dziesiątych ust. Niewiele było to warte i bardzo długo trwało, nim jakaś wieść doszła. Przede wszystkim zaś rzadko się trafiał na Spiszu podróżny z Siedmiogrodu. A jak się zabląkał, to nie zawsze trzaskała mu oś czy koń gubił podkowy, więc nie zatrzymywał się w kuźni. Zresztą nie zawsze mówił prawdę. A jeśli nawet nie kłamał i powiedział prawdę, to nikt nie wierzył, bo niemożliwością było z tysiąca wieści krążących o wydarzeniach wojennych wyłuskać te, które odpowiadały rzeczywistości. Czy wojna jeszcze się toczy, czy już nie, o tym można było najwyżej wnioskować z cen owsa i koni. Czerwona łuna jest znakiem tylko z bliska, jedna lub dwie podpalone siedmiogrodzkie wioski nie malują nieboskłonu czerwienią widoczną z tak daleka.

Ponura wieść w tej chwili nawet nie zainteresowała żupana, tylko machinalnie rzucił kilka pytań: „Co takiego? Thököly został pobity? Jeszcze jeden słomiany ogień. Zapala się na ołtarzu wolności, ale płonie jak błędny ognik prowadzący tylko na cmentarz. No tak, to jasne, inaczej skąd by się János wziął w domu...”

I tak rozmowa ześliznęła się z powrotem na temat, który chcieli ominąć — na Jánosa.

Pani Jánosowa opowiedziała, że w Siedmiogrodzie nastał spokój. Wystarczyło, by zjawiły się wojska cesarskie, a stronnicy Thökölyego po kolei opuścili swego wodza. Siedmiogrodzcy magnaci uzyskali całkowite przebaczenie, gdyż jakoby działali pod wpływem miejscowych nastrojów; ci natomiast, którzy ściągnęli pod jego sztandary z Węgier, zostali uznani za buntowników. Na liście prześladowanych znalazł się także János. W wieśniaczym przebraniu, jako woźnica, uszedł do Osgyánu, gdzie jakiś czas ukrywał się u siostry. Szwagier Darvas, który jest w dobrych stosunkach z palatynem Pálem Esterházym, udał się do Budy, żeby wyprosić dla Jánosa całkowitą amnestię. Jeszcze tam gdzieś antyszambruje, oby mu Pan Bóg dopomógł. Tymczasem Katalin dała jej znać (to znaczy pani Jánosowej), że mąż u nich przebywa, udała się więc do Osgyánu w porze winobrania i namówiła go, żeby się przeniósł bliżej domu, do młyna w Toporcu, gdzie go przechowa małomówny młynarz, wierny Péter Gáll — do czasu, póki Darvas nie wyprosi pergaminu z pieczęcią.

Z kozła zagadał Maciej:

— Czy wjechać na dziedziniec?

Byli już przed urzędem komitackim.

— Wjedź. Kto wie, jak długo przyjdzie nam tu pozostać. — Görgey mimo woli westchnął.

Płózy sań zaszurały o wytarty bruk, a wartownik przy bramie przepisowo powitał żupana błyskając klingą szabli.

Żupan znał jego imię. Zawołał:

— Vlaszinko, biegnij do mości pana kasztelana! Niech tu zaraz przyjdzie!

Tymczasem sam wyskoczył z sań i pomógł wsiąść bratowej.

— Odwagi, Mariska — szepnęła chropawym głosem, który mimo wszystko zabrzmiał jakoś ciepło i serdecznie.

Pani Maria nie odpowiedziała. Zwisająca pod sklepieniem lampa rzuciła słabe światło na jej twarz: była blada, a smutne oczy z dziwnym wyrazem wpatrywały się w żupana.

— Ty drzysz, pani bratowo? — zapytał dotknąwszy jej dłoni.

— Zmarzłam — wyjąkała. — Zimno mi.
— Kasztelan zaraz się zjawi, tylko patrzeć.

Powrócił właśnie Vlaszinko.

— Mości pana kasztelana nie ma w domu, proszę waszej wielmożności.

— Trzeba go wydostać choćby spod ziemi. Hej, strażnicy! Niech się tu zaraz stawi kilku ludzi!

W mig zjawiło się czterech — wartownik, hajduk, więzienna straż.

— Lećcie i po całym mieście szukajcie imć pana kasztelana — rozkazał nerwowo. — Żywego lub umarłego sprowadźcie go natychmiast. Jazda! W tył zwrot, biegiem! A ty, Vlaszinko, znajdź mi tu zaraz głównego strażnika więziennego, niech przyniesie z sobą wszystkie klucze!

W ogromnym gmachu zaczęła się bieranina, powstał dziki rwetes. Rozlegało się trzaskanie drzwiami, chwiejne światelka migotały na dziedzińcu i na piętrze, korytarze zaludniły się postaciami biegającymi z latarniami w ręku. Rozeszła się wiadomość, że niespodzianie zjawił się żupan i że jest strasznie zły. Sama jejmość pani kasztelanowa wyszła w białym, sztywno nakrochmalonym fartuchu z podwiniętymi rękawami, tak jak stała przy kuchni, i na widok potężnego żupana zaskrzeczała ostrym głosem:

— Bóg mi świadkiem, nie wiem, gdzie się podział. Pod wieczór nagle zniknął. Tak samo było wczoraj, nawet nie wrócił na wieczerzę. Od razu mi się to nie podobało, czułam, że coś knuje, bo na jego twarzy malowała się chytryść; przedtem zawsze mówił, dokąd idzie. Wczorajszego wieczoru także umyślni go po całym mieście szukali, ale nie znaleźli. Kiedy wreszcie powrócił, wypytywałam, gdzie był, ale za Boga nie chciał się przyznać. Grzecznie do niego mówiłam: „Mości panie Grodkovszky, mój małżonku, wyznaj mi, gdzieżeś chadzał, nawet jeśli w grze jest białogłowa, należy się, byś to ze skruczą wyjawiał.” Ale mój pan małżonek tylko coś pod wąsem mruczał. Na to ja podniosłam głos: „Słuchaj, mości Grodkovszky, żeby to się więcej nie przytrafiło, do stu tysięcy fur beczek!” I proszę, dzisiaj wieczór znowu ulotnił się jak kamfora, a ja ze złości już sama nie wiem, co robić, bo jedno jest pewne, że na złą drogę wstąpił i w końcu dobioreę się do włosów tej bezwstydnicy, za to ręczę, a wcale nie zaszkodzi, jak na zadatek wielmożny pan żupan też kilka słów mu wygarnie. Uff, przynajmniej sobie ulżyłam.

Jejmość pani kasztelanowa jeszcze gadała, kiedy z latarnią w dłoni zjawił się główny strażnik więzienny dzwoniąc kluczami.

Żupan już z daleka zawołał:

— Co z więźniami, Baltazarze?

— Nic szczególnego.

— Nic, powiadacie? Nic godnego uwagi? To i dobrze. — Żupan odetchnął. — Wszystko po staremu, czy tak?

— Czy wasza wielmożność ma jakieś życzenia?

— Jest tu nowy więzień, którego natychmiast muszę zobaczyć.

Baltazar zamyślił się.

— Żadnego nowego nie ma. A kiedyż go miano zamknąć?

— Ostatniego piątku. Wieczorem.

— Nic o tym nie wiem. Mości pan kasztelan nic mi nie rzekł.

Görgey nerwowo zapinał i rozpiął podbitą futrem bekieszę.

— Wiem na pewno, że tu jest. Pomyślcie dobrze!

— Wykluczone, wielmożny panie żupanie, musiałbym o nim wiedzieć. Moja żona przygotowuje dla nich strawę.

Görgey gniewnie mu przerwał.

— Osioł jesteście, Baltazar. Przyślijcie mi tu zaraz Gergelya Szabó.

— Kiedy on teraz złodziejasków gania, co się dobrali do kościoła w Farkasfalvie.

— A gdzie jest Göbölyó?

— Przemarzył na służbie, gdy był w Toporcu, dostał zapalenia płuc i ledwie dycha. Już go wczoraj wielebny wypowiadał.

— No tak. On wie. Biegnijcie do niego i zapytajcie, gdzie zamknęli więźnia, którego w piątek z Gergelyem Szabó przywieźli. Nie dajcie mu wyzionąć ducha, póki nie powie.

Poleciał Baltazar na jednej nodze, żaden ogar by go nie przegonił, choć kałdun miał niegorszy, mimo że był na więziennym wikcie... a może właśnie dlatego.

Pod panią Jánosową ugięły się nogi, głowa bezsilnie opadła jej na poręcz schodów, ręką trzymała się kurczowo balustrady.

Ale miara się wreszcie przebrała. Ostatnia kropla już się w pucharze nie mogła zmieścić.

— Bezbożni poganie! — wybuchnęła. — Co tu się dzieje? Nawet psa hycle nie wsadzą do budy tak, żeby nie wiedzieli, do której go zagnali. Wstyd, hańba! Czy to urząd komitacki, czy gniazdo rozbójników?

Görgey zagryzł wargi. Miał wrażenie, że gdyby cały gmach komitacki runął mu na głowę, toby go tak nie przygniótł jak słowa bratowej. Naciągnął na uszy karakułową czapę, żeby nie słyszeć dalszego ciągu, bo w miarę jak niewiasta traciła siły i przytomność, wzrastała jednocześnie jej odwaga w języku.

Görgey dużo był w stanie wytrzymać, ale tego już nie. Wycofał się w głąb dziedzińca, jakby miał tam coś do załatwienia, i zdenerwowany chodził w kółko po śniegu.

Na szczęście nadbiegł zdyszany Baltazar. Przyniósł wieść, że więźnia z Toporca zamknięto na piętrze, w pustej komorze obok archiwum, gdzie dawniej przechowywano narzędzia tortur.

— Nareszcie... — odetchnął żupan.

Chodziło już tylko o znalezienie klucza. Baltazar skoczył do kasztelanowej, bo u niej znajdowały się w koszyku wszystkie klucze od nie używanych teraz pomieszczeń. Do każdego była przyczepiona deszczułka z numerem i nazwą pokoju czy komórki. Grzebiąc w tych kluczach Baltazar opowiedział, że zastał Andrása Göbölyó umierającego, nieprzytomnego, na żadne pytania nie odpowiadał, a jego żona stwierdziła:

— Możesz za nim pognać na tamten świat.

— Nie polecą tam tak długo — odparł Baltazar — póki nie wykona rozkazu jego wielmożności pana żupana.

Na te słowa, jakby go śmierć wypuściła ze swych szponów, András nagle otworzył oczy i całkiem jasno wyłożył sprawę. Niech go Pan Bóg ma w swojej opiece, teraz już nie umrze, bo na wzmiankę o jego wielmożności śmierć w popłochu uciekła przez komin.

Tymczasem pani Jánosowa poprosiła szwagra, żeby się zechciał postarać o kubek wody do picia i szczyptę soli.

— Po co? — zapytał żupan. — Leć, Vlaszinko, duchem przynieś wody i garść soli.

— Chcę to mieć pod ręką — wyjąkała ochryłym głosem pani Jánosowa — bo jak się w nim będzie jeszcze trochę życia kołatać (w tym miejscu służy puściły i wybuchnęła głośnym płaczem), to najlepiej dać łyk wody z solą, a dopiero potem trochę lekkiego wina.

— Niech jejmość nie płacze, proszę się opanować. Trzeba pamiętać, że ludzie nie powinni się dowiedzieć, o kogo chodzi.

Nadbiegł Vlaszinko z wodą i solą, a zaraz po nim Baltazar z wiadomością, że klucza od komory nie ma.

— No to wylamiemy drzwi! — rozkazał żupan. — Dajcie tu paru co silniejszych chłopów, niech przyniosą siekiere i żelazny łom.

Poszedł na górę prowadząc ślaniającą się bratową. Baltazar latarnią oświetlał przed nimi stopnie i niósł kubek z wodą.

Na piętrze w korytarzu głucho zadudniła pod stopami ceglana podłoga. Ich własne ogromne cienie towarzyszyły idącym pełzając po ścianach i powale. Kiedy minęli mieszkanie pisarza komitackiego i skręcili w boczny korytarz, nad ich głowami zaczęły krążyć obrzydliwe nietoperze. Panował tu zaduch i unosiła się woń pleśni zaczajona we wnękach i ustawionych po obu stronach szafach, w których stare pergaminy i akta procesowe dawno zmarłych ludzi służyły już tylko myszom ku rozrywce. Z którejś szafy dochodziło płaczliwe miauczenie kota. Może biedne stworzenie wśliznęło się tam przez uchylone drzwi, żeby sobie zapolować, a przeciąg wywołany popołudniową wichurą zatrzaskał drzwi szafy.

— Biedny kotek jest tu gdzieś zamknięty — westchnęła pani Jánosowa. Miała dobre serce, które nawet w takiej chwili się odezwało.

Görgey nie odpowiedział, szedł machinalnie za więziennym strażnikiem, który właśnie przystanął przed ostatnimi drzwiami.

— To tu — powiedział cicho. — Jesteśmy na miejscu.

Stanęli wszyscy troje. Reszta pozostała na dole z narzędziami czekając na wezwanie. Panowała głęboka cisza, niczym w grobowcu. Żupan słyszał głośnie bicie własnego serca. Do tej chwili spieszył co siłą, a teraz, kiedy nadeszła decydująca chwila, stanął pobladły, nie mając odwagi uczynić następnego kroku. Najchętniej uciekłby stąd. Och, co teraz będzie, co zobaczą?

— Powiedz, Baltazarze, czy to są bardzo mocne drzwi? — zapytał drżącym, łamiącym się głosem, jakby był dzieckiem, a nie żupanem spiskiego komitatu.

— Dębowe — odpowiedział jednym słowem strażnik.

Postawił latarnię na ziemi, a kubek z wodą podał pani Jánosowej. Trza poprobować — powiedział sam do siebie. Splunął w garść i całym ciężarem runął bokiem na drzwi.

Pani Jánosowa i żupan w napięciu przyglądali się tej próbie, gdyż strażnik zapowiedział, że odgłos uderzenia i trzask drzwi pozwolą wywnioskować o ich grubości. I nagle rozległ się tylko krzyk „Oj!”, po czym ujrzeni dwie fikające w powietrzu nogi, podczas gdy głowa i tułów zniknęły w czeluści otwierających się na oścież drzwi.

W głębi majaczyło słabe światło, a w kominku przyjaźnie trzaskał ogień. Na stole po stronie bliższej drzwi uśmiechał się gąsiorek wina, obok leżała napoczęta szynka i pleciony kołacz. Na wprost, po drugiej stronie, siedziało dwóch mężczyzn. Wyglądało, jakby grali w kości czy warcaby. Na huk otwierających się drzwi gniewnie się zerwali. Jednego z nich żupan od razu poznał: był to kasztelan, imię pan Grodkovszky. Drugiego natomiast z miejsca poznała bratowa — był to naturalnie imię pan János Görgey.

Tak był zmieniony, że żupan aż się zagapił, kiedy bratowa podbiegła do obcego i rzuciła mu się na szyję.

— A więc żyjesz? Nic ci nie jest?

Imię pan János czule objął swoją połowicę, z radości nawet ją nieco uniósł z podłogi, przy czym żywo wodził wzrokiem dokoła, a oczy mu się iskrzyły radością.

— Skądże znowu, nie umarłem, nie — odpowiedział żartobliwie lamentującym głosem — podtrzymuje mnie na siłach gorzki chleb niewoli... (z przetłuszczonego papieru wziął słone ciasteczko ze skwarkami, wsunął do ust i popił winem wprost z gąsiorka). Człowiek dużo potrafi wytrzymać, hm. Ale ty, ptaszyno, skąd się tu wzięłaś? Nie jesteś już tak młoda, żeby się włóczyć za własnym małżonkiem. Czemu zakłóacie mi spokój?

Żupan, który pozostawał w tyle, dopiero słysząc głos mówiącego upewnił się, że to naprawdę jego starszy brat. To rozpoznanie przywróciło mu natychmiast równowagę ducha i wrodzony talent do rządzenia.

— Zbieraj się, Baltazarze, i wynoś stąd. Zawsze wiedziałem, że z ciebie straszny osioł. Rzucić się na drzwi, zamiast spróbować, czy klamką nie dadzą się otworzyć! Były przecież otwarte. Zasłużyłbyś na to, żeby sobie kilka żeber połamać.

Dopiero kiedy strażnik się wyniósł, żupan postąpił kilka kroków i znalazł się w zasięgu słabego światła.

— Witam cię, bracie, niech ci Pan Bóg da szczęście.

Można sobie wyobrazić, w jaką radość przemienił się poprzedni strach. I jak wiele było wyjaśnień. Najpierw jegomość pan kasztelan wytłumaczył swoje wmieszanie się do sprawy. Tego wieczoru kiedy jego wielmożność pan żupan odjechał do Görgő, hajduk ciężko się rozchorował i wezwał kasztelana do swego łóżka, prosząc o sprowadzenie księdza. Kasztelan chciał sprawdzić, jak to z nim jest naprawdę, i zapytał: „Czy nie byłoby lepiej, synu, gdybym ci zamiast księdza dał kwartę starego węgrzyna?” Ale chory przecząco potrząsnął głową, co było najlepszym dowodem, że go rozum odszedł. Jak chce księdza, to niech będzie ksiądz. Ale i kasztelanowi wyznał jeden grzech, który mu gryzł sumienie. Powiedział, że poprzedniej nocy przywieźli z rozkazu jego wielmożności żupana więźnia, który siedzi zamknięty w komorze i od dwóch dni nic nie jadł. Z tym grzechem chory nie chce się przenieść na tamten świat.

— Słusznie postąpił, mości panie kasztelanie, naprawiając to, czego ja zaniedbałem — pochwalił go żupan. — Teraz ja powinienem naprawić to, czegoś ty zaniedbał, ale nie wiem, czybyś się uradował (tu żupan roześmiał się, chyba pierwszy raz od bardzo długiego czasu), gdyż chodzi o twoją jejmość, która szykuje się na ciebie za twoje wczorajsze i dzisiejsze tajemnicze zniknięcie. Zastanów się, mości kasztelanie, w jaki sposób się wytłumaczysz.

W ten dyskretny sposób dał mu do zrozumienia, że rodzina chciałaby pozostać bez świadków. Tak więc imć pan Grodkovszky oddalił się i przez pół godziny panował ciepły, pogodny nastrój, jaki nieczęsto w życiu bywa udziałem człowieka. Bóg świadkiem, czasem chyba nawet warto popaść w jakieś tarapaty, jeśli wydostanie się z nich daje tyle miłych przeżyć. Wszyscy mówili naraz, każdy pytał, odpowiadał, oburzał się i wybuchał śmiechem.

— Powiedz, czemuś mnie kazał pojmać, ty nicponiu?

Kiedy imć pan Pál wszystko opowiedział, János aż się za brzuch trzymał ze śmiechu.

— Ojej, mości szwagrze, o takie rzeczy mnie posądzać?! — żartowała pani Jánosowa.

Pan János chytrze mrugał:

— Taki jest los płochych kokietek, he he he.

W powietrzu krzyżowały się tysiące żartów, tysiące strzał nurzanych w miodzie, które nie niosą bólu, a tylko łaskoczą.

Niemal z przykrością opuścili komorę i chyba przez całe życie wspominali ją potem jako miły zakątek. Imć pan żupan obmyślił, że najlepiej będzie, jeśli brat zamieszka w Görgő, do czasu aż się załatwi amnestię. Cesarscy łapacze nie będą go tam szukać, bo nie przyjdzie im do głowy taka naiwna kryjówka. W trudnych sytuacjach zlekceważenie chytrkości może się okazać największą chytrością.

W tej chwili jednak największe niebezpieczeństwo leży gdzie indziej: wieszka przygotowana przez Marjাকową zmarnuje się, trzeba spieszyć do domu. Ale obecność stangreta niepokoiła żupana, gdyż Maciej miał długi język; potrzebny był natomiast jego kudłaty kożuch, gdyż młynarski przyodziewek pana Jánosa, w którym został pojmany i przywieziony do Lewoczy, w żaden sposób nie wystarczał na taką mroźną pogodę.

Żupan zszedł pierwszy do sklepionej sieni i oczyścił bramę z wałęsającej się tam służby, a chcąc ubić dwie muchy za jednym zamachem, wydał rozkaz stojącemu na straży Vlasinkowi:

— Zaprowadź, Vlaszinko, mego woźnicę do imć pana kasztelana i poproś, by mu dali wieczerę i kwatery na noc, a rano konia ze stajni komitackich huzarów, na którym niech przycwaja do Görgő.

Teraz już bez żadnych świadków państwo Görgeyowie mogli wsiąść do sań, a żupan przyodziany w kudłaty kozuch, zaciął konie, które pognały ku domowi.

Maciejowi ten obrót sprawy bardzo przypadł do gustu, tylko w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego odarto go z kudłatego kozucha (po kiego licha?). Potem wszystko mu się przestało podobać, gdyż spodziewana dobra wieczerza rozwiała się. Z mieszkania kasztelana dochodziły odgłosy wojenne. Trzaskały garnki i talerze (używane chyba jako pociski), sprzęty trzeszczały, jakby się wśród nich brano za bary, a piskliwy kobiecy głos wybijał się czasami z ogólnej wrzawy i hałasu:

— Tylko uważaj, Grodkovszky, bo i tak się dowiem, gdzie się lajdaczył. Czuję na twoim odzieniu jakieś niewieście pachnidła, ty łotrze. Nie wzywaj pana żupana na świadka, nie kłam, to taki sam gagatek jak i ty. Że niby za jego sprawami chodziłeś? Za jakimi sprawami, zaraz mi się przyznaj... Uważaj, bo ci te krowie oczy wydrapię.

— Wejdz sam, Macieju — powiedział Vlaszinko — ja się nie pokażę w tej tygrysiej jaskini, nawet gdyby mi ktoś zamek ofiarował.

Maciejowi też zabrakło odwagi, więc kręcił się przed wejściem, głodny i zmarznięty, i na przemian żałował to siebie, to nieszczęsnego kasztelana. My natomiast uważamy tę sytuację za normalną, gdyż zawsze, ilekroć wielcy panowie nawarzą piwa, spijać je muszą ich podwładni. Los zgotował imć panu Jánosowi głodówkę, a jego bratu wymówki za nią, teraz zaś Maciej zastąpił jednego a mości Grodkovszky drugiego. No cóż, tak było i chyba tak być musi.

Vlaszinko pożałował Macieja i po zmianie wartowników zabrał go do „Srebrnego Jelenia”, gdzie karczmarz za parę groszy podawał wspaniałą galaretkę z nówek i dobre wino. Maciej pogodził się z losem i tylko myśl o kudłatym kozuchu nie dawała mu spokoju. Na co był im potrzebny?

— Nie łam sobie głowy, bracie — pouczał go Vlaszinko. — Wielkie pany nie mają szybek wprawionych w głowę, żeby człek mógł zajrzeć do ich rozumu.

O ileż gorszą noc spędził imć pan Grodkovszky! Batalia trwała niemal do północy i ledwie ustała, inaczej mówiąc, ledwie zatrzymał się język małżonki i biedak zdołał przyłożyć głowę do poduszki, kiedy na dziedziniec komitackiego urzędu wpadł konny posłaniec i zaczął się dobijać do drzwi kasztelańskich.

Hałas obudził kasztelanową, która podjęła działania wojenne w miejscu, gdzie je przerwała. Imć pan Grodkovszky natomiast wsunął stopy w sukienne ciżmy i zbudził sługę, aby wyjrzała, kto się dobija i czego chce.

— List z Görgő — rozległ się głos z zewnątrz.

Sługa przyniosła list. Pismo było obce, zaadresowane do szlachetnie urodzonego mości Pana Mihály Grodkovskiego — do rąk własnych.

Szybko złamał pieczęć i przy kuchennym kaganku czytał:

„Życzliwy Przyjacielu nasz, Mości Panie Kasztelanie!

Wybacz mi Wmość, jeśli Ci nocny spokój zakłócę, ale wiedząc, jak szlachetną masz duszę i zarówno do człowieka, jak i bezdusznego zwierzęcia łaskawie się odnosisz, proszę Wmość Pana, byś zechciał na piętrze, w korytarzu, gdzie w więzieniu przebywał mój mąż, uwolnić z szafy nie wiadomo po co zamkniętego tam kota, który wyjść nie może; a że i kot jest stworzeniem boskim,

proszę, byś zaraz, mimo nocy, zechciał go uratować, jako że zapomniałam Wmość Panu Kasztelanowi na miejscu o tym rzec.

Datum: Görgő, Die Novembri 21

Niech łaska naszego Pana otacza Wmość Pana teraz i przez całe życie

Jánosowa Görgey, z d. Maria Jánoki

— Niech lichy porwie tego kota — zżymał się imć pan Grodkovszky drąc na tysiąc kawałków list, w którym znajdowały się wyrazy „więzienie” i „mój mąż”, bo przecież mógłby zdradzić tajemnicę. Mimo złości narzucił jednak kapotę i poszedł na piętro, aby wyzwolić kota z beznadziejnego położenia. Po drodze rozmyślał, jaki sens mają takie głupoty, ale cóż, przeróżne są niewiasty i nie wiadomo, która gorsza: czy taka żmija jak jego małżonka, czy też gołębnica o miękkim sercu, podobna do Jánosowej Görgey.

Rozdział czwarty

(MUŚNIĘCIE LOTEM JASKÓŁKI PEWNYCH SPRAW PUBLICZNYCH)

Cesarz Leopold nie był tak zwanym utalentowanym człowiekiem, tym niemniej jednym pismem potrafił wypędzić Thökölyego z Siedmiogrodu. Wystarczyła pięknie sformułowana odezwa o dobrotliwym brzmieniu, aby zwolennicy „kuruckiego króla” opuścili go. Tak jak w starej opowieści o szcurach i tonącym okręcie. Rozbiegli się, bo już nie było widoków na zwycięstwo, a odezwa cesarska obiecywała łaskę: „Zapewniamy wszystkim przebaczenie — chyba że zaistnieją szczególne okoliczności.”

Ten tekst nie zanadto się podobał imć panu Jánosowi Görgeyowi, tym bardziej że pewien zwolniony przez labanców w drodze wymiany jeniec powtórzył mu słowa Caraffy, wypowiedziane jeszcze latem (kiedy sprawa kuruców już niezbyt dobrze stała). O nim właśnie była mowa: miał się dokładnie przyjrzeć w lustrze własnej głowie, albowiem wkrótce się z nią rozstać.

Zrozumiał, że do niego stosuje się owo zastrzeżenie o „szczególnych okolicznościach”, toteż w przebraniu uciekł do domu jeszcze przed ostatecznym rozbiciem szeregów Thökölyego. Po drodze dowiedział się, że jego nazwisko faktycznie figuruje na liście tych, którzy mają „być usunięci”. Usunięcie zaś oznaczało albo lochy jakiegoś obronnego zamku, albo też pewną bardzo daleką krainę, obiecywaną przez duchownych, do której, co prawda, każdy chce się kiedyś dostać, ale nie zaraz i nie za sprawą cesarza.

Żupan zrozumiał położenie brata i zdał sobie sprawę, jakimi konsekwencjami groził jego nieprzemyślany postępek (przecież nawet śmierć głodowa nie była wykluczona), nie mówiąc o tym, że w czasie przewożenia więźnia z Toporca przez hajduków ktoś go mógł poznać albo że imć pan Grodkovszky może się wygadać — i ogarnęło go przerażenie, a dusza się w nim załamała. Złamane ciało powierza się felczerowi, dusza natomiast szuka pociechy u Boga. Zatopił się w pobożnych rozważaniach. Dlaczego się to wszystko stało? Bo był tak małoduszny, że uwierzył w podejrzenie, które wydawało się niezbite. Los natomiast tak dziwnie pomieszał jego interwencyjne kroki, że wyłoniły się poważne niebezpieczeństwa. Czyż jednak nie dzieje się to w jakimś celu, za sprawą boskiej siły? Czy tych wydarzeń nie snuje ręka przeznaczenia? A może jest to ostrzeżenie wypowiedziane przez Opatrzność? „Bacz, Görgey, bo przecież żywisz

jeszcze jedno podejrzenie, sam zaś widzisz, do czego to prowadzi. Odrzuć więc i tamto!”

Odczuł to niczym rozkaz z samego nieba. Kiedy się więc znaleźli w domu i goście zostali umieszczeni w nie zamieszkanym skrzydle zamku, do którego tylko Marjákowa miała mieć dostęp, sam udał się do komnaty zmarłej małżonki, gdzie wszystko pozostawiono w takim stanie jak w chwili jej śmierci. Stał przed olejnym konterfektem małżonki i uroczyście wyrzekł... a może nie wyrzekł, tylko pomyślał te słowa:

— Widzisz, Karolino, co mi się przytrafiło? Jestem ogromnie nieszczęśliwy. Nie wiem, czy nasza dziewczeczka jest przy tobie, czy tutaj. Ale już nie chcę się dowiedzieć. Przyjmuję, że jest tutaj, i wychowam ją. Na pewno jest tutaj. Nie gniewaj się za to na mnie. Wyrzucam z serca podejrzenia właśnie teraz, przed tobą, tak jak zdrowe ciało wydała z siebie zadrę. Tak mi dopomóż Bóg.

Zrobiło mu się lżej na sercu, poczuł się jakby nowym człowiekiem.

Wiedząc, że okazał się niesprawiedliwym wobec brata i jego żony, nosił się z myślą, że powinien w jakiś sposób zrównoważyć to braterskim dobrym uczynkiem. (Jako się rzekło, w głębi duszy był to człek dobry z kośćcami.) Niemal życzył sobie, by ludzie cesarscy zjawili się po Jánosa, a on by go nie wydał, pasy by dał z przysyłanych zbirów, a bratu dopomógłby schronić się w Polsce. Już by on pokazał, co w nim tkwi, choćby miał to życiem przyplacić.

Do tego wszystkiego jednak nie nadarzyła się sposobność, gdyż już po trzech dniach pobytu braterstwa w Görgö (co za przepyszne obiady gotowała w tym czasie Marjákowa!) zjawił się umyślny od szwagra Darvasa, który próżno pojechał był do jejmość pani Jánosowej do Toporca. Nie zastał jej, wobec czego tutaj przywiózł pieczęcią podbity glejt cesarski.

Jejmość pani Jánosowa szalała z radości, natomiast imć pan János, który kilka razy dokładnie przeczytał tekst pisma, żeby sprawdzić, gdzie jest ukryty haczyk, z chłodnym spokojem przyjął do wiadomości ofiarowaną mu wolność.

— Co za szczęście! A ty, mości panie małżonku, nawet się nie cieszysz! — robiła mu wymówki.

— Istotnie to szczęście — odpowiedział smętnie — ale to tak, jakby ktoś z połamanymi żebrami został rzucony na trawę, znalazł w niej czterolistną koniczynkę i powiedział: Co za szczęście!

— W każdym razie lepiej tak, niż gdyby tego papieru nie było.

— Czy ja wiem — odpowiedział pełen zadumy. — Dotychczas byłem ukrywającym się kurucem, ale przynajmniej wiedziałem, czym jestem; nawet szczuty wilk może przywyknąć do tego stanu. Natomiast od dzisiejszego dnia...

— No, co będzie?...

— Będę wolnym węgierskim szlachcicem, ale nie wiem jakim, i obawiam się, że nie zdołam się z tym pogodzić. Poprzedni stan był bowiem prawdziwy, ten zaś nie.

— Cóż więc zamierzasz uczynić? — zapytał Pál.

— Na razie nic. Tyle że ściągnę z siebie przebranie młynarza. Pożycz mi jakiś odpowiedni strój.

— Co to, to nie. Nie zgadzam się — sprzeciwiła się pani Jánosowa. — W tym odzieniu pojedziesz do domu. Niech się służba przekona, kto był moim kawalerem z młyna.

— Jejmość bratowa ma rację, ubrania więc nie dostaniesz, ale dam ci za to jedną radę: żebyś się na przyszłość w takie sprawy nie mieszał, bo dzban tak długo wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

— Dobrze mówisz, mości szwagrze — poparła żupana małżonka Jánosa. Prosto z serca wyjąłeś mi te słowa.

— Ten naród nie ma w sobie wytrwałości — mówił dalej Pál. — Można z nim rozpocząć

wielkie rzeczy, ale nie można ich dokończyć. To bezowocne wysiłki.

— Zdaję sobie z tego sprawę — westchnął pan János, w każdym wypowiedzianym słowie czuło się gorycz. — Już straciłem mleczne zęby, możecie się o mnie nie obawiać. Wołami mnie teraz nie wyciągnie z naszego zamku.

— No, no, nie zarzekaj się — odparł żupan. — Zaraz ci na to odpowiem.

Poszedł do swojej kancelarii i dopiero po kwadransie powrócił z pismem, które podał bratu. Ten zaczął czytać trzymając papier na odległość wyciągniętego ramienia, co było dowodem, że wzrok mu już osłabł.

— Ależ to jest adresowane do hrabiego Csáky, nadżupana, a nie do mnie. O co chodzi?

— To moja rezygnacja ze stanowiska żupana. Przyjechałeś, zwracam ci władzę. Od ciebie ją dostałem, ale byłem tylko zastępcą, tobie się należy.

Pan János przebiegł wzrokiem pismo, potem podarł je na drobne kawałki.

— Dziękuję ci, mości bracie, ale nie będę się już wtrącał w żadne sprawy obecnego świata. Tego by brakowało, żebym dopomagał w ściąganiu podatków, odbieraniu luteranom ich zborów i tak dalej. Spokojnie będę sobie żył w Toporcu. *Punctum*.

Pani Maria serdecznym ruchem oparła głowę na jego ramieniu.

— Niech ci Bóg błogosławi, mości panie mężu, w tych zamiarach, amen — powiedziała łagodnie, ale z naciskiem.

— Ale co będziesz robił w Toporcu? — dopytywał się Pál.

— Będę sadził drzewa.

— To jeden dzień w roku.

— Będę je obierał z robactwa.

— Znowu kilka dni, ale przez trzysta dni w roku nie będziesz miał co robić. Czym je zapełnisz?

— No cóż, będę czekał, póki dzieciak nie urośnie — odparł melancholijnie.

— Rzeczywiście szybko rośnie — wtrąciła żona. — Zapomniałam powiedzieć, że w ubiegły piątek dostałam list właśnie tego dnia, kiedy mości pana męża porwano.

— List? — zdumiał się pan János. — O jakim dziecku mówisz?

— No, o Gyurce. Pisz, że wyrósł z obu dolmanów. Dobrze będzie, jak po drodze w Lewoczy kupimy sztuczkę sukna, tam zawsze jest taniej niż w Kieżmarku.

— Pewnie, pewnie — potwierdził z ojcowskim rozrzewnieniem. — Zawsze myślisz o Gyurim. Doprawdy głupiec ze mnie. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

— Wobec tego, mości małżonku, o jakim dziecku myślałeś?

Oczy imć pana Jánosa rozbłysły.

— Przecież o pasierbie Thökölyego, o małym Rakoczym.

Pál Görgey ukradkiem zerknął na bratową. Wymienili spojrzenia.

— Niepoprawny — mruknął przez zęby.

Chociaż pan János tego nie okazywał, to jednak cieszył się z cesarskiego glejtu i już nie mógł usiedzieć na miejscu. W domu z pewnością czekają nań setki spraw do załatwienia. (Ejże, ejże!, kiwał głową żupan. A jakbyś musiał tu całą zimę przesiedzieć?) Jejmość także chciała wracać do domu, oboje wynajdywali setki powodów, żeby nie zwlekać z wyjazdem. Ostatecznie puścili się w drogę zaraz po obiedzie.

Kiedy już siedzieli w karecie, żupan jeszcze raz powtórzył poprzednią propozycję:

— Zastanów się, mości panie bracie, nad tym, co poprzednio mówiłem. Gdybyś zechciał zasiąść na żupańskim stolcu, rzeknij tylko słowo.

— Ejże, do licha z tym gadaniem. — W głosie imć pana Jánosa pod udawanym gniewem brzmiało rozrzewnienie. — Nie oddawaj tego, co ci dałem, ale oddaj, coś zabrał, jeżeli nam

dobrze życzysz.

— Cóż takiego?

— Naszą małą Rozalkę. Ale o tym jeszcze pomówimy.

— Waszą Rozalkę? — wyjąkał żupan ze zmarszczonym czołem, a serce aż mu się ścisnęło.

Kareta ruszyła i wyjechała za bramę. Pál Görgey zaś pozostał jak skamieniały na podworcu z kołpakiem w garści, bo go zdjął na pożegnanie odjeżdżających, a potem zapomniał nakryć głowę, chociaż mróz porządnie szczypał.

— A więc jednak...

Huknął się pięścią w głowę. Przypomniały mu się własne słowa: „Odrzucę z duszy podejrzenie, jak zdrowe ciało wydała ułamany kolec.” Czy jednak dusza... (chora dusza!) odrzuci to, co odrzuca zdrowe ciało?

Po tych wydarzeniach bracia rzadko się spotykali. Imć pan János nie zjawiał się nawet na komitackich sejmikach, tylko w domu wypytywał, co słychać w polityce. Gazet jeszcze wówczas nie było, ale sąsiedzi z okolicy przynosili wiadomości.

Atoli niewiele było w nich wesela. Po klęsce i opuszczeniu budańskiego zamku turecki półksiężyc opadł z sił. Chrześcijanie szaleli z radości. Byli głupi. Przecież w tym kraju, najniebezpieczniejszym pośród wszystkich krajów, jedynym oparciem był wróg. (Coś podobnego może się tylko Węgrom przydarzyć.)

Po wypędzeniu Turków z Budy sami się przerazili: Co się teraz z nami stanie, kiedy Turków już nie ma?

Wiedeń tylko dlatego łagodnie obchodził się z Węgrami, że mogli się chwycić tureckiego kaftana, a Turek zawsze był gotów dokuczyć Niemcom, gdy się tylko trafiała sposobność. No cóż, Turek był w naszej polityce tak samo niezbędny jak sól w gospodarstwie.

Gdybyż to tylko Turka zabrakło! (Chociaż, jako się rzekło, bardzo był krajowi potrzebny.) Jeszcze imć pan János nie zagrzebał dobrze miejsca w domu, a zaczęto gadać, że cesarz się ociąga z zatwierdzeniem syna Apafiego na księcia Siedmiogrodu. Podobno tak się wyraził: „Na co Siedmiogrodowi taki lekkoduch?”

To znaczy, że teraz już nie będzie „małej ojczyzny”, do której Węgrzy mogli się schronić, kiedy ta większa zanadto się ścieśniła, i skąd można było w razie potrzeby ruszyć do przeciwnatarcia. Bóg, który nas pokarał austriackim cesarzem, dał nam jako przeciwwagę wiecznie niespokojne siedmiogrodzkie królestwa. A teraz nawet i tego nie będzie. Leopold wie, co czyni. Ale co my będziemy teraz robili, tego nikt nie wie.

Niejeden gorącokrwisty szlachcic (szczególnie z okolic Kieżmarka) wierzył jeszcze w nawrót szczęścia Thökölyego. Oj, oj, szczęście to nie kapusta, którą można odgrzewać. Imć pan Thököly jest teraz jak wyciśnięta cytryna, która nikogo nie obchodzi.

Skłócone mocarstwa podpisały w Karłowcach pokój, podzieliły wszystko, co się dało, ale o Thökölym nie było tam ani słowa. Potężny Maurocordato, którego Thököly prosił o poparcie z uwagi na swe dawniejsze wobec niego zasługi, odpowiedział:

„Nad przeszłością, wasza miłość, nie medytuj, o dzień dzisiejszy dbaj sam, a co do przyszłości, to zdaj się na wolę boską.”

Te słowa docierały do krytych gontem szlacheckich dworców i do zamków z obronnymi wieżami. Co za bezczelność! (Chyba imć pan Maurocordato musiał wciąż mieć czkawkę.)

— Powiedział to do Thökölyego — powtarzano smętnie — ale po prawdzie słowa te odnoszą się do nieszczęsnych Węgrów, do każdego z nas.

I tak z dnia na dzień kraj coraz dotkliwiej odczuwał swą sierocą dolę.

Konstytucję niby miał, tylko że jej nie przestrzegano. Miał także palatyna, którego zadaniem było pośredniczyć między narodem i panującym, ale palatyn milczał wtedy, kiedy powinien

rozmawiać z narodem, a panujący go nie słuchał, kiedy do niego się zwracał. Naród miał także parlament, tylko że w Wiedniu zapadały postanowienia bez pytania o jego zdanie. Och, biedny parlament! Nie mógł działać więcej niż kukiełka: jak się ją nakręci, to płacze.

W Wiedniu Kolonich ustalił program: „Ma to być kraj niewolników, żebraków, a potem niech się stanie krajem katolickim.” Wiedeń nie był pedantyczny, nie upierał się przy kolejności, byle program został wykonany. Chętnie więc najpierw z protestantów robił katolików, a następnie żebraków lub niewolników.

Niewątpliwie w najgorszym położeniu znajdowali się protestanci. Miał się imć pan János Görgey nad czym zżymać. Do niego, jako do głównego patrona, dzień w dzień napływały skargi, że coraz to gdzieś odbierano luteranom jakiś zbór. Co prawda, i katolicy nie mieli słodkiego życia, chociaż im przekazywano te zbory. Przecież kościołem nie można posmarować chleba! Poza tym odbierano im parafie, biskupstwa, opactwa, kanonie i co tłusciejsze probostwa, które obsadzano obcymi duchownymi, nie Węgrami. Wokół Burgu niczym stado wron krążyli i krakali karierowicze, protegowani jezuitów, których trzeba było osadzić na Węgrzech.

W wojsku, któremu nie wypłacano jak należy żołdu, zanikła wszelka dyscyplina. Żołdacy włóczyli się bandami po kraju stając się postrachem ludności. Ci tylko w jednym punkcie realizowali program Kolonicha: „Mieszkańców Węgier uczynić żebrakami” — grabili wszystkich bez względu na wyznanie.

Dwór nałożył nowe daniny na komitaty i szlachtę nie pytając parlamentu. Na to już i palatyn zasyczał, ale mu zatknano usta książęcym tytułem.

Odgórnje sugerowano trybunałom, że u dworu dobrze będzie widziane, jeśli czynione będą pewne różnice zależnie od wyznania i politycznych poglądów stron. Wynik był taki, że protestanci mogli wygrać proces tylko przekupiwszy sędziego. Ale jeśli dobrze go przekupili, to wygrywali nawet wówczas, kiedy słusność nie była po ich stronie; z tego zaś wynikało, że katolicy również musieli przekupywać sędziów, jeśli chcieli przeprowadzić własną słuszną sprawę.

Tak to węgierski firmament zaciemniał się coraz bardziej. Chmury, nowe chmury, same chmury. Z chmur rodzą się zwykle pioruny. Z tych jednak spływała tylko wilgoć: łyż całego narodu. I lud, i szlachta byli przepelnieni goryczą, jedni tylko magnaci przyjmowali wszystko obojętnie.

Władza zaś pozwalała sobie na coraz nowe bezprawia. Okręg jaszkuński oddano w lenno jakiemuś niemieckiemu zakonowi rycerskiemu. Podobnie oddano w zastaw nadmorskie włości Frangepánów. Na to już i magnaci się obruszyli. Ależ to hańba! Przecież takie bezpańskie ziemie powinny być nadawane znamienitym rodom, a nie oddawane w zastaw. Czy takie rzeczy są dopuszczalne? Przodkowie jego cesarskiej mości, jeśli komuś kazali ściąć głowę, to przynajmniej z korzyścią dla nas, wielkich panów, a nie dla siebie czy dla skarbu. Nie, tego doprawdy nie można znieść.

Wypadki naruszenia prawa można by wyliczać w nieskończoność, ale dla autora tej książki były one przedmiotem zainteresowania dotąd, dopóki nie wzbudziły gniewu wielkich panów. (Spośród których wielu marzyło o tym, żeby w obrębie swych włości łowić ryby w zatoce Quarnero.)

Jednym słowem, puchar się dopełnił i wystarczyłaby jedna kropla, żeby się przelał. W okolicy, gdzie rozgrywa się nasza opowieść, János Görgey był wyrocznią dla gorąckrwistej szlachty, ale on ludzi raczej uspokajał, niż podburzał.

— Czekajcie, hamujcie się, przecież chłopiec ma zaledwie szesnaście lat.

Przy każdym nowym nadużyciu ze strony władzy tylko to się liczyło: „Teraz wchodzi w siedemnasty rok życia. Teraz już skończył osiemnaście... czekajcie, bądźcie cierpliwi.”

Działo się coś dziwnego, o czym na tej planecie jeszcze nie słyszano: oczy wszystkich Madziarów z miłością spoglądały w stronę Wiednia, niczym oczy muzułmanów w stronę Mekki. Stamtąd nadciągały chmury, a teraz oczekiwano błyskawicy. Z piekła miał nadejść Mesjasz.

Na gankach szlacheckich dworów snuto marzenia. Jak on może teraz wyglądać? O, to już spory chłopaczek. Oczy ma czarne czy też niebieskie? Iluż starych, poważnych sędziów trybunału apelacyjnego rozprawiało o tym! Czy podobny jest do matki, czy do ojca? Oby do matki był podobny! Co też może robić w tej chwili? Może gdzieś galopuje w okolicach Wiednia, ściąga swego nieokiełznanego rumaka, ubrany w dolman ze złotego brokatu, żółte safianowe buty i kołpak z sokolim piórem... i może myśli o swej ojczyźnie?

A starzy... tak, starzy! O nich też bajają w kraju. Żyją gdzieś daleko, za morzami, w Nikodemii. Nawet ptak stamtąd nie przylatuje. W jakiś sposób dochodzą jednak wieści. Thökölyego męczy podagra, zaś włosy księżnej pani gęsto przyprószyła siwizna, ale wciąż jeszcze jest piękna. Oni, którym mało było dziesięciu warownych zamków, mieszkają teraz w małej willi na Cziczek Majdanie i tam pędzą ciche spokojne życie. Każdy węgierski szlachcic zna nazwę Cziczek Majdan, tak jakby to był folwark w jego własnych włościach. Po turecku to: „Kwiecista łąka”. Kwiecista to ona może i jest, czemu nie, tylko że kwitną na niej jakieś azjatyckie kwiaty, nie ma tam ani pelargonii, ani rozmarynu.

Czy mają jeszcze nadzieję? O, z pewnością. Oni też czekają na to, by chłopiec dorósł. Księżę nawet kiedyś powiedział do pewnego handlarza win z Lubowli, który w tamte strony zajechał, że srebrne wesele obchodzić będą w Munkaczu. (No, jak się będzie to wesele odbywać, to i ja sobie zdrowo popiję — obiecuje z reguły każdy stary Węgier.)

Niestety wiele złudzeń rozwił księżę Mihály Apafi, którego chyba czart ściągnął na Spisz, a właściwie nie czart, tylko imć pan Samuel Rolly zaprosił go na łowy, aby prześcignąć swego rywala Pétera Luzsenskiego. Trzeba bowiem wiedzieć, że w polowaniach Luzsenskiego brał udział pewien hrabia, tak że na obiadach i kolacjach trzeba było występować w czarnych strojach. Cierpiący na manię wielkości Rolly postanowił go przelicytować i będąc w Wiedniu złowił sobie księcia (teraz Luzsenszky do czarnego stroju może nawet czarną koszulę włożyć). Ów księżę to nie kto inny, tylko syn poczciwego starego Mihálya Apafiego, Mihály II Apafi, którego cesarz ściągnął do Wiednia, nadał mu tytuł księcia i z dobrym skutkiem wychował na nicponia. Jeżeli, jak to powiedział Teleki, jego ojciec był tylko półczłowiekiem (choć biedny Siedmiogród nawet i tej połowy nie widział), to syn jest całym człowiekiem. Ojciec bowiem pił dopiero po południu, tak że tylko przez pół dnia był niepoczytalny, syn zaś już od rana chodził całkiem pijany; jego moralność także wiele pozostawiała do życzenia, był właściwie zupełnym wykolejencem.

Ze dwa tygodnie przesiedział u Rollych, aż go wszyscy mieli dość. Od niego i towarzyszących mu wiedeńskich hulaków przesączyły się po raz pierwszy na Spisz wiadomości, że opiekun małego Rakoczego, Kolonich, przeznaczył chłopca do stanu duchownego. Ponadto na światło dzienne wyszły różne szczegóły o skłonnościach, nawykach i zachowaniu młodzieńca, które zachwiały pokładanymi w nim nadziejami.

Tylko János Görgey nie odstąpił na jotę od swej wiary.

— Co niemożliwe, to niemożliwe. Jego ojcem był Ferenc Rakoczy, jego ojczymem jest Imre Thököly, a matką Ilona Zrinyi. Wykluczone, aby wino z takiej winorośli nie było dobre. Natura nie popełnia podobnych szaleństw.

— Nie przeczę, bracie dobrodzieju — dowodził Adam Szentiványi — czyś jednak nie widział dobrego wina, które w beczce się popsouło? Przeszło beczką i nie dało się pić?

Imć pan János kręcił głową, jakby mu coś szyję ugniatało.

— Hm, tego... powiadasz, panie bracie, że beczka...

— Może jesteś zdania, mości panie bracie, że Wiedeń to taka czysta beczka, w której moszcz nie ulegnie zepsuciu?

— No, no — odpowiedział pan János i zadumał się.

Trudno wiedzieć, co znaczyło owo „no, no”. Jedno jest pewne, że mimo wszystko nie poddał się. Którejś następnej wiosny imć pan Gábor Semsey miał jakieś sprawy do załatwienia w Wiedniu. Był starym przyjacielem i towarzyszem broni Jánosa Görgeya, we wszystkim podzielał jego zdanie. Dzięki pomocy dobrze widzianych u dworu krewnych Semsey dotarł jakoś do młodego księcia Rakoczego i przyjrzał mu się uważnie, badając go wzrokiem, któremu dodawały ostrości ukryte w duszy pragnienia, wzrokiem, który wie, w jakim celu obserwuje młodzieńca.

Wracając z Wiednia mimo nocnej pory zajechał do Toporca, zastukał do pałacowego okna, a kiedy pan János wystawił głowę, żeby zobaczyć, kto się tak dobija, smutnym głosem powiedział tylko tyle:

— Widziałem młodego człowieka. Rozmawiałem z nim. Nie nadaje się.

Ale dla Jánosa Görgeya i to nie miało znaczenia. Jego upór nie znał granic. Do wnętrza jego mocnej, grubej czaszki nie było żadnego dojścia. W dalszym ciągu na każdą wiadomość o naruszeniu praw Węgrów zgrzytał tylko zębami i sam siebie pocieszał: E, to wszystko nic. Chłopiec ma już dwudziesty rok. W marcu zacznie dwudziesty pierwszy...

Tymczasem coraz gęściej spadały na kraj ciosy i lata mijały swoim zwykłym rytmem. W kraju z roku na rok rosło niezadowolenie, ale rósł także Ferenc Rakoczy.

Rozdział piąty

(SASKA PRZEBIEGŁOŚĆ)

Od czasu gdy Galileusz stwierdził, że ziemia się porusza, można ją nawet bez poetyckiej fantazji uważać za żywe stworzenie. Odpowiada to w każdym razie ogólnemu prawu, że to, co się rusza — żyje. I rzeczywiście, ziemia przedstawia się jak wielogarbny wielbłąd, po którym uwija się bilionowa rzesza pasożytów: ludzie, zwierzęta, płazy, owady itp. To tylko zwodniczy pozór, że ziemia nie żyje! Czyż bowiem z martwego może wyrastać coś żywego? Ziemia przekształca się, zmienia, poci i drga (podczas trzęsień ziemi), śpi (zimą), huczy (wulkany), żywi się i karmi wszystkie stworzenia, podobnie jak każda matka (jej pokarmem jest to, co pozostaje po roślinach i zwierzętach, ona zaś z siebie wydaje ich pożywienie). Odpoczynek pomnaża jej siły, podobnie jak każdego żywego stworzenia, a ciągła praca ją osłabia; mimo to nie może nam się w głowie pomieścić, że żyje. A przecież tylko w jednym różni się od innych żywych stworzeń: nie ma towarzysza, nie ma swego samca, nie rozmnaża się, wciąż samotnie obraca się wokół słońca.

I właśnie dlatego jest cenna, że się nie rozmnaża. Dlatego każdy człowiek kocha w niej tę odrobinę, którą posiada (im więcej ma, tym bardziej kocha). Ludzie przywłaszczają sobie poszczególne części wielkiej Matki-Ziemi, ci są najbardziej samolubni i chciwi, pocziwe zaś i dobre ludzkie stworzenia pozostawiają ją w całości, jako wspólną własność, i wszyscy żyją zgodnie obok siebie. Ludzie są perwersyjni nawet w miłości do ziemi. Niedźwiedź kocha puszcę, kozica skaliste górskie szczyty, dzika kaczka wody i moczary, żuraw i drop równiny, człowiek natomiast jest nienasycony, nie zadowala się jakąś częścią czy skrawkiem olbrzymiego cielska ziemi, chce posiadać wszystko, i tę najświętszą matkę ocenia według korzyści, które z niej

ciągnie, i według tego, co mu dyktuje chciwość.

Przyjrzyjmy się naszym przodkom. Z początku szukali tylko garbów, to jest gór, na których budowali zamczyska zapewniające im bezpieczeństwo. Potem przenieśli wzrok na doliny, gdzie zieleniły się bujne pastwiska i szumiały rzeki pełne ryb. Potem nastał okres uwielbiana złotych kłosów. Wreszcie chęć posiadania skierowała się na bezbrzeżną równinę, na naszą Wielką Nizinę, na mlekiem i miodem płynącą krainę Kanaan. Znalazły się plony cenniejsze od złocistego kłosa. Ho ho, cenne jest to, co ziemia sama z siebie wydaje: rzepak, pszenica i inne rośliny, ale o ileż cenniejsze jest to, co w sobie kryje, co siłą trzeba jej wydzierać, jak na przykład węgiel kamienny. I znowu chęć posiadania skierowała się ku wyżynom. I tak nieustannie wędruje to tu, to tam, nigdzie nie może zagrzać miejsca.

W czasie kiedy rozgrywają się opisywane tu wydarzenia, nikogo specjalnie nie pociągały tereny Wielkiej Niziny. Czarnoziem Bácski i Békésu nie zakłócał snu tym, co trudnili się rolnictwem, i posiadaczom ziemskich włości. Wielka Nizina Węgierska była na ogromnych przestrzeniach pokryta bagnami i moczarami wydzielającymi trujące opary, od których niejeden obcy podróżny zmarł na tyfus. W zagranicznych zapiskach nazywano tę część kraju „przedsionkiem cmentarnym”. Z najeżdżczych wojsk, które się wtedy zapuszczały w głąb kraju, pozostawała u końca drogi zaledwie jedna trzecia. Toteż nieprzyjaciel nie śmiał się tu wdzierać. Niezdrowe miazmaty stanowiły wielkie zagrożenie dla wojska. Włoski uczyony La Cattori pisał jako świadek naoczny: „Trudno byłoby ten kraj zawojować, gdyż nikt, komu życie miłe nie ma odwagi zapuścić się do jego środka; Węgrzy natomiast w przedziwny sposób nie giną od tego trującego powietrza, ale i oni trzymają pod językiem czosnek, ilekroć przemierzają niezdrowe okolice.”

To było powodem, dlaczego ówczesni rolnicy nie wspominali okolic Torontálu, kiedy chcieli przytoczyć jakiś piękny przykład, lecz mówili o łąkach w sąsiedztwie Rimaszombatu, gdzie trzy razy do roku kosi się siano, a głowy kapusty są wielkie jak szkopek. Mówiło się o tłustych glebach w komitacie Nitra. O winoroślach tokajskich krążyły w całym kraju legendy. W Heves ziemia rodziła wspaniałe melony. Ale to wszystko nic w porównaniu z okolicami Lewoczy. Tutaj bowiem rósł największy i najlepszy w świecie groch. Z zagonu nie większego od chustki do nosa tutejszy Sas potrafił zebrać majątek. To dopiero ziemia! Dobrze byłoby mieć tu tyle gruntu, ile człek o zdrowych nogach potrafi obejść przez pół dnia. Może nawet wystarczyłoby tyle, ile obejdzie chromy?

Groch był potężnym panem. Pierwsza roślina wśród motylkowych. Dla biednej ludności Górnych Węgier był tym czym ryż dla Chińczyków. Jeśli winobranie się nie udało albo był słaby urodzaj na pszenicę, można to było czymś zastąpić, chleb owsiany też da się jeść, a śliwownicą nikt nie pogardzi — ale co innego groch. Groch musi być, bez grochu na tym padole biedak nie miałby żadnej radości. Rzecz jasna, dzisiaj jest już inaczej, moc przemijającego czasu i z tą potęgą sobie poradziła. Wkrótce rozpowszechniły się ziemniaki. Ziemniak stał się jeszcze większym potentatem i zepchnął groch do rzędu mało znaczących wymoczków. Dzisiaj jego wysokość groch znaczy najwyżej tyle co pospolita gryka.

Nic dziwnego, że w owej złotej erze grochu w Lewoczy panował powszechny głód ziemi. Mieszczanin, który nie posiadał w okolicy uprawnych gruntów, był uważany za nic, choćby miał w skrzyniach stopy złota i srebra. Dlatego od pradawnych czasów dążeniem władz miejskich było zdobywanie dla Lewoczy jak najrozleglejszych wolnych gruntów. Starano się powiększyć włości miejskie jak się dało, a nawet jak się nie dało. O tym śniły, tego pożądały jedne pokolenia po drugich. Ziemię zaś trudno było zdobyć, gdyż wszędzie dokoła ciągnęły się posiadłości wielkich panów. Można by ją od nich wyprosić, ale w zamian za jakieś serwituty, a to byłoby rzeczą poniżającą dla dumnych lewoczańskich mieszczan; od królów bowiem wymusili już tyle

przywilejów, że mały Károly Kramler, obecny burmistrz, podczas posiedzenia rady miejskiej wyskoczył ze stwierdzeniem (widocznie pyszałkowate słowa, które wypowiadał Król Słońce, zaraziły całą Europę), wiernie odmalowującym lewoczańską pychę. Powiedział bowiem w swej oracji: „Tuż po weneckiej szlachcie idą mieszkańcy Lewoczy, jeśli patrzeć na ich pozycję w świecie.” Niech to pozostanie między nami, ale te słowa były kamieniem obrazy dla miejscowej szlachty, toteż na najbliższym sejmiku komitackim imć pan żupan Pál Görgey odpowiednio zaripostował słowami: „Jak może pchła kichać, skoro nie ma płuc?”

W małym garnku woda szybciej wre. Burmistrz wpadł w gniew i przez miejskiego hajduka przekazał żupanowi odpowiedź w tym rodzaju: „Psia skóra to też nie płuca, a siedem śliw nie stanowi lasu.” Zrozumiawszy to Pál Görgey kazał wymierzyć hajdukowi na komitackim dziedzińcu dwadzieścia cztery kije.

Przemijające stulecie, zwane siedemnastym, pozostawiło obu szacownych mężów w przyjaźni takiej, jaka łączy psa z kotem, i ten stan utrzymał się, gdy przyszło następne, nowe stulecie. Ponieważ jednak miniony wiek pozostawił po sobie wiele nie uporządkowanych problemów, ta drobna sprawa nikomu nie rzucała się w oczy. W sylwestrowy wieczór tak samo radowano się w Lewoczy jak i w żupańskim dworze, jakby wszystko na świecie było najdoskonalej urządzone, a ludziom brakowało najwyżej niebieskich migdałów do przybrania stołów.

Ci, którzy z rana wstali albo i nie wstali, jako że wstać może tylko ten, kto się położył, ujrzeni świat pięknie w biel przybrany, miast wczorajszego szarego. Widocznie śnieg sypał przez całą noc. Tak więc przynależni do stanu szlacheckiego, kiedy udało im się uniknąć pierwszych noworocznych życzeń od niewiasty, a potem wysłuchali kazania wielebnego księdza Podolincziego (trzeba przyznać, że pięknie mówił!), wreszcie w południe zjedli tradycyjnego pieczonego prosiaka, nieodszownie — jeśli kochali łowy albo chociaż dla samego ruchu — wybrali się ze strzelbą w pola, żeby wykorzystać niespodziewaną przewagę nad zwierzyną, jaką im ofiarowała przyroda.

Szczególnie na zające spada w taki dzień straszliwe nieszczęście, wręcz wyraźna niesprawiedliwość. Opatrzność obdarzyła je bowiem sierścią o barwie ziemi, aby mogły przycupnąć i stać się niewidoczne. To się nazywa prawem mimikry. Boskie zrządzenie mające na celu ochronę zające. I oto proszę, jak przyroda obchodzi ten zajęczy przywilej! Nie może im odebrać szarej barwy sierści, więc ziemię przybiera w śnieżną biel. Przez to biedny zając staje się z daleka widocznym celem. Czy to jest w porządku? Czy to sprawiedliwe? Oto przykład, że prawa boskie nie tylko tu na dole są naruszane, ale ignorowanie ich zaczyna się już tam, w górze!

Gdybyż bieda polegała tylko na nowej szacie ziemi! Jeszcze gorsze jest to, że kiedy biedny zając ucieka, to skokami znaczy na śniegu koronkowy ślad, i myśliwy może za nim iść na pewniaka. Ten szlaczek odcisnięty na olbrzymiej białej płachcie jest jak sznurek, przy końcu którego musi się znajdować zając.

Żupan nie lubił hałaśliwych łowów, jego żywiołem było nie tyle zabijanie zwierzyny, co wałęsanie się po polach i lasach. Bliskość przyrody działała na niego odświeżająco, uspokajała nerwy. Było to dla niego czymś takim, jak dla ludzi pobożnych przebywanie w kościele. Jeszcze bardziej: było to jak miłość do jedynej osoby, z którą się chce przebywać we dwoje, bo tylko w cztery oczy można się zachwycać jej wdziękami, podziwiać ją w całej krasie, bez żadnej osłony.

Teraz też, ledwie minęło południe, wciągnął juchtowe buty z cholewami i ruszył na pola. Poszli z nim także dwaj hajducy Preszton i Pista Kovács, każdy objuczony nabitą strzelbą. Kovács niósł strzelbę nabitą kulą, na wypadek gdyby nawinął się jakiś gruby zwierz — jako że w okolicy grasowało masę wilków i dzików — Preszton natomiast miał nabój tylko na zające czy kuropatwy, aby jego wielmożność mógł oddać dwa strzały pod rząd, gdyż podwójna lufa w

owych czasach jeszcze nie była wynaleziona. Były to strzelby najnowszej konstrukcji, skałkowe. Lont bowiem był już przestarzałym sposobem zapalania prochu, teraz uderzenie krzemienia w stalową płytkę wywoływało iskrę, która zapalała proch. Uzupełnieniem towarzystwa był ulubiony wyżeł żupana, Fityke.

Poszli najpierw polną drogą wiodącą do Haricski, ale przy osadzie węglarzy skręcili ku gruntom należącym do Lewoczy, przechodząc obok Nahore i Jazarecu. Ślady w śniegu co prawda były, ale zwierzyny nie dostrzegli. Dokładnie można było rozpoznać, że tędy kicał zając, tam zaś były ślady wilka i jelenia, a Preszton nawet przysięgał na różne różności, że w jednym miejscu były ślady niedźwiedziich łap, ale nie warto za nimi iść, bo kierują się na szczyt Tarlika, a tam wydeptaną ścieżkę przysypał śnieg i człowiek się pod górę nie wdrapie. Podczas gdy hajducy sobie gadali, Fityke obojętnie kłusował przy swym panu, co znaczyło, że nie wyczuwa w pobliżu żadnej zwierzyny.

Żupan był niezadowolony, w pewnej chwili powiedział.

— Coś mi się zdaje, że dziś nawet nie wystrzelę. A przecież mamy dzień noworoczny i jeśli niczego nie upoluję, to przez cały rok nie będę miał szczęścia w łowach.

W tej samej chwili z lasu Nahore wysunął się królewskiej postawy jeleni o wspaniałej koronie. Fityke pobiegł w jego kierunku, po czym odwrócił się wpatrzony w swego pana, jakby mu dawał znak mądrymi brązowymi oczami. Zwierzę było daleko, poza zasięgiem strzału, i wielkimi skokami, jak zając, zmierzało prosto na kępę leśną zwaną Klokocs. Lasek ten zajmował nie więcej niż dziesięć mórg powierzchni, leżał pośrodku ornych pól, niczym brodawka na gładkim licu. Młode drzewa i krzaki tworzyły tam gąszcz, wymarzone miejsce dla bażantów, ale nie dla rogaczy. Jak ten jeleni będzie się tam poruszał?

Görgey szybko zamienił strzelbę, biorąc od Kovácsa tę, która była nabita na dużego zwierza. Doszedłszy do Klokocsa wdarł się w gęstwinę, niecierpliwie rozgarniając oszroniałe zarośla i gałęzie. Szedł podniecony za śladami, aż nagle usłyszał przed sobą dwa niemal jednocześnie strzały i zaraz potem ludzkie głosy.

Zadrzał, ale szedł dalej tropem zwierzęcia, który go wywiódł na drugi skraj lasu. Po tamtej stronie dostrzegł gromadę myśliwych, samych panów Sasów, którzy wraz z naganiaczami właśnie schodzili z polnej drogi, żeby od granicy miejskich gruntów rozpocząć polowanie z nagonką.

— O, ustrzelili naszego rogacza! — wykrzyknął Preszton.

— Prawdziwie głupie szczęście im sprzyja — zauważył żupan. — Jeszcze nie rozpoczęli łowów, a już mają pierwszą piękną zdobycz. Tylko tej korony im zazdroszczę.

Szlachetne zwierzę leżało bez życia w odległości zaledwie strzału od buraczanego pola żupana, przy potoku zwanym „Durst”, ale już na ich gruntach. Chociaż byli zajęci rozstawianiem nagonki, niespodziewana zdobycz pomieszała im szyki. Łowcy i naganiacze bezładnie biegli do konającego zwierzęcia, wszyscy krzyczeli i wymachiwali rękami. Nikt na świecie tak się nie cieszy ze szczęśliwego strzału jak niedzielny myśliwy.

Byli tak blisko, że można ich było rozpoznać. Ten mały chuderławy w kołpaku z wydry i sukiennym płaszczu morawskiego kroju to sam pan Kramler, burmistrz Lewoczy, ten drugi o rozwianej brodzie i wąskich ramionach — to miejski skryba Sebastyén Trück, notariusz, a tamten tęgi w zielonym przyodziewku to Mátyás Brewer, kapitan wiertelników, z manierki zaś pociąga właściciel lekarni József Gygles, a ten, co przykucnął przy ubitym jeleniu i usiłuje go dźwignąć, to złotnik Lőrinc Greff, zaś owym olbrzymem w niebieskiej kurtce jest rajca imię pan András Nustkorb.

Rozpoznawszy burmistrza, do którego wciąż jeszcze żywił uczucie gniewu, Görgey zamierzał właśnie zawrócić, kiedy Fityke wypłoszył z koryta zamarzniętego potoku ogromnego

szaraka i pomyliwszy swoje kompetencje wyżła — wiadomo, że do niego należy tylko tropienie, a nie katowska robota — rzucił się za zbiegiem i przegnał go na drugą stronę potoku, na lewoczańskie pola.

Görgey gniewnie gwizdnął na psa, ale wyżeł to zlekceważył i wiedziony jakimś złym instynktem pędził ku swemu ponuremu przeznaczeniu, gdyż w następnej chwili gruchnął strzał ze strzelby burmistrza i biedny Fityke zwinął się wokół własnej osi, raz tylko boleśnie zaskomlał i padł bez życia (szarak natomiast padł od strzału kapitana wiertelników).

Twarz Pála Görgeya okryła się śmiertelną bladością, a w następnej sekundzie nabiegła krwią. Podbiegł kilka kroków, ale zatrzymał się nad potokiem i zerwawszy strzelbę z ramienia wycelował w burmistrza.

— Pies za psa! — wycharczał drżąc na całym ciele i nacisnął kurek.

Burmistrz raz krzyknął i upadł w śnieg. Görgey tylko tyle widział, gdyż odwrócił się i pewnym, dostojnym krokiem ruszył ku domowi. Po drodze nie wypowiedział ani słowa, lecz szedł szybciej niż zwykle. Hajducy postępowali za nim w milczeniu, z trudem dotrzymując mu kroku. Zerwał się lekki wiatr. Od Nahore szedł tajemniczy szum, pod wioską zbliżyli się znów do koryta potoku, nad którym szeleściły suche trzciny, a na wprost idących krwawa tarcza słoneczna opuszczała się za nieboskłon tak szybko, że gołym okiem można było śledzić jej ruch. Twarz żupana coraz bardziej pochmurniała. Gdy weszli na dziedziniec, zwrócił się do Kovácsa:

— Siadaj na koń i zasięgnij języka, co się stało z burmistrem. Wracaj natychmiast z wieścią.

Z burmistrem stało się tak, że kula przeszła między trzecim i czwartym żebrem (jak to potem opisano w protokole), naganiacze i panowie myśliwi natychmiast do niego podbiegli, ale co dziwne — i nigdy jeszcze w annałach czegoś podobnego nie uwieczniono — zamiast zatamować krew i jako tako opatrzyć ranę, panowie Sasi, zapominając o chrześcijańskim miłosierdziu, zaczęli się szeptem naradzać i, jak się wydaje, imć pan András Nustkorb wiódł w tej naradzie prym; jeden tylko imć pan Mátyás Brewer, najbardziej krewki, nie brał w niej udziału, lecz podjudzał naganiaczy:

— Hej, chłopaki! Za nim! Łapać zbója!

— Uspokój się waćpan — pohamował go Nustkorb. — Czy wiesz, co by się stało, gdybyśmy się odważyli pojmać żupana w obrębie komitatu? Jakie by z tego wynikły następstwa dla miasta?

Narada trwała jeszcze minutę czy dwie, po czym we trzech chwycili rannego burmistrza i zaczęli z nim biec ku gruntom należącym do Görgő. Imć pan Nustkorb trzymał głowę, József Gygles dźwigał tułów, a Lőrinc Greff nogi. Nieszczęśnik krzyczał, by go puścili, zostawili w śniegu, pozwolili umrzeć, by go nie męczyli, ale oni szli i szli, ile mieli sił, zdyszani i spoceni, nieśli go poprzez pola buraczane aż do lasu Klokocs. Krew kapła z rannego, znacząc czerwony ślad na śniegu. Burmistrz musiał straszliwie cierpieć, gdyż przy każdym wstrząsie wył z bólu, aż wreszcie krew chlusnęła mu z ust. Dzielni panowie Sasi mimo to nie przestali iść naprzód, przeciwnie, puścili się niemal biegiem; obeszlili las Klokocs i, żeby zakreślić prawidłowy czworobok, skierowali się ku gościńcowi. Tymczasem ciało zaczęło stygnąć, krew przestawała się sączyć, oczy burmistrza stanęły w ślup, ledwie kołatało się w nim życie.

— Pognieć go waćpan trochę — zachęcał rajca Nustkorb imć pana Gyglesa.

— Nie jestem katem — wzbraniał się pigularz. — Robię, co mogę, dla miasta, ale to już byłoby okrucieństwo.

— Ejże, nie można tak na to patrzeć. Jesteśmy mężczyznami. Burmistrz żył dla swego miasta, najpiękniejszy dla niego koniec to dla miasta umrzeć. Powinniśmy mu w tym pomóc — dowodził imć pan Nustkorb.

Sam nachylił się nad rannym i ugniatał mu podbrzusze, tak że krew znów zaczęła się sączyć, chociaż teraz już nie czerwona strużka, lecz zaledwie pojedyncze krople znaczyły ich drogę.

Wreszcie i to ustało. Burmistrz nie żył.

— Wyzionął ducha — westchnął imię pan Nustkorb patrząc z żalem to na nieboszczyka, to na śnieg. — Zakończył dzieło swego życia. Złożmy jego ciało.

Z szacunkiem zdjął czapkę i stanął nad zmarłym z gołą głową.

— Światłość wiekuista niechaj mu świeci — powiedział pobożnie. — Jaka szkoda, mości burmistrzu, że nie było w tobie więcej krwi!

Przywołał naganiaczy i pchnął do miasta strażnika miejskiego nazwiskiem Kadulik, aby sprowadził sanie na przewiezienie ciała. Do pozostałych przemówił z należyтым dostojenstwem, jak przystało senatorowi miasta Lewoczy:

— Do was się zwracam, tu obecni obywatele miasta Lewoczy, i wzywam, abyście dobrze się przyjrżeli i krokami wymierzylili grunt wyznaczony krwią naszego zgasłego burmistrza. Może masz, mości panie Brewer, jakąś miarkę przy sobie? Na oko wydaje mi się, że to ładny szmat ziemi, będzie chyba ze trzydzieści cztery morgi. A jeśli tyle nie ma, to dlatego że się nie dało zrobić nic więcej. Niestety, nieboszczyk miał mało krwi, bardzo mało.

— Mimo że tyle w życiu wypił czerwonego wina, biedaczysko — wtrącił imię pan Mihály Trück.

— Był nieduży — ciągnął rajca — zbyt małe było to ciało, choć rozumu w nim było dużo, bardzo dużo, szkoda, że w tej ostatniej chwili nie przemienił się w krew. Uczyniliśmy jednak wszystko, co było możliwe. Możemy go z wysoko podniesionymi głowami wwieźć przez bramę miejską. Już po wszystkim. A teraz, do czasu urzędowych oględzin miejsca, dobrze się przyjrzyjcie, abyście w razie potrzeby mogli zeznać pod przysięgą, jak wielki jest ten szmat ziemi. Może bowiem nagle spaść deszcz albo też nowy śnieg przysypie ślady. To pole zaś stało się od tej chwili ziemią należącą do miasta Lewoczy, zdobytą krwią burmistrza. Nie szkodziłoby, mości panie Trück, byś już teraz sporządził mały protokół i spisał przynajmniej nazwiska obecnych.

Wszystko to wydaje się okrutną, wręcz niewiarygodną, a zarazem głupią historią, gdy się ją opowiada z powagą, a nabiera jeszcze dziwniejszej barwy, jeśli dodamy, że ten szmat ziemi do dnia dzisiejszego należy do miasta Lewoczy. Jeśli natomiast powrócimy do ówczesnej historycznej sytuacji, musimy przyznać rację imię panu Andrásowi Nustkorbowi, który w czubku małego palca miał wszystkie prawa i przywileje Sasów, a jako fanatyczny lewoczanin i rajca chwycił się każdej możliwości pomnożenia znaczenia i bogactwa swego miasta.

Należy się z szacunkiem skłonić przed byстрыm rozumem imię pana Nustkorba. Było bowiem tak: Kiedy za panowania króla Karola Roberta wytyczano granice Lewoczy, po pokonaniu Máte Csáka*, miastu przyznano znacznie mniejszy obszar, niż miało teraz. Ówczesny wójt Lewoczy, Job, syn Pétera, niezadowolony z takiego postanowienia, udał się z deputacją do króla do Visegradu. Wyłożył w petycji, że przyznano im ziemię tylko do wielkiego kamienia, choć w istocie należy im się obszar do gruntów Marovki, bo do tego miejsca się bronili. Przecież sam wójt (niżej podpisany Job, syn Pétera) na czele miejskich drabantów gonił szeregi Máte Csáka właśnie do Marovki, gdzie został ranny. Tam właśnie Gergely Trebely, Miklós Hain, Tamás Zellerbeck — żołnierze Jego Królewskiej Mości, którzy im w tej bitwie pomagali — oraz inni świadkowie zwrócili uwagę wójtowi, że krwawi, jako że istotnie była pod nim kałuża krwi. Wszystko to działo się w miejscu, gdzie bierze początek droga do Marovki... itd.

* Máte Csák (1260-1321) – słynny oligarcha, buntujący się przeciw królowi w XIV w.

Jego Królewska Mość łaskawie przyjął deputację Lewoczy i przeczytawszy uniżoną suplikę, własnoręcznie wypisał na niej swe przyzwolenie: „Effusio sanguinis iudicis Lewchoviae terrae acquisitionis vigore obtineat (Krwi lewockiego wójta zostaje przyznana moc uzyskania ziemi.)

Powiększenie gruntów stało się rzeczywistością, ale nigdy nie można wiedzieć, na co może się przydać własnoręczna adnotacja Jego Królewskiej Mości. W każdym razie nie zaszkodzi. Toteż gdy sporządzano spis praw i przywilejów nadanych przez króla Istvána V, dodano i ów zapisek i tak czyniono za każdym razem, kiedy następni królowie potwierdzali te prawa. Królowie albo nie zwracali uwagi na tę notatkę, i wszystko było w porządku, albo też — jeśli zwrócili uwagę — uznawali ją za bezsensowne głupstwo, które spokojnie można podpisać, bo niczym nie grozi, i w tym wypadku także wszystko było w porządku.

Rozdział szósty

(MIASTO LEWOCZA PRZYWDZIEWA ŻAŁOBĘ)

Lotem błyskawicy rozeszła się po mieście wiadomość o sławetnym polowaniu, które przyszłe pokolenia długo wspominały słowami: „...padł na nim jeden rogacz, jeden pies, jeden zając i jeden burmistrz.” Strażnik miejskiej bramy, Kadulik, którego posłano po sanie i który latał od karczmy do karczmy szukając woźnego ratusza, narobił dzikiej wrzawy.

— Imć pan burmistrz nie żyje! — krzyczał. — Żupan go zabił! Płaczcie, mieszkańcy Lewoczy! Zmarł najgodniejszy burmistrz naszego miasta!

Wybuchło straszliwe oburzenie i podniósł się tumult. Ludzie wybiegali z domów, zbierali się gromadami przed ratuszem, na wszystkich twarzach malowało się przerażenie i bladeść. Co się stało? Burmistrz zabity? Gdzie? Kto? Kiedy? Czemu? W jaki sposób? Nigdy jeszcze słowa żadnego biskupa nie zdobyły takiego posłuchu i szacunku jak tego mizernego strażnika. Kadulik jednak nie miał czasu na gadanie, tylko biegł od karczmy do karczmy, póki nie znalazł woźnego, imć Kristófa Ungláda. Siedział on w karczmie „Pod Skowronkiem” przy szklenicy seredniowskiego wina, dysputując zaciekle z komitackim hajdukiem. Na słowa Kadulika, zdyszanego i zasapanego, wykrzyknął:

— Ty, Kadulik, chyba jesteś pijany! — Zerwał się przy tym, by tamtego uderzyć w twarz, ale gdy zamachnął się do ciosu, sam runął jak długi na podłogę, co dobitnie wykazało, kto jest pijany.

Tymczasem na ulicy tłum falował bezradnie, nie wiedząc, co czynić, jedni radzili się drugich, padały pytania. Zaalarmowani rajcowie i patrycjusze miejscy przybiegli w odświętnych, futrem podbitych szubach do ratusza. Pod arkadami tak się tłoczono, że małego terminatora ślusarskiego niemal stratowano. Jedni biegli, by zebrać drabantów, inni znowu, przeważnie młodzi, spieszyli ku bramie miejskiej. Jakiś młodzieniec dosiadł konia, ale z trudem przeciskał się przez ciżbę.

— Zaraz powrócę z wieściami! — krzyknął do znajomych.

Był to ładny chłopak, słusznego wzrostu, prawdziwy saski typ o jasnych, falujących włosach, które spod kuniego kołpaka z czerwonym chwostem opadały mu na ramiona. Miał na sobie ciemnozieloną kamizelę włożoną na sukienną kraciastą kurtkę, której rękawy były widoczne. Portki bez sznurkowych ozdób ciasno opinały nogi, a obuwie stanowiły żółte ciżmy o niskiej cholewie. Uzupełnieniem stroju była zarzucona na ramiona peleryna niemieckiego kroju, podbita lisim futrem.

— To młody Fabricius — szeptano.

— Pięknie dosiada konia — dorzucił ktoś, kto patrzył, jak wydostawszy się z tłumu, młody człowiek spał ostrogami swego deresza.

Wielu nie wierzyło, byli przekonani, że to zmyślona wiadomość, pewnie jakiś figlarz chciał poruszyć miasto, bo któż śmiałyby się porwać na lewoczańskiego burmistrza. To wprost niemożliwość. Ale cóż to? Jakies sanie torują sobie drogę, siedzą w nich ichmościowie Gosznovitzer i Brüneck, rajcowie miejscy, za tymi saniami suną drugie, a w nich hajducy z pochodniami. Jedne i drugie pędzą co koń wyskoczy. O Boże, mój Boże, to jednak prawda?

Z wieży strażniczej rozległ się odgłos bębna i dźwięk rogu. Oznajmiały zachód słońca i zamknięcie bram miejskich.

Gromada ludzi przyłapała gdzieś Kadulika. Każdy chciał z jego ust usłyszeć, co się stało, wszyscy się do niego cisnęli. Z domu Thurzów wyniesiono prędko stół i na nim go postawiono, żeby gadał, ale tak już ochrypl, że rodzona matka by go nie rozumiała. Tylko gestami pokazywał, że burmistrz wyzionął ducha i gdzie utkwiała kula, a wygrażając pięścią w kierunku urzędu komitackiego oskarżał sprawcę.

Powoli zapadała ciemność, nadciągnęła też mgła. Od góry Scheiben zaczął wiać ostry, przenikliwy wiatr. Mimo to tłum się nie rozchodził. Rodziły się coraz nowe wieści, dorzucano szczegóły, to i owo ulegało zmianie, podniecenie rosło. Na ratuszu w sali obrad zapłonęły światła, rajcowie i patrycjusze schodzili się o takiej niezwykłej porze, ale i oni nie wiedzieli nic pewnego.

Wreszcie z oddali rozległ się tętent galopującego konia. To młody Fabricius powracał. Szybko obrócił, gdyż popędził na przełaj, omijając gościniec wijący się bez końca doliną między Scheibenem i Tarlikiem. Tłum poruszył się. Spieniony koń zatrzymał się tuż przy zbitych w gromadę ludziach.

— Cicho! Niech mówi!

— Wieść jest prawdziwa! — krzyknął Fabricius donośnym, dźwięcznym głosem. — Burmistrz miasta Lewoczy nie żyje.

Po cizbie przebiegł głuchy pomruk. Pojedyncze głośniejsze okrzyki porwał z sobą szum wiatru, tylko niektóre można było zrozumieć.

— Pięknie się nowy rok zaczyna!

— Miasto jest zhańbione!

— Kto go zabił? Jak do tego doszło? Powiedzże!

— Pies żupana przebiegł na grunty miejskie, burmistrz zabił psa, a żupan strzelił do burmistrza.

— A co się stało z żupanem? — wrzasnął jakiś głos.

— Uciekł łotr do domu, do Görgö — wyjaśnił wzburzonym tonem młodzieniec.

Na to wybuchnął orkan gniewu. Wstyd, hańba! Przecież reszta też miała strzelby. Kto był przy tym? Co to za tchórze? Hej, Fabricius, powiedz, kto tam był?

Widocznie młodzieniec nie chciał się rozwódzić nad dalszymi szczegółami. — Miejsca! Miejsca! — wołał i ściskając kolanami boki konia usiłował przedrzeć się do ratusza.

W tej samej chwili czyjaś ręka chwyciła konia przy wędzidle.

— A to co? — huknął Fabricius zaskoczony.. — Puść natychmiast konia!

— Nie puszczę, póki z tobą nie pogadam.

Ten, który wstrzymał konia, był również młody. Po stroju można było poznać szlachcica: miał na sobie bekieszę z węgierskim szamerowaniem, kołpak z orlim piórem i szablę przy boku. Oczy dziko mu błyszczały. Fabricius nie znał tej twarzy, ale było oczywiste, że jest to młodzieniec wysoko urodzony.

— Czego sobie waszmość życzysz? — zapytał teraz po węgiersku, jako że poprzednio rozmowa toczyła się po niemiecku.

— Jeśli jesteś waszmość szlachcicem, domagam się zadośćuczynienia za to, żeś jego wielmożność żupana nazwał łotrem. Nie zniosę tego.

— Nie zniesiesz waszmość? Kimże jesteś?

Młodzieniaszek dumnie podniósł głowę.

— Nazywam się György Görgey.

— Pssst — przerwał mu Fabricius i szybko powiedział: — Nie wymawiaj waszmość tak głośno swego nazwiska, bo w tej chwili to niebezpieczne. A wracając do istoty rzeczy, to nie jestem co prawda szlachcicem, lecz synem lewoczańskiego mieszczanina, nazywam się Fabricius. Możemy jednak skrzyżować szable, jeśli sobie waszmość życzysz. Gdzie mam się stawić?

— Jutro rano w gaju za miejskim ogrodem.

— O której godzinie?

— O siódmej.

— Stawię się.

Uchylił kołpaka i usiłował przedostać się dalej, ale przeszkodził mu zbity tłum, który tłoczył się przed urzędem komitackim, jakby chciał przypuścić szturm. Rozlegały się okrzyki „*Pereat Görgey*”, drżało od nich powietrze, a z okien sypały się potłuczone szyby. Kasztelan Grodkovszky kazał zamknąć bramę i wystawić na balkon dwie małe armatki, które miały nastraszyć tłum. Baltazar w zbroi i spuszczonej przyłbicy stanął między dwiema armatkami.

— Kto ma ochotę na wrzaski i awantury, niech idzie do domu, w przeciwnym razie będzie bieda. Powstałe szkody zapłaci miasto.

— *Pereat Görgey!*

— Imć pana żupana tu nie ma — odkrzyknął Baltazar — bo jakby tu był, to was dawno by tu nie było!

Odpowiedzią był grad kamieni, ale Baltazar tylko się śmiał, gdyż bronił go pancierz wzięty ze zbrojowni.

Jednocześnie na balkon ratusza wyszedł siwowłosy Ambrus Mostel, najstarszy rajca. Oświetlony dwiema pochodniami trzymanymi przez pacholców stał jak zjawa o długich włosach trzepoczących na wietrze. Wyglądał jak ów legendarny Barbarossa, którego nadejścia oczekują Niemcy w chwilach niebezpieczeństwa, tylko że brodę miał nie rudą, a siwą, i nie taką długą, jak mówi legenda. Ponieważ dzwonek był gdzieś zamknięty w szufladzie burmistrza, trzymał w ręce szklenicę i saskim zwyczajem, przyjętym przy wznoszeniu toastów, dzwonił o szkło kozikiem.

Odgłos nie był donośny w zestawieniu z panującą wrzawą, brzmiał jak brzęczenie komara w bóżnicy, lecz mimo to odniósł skutek.

— Stary Mostel chce coś powiedzieć! Uciszcie się! Posłuchajmy, co powie!

Zapadła cisza jak w kościele, tylko kurek na dachu zgrzytał szarpany wiatrem. Stary zaczął mówić chropawym, słabym głosem, który z powodu braku zębów nawet w pokoju był trudno zrozumiały. Teraz jednak jedni podawali drugim usłyszane słowa, a jeśli ich dobrze nie zrozumieli, uzupełniali je własnymi.

— Moje dzieci! Rozejdźcie się w pokoju. To prawda, że nasze miasto doznało krzywdy, nie wiemy jednak jeszcze, jak wielkiej i w jakich się to stało okolicznościach. Jeśli coś się stało, pozostawcie nam, starym, zmazanie krzywdy. Możecie mi wierzyć, że rajcowie Lewoczy potrafią stanąć w obronie godności naszego miasta. Baccie, byście z powodu jednej biedy nie doprowadzili do gorszej, wracajcie z Bogiem do swych domów śpiewać psalmy, bo jeśli się nie rozejdziecie i dalej się tu będziecie tłoczyć, to niech mi Bóg dopomoże, zejdę do was z tą trzcina

w ręce i jak kogoś trzepnę, nie będzie to tylko uderzenie, lecz i wstyd. Dobranoc wam, dzieci!

Tylko panujący potrafi przemawiać z taką godnością i pewnością siebie jak stary Mostel, który wypowiedziawszy swoją orację najspokojniej wycofał się do sali narad — *re bene gesta* *. Nawet mu nie przeszło przez myśl, że nie znajdzie posłuchu. Istotnie tłum, na pozór niesforny, zaczął się bez słowa rozchodzić, jakby ktoś wymiótł ludzi z placu.

W sali obrad zebrali się niemal wszyscy rajcowie, przykuśtykał nawet na kulach stary Antal Bibera cierpiący na podagrę. Było zimno, więc wszyscy mieli na sobie futrem podbite szuby i nawet nie siadali. Chodzili tam i z powrotem wzdychając i kiwając głowami, niecierpliwili się, czekali, aż się sala ogrzeje. Czekali też na wiarygodne wieści. W pewnej chwili hajduk, który od strony sieni palił w piecach, wszedł i doniósł, że młody Fabricius przybył z miejsca wypadku. Chciałby wejść na salę obrad.

— Niech wejdzie! Niech wejdzie! — wykrzyknęło jednocześnie czterech, a niecierpliwy István Hulik chciał pobiec młodzieńcowi naprzeciw. Stary Mostel powstrzymał go.

— Kto jest rajcą — wyrzekł z godnością — temu nigdy nie wolno się bać ani niczemu dziwić, ani tracić cierpliwości. Świat może pędzić naprzód, tak jak mu się podoba, ale rajca powinien zachować zimną krew. Niech więc waszmość pozostanie na swym miejscu, a młodzieniec wejdzie i tak, bez wybiegania mu naprzeciw. Nie ma potrzeby wnosić go na rękach.

Fabricius wszedł i szczegółowo opowiedział, co widział. Patrycjusze słuchali w milczeniu, tylko twarze im pobladły, o ile dało się to dostrzec przy słabym świetle łożowych świec.

— Co za cios! — jęknął Mihály Pálfalvi. — Nie na próżno śniłem tej nocy, że na miejscu ratusza znajdowały się moczary, a ja w nich łowiłem raki.

Bibera nerwowo stuknął kulą o stół.

— Własnymi rękami zabiję tego łotra, jeżeli nikt inny się tego nie podejmie!

— Niech się waszmość nie podejmuje takich ryzykownych zobowiązań — przywołał go do porządku Mostel — szczególnie w obecności obcych. — Potem zwrócił się do Fabriciusa:

— Możesz już odejść, drogi synu. Słusznieś uczynił, donosząc o tym, coś widział. A waszmość, mości Pálfalvi, dobrze byś uczynił, gdybyś teraz pospieszył na spotkanie zmarłego i zarządził, by go tu złożono.

— Tutaj? Po co? — zerwał się János Kripélyi. — Przecież to jest sala obrad.

— Właśnie dlatego. Dzisiejsze posiedzenie rady odbędzie się *presente cadavere*, to jest w obecności nieboszczyka. Otwórzcie galerie.

— Przecież posiedzenia rady nie są publiczne — sprzeciwił się imć pan Hulik.

— Zwyczajne posiedzenia — uzupełnił starzec, który z młodzieńczą energią wziął władzę w swoje ręce — ale to jest wyjątkowy wypadek. Zabity burmistrz Lewoczy jest bliski wszystkim mieszkańcom Lewoczy i każdy musi mieć dostęp do swego zmarłego.

Senatorowie kiwali potakująco głowami. Tak, imć pan Mostel wie, co należy czynić.

Otworzono więc galerie, a wieść o tym przebiegła ulicami miasta jak ogień. Ludziska tak się pchali, że hajducy w żaden sposób nie mogli utrzymać porządku.

Każdy chciał być w środku. Rajca Donát Mauks, na którego reszta spoglądała z niejaką podejrzliwością, jako że był w radzie jedynym szlachcicem i kto wie, czy w tej chwili serce po cichu nie ciągnęło go do urzędu komitackiego — otóż ów rajca, żeby zrzucić z siebie tego rodzaju podejrzenie, wyszedł teraz i wydał hajdukowi rozkaz, aby „niewiast w błogosławionym stanie i szlachty nie wpuszczać na galerie”. Zarządzenie było całkiem niepotrzebne, gdyż na górze było już więcej ludzi, niż galerie mogły pomieścić, toteż siedzieli jedni drugim na

* po pomyślnie stoczony bitwie (łac.)

grzbietach niczym pszczoły. Bibera, jako rajca strzegący moralności publicznej, zmarszczył brwi na widok stłoczonych niczym prasowane figi męskich i niewieścich ciał, co z pewnością może wzbudzić grzeszne myśli i zmarnować to, co on przez pół swego życia wpałał w mieszkańców Lewoczy za pomocą chytrych przepisów i Polizei-Ordnungów. Rzeczywiście włosy stawały dęba na głowie na widok położenia, w jakim znalazły się na galerii pochodzące przeważnie z niższego stanu biedne młode niewiasty i dziewczęta (o ile w ogóle zasługują na współczucie), popychane w tłoku, trafiały w męskie objęcia lub na męskie kolana, i nawet nie można było im robić zarzutów, bo choćby chciały się stamtąd wydostać, toby nie mogły (może uczyniłyby to nawet niechętnie). Posunięcie starego rajcy Mostela było nieprzemyślane, nie tylko powodowało zgorzenie, ale i naruszało powagę sytuacji, gdyż wciąż odzywały się sykania i kobiece piski, co było dowodem, że wielu bezbożnych mężczyzn nawet teraz myślało o podszczypywaniu niewiast, ze szkodą dla obowiązującej moralności, o ile zapomnimy o tym, że przy dzisiejszym zepsuciu w wielu przypadkach takiemu podszczypywaniu mogły również nie towarzyszyć żadne sykania ani piski.

Panowie rajcowie nie przestawali uspokajać i hamować galerii.

— Spokój tam! Czy wam nie wstyd tak hałasować i jeszcze się śmiać? Kto się niewłaściwie zachowa, tego na dwa dni wsadzimy do aresztu.

Odniosło to pewien skutek, zrobiło się ciszej, ale głównie dlatego, że na dole zaczęło się coś dziać. Najpierw zjawiał się miejski woźny (jakże prędko tym razem wytrzeźwiał!) i ze stołu obrad ściągnął zielone sukno, które wyniósł z sali.

Po niedługiej chwili wpadł zdyszany rajca Pálfalvi i wyjąkał:

— Przyjechali!

Zaraz też dwaj odźwierni rozwarli oba skrzydła drzwi i z zewnątrz wdarł się mroźny prąd powietrza, a jednocześnie ukazał się ogromny rajca Nustkorb w myśliwskich butach, upapwany błotem i w płaszczu zbryzganym krwią. Za nim weszli Sebastyén Trück, Dávid Gosznovitzer i Máté Brüneck. Wszystkie twarze były czerwone, wyszczypane mrozem, przy nich poblądłe fizjonomie obecnych na sali odbijały jeszcze większą błądźcą.

Wszyscy wlepili oczy w drzwi. W sieni rozległo się szuranie ciężkich kroków. Nawet na galerii ucichło, można by usłyszeć bzykanie muchy, po grzbietach ludzi przebiegł dreszcz, kiedy czterech hajduków wniosło na noszach ciało burmistrza, okryte zabranym przed chwilą zielonym suknem. Spod sukna wyglądał tylko czubek głowy.

— Tutaj go złożcie — zarządził imé pan Mostel, wskazując mniejszy stół bezpośrednio za fotelem przewodniczącego.

Hajducy spełnili polecenie.

— Możecie odejść!

Członkowie rady stali w milczeniu ze znieruchomiałym wzrokiem. Ci, co mieli słabsze nerwy, odwracali głowy. Podmuch wiatru, który się wdarł przez otwarte drzwi, zgasił parę świec, które imé pan Sebastyén Trück usiłował ponownie zapalić. Panowała dręcząca cisza. Tylko na galerii rozległ się cichy pomruk, mówiono, jak porządnym człowiekiem był nieboszczyk i jakie szczęście, że jego żona jeszcze latem zmarła. Czy też została po nim duża scheda? Kto odziedziczy majątek? Przecież nie miał ani dzieci, ani krewnych. Z pewnością wszystko dostanie się miastu.

Ambrus Mostel podszedł do zmarłego, uniósł zielony całun, przez chwilę przyglądał się twarzy, po czym znów ją zakrył. Powrócił do długiego stołu, siadł wyprostowany na miejscu przewodniczącego i dał znak pozostałym rajcom, by zajęli swe miejsca. Wszyscy w milczeniu siedli na krzesłach o gotyckich oparciach. Przy samym końcu stołu zasiadł Sebastyén Trück, przysunął sobie ogromny drewniany kałamarz i inne przybory do pisania. W pierwszej chwili

sięgnął po białe pióro, ale jakby się zreflektował, wyszukał najciemniejsze.

Stary Mostel wstał i odczekawszy, aż Dávid Gosznovitzer się wycharcze, drżącym głosem zaczął w te słowa:

— Szlachetni rajcowie miasta Lewoczy, roztropni i rozumni mnie wielce moi panowie! Zebraliśmy się jak dawniej w pełnym składzie, ale tylko ciała wszystkich są tu obecne, albowiem dusza naszego burmistrza, która była podporą naszych dusz, przeniosła się już do nieba w następstwie nieszczęśliwego wydarzenia...

— Nie owijaj waszmość w bawelnę! — wtrącił wieczny opozycjonista Máté Brüneck. — Powiedz waść wprost, że został zamordowany.

— Co ja mówię i jak, to moja sprawa, a co wypowiadam z tego miejsca, musi być jak Biblia i takim też jest — wyjaśnił Mostel dostojnie, pewnym siebie tonem. — Dotychczas wiem tylko, że burmistrz miasta Lewoczy jest tu obecny, lecz bez duszy, z tego więc względu, jako najstarszy wiekiem rajca, zgodnie z prawem otwieram dzisiejsze posiedzenie. W jaki sposób głowa naszej rady utraciła swą duszę, o tym opowie jako naoczny świadek rajca Andrés Nustkorb, któremu oddaję głos.

— Cicho! Słuchajmy!

Rajca Nustkorb wstał i szczegółowo naświetlił nieszczęśliwe wydarzenie zaczynając od tego, że już przed Bożym Narodzeniem powstały nieporozumienia między miastem i głową komitatu. Co prawda, dzisiaj, podczas łowów, burmistrz zastrzelił psa żupana, a więc on zaczął, ale można to było przypisać zbytniemu pośpiechowi, albo nawet niezręczności, bo pewnie chciał strzelić do zająca, za którym tuż, tuż biegł wyżeł.

— I co dalej? — wtrącił imć pan Donát Mauks.

— Spozstrzegliśmy tylko, że w następnej chwili imć pan burmistrz runął na ziemię wydając okrzyk bólu. Instynktownie podbiegliśmy do niego, nie zdając sobie sprawy z tego, że strzelał żupan. Dopiero potem doszło do naszej świadomości, że tak się stało. Nawet któryś z nas rzucił myśl, żeby biec za nim i zastrzelić go.

— To byłoby najmądrzejsze — zauważył Antal Bibera. — Śmierć burmistrza byłaby przynajmniej pomszczona.

Nustkorb potrząsnął głową.

— Ani nie byłaby pomszczona, ani też nie byłoby to najmądrzejsze. Zabicie żupana wywołałoby jedynie obustronną wrogość między miastem a komitatem, i tylko miasto by na tym ucierpiało, gdyż jedno bezprawie odwzajemnić drugim nigdy nie jest rzeczą roztropaną, poza tym...

— Mielibyśmy prawo tam na miejscu, *in flagranti* — przerwał mu Mihály Pálfalvi, co wywołało pomruk aprobaty wokół stołu i przeniosło się na galerie.

— Poza tym — ciągnął uparcie Nustkorb — nasze strzelby były nabite wyłącznie śrutem, i gdybyśmy chcieli zmienić naboje na kule, Görgey zdążyłby już ujść poza zasięg strzału.

— Hm — burknął Bibera zdejmując podbitą futrem szubę, gdyż w sali zrobiło się cieplej. — To już jest powód. Powinien był waść o tym powiedzieć na początku.

Imć pana Dávida Gosznovitzera chwycił napad ostrego kaszlu, cała krew mu nabiegła do twarzy, ale wymachiwał przy tym ręką na znak, że chce zabrać głos. Nie mógł jednak złapać tchu, dopóki Sebastyén Trück nie łupnął go w plecy.

— Dostojna rado, moi panie Nustkorb, mój zarzut nie dotyczy tego, żeście darowali życie jednemu człowiekowi, żupanowi, gdyż miasto Lewocza jest dość silne na to, by dać sobie radę z każdym, nawet tak potężnym, że głową sięga chmur. Ale ani miasto Lewocza, ani żadna ziemską potęgą nie jest władna przywrócić życia człowiekowi, którego krwi lekkomyślnie pozwolono wyciec, zamiast to życie w porę ratować.

Wokół stołu narad powstało poruszenie, rajcowie kręcili się, spoglądali jedni na drugich zdziwieni, o co właściwie chodzi.

— Zdołałem zaledwie kilka zdań zamienić z naganiaczami, których zabraliśmy na nasze sianie — ciągnął imć pan Gosznovitzer. — Brak czasu i głupota tych prostych ludzi uniemożliwiły mi dokładne zapoznanie się ze sprawą, mimo to jasne jest dla mnie, że w odniesieniu do rannego burmistrza popełniono czyn budzący grozę, a w każdym razie sprzeczny z nauką chrześcijańską i hańbiący. Albowiem zamiast mu opatrzyć ranę i zatamować krwawienie obecni pochwycili go — tak powiadają — i biegli z nim jak szaleni, dopóki wszystka krew z niego nie uszła, inaczej mówiąc, rozmyślnie go zabili. Nie wiem, ile w tym jest prawdy.

Znowu go chwycił atak kaszlu, ale tym razem Sebastyén Trück nie pomógł mu (niech się zadusi). Senatorzy siedzieli przy stole jak skamieniali. Rzucone przed chwilą oskarżenie było czymś nowym i niezrozumiałym, położenie stało się niewyraźne... Z galerii dał się słyszeć głuchy szum, jak podmuch wichru nad łanami pszenicy.

— Nie rozumiem tego — przerwał kłopotliwe milczenie przewodniczący zebraniu starzec. Jasne niebieskie oczy zwrócił ku Nustkorbowi, który z obojętną miną siedział spokojnie na swoim miejscu.

— A ja rozumiem lisa, który dzięki temu może podejść bliżej do winnego grona — powiedział rajca Brüneck ze znaczącym spojrzeniem.

Co nam rzeknie w tej materii imć pan Nustkorb? — zapytał Mostel. — Prosimy o wyjaśnienie!

— Poczekam, aż się wykaszle — odpowiedział Nustkorb. — Może ma jeszcze coś do dodania.

— Czy to jest prawda, czy kłamstwo? Oto pytanie! — wybuchnął Donát Mauks waląc pięścią w stół.

Był to pierwszy gest zdradzający podniecenie. Wyzwolił trzymane na wodzy uczucia, tak jak pierwsza iskra zapala zgarnięty w jedno miejsce proch. Rozpętała się dzika wrzawa. Wszyscy mówili jednocześnie. Dziesiątki rąk uniosło się i wykonywało ruchy przypominające wymachiwanie cepami. Nad ten babiloński tumult wybijały się bardziej zrozumiałe okrzyki:

— Ależ to po prostu morderstwo!

— Niech się wytłumaczają!

— No no, piękne rzeczy wychodzą na jaw!

Przez ten czas astmatyk imć pan Gosznovitzer zdołał zaczerpnąć powietrza, oddychał szybko jak sum wrzucony z powrotem do wody, twarz jego odzyskała zwykłą barwę, wybałuszone oczy cofnęły się w oczodoły i znów przemówił podniesionym głosem:

— Odpowiedzialność za to, co się stało, spada na imć pana Andrása Nustkorba jako na jedynego członka rady, który tam był obecny.

— Był tam także Sebastyén Trück — zauważył jakiś głos.

Sebastyén Trück był blady jak śmierć. Wciągnął głowę w ramiona i drżał na całym ciele. Skarżył się, że ma gorączkę, że już źle się czuł podczas polowania, niech mu dadzą spokój, opuszcza zebranie, idzie do domu położyć się do łóżka.

Wśród pomieszanych szeptów i wężowych syków tylko na ustach Nustkorba igrał pogardliwy uśmiech.

— Czyś skończył, mości panie Gosznovitzer? — zapytał pewnym, zdrowym głosem.

— Owszem — odpowiedział sucho Gosznovitzer.

— Wobec tego ja proszę o głos.

— Czy to prawda, czy nie? — powtarzał uparcie Donát Mauks. — Tylko na to zechciej odpowiedzieć.

— Tak jest, nie pozwólmy mu za dużo mówić — zauważył Máté Brüneck, który czuł się w swoim żywiole, ilekroć wybuchały jakieś kłótnie — on bowiem potrafi nawet w piekle się oczyścić i przejść do nieba.

Imć pan Mostel zmarszczył czoło i karcąco przemówił:

— Toś waćpan utrafił. Czy ci nie wstyd? Chcieć odebrać głos właśnie temu, kogo atakują? To by była piękna sprawiedliwość, szkoda gadać.

Pan Brüneck zawstydział się i zakrył twarz owłosionymi rękami. Kiedy Nustkorb wstał, z galerii rozległy się syknięcia, ale wystarczyło, by imć pan Mostel spojrział w tamtą stronę: „No, co to znaczy?”, i od razu się uciszyło. Starzec tak panował nad całą salą jak Neptun nad wodami.

— Dostojna rado! — zaczęła mówić Nustkorb. — Ktoś przedtem powiedział, nie zauważyłem, który z panów rajców, że jestem lisem i śmierć burmistrza pomogła mi znaleźć się bliżej winnego grona. Dobrze, zgadzam się z tym, niech tak będzie. Jestem lisem. Ale tym lisem, dostojna rado, który jest lisem i wygląda jak lis, a nie owym przebiegłym i niebezpiecznym lisem, który wygląda jak owieczka, a jednak jest lisem.

— Nie rozumiemy — warknął Kripélyi.

Zrozumiano to jednak na galerii, wyjaśniając z miejsca, na gorąco, że to się odnosi do Gosznovitzera, który po Nustkorbie mógł liczyć najbardziej na burmistrzowski fotel, a więc w jego interesie było jak najdokładniejsze pogrążenie Nustkorba.

— Co do oskarżenia rzuconego przez imć pana Gosznovitzera...

— Czy to prawda, czy nieprawda? — powtórzył swoje Donát Mauks.

— Owszem, prawda — odpowiedział Nustkorb podnosząc wyzywającym ruchem głowę, jakby dla okazania, że ani trochę się nie boi. — Kiedy kula żupana trafiła burmistrza i spostrzegłem krew na jego kontuszu, w pamięci stanął mi dawno zapomniany przywilej Sasów, jakby go wystrzeliła jakaś niewidzialna ręka. Wydało mi się w tym okamgnieniu, że sama Opatrzność kieruje moją wolą; tak było, wyznaję przed dostojną radą, to ja nakazałem, byśmy pochwycili rannego burmistrza i nim, a dokładniej mówiąc jego krwią wypływającą z rany, oznaczyli taki kawał gruntów należących do włości żupana, jaki zdołamy obieć. Postąpiłem tak jako rajca, dla dobra miasta, okalając krwawym czerwonym śladem około trzydziestu czterech mórg ziemi.

— Włosy stają człowiekowi na głowie — wtrącił rajca Pálfalvi, który miał czaszkę tak łysą, że można by po niej się ślizgać.

— Poganin! — syknął Kripélyi i nerwowo stuknął w stół złotym pierścieniem. Był złotnikiem, nosił na palcach coraz to inne pierścienie, prezentując je w ten sposób ewentualnym nabywcom.

Ogólny nastrój coraz wyraźniej i z coraz bardziej narastającą siłą obracał się przeciwko olbrzymiemu rajcy. Na twarzach malowało się zdumienie, oburzenie i gniew, z oczu wyzierało zaskoczenie. Od strony galerii wznagał się pomruk przypominający szum morza. Donát Mauks szepnął Máté Brüneckowi do ucha, z którego sterczała kępka włosów wyglądająca jak kita maleńkiej wiewiórki:

— Ja już tu widzę dwa trupy, kumie.

— No no — mruknął Máté Brüneck.

— Cicho tam! Słuchajmy!

— ... albowiem ów zapomniany przywilej saski — ciągnął Nustkorb podniesionym głosem — nadany przez króla Karola Roberta, wyraźnie powiada, że krwi lewoczańskiego burmistrza zostaje przyznana moc uzyskiwania ziemi.

Bibera poruszył się niespokojnie i uniósł głowę, którą dotychczas miał zakrytą dłońmi.

— To prawda — potwierdził Donát Mauks, który przez długie lata strzegł miejskiego

archiwum i zestarzał się wertując zakurzone dokumenty. — Jest taki przywilej potwierdzony potem przez króla Macieja Korwina.

— Tak jest, potwierdził go — imć pan Nustkorb włączył uwagę Mauksa do własnej oracji — a później uznał go Lajos II, kiedy to deputacja miasta Lewoczy wręczała królowej w darze dwie skrzynie koronek, a owej deputacji przewodził właśnie przodek waszmości, mości panie Kripélyi...

Kripélyi głęboko zaczerpnął powietrza, zaczerwienił się jak rak w ukropie, najwidoczniej te słowa sprawiły mu przyjemność, jakby go posmarowano miodem. (Jeden już został uciszony.) Imć pan Mauks też się nie mógł powstrzymać od wyrażenia podziwu:

— Dwie skrzynie koronek! — mruczał. — Psiakość! On nawet takie rzeczy wie.

— Nic więc dziwnego, że jak tylko mi się przypomniał ów dawny przywilej, właśnie w takiej chwili — i to zechciejcie waćpanowie mieć przede wszystkim na uwadze — w takiej chwili, kiedy nadarzyła się sposobność, po raz pierwszy i pewnie ostatni od stuleci, przemówił we mnie jakiś wewnętrzny nakaz, aby wypróbować starodawny przywilej i nie dopuścić, by go pochłonęła bezdenna gardziel czasu, albowiem nawet morza wyparowują, nie tylko królewskie słowa...

— O Boże, jak on pięknie przemawia — wyrwał się jakiś głos z galerii, gdzie w jednej chwili zapanowała taka cisza, że kiedy szewc Petrás podrapał się w kark, w całej sali słychać było chrobot twardych paznokci.

— Podnieciło mnie z jednej strony samo królewskie prawo, jakiego nie posiada żadne miasto w Europie. Pomyślałem, że zastosowanie go spowoduje odnowienie przywileju, żeby całkiem nie uległ przedawnieniu, zaś z drugiej strony, przemówiła we mnie chęć pomnożenia włości miejskich przez przyłączenie do słynnych z upraw grochu gruntów miejskich sporego szmata ziemi, stanowiącej własność człowieka, który się porwał na życie burmistrza.

Bibera przytaknął kiwnięciem głowy i przymknął małe oczka na znak, że rezygnuje z dalszej walki. Imć pan Brüneck szepnął do ucha Mauksowi:

— Bibera już myśli o wzięciu w dzierżawę nowych gruntów pod uprawę grochu, mogą się założyć o cztery kwatery wina.

— To do niego podobne! — odpowiedział Donát Mauks. Z galerii rozległy się przychylnie okrzyki. Stary Mostel gniewnie huknął:

— Tylko uszom dozwolono wejść na galerię, nie gębom!

— Tego grochu jeść nie będziecie — uzupełnił słowa Mostela Dávid Gosznovitzer, patrząc ku galerii.

Na to stary Mostel gniewnie trzepnął o stół czapkę z wydry.

— Waść także mógłby swój rozum pohamować, mości panie Gosznovitzer, przynajmniej odrobinę, póki imć pan Nustkorb nie skończy z wyłożeniem wszystkich cyrkułstancji. Swoimi uwagami czynicie z jego oracji istną siekaninę. Proszę dalej, mości panie Nustkorb.

— Do tych dwóch okoliczności doszły jeszcze dwa powody — podjął Nustkorb. — Jeden, że rana zdała mi się śmiertelna, i taką też była, a drugi, że ranny burmistrz sam nie miałby zastrzeżeń przeciw memu czynowi.

— Trzeba go było zapytać — zabrzmiał falsetem głos Jánosa Mukalicsa, który jako jedyny katolik w tym luterańskim zgromadzeniu z reguły milczał, podparty na łokciach.

— Byłbym zapytał, ale ranny już nie mógł mówić, zresztą takie zapytanie było zbyteczne, gdyż nieboszczyk wielokrotnie sam to podkreślał, a nawet w ostatniej swej oracji powiedział, że dla miasta gotów jest poświęcić ostatnią kroplę krwi...

— Tak, ostatnią kroplę, ale nie kilka kwart przed tą ostatnią kroplą — wtrącił uszczypliwie Gosznovitzer, znowu przechylając nieco szalę chwiejnego nastroju.

Nustkorb pogardliwie machnął ręką, jakby chciał odpędzić muchę.

— Nieboszczyk burmistrz był prawdziwym mężczyzną — wyrzekł dźwięcznym głosem z istic posagowym spokojem — i nie zwykł igrać słowami, a zatem byłoby niesprawiedliwością...

— Od razu powiedziałem, żeby mu nie pozwolić gadać — roześmiał się Máté Brüneck. Już nie był oburzony, tylko się śmiał.

— Byłoby niesprawiedliwością — ciągnął Nustkorb — pomniejszanie siły jego charakteru. Był mężczyzną, którego słowa nie były pustą gadaniną, i zawsze dotrzymywał tego, co powiedział. A najpiękniejszym zakończeniem jego pracowitego i zasłużonego żywota było to, co już tam na polu podkreśliłem, że własną sączącą się krwią w ostatniej chwili życia służył jeszcze swemu miastu. Nigdy jeszcze, od kiedy powstało miasto Lewocza, żaden burmistrz nie dostąpił chwalebniejszej śmierci. Tylko Leonidas i Miklós Zrinyi* mogą z nim współuczestniczyć w krainie chwały, do której podąża, a może już nawet dotarła jego dusza. Przyznaję, że opisany przebieg wydarzeń w pewnej mierze mnie obciąża. Co uczyniłem, uczyniłem w dobrej wierze. Jeśli mnie dotknie kara, będę pokutował za swą miłość do miasta, a ukarany będę przez ojców miasta. Wydajcie więc na mnie wyrok, mości panowie rajcowie.

Odsunął krzesło i ciężkim krokiem ruszył ku drzwiom, aby na zewnątrz oczekiwać wyroku. Towarzyszyło mu kilka niepewnych wiwatów z galerii. Jakaś z pańska wystrojona niewiasta, której jasne włosy zdobiła świeża róża (ciekawe, skąd ją wzięła w środku zimy?), nagle wyciągnęła kwiat i rzuciła w jego stronę. Imć pan Nustkorb swobodnym ruchem pochwycił różę w powietrzu, co wyraźnie dowodziło, że wcale nie był zdenerwowany i nawet w tak trudnym momencie zachował nie tylko przytomność umysłu, lecz także nadzwyczajną spostrzegawczość. (Oto właściwy człowiek na stanowisko burmistrza — szeptano na galerii.)

Stary Mostel krzyknął za nim:

— Co to znaczy? Hej, Nustkorb! Dokądże waćpan leci? Wracaj tu natycluniast!

Zawrócił i poszedł z powrotem na swoje miejsce, ale przechodząc obok ciała zmarłego przystanął na chwilę i wolnym ruchem położył mu różę na piersi. (Do stu fur beczek — zdumiał się Donát Mauks — że się też nie boi przy nim stanąć.) Tymczasem Nustkorb doszedł do stołu, ale nie usiadł, tylko stanął przed Mostelem z opuszczoną głową, jak oskarżony.

— Dostojna i mądra rado — odezwał się cichym głosem stary rajca — takiej mnie uczono sztuki życia, że gdy jesteśmy w biedzie i wspólny wróg na nas czyha, największą głupotą byłoby skakać sobie do oczu. W tym zaś wypadku, to znaczy w wypadku imć pana Nustkorba, stwierdzić możemy pewne wykroczenie przeciwko prawom boskim, lecz zarazem wiele zasługi wobec miasta. Temu chyba nikt nie może zaprzeczyć?

— Tak jest, tak jest — przytakiwała większość rajców. (Co tu dużo gadać, stary ma nie lada rozum.)

— Jeśli więc teraz z powodu zasług zapomnimy o błędzie, a z powodu błędu uznamy zasługi za niebyłe, to właściwie nie będziemy mieli o czym radzić. Tak czy nie?

— Tak jest, tak jest — przytakiwali rajcowie, gdyż lubili, by im wskazywano drogę.

— Poza tym należy mieć w pamięci, że jesteśmy tu przedstawicielami miasta, a nie Boga, i nie możemy do tej roli pretendować jako nędzne ziemskie robaki, choćbyśmy byli najbardziej wierzący. I jakiegokolwiek byłyby uczucia każdego z nas w domu lub w kościele, to zebrani tutaj jesteśmy wyłącznie przedstawicielami miasta. Jeśli więc imć pan Nustkorb zadarł z Panem Bogiem, niech z Nim tę sprawę załatwi. Bóg jest dostatecznie wszechmocny i bez nas, ma Nustkorba w swoich rękach i może nań spuścić swój gniew, kiedy tylko zechce, z pewnością

* Miklós Zrinyi (1508-1566) – ban chorwacki, bohater walk z Turkami.

niepotrzebne Mu są głosy ani mości Gosznovitзера, ani Mauksa. A co się tyczy nas, którzy tu siedzimy wyłącznie w imieniu miasta, widzimy raczej zasługi imć pana Nustkorba, a zarzucić moglibyśmy mu najwyżej to, że chcąc przysporzyć miastu korzyści był nieco bardziej gorliwy, niżby należało. I cóż, kto twierdzi, że nie mam słuszności?

Jego piękne niebieskie oczy stały się przenikliwe i badawczo przesuwają się po członkach rady. Nikt się nie poruszył, siedzieli w milczeniu, jeden tylko Gosznovitzer parsknął gorzkim śmiechem i zerwał się z miejsca.

— To wszystko bzdura — wykrzyknął — tylko lewoczańska rada miejska może wymyślić podobne głupoty. Dobrze, że o tym wiemy. Od dnia dzisiejszego będziemy na burmistrzów wybierać samych suchotników plujących krwią, którzy zgodnie z przywilejem króla Karola Roberta będą opluwać sąsiednie włości. Cha, cha, cha, został odkryty wielki fortel. Dzięki temu Lewocza wkrótce doścignie Londyn i włości miejskie rozciągną się aż do bram Koszyc, cha, cha, cha!

Atak kaszlu znowu chwycił astmatycznego rajcę, który ledwie zdołał go opanować. Stary Mostel chytrym mrugnięciem przywołał wygrzewającego się pod piecem woźnego.

— Przynieś no, Kristóf, miejską kwokę.

Nie minęło pół minuty, a już na stole stała owa „miejska kwoka”, najstraszliwsza bestia wśród czworonogich i skrzydlatych stworzeń w całej Lewoczy. Na jej widok milkł nawet najodważniejszy i najkłótniejszy człek w mieście. Należy wiedzieć, że nie było to żywe zwierzę, lecz czarna szkatułka zamknięta na trzy kłódki, o wieku zaopatrzonym w wąską szparę. Była to po prostu skarbonka, do której wrzucano grzywny, a nazywano ją kwoką, gdyż doskonale się niosła.

Imć pan Gosznovitzer zastygł w pół ruchu jak pies, który upuszcza trzymaną w pysku kość, kiedy jego pan sięga po kaganiec. Stracił wątek i zmieszany wpatrzył się w przerażający obiekt. Ochryplym głosem zapytał:

— A to co takiego? Czy to mnie dotyczy?

Mostel tylko skinął głową, ale nie odpowiedział.

— Z jakiego powodu?

— Dlatego, mój wielce mości panie Gosznovitzer — zaczął łagodnym tonem starzec — żeś się niewłaściwie zachował, żeś obraził radę i że w obliczu nieuchronnego procesu o grunty pod groch dopomogasz przeciwnikowi ukuć korzystne dla niego argumenty, przez ośmieszający przykład plującego krwią burmistrza. Za to właśnie zapłacisz miejskiej kwoce dwa złote dukaty.

— To dużo — wycharczał Gosznovitzer i aż poczerwieniał na twarzy, bo był strasznie skąpy. Mówiono, że gotów pognać kozę do samego Krakowa, żeby zarobić pięć krajcarów. — Nie mam wielkiego majątku.

— W Lewoczy grzywny za gadanie odmierza się nie wedle majątku, lecz wedle gęby, o tym waszmość dobrze wiesz.

Aliści serce rady miejskiej nie było z kamienia, więc można się było potargować o wysokość grzywny i niejednokrotnie się zdarzało, że złoto, srebro i inne metale przemieniały się w płynne produkty. Podobnie i teraz proszącym tonem wtrącił się rajca Kripélyi:

— Może by wystarczyło, żeby postawił kilka kwart wina?

W lewoczańskim ratuszu lubiano sobie od czasu do czasu popić z okazji ferowania wyroków. *In vino veritas*. Temida tylko oczy ma zawiązane, fantazja starożytnych pozostawiła jej otwarte usta i gardło, a w ogóle nie byłoby sprawiedliwe, żeby kwoka wszystko pożerała.

Mostel wskazał na leżącego za nim nieboszczyka.

— W taki dzień? To by nie pasowało do powagi rady i do należnego zmarłemu szacunku.

— Nie zgadzam się z tym — pospieszył w sukurs Bibera. — Węgier i w zmartwieniu pije,

my zaś także jesteśmy Węgrami. Chyba że...

(Co prawda żaden z nich nie znał węgierskiego, nawet Pálfalvi, noszący madziarskie nazwisko, jeden tylko János Hulik potrafił się dogadać łamaną węgierszczyzną.)

— Pewnie, że jesteśmy Madziarami — odpowiedział Mostel. — Widać to choćby z tego, że wciąż się nawzajem gryziemy. Właśnie za tę węgierską kłótniwość, zasługujesz, mości panie Gosznovitzer, by zapłacić owe dwa dukaty. *Dixi*.

Nie było rady, trzeba było wysupłać dwa dukaty. Grzebał imć pan Gosznovitzer po kieszeniach, sapał, a na czoło wystąpiły mu krople potu wielkości laskowych orzechów. Z trudem wyliczył tyle srebrnych pieniędzy, ile wart był jeden dukat, i wrzucił je do „kwoki” obiecując, że resztę „doniesie”. (To także był rys upodabniający go do Węgrów.) Po czym mamrocząc powrócił na miejsce.

Teraz zaś, kiedy nastąpiła święta zgoda — oświadczył z zadowoleniem pan Mostel, zażywając szczyptę tabaki — załatwmy najpierw sprawę gruntu pod groch. Jutro musimy spisać protokół na miejscu, potem zaś imć pan Nustkorb niech przedsięweźmie wszelkie konieczne kroki w imieniu rady. Nie wiem, do kogo i w jakiej formie należy wnieść skargę. Ponieważ jednak waszmość tyle sobie po tym obiecujesz, prosimy, byś działał.

Nustkorb skłonił się na znak, że będzie posłuszny rozkazowi.

— Teraz zaś powróćmy do najpilniejszej sprawy, dla której właściwie zeszedliśmy się tutaj, a mianowicie do ustalenia szczegółów uroczystości pogrzebowych, jakie się należą naszemu drogiemu burmistrzowi. Ze swej strony proponuję, abyśmy urządzili zmarłemu pogrzeb na koszt miasta i żeby kondukt wyruszył z ratusza. (Ogólny aplauz.) Na wszystkich budynkach miejskich należy wywiesić czarne flagi. Ciało zmarłego niech będzie przez trzy dni wystawione na katafalku w dużej sali obrad ratusza, czterech hajduków z obnażonymi szablami i czterech z zapalonymi pochodniami niech trzyma przy nim straż dniem i nocą. Przez te trzy dni wszystkie dzwony w mieście niech biją co trzy godziny. W dalszym ciągu stawiam wniosek, aby ciało zmarłego zostało pochowane pod murem katedry, gdzie spoczywają wszyscy znamienici mężowie miasta Lewoczy.

— Aprobujemy!

— Dalej. Płyta nagrobna wmurowana w ścianę katedry powinna być z białego lub szarego marmuru. Na niej niech widnieje płaskorzeźba przedstawiająca szlachetną podobiznę zmarłego, a to ku pamięci potomności, którą to płaskorzeźbę wykuje na koszt miasta kamieniarz József Tomis z Kieżmarku. Obojętne, ile to będzie kosztowało. Jednocześnie zarządza się, aby w czasie uroczystości pogrzebowych wszystkie kramy i warsztaty były zamknięte, aby zamarło wszelkie życie, a bramy miejskie należy zawrzeć, aby żadne wozy przejeżdżające przez miasto nie turkotały i nie zakłócały spokoju. Te zarządzenia uważam za konieczne.

— Wydaje mi się — zaproponował imć pan Gosznovitzer tak nieśmiało, jakby nie był tym samym człowiekiem — że należałoby także namalować jego konterfekt i zawiesić go w sali rady miejskiej.

— Tak, naturalnie! — odezwały się zewsząd głosy. — To się rozumie.

— Wobec tego ogłaszam to, co powiedziałem, za obowiązującą uchwałę — oświadczył przewodniczący powstając z miejsca. — A że tym samym wyczerpany został przedmiot naszej dzisiejszej narady...

Ale imć pan Bibera nagle odrzucił już włożoną pelerynę i rzekł:

— Oho, jeszcze nie jest wyczerpany. Proszę jeszcze poczekać, mości panie przewodniczący. Pozostała najpilniejsza sprawa, a mianowicie uspokojenie wzburzonej krwi mieszkańców miasta. Dla zmarłego bardzo mało możemy zrobić, jest spokojny niezależnie od naszych decyzji, ale spokój żywych jest sprawą najważniejszą. Pamiętajmy, że chodzi o honor

miasta, o doznaną obrazę, a tego nawet na przeciąg godziny nie można odkładać.

— Na to przyjdzie czas — odpowiedział Mostel ruchem ręki odsuwając tę sprawę na później. — Trzeba się nad tym spokojnie zastanowić. Gniew jest złym doradcą, a świeżo wzbudzony gniew — najgorszym.

Teraz jednak Bibera wstał z krzesła i to, co miało być tylko wtrąceniem kilku słów, urosło do oracji, którą wygłosił z takim patosem, że słuchaczom serca zaczęły bić przyspieszonym tętnem.

— Nie mamy ani godziny do stracenia. Trzeba zdecydować o odwecie. Wszystko inne może poczekać. Kiedy człowiek dostanie w twarz, to nie robi sobie najpierw okładu, tylko patrzy, jak oddać policzek. Twarze wszystkich mieszkańców Lewoczy płoną ze wstydu. Nie można tego zignorować. (Z galerii wiwaty.) A jeśli chodzi o zmarłego, to najważniejsze przy jego katafalku nie są ani wielka pompa, ani kwiaty na trumnie, ani dym pochodni, ani błysk hajduckich szabel czy bicie w dzwony na wszystkich wieżach, ale to, by przynajmniej ciałem był obecny na posiedzeniu rady, na którym zapadnie postanowienie o pomszczeniu jego śmierci.

Wzruszając ramionami Mostel odpowiedział:

— To nie jest taka błaha sprawa, jak by się mogło wydawać. Nie umiem sobie w tej chwili wyobrazić, co moglibyśmy uczynić. Niebezpieczeństwo nie tkwi w opóźnieniu, lecz w pośpiechu. Moim zdaniem, należy poczekać. *Kommt Zeit, kommt Rat.* Jeśli jednak waszmościowie znają jakiś cudowny sposób i sądzą, że to uspokoi naszych współobywateli, nie mam nic przeciwko temu. Poddaję pod głosowanie, czy mamy teraz zająć się tym zagadnieniem, czy też później.

— Teraz! Teraz! Teraz! — rozległy się głosy wokół stołu, tylko Makulics i Hulik głosowali „później”: pierwszy dlatego że z zasady sprzeciwiał się wszystkiemu, czego chcieli luteranie, drugi zaś był niespokojny, bo jego młoda, śliczna żona siedziała na galerii zupełnie oderwana od rzeczywistości i zatopiona w poufałych szeptach z przystojnym Mikłósem Blomem, cieszącym się sławą uwodziciela, którego już z dwóch miast (Białej i Kieżmarku) wydalono za rozbicie rodzinnego szczęścia. Imć pana Hulika zawsze dręczyła zielonooka zmora zazdrości, można więc sobie wyobrazić, jakie cierpiał katusze będąc przykuty do stołu narad, tym bardziej że co swawolniejsi rajcowie ostrzegali go żartobliwymi aluzjkami w rodzaju: „Iskry lecą na dach domostwa waszmości, panie Hulik”, albo: „Kot się zakradł przez komin i już sięga po szperkę.”

— Niech będzie — poddał się Mostel. — Większość chce dzisiaj zająć się sprawą odwetu. Zmuszony jestem się zgodzić. Jednak w tak doniosłej sprawie świadkowie nie są pożądani, wzywam więc obecnych na galerii, aby opuścili ratusz. Waszmościom zaś przypominam przysięgę, którą składaliście, że wszystko, o czym tu będzie mowa, stanowi absolutną tajemnicę, jeśli nie uchwalimy podawać tego do publicznej wiadomości; kto zaś rozpowie tajemnicę, popełni zdradę, którą przypłaci gardłem albo banicją.

Na to ludzie z galerii zaczęli się rozchodzić popychając się i nadeptując sobie na nagniotki, przy akompaniamencie pisków i gniewnych słów. Kiedy wreszcie wszyscy wyszli, woźny dokładnie sprawdził, czy ktoś się nie ukrył pod ławą. Dopiero kiedy stwierdził, że nie dopuszczono się takiego podstępu, sam opuścił salę i odchodząc pogroził stojącym na straży hajdukom:

— Jakby któremu z was przyszła ochota podsłuchiwać przez dziurkę od klucza, to mu jutro po południu na rynku kat obetnie uszy.

W ten sposób wszystko załatwiwszy, z czystym sumieniem zszedł do ratuszowej piwnicy (w owych czasach dla wygody spragnionych panów rajców pod każdym ratuszem znajdowała się winiarnia). Teraz też piwnica pełna była gości, nawet najwytworniejsi ringbürgerzy — czyli właściciele domów przy rynku — nie wstydzili się siedzieć od kilku godzin przy kuflu piwa, oczekując niecierpliwie na uchwałę rady. Poruszenie wywołało zjawienie się woźnego, który

opowiedział o oskarżeniu rzuconym przez Gosznovitzera, oracji obronnej Nustkorba, a także o postanowieniach w sprawie pogrzebu.

— A więc posiedzenie już się skończyło?

— Skądże! Teraz się zaczyna. Wyprosiłem galerię, potem sam siebie wyrzuciłem. Do tej chwili było to posiedzenie nadzwyczajne, prawdziwa narada dopiero teraz się odbywa. Jak wychodziłem, panowie rajcowie nałożyli urzędowe togi. (Dla nadania posiedzeniom uroczystego charakteru wszyscy rajcowie nakładali na swe odzienie jednakowe togi.)

— A co teraz będzie?

— Mają coś uchwalić w sprawie Görgeya.

— Ale co mu mogą zrobić?

— Jeden Pan Bóg to wie — odpowiedział woźny, wznosząc oczy ku niebu, to znaczy ku sklepieniu piwnicy.

— Wielkim panom trudno dać radę. Ichmościowie na górze szykują rożen, a pieczeń gania po lesie.

Takie same pytania i najróżniejsze uwagi padały w całym mieście. Na rynku znowu falował tłum. Rozkaz imć pana Mostela, aby się ludzie rozeszli, poskutkował tylko na krótko, niczym chinina przy gorączce. W takiej historycznej godzinie ludzie po prostu nie mogli usiedzieć w domu. Pastor Samuel Rafanidesz kazał otworzyć katedrę i zapalić świece, gdyż nastąpiła noc; ciżba biedoty zapełniła natychmiast nawę, odśpiewano *Bóg jest naszą silną twierdzą*, po czym rozległy się słowa grzmiącego kazania o Sodomie i Gomorze, które to miasta Bóg w swoim czasie tak ciężko pokarał, co powinno być ostrzeżeniem dla miasta Lewoczy, karą za wybujałe ambicje, które od kilku lat opanowały dusze bogaczy. Albowiem, porzuciwszy skromność i dawne mieszczańskie obyczaje, składają ofiary na diabelskich ołtarzach pychy: pną się w górę, córy swe uważają za towar i wystawiają na targ, aby się wkraść w pokrewieństwo ze szlachtą, i odwracając się od Boskiego oblicza wyciągają grzeszne ręce ku marnym świecidełkom.

Ci, co czekali na dworze, wprost się rzucili na tłum schodzący z galerii. Co się stało? O czym tam jeszcze radzą? Kiedy odbędzie się pogrzeb? Co postanowili w sprawie Görgeya? Jeszcze nic? — Do stu tysięcy fur beczek — burczał Tamás Bobest, w swoim czasie rotmistrz w wojsku Imre Thökölyego. — Cóż to znaczy, że jeszcze nic nie postanowili? Stary ze mnie wojak, ale Bóg mi świadkiem, że zaraz bym dosiadł konia, pognałbym do Görgő, pojmałbym sam jeden tego zbója i tu bym go przygnał, zakutego w żelazo, ja bym pokazał, ja... gdyby...

— Gdyby co?

— Gdyby nie był wyznawcą Lutra, bo na luteranina nie podniosę ręki...

Oświetlone okna ratusza podtrzymywały nastrój podniecenia. Spoglądały na nie setki par ciekawych oczu. Czasem na przeciwległym murze zarysował się ruchomy cień. O, wstał któryś z rajców! Może już idą? A może się kłóca, bo cień się porusza, przecież nawet rajca potrafi się złościć i podskakiwać.

Noc nie była ciemna. I księżyc trochę przyświecał, i śnieg dawał odbłask. Na ulicach było go po kolana, ale pod arkadami śnieg odnieciono i można się było suchą nogą przechadzać pod podcieniami niedużych mieszczańskich domów. Do bajek bowiem trzeba zaliczyć opowiastki o wspaniałych pałacach miasta Lewoczy. Za czasów Thökölyego nie było żadnych pałaców, poza siedzibą Thurzów, urzędem komitackim i ratuszem. Wznosiły się tam małe domki, przeważnie w stylu gotyckim, z trzema oknami od ulicy. Na czterookienne fasady nikt się nie porywał, nic w tym zresztą dziwnego — w mieście otoczonym obronnymi murami każda piędź ziemi miała ogromną wartość, nie można jej było lekkomyślnie trwonić na wielkopańskie zachcianki.

Warowny gród nie może dążyć do posiadania wspaniałych pałaców i ogrodów, lecz musi pomieścić jak najwięcej ludzi, aby się rozmnażali i bronili murów. W czasie gdy działa się

opisywane tu wydarzenia, większość domów była z drewna, tylko ściany od ulicy stawiano z kamienia. Najwyżej trzydzieści domów było całkowicie zbudowanych z kamienia. Zresztą komu by się przydał taki duży dom? Żaden magnat ani szlachcic nie mieszkał w Lewoczy, nawet by mu nie pozwolono. Jedynym wyjątkiem była rodzina Máriássych, gdyż w 1660 roku zasłużyła sobie na wdzięczność miasta. W każdym domu znajdował się na dole sklep albo warsztat i obszerna sklepiona sień, w której przyjezdni kupcy rozkładali w czasie jarmarków towary. Na górze były wszystkiego trzy pomieszczenia: od ulicy *die Stube* — coś w rodzaju bawialni, *das Zimmer* — pokój mieszkalny od podwórza, i całkiem w głębi *die Kammer*, to jest sypialnia. Nie było w całym mieście rodziny posiadającej cztery pokoje. Kiedy w roku 1662 książę Gábor Bethlen powracał do Siedmiogrodu z obozu wojennego pod Madziarskim Brodem i chciał się zatrzymać na odpoczynek w Lewoczy, trzeba było trzy stojące obok siebie domy opróżnić z mieszkańców i powybić w murach drzwi, żeby miał gdzie zamieszkać. W tymże roku przejeżdżali tędy wysłannicy Ferdynanda II, János Biber biskup Varádu i strażnik korony Péter Révay, wioząc świętą koronę przekazaną przez Bethlena. Dano im wówczas kwatery w najpiękniejszym domu mieszczańskim, u Weissenbergerów. Biskupowi przypadł co prawda przyzwoity pokój, ale imć pan Révay wraz z koroną musiał się zadowolić niewielką komorą.

Mimo wszystko te małe domki miały dużo wdzięku. Przynajmniej w jednym z trzech okien od ulicy kwitły pelargonie. W drugim i trzecim można było dostrzec ładne buzie dziewczęce lub pełne uroku twarze młodych mężatek — rzecz jasna, tylko za dnia. Teraz jednak wszystkie okna były ciemne, ich mieszkańcy wylegli na ulice.

Tymczasem tragiczna śmierć burmistrza powoli zaczęła ustępować na dalszy plan w rozmowach ludzi krążących po mieście. Ponieważ wszyscy znaleźli się na ulicach, więc każdy spotkał kogoś, do kogo miał interes. Jakimś cudownym sposobem tak się dzieje, że po pół godzinie tworzą się grupki ludzi czymś z sobą związanych, każda dziura w worku trafia na swoją łatę. Do rodzin, gdzie są dziewczęta, przyłączają się znajomi młodzieńcy i zaczynają się przekomarzania; mama spotyka stare przyjaciółki i wymieniają spostrzeżenia lub usłyszane wiadomości. Zatwardziali kawalerowie pasą oczy widokiem młodych mężatek, choć nie wszyscy są tak zuchwali jak ten nicpoń Blom, który na widok każdej urodziwszej białogłowy, powodowany niemoralnymi myślami, rzuca uwagi kompanom: „Chyba diabeł dałby radę!”, albo też nadając przy tym boleściwy ton głosowi i potrząsając utrefioną i wypomadowaną głową: „Nie dam rady!” Nieraz przechodzące niewiasty to słyszą i rumienią się. Szkoda gadać, gdyby rada miasta dbała o moralność, powinna by tego aroganckiego kawalera wyprosić z Lewoczy.

Co prawda, przy takiej okazji nie tylko hulaki i nicponie mają rozrywkę, ale dosłownie wszyscy. Młodzi terminatorzy obrzucają się śnieżkami i dochodzi nawet do bijatyk pod wieżą Menhárda, gdyż chłopaki od garbarza, uczący się wyprawiania kolorowych skór, żywią wrogie uczucia w stosunku do blacharzy i kotlarzy. Kapitanowie wiertelników przywołują wielkim głosem drabantów i hajduków, żeby biegli i łapali chłopaków, którym nie wstyd w takiej smutnej chwili brać się za łby.

Chwila była smutna, ale przecież już się stało, wszyscy o tym zapomnieli. Wszak to tylko chwila. Teraz odwrotnie, mieszkańcy Lewoczy doskonale się bawią, rozbrzmiewają chichoty i wesołe przekomarzania, jakby na ulicę wyległ tłum po balu maskowym. Tylko oświetlone okna ratusza od czasu do czasu przypominają ludziom, że czekają na wiadomości.

Rodzą się coraz nowe wieści. Niektóre głowy mają nieprzebraną fantazję. To ten, to ów wyskakuje z czymś nowym. Jeden powiada, że miasto sprowadzi zaciężne wojsko, paruset żołnierzy, i przypuści szturm do nory susła, Görgő, aby go schwycić. Tylko pospólstwo daje temu wiarę. Zaciężni żołnierze? Ho ho, to dobry pomysł — ożywiają się białogłowy.

Światlejsi tylko się śmieją. Co za głupie gadanie! Nikt przecież nie wie, o czym tam na górze

radzą, drzwi cały czas są zamknięte.

Temu jednak przeczy nagłe ukazanie się imć pana rajcy Hulika. A waszmość skąd się tu wziął? Wszyscy rajcowie są jeszcze w ratuszu i narada trwa.

Imć pan Hulik tłumaczy, że źle się poczuł i musiał opuścić zebranie. Otacza go natychmiast zwarty pierścień ludzi, tłoczą się piękne i wytworne damy, nękanie ciekawością.

— Co się stało?

— Czy kto nie widział mojej małżonki? — pyta imć pan Hulik.

— Przechadza się tu gdzieś z rodziną Gosznovitzerów. Ale niech nam waszmość powie, coście uradzili?

— Mam kłódkę na ustach — powiada i ręką pokazuje nie kłódkę, tylko usta.

— Ejże, coś niecoś możesz waść szepnąć — dopraszają się niewiasty. — Nie bądź waść taki uparty, mości rajco. Z twarzy waszmości widać, że zapadło jakieś straszne postanowienie.

— Zaiste, nie będzie się jejmościom podobało — odpowiada z powagą i głębokim przekonaniem imć pan Hulik.

— Ejże, co za gadanie! Skąd waść wiesz, co się białogłowom podoba, a co nie? Rzeknij chociaż, kiedy się odbędzie pogrzeb burmistrza.

— Pojutrze po południu czy kiedyś tam — odpowiada imć pan Hulik i idzie dalej.

— Chyba mu się w głowie pomieszało? — mruknęła jedna z niewiast, zawsze skora do żartów Antalowa Teöke. — Co znaczy ta nieskładna odpowiedź? — I spojrzała lekceważąco za odchodzącym, który niemal się zderzył z Mikłósem Blomem.

Kamień spadł z serca rajcy, kiedy ujrzał, że groźny uwodziciel, którego podejrzewał o niecne zamiary w stosunku do żony, przechadza się z własnym kuzynem, niejakim baronem Koppenem.

— Czyś nie widział mojej jejmości? — zapytał.

— Nie dam rady... — odpowiedział roztargniony Blom — to jest, chciałem powiedzieć, że jej nie widział od chwili, kiedy nas wyproszono z galerii.

— Dokąd waść tak spieszysz? — zapytał już teraz życzliwszym tonem pan Hulik.

— Do domu, spać. Muszę bardzo wcześnie się zerwać. Sprawa honorowa. Trochę krwi się poleje. Hm. Trochę błękitnej krwi. Hm.

— Co waść mówisz! Kto i o co?

— Ojej! Chyba wariat ze mnie, omal się przed władzą nie wygadałem! Chodźmy już, Konradzie.

Tymczasem lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że rada przyzwała pospiesznie miejskiego woźnego, który zalewał robaka w ratuszowej piwnicy. Kazano mu natychmiast założyć konie do sań. Co to ma, u diabła, znaczyć?

Wkrótce przed bramą ratuszową stanął zaprzęg czterech dereszów, na schodach ukazał się woźny w kudłatym kozuchu i wsiadł do sań. Prędko, lećmy do niego, może się czegoś dowiemy!

— Dokąd to? Dokąd? — dopytywało się jednocześnie z dziesięciu cisnących się ludzi.

— Do Rissdorfu — wyjaśnił niechętnie. — Po medyka imć pana Kriknera.

W Rissdorfie mieszkała schorowana jejmość, pani Csáky, u której w zamian za ordynarie na stałe rezydował medyk. (Tacy wielcy państwo mogą sobie pozwolić na różne dziwactwa.)

— Tak spiesznie, w środku nocy? Dla kogo?

— Dla burmistrza — odparł zagadkowo woźny. — A spieszno mi, bo jak go nie zastanę w domu, to muszę za nim jechać, gdziekolwiek by był, tak brzmi rozkaz rady.

— Burmistrz przecie nie żyje. Medyk nie przywróci mu ducha!

Woźny wzruszył ramionami.

— Albo to ja wiem, co on ma robić? Nie moja sprawa. Jazda!

Zdumiewające polecenie dało pole do najróżniejszych domysłów. To doprawdy niepojęte.

Ciekawość została w najwyższym stopniu połączona.

Czyżby go chcieli krajać? Ale po co? Przecież wiadomo, jak umarł. A może burmistrz ożył? — rzucił ktoś pytanie. Głupie gadanie, przecież utoczyli z niego wszystką krew.

Żeru dla rozmów nie brakło, pospólstwo powtarzało jakieś zabobonne wierzenia, aż nagle na miejskiej wieży zaczął bić mały dzwon.

— O! *Bierglocke*! Jak prędko ten czas leci...

Dźwięk małego dzwonu, zwanego *Bierglocke*, czyli „Piwny dzwon”, oznacza godzinę dziewiątą. W Lewoczy jest to pora, kiedy zamyka się karczmy i piwiarnie, goście muszą je opuścić. Po tym dzwonieniu trunki można już tylko zabierać do domu, i to wyłącznie do drugiego dzwonienia, gdyż w przeciwnym razie tyje „miejska kwoka”. Grzywnę płaci każdy, kto się po tej godzinie wałęsa po ulicach. Wolno najwyżej dokądś iść, jeśli się ma coś bardzo pilnego do załatwienia, i to wyłącznie z latarnią w ręku. Chodzenie bez latarni, choćby w najjaśniejszą księżycową noc, jest przez radę surowo karane. Może to zwariowany nakaz, ale przecież miasta żyją z pracy, więc pracujący mieszczanin musi spać. Rada wtrąca się nawet do pory spania, ale jeśli chodzi o sam sen, to już panuje swoboda i każdy może śnić, o czym tylko chce.

Pocziwe miasta zamieszkałe przez Sasów nawiązywały do dyscypliny, więc w piętnaście minut po *Bierglocke* ulice opustoszały. Hajduków wysłano z ratusza po latarnie, ponieważ ichmościowie rajcowie będą wracali do domu z latarniami po zakończeniu posiedzenia. (Czym się ono zakończy, o tym można się będzie dowiedzieć dopiero z rana.) Całe miasto rozświetlono oświetlonymi oknami, ale nie trwało to długo, gdyż po dziesiątej małe domki na nóżkach z podcieni przymykały oczy i popadały w głęboki sen. Na wyniosłym stropie okrywającym świat zajaśniały tysiące wesółych gwiazd, a na wszystko opadła cisza bardziej uroczysta i surowa niż w lesie, gdzie szeleszczą gałęzie drzew, i głębsza niż na wsi, bo tam szczekają psy. W Lewoczy nie ma ani drzew, ani psów. Tutaj szlachetna rada zastępuje nawet psy. Nie w szczekaniu (niech Pan Bóg broni, byśmy podobną myśl chcieli podsuwać!), ale w tym, że rada strzeże domów i mienia obywateli przy pomocy Polizei-Ordnungu, trzynastu baszt i zamkniętych bram.

Chociaż sascy mieszczenie nie lubili drzew — w czym nie ma nic dziwnego, bo przecież ze swym wodzem Arnoldem (przodkiem Görgeyów) przybyli tu w tym celu, by wykarczować drzewa i puszcze — to jednak miasto Lewocza posiadało tuż za murami warownymi piękny ogród ze starannie wytyczonymi alejkami, w którym rosły ozdobne egzotyczne drzewa i krzewy. Latem było to urocze miejsce, do którego w niedzielę wędrowało całe miasto i tam kojarzyły się pary. Na ustawionych ławach i pod rozłożystymi koronami drzew rodziły się miłosne wyznania i głębokie westchnienia, a na pniach pozostawały wyrte pierwsze litery imion, upamiętniające różne miłe chwile. Pośrodku ogrodu stał pięknie wybielony domek ogrodnika, a obok karczma z wymalowanym na froncie herbem miasta w postaci potrójnego pagórka z podwójnym krzyżem i dwoma podtrzymującymi tarczę srebrnymi lwami. Miasto, będące właścicielem wielkich winnic na stoku góry Tokaj (pozostawionych miastu w spadku przez jednego z Thurzów), prowadzi tu latem sprzedaż wina, po którym człek czuje się niemal lwem — o ile nie staje się po prostu świnia. Patrycjusze miejscy chętnie wybierają się tu na przechadzki w dni powszednie, cechy tutaj urządzają zabawy, a młodzież majówki. Zimą natomiast życie zupełnie zamiera. Ogrodnik i karczmarz przenoszą się do domostw w obrębie murów, gdyż tu groziłoby im pożarcie przez wilki. Na strychach lub w szopie obok karczmy chronią się na noc rozbójnicy.

To miejsce wyznaczył György Görgey młodemu Fabriciusowi na spotkanie.

O ile jasna i przejrzysta była noc, o tyle mglisty i pochmurny wstał ranek, jakby się zamieniły rolami.

Fabricius ze swymi sekundantami przybył pierwszy figlarnie rozdzwonionymi saniami

Mikłósa Bloma. Ten ostatni był jednym z sekundantów, a drugim młody człowiek o ryżej koziej bródce, baron Koppen, ubrany w czarny aksamitny strój cudzoziemskiego kroju i w jasną perukę. Miał wygląd Francuza, ale był Sasem z Drezna. Matką jego była Marta Blom, siostra starego Bloma, bogacza z Leibitz, która w Saksonii wyszła za mąż za rodaka.

Młody Koppen bawił po raz pierwszy na Węgrzech, dokąd przyjechał w odwiedziny do krewnych, i właśnie od tygodnia przebywał w gościnie u kuzyna Mikłósa Bloma w Lewoczy. Był to arogancki pyszałek, który z lekceważeniem traktował swych mieszczańskich krewniaków.

Mgła bardzo wolno się rozwiewała. Fabricius gniewnie zauważył:

— Jak można się tu bić? Nie widzę nawet czubka własnej szabli. To już nie mgła, ale gęsta śmietana. Jakiś czas przechadzali się po śniegu i niecierpliwie oczekiwali zjawienia się przeciwnika.

— Może wcale się nie stawi — zachichotał baron.

— Wykluczone — zachnął się Fabricius. — Görgey jest szlachcicem.

— E, różnie bywa! — skrzywił się baron z pogardliwym machnięciem ręki. — Nie każdy jest rycerzem, kto nosi ostrogi. Kogut też ma ostrogi, a nie jest rycerzem. Patent szlachecki nie czyni z człowieka džentelmena.

— O węgierskiej szlachcie można mieć różne mniemanie, drogi kuzynie — oświadczył Blom — ale żeby się szlachcic nie stawiał na pojedynek, to się jeszcze nie zdarzyło, od kiedy Bóg jest na niebie.

(Blom miał zamiłowanie do przesadnych porównań.)

— Ciasny horyzont, mości panowie, ciasny horyzont. Dla żaby dwie skrzyżowane laski stanowią warowny mur. Czym są owi węgierscy szlachcice? Czy bywają w towarzystwie? Czy może czytają książki? Czy sztuka i muzyka wysubtelnia ich dusze? To zwyczajni chłopci, którzy w szufladzie chowają na psiej skórze wypisane szlacheckie patenty. Popijają i hulają w swych marnych, brudnych dworkach i panują nad garstką wynędzniałych poddanych. Pożerają wszystko, co im kraj może dać, ale oni państwu nic nie dają. Szczególnie taka szlachta jak tu, na Spiszu, żyjąca na chudych gruntach, rodzących zaledwie owies. Aż dziw, że tak wysoko ich cenicie! Gdybyż chociaż mieli przyzwoite przywileje!

— Mają tyle samo, co wy w waszym małym kraiku, który pchła może dwoma skokami przesadzić.

Na to imć pan Konrad Koppen wpadł w gniew.

— Jak to, tyle samo? — dowodził namiętnie. — Koppenowie na przykład mają taki przywilej, że niewiasty z ich rodu mogą usiąść, jeśli księżna siedzi, i mogą nie wstawać, kiedy książę się do nich odzywa stojąc.

— Wyobrażam sobie, jak to wpływa na tuszę ichmości baronowych Koppen. I co jeszcze?

— Zacznę choćby od tego, że taki spiski szlachcic nawet się nie może dostać przed oblicze panującego.

— Jak to, nie? — przerwał mu Fabricius z nagłym rumieńcem. — Czy mości baron się nie myli? Już dwóch spiskich szlachciców zasiadało na węgierskim tronie: János Zápolya i Imre Thököly.

Baron zdobył się na wymuszony uśmiech.

— Muszę stwierdzić, że niegorszi z was mieszczenie! Jak możecie tak mówić, kiedy dzikus ze szlacheckiego rodu właśnie zabił waszego burmistrza.

— To co innego. Za to się zemścimy.

— Trudno uwierzyć. Bo skoro już dzisiaj taki panuje nastrój...

— Możesz mi waszmość wierzyć — potwierdził Fabricius z przekonaniem. — Ale oto i oni.

György Görgey nadchodził ze swymi sekundantami. Przeciwnicy skłonili się sobie, sekundanci przedstawili się i podali sobie ręce. Károly Mecséry — baron Koppen; Ferenc Máriássy junior — Miklós Blom.

— Paskudną mamy pogodę!

— Chodźmy do szopy, mości panowie, tam przynajmniej nie będziemy stać w śniegu.

I jedna, i druga strona miała z sobą szable.

Sekundanci wybrali ostrzejsze.

— Przede wszystkim należy postanowić — zabrał głos Miklós Blom — czy pojedynek ma się odbyć według przepisów saskich czy też węgierskich.

— O tym zadecyduje wyzwany — rzekł Károly Mecséry.

Fabricsius obojętnie wzruszył ramionami.

— Mnie tam wszystko jedno. Pozostawiam wybór memu przeciwnikowi.

Görgey lekko się skłonił.

— Niech będzie zgodnie z saskim obyczajem.

Pojedynek saski był znacznie rozsądniejszy niż ówczesnie praktykowany przez Węgrów, którego przepisy podobne były do dzisiejszych, z tą tylko różnicą, że nie stosowano niezliczonych ceregieli, które teraz figurują w kodeksie honorowym. Przeciwnicy stawali naprzeciwko siebie, walczyli do pierwszej albo do ostatniej kropli krwi, ale nie zabierali z sobą doktora, jako że medyków było mniej niż rycerskich sprzeczek, i nie spisywano żadnego protokołu. W owych pojedynkach płynęła krew, a nie inkaust. Saski pojedynek był o tyle rozsądniejszy i szlachetniejszy, że jeśli któryś z przeciwników doszedł do wniosku, że on jest winien, to mógł pozwolić drugiemu zwyciężyć, przy czym nie naruszało to w niczym jego prestiżu, ambicji i rycerskiego honoru, a zarazem pozostawiało mu nietkniętą skórę. Natomiast w innych pojedynkach dużą rolę odgrywa obawa przed mianem tchórza i opinią towarzyską, zwykle pozbawioną logiki. Jeśli ktoś nawet żałuje, iż drugiego obraził, zmuszony jest do zadawania mu cięć i ran, mimo świadomości, że i tak bez powodu wyrządził mu krzywdę. Sprawę mógłby spokojnie załatwić prosząc o przebaczenie, ale na to brak mu odwagi, ma jej dość tylko na to, żeby się dać zabić albo żeby zabić przeciwnika.

Pojedynek saski odbywa się całkiem inaczej. Miklós Blom odłamał ze starego spróchniałego drzewa możliwie prostą i cienką gałąź, a do dziupli w drzewie wrzucił kilkanaście krajcarów. Lubił bowiem popisywać się szerokim gestem, a tyle właśnie wyniosłaby kara za ułamanie gałęzi, gdyby to jakiś strażnik wypatrzył. Złamaną gałąź przystawił do Fabricsiusa, jako do wyzwanego, i dokładnie zaznaczył na niej jego wzrost od pięt do czubka głowy (młody człowiek był słusznego wzrostu), po czym kozikiem odciął niepotrzebny koniec. Tą gałęzią wyrysował dwa identyczne koła na ziemi, jedno tuż przy drugim.

— Możecie waćpanowie zaczynać.

Przeciwnicy stanęli każdy w swoim kole i mogli rozpocząć walkę. Przedtem jednak przypomniano im punkt regulaminu, że kto w zapale walki lub przyparty przez przeciwnika przestąpi obręb własnego koła, będzie uważany za pokonanego, przy czym jego honor pozostanie nienaruszony wobec Boga i wobec ludzi.

Tak więc, jeśli ktoś nie chciał widzieć rozlanej krwi, starał się działać szybko. Z rozmachem nacierał na przeciwnika i z rozpędu przekraczał granicę koła. Na tym pojedynek był zakończony, pokonany trochę kłął, ale nie tracił opinii dzielnego dżentelmena.

Tym niemniej saskie przepisy miały też swoje wady. Przede wszystkim wyraźną przewagę dawały długie ręce, poza tym dozwolone były wszelkie nieprzepisowe cięcia, z wyjątkiem *coup de Jarnac*, czyli pchnięcia. Królowała pierwotna zasada „wal, tnij, to przecież nie twój ojciec”, inaczej mówiąc: tnij, gdzie się da. Wszelkie zwody, obejścia i chytre akcje były nie tylko

dozwolone, ale wręcz korzystne.

Raz, dwa, trzy! Dostarczyli do siebie. Klingi błysnęły, zderzyły się, sypnęły iskrami, i niemal z miejsca okazało się, że młody Fabricius, który w Dreźnie pobierał nauki, uczył się szermierki u dobrych fecht mistrzów. Spokojnie i elegancko przyjmował cięcia. Görgey natomiast uczył się rycerskiego rzemiosła od ojca, według węgierskiej modły, i operował małymi ruchami z nadgarstka. Właśnie ten sposób walki zmieszał przeciwnika walczącego szkolnie, czuł się też nieswojo z krótszą, nieco skrzywioną węgierską szablą w dłoni, gdyż przywykł do dłuższej, prostej niemieckiej klingi, której koniec jest z obu stron wyostrzony. Nie stracił jednak przytomności umysłu (a to jest najważniejsze w takim spotkaniu), lecz odwrotnie, całkiem na chłodno zmienił pierwotny zamiar. Postanowił nie nacierać, dopóki nie przeniknie systemu walki, który był dla niego nowy, i ograniczył się wyłącznie do obrony. Parował więc i cofał się.

Görgey przystąpił do pojedynku jak do zabawy, gdyż czuł sympatię do młodego Fabriciusa i był przekonany, że do ręki mieścucha bardziej pasuje szewski nóż albo hebel, wobec czego należy się z nim łagodnie obejść i zadowolić się byle draśnięciem. Ale podobnie jak to bywa z apetytem, który wzrasta w miarę jedzenia, tak brzęk stalowych szabel odurzył go, a oczy sypnęły iskrami niczym zderzające się klingi. Ciągłe cofanie się przeciwnika obudziło jego zuchwałość, trochę lekceważąca postawa i swobodna obrona wywołały gniew i krew szybciej zaczęła krążyć, a każdy Görgey, gdy popije z tych wszystkich źródeł jednocześnie, czuje w sobie lwa. Opanowany potrzebą wykazania się bohaterstwem, zapomniał, że stoi przed nim dreźnieński żak, Fabricius, a nie żaden siedmiogłowy smok. We własnej wyobraźni przemienił się w świętego Jerzego i, zapominając o postanowieniu oszczędzenia przeciwnika, przygotował ramię do potężnego cięcia. Fabricius zorientował się i odruchowo uskoczył w lewo, ale jednocześnie sparował cięcie i piorunująco zaripostował, co zmusiło z kolei Görgeya do nagłego cofnięcia w lewo, przy czym jednocześnie się zachwiał.

Szybki Mecséry natychmiast rozdzielił walczących własną wyciągniętą szablą.

— Stój! Imć pan Fabricius wyszedł z koła.

— To samo uczynił imć pan Görgey — oświadczył baron Koppen.

Tak było istotnie. Obaj w tym samym momencie przekroczyli wyznaczone im koła. Nie ma zwycięzcy, ale też nie ma pokonanego. W myśl saskich przepisów trzeba zacząć od początku.

— Niech się trochę wysapią — zaproponował Mariśssy.

— Nie. Co to, to nie — sprzeciwił się Blom na swój zawadiacki sposób. — Protestuję w imieniu płuc, mości panowie. Na jakiej podstawie mamy pozbawić płuca ich najświętszego prawa? Czemu i one nie mają być ważnym czynnikiem? W odniesieniu do bohaterskiego czynu zwykło się mówić: „Włożył w to całe serce.” Czy tylko serce ma wspomagać bohatera? Należałoby się też przekonać, czy ktoś włożył w to i płuca.

Na taki argument trzeba było się zgodzić. Przeciwnicy stanęli więc każdy w swoim kole i podjęli walkę. Teraz Görgeyowi było znacznie trudniej, gdyż Fabricius nacierał na zimno, wytwornie, bez widocznego podniecenia, podczas gdy Görgey poczerwieniał, dyszał, po pięknie sklepionym czole ściekał mu pot, walczył z płomiennym ożywieniem, ale to wszystko niewiele pomagało wobec wyuczonyj szkolnej szermierki tamtego. Można było stawiać dziesięć do jednego, że zwycięży Fabricius. Ten ostatni jednak nie żywił gniewu, zdawał sobie sprawę, że młody Görgey nie mógł poprzedniego dnia postąpić inaczej, nie miał zamiaru go zranić i postanowił wykonać tak zwane zwodzone cięcie Gripe'a, które udaje się co najmniej dziewięćdziesiąt osiem razy na sto. Polega na tym, że wybija się szablą z ręki przeciwnika — co w saskim pojedynku jest równoznaczne ze zwycięstwem. Niech się cała komedia skończy bez rozlewu krwi, najwyżej sekundanci zażartują sobie z niego. Zwód polegał na tym, że należy wykonać natarcie fingujące cięcie na pierś, a kiedy przeciwnik chce je sparować, wystarczy

błyskawicznym obrotem nadgarstka obejść gardę przeciwnika od dołu i z całej siły uderzyć jego klingę. Uderzenie zadane z nieoczekiwanego kierunku bez pardonu wybija broń z dłoni przeciwnika. Tym razem jednak Görgey tak mocno ścisnął rękojeść szabli, że nie wypadła mu z ręki, tylko została podbita, a że zaskoczony młodzieniec wyciągnął ramię, jakby chciał instynktownie ją przytrzymać, szabla opadając ścięła koniuszek lewego ucha Fabriciusowi i uderzyła go w ramię, ale cios nie spowodował zranienia, tylko zatrzymał się na kurtce.

Fabricius nawet nie spostrzegł tego okrojenia własnej osoby, ale imć pan Máriássy, aplikant przy komitackim pisarzu, zauważył parę kropelek krwi na jego muszli usznej.

— Krew! — wrzasnął.

Obydwaj opuścili szable i badawczo przyglądali się jeden drugiemu, gdzie ta krew.

— Ucho masz zakrwawione, mości panie Fabriciusie.

— Niemożliwe! — zdziwił się Fabricius.

— Chyba nawet czubek jest ucięty.

Fabricius sięgnął do ucha, poczuł ból i zobaczył krew na własnej dłoni.

Görgey podszedł do niego.

— Ogromnie żałuję, że taką przykrość waćpanu sprawiłem.

Fabricius podał mu rękę z uśmiechem, a Görgey ją uściśnął.

— Nic nie szkodzi — powiedział wesoło młody mieszczanin. — Jest już w mieście kulawy Fabricius, był także jednooki, jako że mój ojciec stracił prawe oko walcząc w szeregach Thökölyego, będzie więc teraz i okrojony Fabricius.

— Nie martw się — pocieszał go Blom. — Kto wie może do ślubu ci odrośnie jak u salamandry.

Przez ten czas Mecséry zeskrobał trochę wapna z muru domku ogrodnika, rozgniół je w palcach i zasypał Fabriciusowi ucho, żeby przestało krwawić. W owych czasach ludzie nie latali po byle co do apteki.

Do zwyczajów należało także, by pogodzeni przez pojedynek przeciwnicy razem się ludziom pokazali, wobec czego Görgey siadł do sań Bloma przy Fabriciusie i tak pojechali do miasta.

Po drodze, jak to zwykle bywa, padały uwagi na temat pojedynku. Mówiono o młynkach, o cięciach z prymy i kwinty, a baron Koppen poklepał Fabriciusa po ramieniu i wyraził się z podziwem o jego męskiej postawie i stoicyzmie wobec odniesionej rany.

— Sasi to doprawdy twarda rasa — powiedział — skoro przez tyle stuleci w obcym kraju nie zmiękli.

— Ejże, *Cousin, Cousin*, nie ośmieszaj się wobec tego szlachetnie urodzonego pana! — odpalił mu Blom. Czy wiesz, com tu widział przed kilku laty, kiedy byłem takim właśnie młodzieniaszkiem jak ty teraz? Caraffa kazał wbić na pal kilku kuruców tam, pod plesznickim lasem. Wbici na pale jak na rożny spokojnie sobie kurzyli fajki. Niech szczeznę, jeżeli to nieprawda. Gdzieżbyśmy mogli tu zmięknąć.

Görgey nie znał Bloma i spojrzał pytająco na Fabriciusa, który zrozumiał osłupienie malujące się w jego spojrzeniu i odpowiedział po węgiersku:

— Niech szczeznę, jeśli to prawda. Zresztą to dobry chłopak, i nawet trudno powiedzieć, że kłamca, przypomina tylko trochę szkło powiększające.

Dojechali do miasta i wysiedli przed urzędem komitackim. Görgey wszystkim podał rękę i zwrócił się do Fabriciusa:

— Bądźmy od tej chwili przyjaciółmi.

Głos zdradzał wzruszenie, a z brązowych oczu biła życzliwość.

— Chciałbym tego — odpowiedział Fabricius i jakby pod wpływem złego przeczucia przez czoło przebiegła mu chmura — bardzo bym chciał, jeśli Bóg pozwoli.

- Dzielny chłopak — wyraził swoje uznanie Blom, kiedy młodzieniec zniknął w bramie.
- Rzeczywiście — zgodził się Fabricius. — Bardzo się cieszę, że go poznałem.

Koppen ironicznie się roześmiał.

- Powinieneś jeszcze dodać: jestem szczęśliwy, że uciął mi kawałek ucha.

— Znowu nie rozumiesz, na czym rzecz polega, *Cousin* — wtrącił Blom. To cięcie w ucho więcej znaczy dla Fabriciusa niż wszelkie świadectwa ze szkoły i uniwersytetu, które otrzymał i jeszcze otrzyma, bo teraz jest panem i ma pozycję.

- Nie rozumiem.

— Jasne, że nie rozumiesz i nigdy nie zdołasz zrozumieć, bo jesteś Niemcem i łatwiej byłoby przefarbować wody oceanu niż ci to wyjaśnić. Ale co to? Bębnią. Chodźmy prędzej.

Istotnie, od strony rynku dochodził odgłos bębna. Przechodnie przyspieszali kroku, a kto zmierzał w przeciwnym kierunku, zawracał i szedł z powrotem. Kupcy i rzemieślnicy w zielonych fartuchach i miękkich czapkach stawali w drzwiach sklepów i warsztatów. Wiadomo, że dzisiaj nie będą ogłaszać ani licytacji, ani jakiegoś nowego zarządzenia porządkowego. Lewocza stoi u progu wielkich wydarzeń. We wszystkich domach otwierano okna nie zwracając uwagi na wyziębienie. Z pierwszego piętra domu Theöków wyjrzała śliczna główka figlarnej jejmości: uśmiechnięte różowe liczka, otoczone wykrochmaloną falbanką porannego czepka, wyglądały jak róże owinięte w białą bibułkę.

Blom podniósł wzrok, zwabiony trzaśnięciem okna, uchylił kołpaka, za co spłynął na niego z góry uśmiech i kokieteryjne skinienie główką.

— Bóg mi świadkiem, że nie dam rady — mruknął niepoprawny kawaler bolesciwym głosem, żeby wzbudzić zazdrość obu młodych studentów, co przypuszczalnie sprawiało mu większą przyjemność niż ewentualne prawdziwe podboje.

Imć pan Miklós należał bowiem do często spotykanego gatunku uwodzicieli ceniących sobie wyżej przygodę, która się nie zdarzyła, byleby ludzie o niej mówili, niż trzy przygody, o których nikt nie mówi, chociaż miały miejsce. Powiedziałbym nawet, że właściwie wcale nie był uwodzicielem (kobiety bowiem niechętnie oddają się w ręce samochwałów), można przypuszczać, że prawdziwych przygód miłosnych wcale nie miał, tylko aluzjami i pyszałkowatymi uwagami stwarzał wokół siebie nimb niebezpiecznego donzuana.

Przyjemność sprawiała mu nie kobieca miłość, lecz obawy zazdrosnych mężów i zawiść kompanów.

Hajduk wybił pałeczkami ostatnie taktę na bębnie i w ciszy, jaka zapadła, stentorowym głosem odczytał zebrany, co następuje:

„Podaje się do wiadomości każdego, kogo rzecz dotyczy, z woli Najwyższego Boga i w imieniu szlacheckiej rady miasta Lewoczy:

Po pierwsze: Z uwagi na ogólną żalność z powodu zgonu imć pana burmistrza zarządza się, żeby tegoroczne zapusty zostały z kalendarza wymazane, żeby nie odbywały się żadne głośnie zabawy ani cechowe uczty, żeby wszelkie pobudzające do wesołości instrumenty, jak skrzypce, dudy, cymbały, gitary i harmonijki zostały na ten czas i w domach, i wszędzie zabronione, wyłącznie trębacz miejski otrzymuje zezwolenie na wykonywanie swej powinności.

Po drugie: Zostaje postanowione, że w osiem dni od dnia dzisiejszego, który to czas jest pozostawiony na sprawienie odpowiedniego przyodziewku, wszyscy mieszkańcy grodu Lewoczy, a to patrycjusze, szlacheckie urodzeni i mieszczenie wszelkiego stanu, jak również ich małżonki i córki na wydaniu, wyłączając tylko zwykłe sługi — wszyscy winni w kościołach, w miejscach publicznych i na wszelkich zebraniach, jak również na jarmarku, na rynku i na ulicach, a także latem w miejskim ogrodzie, ukazywać się wyłącznie w czarnej odzieży tak długo, póki nie zostanie uzyskane zadośćuczynienie za ponurą i tragiczną śmierć lewoczańskiego burmistrza.

Ten strój i czarne sukno będą nieustannie przypominały wszystkim mieszkańcom, że są dłużnikami wobec godności własnej i honoru, jak również wobec dostojęstwa swego miasta. Kto zaś przekroczy to zarządzenie, zapłaci grzywnę od dziesięciu do pięćdziesięciu talarów.

Po trzeciej i ostatniej: Podaje się zarazem wszystkim do wiadomości, iż pogrzeb zmarłego imię pana burmistrza odbędzie się pojutrze o godzinie czwartej sprzed ratusza. Jego prawa ręka natomiast zostanie ucięta i zabalsamowana, a następnie złożona w oszklonej gablocie w sali obrad rady miejskiej, a to jako przypomnienie i bodziec, do czasu, póki nieboszczyk nie otrzyma zadośćuczynienia, zgodnie z prastarym zwyczajem, iż lepiej, by na razie został pochowany bez jednej ręki niż z pustymi rękami. Kiedy przy boskiej pomocy zdołamy z drzewa honoru zerwać owoc odwetu, pozostawiona tu ręka zostanie pogrzebana na drugim uroczystym pogrzebie.”

Jejmość pani Teökowa gniewnie zatrzasnęła okno, kiedy hajduk skończywszy czytanie poszedł z bębniem o jedną ulicę dalej. Zaczynała teraz rozumieć wczorajsze zagadkowe powiedzenie rajcy Hulika. Fabricius z aprobatą pokiwał głową: „Nie ma co, słusznie to rada postanowiła.” Blom natomiast wybuchnął:

— Ot i proszę, z trzeciego miasta mnie wyrzucają. To znaczy, sam się stąd wyniosę. O Boże, cóż to będzie za nudne miasto, całe w czerni! Najlepiej zrobimy, drogi kuzynie Konradzie, jak od razu zaczniemy się pakować, żeby dokądś pojechać. Ale dokąd?

— Może by tak do Białej, chciałbym i ja zobaczyć te piękne polskie białogłowy — zaproponował baron.

— Nie dam rady, *Cousin*, doprawdy nie dam już rady, nie żądaj tego ode mnie — odpowiedział melancholijnie. — Jedźmy raczej do mego ojca, do Leibitz.

Rozdział siódmy

(PANIENKI NA WYDANIU)

Zarządzenie o posmaku wendety ogromnie wpłynęło na podniesienie ducha mieszkańców Lewoczy, umocniło także autorytet rady miejskiej, ale odbiło się bezpośrednio na kieszeniach, gdyż podziało paraliżująco na handel oraz na zainteresowanie ze strony obcych.

Był to pierwszy wypadek, że rada miasta Lewoczy nie wzięła pod uwagę materialnych interesów mieszkańców, choć zawsze stawiała je na pierwszym planie. Może właśnie dlatego miasto doszło do takiego rozkwitu właśnie wtedy, kiedy cały kraj tonął w nędzy.

Czyżby Lewocza tuczyła się krwią całego kraju? — mógłby zapytać zawistny niedowiarek. Nie. Własną krwią. Ale władze Lewoczy tą krwią zarządzały.

Było to tak. Otóż nasi przodkowie, Węgrzy, mieli (już i wtedy) takie władze, które zabierały dla własnych celów wszystko, czego nasi przodkowie nie zdołali sami spotrzebować (stąd chyba wzięło się porzekadło, że „nasze jest tylko to, co zjemy”). Tymczasem władze saskich miast na Spiszu nie zabierały mieszczanom niczego, wręcz przeciwnie, nawet nie pozwalały na trwonienie tego, co stanowiło ich własność. Mieli dobre i zapobiegliwe prawa, których zawsze przestrzegali. My także mieliśmy czasem dobre prawa, ale czasem ich nie przestrzegaliśmy.

Trzeba przyznać, że aby przestrzegać statutów miasta Lewoczy, trzeba było mieć odporne serce i żelazną dyscyplinę, gdyż sięgały one głęboko w prywatne życie obywateli. Sascy mieszcianie dostają się pod opiekę Stadt-Ordnungu i Polizei-Ordnungu jeszcze przed przyjściem na świat i pozostają pod tą opieką aż do śmierci, oblegani ze wszystkich stron przez różne paragrafy. Stadt i Polizei-Ordnung wtrąca się dosłownie do każdego ich kroku stawianego na tej

ziemskiej planecie i zmusza, by byli pobożni, oszczędni, a w końcu także bogaci.

Kiedy niewiasta znajduje się w błogosławnym stanie, miasto zaczyna rozciągać opiekę nad przyszłym obywatelem i czyni wszystko, aby jego pojawienie się w obrębie warownego grodu odbyło się w możliwie najkorzystniejszych warunkach. Kiedy małe Sasiątko już przyszło na świat, statut miejski — zależnie od zamożności rodziców — ustala, ile gości poza rodzicami chrzestnymi należy zaprosić na chrzciny. Dalej: ile i jakie potrawy można gościom podać, żeby nie trwoniono niepotrzebnie pieniędzy. Ponieważ jednak Sasi na Spiszu są także ludźmi (i to przeważnie bardzo pocziwymi), więc podobnie jak Węgrów korciło ich, aby sprytnie ominąć przepisy. Gości co prawda nie spraszali więcej, tylko tyle, ile określał statut, lecz prosili dwudziestu lub trzydziestu ojców chrzestnych i całą gromadę chrzestnych matek. Ho, ho! Rzucił się i na to magistrat niczym jastrząb, dzieląc obywateli według stanu majątkowego i ustalając ilość ojców i matek chrzestnych najwyżej na trzy pary, zależnie od zamożności.

Ten podział na stany dał początek epidemii hierarchii, która i tam zaczęła się szerzyć. Rodzina o jednej parze rodziców chrzestnych, jeżeli marzyła o wywyższeniu się, pragnęła za wszelką cenę dostać się do grupy o dwóch parach. Rodziny o trzech parach należały już do oligarchii. Należenie do „trójchrzestnej” rodziny było dokładniejszym oznaczeniem pozycji majątkowej niż dzisiejsze księgi hipoteczne. O Quendlu z Białej mówiono i w Kieżmarku, i w Lewoczy, że „wolno mu chyba ze stu ojców chrzestnych prosić”.

To bardzo znamienne. Nawet jeśli królowie nie psują swych poddanych orderami i tytułami, potrafią oni sami sobie wymyślić dostateczną ilość ogłupiających bujdy.

Od chrzciny do pogrzebu wszystko było ujęte w przepisy: nauki w szkołach, ceny obrzędów ślubnych, koszty i poziom uczt weselnych, nawet zapłata dla kapeli była ustanowiona przez panów rajców. Zabronione były gry w karty i kości oraz posiadanie bogatych zaprzęgów. Wobec tego z nudów ludzie pracowali i gromadzili pieniądze.

Na cóż więc mógł saski mieszczanin wydawać pieniądze? Kochanki nie można było utrzymywać, bo jakby się władze zwiedziały, to oboje zostaliby wygnani z miasta. Ale gdyby ktoś nawet miał kochankę (powiedzmy, że w absolutnej tajemnicy), kosztowałoby go to grosze. Zabronione było posiadanie brylantów, wschodnich pereł, szmaragdów i pięknych krwistych rubinów. Wśród dozwolonych drogich kamieni prym wiodły ametysty i czeskie granaty. Białogłowy nie znały koliai, najwyżej nosiły na szyi medaliony ze srebra lub złota w kształcie serduszek. Policja nie pozwalała też stroić się w wyszukane materie. Białogłowy z uboższej warstwy mogły nosić tylko morawskie sukno, kartuny, turecką bagażę lub perski mohar. Dla dziewcząt dostatecznym luksusem było wyhaftowanie jedwabną nitką na niedzielnym fartuszkowi własnego imienia gotyckimi literami: „Elisabeth Zabler” albo „Katherina Friebel” (co, trzeba przyznać, nie było złym zwyczajem z punktu widzenia młodzieńców, lustrujących wychodzące po nabożeństwie niedzielne młode panny). Dziewczęta służebne były skazane na noszenie czterech czy pięciu rodzajów podlejszych materii, jak drelich, barchan, grube płótno lub baja — może też dlatego wołały przyjmować służbę w wiejskich dworach. Rzemieślnicy i kupcy zatrudniający więcej niż dwóch czeladników mogli swym małżonkom sprawiać odzież z delikatniejszego angielskiego lub holenderskiego sukna lub z tafty, gdyż miały prawo się stroić, o ile zaraza próżności przesączyla się do ich krwi. Szyły sobie spódnice z różnych wymyślnych materii. Jeśli chodzi o genueńskie aksamity oraz weneckie i florenckie atłasy i materie jedwabne, były one wyłącznym przywilejem dam z patrycjuszowskich rodzin; dozwolone było także noszenie jedwabnych brokatów, chociaż „szanujące się mieszczki i ich córki tego nie czynią”, natomiast brukselskie i inne kosztowne koronki były surowo zakazane.

Dziewczęta, poza wiankiem, nie mogą przystrajać głowy żadnymi ozdobami z kosztownych kruszców, jako że włosy są ich największą ozdobą. Staniki sukien wolno było u szyi głęboko

wycinać (to zrozumiałe, bo przecież nic nie kosztuje), ale lewoczańskie piękności raczej z tego nie korzystały (to jasne, bo przeważnie miały płaskie biusty).

Przy takim trybie życia węgierskie porzekadło, że „jesteśmy biedni, ale dobrze sobie żyjemy”, można było w stosunku do miast saskich na Spiszu odwrócić: „Jesteśmy bogaci, ale nędznie żyjemy.”

Tym niemniej należy podziwiać dzielnych ojców miasta, którzy tak umieli rozkazywać, i mieszczan, którzy tak potrafili słuchać. Gdyż owe rządy były mądre i jako całość głęboko przemyślane. Lewoczański burmistrz był czymś w rodzaju małego weneckiego doży, z radą złożoną z rajców i kapitanami straży miejskiej, prowadził surową, energiczną politykę, która miała na celu uchronienie mieszczaństwa od zaraźliwej rozrzutności; było bowiem jasne, że naśladowanie trybu życia wiejskiej szlachty zabiłoby miasta, których znaczenie i przywileje opierały się na sile majątkowej ich mieszkańców.

Takie były w ogólnych zarysach ramy, w których rozkwitały w XVI wieku saskie miasta górnych Węgier, gdzie mieszczenie niemal siedzieli na workach złota, a w piwnicach trzymali skrzynie pełne dukatów i talarów, albo też w dalekich krajach handlowali skórą i winem, obracając ogromnymi kapitałami, podczas gdy panowie szlachta bądź to walczyli z Turkami przeciwko Niemcom, bądź po stronie wojsk cesarskich przeciwko Turkom.

Niezależnie od tych specyficznych statutów miejskich było jeszcze wiele innych powodów bogacenia się mieszczan. Ważnymi czynnikami były wprawdzie pilność, oszczędność, opanowanie rzemiosła i handel, ale tylko historycy wysuwają to jako źródło ogromnych fortun miast, bo im się wydaje, że poznali przeszłość, a tymczasem powtarzają tylko ogólnie przyjęty frazes...

Nie można zaprzeczyć, że były dobrze pomyślane statuty miejskie (a Żydów jeszcze nie było), że ożywiona wymiana handlowa też robiła swoje, ale wielkie fortuny nigdy się nie rodziły z wykonywania zwyczajnych zawodów. Były to najwyżej zarobki, o których się mówi: „*Kleine Fische gute Fische*”. W każdej epoce istniejące już wartości i sposoby zarabiania doprowadzały do rozpychania się i bogate grona winorośli dzieliły się między wiele rąk. Na szczęście jednak zawsze pojawiają się nowe wartości i nowe sposoby dorabiania się. Wykonycypowanie ich i zręczne zagarnięcie było zawsze zadaniem tak zwanych „sprytnych filutów”.

Dawniej, kiedy miasta spiskie były jeszcze biedne, za zręczne ścięcie głowy nieprzyjacielowi na polu bitwy (byle na oczach wodza) dostawało się cztery albo pięć wiosek; w naszych zaś czasach, kiedy miasta spiskie znowu zbiedniały, człowiek może się wzbogacić z dnia na dzień na kolejce powiatowej albo przez interwencje u najwyższej władzy (o ile władza zechce przymknąć oczy).

W czasie kiedy działy się opisywane wydarzenia, pojawiło się nowe niezwykle źródło bogactwa, a mianowicie jeńcy tureccy. Z ciągłych potyczek z Turkami stany walczące zaganiały do swych włości duże gromady jeńców, szczególnie w okresie przed powstaniem Thökölyego (potem bowiem ilość Turków zmniejszyła się, tak jak ubywa dzików w puszczech), w każdym niemal szlacheckim dworze wałęsało się sporo jeńców, co w jakiś sposób podnosiło prestiż gospodarza, podobnie jak pięknie urządzonej dom nie może się obejść bez poroży jelenich i niedźwiedzich skór.

Między tymi trofeami nie było wielkiej różnicy. Bohaterski pan domu przez jakiś czas chwalił się wobec gości, w jaki to sposób Omar czy Hasan dostał się w jego ręce, zupełnie jakby chełpił się zdobyczami myśliwskimi. Satysfakcja była o tyle większa, że można było pokazać żywy dowód, będący świadectwem odwagi żołnierskiej gospodarza. O tyle wyżej ceniono sobie jeńców. Zabita zwierzyna jednakże jest pod pewnym względem cenniejsza, gdyż da się zjeść, podczas gdy pojmany Turek sam dużo je, ale nie potrafi się nagiąć do węgierskiej roboty;

wykorzystywano więc jeńców tylko do wyciągania wody ze studni, kołysania dzieci i pielienia w ogrodzie.

Po niedługim czasie węgierski szlachcic miał już dość tych jeńców, szczególnie jeśli ich nabrał zbyt wielu, i zaczynał narzekać: „Po kiego licha mam tuczyć tych darmożjadów?”

Jednego czy dwóch udawało się tu i tam upchnąć jak szczenięta ogarów, które się zbyt szybko rozmnożyły; dawał ich w upominku szwagrowi czy jakiejś kumie, ale z pozostałymi nie wiedział, co robić. Tymczasem miękło także serce jejmości na widok spoglądających wciąż w stronę Mekki niewolników i namawiała małżonka:

— Najlepiej byłoby puścić ich do domu. Zobaczysz waszmość, że nawet chrześcijański Pan Bóg nam to wynagrodzi.

Kiedy tego rodzaju nastroje zaczynały się szerzyć, pojawiali się na zamku agenci kupca Quendla z Białej lub imć pana Mihály Blom z Leibitz, którzy za jeńców obiecywali okrągłe sumki w dzwicznie brzęczących talarach lub w innych złoto-srebrnych monetach, jeśli szlachetnie urodzony pan miał większe obiekcje. Szlachta, szczególnie na początku, z wielkimi oporami zawierała te transakcje, ale po prawdzie to może i lepiej, że za jeńców zapłaci imć pan Quendel lub Blom, niżby sprawę, jak tego chce jejmość, pozostawić chrześcijańskiemu Panu Bogu. W końcu całkiem nawykli do tego procederu i, znalazłszy elegancką formę załatwienia interesu, zaczęli to uważać za całkiem uczciwe źródło dochodu.

To była podłość, nie ma co taić, ale tylko ze strony kupców. Rola panów szlachty była absolutnie *comme il faut*. Przecież oni nie wyzyskują jeńców, tylko się od nich oswobadzają. Przyjmowanie za to pieniędzy jest całkiem na miejscu, bo czemu by nie mieli przyjąć, skoro tamci je ofiarowują, a im się nie przelewa. Czy to jest niewłaściwe lub niesprawiedliwe w stosunku do jeńców? Mój Boże, nic się przecież nie dzieje, tylko od Pála przenoszą się do Pétera. Inaczej mówiąc, imć pan Quendel, pan Blom lub bracia Spitzowie z Kieżmarku podejmują się przewiezienia ich. Panowie szlachta nie wyceniają, który ile jest wart, jak to czynią handlarze niewolników, oni mają gest, sprzedają wszystkich *en bloc* bez trwonienia słów, po pańsku.

Potem dopiero tamci chciwi lichwiarze postępują po swojemu — a to już co innego, to paskudna rzecz. Z całego kraju spędzają takich za psi grosz kupionych niewolników i trzymają ich na składzie. Rodzina Quendlów przenosi się raz do Białej, raz do Lewoczy, zależnie od tego, gdzie sytuacja jest lepsza dla robienia interesów — w Polsce czy na Węgrzech, gdyż pan Quendel jednocześnie handluje winem, a imć pan Mihály Blom prowadzi olbrzymi handel trzodą chlewną i tylko ubocznie obydwa trudnią się lichwą.

Niewolnikami zajmują się i tu, i tam duże kantory, w których zatrudnieni są liczni pisarze i agenci. Nie ma strzykawki, która by dokładniej wyciągała krew niż ci poczciwcy. Tutaj następuje wycena niewolników. Sporządza się wykazy zawierające życiorys każdego, jego stosunki rodzinne, miejsce pochodzenia, stan majątkowy rodziców lub innych członków rodziny; następnie przesyła się te dane do Stambułu, do wspólnie przez trzy firmy utrzymywanego kantoru. Nim przekazane informacje zostaną sprawdzone na miejscu — czy są ściśle, bądź też co się od tego czasu zmieniło — niewolników oddaje się okresowo w dzierżawę mieszczanom do prac murarskich lub innych, żeby nie dokładać do ich żywienia. Wszystko to jest pięknie zorganizowane, pasuje do poszczególnych rubryk. Kiedy ze Stambułu nadchodzą wreszcie wiarygodne dane z cennymi uwagami, na ich podstawie wyznacza się okupy w zależności od sprawdzonych już możliwości płatniczych. Przybywający ze Stambułu agenci zabierają jednocześnie wina imć pana Quendla, a w drodze powrotnej przyganiają z Serbii wielkie stada świń dla imć pana Bloma. Jest to równie proste jak rozplecenie niewieściego warkocza, chociaż składa się on z miliona cienkich włosów.

Historia co większych fortun pełna jest takich forteli. Miedziane grosze to produkty pracy i

potu, zaś złote dukaty — sprytu i przedsiębiorczości.

Ponieważ wszelki pieniądź ściągał do miast, wielkim panom w ich zamkach niczego tak nie było brak jak właśnie pieniędzy. Nie do wiary, jak mało ich mieli. Mogli je dostać tylko za wełnę lub sprzedane bydło, ale i bydło, i owce z reguły były rekwirowane przez wałęsające się po kraju przeróżne oddziały wojskowe — rzecz jasna, w zamian za pozostawione kwity. (Żeby się czuli skwitowani, chociaż nie dostali pieniędzy.) Drzew posiadali dużo, ale w owym czasie nie rozwinął się jeszcze handel drzewem, ziemi też mieli dosyć, ale nie istniały instytucje kredytu ziemskiego. Kto chciał przez majątek ziemski dojść do pieniędzy, temu były pogrzebowe dzwony. W swoim czasie imć pan Guzman kupił po ówczesnej cenie włości Stoyanfalva na Spiszu, płacąc po osiemnaście marek; sto lat później, kiedy tamtejsza ludność wyginęła wskutek dżumy, właścicielka tej wioski, pewna szlachetnie urodzona panna, sprzedała ją za parę butów z cholewami. Pozostawała jeszcze możliwość zaciągnięcia pożyczki pod zastaw ziemi. To niemal śmieszne, za jak małą sumę spora posiadłość może przejść na własność wierzyciela.

Jednym słowem, pieniądź znikąd się nie uśmiechał do możnego pana. (Dlatego Bebekowie i Balassowie byli zmuszeni bić monety z dzwonów.) Cesarz też nie miał pieniędzy. Skarb państwa również. (Dlatego będzie kiedyś zmuszony oddać piekarczowi Harruckernowi cały komitat Békés dla wyrównania długu sięgającego kilku tysięcy złotych florenów.)

Ale przecież pieniądź musi gdzieś być. Powiedzmy, że odpłynął do miast. Za nim! Trzeba go szukać tam, gdzie się znajduje. Wyruszyli więc na łowy synowie dobrych szlacheckich rodów: by upolować piękne mieszczańskie córki ze spiskich miast, głównie z Lewoczy. Początek dali młodzieńcy z Sáros. Oni mieli najlepszy węch. Za nimi pospieszyli ci z Gömör i z Nógrádu. Wieść rozniosła się dalej, przeprowiła się przez Dunaj. Miska Bezerédy stamtąd przywiózł sobie żonkę, Ninę Korb. (Stary Korb wyliczył na stół pięćdziesiąt tysięcy florenów w złocie.) Imre Babarczy dostał w posagu kamienicę w Wiedniu, kiedy pojął za żonę Johannę Gawrin.

Tak więc wzrósł w Lewoczy ruch turystyczny. Miasto, głównie zimą, pełne było wielkopańskich pojazdów, a ich uzupełnienie stanowili wytworni młodzieńcy eskortowani przez stangretów i huzarów, rozglądający się za pannami do wzięcia.

W takich rzeczach Opatrzność bywa absolutnie zdumiewająca. Owa tajemnicza siła natury, która zmusza koguty do piania o świcie, jednocześnie wylewa na firmament czerwieniejącą farbę, dzięki której noc przemalowuje się na dzień, i tak oba zjawiska zlewają się w harmonijną całość. Tylko takim nadzwyczajnym zjawiskiem można wytłumaczyć to, że w trzeźwych, rozsądnych głowach miejskich patrycjuszów powstała iście zwariowana myśl, żeby córki wydawać za młodych ludzi ze szlacheckich rodów. Wydało im się to nagle czymś tak pożądanym, że wprost rwali się do tego. A co dopiero mamusie! To było niewątpliwie pociągające: wejść w pokrewieństwo z klasą panującą. Jakież to piękne, kiedy się ma wnuka nazwiskiem Prónay, de Tót-Próna albo Jekelfalussy, choćby tylko po kądzieli. No cóż, nawet młodszy Sasi nie mieli pretensji, bo przecież zyskiwali szwagrów ze szlacheckich rodów węgierskich.

Z tych obustronnych pragnień zrodziła się instytucja swatki. W mieście nie było zajazdów, ani jednego. Były tylko karczmy i piwiarnie, niemal nad każdą bramą wiatr powiewał pękami długich wiórów, zapraszającymi do środka. Kwatery dla przyjezdnych również stanowiły źródło dochodu całego mieszczaństwa, gdyż w każdym domu, od tyłu, znajdował się pokoik gościnny, a czasem i stajnia, które wynajmowano na czas jarmarków. Poza jarmarkami rzadko zdarzał się obcy, który by chciał zatrzymać się tu na dłużej. Kto się mógł spodziewać, że nadejdą takie czasy!

Ale gdyby nawet były zajazdy mogące przyjąć przyjezdnych kawalerów z Węgier, to i tak sprawa nie byłaby rozwiązana, bo w jaki sposób mogliby się oni zbliżyć do cennego towaru, po

który się wybrali? W mieście nie urządzano balów publicznych. Odbywały się biesiady cechowe, bywały wybory burmistrza i inne okazje, ale nie brały w nich udziału córki bogatych patrycjuszów. Owszem, rodziny patrycjuszowskie schodziły się na imieniny, wesela lub jakieś niewinne zabawy, ale były to spotkania hermetycznie zamknięte dla obcych. Do skojarzenia par różnych stanów mogło dojść tylko wtedy, gdy młodzi spędzili dzieciństwo w tym samym mieście.

Potrzebne było miejsce i jakiś sposób na to, by doprowadzić do realizowania myśli, które już się zrodziły. Tak powstała instytucja swatki, dopomagającej w kojarzeniu małżeństw. Nie miała ona jednak wówczas takiego ordynarnego posmaku, jak dzisiaj, lecz działała dyskretnie, wytwornie, przybrana w upudrowaną perukę, posuwając się krokiem menueta. W Lewoczy mieszkała pewna stara panna o dużej edukacji i surowej moralności, niejaka Matylda Klöster, która i przedtem przyjmowała do siebie małe dziewczynki na wychowanie. Otóż przyszło jej do głowy (myśl musiała krążyć gdzieś w pobliżu), żeby wydzierżawić trzy sąsiadujące z sobą budynki, przebić mury, prowadzić wytworny dom z lokajami, pokojówkami, kucharzem i kucheikami i przyjmować za dobrą opłatą panny na wydaniu na zimowe miesiące, aby się nauczyły wytwornych manier, pańskiego sposobu bycia, jednym słowem, wszystkiego, co jest nieodzowne dla prawdziwej damy. Myśl tę podchwyciły wzajemnie się uzupełniające pragnienia. Może nawet nie zdawano sobie z tego sprawy, tylko instynktownie wyczuwano, że coś z tego będzie, że wyłoni się z tego pomysłu jakby okno wystawowe dla bogatych panien na wydaniu. Młodzi panicze ze szlacheckich rodów będą mogli swobodnie obejrzeć znajdujący się na składzie tegoroczny zbiór i dowiedzieć się, co przy tej lub tamtej zostanie położone na szali. Kiedy zaś dobiją targu, naturalnie za pośrednictwem swatki, nie ośmielą się jej odmówić pewnej z góry uzgodnionej prowizji.

Stara panna, córka cesarskiego pułkownika, po kądzieli spokrewniona z wieloma znamienitymi rodzinami węgierskimi (jej matka była z domu Losonczy), prowadziła szeroką korespondencję z wieloma starszymi paniami ze szlacheckich rodów, które jej przysyłały podroby wieprzowe, ona zaś dostarczała im wiadomości. Jednym słowem, rozporządzała znakomitą reklamą. Reklamą dla jej zakładu było i to, co już wcześniej roztrąbiła po świecie, że córki dwóch sławetnych spiskich nababów, Quendla i Bloma, będące w jednym wieku — Maria Quendel i Klara Blom (młodsza siostra Mikłósa) — jednocześnie zmieniły krótkie spódniczki na długie i tej zimy znalazły się obie wśród jej wychowanek, czyli w przedsiönku wiodącym do ołtarza. Hej, do krośet stu tysięcy! To już naprawdę grube ryby. Będą tej zimy zapusty w Lewoczy, że ho ho, dobrze się zarobi. Zjedzie tylu rozrzutnych młodzieńców, że wszystkie ceny podskoczą...

Obecni nababowie, Blom z Leibitz i Quendel z Białej, to wnukowie tych, którzy się z bogacili na tureckich jeńcach. Ich przodkowie byli współnikami w interesach, oni zaś są wrogami, tylko majątki pochodzą z dawnego źródła. Jak wielkie są te fortuny, tego nawet w przybliżeniu nikt nie jest w stanie oszacować. Dla takich majątków nie wystarczy tabliczka mnożenia, krążą wokół nich legendy, wciąż coś przybywa, coś się zmienia.

Cały Spisz starał się zgadnąć, jakie posagi dadzą ci bogacze swoim córkom, gdyż jeden był bardziej skąpy od drugiego. Imć pan Blom od razu jesienią oddał Klarę na pensję panny Matyldy. Dziewuszka była ładna, miała żywe błyszczące oczka, niczym robaczki świętojańskie. Quendel natomiast dopiero z początkiem listopada, kiedy po śniegu wspaniale można było dojechać saniami, zjawił się z córką w Lewoczy. Tam już szeroko omawiano posag Klary, ale imć pan Quendel, znany ze swych dziwactw, z nikim nie zamienił słowa, tylko pognął prosto do panny Matyldy z Mariką, co do której trzeba przyznać, że miała figurkę zgrabniejszą od Klary. Zapłaciwszy sumę należną za utrzymanie córki i jej edukację, z naciskiem prosił, by otrzymała

wychowanie niczym wysoko urodzona panna Csáky, bo przecież nigdy nie wiadomo...

W tym miejscu stary mrugnął małymi oczkami i nie dokończył zdania, co zresztą było jego zwyczajem: lubił skrzynię z pieniędzmi zamykać, a zdanie pozostawiać otwarte.

Jejmość panna Klöster skinęła głową na znak, że zrozumiała, i w zamian zadała taktowne pytanie o posag, jaki miała otrzymać Mari, gdyby...

Przez grzeczność i delikatność ona także nie dokończyła zdania.

— Hm... a ile daje Blom?

— Jak to, waszmość nic o tym nie słyszałeś w mieście?

— To już ludzie wiedzą?

— Naturalnie — odpowiedziała lekkim tonem — przecież o to chodzi, żeby się wieść rozniosła.

— Z nikim nie rozmawiałem.

Panna Klöster wyjęła wielką księgę, w której każda wychowanka miała oddzielną stronę, i przeczytała:

— Klara Blom dostanie cztery domy: dwa w Koszycach, jeden w Budzie i jeden w Eperjes, poza tym, zgodnie z saskim zwyczajem, dwie krowy.

— Tylko tyle? — zdziwił się imć pan Quendel wykrzywiając usta. — Hm, jejmość powiadasz, że wieść powinna się roznieść? Wobec tego niech tak będzie. Proszę napisać, że Mari dostanie osiem domów, z tego dwa w Wiedniu.

Zadowolony, że się tak wspaniale popisał, z dumną miną powrócił do Białej. Wreszcie dał po nosie Blomowi jak należy. Tymczasem w domu żona nabrała ochoty, by pojechać do Lewoczy i móc się napawać podziwem, jaki musiała wzbudzić wieść o posagu córki. Już po tygodniu namówiła męża, by spędzić kilka dni w mieście, tym bardziej że i syn Miklós tam bawił. Cóż z tego, że dadzą Mari taki olbrzymi posag, kiedy tu, w Białej, nikt o tym nie mówi? Przecież za ofiarę, jaką człowiek ponosi dla córki, jedynym zadośćuczynieniem jest zawiść innych matek. Pojechali więc do Lewoczy, ale tam czekało ich straszne rozczarowanie. Miasto aż huczało od najnowszej sensacji. Przedwczoraj przejeżdżał tędy imć pan Blom i, dowiedziawszy się o posagu Mari Quendel, podniósł posag swojej córki do szesnastu domów, pozostawiając jak poprzednio owe tradycyjne dwie krowy.

Pyszałkowatego pana Quendla spotykały wszędzie uszczypliwe uśmiešky i chichoty.

— Czyście słyszeli? Czy waszmość wie, co się dzieje? Niech go piorun, tego Bloma! Kto by przypuszczał? ! Żeby mieć aż taki gest!

Quendłowi krew uderzyła do głowy, a jejmość gorzko się rozpląkała:

— Nie przeżyję takiego wstydu, Gáspár, zrób coś ze mną!

— Zbój! — wycharczał imć pan Quendel. — Chce mnie zrujnować. (Gniewnie rzucił na stół piwiarni karakułowy kołpak.) Boję się, że uczynię coś szalonego.

Obecni przy tym znajomi, imć panowie Gosznovitzer, Donát Mauks i inni poważni mężowie, chcieli go za wszelką cenę uspokoić.

— Ejże, nie przejmuj się waść. Daj wszystkiemu spokój. Blom to uparty człek. Przy nas powiedział, że to jeszcze nie jest jego ostatnie słowo, gdyby tak się cyrkumstancje złożyły.

Tym jednak jeszcze bardziej rozsierdzili skłonnego do nagłych wybuchów imć pana Quendla.

— Co takiego? Że to nie jego ostatnie słowo? Kto to powiedział? — skrzeczał z roziskrzonymi oczyma. — On tak mówi? Jego syn to powiedział? A ja powiadam, Bóg niech mi będzie świadkiem, że najostatniejsze. Zaraz mu na gębie przybiję taką pieczęć, że głosu z siebie nie wydobędzie.

Chwycił czapkę, zostawił żonę, piwo i przyjaciół i jak mógł najspieszniej pobiegł do domu Bobesta, na piętro, do jejmość panny Klöster, która właśnie pouczała wychowanki, jak winna

wytworna dama wężowym ruchem przegiąć ciało, kiedy u jej stóp klęczy szlachetnie urodzony rycerz, a ona wyciągniętą dłonią robi gest, jakby chciała go podnieść. Dziewczęta, które właśnie grały rolę owych rycerzy, klęczały przed panienkami, aż tu nagle ktoś szarpnął drzwi i stanął w nich imć pan Quendel.

— Na miłość boską! — przeraziła się panna Matylda na widok zmienionej twarzy bogacza. — Co się stało?

— Jejmość wie to najlepiej — wykrztusił stary zdyszany głosem. — Ten łobuz Blom chce mnie puścić z torbami, przelicytował mnie o osiem domów, podobno zamierza dać córce szesnaście posesji. Czy to prawda, czy nie?

— To bardzo chwalebne z jego strony — odparła panna Klöster surowym tonem, a na jej chudej pomarszczonej twarzy znać było oburzenie, że w niewłaściwy sposób i w nieodpowiednim miejscu gość poruszył tę delikatną sprawę. — Cóż mogę przeciwko temu uczynić?

— Ale ja mogę i uczynię! — wykrzyknął głosem nabrzmiałym groźbą, przy akompaniamencie takich gestów, jakby w kogoś walił buzdyanem. — Wypisz jejmość, że Gáspár Quendel nie szesnaście domów, ale szesnaście miast daje swojej córce w posagu.

Piwne oczy imć panny Klöster tak się rozwarły, że wyglądały jak śliwki.

— Szesnaście miast? — powtórzyła niedowierzająco, badawczo przyglądając się imć panu Quendlowi. — Czy to możliwe?

— Szesnaście miast spiskich — uzupełnił imć pan Quendel i dmuchnął z taką siłą, jakby jego płuca dokonały straszliwego wysiłku.

— Czy waćpan jesteś w stanie to uczynić?

Quendel uśmiechnął się.

— Słowo Quendla jest jak Biblia albo i więcej.

Teraz dopiero ucałował Mari, która do niego podbiegła, i obiecawszy, że po południu odwiedzi ją mamusia, powoli, dostojnym krokiem oddalił się. Panna Klöster, olśniona, odprowadziła potężnego, aczkolwiek chuderlawo wyglądającego bogacza na sam dół schodów. Na ostatnim stopniu, kiedy gniew już całkiem z niego wyparował, tak się z nią pożegnał:

— Ten Blom naprawdę mnie zdenerwował. Szczególnie tymi dwiema krowami. Całe szczęście, że już mi ulżyło, bo czułem, że szlag mnie zaraz trafi. Byłoby mi jednak przykro, jako że ze mnie człek delikatny, gdyby mój język wypowiedział słowo, które by uraziło jego córkę... tę... tę trzecią krówkę. Boże mój, cóż to za małostkowość z tym krowami! Chociaż, kto wie... Zaraz, niech no jejmość poczeka. Ja też coś takiego wymyślę. Proszę, niech jejmość wpisze, że do tych szesnastu miast dodam jeszcze osła. Mój przyszły zięć domyśli się, kogo ten osioł oznacza...

Radośnie zachichotał, śmiał się też mijając długie podwórze i wciąż jeszcze się śmiał na ulicy, uderzając się przy tym w piersi i gadając do siebie samego:

— Mnie oznacza... Mnie, Gáspára Quendla, cha, cha, cha.

Przechodnie spoglądali za nim zdumieni, przekonani, że zwariował. Ale nic podobnego. Żwawy, niespokojny człowieczek jeszcze w tym samym miesiącu wyruszył własnym zaprzęgiem do Krakowa, na dwór polskiego króla, gdzie pomyślnie załatwił, co chciał, po czym w niedługim czasie znowu puścił się w podróż do Wiednia, gdzie skarb państwa też był jego dłużnikiem. Tam poprosił o audiencję u cesarza (który osobiście znał tego dziwnego bankiera z górnych Węgier) i złożył uniżoną petycję, popartą żywym słowem, w której zaproponował, że za własne pieniądze wykupi miasta spiskie oddane w zastaw królowi polskiemu, gdyż chce je przeznaczyć na posag córki. Miałby do nich te same prawa co dotychczas Polska, z tą tylko różnicą, że miasta należałyby do macierzy węgierskiej i jej płaciłyby daninę krwi. (Jego mała Marika nie potrzebuje

bowiem daniny krwi.)

Cesarzowi spodobał się ten projekt i Wiedeń z miejsca go poparł. Przed Bożym Narodzeniem żupan podał go do wiadomości radzie komitackiej i stanom, ale tam natrafił na silną opozycję, tak że chyba nic z tego nie będzie.

A to czemu? Bóg jeden wie. Przecież stale lamentowali, że trzeba do macierzy ponownie przyłączyć oderwane członki. Należy przypuszczać, że osoba Quendla jest czerwoną płachtą dla szlacheckich oczu. Obojętnie, czy sprzeciwiają się z tego czy innego powodu, zastawione miasta powinny być im za to wdzięczne. Mają bowiem pod obcym panowaniem szczęśliwsze życie niż te miasta spiskie, które pozostały przy węgierskiej macierzy. Żyją nawet bardziej po węgiersku. Polski rząd wprowadził w szkołach obowiązkowe nauczanie języka węgierskiego, podczas gdy w miastach spiskich pozostałych przy Węgrzech węgierskiego nie uczą.

Takie warunki panowały w mieście Lewoczy u progu wesoło zapowiadających się zapustów. Za oknami zarosłymi pelargoniami snuto przeróżne marzenia, aż nagle dzisiejszego ranka rozległo się na rynku bębnienie, które rozwiało różowe mgiełki.

Uśmiechnięte błękitem niebo w okamgnieniu zaciągnęło się czarnymi chmurami.

Twarde postanowienia rady miejskiej wzbudziły ogólne niezadowolenie. Podobno jejmość panna Matylda Klöster dostała ataku serca zawoławszy uprzednio: „A co będzie z nami?” Kupcy i rzemieślnicy ostro krytykowali magistrat.

— To jednak nie jest w porządku. Burmistrz został zabity, to prawda, ale po co grzebać miasto właśnie teraz, kiedy tak świetnie się rozwija, wprost kwitnie? Wczoraj był tylko martwy burmistrz, dzisiaj jest i martwe miasto. Trawa tu już nie wyrośnie przy takich głupich posunięciach!

Właśnie w kierunku rynku szedł imć pan Donát Mauks, prowadząc za rękę swą latorośl do szkoły. Chłopak usiłował się wyrwać, nieraz zapierał się nogami, tak że trzeba było uparciucha ciągnąć siłą niczym cielaka do rzeźni. Zafrasowani kupcy na widok członka rady wyszli ze swych sklepów, otoczyli go i zarzucając wymówkami dopytywali się, dlaczego trzeba było miasto na nieokreślony czas wpędzić w nędzę, co było powodem i jakie okoliczności na to wpłynęły.

Imć pan Mauks chrząkał, drapał się w głowę i pocierał sobie czoło, przestępował z nogi na nogę, aż wreszcie po dłuższej chwili namysłu odpowiedział, co następuje:

— Nie twierdzą tak albo inaczej, bo gotowicie pomyśleć, że dlatego powiedziałem tak, bo nie chciałem powiedzieć inaczej.

Nikt się po tych słowach nie poczuł mądrzejszy, tylko potomek, który wykorzystał wewnętrzną rozterkę rodzica, żeby wyrwać się z ojcowskiej ręki i umknąć krętymi uliczkami tak daleko, że nawet Tatar by go do południa nie odnalazł.

Gryząc się dalej owymi nieszczęsnymi zarządzeniami, niektórzy dostrzegali w nich — poza chorobliwą chęcią zemsty — jakąś głębszą mądrość.

Od dawna bowiem władze miejskie niechętnie patrzyły na to, co się działo: że węgierscy panicze przyjeżdżali tu na połów i wyciągali najcenniejsze ryby. Ponieważ jednak nie było w tym nic sprzecznego z prawem, a wpływowi panowie orzekli, że całkiem dobrą i pożyteczną rzeczą jest domieszka krwi saskiej do węgierskiej (tak brzmiało uzasadnienie), bezpośrednio nie można było przeciwdziałać. Wobec tego poszli po rozum do głowy i przeszkodzili temu pośrednio, czyniąc z Lewoczy okryte żałobą czarne miasto, gdzie nie ma muzyki, nie ma zabawy, nie ma życia, gdzie nikt nawet nie pomyśli o zerwaniu kwiatka, gdyż kwiaty służą tu wyłącznie do przybrania katafalku.

...Wiadomo, rozum rady miejskiej miasta Lewoczy wystarczyłby na obdzielenie trzech krajów.

Rozdział ósmy

(VITAM ET SANGUINEM PRO VICECOMITE NOSTRO) *

Szlachta mieszkająca w miastach nie czuła się dobrze, podobnie jak ozdobne jodły nie mogą żyć wśród dębów burgundzkich. Do mieszkającego w mieście szlachcica nie mogły się stosować inne prawa niż do mieszczan. Statuty miejskie obowiązywały go w równym stopniu, jednym słowem, mieszczenie nad nim dominowali, a tego duma szlachecka nie mogła znieść.

Szlachcic wolał więc mieszkać poza murami, gdzie niebezpieczeństwo jest większe, ale większa też swoboda. Okazje do wojaczki często się zdarzały. Z wielkiego nieróbstwa wielmożowie zawsze wykoncypowali coś takiego, do czego potrzebna była szabla szaraczkowej szlachty. Dlatego też lubili siedzieć po wsiach, w pobliżu swoich paru poletek, wśród chłopów, bo tutaj czuli się panami. To, że nieraz mieszkał w pobliżu jakiś rzeczywiście wielki pan, jak na przykład Pál Görgey w Görgő, to im nie przeszkadzało, a raczej odwrotnie, znacznie podnosiło na duchu, bo przecież wielki pan tak samo jest członkiem świętej korony jak i oni, perła jest prawdziwą perłą, niezależnie od tego, czy jest wielkości orzecha laskowego, czy ziarnka prosa.

W Görgő zachowała się pamięć po rodzinach Biboków, Fehérów i Vállayów, którzy mieli w okolicy jakieś skrawki ziemi. Ich domostwa niewiele różniły się od chłopskich chat, tyle tylko, że miały ganki, bo palenie fajki na ganku należało do wyraźnych znaków rozpoznawczych szlachcica.

Dom Biboków stał naprzeciw południowej baszty zamku Görgeyów. Gdyby groziło niebezpieczeństwo i huknęły działa, pociski wyrzucone przez otwory strzelnicze musiałyby trafić w ulepiony z surowej cegły dworek, tak że cegła na cegle by nie została. To był naprawdę głupi pomysł, żeby w tym miejscu się budować. Nie tylko ja jestem tego zdania, ale powtarzano to Bibokom ze wszech stron. Oni jednak mieli na to gotową odpowiedź. Wskazywali swój herb, przedstawiający wiewiórkę w koronie wdrapującą się po pniu drzewa, z napisem dokoła: „*Tunc ego vero ultra ero*”, co znaczy: „Przecież wtedy i ja tam będę”, czyli będę za murem; te słowa w delikatny sposób wyrażały wieczną wierność wobec możnych Görgeyów, a przekazywanie potomkom sygnetu rodowego i hołdu było jednocześnie zapewnieniem o ich przywiązaniu do oligarchy.

Tego dnia kiedy w Lewoczy złożono ciało burmistrza na katafalku, gdzieś koło południa na podwórzu Biboków dwaj młodzi chłopcy, bracia Bibokowie, starali się wszelkimi siłami poskromić małą karą klacz i przyuczyć ją pod siodło; stary Bibok obiecał konia temu z nich, który go ujeździ, ale Horka — takie było imię klaczy — kopała i wierzgała, gryzła i stawała dęba, nawet tarzała się na grzbiecie. Chłopcy próbowali wszelkich możliwych sztuczek, ale jeden po drugim spadał albo był wyrzucany w górę, co teraz, przy głębokim śniegu, było wspaniałą zabawą. Jakby się spadało na puchową pierzynkę. Przy bramie zakończonej ostrymi palami zebrała się garść ciekawskich — mężczyzn, niewiast i dzieciarni — którzy obserwowali zabawne wysiłki młodych jeźdźców. Bęc! Znowu Miska zleciał. Oj, a teraz... Józsi dosiadł klaczy. Hop hop! Uwaga! Bestia pędzi do stajni!

* Życie i krew za naszego żupana (łac.)

Patrzący coraz to rzucali jakąś uwagę.

— Coś mi się widzi, że będzie wojna — powiedział któryś z chłopów.

— Chybaście zwariowali, czemu tak gadacie?

— Bibokowie ujeżdżają konia, to chyba coś znaczy.

— A oni skąd by wiedzieli?

— Skąd? — mruczy stary fornał obstukując fajkę. — U szlachcica krew to wyczuje. Tak jak ja wyczuje, kiedy mi trza nowej osi do wozu.

— Hej, kumie, jeżeli wojna będzie wtedy, kiej tej klaczy dosiądzie któryś z młodych Biboków, to do tego czasu najmłodszej gwiazdce urośnie długi warkocz.

— Co prawda, to prawda, nieokiełznana z niej bestyja, chociaż przy korycie u wodopoju zdaje się taka łagodna, że człek mógłby ją na nitce prowadzić.

Nagle na gościńcu od Lewoczy ukazał się dziwny wędrowiec, który zboczył na ścieżkę przy kuźni i zbliżał się do bramy. Miał na sobie jakąś pstrą babską kapotę, przewiazaną w pasie rzemieniem. Długie zmierzwione włosy opadały mu na ramiona spod zniszczonej baranej czapy, której brzeg był z przodu podwinięty. Z ramienia zwisała pasiasta sakwa, a jeden buciór szeroko ziewał i tylko sznurek trzymał jakoś do kupy przyszwę z podeszwą. Wędrowiec mógł mieć około pięćdziesiątki. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, szeroki w barach, o twarzy całkiem zarośniętej brodą, wąsami i krzacastymi brwiami, spod których żywo łyskało dwoje bystrych czarnych oczu, niczym u hieny. Przez czoło biegła półkołem szeroka blizna, kończąc się przy prawym uchu. U szyi na zwykłym postronku zwisała szabla o miedzianym połysku, objając przy każdym kroku to lewą, to prawą nogę idącego. Obcy, nie zwracając uwagi na gapiącą się ciżbę, minął bramę.

— Jak się macie, kochani braciszkwowie — powiedział nie unosząc nawet czapy.

Jeden z chłopców, który właśnie po raz nie wiadomo który poprawiał przekrzywione siodło, zastygł w pół ruchu zaskoczony słowami „kochani braciszkwowie”, patrząc z gniewem na przybyłego, który nie czekając na odpowiedź już wchodził na ganek i kierował kroki ku sieni, skąd dochodziło bulgotanie gotujących się potraw i rozkoszna woń jadła. Chłopak krzyknął:

— Hej tam, czego asan chce?!

Wędrowiec roześmiał się i odpowiedział z aktorskim patosem, akcentując każdy wyraz:

— Niczego nie chcę, drodzy braciszkwowie, mej żony synkowie, jeno chcę się dowiedzieć, czy nasz ojciec żyje.

Starszy z chłopców zaczął się domyślać czegoś niezwykłego, porzucił siodło i konia i popędził za wędrowcem do izby. Tymczasem gapie ze wsi i czeladź zamkowa, słysząc dziwne słowa obcego, zaczęli się do nich dobierać niczym do niezwykłej kłódki, próbując klucza różnych domysłów.

Powiedział „kochani braciszkwowie”? Może stary Bibok miał wcześniej już syna z pierwszą żoną? (O czymś takim gadano we wsi.) Ale dodał jeszcze coś o synach żony. Hm, trudno to pojąć.

Jakiś czas sterczeli przed bramą czekając, aż wędrowiec wyjdzie, bo domyślali się jakiegoś niezwykłego wydarzenia. To pewnie jakiś wałęsający się wojak albo i szpieg, tacy kłamstwem i różnymi fortelami starają się wśliznąć do domów. Hej, stary Bibok zaraz go bykowcem przepędzi. Nic takiego się jednak nie stało — próżno czekali. Tymczasem drugi chłopiec uwiązał Horkę w stajni i też poszedł do domu. Miska zaś ukazał się z zielonym dzbanem i kluczem od piwnicy.

— Hm, to jednak „ktoś”, ten przybyły: winem go traktują.

Zjawienie się obcego wzbudzało coraz większe zainteresowanie, bo przecież na wsi mało się dzieje ciekawych rzeczy. Rozchodzili się ludziska, ale zagadka nie dawała im spokoju. Dopiero

kiedy przed chałupą Mátyása Kramacskó spotkali starą Vojkową i ze wszystkimi szczegółami rzecz całą wyłożyli, ta aż klasnęła w ręce:

— Boże Przenajświętszy! Przecie to Zyga Bibok, ten, który padł wojując za Thökölyego!

— Skoro padł, to nie może być on.

— Skoro padł, to mógł i wstać — odcięła się Vojkowa. — Nie zawracajcie głowy. Ile razy tak było, że ktoś pozostał na polu bitwy albo się w jasyr dostał, od dawna uważają go za nieboszczyka, a on nagle się zjawia. To Zyga Bibok, powiadam wam, mogę nawet przysiąc, bo to było tak, że imć pan Zyga był już żeniaty, kiedy poszedł na wojaczkę, czekali i czekali, aż powróci z obozu, a tymczasem stary Bibok zakochał się w synowej, przecież nawet stary kozioł lubi sól. A sól była ładna, szkoda gadać. Jego wielmożność, ociec naszego pana żupana, to był znany babiarcz, i tak wyliczał szlacheckie rodziny z Görgő: najpierw Bibokowa o białych ramionach. W tych pięknych ramionach zakochał się właśnie stary Bibok, więc kiedy różni świadkowie przynieśli wieść, że Zyga poległ, poprowadził jejmość panią Zsuzsę do ołtarza. Z tego małżeństwa urodziło się dwóch chłopaków i teraz, kiedy zjawił się imć pan Zyga (bo niech mnie ziemia pochłonie, jeżeli to nie on), mógł powiedzieć, jako rzekł: „Kochani braciszku, mej żony synkowie, czy nasz ojciec jeszcze żyje?” Boże Przenajświętszy! Co teraz z tego wyniknie, aż włosy stają na głowie! Odnalazł się, powrócił do domu. Ojej, jej!

Po tych słowach odwróciła się i jak strzała, załamując po drodze ręce i kiwając głową, pobiegła ku dworkowi Biboków. Właśnie jejmość pani Marjákowa — jako że Bóg kieruje krokami swych wybrańców — skończyła wypiek ciasta, które starym miejscowym zwyczajem miała zanieść leżącej po połogu kowalowej. Niosła je na talerzu przykryte piękną białą serwetką i wychodząc z zamkowej bramy niemal wpadła na przebiegającą obok Vojkową.

— Czy jejmość wie, co się stało? — zapytała zdyszana Vojkowa i zaraz sama na swoje pytanie odpowiedziała: — To się stało, duszko, że powrócił do domu mąż Vincowej Bibokowej, Zsigmond Bibok.

Marjákowa w pierwszej chwili nie mogła pojąć, o co chodzi, tylko wyczekująco patrzyła na Vojkową.

— Jejmość nie pojmuje? — wykrzyknęła tamta. — Jejmość pani Zsuzsa Bibokowa ma w tej chwili w domu dwóch żywych, prawdziwych małżonków.

Jakżeby jejmość pani Marjákowa nie pojmowała! Od razu wiedziała, o co chodzi. W tych sprawach była wręcz genialna, tylko że lubiła rozkoszować się takimi specjałami, kosztować owych delicji małą łyżeczką, a nie połykać wszystkiego jednym haustem.

— Dwóch żywych małżonków, powiadacie? Inaczej mówiąc, jej pierwszy mąż jest jej pasierbem, to znaczy synem obecnego męża, którego ona była synową? Tak mówicie? Coś podobnego! To okropne! Czy to może być prawda? Czy ktoś go już widział?

— Nikt nie widział, ale ja wiem. I zobaczę, bo prosto tam lecę, jakbym go nie zobaczyła, tobym chyba zwariowała z wielgachnej ciekawości.

Na to Marjákowa też coś wymyśliła. Niesie przecież talerz z kawałkiem ciasta, dlaczego by go nie zanieść Bibokowej do skosztowania? To doskonały pretekst. A kowalowa niech poczeka do południa.

— Jakbyśmy się umówiły — odpowiedziała — ja właśnie też tam idę, niosę jejmości kawałek ciasta na skosztowanie. Oj biedaczka, cóż ona pocnie? Na Gwiazdkę przysłała jego wielmożności kilka winnych gron, aż dziw, że tak się utrzymały. Niektóre gospodynie potrafią je przechowywać. Pomyślałam sobie, że ręka rękę myje, i choć takiego specjału nie mogę jej zanieść, niech przynajmniej widzi dobre chęci.

Poszły więc obie do Biboków unosząc wysoko spódnice, bo spływająca z obory gnojówka wytopiła śnieg i powstała kałuża. Po drodze Vojkowa uzupełniła wszystkie szczegóły, a

dochodząc do sieni rzuciła:

— Udawajmy, że nic nie wiemy!

— Albo to wiemy cokolwiek? — zdziwiła się Marjákowa. — Przecież nic nie wiemy. Pogadałyśmy sobie tylko całkiem niewinnie. To wszystko.

Kiedy weszły do najdalszej izby (tylko ta była zimną opalana), oczom ich ukazał się godny u wagi widok. Obcy siedział na głównym miejscu przy stole, w rozchełstanym odzieniu, a przed nim stała miska gęsiny z kaszą, z której wylawiał kawałki wątróbki. Zajadał z takim apetytem, że aż mu pot spływał z czoła. Na kanciastej twarzy malowało się zadowolenie, a czerwona smuga na gęstej brodzie była dowodem, że pierwszym daniem była jakaś pomidorowa polewka. Po jednej stronie stołu siedzieli chłopcy, po drugiej siwy jak gołąb stary Vince. Stary nie jadł, tylko wpatrzony w talerz bębnił drżącymi palcami po obrusie. Jejmość pani Bibokowa, blada jak zjawia, krzątała się półprzytomnie koło kredensu. Aż dziw, że tak źle wygląda, bo trzymała się na ogół dobrze, choć, jak powiadają, „szybko marnieje kwiat, gdy go przywiązać do spleśniałego palika”.

Izbę zalegała przynębiająca cisza. Wszyscy mieli nosy spuszczone na kwintę. Nawet pies warczał leżąc pod stołem na brzuchu z rozpostartymi łapami i nie łakomił się na rzucane mu gęsie kostki.

Odwiedziny obu niewiast sprawiły Bibokowej wyraźną przykrość. Musiała się jednak wziąć w garść i zamienić z nimi kilka słów — choć wołałaby zapaść się pod ziemię. Vojkowa poprosiła o pożyczenie na jeden dzień jakiegoś sita, Marjákowa zaś wręczyła ciasto „na skosztowanie, z polecenia jego wielmożności pana żupana”.

— Pokorne dzięki — odpowiedziała machinalnie przekładając ciasto na własny talerz, który postawiła zaraz na stole.

— Bardzo mi przyjemnie, że przyniosłam ten drobiazg akurat w odpowiedniej chwili — spróbowała chytrze zadzierzgnąć rozmowę Marjákowa — kiedy jejmość masz właśnie gościa.

Mówiąc to rzuciła badawcze spojrzenie w stronę obcego, jednocześnie uśmiechając się do Bibokowej. Ale pani domu nie odpowiedziała. Można było wyczuć, że obecność niewiast jest dla niej ciężarem.

Trudny będzie orzech do zgryzienia — pomyślała Marjákowa, ale nie dała za wygraną. Zwróciła się do starego Biboka:

— Jego wielmożność polecił mi, bym waćpanu przekazała jego serdeczne pozdrowienie.

Starzec mruknął coś, co nie bardzo można było zrozumieć, ale nagle z nieoczekiwanej strony przyszło wsparcie. Obcy porządnie sobie pociągnął ze stojącego przed nim dzbana i wlepiając w Marjákową spojrzenie przekrwionych oczu powiedział:

— No, w jego skórze tobym teraz nie chciał być.

— Czy waćpan ma jego wielmożność żupana na myśli?

— A właśnie, w jego skórze nie chciałbym siedzieć.

— Ho, ho, przecież to wcale nie najgorsze miejsce.

— Kiedy indziej to owszem, ale teraz cała Lewocza się na niego wścieka. Stamtąd właśnie idę. Rajcowie podjęli takie uchwały, że złamanego grosza nie dałbym za jego głowę.

— Boże święty! — przeraziła się Marjákowa. — Tak bardzo się na niego gniewają? Ale za co, Boże wielki, za co?

— Cóż to, nie wiecie, co się stało podczas polowania w dniu noworocznym? — zdumiał się obcy i z tego zdziwienia znowu porządnie pociągnął z dzbana, po czym podsunął go wesóło staremu Bibokowi.

— Napij się, panie ojczy, na te troski. Co będzie, to będzie. Nie warto się smucić tylko dlatego, że ja żyję.

Marjákowa jednak nie odstępiała od pierwszego tematu, chociaż i drugi zapowiadał się obiecująco.

— Ależ wiemy, jakżebyśmy nie wiedzieli. Ale to, co waćpan powiada...

— Powiadam tylko, babko, że złe drwa rzucił na ogień, ot co.

— E tam, trochę im tylko dokuczył — chciała złagodzić słowa przybysza Marjákowa.

— Pięknie dziękuję za takie dokuczanie, przecież zabił burmistrza.

— Wielkie rzeczy, miał już przecież sześćdziesiąt cztery lata. A może myślał, że nigdy nie umrze?

Tamten głośno się roześmiał.

— Dobry byłby z jejmości Pan Bóg — orzekł i po raz trzeci pociągnął z dzbana, którego stary Bibok nawet nie tknął — bo jejmość dobrotliwie byś patrzyła na zbrodnię.

— Ja przecież jestem żarliwą chrześcijanką, proszę waści. Prawda, że nie chodzę do kościoła, bo muszę wtedy obiad gotować, jego wielmożność pan żupan nie tknie niczyjego jadła, ino moje. Ale co wieczór, kiedy zdmuchnę świecę i zdejmę, za przeproszeniem, kiecki, odmawiam pilnie pacierz i moja dusza, proszę waszmości, jest niczym biała gołąbka, gdzieżbym ja tam popierała zbrodnicze uczynki, tylko taki jest mój grzech — o ile to grzech — że krew bym za mego pana oddała, a jeżeli lewoczańskie ludzie tak są na niego zawzięte, tobym sto razy własną szyję katu podstawiała za niego. Czy jednak prawdziwie są tacy zawzięci? A czego właściwie chcą, można wiedzieć?

— Powiem to tylko samemu wielmożnemu żupanowi — odpowiedział Zsigmond Bibok, jako że on to był istotnie. — Po południu, tak czy owak, muszę się u niego stawić. Czy nie wybiera się gdzieś z zamku?

— Chyba będzie w domu.

Jejmość pani Marjákowa nie mogła już przeciągać rozmowy, pożegnała się i pospieszyła do domu, pomstując po drodze na przybyłego do domu Biboka.

— Co za przebrzydły człowiek. Wygląda jak góralski zbójnik albo i gorzej. Raz tylko widziałam sławnego Janosika, gębę miał prawdziwie szlachetną w porównaniu z nim. I taki nazwał mnie babką! Cóż on sobie myśli, jest przecież starszy ode mnie. Biedna ta Bibokowa, oj biedna!

Rozstawszy się z Vojkową pobiegła co tchu do domu, żeby powiadomić żupana o znamionym wydarzeniu i zapowiedzieć złe wieści, które imć pan Zyga przyniósł z Lewoczy. Spóźniła się jednak, przynajmniej częściowo, gdyż w czasie jej nieobecności do zamku przygłopotował młody panicz György Görgey i ze wszystkimi szczegółami opowiedział, co się wydarzyło w Lewoczy i jaką uchwałę powzięła dysząca zemstą rada miejska.

Żupan pobladł niczym ściana, na jego twarzy odmalowało się otępienie i znużenie, oczy mu wpadły, cały się przygarbił. Ale słuchając opowiadania bratanka stopniowo się ożywił.

— Czy sądzisz, że dybią na moje życie? — zapytał cicho.

— Tego bym nie powiedział. Nie są chyba na tyle zuchwali, by się odważyli dybać na życie żupana spiskiego komitatu. W każdym razie dobrze stryj uczyni nie pokazując im się, bo Sasa niełatwo doprowadzić do szaleństwa, ale jak raz szaleje, to już na amen.

— Co do tego, to masz chyba słuszość — odpowiedział żupan. — Nie uczynię im tej radości, by pojechać do Lewoczy, bo na to ja musiałbym zwariować, a już lepiej, żeby oni wariowali.

— Najrozsądniej byłoby, mości stryju, żebyś stąd wyjechał na jakie pół roku, na przykład do mego ojca, do Toporca. Do tego czasu ich gniew wyparuje.

— Miałbym uciec? Nie, tego nie uczynię. Przede wszystkim dlatego że gdybym pozostawił ziemię i dobytek bez opieki, zniszczyliby wszystko, co moje, i poszedłbym z torbami. Po drugie,

nie mogę tego uczynić, bo noszę nazwisko Görgey.

— Mości stryju, nie boisz się tu zostać?

— Tego rzec nie mogę. Nawet ci się przyznam, że owszem, boję się, ale nie miasta Lewoczy. Te mury są dość mocne, jak wyćwiczę swoich poddanych i najemę kilku bitnych żołdaków, obronię się przed każdym. Ten, kogo się boję, to...

— Cesarz?

— Nie. Boję się małego sędziego. Tego małego sędziego, który we mnie siedzi, który w swoim czasie ukarał Kaina i karze każdego, kto zgrzeszył. Od wczoraj jestem w jego ręku i czuję nad sobą jego władzę.

Od pierwszej chwili odebrał mi chęć do jedzenia, sen i spokój, a to, co pozostawił, niewiele jest warte.

— Obawiam się, mości stryju, że zbyt czarno na wszystko patrzysz.

— Poddam się swemu losowi — odparł żupan zrezygnowanym tonem. — Wiedziałem, że kiedyś do tego doprowadzą moje nieopanowane wybuchy gniewu, walczyłem z tym ze wszystkich sił, ale jak widać, bezskutecznie.

Pál Görgey istotnie był wstrząśnięty od chwili, kiedy poprzedniego dnia hajduk powrócił z wieścią, że burmistrz nie żyje. Opanował go niepokój. Przemawiały do niego owe tajemnicze głosy, które w takich chwilach wydobywają się jakby ze ścian. Wieczorem, o zmroku, z ciemnego kąta pokoju zdawała się występować postać burmistrza Kramlera. W nocy, ledwie przymknął oczy, zjawił się burmistrz i siadł na brzegu łóżka. Wolał więc wstać, ubrać się, zapalić świece we wszystkich komnatach i do północy chodził tam i na powrót zastanawiając się nad skutkami swego czynu. Potem siadł przy stole i pisał listy. Jeden do Károlya Dessewffyego, referendarza w Wiedniu, drugi do Budy, do Mihálya Justha z Nécspálu. W obu przedstawił nieporozumienia, jakie się już przedtem zrodziły między nim i lewoczańskim burmistrzem, następnie opisał nieszczęsne wydarzenie, prosząc obu dostojników, by pierwszy u dworu, drugi zaś u palatyna tak wyjaśnili sprawę, aby nie została uznana za zbrodnię, za którą musiałby zapłacić głową. „Gdybym nie miał córki osieroconej przez matkę, nie przejmowałbym się szczególnie własną śmiercią — zakończył. — Jednak w tej sytuacji zmuszony jestem prosić waszą wielmożność o wstawiennictwo. I tak mi jest źle, że nie mogę się z Panem Bogiem rozliczyć z mego czynu, więc proszę, by władze ziemskie nie powiększały moich trosk. Jego cesarska mość i jego wysokość palatyn mogą jeszcze mieć ze mnie pożytek w nadchodzących ciężkich czasach. Nb. burmistrz Kramler nie był stanu szlacheckiego.”

Z samego rana Preszton wyruszył w drogę z obu listami, co żupanowi sprawiło pewną ulgę. Wydawało mu się, że w ten sposób prawna strona jego czynu wkroczyła na właściwą drogę. Nie przyszło mu do głowy, że w Lewoczy rajcowie tak ostro się postawią. Tylko koty boją się Lewoczy, ja nie — myślał. W głębi duszy był przekonany, że w ratuszu zostaną najwyżej wygłoszone napastliwe przemówienia albo też jakaś deputacja zjawi się u niego, a w rezultacie, po długich pertraktacjach, żupan (to znaczy on, Pál Görgey) wyrazi swe ubolewanie na sejmiku komitackim. To ochłodzi ich rozpaloną dumę. Najwyżej trzeba będzie ze sto złotych forintów wysupłać na szpital miejski albo na jakiś inny cel, co z kolei zadowoli mieszczańską chciwość. W taki sposób wyparowuje zwykle gniew miasta. Tymczasem uchwała o przywdzianiu żaloby i noszeniu jej przez całe miasto, jak również zabalsamowanie ręki Kramlera i sprawienie jej pogrzebu dopiero po dokonaniu zemsty zaskoczyły go. Te pomysły nawet jemu zaimponowały. Tajemniczość ma ogromną siłę. Zataił przed bratankiem, jak poważnie patrzy na całą sprawę, ale było widoczne, że pogrążył się w myślach. Założywszy ręce na plecach przemierzał komnatę z jednego końca w drugi, ale spojrzenie mu się ożywiło. Nadchodzące z nowej strony niebezpieczeństwo raczej go podnieciło, niż załamało. Duch dostał nową pożywkę. Wobec

wrogich posunięć trzeba wykonywać ruchy obronne. To go przynajmniej rozerwie. Znacznie chętniej będzie walczył z Sasami niż z upiorami.

— Może wiesz, jakie snują plany?

— Nie wiem, stryju. Sasi potrafią milczeć. Ale nawet gdyby byli gadatliwi, to nam, szlachcie, nie wyjawiliby swych zamiarów. W urzędzie komitackim wiemy tylko tyle, ile oni sami postanowili podać do publicznej wiadomości.

— Byłoby dobrze, gdybyś się czegoś więcej dowiedział. Porozmawiaj otwarcie z Grodkovskim, on mi jest oddany i smali cholewki do żony Pálfalviego. A to co? Czemuś tak drgnął? A może i ty, Brutusie?...

— Ja nie, stryju.

— Zaczerwieniłeś się, nicponiu, ale jednak ci wierzę. Więc pogadaj z Grodkovskim. Obiecuj mu w moim imieniu, że zostanie zastępcą starosty, jak się czegoś przez tamtą jejmość dowie. Pálfalvi jest pod pantoflem żony, która potrafi z niego wydobyć nawet tajemnice rady miejskiej, zresztą gadatliwy z niego człek. Jak się czegoś istotnego dowiecie, przyślijcie zaraz umyślnego, obojętnie nocą czy dniem.

— Naturalnie.

— A teraz pokaż się Marjákowej, niech wie, że jesteś. Może doda jakieś twoje ulubione danie do dzisiejszego obiadu.

Kiedy został sam, jeszcze raz przemyślał wszystkie wydarzenia i zastanowił się, co mógłby uczynić. Nie jest wykluczone, że Lewocza zechce urządzić na niego napad zbrojny, podpałą zamek i wykurzą go z niego. Miasto posiada działa i ma stałą, dobrze wyszkoloną straż, która nieźle włada bronią. Którejś nocy mogą się tu zjawić.

Wałkował w myśli różne możliwości, kiedy nadszedł z powrotem bratanek.

— Stryju, jest ktoś, kto lepiej ode mnie zna wydarzenia.

— Gdzie? Któż to taki?! — wykrzyknął podniecony żupan.

— Marjákowa rozmawiała z kimś, kto właśnie przybył z Lewoczy.

— Ta niewiasta złota jest warta — powiedział żupan. — Niech tu natychmiast przyjdzie.

— To samo jej rzekłem, ale w tej chwili nie może, bo coś tam miesi i musi jeszcze zrobić zaprażkę.

— Niech diabli porwą zaprażkę!

Po niedługiej chwili zjawiła się Marjákowa i opowiedziała o powrocie Zygi Biboka, którego we wsi uważano za zmarłego. Ostatnią noc spędził w Lewoczy i zasłyszał różne straszne nowiny. Powiada, że złamanego grosza by nie dał za głowę jego wielmożności.

A w ogóle to on tu po południu przyjdzie i osobiście powie wszystko, co wie.

— Coś mi się zdaje, że jego wielmożność będzie z nim miał sporo kłopotu — dodała na zakończenie Marjákowa. — Nie mam pojęcia, jak to się ułoży. Jedna niewiasta i dwaj prawowici małżonkowie. Syn i ojciec. Coś mi się zdaje, że podobnego sporu do rozsądzenia jego wielmożność jeszcze nie miał.

— Za młodu znałem tego Biboka. Już i wtedy na dwóch stołkach siadywał. Z jakiejś zbieraniny i łazików organizował oddziały zaciężne i raz służył Thökölyemu, raz znów cesarzowi, zależnie od tego, kto więcej płacił. Ciekawe, że po tylu latach się zjawił. (Właśnie w chwili — dodał w myśli — kiedy mi taki człowiek jest potrzebny.) Jak teraz wygląda, czy dobrze się trzyma?

— Istny waligóra. Całą twarz ma pokiereszowaną bliznami, kto wie, czy i z szubienicy się gdzieś nie urwał.

— Niech jejmość pośle do niego hajduka, bo zaraz po obiedzie chcę z nim porozmawiać. A teraz proszę nakryć do stołu.

Raz dwa obiad został podany. Jedli tylko we dwóch, stryj i bratanek, dla palestrantów i skrybów nakryto oddzielnie w dużej jadalni. Żupan wyraźnie poweselał siedząc z bratankiem i popijając dobry tokaj. Mówił o wszystkim, tylko nie o „wypadku”, jakby mu zupełnie uleciał z pamięci. Wspomniał, że na Wielkanoc wybiera się do Osgyánu, żeby odwiedzić Rozalkę. Jaka ona już duża! I pisuje takie miłe listy. Po obiedzie ci przeczytam. Nagle zamilkł, jakby w duszy przeżywał treść tych listów, ale zasepił się. Niespodziewanie zapytał:

— A ty co mi w tej sprawie radzisz?

— Ja? W jakiej sprawie?

— W mojej, o zabicie człowieka.

Gyuri uśmiechnął się.

— Boże wielki! Ja mam dawać rady najmądrzejszemu człowiekowi w całym komitacie?

— We własnej sprawie, drogi chłopcze, każdy jest osłem. Wobec tego...

— Ależ ja jestem osłem i w cudzych sprawach, stryju.

— Wszystko jedno. Tak czy owak powiedz, co byś na moim miejscu uczynił.

— Mam powiedzieć?

— O to cię proszę.

— Przede wszystkim zrezygnowałbym ze stanowiska żupana.

Żupan poruszył się niespokojnie.

— Widzę, że masz słuszość. Mam na myśli to, że z ciebie osioł. Przecież głupotą byłoby zdejmować z siebie najlepszą zbroję w chwili, gdy na ciebie leci najwięcej kul.

Gyuri Görgey aż poczerwieniał. Był dotknięty, że stryj tak go zbeształ.

— Ja to tak rozumiem — bronił się — że stanowisko żupana nie jest pancierzem, lecz pięknym kontuszem, który nie całkiem należy do tego, kto go nosi, lecz w jakimś stopniu także do tych, którzy mu na trzy lata pozwolili w nim paradować. Jeżeli się więc spodziewam, że skierowane przeciwko mnie kule mogą ten piękny kontusz podziurawić, wolę go zdjąć, bo przecież nie jest mój.

Pál Görgey wypuścił z ręki widelec. To rozumowanie trafiło mu do przekonania. Pod wpływem nagłego impulsu wyciągnął rękę do bratanka.

— Prawdziwy z ciebie szlachcic. Rozumujesz jak wielki pan. Zwyciężyłeś, smarkaczu. Złożę godność żupańską.

Nie czekał na koniec obiadu, lecz ulegając nerwowym bodźcom pospieszył natychmiast do jadalni, gdzie obiadowało ze sześciu młodych paniczów-darmozjadów, wiodąc hałaśliwe dyskursy. Przy końcu stołu siedział stary pisarz komitacki Muki Morton, który wszystkim dolewał wina. Żupan nie lubił przebywać w tak ożywionym gronie, dlatego jadał przeważnie sam.

Wydał polecenie, aby zwołano do Görgó całą szlachtę komitatu na posiedzenie, które odbędzie się za dwa tygodnie. Niech trzech umyślnych zawiezie zaproszenia w różnych kierunkach. Powiedziawszy to, dotknął ramienia starego skryby.

— Z waćpanem chcę odbyć małą naradę, mości Mortonie.

— Słucham jego wielmożności.

— Proszę do mego pokoju.

Stary aż zbladł. Jeszcze się nie zdarzyło, by żupan z nim się naradzał.

— Proszę skończyć obiad, nie pali się.

Stary Muki Morton był zdolnym człowiekiem, ale zestarzał się jako skryba przy kolejnych żupanach Spiszu. W jego wielkiej głowie mieściło się tyle różności, co w jakiejś encyklopedii. Całą ówczesną wiedzę administracyjną miał w małym palcu, a jego pamięć wszystkich wprawiała w podziw. Był też wierny i godny zaufania, nie hulał, nie grał w karty, miał tylko

jedną wadę, z powodu której nie mógł zrobić kariery, ale sam tego nie podejrzewał, bo przecież mógł być to zmienić. Otóż pisał tak pięknie, że sławny był z tego w najdalszych okolicach. Podobno sam palatyn, do którego często kierowane były różne pisma spiskiego żupana lub jakieś tamtejsze akta, nosił je w kieszeni i wszystkim pokazywał dodając: „Proszę, do jakiej doskonałości palce zręcznego człowieka mogą doprowadzić zwykłą umiejętność stawiania liter.” Pismo imć pana Mortona zdawało się żyć, weselić i lśnić na pięknych kartkach papieru z Diósgyóru. Był to więc skarb, z którego spiski żupan nie mógł w żaden sposób zrezygnować. Cały świat wiedział, że pisma wychodzące od żupana komitatu spiskiego to najpiękniejsze rękopisy w kraju, tak jak manierki z Rimaszombat są najlepsze, katedra w Koszycach najpiękniejsza, wieża kościoła Świętego Stefana w Wiedniu najwyższa, a szynka z Miskolca najsmaczniejsza. Imć pana Mortona, biedaka, nie można więc było stamtąd zabrać. Był skazany na to, żeby do samej śmierci pozostać skrybą. Chociaż ze względu na rozum mógłby być nawet konsyliarzem... tylko że na to stanowisko można znaleźć wielu, a drugiego takiego skryby nie ma. Doprawdy nie wiem, co to będzie, jak mu się kiedyś zacznie ręka trząść.

Ledwie otarł sobie usta, zaraz poszedł i nieśmiało zastukał do żupana.

Żupan był z nim po imieniu od czasów, kiedy sam jeszcze był młodym palestrantem w urzędzie komitackim. Kiedy więc byli sami, w cztery oczy mówił mu „ty”, co nie naruszało dostojności żupańskiego stolca.

— Czyś słyszał coś o niejakiem Zsigmondzie Biboku?

— Naturalnie — odpowiedział skryba bez zastanowienia. — To szlachcic z Görgő, syn starego Vincego Biboka.

— Co się z nim stało?

— Zginął czy umarł już dawno, w jakiejś bitwie za czasów Thökölyego.

— Czy wiesz o tym z całą pewnością?

— Z całą pewnością nie mogę twierdzić, bo mnie tam wtedy nie było, kiedy zginął, ale wiem na pewno, że dopytującej się o niego żonie daliśmy odpowiedź z urzędu komitackiego. To było jeszcze za czasów, kiedy jego wielmożność János Görgey był żupanem.

— Nie gadaj! Ale chyba nie pamiętasz, skąd i z jakiego rodu pochodziła jego żona?

— Owszem, pamiętam. To ja właśnie porządkowałem te papiery. Pochodziła z Krakowa. Zaraz, zaraz... Tak, nazywała się Wanda Jasieńska.

— Hej, gdybyż tak się te papiery znalazły!

— Chyba gdzieś tam są w komitackim archiwum. Pamiętam dokładnie, że zapytanie nadeszło od krakowskiego burmistrza, jeszcze mam przed oczyma pieczęć miasta Krakowa.

— Czy to było dawno?

— Hm, chyba z szesnaście albo siedemnaście lat temu, o ile nie dawniej. Przebywałem wówczas w Toporcu u boku imć pana żupana, zwróciliśmy się z pytaniem do tutejszego starosty, który wręcz odpowiedział, że Zsigmond Bibok zginął, a jego żona wyszła powtórnie za mąż.

— Hm, zdaje się, że tym starostą byłem właśnie ja.

— Uderzyło mnie to wtedy — ciągnął stary skryba — bo po co żona dopytuje się o męża wiedząc, że nie żyje, a musiała wiedzieć, bo przecież już wyszła za mąż za kogo innego. Dlatego pozostało mi to w pamięci.

— Czyś mi już o tym kiedyś nie wspominał? — zapytał żupan.

— Owszem, wspominałem o tej sprawie, kiedy tu przyjechałem i poznałem byłą Zsigmondową Bibokową. Tak, pamiętam, że poruszyłem to.

— A widzisz. Coś mi się po głowie kołatało, że o tym nicponiu Biboku właśnie od ciebie słyszałem. Jeżeli tak jest, to znaczy...

— Ze to bigamia — dokończył zdania Morton. — Już i wtedy tak widziałem sprawę, ale po

co się było procesować z nieboszczykiem? Odpowiedzieliśmy po prostu krakowskiemu burmistrzowi, że nie żyje.

— Z tego wynika, żeście dali fałszywą odpowiedź, bo właśnie się dowiedziałem, że żyje.

— Żyje? To niemożliwe!

— Nie tylko żyje, ale właśnie dzisiaj powrócił do wsi. A nawet, o ile sędzę po krokach, które słyhać, już jest tutaj.

Wszedł hajduk i zameldował, że przyszli pan Vince Bibok z małżonką i proszą, by jego wielmożność zechciał ich przyjąć.

— Czy są tylko we dwoje?

— Jest z nimi jeszcze jeden człowiek.

— Chyba lepiej będzie, jak odejdę? — zapytał skryba.

— Zaraz. Chcę tylko cię prosić, żebyś w dalszym ciągu milczał o tej sprawie, jeżeliś jeszcze o niej nie mówił. Mam pewne plany co do tego Biboka. Kiedy zaś skończycie rozsyłanie zaproszeń, wybierz się do Lewoczy i wyszukaj w archiwum owo krakowskie pismo, o ile jeszcze istnieje.

Po odejściu Mortona rozległo się nieśmiało pukanie do drzwi i pochrząkiwanie, a na słowo „proszę” weszli kolejno: najpierw siwowłosy stary Bibok na chwiejnych nogach, obuty w ciemnoszare wojłokowe buciorzy, ubrany w kurtkę z baraniego kozucha, z szycią przewiazaną chustą o barwach czerwono-biało-zielonych, utkaną z grubo przedzonej szorstkiej wełny. Za starcem dreptała wspólna żona z głową okutaną w chustę w czerwone prążki, spod której widoczne były tylko spłószone oczy i nos. W dłoni ścisnęła cienką chusteczkę, którą wycierała sobie to nos, to zapłakane oczy. Jako ostatni wszedł imć pan Zsigmond Bibok w tym samym dziwnym przyodziewku, w którym się zjawił we wsi, tylko szablę pozostawił w domu. Stał swobodnie po posadzce komnaty o ścianach zawieszonych podobiznami przodków, jakby całe życie spędził w takim otoczeniu. Doszedłszy do dużego stołu, za którym siedział żupan, pewnym siebie ruchem wysunął się naprzód i wyciągnął do niego rękę:

— *Ego sum Sigismundus Bibok.*

Żupan miał jednak obie ręce zajęte. Jedną, opartą łokciem o stół, podpierał głowę, w drugiej zaś trzymał długi cybuch fajki.

Ten jego zimny spokój zmieszał imć pana Zyge, który zaniemówił i wpatrzył się w siedzącego. Poważna, ponura twarz żupana miała imponujący wyraz. Była uosobieniem władzy. Nogi starego Biboka zaczęły mocniej drżeć i uginać się. Żupan spostrzegł to.

— Siadaj, waść. I jejmość niech zechce usiąść.

Te słowa znaczyły zarazem, że pan Zsigmond ma w dalszym ciągu stać.

Atak strasznego kaszlu niemal rzucił starca na krzesło. Potem zapadła przykra cisza. Żupan wyczekująco przenosił wzrok z jednego na drugie.

— I cóż, o co chodzi? — zapytał wreszcie.

Na to Zsigmond Bibok wyprostował się i, jak przystało na szlacheca, zaczął przedstawiać sprawę po łacinie. Görgey przerwał mu:

— W młynie pierwszeństwo ma pszenica starych gospodarzy. Słucham, mości Vince, co was do mnie sprowadza?

Starzec jakoś zebrał siły, obciągnął kurtkę, żeby lepiej leżała, otarł usta rękawem, a potem stękając, słabym głosem przypominającym brzęczenie osy, także po łacinie, wyłożył sprawę. Oto spokojnie płynące czołno jego życia, zbliżające się już do ostatecznej przystani, zostało nagle zagrożone strasliwym niebezpieczeństwem.

— Cóż to takiego? — zapytał odruchowo żupan.

— Mój syn powrócił — wystękał boleściwym głosem starzec. — Syn, którego uważałem

za zmarłego i którego wdowę, jak wielmożny pan żupan wie, zgodnie z prawami boskimi i ludzkimi pojąłem za żonę, a ona urodziła mi dwóch synów ku chwale ojczyzny i stanu szlacheckiego.

— Hm, to istotnie kłopot — mruknął żupan. — No dobrze, ale ponieważ chodzi o rzecz dotyczącą żony, dlaczego waść nie mówisz po węgiersku? A przede wszystkim chciałbym wiedzieć, dlaczego z tym do mnie przyszliście?

— Dlaczegośmy tu przyszli, *rogo humillime*^{*}, żeby jego wielmożność zechciał sprawę rozsądzić — wystękał starzec po węgiersku, składając błagalnie ręce.

— Po prostu dlatego przyszliśmy — wtrącił pokornym głosem imię pan Zyga — że znana jest mądrość i doskonałość sądu jego wielmożności pod każdym względem.

— Przecież ani chwili nie możemy tak żyć pod jednym dachem — ciągnął starzec gładząc odrzucone do tyłu dość długie siwe włosy, a przeszedłszy na język węgierski wpadał co chwila w prostackie określenia. — Nie wiedzieć, kto tu wieprz, a kto osioł.

Żupanowi żal się zrobiło rozdygotanego starca, na którego twarzy malował się wyraz beznadziejnej rozpacz. Wskazał mu przeto maleńką chytrą furtkę:

— A zatem tu obecny człowiek jest synem waszmości? — zapytał patrząc na Zsigmonda Biboka. — Czy na pewno jest synem waszmości? Przyjrzyj mu się dobrze.

— Własnej krwi nie mogę się wyprzeć — odpowiedział starzec.

— Czy jejmość rozpoznaje w nim swego dawnego męża? — zapytał niewiastę. — Czy to mąż jejmości?

— Poznaje go — odparła ochryplym, zdławionym głosem, nie podnosząc nawet wzroku.

Żupan gniewnie podkreślał przez chwilę wąsa, po czym zwrócił się do Zsigmonda Biboka:

— Rzeknij waćpan, gdzieżeś przebywał tyle czasu i czemuś nie dawał znaku życia.

Tego tylko brakowało imię panu Zsigmondowi, by zapuścić się w przeszłość, w barwną krainę przygód, przeżyć i bohaterских czynów. Opowiedział, jak padł walcząc za ojczyznę pod sztandarami Thökölyego na polu bitwy pod Eperjes. Wraz z nim walczyło tam wielu z tutejszej szlachty, jak na przykład Frici Vállay z Görgő, Károly Fehér i Gábor Csemiczky z Farkasfalvy, nic więc dziwnego, że w domu opowiedzieli o jego śmierci. Po prawdzie toby go i pogrzebali razem z trupami, gdyby jednemu z Niemców, którzy uprzętałi pole bitwy, nie spodobały się jego piękne buty z kurdybanu (wspaniale zrobione przez Mikucskę z Lewoczy). Nim go wrzucono do wykopanego dołu, Niemiec usiłował ściągnąć mu buty z nóg. Ta szarpanina wywołała ból, pod wpływem którego syknął, i spostrzeżono, że żyje. W ten sposób dostał się do lazaretu, a stamtąd do wojsk labanców. Musiał służyć długie lata, nim wreszcie wykorzystał sposobność i zdołał uciec do Polski. Było to właśnie w okresie, kiedy Thököly znowu wdarł się do Siedmiogrodu. Na tę wieść zbieg zebrał oddział polskiej szlachty i włościan i ruszył do Siedmiogrodu. Nieszczęśliwie jednak, zamiast na kuruców, trafił na labanców i długie lata przesiedział w lochach ołomunieckiego zamku. Trzymano go tam do tej chwili, a wiadomość mógłby przesłać chyba tylko przez ptaki, gdyby szczury z jego lochu przemieniły się w nie i zdołały wyfrunąć przez wtopione w ołów okienko prosto do Görgő.

„Kapitan” opowiadał z rozmachem, ze szczegółami i przeróżnymi dygresjami, których żupan słuchał i nie słuchał, bo wiedział, że wiele z tych przygód należy między bajki włożyć. Zastanawiał się raczej nad istotą familijnego problemu. Kiedy więc imię pan Zsigmond zakończył swoje *curriculum vitae*, spokojnie odłożył cybuch.

* proszę najuniżeniej (łac.)

— Sprawa jest całkiem prosta — orzekł z łagodnością znamionującą dobrą wolę, a cała trójka z przejęciem zawisała wzrokiem na jego ustach. — Opierając się na słowach Zsigmonda Biboka mogę tylko stwierdzić, że nie widzę żadnego przestępstwa podlegającego karnej jurysdykcji. Waszmość państwo zaś postępowali w dobrej wierze, a zatem nie ponosicie także winy. *Dixi*.

— No tak, ale ojciec jegomość chce, aby jego wielmożność postanowił, czyją ona ma być żoną — wtrącił pan Zyga. — Właściwie tego chcemy wszyscy troje.

Żupan potrząsnął głową:

— W tej sprawie nie mogę wyrokować, jako że węzeł małżeński zostaje w niebie zadzierzgnięty, ja zaś jestem tylko żupanem spiskiego komitatu, w niebie natomiast żadnego znaczenia nie posiadam. Może słudzy boży mogą w tym coś zmienić, ale nie z takiego powodu. W tym względzie prawo jest jednoznaczne: kobieta jest żoną tego, z którym wcześniej wzięła ślub.

— A co, nie mówiłem? — zawołał triumfującym tonem imię pan Zyga.

Z oczu starego Biboka popłynęły łzy.

— Nie odbieraj mi Zsuzsy, Zygo. Tyś już od niej odwykł — szlochał nie mając innych argumentów. — Nie odchodź ode mnie, Zsuzso, nie porzucaj mnie. Co się ze mną stanie bez ciebie? O, wielmożny mości żupanie, do twego dobrotliwego serca się zwracam, nie pozwól, by mi ją odebrano... Już raczej oddam wszystko, co posiadam... Na klęczkach cię błagam, wasza wielmożność, miej na względzie moją osiwiąłą głowę, moją starczą bezsilność, błagam przez pamięć na wierną służbę wszystkich Biboków dla rodu Görgeyów. (Mówiąc to załamywał ręce.) Do kogo mam pójść, dokąd się udać na skargę, Boże miłosierny!

Rozpacz starca głęboko wzruszyła żupana.

— Nie zamartwiaj się waćpan, musisz zrozumieć, że prawo jest prawem.

— O Boże, cóż to za prawo! — wybuchnął stary. — Przedstawiacie je w postaci bogini, wy ziemscy władcy, a to jest ślepa bestia. Wasze prawo powiada, że niewiasta należy do syna, chociaż ma z nim tyle wspólnego, że kiedyś tam ksiądz wpisał ich jako małżonków do księgi, że mną zaś złączyło ją całe życie i dwóch synów mi urodziła. Jeżeli zostanie przy mnie, to syn utraci żonę, ale jest przecież mężczyzną w pełni sił, łatwo znajdzie inną niewiastę; jeśli jemu zaś ją przyznacie, ja utracę żonę, a moi synowie matkę. Przecież niewiele mi już życia pozostało, jedną nogą jestem w grobie. On więc może się jej doczekać, pozostaje mu nadzieja. Mnie natomiast nic nie pozostaje.

— Ale i ja kocham swoją żonę, panie ojcze — wtrącił Zyga aroganckim tonem. — Moje serce też nie jest z kamienia. Chciałbym też pozostać posłusznym synem, chyba oszaleć mi przyjdzie, prawdziwie nie wiem, co czynić.

— Zawsze byłeś dla mnie dobry — stary człowiek teraz zupełnie się załamał i rozplakał jak dziecko. — Zyga, Zyguś, synu mój pierworodny, żądaj ode mnie, czego chcesz, tylko mi Zsuzsi nie zabieraj!

Przez ten czas kochana przez ojca i syna niewiasta, o którą toczył się spór, stała niema i drżąca niczym osika. Z opuszczonymi oczyma wpatrywała się nieruchomo w słoneczne plamy tańczące na podłodze.

— No cóż, może udałoby się znaleźć jakieś polubowne rozwiązanie — odezwał się żupan. — Teraz przemawiam nie jako żupan, ale zwyczajnie, jako Pál Görgey. Nie ma potrzeby ze wszystkim latać do księży. To jest bądź co bądź niezwykły przypadek, nie można go rozważać przy pomocy zwyczajnej miary. Ułóżcie sobie życie, jak sami zechcecie. Cóż to kogo obchodzi? W gruncie rzeczy wszystko zależy od tego, czego jejmość sobie życzy. Do tej chwili nie wypowiedziała przecież ani słowa. Posłuchajmy, co nam powie.

Na blade lica niewiasty wystąpił lekki rumieniec i jeszcze bardziej nasunęła chustę na twarz.

— Najlepiej będzie — wyjąkała z trudem — najlepiej, jak jego wielmożność każe mnie stąd wyprowadzić i niech mi na podwórku głowę zetną. Wtedy obaj Bibokowie zostaną wdowcami.

— Głupie babskie gadanie — zachnął się żupan. — Niech mi jejmość powie, tak z ręką na sercu, którego wybrałaby na towarzysza życia? Niezależnie od przepisów prawa. I co, czemu jejmość nie odpowiada?

Wahająco podniosła na niego płonące gorączką oczy.

— Nie śmiem powiedzieć — szepnęła.

— Ach tak? Może jejmość ma słuszność. Chodźmy do sąsiedniej komnaty i tam jejmość mi się wypowiada, jak w konfesjonale.

Wyprowadził ją i z trudem wydobył jej prawdziwą decyzję.

— Przywykłam do swego obecnego męża, przy nim się zestarzałam, wstyd by mi było wobec synów odejść od ich ojca.

Żupan, któremu spodobało się postanowienie niewiasty, nie był jednak w stanie ukryć zdziwienia.

— Nigdy bym się nie spodziewał. Przecież to już starzec, a jejmość...

Bibokowa ręką jakby odepchnęła brzydką myśl, której żupan nie dopowiedział.

— Nie chcę już być kobietą — powiedziała rumieniąc się i aż wyładniała. — Jeżeli to możliwe, chcę pozostać przy ojcu moich dzieci.

Żupanowi ciepło rozlało się wokół serca. Widok czystej niewiasty podnosi na duchu. Takie odniósł wrażenie patrząc na Bibokową.

— Wobec tego postaramy się tak to załatwić — zapewnił ją z niezwykłą jak na niego serdecznością. Potem odprawił niewiastę do tamtej komnaty, a tu wezwał obu Biboków.

Pał Görgey umiał przekonywać, miał w tym kierunku nie lada zdolności. Wyrażał się jasno, przejrzyście, co nigdy nie chybiało celu, przy czym nie małą rolę grała jego sława najmądrzejszego człowieka, najtęższego mózgu w komitacie. W tych sprawach wiara więcej jest warta od rzeczywistości.

— Mości panowie sąsiedzi — zagaił życzliwym tonem — tylko radę wam mogę dać wobec zrządzenia losu, który waszmościów w takie niezwyuczajne stawił położenie. Oto moja rada: róbcie dobrą minę i nie bębniście o swoich sprawach na rynku. Jeśli los tak zrządził, przyjmijcie jego wyrok, jest przecież sędzią i lepiej go nie wyzywać, bo pięść ma mocarną. Jejmość też mi się przyznała, że pragnie spokoju i chętnie by pozostała przy swoim starym małżonku. Porozmawiajcie więc tutaj, mości panowie, pogódźcie się. A potem i ja mam z waszmość panem do pogadania, kapitanie Bibok.

Kapitan Bibok głęboko westchnął wznosząc oczy ku niebu.

— Ale przecież ja kocham tę niewiastę.

— Sam słyszałeś, że chce przy mnie pozostać — odpowiedział stary takim tonem jak przechwalające się dziecko, przy czym oczy mu żywo rozbłysły.

— Za to stanowi moją własność — dowodził kapitan, uderzając się w piersi.

— Tego nie można z całą pewnością uznać — przerwał mu Görgey. — Przecież żona, jeśli zechce, może wystąpić o rozwód z waćpanem. Jeżeli znajdzie uzasadnienie, a pewnie je znajdzie, jako że waćpan nie mówiłeś o spędzeniu w klasztorze tych wszystkich lat, kiedyś był na wolności. Należy przypuszczać, że mogłaby zdobyć jakieś wiadomości pod Lwowem czy Krakowem, gdzie waćpan przebywałeś... (z wyrachowaną chytryością wlepił w niego domyślne spojrzenie).

Imć pan Zyga drgnął i zaczął z innej beczki:

— Powiedz zatem, panie ojcze, jak to sobie obmyśliłeś?

— Przecież ci rzekł, synku. Niech Zsuzsi przy mnie zostanie.

— Ja dla niej powróciłem do domu! — z goryczą zawołał kapitan.

— Pan Bóg ci pobłogosławi, drogi synu — odpowiedział stary z namaszczeniem — że nie pozbawisz biednego ojca jedynej podpory.

— Że Bóg mi pobłogosławi, to bardzo piękna i zachęcająca zapowiedź z twojej strony, mości panie ojcze, ale samą zapowiedzią żyć nie mogę. Chyba widać po mnie, że z pustymi kieszeniami, w łachmanach powrócił do domu.

— Powiedz więc, czego sobie życzysz?

— Tak myślę, o ile bardzo pragniesz mieć przy sobie Zsuzsę, że moglibyście się przenieść do mniejszego domu. Wtedy się zgodzę.

Stary zasepił się i z wyrzutem spojrzął na syna.

— Oj, Zyga, Zyga, widzę, że chcesz ze mnie zrobić starego Sasa!

U Sasów był zwyczaj, że budowali tuż obok siebie dwa domy; do mniejszego przenosił się na stare lata ojciec, przekazując najstarszemu synowi warsztat czy gospodarstwo. Imć pan Zyga życzył sobie właśnie tego samego: żeby ojciec jemu oddał ziemię i rolę gospodarza, przenosząc się do małego domku w głębi sadu. Ten domek wybudował ich dziadek, Gábor Bibok, który w okresie świetności rodu był wicestarostą, dla swej kochanki, pięknej rudowłosej Ágnes Kádár, która zjeżdżała tu z Lewoczy na letnie wywczasy.

Staremu Bibokowi wcale się nie podobał pomysł, by oddać włości synowi, bronił się rękami i nogami, wymiana słów między ojcem i synem zaogniła się, aż w końcu żupan znów ujął w swoje ręce dalszy bieg pertraktacji.

— Mości panie sąsiedzie, nie chciej mieć wszystkiego. Ciepły bochenek chleba i ciepły piec wystarczą waści na pozostały krótki czas życia, ustalcie to na piśmie. Rozumiem, że wolałby waść być młodym Sasem, a nie starym, ale skoro syn zdobył się na taką ofiarę, rozwiąż kabzę i daj mu ziemię, ale z zastrzeżeniem, ile ma dawać na utrzymanie w pieniądzu i ordynariach na ciebie i młodszych synów. I tak ma być do czasu, póki po śmierci waćpana nie dojdzie do podziału schedy między wszystkich synów.

Imć pan Vince Bibok drapał się w głowę.

— Tak być nie może, wielmożny panie żupanie, żebyś został niczym. Nie przywyknę ja do tego.

Zyga uśmiechnął się.

— Mężem będziesz Zsuzsiki, panie ojcze. Czy to jest nic?

— Prawda to, że ją kocham, że nie mogę bez niej żyć, ale...

— Nie dam za nią nic — dokończył kpiąco kapitan. — No dobrze, w porządku. (Wzruszył ramionami i zrobił ruch, jakby zamierzał wyjść.) Biedna Zsuzsi, niewysoko cię tu ceniał! Gdzieżbym ja ciebie porzucił, nie, nie uczynię tego! Zabiorę cię w szeroki świat, jakoś sobie damy radę.

Stary rozrzewnił się, z oczu znowu mu popłynęły łzy, a na czoło wystąpiły krople potu.

— I cóż, nie pogodzicie się? — powiedział ostro żupan, tracąc cierpliwość. — Możecie więc odejść.

Na to imć pan Vince poddał się. Wyciągnął rękę do syna:

— Bóg z tobą, Zyguś, bądź od tej chwili gospodarzem.

Tak załatwiwszy sprawę przeszli do sąsiedniej komnaty, gdzie ze ściśniętym sercem czekała jejmość pani Zsuzsi. Teraz rozgorączkowane spojrzenie przenosiła z jednego na drugiego. Obaj mieli uradowane twarze. Kapitan szarmancko skłonił się, na modłę ówczesnych szlachetnie urodzonych rycerzy:

— Zawarliśmy porozumienie, mamó.

Te słowa wyrażały jednocześnie, przy kim jejmość ma zostać. Wolałaby co prawda dowiedzieć się wszystkich szczegółów, ale pan żupan inaczej postanowił.

— Jejmość niech powróci do domu, wszystko będzie tak, jakże sama chciała, pozostaje tylko ująć to na piśmie.

W czasie kiedy palestranci przygotowywali kontrakt, żupan zaczął wypytywać kapitana Biboka o sprawę lewoczańską. Dopiero teraz dowiedział się, w jaki sposób imć pan rajca Nustkorb wyznaczył krwią burmistrza kawał pola na żupańskich gruntach i że, zgodnie z przywilejem nadanym tutejszym Sasom, będą się o tę ziemię procesować. (Oddam im — pomyślał żupan.) Imć pan Zyga miał głowę na karku i potrafił nawet wyjaśnić, na jakim królewskim akcie rajca Nustkorb zamierza oprzeć roszczenia Lewoczy. Kapitan siedział na galerii podczas wczorajszego posiedzenia rady i wszystko zapamiętał, gdyż bystrym okiem zawsze potrafił wyłuskać ziarno, z którego rodzą się spory i waśnie. Pan Zyga jest zawsze obecny tam, gdzie powinien być. Także dzisiaj podążając do Görgő miał żupańskie grunty właśnie wtedy, kiedy urzędnicy lewoczańscy odmierzali i wyznaczali pole spryskane krwią burmistrza. Niemal słowo w słowo opowiedział o cynicznym przebiegu owego obejmowania w posiadanie ziemi, kiedy to trzech ludzi niosło rannego burmistrza i jeszcze go gnietli, żeby bardziej krwawił, dopóki nie wyzionął ducha.

— Może by w ogóle nie umarł! — wykrzyknął z ulgą żupan.

— To bardzo prawdopodobne — zgodził się Bibok. — Nawet na posiedzeniu rady panował z początku taki pogląd, ale potem został zagłuszony przez krasomówstwo i chciwość.

Z twarzy żupana zniknął wyraz napięcia, wyraźnie poweselał i wskazał kapitanowi Bibokowi krzesło.

— Siadaj, mości kapitanie, i zapal sobie. Z pewnością lubisz popykać z fajki. Opowiedz przy okazji szczerze, jaką ci się zdaje sytuacja. Doświadczony z waćpana człowiek, potrafisz ocenić znaki i nastroje.

Imć pan Zyga nie kazał się prosić, był aż nazbyt swobodny. Z pipatorium wybrał sobie fajkę na długim cybuchu, krzesiwem i hubą zapalił tytoń, potem rozsiadł się wygodnie z szeroko rozkraczonymi nogami. Dłuższą chwilę pykał, póki zwilgotniały tytoń dobrze się nie rozżarzył, cmokał i milczał.

— To dziwne — odezwał się wreszcie przez zęby — że kogut zasypia, kiedy się cmoka, a ogień się rozżarza.

— Nie o to pytałem — odpowiedział żupan zniecierpliwiony i zirytowany poufałym zachowaniem gościa.

— Kiedy właśnie o to chodzi, *domine spectabilis*, że nie mogę z postępowania lewoczańskich mieszczan wykoncypować, czy tylko się stroszą jak koguty, czy żarzy się w tym prawdziwy ogień.

— Hm, rozumiem — mruknął żupan i nie bez pewnego zdziwienia podniósł oczy na kapitana.

— Inaczej mówiąc, trzeba albo poczekać, aż wygaśnie, jeśli to tylko kogucie stroszenie się, albo też należy szybko działać wedle zasady *si vis pacem, para bellum*, o ile to prawdziwy ogień, jako że w tej lewoczańskiej sprawie następstwa pojawiają się w odwrotnej kolejności.

— Kapitanie! Widzę, że z waćpana roztropny człowiek.

Bibok przymrużył lewe oko, które było znacznie mniejsze od prawego wskutek jakiegoś skurczu nerwu i różniło się też barwą.

— Człowiek tego i owego liznął — wzruszył ramionami ruchem wyrażającym skromność, przy czym wypuścił taki kłęb dymu jak komin na kanonii.

— Właśnie dlatego chciałbym wiedzieć, jak waśc ocenia położenie.

— Mnie się widzi, że to prawdziwy ogień. I na dodatek niebezpieczny. Sądę, że wszystko zależy od tego, kto zostanie nowym burmistrzem. Dobrze byłoby wywrzeć nacisk, żeby na opróżnionym fotelu zasiadł jakiś ślamazarny rajca, lubiący spokój i zgodę.

— Hm. Coś w tym jest — głośno wypowiedział swoją myśl żupan i z coraz większym zainteresowaniem słuchał słów awanturniczego wojaka.

— Jeżeli burmistrzem zostanie Gosznovitzer, to wasza miłość musi być przygotowany na różne zuchwałe zamachy; jest to bowiem okrutny, żądny krwi brytan, to się maluje na jego twarzy; gdyby zaś zwyciężył Nustkorb — chytry, chciwy i pełen energii — ten byłby zdolny nając morderców lub truciciela, bo to najtańszy sposób i najmniej ryzykowny; byłoby najlepiej, gdyby wybrano Mostela, gdyż jest to zrównoważony, mądry i dobry człowiek, skłonny do ugody.

Żupan zastanawiał się. Może istotnie dałoby się na to wpłynąć przez nadżupana Csákyego albo przez podskarbiego?

Po chwili powiedział:

— Czy waśc nie sądzi, że mogliby urządzić zajazd na Görgö? Nie słyszałeś waśc takich wieści?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Nie słyszałem, ale wszystko możliwe, bo wrzenie jest ogromne.

— Czy wiesz waszmość, com umyślił?

— Jak mi jego wielmożność powie, to będę wiedział.

— Mam kilka dział i gromadę krzepkich chłopów. Postanowiłem się przygotować na różne ewentualności, a w każdym razie umocnić zamek, przynajmniej na jakiś czas, póki sprawy tak czy owak się nie załatwi, a usłyszawszy o powrocie waszmości pomyślałem, że mógłbyś mi wyćwiczyć oddział zaciężny z dwudziestu lub trzydziestu ludzi. W okolicy włóczy się sporo łazików z wojska i różnej lichej szlachty. Należałoby ich zaprzysiąc i sformować kadron pod dowództwem waszmości, a dodatkowo przez zimę wyćwiczyliby się i moich poddanych.

— Chętnie to uczynię! — wykrzyknął kapitan, a głos mu aż drżał z radości. — To przecież moje rzemiosło.

— Azali sądzisz waćpan, że to jest celowe?

— Jego wielmożność będzie tu równie bezpieczny jak dziecię otulone płaszczem Świętej Dziewicy.

— Gdyby nas napadli, godnie byśmy odpowiedzieli.

— Co takiego? Oni mieliby napaść na zamek? Rozniosę całą Lewoczę.

— Rzeknij teraz, mości kapitanie, jakie są twoje warunki? Bo wiadomo, że *clara pacta — boni amici*. *

— Zwyczajowy żołd, a jego wielmożność wie, podobnie jak i my, że Görgeyowie mają szeroki gest. Jeśli chodzi o mnie, to przede wszystkim proszę o wyższą rangę. Chciałbym być pułkownikiem, a nie kapitanem.

— Proszę bardzo, mości panie Bibok. To już załatwione.

— Poza tym proszę o chędogi ekwipunek, bo choć zwykłego człeka suknia nie zdobi, ale żołnierza na pewno!

— W komorze z odzieżą jest w czym wybierać, pozostało niemało po dawnych banderiach Görgeyów. Potem każę podobne barwy sprawić dla całego oddziału. Jeśli waćpan chcesz, to zaraz tam możesz pójść z szafarzem.

* jasne układy – dobrzy przyjaciele

— Juści dobrze będzie, bo nie ma co ukrywać, mój przyrodzivek nie jest zbyt dworski. Nawet wsiowe kundle ujadają na widok tej katanki, jakby nigdy nie widziały kształconego człeka.

— A zatem doszliśmy do porozumienia?

— Tak jest, zgoda! Z chwilą gdy nałożę nowy strój, będzie to jak przysięga. (Ale i przysięgę gotów jestem złożyć.) Czyje barwy noszę, do tego należą moje dnie i noce, moja krew i życie... no, póki je mam na grzbiecie.

Görgey zadzwonił i kazał przywołać szafarza, imię Samuela Valkányiego, który z wielką unizonością stanął w progu.

— Zaprowadź mości pana pułkownika do komory, niech sobie wybierze strój żołnierski,

Skład, czyli arsenał (bo tak też go nazywano), mieścił się na tyłach głównego budynku. Każde pokolenie dostawiało tam jakąś przybudówkę, z czego powstał trudny do wyobrażenia absurd budowlany. Zamek miał na przykład takie pomieszczenia, do których — aby się dostać na piętro — trzeba było najpierw zejść do podziemi, minąć różne korytarze i lochy, dojść do środkowej części budynku, stąd wdrapać się na strych otwarty na przestrzał i dopiero zejść na pierwsze piętro przylepionego skrzydła. Właśnie takie skomplikowane dojście prowadziło do arsenału... albo też przebiegły szafarz wybrał taką zawiłą drogę, prowadząc imię pana pułkownika (ciekawe, jaki król nadał mu tę rangę?), żeby on sam nigdy tam nie trafił.

Arsenał składał się z dwóch obszernych pomieszczeń, przewalala się tu historia czterech stuleci. Stare siodła, strzały do łuków, spleśniałe dzidy, odzież, szable, okucia, klamry, miecze, kajdany, narzędzia tortur z dawnych czasów, wszystko bez ładu i składu. Były tu też uroczyste stroje, które ongiś przywdziewali Görgeyowie na uczyty weselne i biesiady. Można też było wypatrzeć kilka zdobycznych chorągwi. Co cenniejsze przedmioty, wyjaśnił imię pan Valkányi, znajdują się w Toporcu u jego wielmożności pana Jánosa, jako najstarszego z rodu, ale i tu jest trochę wartościowych rzeczy, powierzonych pieczy zamkowego szafarza. Na przykład srebrne strzemiona, buzdygan wysadzany rubinami, pamiętający czasy królów z dynastii Arpadów, srebrem przetykane czapraki, kantary nabijane srebrem. Była tam też podkowa ze szczerogo złota: tak kazał podkuć swego konia Mihály Görgey na uroczystości weselne Jánosa Zápolyi i polskiej księżniczki Izabeli Jagiellonki. Koń miał, rzecz jasna, cztery nogi (szkoda, że nie więcej!) tak, że i podków musiało być cztery, ale się gdzieś zapodziały. Jedną zabrała Darvasowa, drugą brat János, a czwarta podobno już podczas owego wesela odpadła od końskiego kopyta. Szczęśliwy ten, kto ją znalazł!

Imię pan Valkányi nie dał pułkownikowi zbytnej swobody. Pan Bibok był wręcz olśniony miłym dla jego oczu widokiem, gdyż nawet raj wyobrażał sobie z pewnością jako ogród pełen drzew, z których zwisają siodła, rogi na proch, bogato haftowane biesagi i damasceńskie klingi.

Ubioru różnych banderii częściowo wisiały na szaragach, częściowo były złożone w komodach, posypane kamforowym proszkiem i przekładane tytoniowymi liśćmi przeciwko molom i myszom. Szafarz kolejno wysuwał szuflady: „Proszę wybierać, mości pułkowniku.” Były tam stroje na różną modłę. Takie, jakie noszono za czasów Bocskaya lub Bethlena, kołpaki z kitami, szamerowane dolmany, skóry drapieźników, kurtki i peleryny pandurów Mártona Görgeya, który już wtedy odkrył — a potentaci wojskowi spostrzegli to dopiero w XX wieku — że kolor szaroniebieski jest ze znacznej odległości niemal niewidoczny. Barwa ta, przypominająca kolor jadalnego maku, zlewa się w oddali z bezbarwnością powietrza i nawet najbystrzejsze oko wartownika stojącego na wieży strażniczej niczego nie dostrzeże.

Imię pan Zyga długo przebierał, długo się wahał. Zupełnie jak ówczesnie panujący król Francji, zwany Królem Słońce, o którym opowiadano (z pewnością słyszał o tym nawet szafarz w Görge), że do samego południa nie może się zdecydować, co włożyć tego dnia, jeśli mu

kamerdyner przedstawi kilka strojów do wyboru. Wreszcie jednak pan Zyga zdecydował się na ciemny dolman, barwy podobnej do szpaka, z doskonałego morawskiego sukna, bekieszę podbitą lisek i czerwone pludry wyszyte do kolan żółtym pasamonikiem. Oświadczył, że chce się zaraz przebrać, niech go więc szafarz zostawi samego. Imć pan Valkanyi podejrzewał w tym jakiś podstęp, więc stanowczo odmówił:

— Wybacz, mości pułkowniku, ale nie mogę tego uczynić. Jeśli chcesz waćpan tu się przyodziać, to tylko w mojej obecności.

Pan Bibok wybuchnął:

— Ejże, do sakramenckiej zarazy, za cóż mnie waść uważa? Jak śmiesz tak ze mną gadać? Twoje szczęście, mości panie, zem w domu zostawił szabliśko.

Na ten wybuch złości szafarz ani słowem nie odpowiedział, tylko zdjął ze ściany dwie jednako wyostrzone szable i podał jedną gościowi.

— Proszę uniżenie, mości pułkowniku. Ja też byłem żołnierzem.

Imć pan Zyga lekceważąco machnął dłonią.

— Nie wymądrzaj się waść. Przecie nie uchodzi z miejsca od rozlewu krwi zaczynać.

Zamiast sięgnąć po szablę, zaczął z siebie zdejmować łachmany, rozrzucając je na wsze strony. Szafarz natomiast, bacznie pilnując, by się nie zapodziały wśród innych przyodziewków, końcem lancy starannie gromadził je na kupę, potem kolejno nadziewał na ostrze i wrzucał do komina, żeby spalić. „Nie z powodu paskudnej woni — tłumaczył się później — bo nie znoszę smrodu palących się szmat, i nie dlatego, że nic nie były warte, ale mogły się w nich zagnieździć jakoweś żyjątko.”

Tymczasem imć pan Zyga szybko nakładał wybrane odzienie, tylko żółte buty z cholewami sprawiły mu kłopot, gdyż zeschnięta skóra zeszytywniała. Zmagał się z nimi dłuższy czas przy akompaniamencie wymyślnych przekleństw, jak na przykład: „Niech wasz poprzedni właściciel spuchnie w czyścicu czy gdziekolwiek siedzi.”

Wypiął pierś, na ramiona zarzucił bekieszę, po czym kręcąc się i przybierając dumne pozy ugodowym tonem zapytał:

— Pięknie, co?

— Całkiem inny człek z waszmości — odpowiedział obojętnie szafarz. — Sam diabeł by waści nie poznał.

— Nie wątpię — odpowiedział krygując się. — A co dopiero gdybym i czaszkę uwolnił od tych zarośli. Powiedz mi waść, amice, czy nie ma tu kogoś, kto by mi szparko ustrzygł trochę włosów i brody?

— A jakże, jest stary Jóska.

— Bądź więc waść łaskaw, jak opuścimy ten labirynt, dać mi na chwilę tego balwiera.

— To nie balwierz, tylko juhas.

— A gdzie się tego rzemiosła wyuczył?

— Przecież musi strzyc owce.

— Ejże, mości szafarzu, coś mi się zdaje, że twoja niewyparzona gęba impertynencje gada.

Mimo niezbyt grzecznych odpowiedzi szafarza czuł się szczęśliwy w nowym odzieniu, ale sobie pomyślał, że z tym człowiekiem lepiej nie zadzierać.

Gdy opuścili labirynt, szafarz zaprowadził go do domostwa juhasa i stary Jóska od razu się zabrał do roboty nożycami do strzyżenia owiec.

— Pamiętaj, z kim masz do czynienia! — huknął na niego pułkownik. — Marny twój los, jak mnie skaleczysz albo ostrzyżesz w ząbki.

Juhas przeraził się i tak ostrożnie strzygł pana Zyge, jakby to było cenne jagnię o jedwabistej sierści. Udało mu się pięknie i skończywszy z zadowoleniem przyglądał się swemu dziełu.

— No, przed każdym mogę się pochwalić.

Pan pułkownik też był zadowolony, zaczął po kieszeniach szukać jakiegoś napiwku, a nuż poprzedni właściciel zostawił w nich kilka krajców, ale niestety nic nie znalazł. Wydawał się tym zagniewany, ale nagle wykrzyknął, jakby mu się dopiero teraz przypomniało :

— Jasne, zostawiłem drobne w tym, co z siebie zdjąłem. No tymczasem Bóg zapłać.

— Kwestarska zapłata — mruknął niezadowolony juhas.

Imć pana Zygi, kiedy się zjawił w przedsionku żupańskiej kancelarii, nie poznał nawet rodzony ojciec, który czekał na niego z gotowym kontraktem. Kiedy pobrzękując szablą wszedł przystojny, wymuskany oficer, sędziwy starzec wstał z odruchowym uszanowaniem, przekonany, że to jakaś wielka persona. Kiedy zaś usłyszał głos syna pytający: „Mości panie ojcze, czy już zgotowano kontrakt?“, zaczął się rozglądać dokoła spłoszonym wzrokiem, a nie widząc nikogo poza wspaniałe przyodzianym wojakiem, zadrżał z przerażenia. Dopiero po chwili wszystko zostało wyjaśnione i obaj w przykładowej zgodzie poszli przed oblicze żupana, aby w jego obecności podpisać kontrakt o zrzeczeniu się włości przez starego Biboka na rzecz syna, ustalający jednocześnie w pieniądzech i w naturze wysokość świadczeń, które miały być w zamian wypłacane przez pana Zyge. Byliby go już podpisali, gdyby starzec nie kazał zastrzec w piśmie, że do Zsuzanny Flatt, byłej żony Zsigmonda Biboka, obecnie Vincowej Bibokowej, dawny mąż nie zgłasza żadnych pretensji. Żupan podarł pismo mówiąc, że ze względu na obowiązujące prawa i moralność publiczną nie pozwala tego wpisać, niewiasta nie jest towarem, który można kupować lub sprzedawać. Niewiasta bowiem jest przedziwną ruchomą nieruchomością, której nie wolno ani sprzedawać, ani nawet wydzierżawić. Wobec tego musieli poczekać, aż skrybowie jeszcze raz wypiszą kontrakt, w którym nie będzie mowy o żonie. Taką rzecz należy inaczej załatwić. Po cóż by Pan Bóg stworzył człowieka mogącego poruszać oczyma, jeśli nie po to, aby zależnie od upodobania ludzie otwierali lub zamykali oczy? *Volenti non fit iniuria*.* Jeżeli Zsigmond Bibok nie chce tej niewiasty, a niewiasta nie chce być z Zsigmondem Bibokiem, Vince Bibok natomiast nie może żyć bez Zsigmondowej Bibokowej, ona zaś chętnie przy nim pozostanie, na cóż dręczyć troje ludzi tylko po to, by wielki Moloch, to jest Prawo, zyskał satysfakcję?

Dawni węgierscy wielmoże inaczej rozumieli wymierzanie sprawiedliwości. Kiedy jej szukali, nie wertowali kodeksów, lecz przyglądali się życiu tych, którzy zwracali się do nich o wydanie wyroku. Nie było jeszcze wówczas adwokatów, a opatrność państwowa nie zbzikowała na tyle, żeby świadomie tworzyć wyuczonych mistrzów po to, by spory powstałe między ludźmi (a te opatrność państwowa powinna szybko łagodzić i zażegnawać) wciąż podsycali, rozogniali, pogłębiali i zwielokrotniali. Wtedy wszystko odbywało się inaczej. Na fotelu sędziowskim z reguły zasiadał patriarcha, rozważny mędrzec lub potężny możnowładca, a nie niewolnik paragrafów. Samo prawo było zresztą dość liche, za to ci, którzy mu służyli, cieszyli się sławą trzeźwych i szanowanych autorytetów, dlatego też by więc koniecznie trzeba było respektować owe liche prawa? Dawniej sędziowie byli lepsi od praw, a zatem wyrokowali sędziowie, i to nie w imieniu Jego Królewskiej Mości, lecz we własnym i własnego rozumu. Od tego czasu, jak widać, prawa są lepsze od sędziów i wszystko uległo zmianie. Owego dnia jednak wielmożny pan żupan mniemał, że spełnia dobry uczynek, ratując spokój sędziwego starca u schyłku jego życia i oszczędzając dobrej białogłowie popadnięcia w ręce łotra, bo nie miał najmniejszej wątpliwości, że za uczciwość Zsigmonda Biboka nie warto dać nawet złamanego szeląga.

* Chcącemu nie dzieje się krzywda (łac.)

Z drugiej strony, cieszył się, że tego wykolejeńca, którego zawadiacki temperament na pewno by przysporzył mieszkańcom wsi wiele biedy, wykorzysta dla sformowania oddziału żołdaków. W tym właśnie tkwi podstawa umiejętnego rządzenia: wykorzystać wszelkie siły, także siły o złych intencjach, i skierować je ku celom pożytecznym. Na przykład szarańcza, ta plaga zsyłana przez Boga, może być z pożytkiem wykorzystana, gdyż zabrana do worków i wysuszona stanowi doskonałą, smaczną karmę dla drobiu. I tak nawet ten, co niszczy dary boże, może się przyczynić do ich rozmnożenia, jeśli się do tego właściwie i mądrze zabrac.

Mylił się jednak Pál Görgey, jeśli sądził, że można na stałe uregulować coś, czego osią jest kobieta.

Dzień przeminął szczęśliwie. Imć pan pułkownik Bibok odwiedził Fejérów i Vállayów. Kroczył z dumą i wdziękiem przez wieś. Spotkanego starego chłopca, Gábora Kercela, zapytał podobno, gdzie jest plebania, gdyż i tam postanowił się wybrać. Stary pokornie odpowiedział :

— Jest tam, gdzie była, chyba waszmość pamięta, panie Zyga.

— Do diabła, czy ja mogę pamiętać o każdym kurniku? — odpalił, a w każdym jego słowie brzmiała pycha.

Było o czym gadać we wsi. Jak teraz będzie? Co będzie? Zrobiło się zamieszanie. Jedni twierdzili, że Zsigmond wrócił do domu jak włóczęga w łachmanach, inni natomiast przysięgali, że był wspaniale odziany, niczym król, same sznury, same pasamony. Straszliwy potwór, twarz ma pokrytą bliznami — mówili jedni. Piękny postawny mężczyzna, niczym topola; o męskich rysach i twarzy pokrytej bliznami świadczącymi o jego bohaterstwie — mówili inni. Jak tu się w tym gadaniu wyznać? A przecież i ci, i tamci mówili prawdę, zależało tylko, kto kiedy go spotkał. W obu postaciach widziała go tylko żona. Na odwieczną miejscową szlachta zjawiała się z odwiedzinami, bo w tym cała pikanteria, żeby Biboków zobaczyć w domu. Wrzawa zapanowała jak się patrzy. Stary pan Vince był wesoły i szczęśliwy, sypał facecjami, zatrzymał całą kompanię na wieczerzę, ciągle powtarzał, że nie może się nacieszyć: syn powrócił, mój utracony syn, napijmy się na tę okazję. (Temu to się wszyscy najbardziej dziwili.) No cóż, biedna jejmość Bibokowa musiała się zabrac do pieczenia i gotowania. Gdy towarzystwo zasiadło do stołu, Zyga Bibok cały czas przyciskał nogę Esztery Vállay, wdowy po Pálu Perle (a przynajmniej jejmość pani Fehérowa przysięgała, że tak było). Niewiasta zносиła to, a może odpowiadała tym samym — o czym można wnioskować z następstw, gdyż przy dobrym winie kompania tak poweselała, że jeden z młodszych Biboków poleciał na gospodarskie podwórze zamkowe i obudził starego juhasa Joskę, żeby zaraz przyszedł z dudami. Rozhulała się kompania, ruszono w tany i dopiero świt położył temu kres. Zsigmond Bibok zaś przez całą noc obtańcowywał młodą wdówkę, ale raz i z własną żoną się zakręcił. Wszystko to było bardzo dziwne. Szczególnie kiedy wirował w tańcu z żoną. Obydwaj chłopcy patrzyli na to jak tygrysy gotowe do skoku... A stary Vince chichotał i klaskaniem wybijał takt dudziarzowi. Wszystkie znaki zdawały się wskazywać, że za dużo wypił i nie wie, co robi.

Właśnie Marjákowa opowiadała jedzącemu śniadanie żupanowi te pozbierane wczesnym rankiem szczegółliki, kiedy hajduk, przynosząc dzbanek świeżej wody do picia, oznajmił, że przyszła jejmość pani Bibokowa.

— Z kim przyszła? — zapytał zdziwiony żupan.

— Sama.

— Niech wejdzie.

Bibokowa jakby się całkiem odmieniła. Była pięknie przyodziana, szeleściły i szumiały na niej wykrochmalone spódnice. Kurteczka z ciemnoszafirowego sukna spięta była filigranową srebrną klamerką i przybrana u szyi niedźwiedzim futrem. Głowę zdobił czepek lekki jak skrzydełka motyla, ze zwisającymi po obu stronach haftowanymi uszkami. Nic nie przypominało

wczorajszej zrozpaczonej i złamanej postaci. Trzymała się prosto, stąpała jak młódka, radośnie skrzypiały wysokie ciżmy z kurdybanu, wdzięcznie kołysała się wiotka kibić, a na ładnej buzi, którą wczoraj kryła pod wielką chustą, malował się teraz lekki rumieniec (ejże, czyżby sobie liczka uróżowała?), a w oczach miast smutku majaczyło jakieś senne rozmarzenie.

— Cóż dobrego sprowadza jejmość do mnie? — zapytał życzliwie żupan przyglądając się jej ukradkiem, gdyż ani rusz nie mógł się w niej dopatrzeć wczorajszej cierpiącej męczennicy.

— Niestety, nic dobrego, proszę jego wielmożności, nic dobrego. Jestem zupełnie złamana, wszystko się dla mnie skończyło.

— Niechże jejmość tak nie gada! Wygląda przecież tak, jakby się wszystko dopiero zaczynało. Od wczoraj odmłodziła jejmość co najmniej o dziesięć lat.

— To tylko tak wygląda, mam rumieńce, bo mi lica płoną z gniewu... — odpowiedziała nerwowo, przygryzając trzymaną przy ustach chusteczkę z koronką, jak koń przygryza wędzidło.

— Duszko, na kogóż się to jejmość gniewa?

— Na wszystkich. Na Pana Boga, na ludzi, na siebie samą i nawet na wielmożnego pana żupana.

Rozmarzone, błękitne oczy o nieco zamglonym spojrzeniu zdradzające skłonność do hysterii, lecz jednak roztropne, rozjaśniały pociągłą, trochę kościstą, ale miłą twarz. Teraz te oczy niemal zalotnie patrzyły na żupana.

— Nie rozumiem, o czym jejmość mówi — wyjąkał żupan zmieszany i dziwnym wyglądem, i śmiałymi słowami, które brzmiały zaskakująco w porównaniu z lamentami wczorajszej boleści we j madonny.

— Zostałam zdeptana, oszukana, unieszczęśliwiona! Oderwano mnie od męża i dlatego przysłałam powiedzieć, że z tego nic nie będzie. — Z ust niewiasty skarga wyrwała się z żywiołową siłą. W jej dzikiej, nieopanowanej mowie pulsowało życie i tłumiona namiętność.

Görgey pokręcił głową.

— Ejże, ejże, cóż mi tu jejmość prawi! Przecież wczoraj samaś błagała, bym cię od męża ratował. Mam na myśli Zsigmonda Biboka.

— Skąd ja mogłam wiedzieć, że ten podły pies zaraz pierwszego wieczoru wyszczerzy kły i zacznie się mizdrzyć do Eszterki Vállay, tej młodej wdówki? Chyba ją wielmożny pan żupan zna. Piękny z niej kwiatek, mogę powiedzieć. Nie ma w niej wstydu ani tyle co ziarnko maku. Żeby wielmożny pan żupan widział, jak się krygowała, jak się wdzięczyła, jak przytulała się i wlepiała w niego swoje błękitne ślepia, niczym rozpalone żelazko, a ja na to musiałam patrzeć i nie mogłam potargać jej upiętego koka, w którym jest już niejeden siwy włos. (Rękami zrobiła ruch wrywania i targania włosów, przy czym zagryzła wargi i zgrzytnęła zębami.) Tak nie może być, oszaleję, dłużej nie wytrzymam.

— Dziwne stworzenia te niewiasty! Wczoraj, kiedy wierność Zsigmonda Biboka dla jejmości zdawała się niewzruszona, toś go odrzuciła. A teraz, że do innej smalił cholewki, nagle jest jejmości potrzebny. Doprawdy, jakoż człek ma się wyznać w babskim postępowaniu?

Bibokowa potrząsała głową, aż fruwały rozki czepka naszywane miedzianymi cekinami.

— Już wczoraj mój kielich goryczy był pełen, niech mi wasza wielmożność uwierzy. Tej jednej kropli było trzeba, żeby się przelał. Ja nie potrafię zamieszkać w małym domku jak służba folwarczna, bez własnej ziemi. Więcej łez wczoraj wyplakałam niż święta Magdalena u grobu naszego Pana Jezusa Chrystusa. Od razu zniknęła radość, niczym wygnany ptak, kiedy się dowiedziałam, jaki kontrakt podpisali.

Görgey wzruszył ramionami.

— Na to nic nie poradzę.

— Wielmożny pan żupan na wszystko może poradzić, bo władza żupańska panuje nad

wszystkim.

— Nie widzę na to sposobu.

— A ja widzę. Proszę zawezwać tu obu Biboków i podać im do wiadomości postanowienie, że niewiasta, to znaczy ja, należy się razem z ziemią. Ziemia zaś według kontraktu jest w rękę Zsigmonda...

Żupan uśmiechnął się i wtrącił:

— Niewiasta nie jest budynkiem gospodarskim, duszko, by ją przekazywać wraz z włościami. Jakże można taki wyrok wydać?

— Ale ja przecież nie poszłam za mąż za fornała ani za żebraka — dowodziła Bibokowa wyniosłym tonem, podparłszy się jedną ręką pod bok. — Wyszłam za szlachcica siedzącego na swych włościach i chcę, aby tak pozostało.

— Jejmość wyszła zwyczajnie za Zsigmonda Biboka, który w gruncie rzeczy nic nie posiadał, gdyż ziemia należała do ojca.

— No tak, ale był jedynym synem swego ojca — upierała się niewiasta — a teraz jest ich trzech na ten skrawek ziemi.

— To prawda — przekomarzał się z nią żupan, którego ta dziwna sytuacja zaczynała bawić — ale niech jejmość nie zapomina, że owych dwóch braci samaś na świat wydała. Tych dwóch, którzy by się teraz stali szwagrami jejmości.

— Mnie tam wszystko jedno, jak by to było — odpowiedziała pochylając głowę z niejakim zawstydzeniem. — Co się dzieje, to z woli bożej, nie moja w tym wina, ale też nie jestem głupia, chcę być po tej stronie, gdzie jest majątek.

— Właśnie tego nie da się zrobić — roześmiał się żupan. — Bo gdybym wydał taki wyrok, zakładając, że mam ku temu prawo, choć go nie mani, że niewiasta należy do tego, kto posiada ziemię, to doprawdy nie wiem do czego by to jejmość doprowadziło. Teraz bowiem posesjonatem jest Zsigmond Bibok, ale jeśli jejmość by do niego wróciła, do czego niewątpliwie ma prawo, wtedy ziemię natychmiast odbierze stary Vince; jeśli zaś z tego powodu jejmość zechce do niego powrócić, wówczas Zsigmond będzie się domagał powrotu prawowitej małżonki.

— Pismo jest pismem, żaden kot nie wydrapie tego, co zostało napisane — broniła swego stanowiska niewiasta. — A tam napisano, że ojciec przekazał ziemię synowi.

— Tak, ale warunkiem było pozostanie przy nim jejmości.

— O tym kontrakt nic nie wie — odpaliła cynicznie.

Te słowa w widoczny sposób dotknęły żupana.

— Ale ja wiem — odpowiedział z naciskiem marszcząc brwi — i bardzo mnie dziwi, że jejmość byłaby gotowa nie tylko porzucić niedołęznego starca, ale także wyzuć go z majątku. Jejmość mnie rozczarowała. Wczoraj wydała się inną. Teraz jednak widzę, że jejmość jest zwykłą białogłową, taką jak wszystkie. Niech więc jejmość wraca do domu załatwić sprawę z obu mężami, jak potrafi. Ja się już do tego nie będę wtrącał.

Bibokowa zbladła i chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Görgey zatrzymał ją ruchem ręki i ostrym, nie dopuszczającym sprzeciwu głosem rozkazał:

— Żegnam jejmość. Z Bogiem.

Marjákowa podsluchiwała przy dziurce od klucza, lecz tylko tyle zdołała pochwycić i rozpowiedzieć, że żupan się rozgniewał, a Bibokowa wyszła od niego zapłakana. Ale i to było specjałem dla zainteresowanych mieszkańców wioski Görgő, których takie sensacyjne wydarzenie jak sprawa Biboków całkiem wytrąciło z codziennego trybu życia. Za ludzkiej pamięci nie było tu takiej wesołej zimy. A co się potem działo! Pan pułkownik szybko zebrał kilkunastu młodych darmożjadów, którzy przebrani w zamkowe barwy wzbudzali gorące uczucia

u miejscowych dziewcząt i młódek. Imć pan Zsigmond wciągnął też do swojej „armii” obu przyrodnych braci, dając im rangę poruczników. To wszystko ogromnie ożywiło stosunki towarzyskie w Görgő, gdyż panowie wojacy zjawiali się co wieczór w izbach, gdzie zbierały się prządki, na wyścigi rzucali się podnosić wrzeciona, które upadły na podłogę, bo to tylko kwestia kolejności: zaczyna się od wrzeciona, a kończy na białogłowie.

Chłopów pańszczyźnianych co niedziela zwoływano na ćwiczenia wojskowe, co było okropnie zabawne. Egzercyrowanie ich odbywało się na zamkowym dziedzińcu. Rozlegały się komendy: „seno-slama, seno-slama”, gdyż chłopci znali tylko język słowacki i trzeba było komenderować: „siano-słoma, siano-słoma”. Cała wieś się zbierała na to widowisko, a szczególnie ludek w spódnicach, i to nie tylko z Görgő, ale i z dalszych folwarków: z Brasznika, Odorycy i Piszarocy. Nie na tym zresztą kończyły się wydarzenia onych pięknych dni, o których głośno było w Lewoczy, gdzie dumni z siebie mieszczanie, słysząc o wojennych przygotowaniach żupana, powtarzali: „Hm, czyżby się jego wielmożność złąkł? Biedak, najemni żołdacy muszą strzec jego głowy!”

Żupan nawet na polowanie zabierał uzbrojonych ludzi. Gdy i ta wieść się rozeszła, Sasi z uśmiechem mówili: „A jednak wpadnie w nasze ręce. Tutaj znajduje się urząd komitacki, budynek sam nie pójdzie do Görgő. Żupan będzie musiał się tu zjawić.” Zbliżał się dzień dwudziestego stycznia, na który Görgey zwołał zebranie komitackiej szlachty. Zaczęli się zjeżdżać, jedni kolasami, drudzy konno, znalazł się nawet taki (stary Adam Tarnoczy), który wybrał się w drogę furą zaprzęzoną w woły, a to z powodu strasznego błota. Przyjechał Draveczy, Kolacskovszky, Jekelfalussy, Kiss z Felsőoroszlány, trzech bracia Abhortisowie, wszyscy jak dęby (rodziła ich jedna matka). Luzenszky, Mátyasovszky, Imre Máriássy nową wiedeńską kareta, Jób Andreánszky w cztery kare ogiery, zresztą któż by zdołał wszystkich wyliczyć! Roiło się w małej wiosce jak w ulu, bo wprawdzie panowie zamieszkali na zamku, lecz wraz z nimi zjechali hajducy i stajenni, a ci już się nie mogli pomieścić ani w głównym budynku, ani w gospodarskich zabudowaniach, więc konie umieszczono w chłopskich stajniach, a służbę po chałupach. Tylko żywność była dostarczana z zamku, co dzień w południe i wieczorem na majdanie za stodołą Sztrelnyika pieczono na dworze całego wołu. Tam także wiejskie niewiasty warzyły kaszę z baraniną, a do każdego posiłku z zamkowej piwnicy wydawano beczkę wina. Pułkownik Bibok był w swoim żywiole, gdyż do niego należało utrzymanie porządku wśród przyjezdnej służby.

W owych czasach drogi bywały często nie do przebycia, każdy podróżny miał niezliczone przeszkody do zwalczenia, toteż panował zwyczaj, by przy tego rodzaju zjazdach odczekać dzień lub dwa na tych, którzy wyruszyli w drogę, a nie zdążyli dojechać. Nikt się nie nudził, potrzeba było tylko wina i kart. W Görgő nie brakowało ani jednego, ani drugiego. Przy podziale schedy Pál Görgey dostał trzy winnice na Podgórzu, a karty znajdowały się w każdym szlacheckim domu. Tym razem było ich za mało, więc posłano umyślnego do Lewoczy, żeby młody Görgey, Gyuri, zdobył kilka „Teufels Gebetbuchów”, czyli diabelskich modlitewników, jak nazywano, karty. Nie wymyślono jeszcze wówczas ferbla, ale faraon i bakarat były już znane. Solidni starsi panowie grywali w „biribi” albo „passedix”. Szlachta spiska upodobała sobie „trente et une” i „crepa”. Niepoprawny gracz nazwiskiem Sváby co roku latem jeździł do Italii, przywoził masę wygranych talarów i coraz to jakąś nową grę. Ale czemu go tu jeszcze nie ma?

Nazajutrz przyjechał Sváby i jeszcze paru, o jednego więcej niż oczekiwano, lecz zarazem o jednego mniej. Mniej dlatego, że spodziewano się Jánosa Görgeya, który się nie zjawił, a więcej dlatego, że imć panu Quendlowi z początkiem ubiegłego miesiąca cesarz nadał szlachectwo na pociechę za to, że jego podanie o wykupienie miast spiskich rozbiło się o sprzeciw tutejszej szlachty. Przyjechał na skrzypiącej furze, w chłopskim kozuchu, chociaż pies z kulawą nogą go

nie zaprosił.

Węgierska szlachta nie stanowiła ekskluzywnej instytucji. To, że nasza ojczyzna jeszcze się trzyma, to żaden cud boski, choć tak to opiewają poeci, lecz prosty rezultat działalności tej instytucji. Nasi przodkowie doskonale to obmyślili, niech ich ziemskie prochy spoczywają w pokoju. Gdzie tylko objawiła się jakaś wartość — czy to inteligencja, czy bogactwo — zaraz ją szlachta zagarniała. Kto miał dużo rozumu lub dużo pieniędzy, przedostawał się za szanse konstytucji, tylko słabi pozostawali na zewnątrz.

Dlatego też szlachta nie miała za złe, gdy do jej grona wchodził ktoś nowy, podobnie jak nie gniewa się pajak połykając tłustą muchę. Ale cherlawy Quendel nigdy nie cieszył się sympatią w komitacie, tak z powodu źródeł swego majątku jak i samej osoby. Nadanie mu teraz szlachectwa było uważane za policzek wymierzony spiskiej szlachcie przez wiedeński Burg.

Tak więc przyjazd imć pana Quendla wywołał niejaki niezadowolony, a pan domu tłumaczył się wobec bardziej zaufanych przyjaciół, że Quendla nie zapraszał, ale skoro już tu jest, musi go traktować podobnie jak wszystkich i nie chciałby, żeby go w tym domu ktokolwiek obraził.

Quendel zresztą wcale nie ukrywał, że nie otrzymał zaproszenia, a nawet zgięty w pół unieżenie od tego zaczął:

— Nie otrzymałem co prawda zawiadomienia, ale jako świeżo przyjęty do stanu szlacheckiego mniemam, że mam prawo wziąć udział w zwołanej na dziś naradzie.

Görgey uprzejmie się tłumaczył:

— Naturalnie. Z całą pewnością. To przeoczenie ze strony moich skrybów, którzy wysłali zaproszenia według dawnego wykazu. Witam waćpana.

— Pospieszyłem tu — gadał dalej Quendel, nieustannie się kłaniając — bo jestem już daleko po sześćdziesiątce i tak się czuję ze szlacheckim patentem jak chłopak, który dostał nowy kozik i nie może się doczekać, kiedy go użyje, wciąż się rozgląda, gdzie by coś wystrugać.

— No, tu nie będzie wiele do strugania — uśmiechnął się żupan.

Niewiele powiedział, ale w ogóle nikomu nie wspomniał, co będzie przedmiotem zjazdu zwołanego w tak niezwykle sposób i o tak niezwyklej porze. Próżno go wszyscy nagabywali.

Obecność starego Quendla była z początku wszystkim niemiła. Gdyby chociaż zgodził się pograć w karty, żeby go można było oskubać! Ale nie dał się namówić twierdząc, że co by świat powiedział, gdyby on, Quendel, który robi interesy z prawdziwymi królami, stawiał teraz pieniądze na papierowych króli! Te pyszałkowate aluzje jeszcze bardziej nastawiły szlachtę przeciwko niemu. Ale nieco później, kiedy jeden i drugi się zgrał, nadszedł jego czas: tu i tam na gorąco potrzebna była mała pożyczka, i od razu stał się kochanym Gáspárem, jakby to było samo przez się zrozumiałe.

Trzeba zresztą przyznać, że od tego zwariowanego pergaminu już po kilku tygodniach krew mu nieco zniebieszczała, gdyż sławny lichwiarz bez żadnych kwitów i zobowiązań zaspokajał nagle poufne prośby, sam biegł do wozu i otwierał okrytą derką skrzynię (która służyła po prostu za kozioł), wyciągał pasiastą torbę, a z niej potrzebną sumę. Ponieważ jednak coraz częściej musiał tam biegać, młody Máriássy poradził:

— Lepiej będzie, jak waćpan każe przynieść skrzynkę tutaj.

— Rzeczywiście, niezły pomysł — zachichotał imć pan Quendel — lepiej będzie i dla ichmościów, i dla mnie. Raz kozie śmierć, trzeba kogoś po nią posłać.

Niezwłocznie to uczyniono. Żołnierze pułkownika Biboka przynieśli skrzynię i ustawili ją niczym arkę przymierza na stole pokrytym zielonym sukniem, który zajmował cały środek sali od jednego końca do drugiego.

Dziwowano się i nikt nie rozumiał, dlaczego ma być lepiej dla nich i dla Quendla, że skrzynia

jest na górze. Wszystko wyjaśniło się wieczorem. Po wieczerzy pan Quendel poczuł się senny. Z pęku kluczy, które miał w kieszeni, odczepił jeden i wetknął go w zamek skrzyni.

— Proszę waszmościów, idę spać, bo stary ze mnie człowiek. Żeby mnie tylko nikt nie budził, bo tego nie znoszę, więc zostawiam waszmościom klucz. Jak komu będą potrzebne pieniądze, niech sobie weźmie, tylko niech wpisze na kartkę ile, żeby kiedyś przez pomyłkę nie chciał mi oddać więcej. Nie radzę, by mnie budzono, bo od czasu jak zostałem szlachcicem, mam ochotę ciąć i zabijać.

To pokpiwanie z samego siebie wywołało u wszystkich uśmiech, a pozostawienie klucza w zamku skrzyni odmieniło nagle wrogie nastawienie. Proszę, ten mały chuderlawy Quendel! Ależ to kapitalny człowieczek! Można go polubić. Laszłó Kolacskovszky zaczął tłumaczyć na zasadzie praw przyrody, że nadanie szlachectwa kryje w sobie boską, czarodziejską siłę, która jest równie niemożliwa do wyjaśnienia jak to, że obrzydliwa gąsienica przemienia się w cudownie pięknego motyla.

W karty grano do rana, nazajutrz po śniadaniu rozpoczął się handel i zamiana koni. To niesłychana przyjemność dochodzić, co się w którym koniu kryje, jak pasuje do drugiego budową, maścią, jakiej jest krwi, a potem wybrać najlepszego. Cóż by zrobił z pieniędzmi ten, kto wygrał w karty, gdyby zamiast parą koni, którą przyjechał, nie wrócił do domu czwórka? A kto przyjechał czwórka, stara się zdobyć lepszą czwórkę. Kto przegrał, ten ratuje się zamianą swoich koni z ewentualną dopłatą ze strony nabywcy, w domu zaś tłumaczy małżonce, że te są lepsze i że jeszcze za nie dopłacił. Było więc co niemiara targów, prób wyprowadzenia w pole, cyganienia — jak to bywa w handlu końmi. Niejeden poczciwy szlachcic, którego przez całe życie nikt nigdy nie przyłapał na kłamstwie lub płochej gadaninie, teraz plecie niestworzone rzeczy, byle tylko zachwalić własne konie, a jednocześnie handlarskimi chwytami zniechęcić do cudzych:

„Cud nie koń, tyle że gadać nie potrafi.”

„Wszystko potrafi, nawet bata nie potrzeba.”

„Owsa nie je i w ogóle się nie męczy.”

„To już nie chód, to istny taniec.”

„Postawę ma jak kasztelanka.”

„Spokojny łagodny, można mu na grzbiecie smażyć konfitury.”

Te powiedzenia dotyczą koni, które właściciele chce komuś wtrzynić; w stosunku do tych, które pragnęłyby się zdobyć, frazeologia jest odwrotna:

„Ma tyle wad co lat.”

„Coś mi się widzi, że jedna noga nie jest w porządku.”

„Na jedno oko nawet tyle nie widzi co ciotka Matuzalema.”

„Tak nosi łeb, jakby go mułowi ukradł.” Zaprzęgano, wyprzęgano, przeprzęgano — co zawsze stanowi rozkosz dla mieszkańców kraju, gdzie panuje kult konia, rozkosz dla oczu urodzonych huzarów i woźniców. Kto wie, jak długo trwałby ten improwizowany targ, ze wszystkimi przynależnymi gierkami, gdyby pan domu nie rzucił hasła: „A teraz, mości panowie, zabierajmy się do spraw publicznych!” Na to wszyscy owi urodzeni huzarzy, koniarze i karciarze przyoblekają skórę poważnych członków sejmiku komitackiego.

Görgey oczekiwał co prawda przyjazdu brata Jánosa, ponieważ jednak dotychczas się nie zjawił, nie chciał odkładać zebrania na porę poobiednią, gdyż wołał przemawiać do trzeźwych głów. Przez ten czas służba przygotowała wielką salę. Wyniesiono stoły karciane i ustawiono na ich miejsce ławy. Został tylko jeden stół pośrodku, okryty zielonym suknem. Wokół niego zasiedli przedstawiciele „czterokonnych” rodów. Reszta zajęła miejsca na ławach. Żupan w krótkich słowach powitał przybyłych, którzy na jego wezwanie ściągnęli tu mimo zimowej pory i

śniegów. Serdecznie ich powitał jako swych gości, prosząc jednocześnie, aby teraz przestali uważać go za gospodarza i przystąpili do narady tak, jakby się odbywała na neutralnym gruncie.

— Co u licha? — zdumiał się jeden z Abhortisów. — Tego z całą pewnością nie uczynimy.

— Ho ho! — mruknął Ferenc Monoky.

— Tylko przez pół godziny, póki będzie trwało zebranie — dodał żupan, wywołując tym niejaką wesołość.

— To co innego.

Następnie żupan zaproponował, żeby zebraniu zechciał przewodniczyć imé pan Péter Luzsenszky.

— A czemu nie sam żupan? — sprzeciwili się niektórzy. — Żupan jest głową komitatu.

Żupan uciszył to gadanie i chociaż się uśmiechał, to, co powiedział, zabrzmiało złowieszczo i wywołało ponure przeczucia.

— To prawda, ale właśnie dlatego przekazuję mu przewodniczenie. Tak będzie lepiej. Albowiem powiadam waszmościom, że istotną sprawą jest teraz zamiana głów, a nie koni lub innych rzeczy. Bardzo proszę, czcigodny panie bracie, zechciej zająć to miejsce! O ile się nie mylę, waszmość jesteście najstarszym wśród nas.

Osiemdziesięcioletni Luzsenszky kiwnął głową, białą jak gołabek.

— Jeszcze nie jestem stary — oświadczył pogodnie — tyle tylko, że z nas wszystkich właśnie ja najdłużej przebywam na tej planecie. Jeśli jednak tego sobie życzysz, mości żupanie, zgadzam się.

Po tych słowach zasiadł w rzeźbionym fotelu, którego oparcie z obu stron zdobiły dwie złocone dzidy. Ale Péter Luzsenszky nie byłby Węgrem, gdyby zasiadł w fotelu nie wygłosiwszy przemówienia. A któż mógłby być Węgrem jak nie ten starzec, którego ciało pokryte jest dwudziestoma bliznami? Zagał więc słowami, które od niepamiętnych czasów otwierają takie zebrania:

— Mości panowie, dostojni bracia szlachta! Wy, co przedmurzem chrześcijańskiej Europy jesteście! W czasie walk Thökölyego służyłem był wraz z pogaństwem pod jednym sztandarem, a ci poganie dzielnym byli wrogiem, powiadam wam, szkoda, że już ich nie ma. Był wśród nich jeden bardzo bitny, Hamen beg, dla mnie szczerzy przyjaciel, a jam go lubił jako brata rodzonego. Pewnego razu, kiedyśmy o różnych sprawach gadali, tak mi rzekł: „Wy Węgrzy i inni chrześcijanie uważacie się za mądrzejszych od nas, chociaż z was najgłupszy ludzie.” „A dlaczego?” — zapytałem. „Dlatego że jak chcecie komu okazać szacunek przy biesiadnym stole, to mu dajecie miejsce przy najbrzydszej, najstarszej białogłowie, a przecie najlepsze, najpożądańsze miejsce jest obok najmłodszej i najśliczniejszej odaliski.” (Objawy wesołości.) Muszę przyznać słuszność begowi Hamenowi, którego sentencja przypomniała mi się, jako że na mnie sprawdza się inszy dziwny obyczaj, iż podczas najpoważniejszych narad, od których częstokroć zależą sprawy życia i śmierci, przewodnictwo oddajemy w ręce najbardziej niedołążnych, a czasem i na umyśle upośledzonych starców. (Głośne protesty.) Nie wiem, co będzie przedmiotem dzisiejszej narady, ale mniemam, iż imé pan żupan musi mieć ważne powody, by o tej porze roku, po trudnych do przebycia drogach wyciągać nas ze spokojnych zimowych pieleszy. I chociaż uważam swoją osobę za niegodną takiego zaszczytu, stosuję się do narodowego zwyczaju i zajmuję miejsce ofiarowane nie moim zasługom, lecz wiekowi.

Całe zgromadzenie jakby jednym listem wykrzyknęło „Wiwat!”. Jeden z młodych palestrantów przyniósł tymczasem miedzią połyskujący miecz żupański i małą drewnianą szkatułkę. Żupan wziął tylko szkatułkę i postawił ją przed sobą na zielonym suknie, miecza natomiast nie przypasał. lecz kazał go zabrać z powrotem.

Wstał. Spokojnym głosem, powoli, trzymając się chronologicznego porządku wyłożył, w jaki

sposób z małego ziarenka wyrosła niezgoda między komitatem a pyszałkowatą radą miasta Lewoczy. Opowiedział, jak się stopniowo zaogniała ta niezgoda, aż doprowadziła do zagorzałej nienawiści w każdym zetknięciu komitackiej szlachty i mieszczan. Szerzej omówił osobiste sprzeczki z burmistrzem, co go niestety doprowadziło, wyłącznie jego, do nieszczęsnego czynu, który był wynikiem nagromadzonego podniecenia i wzburzenia. Stało się to pierwszego dnia obecnego roku, o czym tu zebrani z pewnością już słyszeli.

— Tak jest, wiemy! Słyszeliśmy — odpowiedziano z kilku stron.

— Nie chcę się wobec waszmość panów tłumaczyć — mówił dalej — gdyż nie jesteście moimi sędziami. Głównie przed Bogiem z tego się tłumaczę, a tam obronę mam najłatwiejszą, gdyż od Niego dostałem tak wybuchową naturę. Po prostu wyliczam fakty, aby z nich wyciągnąć wniosek. Miasto Lewocza, jak to było do przewidzenia, nie przyjęło obojętnie nieszczęśliwego wydarzenia, którego z głębi serca żałuję. Wręcz odwrotnie: tak się poczuło dotknięte, że przekracza to już granice zdrowego rozsądku. Zamiast wystąpić ze skargą do wyższych władz, rada miasta sama chce mnie sądzić. Ja popełniłem zabójstwo pod wpływem chwilowego uniesienia, oni ten moment gniewu chcą sztucznie podtrzymywać. Rada miasta, pałając chęcią zemsty, sięgnęła do pradawnych, straszliwych niemieckich tradycji, kazała odciąć rękę burmistrza z tym, że zostanie ona pogrzebana dopiero wtedy, gdy dokonana będzie zemsta. Do tego czasu owa zabalsamowana ręka, wystawiona na widok publiczny, będzie ciągłym przypomnieniem, że zemsta nie została dokonana, a gdy zemsta się spełni, wieść tę ma zabrać pod ziemię dla ciała obracającego się w proch...

Słowa żupana jakby dostały skrzydeł, jego oczy płonęły gorączką, ale lica bladły coraz bardziej. Ciżba poruszyła się, zaczęła niespokojnie falować. Dávid Horanszky krzyknął:

— Tylko pies boi się Sasa!

— Jak bardzo rada miejska jest przezorna, o tym świadczy zarządzenie, które myśl o zemście zaszczerpiło najszerzym kręgom mieszkańców Lewoczy, nakładając na wszystkich obowiązek noszenia żałoby...

— Istne czarne miasto, niczym w bajce — mruknął Jób Kiss. — Wczoraj tamtędy przejeżdżałem, odbywał się właśnie wybór nowego burmistrza. Ulice były zatłoczone ludźmi ubranymi na czarno.

— I żałobny strój się zedrze — oświadczył imć pan Sváby. — Niejedną wronę na płocie widziałem.

Sándor Abhortis groźnie potrząsnął zaciśniętymi pięściami.

— Z czarnego miasta łatwo zrobić czerwone, jeżeli te Sasy mają w żyłach krew, a nie kwaśne mleko.

Przewodniczący potrząsając z niezadowoleniem głową domagał się spokoju:

— Ejże, mości panowie! Wysłuchajmy, co żupan ma jeszcze do powiedzenia. Po cóż waćpanowie dokładają swoje trzy grosze do jego oracji? Sam ma dość rozumu, żeby do niej włączyć to, co uważa za potrzebne.

Na to zawstydzili się, i Görgey mógł wypowiedzieć następne zdanie:

— Zważywszy te okoliczności, wielce mości panowie, można się spodziewać, a nawet bardzo jest prawdopodobne, że mnie prędzej czy później spotka jakiś wypadek.

— No, no, chcielibyśmy to zobaczyć — syknął jakiś zaczepny głos.

— Właśnie to — ciągnął Görgey spoglądając w stronę, skąd padła ostatnia uwaga — właśnie to uważam za najważniejszy powód do uczynienia kroku, na który się zdecydowałem. Jeśli miasto Lewocza zemści się na mnie za krzywdę, która je spotkała z mojej ręki — a do tego musi kiedyś dojść — to wysoki komitat nie może być gorszy i także się zemści na Lewoczy za to, co spadło na żupana. Pytam więc, do czego to wszystko doprowadzi? Należy mniemać, szanowni

zgrupowani, że pójdzie dalej i dalej, jako że mocniej rozniecony ogień trudniej gaśnie niż mały. Mam w tym względzie smutne doświadczenie z rodzinnych kronik: za królów z dynastii Arpadów właśnie i walki toczyły się stale między Berzeviczami i Görgeyami, przez co oba rody podupadły. A przecież wtedy chodziło tylko o dwa rody! Do czego zaś dojdzie, kiedy cały komitet i potężne miasto się pobiją! Jakby w tym nieszczęsnym kraju nie było dość gruzów i zniszczenia. W takich wypadkach człowiekowi nie wolno tracić zimnej krwi i musi przewencyjnie ratować, co się da. Ja chcę przede wszystkim ratować komitat, a to przez stworzenie sytuacji, w której mój los nie będzie sprawą komitatu. Inaczej mówiąc, składam niniejszym swój urząd żupański i oddaję pieczęć komitacką do dalszej decyzji tu obecnemu przewodniczącemu tego zebrania, mości panu Péterowi Luzsenskiemu.

Hej, ho! Ależ wybuchła wrzawa nie do opisania! Niektórzy zrywali się z miejsc. Gniew, złość, wzruszenie, troska i zdumienie malowały się na twarzach. Luzsenszky odsunął podaną mu szkatułkę z pieczęcią. Zrobił się tumult, zabrzączało wokół, jakby ciężki kamień upadł na cymbały, i wszystkie struny jęknęły, drgały i dźwięczały razem. Tak nie może być! Jeszcze czego, tego by brakowało! Niech to odwoła!

Niczym zraniony tygrys zerwał się ze swego miejsca Imre Dravecšky, małomówny, ale cieszący się dużym mirem człek ze średniej szlachty, i w stopniowo zapadającej ciszy powiedział tak:

— Nie podzielam zdania wyrażonego przez naszego zasłużonego żupana, a gdybym nawet je podzielał rozumem, to nie mogę się na nie zgodzić sercem i poczuciem honoru. Mogę przyznać, że jego wielmożność, wiedziony chęcią służenia interesom szlachty naszego komitatu, nieraz działa zbyt pochopnie, ale powodem jego wzburzenia jest właśnie nasze dobro. Nasz gniew wywołuje wybuchy jego gniewu i gdyby nie stał na czele naszego komitatu, może by jego palec nie tknął cyngla do fatalnego strzału; a teraz on, który nam przewodził, kiedy to się stało, żąda, abyśmy nie stanęli przy nim, gdy mu przez to grozi niebezpieczeństwo. Tak być nie może, mości panowie. Jeśli nasz dostojny żupan potrafi być szlachetnym człowiekiem i chce się od nas oderwać, abyśmy nie musieli dzielić jego trosk, niech pozwoli, abyśmy też pozostali godni naszego szlacheckiego stanu i nie odeszli od jego boku. Pomyślcie tylko, panowie bracia, i pomyśl także ty, czcigodny panie żupanie, jakim despektem byłoby dla nas, gdybyśmy ciebie teraz odstąpili. To tak, jakbyśmy sobie własną głowę odcięli, bo nie podoba się lewoczańskim mieszczanom. Niech będzie, jak ma być, ale ja tej rezygnacji nie akceptuję, a jeżeli mości panowie ziomkowie ją przyjmą, to Bóg świadkiem, że niezwłocznie wyniosę się z tego komitatu i zabiorę stąd prochy moich przodków, gdyż w tej ziemi nie zaznaliby spokoju.

Gdy skończył, wybuchła wrzawa i wiwaty. Niech żyje Dravecšky! Niech żyje Görgey!

— Jedna śmierć, jeden żupan! — wykrzyknął Monoky, co wywołało nową falę wiwatów, jak to jest w zwyczaju na sejmikach.

Twarde rysy Görgeya wyraźnie złagodniały, a szybkie mruganie oczu zdradzało, że pod powiekami zebrały się łzy, które stara się powstrzymać.

— Dzięki za te objawy wierności i przywiązania — wyrzekł powoli, matowym i z początku niemal drżącym głosem. — Do śmierci będę z tego dumny, ale proszę, byście panowie odstąpili od tego zamiaru, gdyż jest niemożliwy do przeprowadzenia. Nie mogę już rządzić komitatem, albowiem musiałbym jeździć do Lewoczy, gdyż tam znajduje się urząd żupański, aliści każdy rozsądny człowiek zgodzi się, że to jest niemożliwe. Mógłbym tam zjechać tylko pod osłoną wojska, a na to trzeba by zgody króla, no i trzeba by mieć wojsko.

Po tych słowach zapanowała ponura cisza. Siedzący przy zielonym stole komitaccy potentaci spoglądali bezradnie jeden na drugiego. Z pewnością wszyscy jednakowo myśleli: żupan ma rację. W Lewoczy rozsierzdzeni mieszczanie natychmiast go pojmagają, złoją biedakowi skórę, może

nawet zamkną w lochu (są na to dość zuchwali), a wtedy szlachta musiałaby ruszyć ze swymi banderiami i w perzynę obrócić, solą zasypać Lewoczę, aby odzyskać honor. Do tego wtrąciłby się cesarz i zrobiłaby się wojna, jeden Pan Bóg wie, jak by się to skończyło.

W dręczącej ciszy, jaka zapanowała, kiedy to wszystko gotowało się w szlacheckich czaszkach, w czwartym rzędzie ławek wstał mały Quendel. Nawet go nie było widać spoza szerokich barów siedzących bliżej, toteż imć pan Ferenc Lánczy z Gradecu dał mu kuksańca i ręką wskazał, żeby wszedł na ławkę, jeśli ma coś do powiedzenia. Tak się też stało. Chuderlawy pan Quendel zręcznie wdrapał się na ławkę, przyglądził kozią bródkę i wymachując trzymaną w rękę baranią czapą, jakby się od much opędzał, rzekł:

— Znudziły mi się te wszystkie oracje, bracia szlachta, do czego przyczynia się i to, że u mnie już dzwonią na południe, inaczej mówiąc, chętnie bym do jakiegoś obiadu zasiadł...

Zdumienie i oburzenie wyraziło się ogólnym pomrukiem, który tylko o tyle zmieszał imć pana Quendla, że zgubił z góry przygotowany wątek i wyszlifowane zdania, przechodząc na swój codzienny język, przeplatany tłumaczonymi żywcem z polskiego i niemieckiego wyrażeniami.

— No, no, tylko proszę się ze mnie nie śmiać. Nie jestem stary orator, jestem nowy szlachcic, nowa miotła, która dobrze miecie. Ja wymyślę coś dobrze, a powiem źle, a wy wymyślicie coś źle, a gadacie dobrze. Tu leży pies. To ja przetnę dysputowanie, dam jeden pomysł, tak że wielmożny pan żupan może pozostać żupanem i prędzej pójdziemy zjeść obiad. Ja Gáspár Quendel de Pászta et Alsókend (tu z chłopską dumą uderzył się w pierś) wybudować za własne pieniądze urząd komitacki tutaj, w Görgő, taki samiusieńki jak w Lewoczy, podobny jak dwa jajka od jedna kura, i na wieczne czasy sprezentuję go spiskiemu komitatowi. *Dixi. Punctum.*

Doprawdy, przestał być śmieszną figurą. Krasomówstwo to wielka rzecz, ale pieniądz nie jest gorszy, też bije od niego blask (szczególnie gdy w dobrych celach jest wykorzystany) niczym od władzy czy geniuszu, które tworzą aureolę wokół głów. Z sześciu chłopów skoczyło do Quendla, uniosło go w górę i tak na ramionach obnosiło wokół sali. On zaś wymachiwał rękami i nogami, a pocił się przy tym niemiłosiernie.

— Ja jeszcze nigdy takim zaprzęgiem nie jeździć. Dostyc tego, mości panowie. Hi hi hi! Ajaj! Ostrożnie, mam łaskotki!

Jeden tylko głos wyraził sprzeciw.

— Zwariowane gadanie! Jeszcze czego, żebyśmy przenosili urząd żupański! Co to, to nie. Niech oni przeniosą sobie miasto, jak im się nie podoba.

Ten głos przypominający kapłona dawno by został zakrzyczany, gdyby nie należał do młodego Pálocsaya i gdyby młody Pálocsay nie był baronem.

Imć pan baron poczuł się bowiem dotknięty, że zwyczajny kupiec z Białej za jednym zamachem zdobył sobie taką pozycję u spiskiej szlachty.

Na szczęście wśród zebranych znajdował się György Máriássy, który z kolei był niezadowolony z tego, że nie jest baronem, i dlatego występował jako bicz wobec arystokratycznej arogancji. Wstał i strofującym tonem sprzeciwił się uwadze, która przed chwilą padła. Nie wie, co prawda, kto ją wypowiedział, nawet nie chce wiedzieć, gdyż było to niesłychane zlekceważenie porządnego człowieka, który na swój bezpośredni sposób wykazał ofiarność, a za to należy się nie nagana, lecz wieniec. (Okrzyki: Niech żyje Quendel!) Chociaż on sam, Máriássy, nie przyjąłby wielkodusznej propozycji imć pana Quendla, bo po cóż na krótki czas budować tutaj urząd komitacki? Przecież nawet morze powoli wyparowuje, więc jakżeby gniew lewoczańskich mieszczan nie miał wyparować? Tym niemniej w propozycji imć pana Quendla kryje się ziarno właściwego rozwiązania. Nie budujmy nic, jako że w Görgő stoi obszerny i gościnny zamek, wystarczy, byśmy uchwalili, że aż do odwołania sejmiki komitackie

będą się odbywały w Görgő. To takie proste jak jajko Kolumba i niestety, jeśli chodzi o takie rozwiązanie, dość już było precedensów. Jak długo na przykład komitat peszteński zwoływał swoje sejmiki do Füleku, w komitacie Nógrádkim?

— Tak jest! Słusznie! Dobrze gada! Zgoda!

Stary Luzsenszky zawołał:

— Kto przyjmuje ten wniosek, ręka do góry!

Ręce uniosły się z takim szumem, jakby stado ptaków poderwało się w powietrze. Tylko Görgey nerwowo bębnił palcami w zielone sukno.

— Posłuchajmy, co powie Görgey!

Görgey wstał i z ponuro opuszczoną głową przemówił tępym głosem, który wydobywał się jak z lochu:

— Zmuszony jestem znieść wszystko, co Bóg mi przeznaczył, a do tego zaliczam i rozkazy komitatu. To znaczy, że pozostaję na swoim urzędzie.

Wielkie słowo zostało wreszcie wypowiedziane. Wybuchły takie wiwaty, że mury chyba dosłownie zdrząły, gdyż w tym samym momencie kiedy żupan wypowiedział wyraz „pozostaję”, ogromny olejno malowany konterfekt, przedstawiający matkę Pála Görgeya, z domu Erzsébet Paláshy, w zielonej aksamitnej jubce i kołpaczku ze strusim piórem na głowie — nagle spadł z haka i złocona rama z hukiem rozbiła się na podłodze.

— Zły omen — szepnął Dávid Horanszky do Balázsa Jekelfalussyego. — Jejmość pani Erzsébet poruszyła się na ścianie. Ona ze wszystkich dzieci właśnie Pála najbardziej kochała i rozpieszczała.

Sam Görgey zbladł i jakby mrozem zwarzony ciągnął:

— Pozostanę, ale żądam, aby został sporządzony protokół dzisiejszego zebrania i aby go wszyscy obecni podpisali. Pozostanę, ale tylko pod tym warunkiem, że nie ma wśród obecnych nikogo, kto by żądał mojego odejścia.

Rozejrzał się orlim wzrokiem, ale nie było wśród zebranych nikogo, komu by się życie znudziło.

— Nie ma! Nie ma takiego!

A właściwie kto wie? Może była taka dusza, która już porzuciła ciało i teraz unosząc się w sali, gdzie ważyły się losy syna, rozkazała ścianie: „Wyrzuć z siebie hak”, a do haka: „Zrzuć obraz, na którym jest moja podobizna, aby to było ostrzeżenie.”

Kiedy najważniejsza strona trudnej sprawy zostaje ku ogólnemu zadowoleniu załatwiona, dalsze szczegóły, jak przepisy zabezpieczające, posunięcia taktyczne i tym podobne, pozostawia się do omówienia *inter pocula*, czyli przy kielichach. Obiad był już gotowy, kucharki, podkuchenne i hajducy uwijali się jak w ukropie pod hałaśliwą komendą imć pani Marjákowej, tyle tylko, że nie można było nakrywać do stołu, bo należało przedtem przewietrzyć wielką salę i dopiero potem się do tego zabrać. Wszystko poszło jednak bardzo szybko, wydawało się, że minęła zaledwie minuta, głównie dlatego że nadjechał z Lewoczy kasztelan Grodkovszky ze świeżymi nowinami. Najważniejszą z nich było to, że na odbytych poprzedniego dnia wyborach burmistrza, które się przeciągnęły do późnego wieczoru, walka toczyła się między Gosznovitzerem i Nustkorbem. Po ciężkich bojach zwyciężył siedmioma głosami imć pan Nustkorb, który następnie wygłosił swe pierwsze przemówienie w tonie bardzo pokojowym, nie wspomniawszy nawet o zemście na Görgeyu.

Wywołało to wesoły nastrój wśród zebranej szlachty, nawet zwykle ponury żupan, który siedział na głównym miejscu między panem Luzsenskim i baronem Pálocsayem, kiedy mu podano wspaniałą zupę z gęsiami szyjkami, zażartował strofując hajduka:

— Wazę należy podać najpierw imć panu Quendlowi, gdyż jest najgłodniejszy i właśnie głód

podsunął mu pomysł, dzięki któremu nie zostałem pozbawiony chleba.

Twarz imć pana Quendla rozpromieniła się, z wdzięcznością zamrugał na owo wyróżnienie, a potem przymknął oczy, jakby go spryskiwano wodą różaną.

Żupan przez cały dzień był pogodny, z uśmiechem żegnał odjeżdżających. Jednym z ostatnich był imć pan Quendel, który polecając się łasce jego wielmożności wyłożył, iż chciałby — zgodnie z tym, co już proponował — wybudować w Görgó coś, co byłoby pomocą dla dobrej sprawy. Nie chce, by mówiono, że tylko językiem potrafi mleć. Jeśli więc pan żupan wydzieli gdzieś w pobliżu zamku kawałek gruntu, postawi tam wspaniały zajazd z wozowniami i stajniami, ku wygodzie szlacheckiej braci, bo można łatwo przewidzieć, że gdy licznie się stawią na sejmiki lub wybory urzędników ziemskich, nie pomieszczą się wszyscy na zamku, zresztą po co mieliby się tam tłoczyć, szczególnie takie chodaczkowo-szaraczkowe perły naszej świętej korony? Gdyby i oni się zatrzymywali na zamku, to wielcy panowie źle by się czuli. Poza tym niektórzy znamienici panowie też lubią życie w gospodach, gdzie mogą się zabawić na własną modłę, szczególnie tam, gdzie jest dobre wino i ładne dziewczyny służebne.

Görgey wymawiał się zwyczajnymi w takich wypadkach replikami, że tego, co dobre, nawet znaczna ilość się zmieści, że w grę wchodzi krótkie okresy czasu, że nie może z niczyjej strony przyjąć takiej grzeczności, że nie może pozwolić, by pan Quendel naraził się na tak znaczne i niepotrzebne wydatki.

— Ależ ja tak to rozumiem, mości żupanie dobrodzieju, że gospoda pozostałaby moja albo oddałbym ją warendę jakiemuś karczmarzowi, który by w mleku i miodzie nurzał czcigodną brać szlachecką. Jeżeli wielmożny pan żupan nie chce się zgodzić dla siebie, to niech się zgodzi dla mnie.

Żupan wzruszył ramionami.

— Jak waść chcesz za wszelką cenę wyrzucać pieniądze przez okno, to proszę bardzo, buduj gospodę.

Mimo że zamek się wyludnił, pan domu nie stracił dobrego humoru; był w dalszym ciągu rozmowny i wieczorem w doskonałym nastroju popił sobie z Grodkovskim, którego zatrzymał na noc (hej, znowu będzie w domu batalia!). Dopiero bardzo późno udał się do swej sypialni i właśnie w przedsionku wpadł na Biboka, który komenderował zmianą warty przed drzwiami. Przyjaźnie go pozdrowił i zaprosił do siebie, żeby z nim pogadać, podczas gdy Preszton ściągał mu buty i drapał stopy (kiedyś, w obozie wojennym Görgey odmroził sobie nogi i od tego czasu dokuczliwie go świerzbiały). Chciał omówić zarządzenia obronne, gdyż postanowił, jak tylko drogi obeschną, sprowadzić z Toporca trzy znajdujące się tam działa. Potem, kiedy Preszton odszedł, Görgey zapytał:

— Czy masz waćpan ludzi, których można przyuczyć do obchodzenia się z armatami?

— Mam. Myślę o swoich braciach. Sprytne i zręczne z nich chłopaki.

— Wszyscy Bibokowie to urodzeni żołnierze.

— Pewnie że tak — odpowiedział chełpliwie.

— No, a jak się ułożyły sprawy rodzinne? — zapytał ciekawie Görgey.

— Jest spokój.

— To dziwne, zważywszy, co się tu działo — mruknął żupan — bardzo mnie to dziwi.

— Cała tajemnica polega na tym...

— No, na czym?

— Że stary już nic nie może, a jeszcze niczego nie podejrzewa, zaś białogłowie niczego już nie brak, a jeszcze o tym nie gada...

— Do diabła! — pokręcił głową Görgey z kpiącym uśmiechem. — A waćpan, pułkowniku?

— Ja przykładam się, jak mogę, i jeszcze mi się nie znudziło — uzupełnił Bibok.

— Jednym słowem, jesteś waćpan ideałem, pułkowniku — zakończył rozmowę żupan potężnie ziewając. — Zdaje się, że będę dobrze spał. Niech tylko wartownicy cały czas chodzą, niech dobrze stukają dzidami o kamienie.

Taki był rozkaz, gdyż owo stukanie, inaczej mówiąc, poczucie bezpieczeństwa, uspokajało jego roztrzęsione nerwy. Jak tylko stukanie w sieni ustawało, żupan budził się przerażony śmiertelną ciszą.

Rozdział dziewiąty

(LOS MAŁEJ ROZALKI ULEGA ZMIANIE)

Dni płynęły spokojnie i monotonnie, jedynie ziąb bywał raz mniejszy, raz ostrzejszy, co stwierdziłby ten, kto by mierzył temperaturę. W Lewoczy karnawał mijał nudno, niewiasty utyskiwały. Imć pan Nustkorb zasiadł na burmistrzowskim fotelu, a że wielu miało mu za złe ugodową postawę, dla uspokojenia opinii publicznej wszczął przed królewskim trybunałem postępowanie procesowe o przyznanie Lewoczy gruntów wytyczonych krwią burmistrza. Görgeya wezwano przed trybunał, ale uznał za właściwsze nie stawić się i przegrać proces *in contumaciam*, to znaczy „przez upór”. Szczerzącemu kły brytanowi trzeba rzucić ochłap.

Rzeczywiście proces przegrał, a miasto zostało wpisane do ksiąg ziemskich jako właściciel tak przebiegle zdobytego pola, co uczczono wielką biesiadą w ratuszowej piwnicy, ale ten ochłap podjudził tylko zwycięzców do zemsty. Ustępliwość Görgeya okazała się niezręcznym posunięciem, a podczas uczy wygłoszono płomienne przemówienia, które pobudzały żądze zemsty i gloryfikowały ją. Podczas tej biesiady zrodził się pomysł, aby miejsce w radzie, które opuścił András Nustkorb przechodząc na fotel burmistrzowski, oddać młodemu Fabriciusowi, bo przecież inny Görgey uciał mu w pojedynku kawałek ucha. Tego młodzieńca trzeba wychować na przyszłego burmistrza! W nim jest odwaga. (Co znaczyło, *sub rosa*, że w imć panu Nustkorbie jej nie ma.) On potrafi przelać krew za swoje miasto. W oczach mieszkańców Lewoczy na prawdziwego herosa urósł młodzieniec, który pobierał nauki w obcych krajach, może właśnie dlatego, że go nie było na miejscu. Bieda tylko w tym, że jeszcze nie skończył dwudziestu czterech lat, trzeba więc pilnie wysłać delegację do cesarza, do Wiednia, aby prosić o uznanie go za pełnoletniego, a po młodego człowieka pchnąć list, żeby powrócił do domu.

Wśród takich planów i zamiarów minęła zima, aż wreszcie maj ściągnął z gór i dolin białe kożuchy, pod którymi spały, dając im w zamian odpowiednie stroje, a więc spłowiałą szarość gór i jaskrawą zieleń dolinom. Lasy szumiały młodymi pędami, a srebrzyste rzeki i potoki spływały odwiecznymi korytami. Wszystko się stroiło w nowe barwne szaty, tylko lewoczańscy mieszczanie pozostali w czerni...

Pola były roześmiane, gdyż groch i w tym roku pięknie kwitł czerwonym kwieciem, ale innej czerwieni nigdzie się nie widziało. Lewoczański magistrat oburzyłby się! Zresztą kapitanowie wiertelników czuwali, ściągając z głów i rekwirując czerwone chustki przybywających na jarmark niewiast.

— Cóż to, nie wiecie, bezbożne białogłowy, że miasto jest w żałobie?

W Görgó natomiast wojna między żupanem i miastem stanowiła źródło wesołego gwaru i ożywionego ruchu. Przybywali wciąż goście, to procesujące się strony, to znów wielcy panowie na narady. Niemal co dzień zachodziły jakieś godne uwagi wydarzenia.

Ostatniego dnia czerwca, przy księżycu i rozgwieżdżonym niebie, w bramę zamkową

wtoczyła się lekka bryczka, wioząc dwóch mężczyzn w podróżnych płaszczach. W ślad za bryczką zaturkotały trzy ciężkie furmanki, załadowane ogromnymi skrzyniami, w jakich rzemieślnicy wożą swoje wyroby na jarmarki.

Görgey jeszcze nie spał, siedział w kancelarii i czytał swych ulubionych klasyków. Bibok natomiast zabawiał się w zaimprovizowanym namiocie. Właśnie tego dnia ukończono ciesielskie roboty przy budowie gospody stawianej przez imć pana Quendla, zatknięto na krokwiach wiechę z malw i kwitnącej akacji, a teraz cieśla i murarze opijali uroczystość. Rzecz jasna, nie mogło zabraknąć komendanta zamkowej załogi. Odczopowano beczkę i sprowadzono dudziarza. Wiejskie młódki i dziewczyny czekały za murem, żeby je ktoś porwał do tańca. Paru co ruchliwszych cieśli zakreśliło się raz i drugi na zakurzonej drodze, ale nie zanosilo się na dużą zabawę. Gromada rzemieślników składała się głównie z murarzy, a wiadomo, że to naród cherlawy, bo w dzieciństwie kozy są ich mamkami, jadają wątrobę zamiast pieczeni i popijają to kwaśnym mlekiem, skąd więc mają brać siły na dziewczyny?

I bieda jeszcze w tym, że kiedy drogą przejeżdżała furmanka, trzeba było przerywać tany. Tak samo się stało, kiedy nadjechała owa bryczka i trzy ciężkie furgony.

Imć pan Bibok, widząc zajeżdżające na zamkowe podwórze fury, odstawił dzban i podbiegł mocno zaniepokojony. Kto to może być o tej porze? Co wiozą w tych ogromnych skrzyniach? Może podstępni lewoczańscy mieszczanie usiłują w ten sposób przemycić żołnierzy? W głowie mu się kołatała podobna historia o jakimś kraju z bajki, gdzie wojowników przemycano w końskim brzuchu, a koń był chyba z drewna... albo może wojownicy byli drewniani? Licho wie.

Z bryczki żywo wyskoczył masywnie zbudowany starszy mężczyzna o sterczących wąsach i rozkazującym głosem.

— Gospodarz w domu? — krzyknął już z daleka do spieszącego w ich stronę Biboka.

Ten odpowiedział pytaniem:

— A kogo mam zameldować?

— Co takiego?

— Pytam, kim są waćpanowie? — zapytał Bibok.

— Co waszmości do tego? Goście zjechali, *punctum*. Prowadź waść do swego pana.

Bibok nie dał się zbyć tak łatwo.

— Że waszmościowie jesteście gośćmi, to możliwe. Ale ze mnie też szlachcic i nie pozwolę się tak traktować. A już na pewno nie puszcę waszmościów do jego wielmożności, póki nie pokażecie, co zawierają te skrzynie. Hej, chłopaki! — krzyknął do swoich ludzi siedzących beczynnie na ganku. — Przynieść tu żywo kilka latarni!

Mężczyzna z bujnym wąsem drgnął, ale w tym momencie odezwał się drugi. Miał przyjemniejszy, dźwięczny głos.

— A waćpan kim jesteś, jeśli wolno zapytać?

— Jestem pułkownik Bibok. Ale to raczej ja powinienem się pytać.

Mężczyzna, który ostatni przemówił, sięgnął szybkim ruchem do bryczki i wyciągnął strzelbę, której srebrzysta lufa groźnie błysnęła. Widocznie usłyszane nazwisko i stopień niemile go ubodły, przynajmniej tak się mogło wydawać. W oczach Biboka przybysze zdali się jeszcze bardziej podejrzani. Z pewnym zniecierpliwieniem nagabywał ich:

— I cóż, nie podadzą waszmościowie swych nazwisk?

— Jesteśmy przyjaciółmi pana tego zamku — odpowiedział ten, który ostatni się odzywał, znacząco bawiąc się bronią.

— Zawiadom waszmość swego pana, że przyjechał jego rozum — powiedział długowąsy.

— Nie kpjcie ze mnie waszmościowie — ostro warknął Bibok — bo tego nie lubię. Albo wyjawicie nazwiska, jeżeli przybyliście w dobrych zamiarach, albo też jedźcie z Bogiem tam,

skąd przyjechaliście.

— Jużem przecież rzekł — roześmiał się wąsal. — Przywołaj waść swego pana, wielmożnego Pála Görgeya, już on nas pozna.

— Nie, ani kroku nie uczynię, póki się nie przekonam, co znajduje się w tych skrzyniach.

W tym momencie jejmość pani Marjákowa wystawiła rozczochraną głowę przez okno.

— Ejże, mości panie Bibok, czyżbyś zamierzał wygnać z zamku brata naszego pana? — skarciła ostro pułkownika. — Poznałam jego wielmożność po głosie, całuję rączki. Już idę, lecę, proszę wielmożnego pana, tylko jakąś chustkę na siebie narzucę. Hej, tam, Zsuzsi, Marcsa, Ancsa, gdzie się podziewacie? Mości panie Bibok, zawołaj no dziewczuchy, pewnie się te bezwstydnice włóczą z wojakami. Niech szparko ogień roznieć. Mości panowie jeszcze nie jedli wieczerzy, prawda? Że co? Nie potrzeba wieczerzy? To się jeszcze okaże. Już ja wiem, co się należy, kiedy taki kochany gość przybywa. Ojej, ależ się nasz pan uraduje!

Tymczasem żołnierze przynieśli latarnie, a imć pan Bibok sumitował się, że nie wiedział, jacy to dostojni goście zjechali, a spełniał tylko obowiązek, bo w tych niebezpiecznych czasach do niego należy piecza nad życiem wielmożnego pana żupana, a właściwie to waszmościowie sami są winni, że nie chcieli podać swoich nazwisk.

— Przecież powiedziałem — znowu się roześmiał wąsal — że przyjechał rozum. Bo tak się nazywam: Esze, czyli Rozum.

To nazwisko było wówczas bardzo znane. Bibok zdjął kołpak i z szacunkiem brzęknął ostrogami.

— Bóg waszmościów sprowadził.

— Ja zaś nie podałem swojego — tłumaczył się János Görgey — bo mniemałem, że waść jesteś cesarskim pułkownikiem, a dla cesarskich moje nazwisko to czerwona płachta.

Żupan uradował się z przybycia dawno nie widzianego brata, a także sławnego kuruca Eszego*, o którym mówiono, że „albo ścinał, albo rozśmieszał ludzi”, gdyż był wesołego usposobienia i zawsze go się żarty trzymały. Tym niemniej zdziwiły go te odwiedziny: co skłoniło „pustelnika z Toporca”, że nagle się zjawił, i to w takim towarzystwie? Imć pan Tamás zawsze był zamieszany w jakieś knowania. Na pytania brata János Görgey odpowiadał wymijająco, powtarzał, że dawno się nie widzieli, wybrał się więc na jakie trzy dni, żeby się do syta nagadać. Co do ładunku na furmankach, to imć pan Esze wyjaśnił, że podjął się przewieźć wyprawę pewnej wdowy, bliskiej jego sercu, która wkrótce wybiera się za męż. Skąd przybywają? Na to również padły dość mgliste odpowiedzi. Mimo wszystko nastrój był pogodny, nawet różne ponure i gorzkie uwagi gości nie wzbudziły podejrzeń gospodarza. Po czwartej czy piątej szklenicy wina padały, na przykład, tego rodzaju zdania:

— *Recrudescunt in clytae gentis Hungariae vulnera***

Przy takich słowach Esze walił pięścią w stół, zaś János Görgey zapadał w zadumę, a w jego spojrzeniu igrał jakiś młodzieńczy błysk.

Żupan obstawał przy swoim chłodnym punkcie widzenia, który obaj goście nazywali cynizmem.

* Tamás Esze (1666-1708) – dowódca wojsk Rakoczego.

** Odnawiają się rany sławnego narodu węgierskiego (łac.).

— Kto płacze nad ludem, ten w końcu oczy wypłacze.

Goście pozostali na zamku zaledwie dwa dni, ale ich w mleku i miodzie kapano. Dziwne było jednak, że choć imć pan Tamás Esze tylko przypadkowo wstąpił do Görgő, jak twierdził, za namową imć pana Jánosa, to w ciągu tych dwóch dni odwiedziło go wielu przedstawicieli okolicznej szlachty, jakby byli o jego przyjeździe uprzedzeni. Jedni pytali o niego, drudzy o pana Jánosa. Długie narady za zamkniętymi drzwiami odbyli goście z młodymi ludźmi z sąsiednich wiosek, a to z Ferim Petróczy, Balázsem Szügyim, Farkasem Horváthem i innymi.

Żupanowi także wydało się to dziwne, więc zapytał brata:

— Skąd ci ludzie wiedzą, że tu jesteście?

Pan János wzruszył ramionami i wykręcił się żartem: — Krasnoludki im powiedziały.

Uśmiechał się przy tym tajemniczo i strzelał palcami, co było od dzieciństwa jego zwyczajem, kiedy był w dobrym humorze. Zbywał krótkimi lub wymijającymi odpowiedziami pytania na własny temat, natomiast z wielkim zainteresowaniem dopytywał się o sformowany oddział zaciężny w związku z wydarzeniami w Lewoczy. Chciał wiedzieć, ilu liczy żołnierzy, jak jest wyszkolony i co to za człowiek ten pułkownik Bibok.

— To sprytny, kuty na cztery nogi awanturник, człowiek do wszystkiego, wydaje mi się, że samego diabła się nie boi — odpowiedział żupan.

— Gdzie był poprzednio pułkownikiem?

— Ja mu nadałem ten tytuł.

— Wprost się przeraziłem, kiedy wymienił swoją rangę, nie widziałem w ciemności barw i myślałem, że kwateruje u ciebie jakiś cesarski oddział.

— Dlaczego miałbyś się bać cesarskiego wojska?

— Czy ja wiem? Ot tak. Człowiek jakoś przywykł do tego, że nie lubi się spotykać z wrogiem, kiedy nie jest na to przygotowany.

— Ale teraz żyjemy w zgodzie z cesarzem.

— Tak sądzisz? Zaraz, o cóż to chciałem zapytać. Czy temu twojemu Bibokowi można ufać?

— Wiem o nim coś, dzięki czemu trzymam go w garści.

— Jakieś przestępstwo czy zbrodnia? — zapytał zaskoczony pan János.

Żupan uznał za rozsądne trochę upiększyć sprawę, żeby ten sojusz nie rzucił na niego cienia.

— Spódniczka...

— Spódniczka, przyjacielu! Hm, spółniczka. Spod falbanek i zakładek często wyskakują dziejowe wydarzenia.

Nie można twierdzić, żeby żupana nie zaintrygowało to i owo. Łatwo wytłumaczyć, że pan János przyjechał odwiedzić brata. Nic by też nie było dziwnego, że towarzyszył mu Tamás Esze, stary kompan z wojennych wypraw. Dziwne było natomiast, że nie od strony Toporca nadjechali, co znaczyło, że już gdzieś wstępowali. Dziwne było i to, że János nie wyjawiał, skąd jadą. W dalszym ciągu dziwiło go, że Jánosa odwiedzają obcy ludzie, że się z nimi naradza, ale o tym milczy. Z tego wynika, że coś załatwiają. Jeszcze większego ćwieka zabiło mu głowę co innego. Drugiego dnia pobytu zaproponował bratu, że wyśle konnego gońca do Lewoczy po Guyriego. Ale starszy Görgy huknął na niego:

— Zostaw chłopaka przy kałamarzu!

— Kiedyś go ostatni raz widział?

— W domu, na Wielkanoc.

— Czy naprawdę nie chcesz, bym go sprowadził?

— Nie chciałbym, żeby go Tamás zobaczył.

Żupan pomyślał więc, że pewnie jeżdżą w jakichś politycznych celach, ale niech tam, to tylko niewinna zabawa. Uśmiechał się w duchu, myśląc o „dwóch niepoprawnych starych dzieciakach”, które nie mogą zapomnieć i biegną za dawnymi marzeniami i nadziejami, niczym koła wozu podążające tą samą koleiną, ale nie mogące się dogonić. To już nikomu nie zaszkodzi, chyba nawet im samym.

Spryciarz pułkownik miał do sprawy całkiem inne podejście, był po prostu ciekawy. Gnębiła go głównie myśl, co też mogą zawierać ogromne skrzynie. Zaraz nazajutrz rozniosła się wieść, że to wyprawa jakiejś wdowy. Nie widział w tym nic podejrzanego, nie miał żadnego powodu, by nie wierzyć. Ale wyprawa ślubna to rzecz na tyle interesująca, że intryguje człowieka. Mogą tam być kosztowności, złote i srebrne wyroby, naszyjniki, zastawa stołowa i puchary. Kto ma wzniosłą duszę, kto lubi piękne rzeczy, ten potrafi się czymś takim rozkoszować.

Wieczorem więc postarał się, żeby słowackich woźniców spić dokumentnie, a kiedy sen ich zmorzył, zakradł się po cichu do wozowni, zapalił łojową świeczkę i zabrał się do otwierania jednej ze skrzyń. Sprytnie to zrobił za pomocą różnych złodziejskich narzędzi, które sobie w ciągu dnia przygotował. Podniósł migającą łojówkę i zbliżył ją do otwartej skrzyni, aż kapnęło trochę łoju, ale w tej samej chwili odskoczył i włosy stanęły mu dęba na głowie: skrzynia była po sam wierzch załadowana prochem strzelniczym.

Teraz Bibok zaczął się domyślać, kim jest ta wdowa, dla której taką ślubną wyprawę przewozi dwóch znanych kuruców. Nie wiedział tylko, kto jest narzeczoną, z kim związała swój los. No, skoro już wsadził nos w tę sprawę, nie zaszkodziłoby dowiedzieć się czegoś więcej.

Założył z powrotem kłódkę, poszedł do domu, przespał się i nazajutrz wstał w doskonałym humorze. Jejmość pani Bibokowa, jako że w domu było pranie, rozwieszała właśnie bieliznę na opłotkach, tyczkach i krzakach w podwórzu i sadzie. Pułkownik podszedł i uszczypnął ją w brodę.

— Jak ci się spało, mamuśko?

Niewiasta pokraśniała.

— Nie wymądrzaj się. Jeszcze kto zobaczy.

— Cóż to szkodzi, mamuśko, co szkodzi?

— Nie dałeś znaku w nocy, kiedy wróciłeś do domu — rzekła z wyrzutem.

— Byłem strasznie zmęczony.

— Zawsze jesteś zmęczony. Może zostałeś nadwornym drwalem?

— Żebyś wiedziała, że twarde drzewo postanowiłem zrąbać, mamuśko, i wiesz, o co cię poproszę? Bądź tak dobra i zawiń jakieś zniszczone odzienie w starą chustę, tylko nie pytaj, bo i tak nie powiem. Wieczorem ci to odniosę. Najlepsza byłaby jakaś stara opończa, a może peleryna.

— Oho, przygód ci się zachciewa.

— E tam, daj spokój, nie ośmieszaj się.

— To mi przysięgnij, że nie chodzi o żadną spódniczkę.

— Jakbyś nie wiedziała, że wystarczy mi ta połowa niewiasty, która...

— Sza! Bo ci usta zamknę!

Bibokowa skoczyła do domu i po chwili powróciła z tłumoczką, który pułkownik zabrał z sobą do zamku. Tam schował go pod krzakiem bzu, potem rozpoczął egzericyrowanie załogi, zaprosiwszy gości, aby się przyjrzeni ćwiczeniom.

Podobało się to przyjezdnym, szczególnie imć panu Tamásowi, ale i János Görgey z przyjemnością się przyglądał i wyraził swoje uznanie. A chełpiący się swym bohaterstwem pułkownik, który stale się chwalił niezwykłymi czynami, teraz, kiedy naprawdę dokonał czegoś godnego pochwały, nie był w stanie udźwignąć tego ciężaru na słabych ramionach i nagle

wyskoczyła z niego skromność.

— To nic wielkiego, można by ich jeszcze lepiej wyćwiczyć.

— To już gotowi żołnierze, mości pułkowniku. Nic im nie brakuje — dowodził pan Tamás Esze — tylko błogosławieństwa bożego i gromady Niemców, których by mogli posiekać... a tego się doczekają, pewnie nawet niezadługo.

Popatrzyli jeden na drugiego z panem Jánosem i roześmieli się.

Rozbudzili jednak w Biboku śpiącego lwa, a ten nie chciał już spocząć. Do południa musieli jeszcze goście popatrzeć, jak zamkowe wojsko włada szablą, kilka par skrzyżowało klingi, po czym zademonstrowano zapasy, które były istotnie rozkoszą dla oczu. Obchodzenie się z białą bronią to po prostu umiejętność, w samej walce dużą rolę gra i przypadek, człowiek nieraz sam wpada na ostrze przeciwnika albo przegrywa właśnie przez to, że zrobi prawidłowy ruch. W zapasach natomiast decydują mięśnie i zręczność.

Tamás Esze aż się gorączkował na widok pięknie walczących młodych żołnierzy, klaskał po każdej walce i nie szczędził zachęty.

— Wspaniale! Mocno trzymaj! To było cudowne! Nie daj się! Wyżej chwyć, ty niezdaro! Teraz dobrze, no widzisz! O tak! Dzielny chłopak!

Kiedy skończyli, zapytał:

— Który z nich jest najlepszy w zapasach?

Pułkownik wskazał krępego chłopca, Pála Soltésza z Farkasfalvy.

— Ten dziobaty.

— No to chodź tu, chłopcze.

Páli Soltész podszedł myśląc, że od wąsatego starszego pana dostanie talara albo i sztukę złota. Ten natomiast nie sięgnął do kieszeni dolmana, tylko zaczął się rozbierać.

Obaj panowie Görgeyowie chcieli go powstrzymać:

— Co robisz, Tamás? Czyś rozum stracił?

— Nie wytrzymam. Jak patrzę na walkę, to mnie ponosi. Nie chcecie mnie hamować. Po prostu muszę, taki jestem.

Podał Presztonowi dolman i zwrócił się do młodego Soltésza:

— Do roboty, chłopcze! Chcę się przekonać, co potrafisz. Nie oszczędzaj mnie, tylko wara od moich wąsów. Jak mnie powalisz na ziemię, dostaniecie antałek wina.

Młodzieniec popatrzył pytająco na żupana, ten skinął głową na znak, że walka ma być bez pardonu. Na to Páli wyzywającym ruchem podparł się jedną ręką pod bok, jakby chciał powiedzieć, że na tego przeciwnika wystarczy jedna ręka. Potem doskoczył do pana Tamása i chwycił go dłonią za ramię i obojczyk, aby przegiąwszy do tyłu jednym ruchem go obalić. Starszy pan uśmiechnął się, a Páli się przekonał, że na nic jego wysiłki, bo przeciwnik ani drgnął, a sam tak się czuł, jakby chciał wyrwać stary dąb mocno tkwiący korzeniami w ziemi. Pan Tamás nie poruszył się, tylko pierś wypiął i rozwarł ramiona, jakby czekał. Teraz Páli ramieniem objął go w pół od tyłu, co jest bardzo niebezpiecznym chwytem, ale pan Tamás tylko przyłożył pięść do łopatki przeciwnika (nawet nie uderzył!), co wywołało taki ból, jakby ostre żelazo przewierciło mu całe ciało od góry do dołu, tak że młodzieniec musiał rozluźnić chwyt. Teraz imć pan Esze przystąpił do natarcia. W okamgnieniu objął przeciwnika na wysokości piersi i owinął się wokół niego, nogą chwytając nogę, a ramieniem ramię. Tak spleceni zdawali się poruszać jak jedno ciało, pochylać się i potykać, to pierwszy pociągał drugiego, to znów odwrotnie, przy czym każdy miał jedną rękę swobodną.

Widzowie wstrzymali oddech. Jejmość pani Marjákowa wybiegła z kuchni i załamała dłonie.

— Boże święty, zaraz szlag trafi wielmożnego pana Eszego. Tamtego drugiego to nie

szkoda, ale jak on śmie porywać się na takiego wielkiego pana!

Rzeczywiście obaj walczący poczerwienieli niczym paśowe sukno, tak że Pál Görgey uznał za stosowne się wmieszać.

— Już dosyć. Przynajmniej odpocznijcie.

Na to młody człowiek rozluźnił chwyt i dysząc niczym zgoniony gąsior powiedział:

— Jegomość jest chyba z żelaza.

W jego głosie brzmiało zawstydzenie, toteż dobrotliwy starszy pan go pożałował.

— Nie zawsze ten jest dzielniejszy, chłopcze, kto bije, ale ten, kto wytrzymuje. A teraz zawrzyjmy pokój, bo muszę się przyznać, że wcale nie jestem z żelaza. Jam też się zmęczył, zgmiotłeś mnie jak się patrzy, uznajmy więc, żeś mnie powalił, a ja stawiam antałek. (Zwrócił się do żupana.) Po jakiej cenie mi waść odstąpisz antałek wina?

— Winem nie handluję. Na taki targ nie pójdę — odpowiedział pan Görgey. — Ale jako gość, możesz w Görgő rozkazywać.

Szafarz otrzymał zaraz polecenie, żeby wytoczyć z piwnicy antałek wina dla wojska. Popili sobie niezgorzej, jeden tylko pan Bibok, choć bohater dnia, nie wziął w zabawie udziału. (Wytłumaczył się, że rozboleła go głowa, ale powód był inny.) Kiedy panowie zasiedli do obiadu, zjawilo się znowu dwóch chodackowych szlachciców: István Piry z Kolcsó i pochodzący z Losoncu János Liskay, kawaler o awanturniczej przeszłości.

Imć pan Bibok, przebrawszy się w stare łąchy ukryte pod krzakiem bzu, wkrađł się do sieni prowadzącej do izb gościnnych. Tam wśliznął się do zakopconego pieca. Ten ogromny piec ogrzewał oba pokoje zajmowane przez obecnych gości. Bibok przy pomocy żelaznego pręta wyjął z każdej strony po kaflu, żeby móc podsłuchiwać rozmowę w jednym albo w drugim pokoju. Przez powstałe otwory dochodziło powietrze, tak że mógł w kominie jakoś wytrzymać, chociaż daleko było do wymarzonych wschodnich wygód. Na dobitkę, ponieważ od stycznia w piecu nie palono, ulokowała się tu suka ze swymi szczeniętami. Psiaki były jeszcze ślepe, mogły przypuszczać, że to matka się koło nich kręci, ale gdyby suka właśnie teraz wróciła, jej szczekanie z pewnością kogoś by ściągnęło i wszystko by się wydało. Pan Bibok za żadne skarby nie chciał być przyłapany na szpiegowaniu, ale czuł, że musi zaryzykować, bo może się dowie jakiejś cennej tajemnicy. Położenie jego nie było jednak bezpieczne. Musiał przy tym bardzo długo czekać. Niech Bóg skarże Marjówką za takie długie obiady!

Wreszcie rozległy się kroki. Bibok odetchnął i ostrożnie przytrzymał wyjęte kafelki, pozostawiając jedynie niewidoczne szpary. Ze starszymi panami wszedł tylko jeden z przyjezdnych, drugi pozostał w sieni chodząc tam i na powrót koło pieca. Bibok wyraźnie to słyszał.

Wewnątrz rozmawiano bardzo cicho, a może ściana pieca wchłaniała głosy, tak że podsłuchujący nie mógł zrozumieć, o czym jest mowa, ani też kto mówi. Był zły, że niczego nie osiągnie, i chętnie by się wycofał, ale nie mógł, gdyż wyjście z pieca nie było wolne. Nagle jednak imć pan Tamás Esze podniósł głos i można było wyraźnie słyszeć każde słowo:

— Ja, István Piry...

Widocznie coś czytał.

Drugi głos, jak drewniany, powtarzał za nim:

— Ja, István Piry, przysięgam na Jedynego Boga Żywego, że jego wysokość Ferenc Rakoczego z Felsővadász uznaję za swego pana, jemu się poddam i, pókim żyw, czy to w dzień, czy w nocy, wszelkim jego rozkazom posłuszny będę. Sztandaru, który wzniosł za wolność naszej węgierskiej ojczyzny, nigdy nie opuszczę, a duszy swej nie oddam żadnym podszeptom niemieckim czy diabelskim. Tak mi dopomóż Bóg.

Tak więc pan Bibok dowiedział się wszystkiego, czego chciał. Kiedy o zmierzchu goście,

mimo namów gospodarza, wyjechali, ledwie się mógł powstrzymać, by nie krzyknąć głośno o tym, co widział i słyszał. Miał wrażenie, że pierś mu pęknie, jeśli tego z siebie nie wykrzyczy. Sam przed sobą uciekł do ogrodu, żeby z nikim się nie spotkać, jak szalony krążył po ścieżkach wysadzonych krzakami porzeczek i agrestu. Całe szczęście, że nie spotkał ani ogrodnika, ani żadnej pielącej grządki dziewczyny, bo z miejsca byłby wygadał, co wie. Zazdrościł zielonym gałęziom, które tak szeptały, jakby coś wiedziały, chociaż to on wiedział, ale nawet drzewom nie mógł nic powiedzieć. Stopniowo jednak zanikało łaskotanie nakłaniające do gadania, ustępując miejsca rozumowaniu. Tajemnica jest coś warta. Jest nawet wiele warta, ale tylko tak długo, póki jej nikomu nie zdradzi. Z tego jasno wynika, że musi milczeć. No tak — snuł dalej swoje rozmyślenia — ale jeśli nikomu nie powiem, to sama z siebie i tak wybuchnie, bo przecież proch wieziony w skrzyniach nie służy do posypywania klusek z makiem. Z tego wynika, że należy tajemnicę wyjawić.

Hm — rozważał dalej imć pan Bibok — muszę powiedzieć, ale komu? Jeżeli na przykład opowiem ojcu, dla niego nie jest to nic warte. Jeszcze mniej dla żony. Tajemnica wiele byłaby warta dla jednego człowieka, ale jest daleko i trudno znaleźć do niego dostęp. Jest nim cesarz. Dałby za to worek złota i do tego jakiś zamek, a może nawet jeneralski kołpak, prawdziwy jeneralski.

Łeb mu się spocił niczym garnek lizany przez wielkie płomienie. Wrzały w nim najróżniejsze pomysły. W takim wewnętrznym podnieceniu doczekał późnego wieczoru, kiedy zmieniał warty. Działo się to zawsze w porze, kiedy żupan udawał się na spoczynek. Składał wtedy krótki meldunek, że bramy są należycie zawarte, że strażnik stoi na wieży i że niczego podejrzanego nie zauważono. Strażnik krążący po wsi także nie spostrzegł niczego godnego uwagi. Podobnie i teraz złożył zwykły meldunek, że w Görgó panuje spokój, ale nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: „A co było podejrzanego, to już zniknęło.” Wymknęło mu się to mimo woli, ale żupan zmierzył go badawczym wzrokiem.

— Co waćpan skrzeczysz? — zapytał ostro.

Bibok zmieszany usiłował jakoś zręcznie się wycofać, ale nic mu nie przychodziło do głowy, aż wreszcie wyjąkał:

— A jak jego wielmożność myśli, co goście wieźli w tych olbrzymich skrzyniach?

— Sami powiedzieli, że to wyprawa pewnej wdowy mającej wyjść za mąż.

— To możliwe, tylko że ta niewiasta już ma męża.

— Jak to? Znasz ją waćpan?

— Niemało się z nią ściszałem.

— Oj, Bibok, Bibok, nie bądź taki zuchwały!

— Mogę nawet powiedzieć, że w końcu trafię na jej łono, podobnie jak i wielmożny pan żupan...

— Ej, Bibok, chybaś sobie nieźle popił — uśmiechnął się żupan. — Od razu wiedziałem, że to za duży antałek. No, a czy to przynajmniej piękna dama?

— Dla nas z pewnością piękna. To Węgry.

— Czyżbyś waćpan chciał rzec...

— A jakże. To jej wyprawę wieźli, zajrzałem, w skrzyniach był proch strzelniczy i strzelby.

Żupan, który właśnie ściągał z nóg buty z cholewami, z przerażenia tak kopnął saski wynalazek zwany przez Niemców Stiefelknecht *, że ten przeleciał łukiem w drugi koniec komnaty.

* pacholek do butów (niem.)

— To niemożliwe! Niemożliwe! — wykrzyknął. — Ale dla kogo to wieźli?
— Dla Ferencza Rakoczego, syna miłościwej księżnej Thökölyowej.
— Człowieku, nie gadaj! Skąd to wiesz?
— Słyszałem, jak panowie odbierali przysięgę wierności od owych szlachciców, którzy wczoraj i dzisiaj do nich przyjeżdżali.

Görgey zerwał się gniewnie, krew nabiegła mu do głowy.

— Odbierali od nich przysięgę? Tu, w moim domu? Czemuś mi waćpan od razu nie powiedział?

— Bo nie jestem szpiegiem. Nie mogłem tego wyjawić, póki byłoby uznane za doniesienie. Teraz to czynię, podając jego wielmożności jako meldunek.

— Toś waćpan zrobił głupstwo — rzekł żupan nieco łagodniejszym głosem. — Może i masz rację. Ale teraz nie ma chwili do stracenia, wszystkich ludzi na koń, trzeba ich dogonić. Nie mogą być daleko.

Bibok jednak stał i drapał się w głowę.

— Do licha! Moi ludzie rozleźli się po całej wsi, mamy przecież sobotę.

(Mieszkańcy Görgő wielką wagę przykładali do moralności dziewcząt i tylko w sobotni wieczór wolno było kawalerom odwiedzać domy z córkami na wydaniu. Odwiedziny za to mocno rozciągały się w czasie, gdyż wypadało młodzieńcowi do samego świtu pozostać z dziewczyną, szeptami odganiając znużenie i sen, przy czym młodzi siedzieli obok siebie na skraju łóżka, co było dość dużą pokusą, tym bardziej że w izbie rozlegało się chrapanie rodzicieli.)

— To się zbiegną. Trzeba zadać w róg albo uderzyć w dzwon na wieży.

Wystarczył róg. Nawet pogrążone w najgłębszym śnie kundle podwórzowe zerwały się i wszczęły takie ujadanie, że cicho szepczące pary skierowały uwagę na to, co się dzieje na dworze, i usłyszały rozlegające się w ciemnej nocy buczenie rogu, które niesło takie wezwanie:

Hej, wojaku-diabie!
Dolman szybko bierz,
potem sakwę, szablę
i samopał też.

Flaszkę okowity
także weź na wóz,
bowiem w czasie bitwy
lepsza jest niż wódz.

Bibok umiał utrzymać dyscyplinę. Görgey narzuciwszy na siebie ubranie wyszedł osobiście na dziedziniec, aby się przekonać, czy wszystko idzie jak należy. Z zadowoleniem patrzył, jak szybko przybiegli żołdacy. Pierwsi zjawili się dwaj młodzi Bibokowie, więc ich pochwalił. Pista Fóris przygnał na zamek ściskając pod pachą buty z ostrogami (za nic nie chciał się przyznać, skąd przybiegł). Gergely Holub o grubym karku już z daleka wrzeszczał: „*Hic sum, domine colonellus*”.

Dziedziniec zaludnił się w mgnieniu oka, wrzawy i ruchu było co niemiara, jednego tylko Jóska Hantosa nie można było przywrócić do przytomności. Choć go wodą zlewano, leżał pijany jak bela pod szopą na jakimś starym kozuchu.

— Siodłać konie! — rozległa się komenda Biboka.

Konie rżały, w stajniach błyskały migające latarnie niczym gwiazdeczki. Wyprowadzono także ogiera Biboka, Gunara. Wtedy pułkownikowi przyszło do głowy, że właściwe nie wie, co ma zrobić.

— Mości panie żupanie, nie wiem jeszcze, jakie są rozkazy.

— Jak to, nie powiedziałem? — zdziwił się Görgey. — No tak, ta wiadomość bardzo mnie wzburzyła, gdyż pod wieloma aspektami może mieć doniosłe znaczenie. Należy postąpić rozważnie. Proszę więc, byś waszmość działał z wielką powściągliwością. Jedźcie, póki nie dogonicie furgonów. Pytajcie u rozstajnych dróg, żeby nie zgubić śladu, gdyby jednak powstała niepewność, podziel ludzi na dwie grupy. Wszystkich powiadom, jaka jest moja wola, iżby wiedzieli, co mają czynić. Przed świtem pewnie ich dojdziecie, musicie pojmać mojego brata i sprowadzić go tu z powrotem. Tylko baczcie, żeby mu się żadna krzywda nie stała. O tym pamiętajcie. Zabierzcie dla niego osiodłanego konia, mojego wierzchowca Kuvika.

— A z mości panem Esze i furgonami co ma się stać? — dopytywał się Bibok.

— Nic. Co do nich nie mam żadnych rozkazów. Zostaw ich waćpan w spokoju, niech w imię Boże jadą ku swemu przeznaczeniu. Zrozumiano?

— Tak jest, rozumiem, czegoż bym miał nie rozumieć? — odpowiedział Bibok, ale z wymuszonego głosu i przeciągania słów było widoczne, że nie całkiem rozumie, co się za rozkazem kryje.

— Musisz waść wiedzieć, że przeznaczenie pozwala czynić jakieś małe, nieznaczne zmiany i poprawki w swoich zamiarach, ale nigdy nie zniesie, by człek całkiem przejął cugle w swoje ręce.

— Jeżeli dobrze rozumiem, to jego wielmożność nie chce się mieszać do onych spraw.

— Tak jest. Utrafiłeś, mości pułkowniku.

— A jednak nie wszystko jest dobrze pomyślane, jako że wielmożny pan János Görgey to nie człowiek, któremu mogę rzec, żeby się grzecznie ze mną zabrał z powrotem, a on wyciągnie obie ręce, żebym je spętał. Jeśli jego wielmożność rozkaże, bym brata przywiózł żywego czy umarłego, tego się podejmę, bo to dla Zsigmonda Biboka dziecinna zabawa. Jeżeli jednak mam go za wszelką cenę dostawić żywego, to już wymaga większej chytryści. Żywcem nawet mysz trudno wieźć, chyba że się człek w kota przemieni. Widziałem, że wielmożny pan Görgey ma strzelbę, mają też na wozie szable, a ze mnie taki człowiek, że jak ktoś mnie zaczepi, to już nie przelewki, wtedy za nic nie odpowiadam. Mamy los tego, kto na mnie nastaje, choćby go w jedwabnych pieluszkach chowano. Dlatego proszę, żeby wielmożny pan żupan dał na piśmie rozkaz pojmania brata, żeby i on mógł to przeczytać.

— W tym masz waćpan rację — zgodził się żupan. Poszedł do swojej kancelarii i własnoręcznie wypisał rozkaz.

Kiedy wyszedł z gotowym pismem, oddział już siedział na koniach. Jeszcze raz przywołał Biboka.

— Mości pułkowniku, oto pismo. Działaj z rozważą, a co najważniejsze, trzymaj język za zębami. Nikomu nie rzeknij słowa o tym, co teraz my dwaj wiemy.

Podał mu także sakiewkę talarów.

— Na wyprawę wojenną potrzebne są pieniądze, potem wyliczy się z nich waćpan dokładnie.

Sierp księżycy wynurzył się nad wzgórzem za szopą Vállayów, gdzie suszono kukurydzę; koguty zaczęły pisać, gdzieś w oddali zahuczał na bagnach bekas płosząc ciszę. Potężna dębowa brama zaskrzypiała na wrzeczniętach i konni ruszyli klusem.

Görgey powrócił do swej sypialnej komnaty z uczuciem ulgi, ale ledwie zaczął się rozbierać, znowu zaskrzypiała brama i pod oknami usłyszał stukot końskich podków.

— Skocz no, Preszton, i zobacz, co się dzieje.

Preszton długo nie wracał, co wprawilo żupana w gniew i już chciał po niego posłać jednego ze strażujących, kiedy przyczłapał z powrotem.

— Ruszasz się jak mucha w smole! — huknął na niego. — No, co to było?

— Umyślny z Osgyánu.

Serce Górgeya zaczęło dziko bić.

— Czego chce?

— Przywiózł list — odpowiedział wymijająco Preszton.

— Dawaj prędzej — nerwowo zawołał żupan.

— Nie mogłem go zaraz przynieść, bo trzeba go okadzić.

— A gdzie jest ten człowiek?

— I człowieka też trzeba wpierw okadzić.

— Nie potrafisz wszystkiego od razu wyłożyć, ty zakuta barania głowo? Czemuż to trzeba posłańca okadzić?

— Bo tego... teraz właśnie... on powiada, że w Osgyánie panuje dzuma.

Śmiertelna bledość okryła twarz żupana.

— I jeszcze powiedział, że jejmość pani Darvasowa umarła na zarazę, niech jej światłość wiekuista świeci...

Ogromny mężczyzna załamał się na te słowa, jakby go kto maczugą zdzielił, jęknął z głębi piersi, a z oczu puściły mu się potoki łez.

Napad słabości u tego mocnego człowieka trwał zaledwie chwilę. Przez ten czas stanęły przed nim jak żywe wspomnienia dzieciństwa. Kiedy Katarzynka była jeszcze małym dziewczątkiem, razem się uganiali po łące za motylami, a pewnego razu on, jako starszy, wziął przed siebie małą na osła, jak to widział na pewnym obrazie, po czym osiołkowi wsadził do ucha rozżarzoną hubę, żeby szybciej pobiegł. Osioł puścił się takim szalonym galopem, że nie przystanął, aż przy potoku, tam runął bokiem w wodę, żeby zanurzyć piekące ucho. Wody było zresztą zaledwie po kostki, ale dzieciaki w nią wpadły. (Co za osły z ludzi, że uważają osły za osły!) Ojej, jak mała Kati wtedy płakała... A zamoczone sukieneczyny suszyli na słońcu, bo bali się tak pokazać w domu. Jakaż była wtedy śliczna, kiedy siedziała pod krzakiem wikliny w samej koszulinie... a teraz nie żyje. Ale ponad ból wysunął się niepokój o Rozalkę. Co się z nią dzieje?

— Szybko dawajcie ten list! — wycharczał.

Preszton wybiegł, ale już na schodach spotkał w pół drogi Marjówką, która niosła list trzymając go daleko od siebie w szczypcach do pieczenia opłatków.

— Hej, Preszton — zarządziła jejmość. — Leć no i zbudź którego z palestrantów, żeby przeczytał list, bo nie można pozwolić, żeby go nasz pan wziął do ręki. Ale którego zbudzić? Może imć pana Draveckiego? Nie, nie. Byłoby go szkoda, to bogaty młodzieniec, nie budź go, już lepiej tego chuderlawego Paleznaya, i tak pluje krwią. Albo nie, Preszton, poczekaj no, jego biedna matka zamartwiłaby się. Wobec tego zbudź młodego panicza Feriego Bánó. To on niedawno powiedział przy obiedzie, że nie umiem piec strudla, przekonamy się teraz, czy aby umie czytać.

Te całe rozważania okazały się jednak zbyteczne, bo jak tylko Marjówka otworzyła drzwi żupańskiej komnaty i ostrożnie wsunęła szczypcę, Górgey chwycił list i nim niewiasta zdołała zaprotestować, przeczytał, co następuje:

„Drogi Mości Szwagrze! Kiedy ten list piszę, naszą biedną Katalin niezbadane wyroki boskie do nieba wezwały, zsyłając ową straszliwą plagę, zwaną dzumą. Już i ja czuję zbliżanie się zarazy, w moich żyłach stukają podkowy konia świętego Michała. Wydałem polecenie, by mnie pochowano wraz z ukochaną Katalin. Ten sam umyślny, który wiezie mój list, ma zawieźć do

roźnieńskiej kapituły mój testament, w którym nie zapomniałem o Rozalii. Bodajbyśmy dożyli jej wesela! Zarazę przywłókl do nas pewien handlarz broni ze Smyrny, który w drodze do Krasnohorki zatrzymał się na noc w Osgyánie i tu zmarł. Jak się o tym dowiedzieliśmy, posłaliśmy zaraz Rozalkę do żony łowczego, która ongiś była jej nianią, a zwie się Zsuzsa Marjákówna. Jest ona teraz żoną łowczego Jánosa Vargi, a tak kocha Rozalkę, że chyba bardziej niż własne życie. Mieszkają w głębi lasów szabadkańskich, w czystym powietrzu, a w takich czasach to wielkie szczęście. Cała puszcza należy do pewnego baszy tureckiego, który tu pozostał, a raczej zjawia się od czasu do czasu, by nacieszyć się życiem i licznymi żonami, wśród których przebiera niczym Słowak w dereniach. Nie mniej mi za złe, Mości Szwagrze, że z takim cynizmem wyrażam się o różnych sprawach, ale nie mam w sobie nijakiej zazdrości o cudze szczęście, a na własne nieszczęście patrzę obojętnie. Wiedząc, że każda godzina przybliża mnie do Boga Stworzyciela, zatracam wszelkie pragnienia i smutki. Nic już z nich nie pozostało. Nie przygotowuję się do tej drogi, bo wiem, że dojadę; nie ma też we mnie niecierpliwości, bo się nie spóźnię, i nie buntuję się z powodu odejścia Kati, bo wkrótce będziemy razem. Przybądź po swą córkę, znajdziesz ją u łowczego Vargi, poczciwego człeka i dobrego chrześcijanina, lubo u tureckiego pana jest na służbie. Do Osgyánu nie zajeżdżaj, to niebezpieczne. Na nasz pogrzeb i tak byś nie zdążył, bo szybko wszystkich grzebią, nie ma wielkich uroczystości ani oracji, chociaż czuję, że w naszym wielebny Danielu Pohánce wzbiera wzniosła mowa, bo przecież jam go z fornalskiego losu wydobył i wychował w cudzych krajach na kaznodzieję. Może to Pan Bóg gdzieś zapisał, ale tu na ziemi niewiele mam z tego pożytku. Rozalkę możesz tam pozostawić, gdyby losy tak pokierowały, będzie bezpieczna, wszędzie indziej natomiast, jako i u was, nie bardzo. Nadchodzą bowiem wojenne czasy. W ostatnich dniach dostałem list od szwagra Jánosa, w którym pod ścisłą tajemnicą wzywa mnie, bym uzbroił ludzi i udał się na spotkanie z nim. Książę Ferenc Rakoczy bowiem nadciąga na Węgry i w końcu tego tygodnia oczekiwać go będą przy polskiej granicy, w Ławocznem. Nie zdołałem mu odpisać, albowiem już jest w drodze, ale gdybyś go waszmość spotkał, to rzeknij, żeby tym razem mądrzej działali niż dawniej i że nie mogą się stawić, gdyż możniejszy Pan położył na mnie swą dłoń i wzywa do swego wojska na wieczne odpoczywanie.

Zachowaj mnie w swej pamięci, Drogi Szwagrze, Czy ja będę mógł o was pamiętać, tego nie wiem. *Datum Osgyán, 9 die juni 1703*

Darvas

P.S. W piwnicy stoją u mnie dwieście trzydzieści cztery beczki wina, którego nie zdążyłem już wypić. W tym jest i mocne czerwone z winnicy w Otrokocsu, którą *illo tempore* król Mátyás okopywał, chyba ze dwadzieścia dużych beczek, reszta to białe stołowe. Gdyby trafili się kupcy i chcieli kupić, to odstawcie trzy beczki, na których biedna moja Katalin kredą wypisała „Attande”. Tych nie sprzedawajcie, jest w nich bowiem maślacz tokajski z przesławnego roku 1663-go, kiedy upalne lato trwało do Wszystkich Świętych. Ale ja już go pił nie będę. Amen.”

Görgey przeczytał list do końca i dusza jego nabrała wigoru pod wpływem tonu pozbawionego wszelkiej goryczy, a nawet zaprawionego humorem, z jakim Darvas przekomarzał się ze śmiercią. Tak umrzeć potrafi tylko Węgier. Pierwszą myślą było wyruszyć natychmiast, jeszcze pod osłoną nocy, ale co się wtedy stanie z Jánosem Görgeyem, którego rankiem przywiodą tu żołnierze jako jeńca? Jánosa nie może nikomu powierzyć, bo jak się znajdzie sam, natychmiast ucieknie. Musi więc zabrać go z sobą, przynajmniej brata uratuje.

Tak postanowił i czekał, aż nadejdzie dzień, nawet się nie kładąc. Siedział i kurzył fajkę. Natłok wydarzeń i ich różnorodność nie tylko nie wywołały w jego umyśle zamieszania, ale przeciwnie, wyostrzyły myśli. Czuł się w swoim żywiole, jak ptak wśród chmur i bijących piorunów. Tak, poczeka na Jánosa i pojedą przede wszystkim do lasów szabadkańskich po

Rozalkę, zabierze także z sobą Marjówką. No dobrze, ale gdzie umieści córkę? Przecież jej nie zostawi w tych lasach (doprawdy śmieszny jest ten pomysł szwagra), dziewczynka ma już czternaście lat, wkrótce będzie panną na wydaniu, pozostałe dwa lata muszą być przeznaczone na wyszlifowanie jej edukacji. Przez te dwa lata trzeba ją przygotować do życia w wielkim świecie. Albo teraz, albo nigdy. Do Toporca jej nie zawiezie. Przeciwno temu buntowała się jego dusza, w której wciąż się kołatały dawne podejrzenia. Zresztą w Toporcu nie byłoby bezpiecznie. To pierwsze miejsce, które zostanie spalone przez labanców — na to nie trzeba być jasnowidzem ni prorokiem. Może ją przywieźć do Görgő? No, tego by tylko brakowało. To jakby ją pchnąć na nastawiony nóż. Wobec tego co z nią zrobić? Zuchwały plan zaczął się kształtować w jego umyśle, pomysł zrodził się z pewnego sławnego opowiadania, które znał, gdyż krążyło z ust do ust w języku niemieckim. Pewna prześladowana księżniczka, Klodwiga, zamieszkała w domu londyńskiego kata. Dzięki temu ocalała, gdyż tam nikt jej nie szukał. Przyszło mu do głowy, że z uwagi na nadchodzące wojenne czasy musi umieścić córkę w jakimś warownym grodzie, najlepiej w Lewoczy, gdzie utopiliby go w łyżce wody. Właśnie dlatego. To takie proste jak jajko Kolumba, tylko trzeba było to wykoncypować. Tam nawet myślą nikt za nią nie podąży. Poza tym będzie to miało sens, bo w Lewoczy Matylda Klöster prowadzi pensję, gdzie, jak powiada stary Luzsenszky, oddaje się podlotka, a wychodzi dama, którą można pokazać na cesarskim dworze.

Co do szczegółów, to jeszcze ich nie obmyślił. Tu cała trudność, gdyż tajemnica musi być tak utrzymana, żeby w żaden sposób nie mogła się wydać. Albo trzeba tak to urządzić, albo nic z tego. Przede wszystkim zrezygnował z zamiaru zabrania z sobą Marjówkowej. Nawet Matylda Klöster nie może podejrzewać, że wychowuje córkę Pála Görgeya.

Ranek zastał go przy obmyślanu tego planu. Ukazał się już złocisty talerz słońca, a Biboka jak nie ma, tak nie ma. Żupan zaczął się coraz bardziej denerwować. Po śniadaniu osobiście wdrapał się na wieżę strażniczą i rozglądał po okolicy. Nigdzie ani konnego oddziału, ani kłębów kurzu. Co się z nimi stało? To nie do wytrzymania. Wreszcie koło południa na spienionym koniu przygalopował Páli Soltész. Żupan wyszedł mu naprzeciw.

— Gdzie reszta?

Soltész ani nie odpowiedział, ani nie zsiadł z konia, tylko zdjął czapkę i łokciem ocierał pot ściekający mu po twarzy.

— Jada? — zapytał znowu żupan.

— Pojechali! — odpowiedział zwięźle żołnierz.

— Nie rozumiem, synu.

— Zostali tam. Imć pan Esze i brat jego wielmożności, którego mieliśmy pojmać, przemówili do oddziału, a tak pięknie obaj mówili, że chłopcy przystali do nich, złożyli przysięgę i jada spotkać Rakoczego.

Żupan pochylił głowę, ani słowem nie odpowiedział, tylko z rezygnacją syknął przez zęby: — Niech się dzieje wola nieba. (Marjówką twierdzi co prawda — a wiadomo, że ma dobry słuch — że zgrzytnął zębami.)

— Bibok także? — zapytał znowu żupan.

— To nie ma go w domu? — zdziwił się jeździec.

— We wsi Stojance u rozstajnych dróg podzielił oddział na dwie części, drugą dowodzili młodzi Bibokowie, i mieliśmy się spotkać w dolinie Dolhicy. Tak się też stało, zeszliliśmy się tam o świecie, ale pułkownika nie było, podobno od lasu bragłowskiego zawrócił do Görgő mówiąc, że źle się czuje.

Oczy żupana roziskrzyły się gniewem, ale zdławił w sobie przekleństwo cisnące się na usta.

— Dziwne jakieś sprawy! No, ale tyś pięknie postąpił, że wróciłeś.

Na to młody człowiek potrząsnął głową.

— Unizenie powiadam, że wcale nie wrócił. (Rzeczywiście podejrzenie wyglądało, że nawet nie zamierza zsiąść z konia.) Przywiozłem jeno ustne poselstwo od panów. Brat wielmożnego pana żupana tak do nas rzekł, kiedyśmy już złożyli przysięgę: „Słuchajcie, chłopcy, teraz obyczajność wymaga, żeby któryś z was zawiadomił pana żupana o tym, że idziecie z nami. Kto się odważy to uczynić?” „Ja” — rzekłem. A poselstwo jest takie, że mości panowie Tamás Esze i János Görgey rekomendują się jego wielmożności i ekskuzują, że koni nie mogą odesłać, jako że żołnierz należy do ojczyzny, konie zaś do wielmożnego pana żupana. Tedy je uprowadzają, bo ludziom markotno iść na piechotę. Powiadają: „Pies chodzi piechotą, nie kuruc”. Kazali rzec, że nie mogą inaczej uczynić i żeby jego wielmożność miał cierpliwość, bo niezadługo powrócą i rozliczą się za te konie.

To powiedziawszy spał wierzchowca ostrogami, pokłonił się po żołniersku i pocałował za bramę.

Görgey w milczeniu patrzył na drogę, póki pył wzniesiony przez jeźdźca nie pochłonał go mniej więcej tam, gdzie budowano gospodę. Był raczej zaskoczony niż zły. Jak tak, to niech będzie. Jego serce też biło po węgiersku. Był mądry i szybko ocenił sytuację. To, że zabrano mu ludzi i konie, to dobre dla „sprawy”; to, że zabrano wbrew jego woli, to dla niego plus w oczach cesarza. A że nie pieklił się z tego powodu, to mu wyjdzie na dobre u Rakoczego. Zwrócił się do Marjákowej:

— Niech jejmość przygotuje sakwy na drogę, bo jadę na pogrzeb. Póki zaprzęgna, pošlij no jejmość do Biboków zapytać, czy Bibok wrócił, czy też zamiaruje jakąś podłość...

— Od razu mogę rzec, że nie wrócił, bo przed chwilą była jego dawna żona i pytała, czy już jest. Powiedziałam: „No no, komu go brak?” A pocziwa niewiasta oblała się pąsem, jakby ją ktoś wsadził w cebulowe łupki. Jego wielmożność powiada, że może o jakiejś podłości zamyśla? Najlepiej, jakby jego gotowali tam, gdzie jego miejsce, w kotle z kapuśniakiem dla diabłów. Ale może i diabły by go wypluły.

— Czego się jejmość tak na niego uwzięła?

— Jak mam się nie uwziąć? Oczy mam otwarte i choć ze mnie tylko nieuczona wdowa po kożuszniku, wszystko widzę. Czy to nie on dokądś zabrał cały oddział? Póki nie byli potrzebni, niczym szarańcza zjadali nasz chleb, a teraz, kiedy jego wielmożność wyjeżdża i potrzebny jest oddział przy karecie, wojska nie ma.

— Nie jest mi potrzebne.

— A jak w drodze napadną jego wielmożność zbóje albo ci bezbożnicy z Lewoczy?

— Wszyscy jesteśmy w ręku Boga, pani Marjákowa.

— To i prawda, proszę łaski pana, tylko że wielka ciźba przypada pod opiekę tej ręki, nie zaszkodzi, jak pan żupan zabierze z sobą kilku konnych z tych, co pozostali.

Görgey nie posłuchał jednak rady. (Ojej, zobaczycie, co to będzie! — lamentowała Marjákowa.) Nie tylko konnej eskorty nie zabrał, ale nawet stangreta. Pojechał z nim tylko wierny Preszton, bez kurtki, z podwiniętymi rękawami, jak prosty chłop; wsiedli na skrzypiącą furkę, zaprzęzoną w dwa robocze konie. Doprawdy nikomu by nie przyszło do głowy, że na ławeczce wyłożonej słomą siedzi i kurzy fajkę potężny żupan komitatu spiskiego.

Droga nie byłaby nudna, gdyby nie była taka długa. Węgry są co roku rabowane, ale Niemcy nie mogą sobie dać rady, bo w następnym roku bogactwo powraca. Nadchodzi piękny, radosny, roześmiany maj i odradza się wszystko, co zabrali. Teraz też było zielono, w dolinach falowała bujna trawa, na stokach pasły się tłuste owce, a im dalej turkotała furmanka, tym głębiej sięgała w ogromny skarbiec. Po łąkach owsa i gryki przyszły pola pięknie wyrosniętej koniczyny, dalej żyto i jaskrawe zagony maku, a w komitacie Gömör zanurzyli się w łąny ciężkiej pszenicy, w

morze kłosów. Droga wiła się między skałami o dziwnych kształtach, poprzez ciemne lasy i pełne wdzięku doliny, raz wspinając się pod górę, raz kapryśnie prowadząc w dół. Podróżnemu towarzyszyły rozgadane potoki, a coraz nowe strumyki wyskakiwały z lasu i biegły przy koniach jak małe psiaki, póki im się nie znudziło. Z urwistych szczytów ponuro spoglądały senne stare zamczyska. Wokół nich można było sobie wyobrazić gromady legendarnych dworów z czasów owianych mgłą zapomnienia. Tu i ówdzie wynurzały się ruiny meczetów. Oznajmiały, że obcego boga już wypędzono, ale pozostawiono jego domy. Za to na wybielonych wieżach chrześcijańskich świątyń, na których jeszcze niedawno sterczał kogut, teraz błyszczy krzyż, lub też odwrotnie. To znaczy, że tego drugiego Boga, chrześcijańskiego, pozostawiono co prawda, ale o jego domy wciąż toczą się spory. To zabierają je katolicy, to znów kalwini, wszyscy w błędnym przekonaniu, że w ten sposób służą swemu Bogu.

Stały też przy drodze karczmy, gdzie można było konie nakarmić i gdzie karczmarz lub przejezdni wiele mogli opowiedzieć o sprawach szerokiego świata.

Tak więc mijał czas od jednej karczmy do drugiej, i człowiek przejechawszy dłuższy szmat drogi tyle wiedział o codziennych troskach i biedach ludzkości, co gdyby przeczytał wielką jak płachta gazetę. W powietrzu wyczuwało się napięcie, ciężki nastrój i niepokój, ludzie byli zniecierpliwieni, jakby czekali na coś czy na kogoś...

...Przecież jego koń już stuka kopytami na przełęczy użockiej!

Koniki człapały przez całą noc, jazda przeciągnęła się do następnego popołudnia. Na odwieczną ukazała się wreszcie piękna dolina Hontu, a w niej przycupnięte przy rzece Rimie sławne z pulchnego chleba miasto Batyi, zwane ongiś Istvánfalu. W jaskrawym słońcu na obu kościołach błyszczały stalowe koguty, żywiące się krwią, a nie pośladem.

Istvánfalu rozrosło się stopniowo, aż stało się miastem Rimaszombat. Gdzie był zamek (jak tutaj Szabadka), tam musiało powstać miasto, gdyż zamczysko ma ogromne potrzeby, szczególnie gdy chodzi o rękodzieło. Ściągali więc różni majstrowie, niczym owce do soli. Najwięcej zjawiało się ich wówczas, gdy panem zamku był wielki magnat, prowadzący bogaty tryb życia. W owych czasach wspaniałości wielkopańskiego dworu nie określano tak jak dzisiaj według tego, ile koni stoi w stajniach, jak często urządza się przyjęcia czy też z jakiego salonu w Paryżu lub Wiedniu sprowadza toalety dostojna małżonka, lecz tym, jak znaczne miasto powstało w pobliżu. W ten sposób w sąsiedztwie siedziby Homonnayów powstała Homonna, dzięki Eszterházy — Kismarton, Pápa i Tata, obok zamku Károlyich — Nagykaroly i tak dalej.

Rimaszombat natomiast miało większe szczęście, niżby mu się to należało. Szabadka i Rimaszombat należały do znacznie większych panów, do Rakoczych. Familia była zawsze ruchliwa i niespokojna, więc nie mogła tkwić w jednym tylko miejscu.

Wtedy miasto wyglądało raczej na większą wieś zabudowaną małymi, dwuokiennymi domkami o trzciniowych lub słomianych strzechach. Mieszkali w nich garbarze, bednarze, tkacze, garncarze i inni rękodzielnicy. Na oko trudno było odróżnić Rimaszombat od większej wsi, nie było przecież ani sztyldów, ani okien wystawowych, natomiast wyczuwało się je za pomocą nosa.

Jadąc przez całe miasto Görgey w jednym miejscu rozpoznawał kwaśny zapach garbników (tu mieszka garbarz!), dalej poślaskotała mu nos smakowita woń czosnku, rozchodząca się od kiełbas i nówek w galarecie, inaczej mówiąc, mijali dom masarza. Jezus Maria, Preszton, popędź konie, bo zaraz zemdleję. Jasne jak słońce, że w pobliżu jest topnia łoju i wosku, odlewają świece i trzeba zatkać nos. Niebiańską ulgę odczuwa się uchodząc poza zasięg tego smrodliwego powietrza i wachając klajster, którego zapach unosi się z otwartego okna, bo tam pracuje majster szewski ze swymi czeladnikami. Jechali długą ulicą, wzdłuż której różnorakie zapachy zdradzały rękodzielników. Na dużym czworobocznym rynku, obok stosów rumianego chleba, widok urozmaicały pierwsze dary lata, czereśnie. Trzeba przyznać, że przyroda naprawdę jest matką, bo

obdarowuje przede wszystkim dzieci. Görgey zsiadł z wozu, żeby kupić dla córki czereśnie. Co za szczęście! Podczas gdy handlarzka je odmierzała, dostrzegł w pobliżu stragan z piernikami. Rzecz jasna, wypada i tam się rozejrzeć. Jest w czym wybierać upominki! Wypiekanie pierników to chyba najwdzięczniejsze zajęcie. Stoi nie pod patronatem Merkurego, lecz Amora. Wyraża same miłosne uczucia, jest pełne kokieterii. Piernikarz nie jest rękodzielnikiem, lecz poetą. Pobudza uczucia, wywołuje uśmiechy, maluje rumieńce na buziach swymi wyrobami, podobnie jak to czyni Amor. Podsuwa kupującemu myśli i pomysły, jak się przypodobać białogłowom, jak się starać o ich względy. Proszę, oto serce z piernika — niemal wyznanie; huzar ozdobiony migdałami — przepowiednia; niemowlę w poduszce albo kołyska — złośliwość. Jeżeli jednak te same pierniki kupuje ojciec, są to tylko łakocie. Tak więc Görgey kupił ich sporo i tak obładowany ruszył w dalszą drogę do Osgyánu.

Minąwszy szabadkański most natknęli się przy karczmie na gromadę mężczyzn uzbrojonych w piki i widły.

— Hej, stać! — krzyczeli wyskakując przed konie i nadstawiając widły. — Dokąd to?

— Do Osgyánu — odpowiedział siedzący na furze Görgey wypuszczając potężny kłęb dymu z piankowej fajki.

Odpowiedź zaskoczyła widocznie tego, który zadał pytanie.

— To waszmość nie wiesz, że w Osgyánie szaleje czarna zaraza?

— Wiem.

— Hm. I mimo to waść jedziesz? Chyba to bardzo ważna sprawa. A do kogo waszmość jedziesz?

— Do Darvasów — odpowiedział krótko Görgey.

Stary człowiek o ptasiej głowie stojący w drzwiach karczmy nie dosłyszał, może dlatego, że siwe włosy opadały mu na uszy. Był jednak ciekawy, więc krzyknął do mężczyzny z piką:

— Co on powiada? Dokąd jedzie?

— Do Darvasów... — odpowiedział tamten, potem zwrócił się ponownie do Görgeya. — Jeżeli do Darvasów waszmość jedziesz, to nie ta droga — przy tych słowach na jego dziobatej gębie ukazało się coś w rodzaju krzywego uśmiechu.

— A która?

— Tamta — i wyciągniętym Palcem wskazał niebo.

— Chyba nie chcesz waść powiedzieć, że... — rzucił z przerażeniem Görgey.

— No cóż, oboje wielmożni tam się przenieśli.

— Pan Darvas też? — wyjąkał Görgey błady jak płótno.

— Oboje. Wczoraj złożyli do ziemi jejmość, a dzisiaj męża. Uspokój się jednak waszmość, bo nawet gdyby byli żywi i zdrowi jak ryby, tobyś i tak nie mógł pojechać. Żywa dusza wbrew naszej woli tędy nie przejedzie, bo jesteśmy komisją (tu wypiął dumnie pierś i mocno stuknął piką o ziemię) i w tym miejscu strzeżemy bramy przed czarną zarazą.

Ból ścisnął Görgeyowi serce, w milczeniu zapatrzył się przed siebie, nawet fajka mu z ust wypadła.

— Zawracajcie z Bogiem — nalegał człowiek z piką. — Czego tu stoicie? Taki jest przykaz, nie ma o czym gadać.

Preszton odwrócił się na koźle i pytająco spojrzął na żupana.

— Zawracamy?

Görgey wzdrygnął się, jakby go ktoś nagle ze snu zbudził.

— Skądże. Jedźmy dalej, Preszton. Jeżeli nie wolno jechać do Osgyánu, to trudno, ale mam jeszcze coś do załatwienia w szabadkańskich lasach. Tam nas puście, dobrzy ludzie!

— Nie wolno, *punctum* — upierał się tamten. — Nie pozwolę.

— A coś acan za jeden?

— Kim jestem, to jestem — odpowiedział zadziornie — ale magistracka persona ze mnie. Nazywam się Kelemen Pizsera, główny strażnik miejskiego więzienia, i sam jegomość pan burmistrz przykazał mi pod karą chłosty i wypędzenia z urzędu, żebym nikogo nie przepuścił ani do Osgyánu, ani z Osgyánu. Niech się czarna zaraza sama wydusi. Nie ma innej rady ni leku.

— Ależ ja nie chcę jechać do Osgyánu, tylko do imć pana leśniczego w szabadkańskich lasach.

— Hm, każdy może tak rzec.

— Mnie możecie uwierzyć, bo i ja jestem magistracką personą i nie będę się w takiej gardłowej sprawie uciekał do łgarstwa.

Gębę imć pana Pizsery wykrzywił niedowierzający uśmiech.

— To też każdy może powiedzieć. A waszmość kto taki, jeżeli zapytać wolno?

Görgey wahał się, co odpowiedzieć i czy wyjawienie incognito nie zaszkodzi jego zamierzeniom.

— To jego wielmożność żupan komitatu spiskiego — wymknęło się niemal mimo woli Presztonowi.

— Ho ho, to nie każdy może powiedzieć, ale też nie każdy musi uwierzyć — wykrzyknął Pizsera, podejrzliwym spojrzeniem mierząc ubogi zaprzęg.

Na to Görgey sięgnął do kieszeni i skinąwszy na Pizserę wsunął mu w garść błyszczącego talara.

— Ja wierzę, bo widzę — ciągnął strażnik więzienny kłaniając się piką — ale chyba nie byłoby dobrze, gdyby wasza wielmożność udał się do lasów czy też nawet dalej. Przecież wpuścić można, bo jak ktoś chce umrzeć, to jego wola. Ale jakby wasza wielmożność pojechał tylko do lasów, toby nie musiał zaraz umrzeć, jeno bieda w tym...

— No, w czym? — dopytywał się żupan.

— Ano w tym, że jak się komu zemrze, to zostanie na miejscu i zarazy nie wywlecze w inne strony, ale kto nie umrze, tego komisya nie przepuści z powrotem, choćby to był sam król. Nie możemy śmiertelnego niebezpieczeństwa sprowadzić na mieszkańców naszego komitatu, proszę łaski waszej wielmożności. Takie jest więc pytanie, czy wielmożny pan żupan zamieruje stamtąd powrócić, czy nie.

— Hm. W tym jest racja — odparł Görgey — ale może dałoby się obmyślić sposób, żebym mógł wrócić.

Imć pan Pizsera drapał się w ucho.

— Jedna tylko możliwość — Pizsera wolno i z naciskiem wymawiał każde słowo — jeżeli jego wielmożność rzeczywiście jeno do imć pana Vargi jedzie...

— Tak? Naturalnie tam jadę. Widzę, że znasz imć pana Vargę?

— Jakże miałbym nie znać.

— Powiadają, że bardzo pocziwy z niego człek — powiedział Görgey dla wybadania nastroju.

— Bardzo poćiwy. Jeszcze dzisiaj graliśmy w kręgle „Pod Trzema Wiewiórkami” (tak się zwała karczma w Szabadce) i dziewiątkę stuknął.

— A jakaż to byłaby możliwość?

— Taka, że dwóch naszych ludzi, dwie urzędowe osoby towarzyszyłyby waszej wielmożności do imć pana leśniczego, zaręczając słowem, że nie jeździł dalej, a wtedy z czystym sumieniem wyprawimy wielmożnego żupana z powrotem.

Mowa była rozsądna, spodobała się Görgeyowi, zaczął więc dyskurs z Pizserą.

— Mądre słowo — rzekł — krótko mówiąc, mogę jechać.

— Wjechać łatwiej, aliści z powrotem mogą być trudności. Już rankiem przepuściliśmy jednego konnego, który powiadał, że jest wysłany przez waszą wielmożność i spieszy do Budy, ale zarazem powiedział, że nie będzie wracał. Jak pojechał dalej z Osgyánu, to już jego sprawa, bo z tamtej strony Osgyánu stoi taka sama komisya, albowiem szlachetny komitat tak rozumuje: kiedy zaraza wszystko tam poźre, to i sama szczyźnie.

— Powiadasz acan, że przejechał tędy konny posłaniec?

— Oficjer.

— I mówił, że jest moim człowiekiem?

— Mówił, że jest człowiekiem jego wielmożności spiskiego żupana, groził, że nas posieka, jeżeli go nie przepuścimy. Powiadał, że pędzi do Budy z taką wiadomością, że jak jej nie dostarczy na czas, to jego wysokość palatyn całe miasto w perzynę obróci. Imć pan sołtys sprawdził jego papiery i puścił go.

— Jak wyglądał?

Pizsera opisał postawę i ubiór, ale najlepiej zapamiętał konia, który miał jedną pęcinę białą i skośną łatę na czole.

— Gunar! — wykrzyknął Preszton.

— To ten łobuz Bibok — mruknął Görgey. Od razu sobie uprzytomnił, że tamten pognął do Budy, aby sprzedać posiadaną tajemnicę, gdyż z rozmowy prowadzonej przez Tamása Eszego wywnioskował pewnie, że przebywa tam palatyn.

Görgey miał taki dziwny charakter, że nieraz zupełny drobiazg wyprowadzał go z równowagi, nie przejmował się natomiast najdonioślejszą nawet sprawą, jeżeli był właśnie zajęty czym innym. Na przykład jeśli akurat przycinał sobie paznokcie, dom mógł się spalić, póki z paznokciami nie skończył. Teraz także powrócił od razu do swego głównego celu.

— Powiedz mi acan, czy możesz mi dostarczyć takich dwóch zaufanych ludzi, o jakich poprzednio mówiłeś?

— To mógłby tylko burmistrz uczynić, ale go tu nie ma.

— Kto jest teraz burmistrzem?

— To szlachetnie urodzony imć pan Daniel Kátay.

— Daniel Kátay? Przecież go znam. Jasnowłosy, wysokiego wzrostu, lekko utyka na lewą nogę.

— Ale prostymi drogami chadza.

— Czy to ten sam, który był przysięgłym w Gömör?

— Ten sam.

— Spotkaliśmy się cztery lata temu przy wytyczaniu granic komitackich.

— Jeżeli go wasza wielmożność zna, to może by do niego pojechał?

— A gdzie mieszka?

— Przy drodze do Rimy.

— Nie chciałbym zawracać. Jestem zabobonny. A może bym do niego napisał? Co acan myślisz?

— I to dobre — zastanawiał się imć pan Pizsera — jak ktoś lubi. Dla mnie łatwiej byłoby pojechać. Dawniej umiałem pisać, bardzo piękne litery stawiałem, ale teraz ręka mi ociężała. U karczmarza jest inkaust, można napisać list, a sołtys ma konia, ktoś może skoczyć do miasta.

Görgey zsiadł z wozu, a Preszton zajął się końmi. W szynkowej izbie żupan zabrał się do pisania, co wymagało wielu przygotowań. Najpierw trzeba było zdobyć papier, co nie było łatwe i udało się dopiero za cenę wielkiej ofiary ze strony brzuchatego karczmarza, imć pana Kelenczego, który tak żwawo się krzątał, że nazywano go „czwartą wiewiórką”. Mając wzgląd na dostojnego gościa i nie widząc innych możliwości, wyrwał z Biblii czystą kartkę: były tam

dwie nie zadrukowane strony, przeznaczone na zapisywanie dat urodzin i śmierci dzieci, z ich imionami oraz nazwą planety, pod którą się urodziły. Jedna kartka była już całkiem zapisana, toteż wyrwanie drugiej oznaczało zamknięcie na zawsze rachunku: nigdy już żaden Kelencze ani się nie urodzi, ani też nie umrze. Ale to, czego mające się kiedyś narodzić dzieci tego rodu nie zaznają, z nadwyżką odrabiały już biegające po ziemi, którym tato Kelencze kazał złapać na podwórzu starą gęś, aby sołtys z wyrwanego pióra mógł wystrugać kozikiem pióro do pisania. Dla dzieciaków była to niespodziewana rozrywka, z piskiem i hałasem uganiały się za gęgającym stadem, aż wreszcie schwytały czarnego gąsiora, który po pewnych sprzeciwach zgodził się użyczyć swego najdłuższego pióra. Dzięki temu pan Görgey mógł już bez przeszkód zabrać się do napisania listu, który brzmiał jak następuje:

„Oby Ci Bóg dał długie i pomyślne życie, mnie wielce Mości Panie Burmistrzu!

Ja, Paulus Görgey z Görgő, żupan komitatu spiskiego, będąc w tej okolicy zamiarowałem udać się do imć pana Vargi, leśnika i łowczego w szabadkańskich lasach. Atoli szlachetny magistrat miasta, w obawie przed czarną zarazą, nijak nie daje tam jechać. Jednakowoż, skoro *domicilium* imć pana Vargi nie leży na zarażonym obszarze, udawszy się tam i powróciwszy nie ściągnę na waszmościów nijakiego *periculum*, co rzekłszy proszę waszmości, byś zechciał mnie salwować z tej opresyje, w jaką wpadłem, nie dając posłuchu podszeptom, iż odmówiwszy spełnisz powinność chrześcijanina i szlachcica. Zechciej natomiast znaleźć sposób, abym swoją sprawę pomyślnie załatwiwszy, przy boskiej pomocy i waszmości wielkiej życzliwości, w swoje strony mógł zawrócić.

Bogu polecając waszmość Pana Burmistrza, oczekuję na respons w austeryjce pod Szabadką.

Datum środa, miesiąc *junii*, roku pańskiego 1703.”

Napisawszy powyższą cedułę i posypawszy tynkiem zeskrobanym ze ściany, zwinął papier w fujarkę i palcami zagiął z obu stron końce, żeby epistołę jako tako zamknąć. Z jego rąk wziął ją Pizsera i zwracając się do gromadki popijającej w drugim końcu izby szynkowej zapytał, który chciałby zawieźć list wielmożnego żupana komitatu spiskiego do miasta.

— Co takiego? — zerwał się sołtys, ten sam człek o ptasiej twarzy, którego Görgey dostrzegł był stojącego w drzwiach karczmy. — Żupan spiski? We własnej personie? Sławny, przesławny wielmożny pan Görgey, który zabił lewoczańskiego burmistrza? Ja sam odwiozę list. Prawdziwe zasługi godzi się szanować. (Na jego twarzy malował się zapał.) W swoim życiu zabiłem już osiem niedźwiedzi i trzynaście dzików, ale wszystkie bym oddał za to, by móc jedaego Sasa z Lewoczy ustrzelić, honorem się świadczyć. Gdzie jest ten list? Daj go tutaj!

Pizsera podał list. Sołtys tyle wypił wina, że ledwie stał na nogach, ale gdy go wsadzono na konia, siedział prosto, niczym zrośnięty z końskim grzbietem, i pocwałował ku Baty jak strzała.

— Coś mi się widzi, że nie miłuje Sasów — zauważył imć pan Mátyás Kelencze, gładząc się z lubością po pękatym brzuchu.

— Pewnie — roześmiał się Pizsera. — Za młodu był czeladnikiem u rzeźnika w Lewoczy, ale został za hulaszczę życie wyrzucony z miasta i jeszcze skazany przez radę na obcięcie ucha.

— He, he! A to ci stary hultaj — ze zgrozą powiedział karczmarz. — Pewnie dlatego tyle kracze o bogobojnym życiu i nosi włosy na bok, jak skrzydło, żeby zakryć miejsce po uchu.

Rozdział dziesiąty

(„NASZ BASZA" I DALSZY ROZWÓJ WYPADKÓW)

Imię pan burmistrz Kátay rozpatrywał spory i ogłaszał wyroki w ratuszu. Teraz właśnie omawiano sprawę pierwszorzędnej wagi, dotyczącą niewieściej niewdzięczności, którą należy przykładowo ukarać.

Żona pewnego uczciwego kotlarza, Istvána Percza, imieniem Borbála, wybrała się raz o świecie, kiedy miasto jeszcze spało, do ogrodu przy rzece Rimie, należącego do masarza Dobosa. Zebrała z zagonu cały koszyk świeżej młodej cebulki. Doniesiono o tym burmistrzowi, który skazał niewiastę na dzień zamknięcia w kłodzie. Płakała, lamentowała, że tego wstydu nie przeżyje i rzuci się do rzeki, aż pożałował jej mąż pantoflarz i błagał burmistrza, żeby mu pozwolił na odsiedzenie kary za żonę. Burmistrz, człowiek o wielkim autorytecie, pilnujący porządku, pełen godności, ale mający jednocześnie dobre serce, wziął pod uwagę, że István Percz to dzielny, wrażliwy i religijny człowiek, który co niedziela głębokim głosem wyśpiewuje psalmy, i w drodze wyjątku zgodził się, by Percz odsiedział w kłodach karę za małżonkę, co gdy się stało, całe miasto wzięło niewiastę na języki i śmiało się z męża.

Minęły ze dwa tygodnie, i oto jejmość o jakieś głupstwo posprzeczała się z mężem na własnym podwórku, tuż przy opłotkach oddzielających je od zagrody burmistrza. Słowo do słowa, aż wreszcie ze złością wrzasnęła na męża: „Milcz, ja nie siedziałam w kłodach jak asan!”, i rzuciła w niego glinianym garnkiem, który właśnie trzymała w ręku. Z głowy kotlarza pociekła krew, co ujrzawszy burmistrz wezwał do siebie niewiastę przez hajduka i wydał wyrok skazujący ją na chłostę, a to: sześć razy za to, że zraniła męża w głowę, a dwanaście za to, że za jego poświęcenie chciała go jeszcze językiem poniżyć. Po trzeciej, nakazał, by cały *casus*, jako niezwykły, został po wieczne czasy zapisany w kronikach miasta i w formie anegdoty przechodził z pokolenia na pokolenie, ku przestrodze mężów pantoflarzy i kawalerów myślących o żeniaczce.

Już się właśnie zabierał do dyktowania sentencji, co bardzo lubił, gdyż rozporządzał niejakiem talentem narratorskim, kiedy zjawił się imię pan sołtys z epistołą żupana.

Przeczytawszy treść, wszystko przerwał i nawet powierzył egzekucję, to jest wymierzenie nakazanej chłosty w ilości osiemnastu razy, wiceburmistrzowi Józsefowi Putnokiemu, chociaż osobiście lubował się w takich spektaklach, jako że był niezonaty, często się zresztą zdarzało, że ładne kształty lub łzy skazanej wzbudzały jego litość.

Z jednej strony, wruszała go słabość, z drugiej jednak, pozwalał własnej słabości sobą kierować. Jedną z jego słabości było to, że lubił się kręcić przy wielkich panach (dlatego tak wysoko zaszedł). Kazał więc natychmiast zaprzęgać i pognał, żeby poskakać koło Görgeya. Zastał go porządnie zniecierpliwionego, gdyż słońce zaszło i wydawało się, że zmierzch wieczorny wysuwa się z ciemnego gąszczy szabadkańskiego lasu.

Z kilku słów zrozumiawszy, o co chodzi, pochwalił jego wielmożność żupana, że tak świetnie wygląda i że wręcz odmłodził, a na pytanie, czy jest jakiś sposób na to, by się dostać do leśniczego, takiej udzielił uspokajającej odpowiedzi:

— Owszem, nasz wielmożny żupan, Miklós Palásthy, deliberował w tej materii i takie mi przekazał postanowienia: Jeżeli ktoś zamierza udać się do cudownego zamku, to można go przepuścić, ale jego nazwisko, ranga i godzina odjazdu muszą być dokładnie zapisane w protokole, a także, czy ów podróżny w odpowiednim czasie dotarł do zamku, co z kolei musi potwierdzić basza swym podpisem i pieczęcią, dodając przy tym, o której godzinie ów człek

opuścił zamek. Jeśli z tego wszystkiego wynika, że podróżny nie mógł pojechać dalej niż do zamku baszy, może zostać przepuszczony z powrotem. Tak więc uniżenie suplikuję waszą wielmożność, byś się wstrzymał od owej jazdy, albowiem wobec śmierci wszyscy jesteśmy jednacy, za co się sumituję, choć nie ja to wymyśliłem, lecz tak mówią święte księgi, a w tej sprawie, muszę rzec, jeżeli nie stoimy wobec śmierci, to wszyscy znajdujemy się w jej przedsiönku.

— Kim właściwie jest ów basza? — zapytał Görgey.

— A, to nasz basza, basza Hilil — odrzekł po prostu pan Kátay.

— Przecież Turków dawno już stąd wygnano.

— No tak, zewsząd ich wygnano, ale u nas jeden jest — odpowiedział z dumą pan burmistrz.

— W jaki sposób mógł tu pozostać? — zastanawiał się Görgey.

— E, to wcale nie taki basza maruder. On potem przyjechał, ale bez wojska. Posiada tu włości, podobnie jak niejeden wielki pan, który przybył z innego kraju i nabył ziemię. Do niego należą szabadkańskie lasy, które kupił od Ballassych. Pokochał tę okolicę, wybudował sobie wspaniały zamek otoczony ogromnymi murami i tam trzyma swoje żony — niech tego Bóg za grzech nie weźmie! — ma ich dokładnie osiem.

— Czy to nie jest zły przykład dla ludu?

— Skądże. To nie jest zaraźliwe, hm. Tutaj jedna żona to też za dużo. Ot, dzisiaj na przykład sądziliśmy odstraszący *casus*, ale nie chcę nawet o nim opowiadać, bo wasza wielmożność mógłby mieć potem urazę do niewieściego stanu. A u nas wszyscy bardzo lubią baszę, to dobry człowiek. Pieniędzy ma jak plew, a tak lekką ręką je sieje, niczym oficyjer. Kupcy, złotnicy i różne rękodzielniki mają chleb z tego, że dostarczają swych wyrobów żonom baszy, bo on sam rzadko tu bywa. Co jakiś czas się zjawia, przeważnie nocą. Licho wie skąd. Spędza tu kilka dni, potem znowu nocą znika, jeden Bóg wie dokąd. Żonki natomiast wesoło sobie żyją, trwonią talary na jedwabie, insze materie i różne różności. A basza to serdeczny, poczciwy człowiek. Jak się komu spali domostwo, to daje drzewo na budowę z tych ogromnych lasów, a biedny ludek może wszędzie swobodnie zbierać chrust. Leśniczemu, imć panu Vardze, przykazał, aby nie bronił biedakom wypasać świń, choć to nieczyste stworzenia według nauki Mahometa (niech dunder świśnie taką naukę!), w tych częściach lasu, gdzie rosną dęby, jako że świnię lubią żołądziej. I zawsze kiedy się zwracamy z jakimiś prośbami, sięga do sakiewki. A ostatnio ufundował wielki dzwon dla kościoła reformowanego w Bystrzycy.

— To musi być poczciwy człowiek. Pytanie tylko, czy wie o owym postanowieniu waszego żupana co do wjazdu i wyjazdu z tego włości?

— O, na pewno. Wielmożny pan żupan, kiedy tu zajeżdża, a basza Hilil przebywa na zamku, zawsze go odwiedza. Cztery dni temu był tam na obiedzie i z całą pewnością omówili wtedy dalszy *modus vivendi*.

Przez ten czas Preszton zdjął z końskich łbów worki z obrokiem, imć pan Kátay natomiast zapisał na cedulce, że jej oddawca około godziny ósmej wyruszył spod karczmy szabadkańskiej drogą na Osgyán, udając się do leżącego w lasach zamku, którego pan jest proszony o zaświadczenie podpisem i pieczęcią, kiedy podróżny tam przybył.

— Dzięki za przysługę — pożegnał żupan przyjaźnie burmistrza mocnym uściskiem dłoni — a jak się nadarzy sposobność, postaram się waszmości odwdziżyć.

Wsiadł na wóz i rzucił burmistrzowi jeszcze jedno pytanie:

— Ludzie waszmości powiadomili mnie przedtem, że podobno umarł mój szwagier, Darvas. W jaki sposób dochodzą tu wiadomości?

— Co rano ustawiamy w lesie żywy łańcuch. Co sto kroków staje człowiek do samej

granicy lasu pod Osgyánem. Tam zaś doktor z Losoncu, uczony József Makulyik (chyba z diabłem ma konszachty, że waży się tam pozostawać), wykrzykuje pierwszemu człowiekowi wieści (ma głos niczym tokujący bekas), ten powtarza to następnemu, i tak dochodzą one wreszcie do uszu komisji. W ten sam sposób biegną zarządzenia prześwietnego komitatu. Cóż, kiedy dzisiejszego ranka doktor się nie pokazał. Widocznie i jemu wybił dzwon.

— Niech Bóg błogosławi, mości panie burmistrzu!

— I wielmożny pan żupan niech nam zdrowo wróci!

Po wymianie wzajemnych dobrych życzeń żupan ruszył w las, którego szum przywoływał ciemności. Smutek wiał od drzew, gdyż ustał już świergot skrzydlatych mieszkańców lasu, jeszcze tylko tu i ówdzie rozlegało się stukanie dzięcioła albo wiewiórka przemknęła z szelestem. Wśród traw, paproci i krzaków uwijały się tysiące ćwierkających owadów. Nagle w pobliżu zadźwięczał dzwon. Co u licha? Może na zamku baszy dzwonią na wieczerzę? Ale przecież według opisu zamek znajduje się po lewej stronie, a dzwon brzmi z prawej. Czyżby w Osgyánie dzwoniło jakimś duszom ulatującym z ziemi? Görgeyowi wydało się, że wiatr szeleszczący w koronach drzew niesie z sobą kadzidlana woń umarłych. Wzdrygnął się.

— Co za smutny wieczór, Presztonie. Strasznie smutny.

Teraz dzwon zabrzmiał z lewej strony, bimbam, falą uroczystych dźwięków.

— Niech to diabli porwą — wykrzyknął Preszton — ale chyba jakiś uczony puchacz się z nami przedrzeźnia.

— Nie gadaj!

— Puchacze potrafią prawdziwie naśladować dzwon. Już mnie raz zwiodły, jak byłem wyrostkiem. To było na Zadunaju. Zabłądziliśmy nocą i słysząc dzwon poszliśmy w tym kierunku. Myśleliśmy, że dojdziemy do jakiejś wsi, a tymczasem wleźliśmy w puszcę Bákonyu, przez dwa dni o głodzie i chłodzie nie mogliśmy się z gęstwiny wyplątać. Ależ to puszcza! Bez końca.

Szabadkańskie lasy też nie są gorsze. Ciągną się od Szabadki do Osgyánu na równinie płaskiej niczym stół. Świeża, wypoczęta ziemia, nie tknięta pługiem. Dziewicza ziemia, której nie zgwałciła ludzka wola: to masz rodzić albo tamto. Rodzi to, co chce. Rosną tu sięgające pasa trawy, miejscami pnącza splatają z sobą niebosiężne prastare drzewa, dumnie spoglądające w niebo rozłożystymi koronami. Sławny zbójnik Janosik ze słowackich legend tutaj odmierza wędrownym żakom sukno zrabowane kupcom, a miarą jest odległość między dwoma bukami. W zapadającym zmierzchu wszystko się zaczyna rozplywać, ledwie można coś niecoś rozeznaczyć. Ciemna plama w pobliżu drogi — to miejsce po pasterskim ognisku. Czarny ślad na potężnym pniu — uderzenie pioruna. Maleńkie błyszczące gwiazdki na krzakach — robaczki świętojańskie. Migotliwe srebrne płótno przeciągnięte przez leśną polanę — to potok spływający z gór. Hej, a to co? Turkot furmanki spłoszył stado jeleni przy wodopoju, teraz łamiąc rogami gałęzie pędzą na oślep w głąb puszczy. Śpiące ptaki zrywają się do lotu, milknie „dzwon” puchacza, ukryta w dziupli wiewiórka otwiera przerażone ślepki jak czarne perełki, pustułka wznosi się kwiląc nad las i krąży wysoko, póki się macierzyńskim okiem nie przekona, że minęło niebezpieczeństwo, a wtedy spada jak kamień z powrotem do gniazda. Tylko żuczek uczepiony źdźbła trawy obojętnie się huśta na wiotkiej kołysce.

— Preszton, daleko jeszcze do folwarku? Czy aby trafimy?

— Nie może być daleko, bo pustułka zawsze zakłada gniazdo w pobliżu podwórza, gdzie trzymają kury. Jesteśmy więc blisko. Ludzie w karczmie powiedzieli, że przy drodze stoi biały słup, nagrobek jakiegoś tureckiego księcia, tam trzeba skręcić. Jeżeli jest biały, to go zobaczymy. O, zdaje się, że słycać szczekanie psa.

W odległości rzutu kamieniem coś zabielało, tak, to słup. Preszton zjechał z drogi i wkrótce

dostrzegli dwoje błyszczących oczu: to oświetlone okienka wskazywały kierunek. Po całodziennym jeździe w upale, przyjemny był chłód stuletnich drzew. Görgey zdjął kapelusz, żeby ochłodzić rozgrzaną głowę, ale nie spuszczał oczu ze światełek: tam siedzi Rozalka, może przędzie albo czyta przy kaganku. Kiedy był już blisko, kiedy był pewien, że za minutę lub dwie dojedzie, ogarnęła go gorączka zniecierpliwienia, a serce głośno zaczęło bić. Wśród drzew wyłaniały się z mroku dziwne cienie, jakieś mary, wydało mu się, że widzi lewoczańskiego burmistrza ze strzelbą u ramienia, jak celuje w oświetlone okienko...

Och, nie! Zaczął drżeć, owiał go chłód, aż musiał zapiąć kurtkę.

— Ochłodziło się, Preszton, prawda? Zrobiło mi się zimno.

— A ze mnie pot spływa, tak mi gorąco — odpowiedział Preszton. — Hej ho! Wio, Csiba! Zdaje się, wasza wielmożność, że to leśniczówka.

Z ciemności rozległ się ostry głos.

— Nie podjeżdżajcie bliżej, bo wpadniecie na druty oplecione wokół drzew. Czego tu szukacie? Pewnieście zabłądzili.

— Nie — odpowiedział Görgey. — Jedziemy do imć pana Vargi, leśniczego.

— To ja — odpowiedział ten sam głos. — Z dołu jedziecie czy z góry?

— Z góry — wyjaśnił Görgey i zeskoczył z wozu.

— Jak przejechaliście przez Szabadkę?

— Za zezwoleniem burmistrza Kataya.

— Hm — zastanowił się leśniczy. — Zaraz przyniosę latarnię, ale nieszczęście narusza wszystkie prawa, nawet prawo gościnności. Straszna zaraza, która szaleje w Osgyánie, nakazuje ostrożność.

— Pytaj asan.

— Po co przyjechaliście? Czyście coś przywieźli?

— Przeciwnie, zabrać chcemy.

— Co takiego?

— Dziewczynę — odpowiedział Görgey.

— Za późno przyjeżdżacie, już jej tu nie ma.

Serce żupana jakby coś ścisnęło.

— A gdzie jest? — zapytał drętym głosem.

— Na służbie u Jánosa Sosa w Batyi.

— Może nie o tej samej dziewczynie myślimy, to jakaś pomyłka — podjął Görgey.

— Innej dziewczyny na wydaniu tu nie ma, bo moja córeczka jeszcze w kołysce. Prawdę mówiąc, jest jeszcze jedna, ale młodziutka i tylko gości w moim domu, nie sądzę, że o niej myślicie.

— A może — odpowiedział Görgey.

— Wobec tego zwracajcie, bo na wszystkie świętości przysięgłem, że strzec jej będę przed powietrzem i przed ludźmi. A co przyrzekłem, tego dotrzymam.

— Nawet rodzony ojciec nie może jej zobaczyć? — zapytał Görgey wzruszonym głosem.

— Czyżby jego wielmożność...

— Tak, to ja. Ojciec Rozalii.

— To co innego! Bóg wielmożnego pana sprowadza! Hej, Zsuzsi! Przynies ducha latarnię, na jednej nodze!

Po chwili w drzwiach sieni zarysowała się smukła postać ruchliwej niewiasty, która w świetle latarni była zaledwie czarną sylwetką. Imć pan Varga wziął od niej latarnię i podszedł do przyjezdnych pokazując, jak przejść pod drutem, który ostrzegał o zbliżaniu się nieproszonych gości. Koniec drutu był przymocowany do klamki w drzwiach, tak że poruszenie go lub

przecięcie powodowało brzęk, który budził gospodarza.

— No cóż, tak żyjemy, wielmożny panie żupanie. Proszę się schylić i przejść. Pan Bóg czuwa nad nami.

Görgey wyciągnął rękę i serdecznie potrząsnął dłonią leśniczego.

— No, a jak się miewa moja córka?

— Zdrowa jest, dzięki Bogu, jak rybka i mądra jak filozof. Ale gdzie ta moja Zsuzsi? Popatrz, Zsuzsi, kto przyjechał!

— Boże najświętszy, przecie to pan żupan. Czy mnie oczy nie mylą? Ojej, ależ się jego wielmożność zestarzał!

— Cicho bądź, gadasz jak głupia gęś! — huknął leśniczy, ale bez gniewu. — Lepiej uczynisz, jak się koło kuchni zakrzątniesz. Zatoszcz się o woźnicę i konie, a najsamprzód uwarz wiecezrę dla gościa. Proszę tedy, wielmożny panie żupanie, tedy, na lewo.

Drzwi nie trzeba było otwierać, bo nie były zamknięte, tylko zawieszono płótnem, które broniło wstępu muchom i leśnym owadom. Jejmość pani leśniczyna odsunęła zasłonę, ale nawet jej się nie śniło biec prosto do kuchni. Pierwsza wpadła do izby, nie oglądając się na gościa, żeby pannie Rozalce oznajmić o wielkim wydarzeniu.

Na stole stała miseczka napełniona olejem, na którym niby mała łódeczka pływało drewniane kółko z zapalonym knotem. Obok łóżka stała kołyska, w której spało niemowlę poruszające usteczkami, jakby coś ssało. Widocznie maleństwo we śnie przebywało w niebie, ale nie aniołki mu się śniły, tylko matczyne pierś.

Przy kołysce siedziała Rozalia. Nuciała coś, a stopą wysuniętą spod nakrapianej perkalowej spódniczki poruszała kołyskę. Nóżka była odkryta nieco powyżej kostki i widać było, że zaczyna nabierać owych miękkich kształtów, które działają na mężczyzn jak wino. A co dopiero gdy dopomaga w tym twarzyczka o ustach pięknie zarysowanych i oczach barwy fiołków.

Rysy, choć nieregularne, były mimo to harmonijne; czoło, nieco za wąskie i wypukłe, miało jakąś urzekającą szlachetność i trudno nawet powiedzieć, co w nim przyciągało wzrok. Wystarczy, że cała buzia tchnęła urokiem. Gdyby człowiek doszedł, co mu się w niej podoba, może przysłyby czar, gdyż podziw byłby uzasadniony. Jeśli chodzi o nosek, to można by z pełnym przekonaniem zaświadczyć, że należał do najśliczniejszych zadartych nosków, jakie kiedykolwiek widziano na świecie.

Pani Zsuzsa podeszła na palcach do Rozalki i nagle zakryła jej oczy. Jej duże dłonie zasłoniły niemal całą twarzyczkę, tak że w izbie od razu pociemniało.

— To Zsuzsi! — ze śmiechem zgadła Rozalka. — Wiem, że to ty, bo widziałam, jak siekałaś czosnek.

— Owszem, to ja, ale nie to masz odgadnąć. No, zgadnij, kto tu jest? — przekomarzała się z nią leśniczyna.

— Czy ktoś przyjechał?

— Nie słyszałaś turkotu i szczekania psa?

Teraz już i Görgey wszedł do izby i z trudem się hamował, żeby nie popsuć gospodyni zabawy.

— Czy twoje serduszko nie czuje, kto tu jest? — ciągnęła pani Zsuzsa.

— Powiedziałaś, że pies szczekał. Może ciocia Kati przysłała Wisłę? Czy tak?

— Skądże znowu! Wisła to brzydkie psisko, wcale nie zasługuje na to, żeby twoje serduszko zabiło. Przyjechał ktoś, duszko, kim się bardzo ucieszysz. Pomyśl, kogo na świecie najbardziej kochasz?

— O! Zabierz rękę, już zgadłam. To ciocia Mari z Toporca!

Görgeyowi jakby ktoś wbił sztylet w serce. Chciał przerwać tę scenę, ale nie był w stanie

poruszyć ani językiem, ani nogą, jakby go sparaliżowało.

— A nie, właśnie że nie — chichotała Vargowa i figlarnym głosem dodała: — A przecież tak łatwo zgadnąć. Pomyśl odrobinę, zastanów się, zajrzyj do zakamarków serca.

Rozalka zastanawiała się najwidoczniej, a Görgey stał z napiętymi nerwami. Ze spuszczoną głową czekał na jej słowa, jak zwiędnięta roślina czeka na krople deszczu.

— Nie mogę w żaden sposób zgadnąć — odpowiedziała dziewczynka i zrezygnowana potrząsnęła głową, aż rozsypały jej się złociste włosy.

Ten ruch głowy uwolnił ją także spod dłoni imię pani leśniczyny, Rozalka ujrzała ojca i podbiegła do niego zdziwiona.

— Och, to ojciec jegomość? Jakaś trafił do tego zakątka, dokąd nawet ptaszki nie dolatują?

To swobodne, wesole powitanie zmieszało Görgeya. W głosie dziewczynki nie było ani zachwyty, ani wielkiej radości, ale też nie było w nim obojętności. Rozalia ucałowała rękę ojca, on zaś pochylił się i cmoknął ją w usta. Nie musiał się co prawda zanadto schylać, gdyż od ostatniego widzenia bardzo podrosła, wyciągnęła się jak topólka. Wzrok żupana prześliznął się po milej buzi i zgrabnej figurce, zatrzymał się na niej dłużej, niżby trzeba, i podpatrzył ruch, jakim otarła wargi w miejscu, gdzie ją pocałował. Może dlatego że było wilgotne albo też podrapał je wąsami? Dla niego jednak ten ruch zerwał łańcuchy, którymi był skuty z nawiedzającymi go duchami. Z gorzkim westchnieniem odwrócił się od córki i zapytał gospodarza:

— Powiedz mi acan, czy mógłbym teraz dotrzeć do baszy?

— Do naszego baszy? Teraz? — Leśniczy był najwyraźniej zaskoczony. — Nie lepiej poczekać do jutra rana?

— Nie. Komisja od dżumy, która mnie przepuściła na zakazany teren, tylko wówczas pozwoli mi wyjechać, jeśli basza swoją pieczęcią stwierdzi, kiedy przyjechałem i kiedy od niego wyjechałem.

— Rozumiem — odpowiedział z gotowością leśniczy. — Ale najlepiej będzie, jak jego wielmożność zostanie u nas do czasu, aż zaraza wygaśnie. Zapewniam, że się nie znudzi. Właśnie dzisiaj gajowi mnie powiadomili, że wypatryli niedźwiedzia. Urządzą obławę.

— Ja sam jestem takim niedźwiedziem, na którego polują — mruknął żupan. — Muszę jutro wracać do domu.

Imię pan Varga drapał się w głowę. Był to krępy mężczyzna o sympatycznej twarzy i stanowczym, odważnym spojrzeniu, z którego promieniował prawy charakter. Niewiele mówił, jak przeważnie wszyscy, którzy kochają las. Kto chce z lasem rozmawiać, ten musi umieć milczeć.

— To niedobrze, to bardzo niedobrze. Ale trzeba spróbować.

Przeprosił żupana i wyszedł zmienić odzież, żeby zaprowadzić gościa do zamku. Poszedł do drugiej izby, znajdującej się po przeciwnej stronie sieni, a przez ten czas pani Zsuzsi zasypała Görgeya tysiącem pytań o sprawy Görgó. Czy żyje ten i ów? A córki Plavetzów czy już powychodziły za mąż? A mama? Czy nie przekazała żadnych wiadomości?

— Nic nie przekazała — tłumaczył się Görgey — ale to moja wina, bo wcale jej nie powiedziałem, że jadę po Rozalkę.

— Po Rozalkę? — zdumiała się pani leśniczyna. — Chyba wasza wielmożność nie chce jej zabrać?

— Owszem, zabiorę ją.

Rozalka, która znowu usiadła przy śpiącym maleństwie i patrzyła na jego pucołowatą buzię, podniosła nagle głowę.

— Ojciec jegomość żartuje, prawda? — figlarnie uśmiechnęła się do ojca, tak że rozwiąła

się cała poprzednia gorycz, niczym mgła ze starego górskiego szczytu, kiedy zaświeci słońce.

— Jedno jest pewne, że już tu nie zostaniesz — odpowiedział wesoło — jesteś już dużą panią i czas, żebym coś o tobie postanowił.

Rozalka zerwała się z krzesła, chwyciła w obie ręce spódnice i uniosła ją, żeby się wydała krótsza, potem zaczęła się obracać przed ojcem jak fryga, z wdziękiem i kokieterią, niczym rozkapryszony dziecko.

— Ojej, tatku, gdzie ty masz oczy? Przecież jestem jeszcze malutka, pozwól mi pozostać w Osgyánie.

— Hm, w Osgyánie...

Görgey połknął słowa, które zamierzał wypowiedzieć. Nie miał odwagi zasmucić jej żalobną wieścią.

— Cóż byś robiła w Osgyánie? — dokończył zdania. — Musisz ze mną pojechać, tego sobie życzę.

— A jeżeli ja nie zechcę? — odpowiedziała nadaśana i nóżką zrobiła taki ruch, jakby zamierzała tupnąć.

Żupan rozkoszował się tą zartobliwą sprzeczką, rozmyślnie starał się ją przeciągnąć.

— No dobrze, tylko jak mniemasz, która wola jest właściwie rozkazem, twoja czy moja? — zapytał rozbawionym tonem.

— Ojca jegomości — spieszenie oznajmiła dziewczynka, posłusznie schylając głowę nieomal do podłogi z kpiącą uniżonością. Przy tym ruchu złociste włosy, już rozplecione na noc, opadły jej na twarz. — Tak, ojca jegomości, ale cóż z tego? Rozkaz tylko wtedy jest rozkazem, jak człek boi się tego, kto rozkazuje. A dlaczego, tatku, ja się ani odrobinę ciebie nie boję?

Odrzuciła do tyłu welon włosów i zmarszczyła czoło jak poważna matrona, która się nad czymś głęboko zastanawia.

— Może dlatego, kwiatuszku, że mnie kochasz? — podpytywał łagodnie i serdecznie żupan. — Chodź, podejdź tu bliżej!

Dziewczynka zbliżyła się, ale stawiając te kilka kroków przecząco potrząsała głową.

— Nie dlatego, skądże.

— Może mnie nie kochasz?

— Ja ojca szanuję.

— A czemu nie kochasz?

— Nie wiem — szepnęła smętnie.

— Ale chyba wiesz, dlaczego mnie szanujesz?

— Wiem. Dlatego że tak jest napisane w dziesięciorgu przykazań.

— No, a dziesięciorgo przykazań uważasz jednak za nakaz...

— Bo pochodzą od Pana Boga, a Pana Boga się boję.

— Ale Go i kochasz...

— Wcale nie.

Pani Zsuzsa ze zgrozą zakryła jej usta własną dłonią.

— O, ty mała poganko! Któż słyszał takie rzeczy!

Rozalka wykrzywiła buzię zabawnym grymasem, aż się ukazały wdzięczne dołeczki.

— Ejże, Zsuzsi, zabierz rękę, już ci powiedziałam, że ją czuć czosnkiem.

Naiwne, pełne wdzięku paplanie dziewczynki trafiło Görgeyowi wprost do serca. Teraz zrozumiał, czemu imć pan leśniczy nazwał ją filozofem. Ujął Rozalkę za rączkę (jaka ciepła i miękka, niczym ptasie gniazdko), przyciągnął do siebie i przytrzymał kolanami.

— Chodź no tu, mała grzesznico — powiedział żartobliwie, głaszcząc złotą kaskadę włosów. — Niech mi mościa panna wytłumaczy, czemu nie kocha Pana Boga?

- Bo i Pan Bóg mnie nie kocha — odparła nadąsana.
- Skąd mościa panna o tym wie?
- Bo jakby mnie kochał, toby mi nie zabrał mamusi.

Görgey musiał się odwrócić, bo czuł, że mu oczy wilgotnieją. Potem wstał, chodził tam i na powrót po izbie, wyjrzał przez otwarte okno (szumiący las coś mu szeptął), stanął znowu przed dziewczynką i ciepłym spojrzeniem wprost chłonał tysiączne zmiany jej pełnej wyrazu twarzyczki, jakby przerzucał karty jakiejś tajemniczej, smutnej księgi.

— No widzisz, jakie otrzymałaś złe wychowanie, w twoim rozumowaniu nie ma najmniejszej logiki. Biedna Katalin była dobrą niewiastą... ale o czymże ja mówię? Na czym przerwałem? Aha, że ciocia Katalin mało się troszczyła o twoje duchowe wychowanie, wyrosłaś jak drzewko bukszpanu, którego nikt nie strzyże. No, no, nie ściągaj usteczek, bo tak jest. Z jednej strony masz całkiem dziecinny rozumek, z drugiej zaś jesteś przemądrzała, ot, taka mieszanina. A ja chcę, żeby z ciebie ktoś wystrugał prawdziwą panienkę. Brak ci duchowego fundamentu, brak kierunku i gadasz od rzeczy. Musisz to sama przyznać. Powiadasz, że nie kochasz Pana Boga, bo i on ciebie nie kocha. To wręcz oburzające, żebyś tak myślała o Bogu, który nas wszystkich stworzył i którego woli ludzki rozum zgłębić nie jest w stanie. Nie tylko rozum takiego dzieciucha jak ty, ale i rozum najmędrszego uczonego. Bóg bowiem dał ludziom trochę z własnego rozumu, ale tyciuśką odrobinę, żeby im nie zaszkodziło. Jednemu zaczerpnął z morza łyżką, drugiemu malutką łyżeczką, jak soli. Nie ziewaj, bo cię trzepnę w plecy...

— Niech się wasza wielmożność nie gniewa — wtrąciła nedorzecznie leśniczyna. — Jeżeli o mnie chodzi, to strasznie lubię patrzeć, jak Rozalka ziewa, bo wtedy widać wszystkie śliczne ząbki...

Görgey uśmiechnął się, ale nie zwracając na nic uwagi podjął uprzedni temat.

— Założmy jednak, że masz rację, chociaż jej nie masz. Powiadasz, że Pana Boga nie kochasz, bo i on ciebie nie kocha. I znowu w twoim rozumowaniu nie ma ani logiki, ani metody, bo i mnie nie kochasz, chociaż ja ciebie Kocham. No, na to mi odpowiedz, ty diablątko!

— Jakby mnie tato kochał — odpowiedziała przeskakując od razu na dziecięcy szczebiot — toby mi coś przywiózł!

— Przecież przywiozłem, jakżeby nie — przypomniało się Görgeyowi i krzyknął przez okno: — Hej, Preszton! Przynieś no wszystko, cośmy w Rimaszombacie kupili!

Imć pana Vargi wciąż jeszcze nie było. Görgey zaczynał już z niepokojem spoglądać na drzwi. Usłyszał kroki, ale to był Preszton z zawiniątkiem, które Rozalka niecierpliwie rozwinęła na stole i zaraz z rozczarowaniem odsunęła na bok.

— Och, jaki tato jest zabawny! — krzyknęła potrząsając dziecinnie głową. — Przecież już nie jestem małą dziewczynką, której się przywozi łakocie.

— A co byś chciała dostać?

Zaczęła się z kokieterią krygować.

— No materie, jedwabie, wstążeczki, czy ja wiem.

Nie wytrzymała jednak i mówiąc zawiesiła sobie za uszy podwójne czereśnie, ucieszona, że kołyszą się przy każdym ruchu.

— Słuchaj, mościa panno — wykrzyknął żupan z udanym oburzeniem. — Kiedy w moich zamiarach uważam cię za dużą panienkę, to powiadasz, że jesteś mała. A kiedy tobie wygodniej, to nagle stajesz się dorosłą panną. Na takie targi nie zgadzam się, ty zmyślna wiewiórko.

— Niech jej wasza wielmożność nie dokucza — stanęła znowu pani Zszusa w obronie Rozalki. — Proszę się nie gniewać. Przecież nawet róża powiada, że jest pączkiem, kiedy ją w połowie zielona otoczka kryje, a pąk nazywa siebie różą, ledwie rąbek aksamitnego płatka się ukaże.

Tym poetyckim porównaniem żupan nie zdążył się zachwycić, gdyż spoza płóciennej zasłony dał się słyszeć głos gospodarza:

— Jużem gotów, wasza wielmożność. Możemy wyruszyć.

Görgey wziął kapelusz i wyszedł do sieni, ale stanął jak wryty, gdyż w migotliwym świetle palącego się pod saganem chrustu dojrzał Turka w białym turbanie i kaftanie wątrobianej barwy. Już chciał sięgnąć do kapelusza, żeby się uklonić, kiedy tamten się roześmiał:

— To tylko ja, János Varga.

— To acan? Nie spodziewałem się. Co to znaczy?

— Chodzi o to, proszę uniżenie, że basza chce w ten sposób oszukać starego proroka Mahometa, jeśli proroka w ogóle można oszukać. To jest tak, że Koran zabrania pobożnym muzułmanom przebywać w otoczeniu niewiernych. Więc mój pan mniema, że jak będę w tureckich sukniach przychodził do zamku, to Mahomet nie dopatrzy się mojej kalwińskiej duszy.

— Co za bzdura — zauważył Görgey. — Przecież w haremach trzymają chrześcijańskie dziewczyny.

— E, według nich niewiasty nie mają w ogóle duszy.

Wyszedłszy z zagrody szli dobrze wydeptaną ścieżką, która wiodła w lewo od miejsca, gdzie stało grube drzewo z dziuplą. Dochodziło z niej ciche brzęczenie, z pewnością zamieszkiwały ją dzikie pszczoły. Po drodze, rzecz jasna, rozmawiali o baszy.

— Musi z niego być pobożny człowiek — zauważył Görgey — kiedy nawet takie drobiazgi chce oprzeć na zasadach.

— Nie jest znów taki pobożny, popija sobie wino — tłumaczył Varga — to raczej dziwak. Ale przy tym jest ludzki, nie ma w nim pychy jak w naszych wielkich panach.

— Ile lat już acan mu służy?

— Czwarty rok.

— Powiadają, że nieczęsto tu przebywa.

— Raz lub dwa razy do roku zjawia się na krótki czas.

— A gdzie zamieszkuje, jak go tu nie ma?

Imć pan Varga wzruszył ramionami.

— Licho go wie.

— Czy nie każe sobie przysyłać listów albo wiadomości?

— Nie.

— Ani on nie daje znaku?

— On też nie.

— Jak to jest? Przecież może zdarzyć się coś takiego, o czym należałoby go zawiadomić.

— To samo powiedziałem mu kiedyś, ale zakrzyczał mnie w te słowa: „Nie żądaj ode mnie zbędnych rzeczy, drogi synu. Kiedy człowiek śpi i dusza jego ulatuje z ziemskiej powłoki, to rankiem albo sama z siebie powraca, albo też nie, a ciało się o nią nie dowiaduje. Więc jeżeli ciało w podobny sposób opuszcza swoją siedzibę, to albo powraca, albo nie, lecz nie ma żadnej potrzeby, by siedziba się nim interesowała. Allah nie życzy sobie tego. Powiadasz, że chciałbyś mi dać znać, gdybyś uważał to za konieczne, ale jaki byłby z tego pożytek? Bo albo mi zechcesz donieść o czymś dobrym, a w takim razie pozostaw to na czas, kiedy się znów spotkamy, wtedy razem się będziemy cieszyć; albo też miałbyś złą wieść, a taką pozostaw raczej na daleki termin, bo czystym zyskiem jest czas, przez który nie wie się o powstałych kłopotach.”

— Zazdroszczę mu tej filozofii — zadumał się Görgey. — Tylko w czasce tureckiego baszy może się zrodzić coś takiego. Dziwne jednak, że jego stangret albo służący niczego nie wygadali.

— Przyjeżdża bez służby i przeważnie nocą, widocznie sam powozi małą bryczką.

Wyjeżdża również nocą. Czy jest na zamku, wiem stąd, że na wieżyczce minaretu zatknięta jest wtedy mała chorągiewka.

— To doprawdy wygląda jak jakaś tajemnica — zauważył Görgey najwyraźniej zainteresowany. — No i z pewnością, kiedy przyjeżdża, ani na krok nie rusza się z zamku.

— Wcale nie. Lubi się przechadzać po lesie, czasem nawet do mnie zagląda. Od kilku dni niemal codziennie nas odwiedza, dzisiaj też siedział na przyzbie w porze podwieczorku i poprosił Zsuzsę o kubek mleka, a przez ten czas z panienką Rozalką rozmawiał, żartował.

— To znaczy, że umie po węgiersku?

— Trochę, tak z turecka, ale ze mną rozmawia po niemiecku.

— Wobec tego mówmy ciszej — poradził Görgey — bo kto wie, czy i teraz się tu nie przechadza albo nie siedzi pod drzewem i słyszy, co gadamy.

— O tym nie ma mowy, możemy się nie obawiać, o tej porze zawsze jest w domu. W takie ciepłe wieczory, kiedy księżyc wschodzi, odaliski idą się kąpać do stawu w ogrodzie, a on rozkoszuje się tym widokiem. To jego ulubiona rozrywka.

— Psiakość! — Görgey aż cmoknął rozweselony.

— W tym cała bieda, bo wtedy dla niego świat przestaje istnieć i wcale nie wiem, czy zechce z nami rozmawiać. Jedno jest pewne, że mu przeszkodzimy. Ale wszystko jedno. Odważny nawet w kościele gwizdże.

— W jakim wieku jest ten basza?

— Bezzębny kozioł.

Przy rozmowie nawet nie spostrzegli, kiedy stanęli pod gładkim białym murem, otaczającym bajkowy pałac baszy do takiej wysokości, że tylko z koron najwyższych drzew można by zajrzeć na dziedziniec i do ogrodu. Podobno znalazło się w Rimaszombacie paru zuchwałych młodzieńców, którzy kiedyś wdrapali się na najbliższy stojący niebosiężny grab, chcąc podpatrzeć przechadzające się po ogrodzie odaliski. Przed stu laty ścięto by im głowy, ale teraz basza Hilil kazał tylko ściąć bezwstydne drzewo.

Uzupełnieniem muru była potężna, kuta z żelaza brama. Wisiała na niej ogromna kołatka na grubym łańcuchu. Był to chyba jedyny głos, jaki mógł z zewnątrz dotrzeć do zamkniętego raj. Imć pan Varga trzykrotnie uderzył nią w bramę, ale straszliwy huk nie wywołał nikogo. Wyjął więc z kieszeni kaftana gwizdek i gwizdnął. Dziwny ostry głos jakby się wrzynał w drzewa i mury, był mieszaniną gwizdu kosa, ryku byka i syknięcia węża. Aż dziw, że wychodził z tak maleńkiego przedmiotu.

— Cóż to takiego? — zdrygnął się Görgey zatykając sobie uszy.

— To hasło dla domowników, na które ktoś musi się zjawić, i albo nas wpuści, albo nie.

— Ja też muszę wejść?

— Nie wiem. Może i bez tego basza uwierzy, jak mu pokażę cedułkę do podpisania.

Nie czekali nawet pół minuty, a ze zgrzytem poruszyła się jedna płytką ogromnej bramy i w otworze ukazała się głowa w turbanie.

— To ty, effendi Varga? — zapytał skrzekliwy głos. — Czego chcesz?

— Chciałbym się zobaczyć z naszym wielmożnym panem. Poproś go, dobry Jussufie, żeby mnie raczył przyjąć.

— To będzie twoja wina, jak mi nawymyśla. Powiem mu, effendi, żeś mi groził.

— Dobrze już, dobrze, tylko się pospiesz, Jussuf, zobaczysz, że nic złego cię nie spotka.

Jussuf zasunął z powrotem żelazną płytkę i słycać było, że się oddala.

— Kto to taki? — zapytał Görgey, którego nagle zaciekawiła ta romantyczna wschodnia sceneria. Miał wrażenie, że spoza muru dochodzi woń ambry.

— To był eunuch, proszę waszej wielmożności.

- Prawdziwy eunuch?
- Naturalnie, że prawdziwy.
- Niech to dunder świśnie — nie mógł się nadziwić żupan — chętnie bym dał dobrego talara, żeby się po tym zamku nieco rozejrzeć.
- Bardzo możliwe, że tak się stanie.

My jednak możemy bez zgody baszy zaprowadzić czytelnika tam, gdzie wstęp jest surowo wzbroniony. Od razu podziw budzi śliczny zameczek z balkonem, wieżyczkami, przedsionkiem zwieńczonym kopułą i smukłym minaretem w lewym narożniku. Nigdzie nie było światła, jedna tylko latarnia rzucała mistyczny czerwony blask na prowadzące do przedsionka schody. Sierp księżycy swobodnie igrał fantastyczną poświatą, która nadawała kamieniom brunatnobiały odcień bryła soli, jakby zamek zbudowały duchy więzione w cudownej lampie Aladyna. Dziwne światło księżycy (wiadomo, że księżyc jest ulubioną planetą Turków) jeszcze piękniej malowało ogród, który się za budynkiem rozciągał. Bujna roślinność zdawała się teraz odpoczywać, wchłaniając wilgoć ciepłego wieczoru i wdychając własne wonie. Krzewy i kwiaty zlewały się w ciemne strzępiaste fale, z których w górę strzelały ogromne drzewa, a do ich konarów przymocowano wiszące łoża i huśtawki. Na jednej siedziała smukła kobieca postać ubrana w powiewną tkaninę, w której wyglądała jak jasny obłok na tle ciemnego firmamentu. Obok niej stał eunuch, który lekko poruszał huśtawką, ta zaś rysowała swym lotem białą smugę na rozsnutym po ziemi płaszczu splecionych pnączy.

Nieco dalej poprzez luźno splecione gałęzie krzewów widać było błękitnie migocącą powierzchnię, niczym wykrojony szmat nieba, nad którym tuż, tuż unosiły się gwiazdy. Wyglądało to jak lustro otoczone ramą z nastawionych szabel. Co za dziwne złudzenie! To wcale nie lustro, lecz staw, a szable dokoła to sitowie, wśród którego błyszczą kwiaty wodnych lilii... Ale są tam jeszcze jakieś białe, poruszające się wiotkie cienie... Cóż to jest?

...Otwórz szerzej oczy albo raczej zamknij je zupełnie, poczciwy śmiertelniku, jeśli chcesz spokojnie spać tej nocy, są to bowiem odaliski baszy Hilila, rozbierające się do kąpieli...

Po tej stronie stawu czerwieni się iskierka żaru. Ta iskierka wskazuje miejsce, gdzie jest cybuch baszy, a tam gdzie cybuch, jest również basza. Siedzi na miękko wyściełanym krześle pod sklepieniem zwisającej zieleni i wpatruje się w zachwycające widowisko. Stopy wsunięte w żółte pantofle wygodnie przed sobą skrzyżował, turban powiesił na ułamanej gałęzi, a spocone czoło ociera rękawem białego burnusa; spod nabrzmiątych mięsistych powiek małe znużone oczy o wygasłym blasku patrzą na staw, ale jakby tylko z nawyku, gdyż myśli odbiegły gdzieś daleko.

No cóż, człowiek już jest taki, że po jakimś czasie wszystko go nudzi. Raj też tylko przez krótki czas jest rajem, potem staje się zwykłym ogrodem, wreszcie ugorem. Basza Hilil czuje, że zrodziły się w nim nowe pragnienia, i nic w tym dziwnego. Wiek domaga się należącego mu traktowania. Stary mądry człowiek nie może się zadowolić jedną namiętnością, niczym młody lekkoduch. Ma prawo wybierać. Jest filozofem, który nie szuka samego użycia, lecz doświadczeń i porównań, innymi słowy: wiedzy. Nie może trwonić czasu na byle co, bo czasu pozostało mu niewiele.

U leśniczego wypatrzył dorastającą dziewczynkę, niewinne dziecko, które nic jeszcze nie wie, i to stanowi podniecie dla niego, jako tego, który wie wszystko. Raz czy dwa zamienił z nią kilka słów i od tej chwili pozostaje pod jej urokiem, cały czas ma przed oczyma jej postać. Obmyśla plany, w jaki sposób mógłby ją zdobyć. Pierwsze pytanie, kim jest owa dziewczynka? Trzeba się dowiedzieć, z jakiego pnia wyrósł ten pączek. Jeśli bowiem rośnie za wysoko, to staremu człowiekowi bardzo trudno jest sięgnąć. Ale jeśli to niski pień? Schylić się nawet starzec potrafi. W tym względzie można by naturalnie wypytać Vargę i nawet zyskać jego pomoc i wskazówki. (Tylko czemu jest taki prosty i uczciwy!) Chytry umysł baszy rozważał różne

argumenty i sposoby. Z Vargą niełatwo będzie dojść do ładu, gdyby zaczął coś podejrzewać, mógłby dziewczynkę gdzieś wysłać. Może przez Vargową da się coś zrobić? Może rodzice małej są biedni i lekkomyślni? Może by im zaproponować, że ją wykształci... na przykład, na śpiewaczkę? Tak zwykle robią różni mecenasi. A może by ją zatrudnić za dużą zapłatą? Pieniądz to przecież niezgorszy rajfur. Prawda, że to jeszcze dziecko, najwyżej ma czternaście lat, ale czyż nie jest zrozumiałe, że stary człowiek w tym właśnie znajduje rozkosz? Pamięta, że jak był młodzieniaszkiem, pociągały go dojrzałe niewiasty trzydziestoletnie (takie, które tyle sobie dawały, a więc miały dobre trzydzieści pięć lat). Teraz zaś święte prawo natury wyrównuje owo pierwsze odsunięcie się od dziewcząt własnego pokolenia ku wędnącym już białogłowom przez ponowne oddalenie go od niewiast w jego wieku (niech Bóg od nich zachowa!) ku ledwie rozkwitającej generacji. Cudowne wyrównanie, każdy normalny i uczciwy człowiek musi spłacić ten dług.

Takie myśli krążyły po głowie pocziwego i pobożnego baszy Hilila, zrodzone z podziwu dla mądrości Allacha, który tak urządził świat, aby nic w naturze nie ginęło, nawet tęsknota za młodymi dziewczątkami, tylko z samym przydziałem dziwnie się dzieje — kiedy właśnie eunuch przerwał jego rozmyślania oznajmiając, że za murem rozległ się gwizdek imć pana leśniczego.

— Czego chce? — burknął basza.

— Stanąć przed twym jasnym obliczem, panie, i to niezwłocznie. Strasznie mi groził, jeśli go nie zapowiem.

— Idź i wypytaj, o co chodzi.

Po niedługiej chwili eunuch powrócił.

— Zapytałem go. Otóż pewien nieznajomy, który z nim przyszedł, tylko pod tym warunkiem zostanie wypuszczony z powrotem przez komisję w Szabadce, jeżeli podpis waszej wielmożności stwierdzi, że był tutaj i u leśniczego, to znaczy, że nie pojechał do Osgyánu.

— Idź i powiedz, że nie mam teraz czasu na żadne pisaniny. Co ten Varga sobie myśli, żeby sprowadzać tu jakichś podejrzanych włóczęgów i jeszcze mnie tym zamęczać.

— Powiada, że to ojciec owej dziewczynki, której wczoraj zanośiłem kwiatki i daktyle z polecenia waszej wielmożności.

— Ach tak! — wykrzyknął z ożywieniem basza i zerwał się z miejsca. — Idź i przyprowadź tego nieznajomego, albo nie, zaprowadź go do błękitnej komnaty.

Eunuch skłonił się do samej ziemi.

— Tak jest, effendi. Czy imć pana Vargę też mam przyprowadzić?

— Nie, nie. Niech czeka za bramą. Wpuść go tylko w takim razie, gdyby obcy obawiał się wejść tutaj sam.

Eunuch spiesznie się oddalił. Basza tymczasem doprowadził swój strój do porządku, zapiął burnus, wygładził zagniecienia, nałożył turban, potem spokojnie wysypał popiół z fajki w kielich tulipana, kilka razy przeszedł się tam i z powrotem po żwirowanej ścieżce, usiłując obmyślić jakiś plan dla przekonania obcego do swoich projektów. Potem szybko przeszedł z ogrodu do głównego wejścia pałacowego i po schodach dostał się bezpośrednio do błękitnej komnaty, gdzie nieznajomy już czekał, zapatrzony w malowidło ściennie.

— Salem alejkum. Bądź pozdrowiony pod moim dachem — powiedział basza krzyżując ręce na piersiach.

Görgey odwrócił się zaskoczony i zaczął recytować przygotowane z góry powitanie:

— Niech Allah przysporzy ci wszelkiego szczęścia, dostojny mężu i panie, niech...

Ale nagle słowa uwięzły mu w gardle. Rzucił okiem na baszę, który pod tym spojrzeniem cofnął się przerażony, i wyrwał mu się okrzyk:

— Ejże! Co waćpan tu robisz, mości panie Quendel?

Stary Quendel (on to był bowiem) w pierwszej chwili zbladł, gdyż teraz i on poznał żupana. To ci dopiero fatum! Czymże się naraził diabłu, że żupana tu sprowadził? Był bowiem przekonany, że sam postępuje zgodnie z diabelskimi przykazaniami. Aha, to znaczy, że on jest ojcem tej dziewczeczki! Za bezbożne grzeszne myśli, które żywił wobec niej, już go dosięgła kara. Nie tylko wstyd mu było tej sytuacji, nie tylko się zirytował, że tamten odkrył jego incognito, ale ogarnęła go niewytłumaczalna obawa, właściwa ludziom zabobonnym. Widział przed sobą nie tylko cieszącego się wielkim autorytetem żupana, lecz zarazem zesłanego przez los mściciela, właśnie w osobie ojca owego dziewczęcia. Ponieważ jednak nie mógł się zapaść pod ziemię (co w tej sytuacji byłoby najwygodniejsze), nie miał wyboru i postanowił na poczekaniu wszystko obrócić w żart.

— He he he — zachichotał. — To doprawdy kapitalne! Kto mówi, że szczęście nie istnieje? Hej, hej! Nie oddałbym tego spotkania za tysiąc forintów. Proszę, niech wasza wielmożność usiądzie. Co za wielki zaszczyt dla mój ubogi domek, co za ogromny szczęście.

(Zły byłby z niego aktor, gdyż do tego wielkiego szczęścia miał tak kwaśną minę, jakby rozgryzł ziarnko pieprzu.) Och, zaraz wyskoczę ze swoja własna skóra, tak bardzo jestem ucieszony. (Rzeczywiście zaczął podskakiwać i tańczyć niczym rozdokazywany dzieciak.) Pyta się waść, *domine spectabilis*, co ja tu robię? Nic innego, tylko odpoczywam. Ja dosyć się już napracowałem, należy się odpoczywać. Pan Jezus i za mnie umarł.

Görgey uśmiechnął się, ale nie mógł powstrzymać uszczypliwej uwagi:

— Zaiste, Chrystus i za waćpana umarł, ale widzę, że i od Mahometa bierzesz, co się da.

— Co ja móc zrobić, biedaczysko — tłumaczył się Quendel płaczkliwym głosem, ale na jego pochwałę trzeba zauważyć, że się zaczerwienił, aż szyja przybrała ceglastą barwę. — Złe interesy człowieka wciągać. O Boże, tak, złe interesy. W ludzi nie móc wierzyć, *domine spectabilis*, to łobuzy.

— Jak to, złe interesy?

— Taki na przykład basza belgradzki. To oszust, dużo moich pieniędzy u niego leżeć. Pożyczyłem, a on nie oddaje. Sułtan każe mu jechać do Anatolii, ja się dowiedzieć, że wyjeżdża, pakuje kufry, a biednemu Quendlowi on nic nie mówić. Ale jak ja iść do niego po moje pieniądze, to on mi kazać wybić stopy trzcinką. To jest wielka *violencia*. Prawda, że ja wtedy jeszcze nie byłem szlachcic, ale podeszwy tak samo mnie boleć, co gdybym ja być hrabia. No, powiedziałem sobie, ja tak nie pozwolę, ten basza musi się przeze mnie spocić, więc ja przekupić wielki wezyr. Bo Quendel ma takie same podeszwy jak każdy inszy człek, ale ręce mieć długie. No i wielki wezyr kazać mu płacić, ale z czego? Nie miał nic, tylko harem i eunuchy, i dużo wschodnie dywany, i inne takie ceregiele. Oni zrobić licytację. Ale wszyscy się bali kupić, nikt nic nie dawał. Żeby odzyskać trochę tego, co ja stracić, ja musieć sam wszystko zatrzymać, żywe i nieżywe, niewolników, odaliski, makaty, cybuchy. Ojej, ojej, może wielmożny pan żupan zapalić? Tytoniu ja też dostać ze sześć beczek. Bo te osły trzymać tytoń w beczkach, a wino pić z filiżanek takich jak kominek u fajki.

— Tak czy owak, z waszmości niezgorszy hultaj, możesz gadać, co chcesz — śmiał się szczerze żupan.

Na to ciemna, pokryta zarostem twarz starego Quendla ułożyła się także do śmiechu.

— He he he, cha cha cha. Tak to było. Tak się cyrkumstancje złożyły. Wszystko zwalić mi się na kark. Komu to sprzedać? Nikomu nie potrzeba. Co miałem z ten towar zrobić? Nigdzie się nie chciał zmieścić. No, a tu mam las, tu wszystko zwiozłem, żeby w oczy nie kłuć, bo wielmożny żupan może myśleć, co chce, ale ja wiem, co to moralność, ja nie chcieć nikogo gorszyć. Od ten czas towar tu leżeć, na składzie, co dzień tracić wartość, bo czas źle wpływać na delikatne białogłowy, pogoda też niedobra, najgorsza jest zima. Najpiękniejsza gruzińska

dziewczyna od Gwiazdki pokasłuje i pewnie jej się zemrze, jak liście poźółkną. A w domu owce padają, są chore na motylicę. Tu Allah niszczy, a tam Jehowa, bo owce idą na skóry, kupować je Żydzi. A nasz Pan Bóg też nie odpoczywać. W tamten tydzień spalił się mój folwark w Putzdorf, obory i chałupy fornali. Wielmożny pan żupan nie wiedzieć, ile i jakie kłopoty i zmartwienia mieć człowiek. Najlepiej to być taki, co nic nie mieć. Ale jak mieć, to dobry kupiec lubi się starać, taka jest w nim krew. Dlatego ja tu czasem przyjeżdżać popatrzeć na towar.

— Dobrze, dobrze, ale co na to jejmość pani Quendlowa?

Imć pan Quendel wzdrygnął się jak człowiek, którego dotknął zimny płaz.

— Eee — powiedział opanowując się — co się niewiasty znać na interesy? Tak jak chłop na ogórki. Ja nawet nie myśleć, co by ona powiedzieć. Po pierwsze nic nie wie, mądry człek nie wszystko gadać swojej żonie.

— A jakbym ja jej powiedział?

Imć pan Quendel był zaskoczony tymi słowami i podejrzliwym, niespokojnym spojrzeniem badał twarz żupana.

— No, a co wielmożny pan żupan by podał jako fakt? Tyle, że mnie tu spotkać w lesie, w spokojny dom.

— Przebranego za tureckiego baszą.

— Pewnie, ja musieć oszczędzać własne odzienie. A to jest mój towar, mogę go używać. Co w tym jest nadzwyczajnego?

— W haremie, który również jest towarem waszmości i którego również...

Quendel ruchem protestu podniósł ręce i nawet włosy mu się na głowie zjeżyły.

— Ojej, niech wasza wielmożność tak nie mówić! Och, proszę mnie nie straszyć, dobrodzieju najlepszy. Toć pan żupan wie, jaki ja jestem uniżony, wierny sługa waszej wielmożności. Oj nie, nie! Proszę mnie nie rozdrażniać! Przecież pan żupan wiesz, jaka jest moja małżonka. Niech pan żupan pomyśleć o tamtym świecie i jeszcze o tym, że i pan żupan możesz kiedyś mieć żonę (nie daj Boże, ja tego waszej wielmożności nie życzę!) i niech pan żupan wie, że wcale nie piekło jest najgorsze miejsce i że kocioł, w którym diabły nas będą warzyć (ale waszej wielmożności pewnie i diabły nie tknąć), to wszystko nic wobec tego, jak moja Zsofka kogoś na język weźmie. Taki to jakby wyszedł z magła, koniec z nim.

Görgey omal się nie tarzał ze śmiechu, a będąc przewidującym opadł na sofę okrytą kosztownym perskim kobiercem z utkanych jako ozdoba tekstów Koranu.

— Jam przecie tylko żartował. Po cóż bym miał waćpana zdradzić. Ale prawdziwie się cieszę, że Opatrzność pozwoliła mi posiadać ten sekret, teraz mam odwagę, by waszmości własną tajemnicę powierzyć. Tak jak sekrety żaków. Będę strzegł tajemnicy waszmości tak, jak chcę, abys strzegł mojej. To jedyny pewny sposób na dochowanie sekretu. Ale proszę, siadź waszmość naprzeciwko mnie, lecz przedtem każ mi dać jakąś fajkę.

Twarc imć pana Quendla w mgnieniu oka się rozpozodziła i skoczył jak kozica do okna, by wydać polecenia. Po chwili zjawił się eunuch z dwoma cybuchami, a za nim drugi wniósł na żelaznej tacy wonny żar.

Kiedy dostali cybuchy, stary Quendel wskazał otwarte okno i poufałym tonem zapytał:

— Azaliż, *domine spectabilis*, nie chcesz popatrzeć?

— Po co? I stąd widzę, że niebo jest gwiazdziste i można się deszczu nie spodziewać.

— No, ale wonny wieczór, piękny księżyc... a w stawie pluskać się moje ślicznotki. (Quendel chytrze mrugnął lewym okiem.) Jest tam parę dorodnych gąsek, he he.

— Niepoprawny z waści hultaj!

— Wasza wielmożność nie pożałujesz! — gospodarz wykrzywił twarz uśmiechem, ale spojrzenie miał chytre.

— Odstap, szatanie, i nie kuś! — pogroził mu żartobliwie Görgey, po czym z poważną miną dodał: — Jestem teraz ojcem, mości panie Quendel, i nie ma we mnie żadnych innych uczuć.

— E, co za gadanie! Przecież i ja jestem ojciec, jest moja córka, ja ją kochać, ale rok jest długi i człek ma dość czasu być ojciec, a życie jest krótkie, człek nie zdążyć zakosztować wszystkie rozkosze. No i ojciec jest ojciec, nawet jak już umrze, ale z kosztowaniem koniec, jak śmierć go zawołać.

Żadne krasomówstwo nie było jednak w stanie wydobyć Görgeya z kręgu jego planów i wciągnąć do wspólnej hulanki, która by z nich zrobiła współników. Quendel bardziej by ufał wytworzonej w ten sposób sytuacji niż zapowiedzianej przez żupana wymianie tajemnic. Chociaż kto wie, może i to będzie dobre.

— Ale żelazny człowiek z waszej wielmożności! Co? Czy w tym tytoniu jest opium? Odrobinka. Tak jest dobre. Więcej oczu więcej widzi niż jedno oko. Ale jedno ziarnko opium jeszcze więcej widzi, nawet to, czego wcale nie ma, też widzi. Może podstawić waszej wielmożności stołeczek pod nogi? O tak. A teraz słucham, co pan żupan mówi.

— Chodzi o moją córeczkę, mości panie Quendel — zaczął Görgey — chciałbym ją waszmości powierzyć, i to całkiem, jakby w ogóle nie była moim dzieckiem.

Stary kupiec aż drgnął. Czy to sen? Czy przywidzenie albo coś jeszcze bardziej nadzwyczajnego? Może ten wyjątkowy człowiek czyta w zakamarkach jego duszy, może obróci nim jak na rożnie i poleje sosem szyderstwa, a potem rzuci do wiadra z pomyjami?

— Nie rozumiem — wyjąkał czując, jak go ziąb owiewa, i spuścił wzrok.

— To prosta sprawa. Waszmość dobrze wiesz, że mój dom w Görgő jest ponury niczym jaskinia niedźwiedzia, dlatego córka wychowywała się u mojej siostry Darvasowej w Osgyánie. Oboje Darvasowie zmarli wczoraj na dżumę i dzisiaj ich pochowano. Nim jednak zaraza się rozprzestrzeniła, posłali małą do dawnej piastunki, która jest żoną leśniczego Vargi. Teraz muszę ją stąd zabrać. Ale mój dom nie jest odpowiedni dla młodej pani, która musi się nauczyć wielu rzeczy potrzebnych w życiu, poza tym to niebezpieczne miejsce, gdyż Lewocza przy pierwszej sposobności może urządzić napad i puścić wszystko z dymem. Jest jeden dom, dokąd mógłbym ją zawieźć (tu czoło żupana zachmurzyło się), a mianowicie do mego brata Jánosa do Toporca. Bratowa to dzielna niewiasta i wytworna dama, kocha przy tym Rozalkę (głęboko westchnął i przerwał na chwilę, jakby mu tchu zabrakło i musiał zaczerpnąć powietrza). Niestety Toporc to jeszcze bardziej niebezpieczne miejsce. Powiem waści dlaczego, i tak tajemnica niedługo się wyda. Mój brat János znowu zbuntował się przeciwko cesarzowi.

Imć pan Quendel żywo się poruszył i tak przygryzł bursztynowy ustnik cybucha, że omal nie złamał zęba.

— Zbuntował się?

— Jeszcze dwa tygodnie, a całe Węgry będą pod bronią.

Quendel zerwał się, zaczął tam i na powrót biegać po komnacie i sypać całą litanią pytań:

— Gdzie? Od kogo? W jaki sposób? Kiedy? Skąd? Kto?

Te okrzyki domagały się odpowiedzi na pytania: gdzie i od kogo Görgey o tym się dowiedział, jak i co słyszał, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo i kto je sprowadzi...

— Książę Ferenc Rakoczy nadciąga z wojskiem przez przełęcz użocką z Polski, a Tamás Esze i mój brat János wyruszyli mu naprzeciw z niedużym oddziałem, żeby się do niego przyłączyć.

— Czy to pewne? — sapał Quendel.

— Tak samo pewne jak to, że sucha słoma zapali się od płonącej zagwi. Ale co się z waćpanem dzieje? Siadaj waść i słuchaj spokojnie.

— Jak ja móc siedzieć, jak ja móc siedzieć! — podskakiwał pan Quendel, zapominając nagle o wszelkim szacunku i grzeczności. — Nie jestem przecież żaden grzyb, co siedzi w trawie, nie mogę siedzieć teraz, kiedy po brzuch mogę siedzieć w złocie. Podeszwy mnie swędzić. *Ich muss gehen*. Każda minuta to tysiąc moneta. Na moju duszu. Prędko zaprzęgać, kupować bydelko, owies, posyłać ludzi do cały kraj, kiedy nikt nie wie o wojna. Ojoj! Ojoj! Przyjdzie mały Rakoczy! Bóg go prowadzi! Bóg go prowadzi! Ojoj, biedny cesarz, biedny cesarz! Ile jemu włosów powypadać z głowy!

Od ucha do ucha uśmiechał się na myśl o wydatkach wojennych i już chciał lecieć, kazać zaprzęgać, ale Görgey go powstrzymał.

— Ho ho, przyjacielu, nie tędy droga. Najpierw waść co innego załatwisz. Potem nic mnie nie obchodzi, rób sobie, co chcesz. — Głos jego brzmiał twardo.

— Ale teraz ani kroku. Siadaj waść.

Mówił tak rozkazująco, że Quendel odruchowo usłuchał. Opadł na sofę jak szmata i słuchał Görgeya, chociaż usta aż mu drgały z niecierpliwości.

— Skończyłem na tym, że nie mogę córki zawieźć do Toporca, bo trzeba liczyć się z tym, że siły cesarskie obrócą tę siedzibę w perzynę, o to postara się od razu któryś z generałów cesarskich, bo będzie mógł do Wiednia posłać dobrze brzmiący meldunek: „Zamek zbuntowanego Jánoša Görgeya zdobyłem i zrównałem z ziemią, rodzinę wziąłem do niewoli.” Co prawda to tylko większy dwór, ale w meldunku zamieni się w zamek. Wobec takich widoków, mości panie Quendel, jak mniemasz, co postanowiłem?

— Skąd ja wiedzieć — wycharczał gniewnie.

Natychmiast jednak spostrzegł, że zapomniał, z kim rozmawia, więc z wylewną serdecznością usiłował złagodzić słowa, które mu się same wyrwały:

— Czy ja mogę wiedzieć, jakie myśli rodzą się w taka mądra głowa jak wielmożny pan żupan?

— Postanowiłem zawieźć ją do Lewoczy i umieścić na pensji jejmość panny Matyldy Klöster.

— Chyba nie! — wykrzyknął Quendel ze zdumieniem.

— Tak jest, bo co mury, to mury. Podczas wojny najzdrowsze są nie lasy sosnowe, lecz opasane murami obronnymi miasto.

— Hm, hm. Moja córka też tam się wychowywać, ale ja jestem nic, mnie nie lubią i to też nic, ale wielmożny pan żupan to wróg, którego nienawidzić źle mieszczany. To jak to będzie?

— Tak będzie, że oni się nie dowiedzą, czyja to córka.

— To być niemożliwe. Sasów nie można oszukać. Sas ma sto oczu, sto uszy, sto nos i jeszcze dwa oczu. Sas wszystko wiedzieć.

Görgey groźnie podniósł dwa Palce.

— W takim razie jejmość pani Quendlowa też się dowie o baszy Hililu. Ząb za ząb, mości panie Quendel. Bo moją tajemnicę, jeśli ja jej nie zdradzę, tylko waszmość możesz na światło dzienne wydobyć.

— Niech mnie prędzej na cztery posiekają, chociaż wolę zostać w jeden kawałek.

— To i ja będę milczał jak grób.

— Wasza wielmożność niech dyktować, a ja robić. Co człowiek potrafić, to Quendel zrobić. A co Quendel zrobić, to jest czysta robota, nawet mądry król Salomon nie znaleźć nic zaczepić.

— W porządku. Tak tedy odwieziesz waszmość dziewczeczkę do panny Klöster i umieścisz ją jako, powiedzmy, Rozalię Otrokocsy.

— Uhm. Ja już trochę rozumieć.

— Płacić waszmość będziesz co pół roku, zaopatry ją waszmość we wszystko, co trzeba, a ja, rzecz jasna, koszty pokryję. A jeżeli jejmość panna Klöster będzie sobie życzyła więcej szczegółów...

— Co do kłamać, wasza wielmożność mnie zawierzyć. Niech i ja mieć trochę przyjemność. Długa droga, nudna droga, należy się. Jeszcze tylko pytanie, kiedy mam wyruszyć? Zaraz?

— Może rankiem.

— Ojej, to bardzo zła pora, właśnie trzeba owsa kupić, ale niech będzie. Wobec tego rano. A raczej o świcie, kiedy wszyscy jeszcze spać. Zawsze tak czynię. Ojej! (Tu imć pan Quendel stuknął się w czoło.) Tylko jedna jest bieda, okropna bieda... przyszło mi do głowy...

— Owies?

— Nie owies, tylko ta moja żmija Zsofka. Panienska mnie poznać, że ja jestem basza Hilil, bo ona ze mną rozmawiać. Ona powiedzieć mojej córeczce, córeczka powiedzieć moja żona, i marny mój los...

Görgey zamyślił się.

— Jak waszmość sądzi, może powierzyć imć panu Vardze, leśniczemu, odwiezienie Rozalii? Wygląda na uczciwego, porządnego człowieka. Nim tu przyszedłem, jego miałem na myśli.

— Hm, nie — potrząsnął przecząco głową Quendel. — Oni uczciwi ludzie, prawda, ale sprawa być delikatna, to ważna sprawa, taką sprawę mądry człowiek zawierzyć tylko szlachcicowi.

— Można by i tak — snuł dalej swoje plany Görgey — że waszmość odwiózłby Rozalkę do Lewoczy, ale nie wprost do panny Klöster, lecz do kogoś zaufanego. Wtedy Rozalka mogłaby spokojnie pleść na pensji o baszy Hililu, a tajemnicę znalazłbyśmy tylko my dwaj; ten jeden szczegół nie stanowiłby żadnego klucza dla owego zaufanego człowieka.

— Niby tak, ale mnie tam nikt nie lubić.

— A może znasz waszmość niejakiego Pétera Salitiusa, który ostatniej zimy osiedlił się w Lewoczy? To obrońca trybunalski. W Budzie, Koszycach i Bratysławie już dawno takich mianowano. Zajmuje się wnoszeniem cudzych spraw do sądów i załatwia za dobrą zapłatą wszelkie inne sprawy. Kilka razy zjawiał się nawet w Görgö w miejsce pozwanych.

— Znam tego nicponia — wybuchnął Quendel. — Ja mu zlecić, żeby wy dostał moje pieniądze od farbiarza Konrad Krumholz, sto dwadzieścia osiem złotych forintów. Mogę powiedzieć, że źle na tym wyszedł, ale nie Krumholz, tylko mój interes. Powiadam do Salitiusa: „To nie jest bardzo pewny pieniądz, dam waści połowę, dobrze go przycisnąć, może wydusisz.” Ja mu też dać do ręki kontrakt i spisać z nim nowe pismo na tę połowę. Teraz na Zielone Świątki ja spotkać Salitiusa na jarmark, pytam: „Co zrobiłeś?” a ten łobuz powiada: „Ja zrobić, co możliwe, wydobyłem od niego moją połowę, ale połowy waszmości nie mogę ani rusz wyciągnąć, próbuj waćpan sam.” Z tym człowiekiem ja nic już nie zaczynać. Ale już wiem, ja mam siostra Ancsura, wdowa w Górafalva, ja do niej zawieźć panienkę i powiedzieć: „Sestrica, pięknie się przyodziać i jechać ze mną do Lewoczy. Tę dziewczuskę, Rozalkę Otrokocsy (dobrzem rzekł?), odwieziesz do panny Matyldy Klöster i zapłacisz, ile trzeba.” Ancsurka bardzo nie znosić moja żona i piętnaście lat z nią nie rozmawiać, to ona nie plotkować nic a nic. No, dobrze będzie? Co?

Görgey ujął jego dłoń i mocno potrząsnął.

— Doskonale. A ja już wytłumaczę Rozalce, żeby nic nie gadała, bo to dla niej niebezpieczne. Mądra z niej dziewczuszka. Zapewniam waćpana, że zrozumie własne położenie. Waszmość zaś możesz być pewny, że mu tej przysługi nie zapomnę. Obym miał sposobność się odwdziżyć.

- Co do tego, to wasza wielmożność może się zaraz odwdzięczyć, jeśli zechce.
- Ja? W jaki sposób? Cóż mógłbym waszmości dać takiego, czego już nie masz?
- Ja bardzo chcę coś, czego dawno pragnąć i jeszcze nie mieć. r
- Cóż to takiego? — pytał Górgey zaciekawiony.
- Żeby z panem żupanem być po imieniu... — odpowiedział Quendel wzruszonym głosem.

Wokół ust żupana zarysował się pogardliwy uśmiech, w spojrzeniu błysnęła iskra pychy, ale zaraz się opanował i znowu wyciągnął rękę.

— Czemu nie miałbym się zgodzić? — odpowiedział bezbarwnym, ponurym głosem. — Dla dziecka człowiek chętnie ponosi wszelkie ofiary.

(Tę ofiarę co prawda poniósł niechętnie.) Ale to wcale nie popsuło humoru Quendlowi. Był człowiekiem, który dąży do sukcesów. W jaki zaś sposób osiągał sukces, to go mało obchodziło, podobnie jak nie obchodzi rośliny, skąd się bierze ciepło, od którego rośnie, z pieca czy ze słonecznych promieni. Od razu skorzystał ze świeżo nabytego prawa i z radosnym piskiem klepnął Górgeya po ramieniu:

— Serwus, żupan! Chytra z ciebie sztuka! Teraz tuszę, przyjacielu, że zostaniesz u mnie na skromna kolacyjka.

Rzucił mu się na szyję, uściskał i dwoma głośnymi cmoknięciami przypieczętował wiekopomne wydarzenie.

Górgey cofnął się zaskoczony i z miejsca zaczął się wymawiać:

— Tego nie uczynię, Vargowie to porządni, dobrzy ludzie, jejmość przygotowała wieczerzę, nie mogę ich urazić. Muszę też porozmawiać z córką, to i owo jej wyjaśnić.

— Ejże, bzdury! Spokojnie możesz zostać. Taką sobie urządź tu zabawę, że sam arcybiskup ostrzyhomski palce by sobie lizać. (Chytrze mrugał rysimi oczkami.) Zawołam je tutaj, bracie...

— Kogo?

— No, moja odaliski, przyjacielu. Zatańczą ci taniec bajader. Fiu! Czysta rozkosz! Zobaczysz! Cudo!

Górgey nie uległ jednak pokusie, kazał sobie podpisać cedułę burmistrza i, umówiwszy się co do kilku jeszcze punktów, opuścił bajkowy pałac. W bramie dał błyszczącego talara eunuchowi, który go wypuszczał.

— Oby Allah sprawił, byś na wielbłądzie wjechał do rajy — życzył mu wdzięczny eunuch.

Po drodze imé pan Varga wytłumaczył, że według tureckich wierzeń droga do rajy trwa wiele dni. Wzdłuż drogi cień rzucają drzewa ciężkie od szlachetnych owoców, ale owoce rosną tak wysoko, że tylko z grzbietu wielbłąda można po nie sięgnąć. A przez całą drogę okropny głód dręczy nieszczęsne dusze. Tak więc na piechotę Turek nawet do rajy niechętnie wyrusza.

Rozdział jedenasty

(ROZALIA OTROKOCSY STAJE SIĘ PANNĄ NA WYDANIU)

Przy wyjeździe Górgey zachował wszelkie środki ostrożności. Ledwie świtało, a już wstał i wysłał Presztóna z wozem do karczmy w Szabadce, mówiąc, że sam ma ochotę na przechadzkę, „żeby rozprostować kości”. Po śniadaniu, które się składało z kminkowej zupy i szynki, wziął

pod rękę Rozalkę, która czule pożegnała się z leśniczym i jego żoną. Ruszyli wąską dróżką prowadzącą do głównej drogi. Ptaszki świergotały, trawa błyszczała od rosy, a przez zwisające gałęzie drzew przebijał się czerwony odbłask wschodzącego słońca. Imć pan Varga jeszcze krzyknął, żeby poczekali, i pobiegł za nimi. Posiadał wyjątkowy skarb, kamień wielkości gruszki z żyłką złota w kształcie postaci, w której przy pewnej wyobraźni można się było dopatrzeć Matki Boskiej z dzieciątkiem na ręku. Kiedy się uczył leśnictwa w Selmecebányi, kupił tę bryłkę za kilka groszy od jakiegoś gwarka, i od tego czasu trzymał jako swój jedyny skarb na dnie skrzyni. Teraz przyszło mu do głowy, że to może sprawi przyjemność Rozalce. W Görgő nie znajdzie się nic podobnego! No i dzięki temu będzie wspominała Vargów, którzy tak bardzo są do niej przywiązani.

Pan leśniczy wręczał Rozalce kamyk, a jego żona machała do niej chustką stojąc w drzwiach sieni. Chusteczka już była całkiem mokra od łez. Rozalka spoglądała w tamtą stronę, a leśniczyna wykrzykiwała:

— Tylko pisz do nas, serdeńko, napisz jak najprędzej. Nie umiem czytać, ale Varga powie mi wszystko, co jest ważne.

Powtarzała to na różne sposoby, ale głos nie donosił w głąb lasu, gdzie drzewa przechwytyją ludzkie wołanie, podając dalej tylko własny szum.

Ostatecznie pożegnali się z leśniczym i poszli dalej, ale tylko do tureckiego słupa. Tam Görgey usiadł na podmurówce, a Rozalka zbierała kwiatki — dzikie goździki, fiołkowe dzwoneczki i margerytki, z których ułożyła bukiet. Znalazła też jednego borowika. Aż wreszcie przyturkotała furka zaprzężona w dwa nieduże koniki. Na koźle siedział sam Quendel w zniszczonym odzieniu z grubego płótna i słomianym kapeluszu, wartym nie więcej niż trzy grosze.

Zaprzęg stanął przy słupie.

— Dzień dobry, dzień dobry, braciszku żupanie. Jak spałeś? Nie myślałem, że wy już tu być, myślałem, że jeszcze spać. No, ale wsiadajcie. No, wielmożna panienko, wsiadajże.

Żywo zeskoczył ze śmiesznego ekwipażu, chwycił Rozalkę wpół i podsadził na wóz: „Hopsa!”, wyczuł dłonią ciepło młodziankiego świeżego ciała, bicie serduszka, a pod nosem miał zapach jedwabistych włosów, ale zniknęły gdzieś pożądliwe myśli, które go przepelniały wczorajszego wieczoru. W sercu miał tylko jedno dla niej uczucie — czułość. Córka magnackiego rodu, która mu została powierzona, przestała być podniętą. Najbardziej zatwardziały alkoholik też nie czuje pragnienia, kiedy trzyma w dłoniach święty kielich z ołtarza, choćby znajdowało się w nim najlepsze wino.

Görgey usiadł obok córki i rozmawiali o zupełnie obojętnych rzeczach. Rozalka już wszystko wiedziała i zachowywała się jak dorastająca panienka, która z dniem dzisiejszym wkracza w życie. Gdy się zbliżyli do szabadkańskiej karczmy na taką odległość, że ktoś mógłby ich dostrzec, Görgey zsiadł i pożegnał się z córką i Quendem.

— Kto wie, córuchno, kiedy cię zobaczę — powiedział — ale myślami stale będę przy tobie. Dokądkolwiek by mnie los rzucił, zawsze będę nad tobą czuwał, nawet z grobu. Bądź dobra i postępuj uczciwie, moje dziecko. A teraz daj mi te kwiatki.

Z oczu Rozalii trysnęły łzy. Podała ojcu wiązanekę, przyciągnęła ku swojej jego wielką głowę i szepnęła mu do ucha:

— Wiesz, co pomyślałam? Zanieś te kwiatki na grób człowieka, o którym mi w nocy opowiadałeś, tego, którego zabiłeś, i teraz przez niego i ty, i ja musimy się kryć. Czuje, że on ci wybaczy i wszystko obróci się na dobre. O, dam ci jeszcze tego borowika...

Görgey nie był w stanie odpowiedzieć. Bez słowa wziął kwiatki i grzyb, potem szybkim krokiem poszedł ku karczmie, zostawiając furę Quendla na drodze. Preszton już czekał. W

Szabadce straż stanowiąca ochronę przed dżumą przepuściła ich bez obiekcji na widok ceduły opieczętowanej przez baszę Hilila.

— A teraz nie żałuj koni, pędźmy do domu!

Nie zdążyli jednak dojechać do pierwszych zabudowań Rimaszombatu, kiedy ich przegoniła pozostawiona na drodze furmanka.

— Kiep ze mnie — odwrócił się Preszton, który mimo tumanów kurzu poznał woźnicę — jeżeli to nie był imć pan Quendel.

— Czyżby? — niedowierzająco zapytał żupan. — Masz doskonale oczy, stary. A kto z nim jedzie?

— Chyba żona.

— Rzeczywiście, masz świetny wzrok.

Quendel był urodzonym człowiekiem interesu. Schylał się po każdy grosz, ale lekko rzucał tysiącami. Działał w wielkim stylu. Nawet rozrzutność stanowiła korzystną lokatę kapitału. W zdumiewający sposób umiał zgarniać ogromne sumy. Nie wydawał się szczególnie rozumny, ale wyczuwał pieniądze, gdziekolwiek by były, podobnie jak owca wyczuwa sól, nawet pod ziemią. Czy to przez instynkt, czy po smaku trawy — dość, że w miejscach gdzie jest sól, stado zbija się w kupę i zaczyna lizać ziemię. Pan Quendel zabawił parę godzin w Rimaszombacie i przez ten czas zakupił u tamtejszych kupców owies (wiadomo, że kuruc nie chodzi piechotą, a konnego kuruca dogonić może labanc tylko konno), od handlarzy bydła kupił bydło i jeszcze zawarł umowy na dalsze dostawy, potem wyruszył do następnego miasta. Tak więc nawet w podróży pracował. Byłby już szczęśliwie dotarł ze swą śliczną podopieczną do siostry, kiedy nagle w lesie pod Leskową, o jakie dwa strzały z samopału od szalasów pasterskich, z gęstwiny wyskoczyło dwóch groźnie wyglądających słowackich chłopów w kierpcach i brudnych dużych kapeluszach przybranych nanizanymi na sznurek muszelkami. Uzbrojeni byli w pistolety, a nagie brzuchy opasywały nabijane miedzianymi ozdobami, szerokie skórzane pasy, za które były zatknięte noże.

— Stój! — rozkazali groźnie.

Wyższy z nich chwycił uzdę dyszlowego konia przy pysku, a drugi szybkim ruchem odciął orczyk i rzemień naszyjnika. Stary Quendel nie stracił przytomności umysłu, tylko zaczął z nimi błagalnym głosem pertraktować:

— Czego wy chceć, kochane dzieci? Co mi zabrać? Przecie nic na świecie nie mam, ino tę chorą dziewczeczkę, którą wiozę z Osgyánu, gdzie panuje dżuma. Hej, co robisz, przyjacielu? Rzuć ten nóż! Nie niszc mi uprząż, taka strata dla biedny człowiek! Gdzie masz sumienie, synu? Przecie mi się nie śni uciekać. Ja zatrzymać się, pogadajmy rozsądnie. Zrobić zgodę. (Odwrócił się do Rozalki, która blada jak ściana drżała na tylnym siedzeniu, i powiedział po węgiersku: „Nie bój się, wielmożna panienko”, potem dodał po słowacku, żeby i zbójnicy zrozumieli: „Nie bój się, malutka, to dobre ludzie, nie zrobić nam nic złego”. Znowu zagadał do napastników.) Pieniądzy nie mam wiele, pewnie cztery forinty, podzielimy się, bo mi was żal. Dobrze? A może i ja wyjąć pistolet?

— Milcz, stary, nie ruszaj się, jak ci życie miłe! — huknął jeden ze Słowaków. — Toć nie widzisz, że kuni nam trza?

— O Boże, miejta litość dla starego i tej chorej dzieciny. Nie czyńcie tego, synkowie. Już lepiej zabijcie. Przecie i z was ludzie, i was matka w łonie nosiła.

— Nie godoj tyle. Potrafisz ozorem obracać. Ino się nie martw, kto mnie nosił w łonie, teraz te dwie bestie mają nas na grzbietach ponieść, tego nam trza, bo komitaccy drabanci nas gonia — powiedział krępy zbójnik wskakując na siodłowego, podczas gdy drugi dosiadł dyszlowego. Pozostawili lamentującego i odgrzającego się Quendla na drodze i pocwałowali w

dół po zalesionym stoku.

Quendel aż pieniał się z wściekłości. Przeklinał, wrywał sobie włosy z głowy, zeskoczył z wozu i próbował poruszyć wielki kamień, żeby się stoczył i któregoś ze zbójników pokiereszował, ale głąz nawet nie drgnął.

Rozalka widząc, że napastnicy odjechali, nabrała odwagi i obudziła się jej wrodzona ciekawość.

— Czy to byli zbójnicy?

— Pewnie, że zbójnicy, niech im krucy oczy wydziobać!

— Tacy prawdziwi rozbójnicy?

— I to jak prawdziwi! Pewnie z bandy Szafranika. Ojej!

— Przecież nas nie zabili.

— Cóż z tego. Ale nam konie zabrać.

— Oni zabiją te konie?

— Wszystko jedno, co z nimi zrobić — zachnął się zirytowany naiwnymi pytaniami Rozalki. — Najgorsze to, że nie mieć koni, co teraz z nami będzie...

Sytuacja była istotnie nieprzyjemna. Pośród lasów, o wiele wiorst od jakiegokolwiek wioski i tuż, tuż przed zachodem słońca. Imć pan Quendel niespokojnie popatrzył na wschód, potem ku zachodowi. W lesie panowała uroczysta cisza. Tętent skradzionych koni też już zanikł. Tylko na skraju nieba kłębiła się czarna chmura, na której pioruny z hukiem kreśliły ogniste zygzaki. W górze zanosilo się na wielką batalię.

— Wszystko się przeciwko nam sprzysiąc — mruknął Quendel — nawet Pan Bóg.

— Może się pomodlić? — zapytała dziewczynka i złożyła ręczki.

Zamiast odpowiedzieć, Quendel próbował pociągnąć wóz, ale ten nawet nie drgnął.

— Nie uradzę. Jestem już za stary — westchnął z rezygnacją.

— To może pójdziemy piechotą? — zaproponowała Rozalka. — Bardzo lubię chodzić pieszo.

— Nie można — wycharczał Quendel. — W skrzyni są sakiewki z pieniędzmi i kontrakty podpisane po drodze. Można się wściec. Na papierze ja mieć tysiąc sztuk bydła, a tu ani jeden wół, żeby pociągnąć furmankę. Nie, nie... Tego, co jest w skrzyni, nie uradzę, a tu zostawić nie mogę. Jedyne szczęście, że zbójników gonią drabanci, bo jakby nie, toby się tak nie spieszyć i pewnie by się do skrzyni też dobrać. Lepiej trochę poczekać, a wielmożna panienska, miast się modlić, niech lepiej głośno krzyżeć. Może drabanci usłyszeć. Ja bym też krzyżeć, ale mieć chrypkę.

— Pomocy! Ratunku! — zaczęła posłusznie pokrzykiwać Rozalka, ale drzewom w lesie jej głos nic a nic nie przeszkadzał, nawet kos nie przestał gwizdać.

Nasłuchiwali — nigdzie ani ruchu, ani hałasu.

— Moja Zsofka mieć skrzeczący głos, szkoda, że jej tu nie być — powiedział pan Quendel jakby do siebie. — Takie wołanie nic nie pomoć.

— Masz waszmość pistolet? — zapytała Rozalka.

— Mam. Jakżebym nie miał.

— No to wystrzel waść, będzie huk.

— Hm... No tak. Ale ja go mieć na postrach i nigdy jeszcze nie strzelać. Wstyd czy nie wstyd, ale tak jest.

— Co takiego? Nie masz waść odwagi wystrzelić? — roześmiała się. (To był jej pierwszy uśmiech od chwili wyruszenia w drogę.) — To ja wystrzelę.

Pan Quendel wyszukał w skrzyni pistolet i podał dziewczynce trzymając broń daleko od siebie.

— Niech wielmożna panienska uważać, na miłość boską, żeby sobie krzywdy nie zrobić. Bo co ja powiedzieć tatuśkowi, memu kochanemu przyjacielowi. Och, gdyby on wiedzieć, w jakim jesteśmy niebezpieczeństwie... w jakim niebezpieczeństwie!

Rozalia śmiało ujęła kolbę pistoletu ozdobioną srebrnymi arabskimi wzorami, stanęła na wozie i wystrzeliła w kierunku trzech stojących obok siebie drzew. Huk rozległ się głośnym echem, a kula wbiła się w środkowy pień.

Idąc wzrokiem za kulą spostrzegli, że w pniu znajduje się wycięte wyłobienie, z wymalowanym na blasze obrazkiem Matki Boskiej, pod nim zaś kaganek. Lud w ten sposób oznacza miejsca, gdzie zdarzyło się jakieś nieszczęście. Tutaj przed dziesięciu laty zabity został z zemsty pewien garbaty baca. Na garbie zabitego położono sześćdziesiąt srebrnych talarów, które miał przy sobie, dla stwierdzenia, że nie o pieniądze chodziło, lecz o jego życie. Z pewnością rodzina umieściła tu święty obrazek i w dzień Wszystkich Świętych przychodzą zapalić kaganek.

Quendłowi przypomniała się ta historia i mimo woli pospieszył do pnia. Smętnie pokiwał głową.

— *Sto bohov!* — zaklął po słowacku. — Czy wielmożna panienska wiedzieć, że przestrelić Matkę Boską? Kula przebić blachę przy serce.

Rozalia spojrzała przerażonym wzrokiem na drzewo, jakby popełniła grzech.

— Biada nam! — wyjąkała i zaczęła drzeć na całym ciele. — To oznacza coś złego, prawda?

— Ja nie być zabobonny. To nic nie znaczy, serdeńko, a już dawno mądrzejsi ode mnie rzekli, że kula nie mieć rozumu. A zresztą to raczej dobry znak, bo mi się przypomnieć nieszczęście, które pod tym drzewem spotkało pewnego bacę i że w pobliżu znajdować się owczarnia Szirmayów. A gdzie owczarnia, tam juhas. Juhas, jak nie mieć konia, to mieć osiołki. Ja tam pójść, to nie jest daleko, i kupić osły, a w najgorszym wypadku sprowadzić pomoc. Wielmożna panienska tu czekać i pilnować wozu. Gdyby przyjść burza, nie wolno uciekać pod drzewa, bo pioruny trafiać w drzewa.

Podniecony zbawczą myślą, z młodzieńczym animuszem ruszył pod górę przystając tylko co kawałek, żeby się wykasłać, bo miał lekką rozedmę płuc. Z krzaka leszczyny odłamał grubą gałąź na kostur. Spojrzał za siebie i zobaczył, że Rozalki nie ma na wozie, tylko klęczy zatopiona w modlitwie przed obrazkiem Matki Boskiej. Zachodzące słońce, które wcale się nie przejmowało czarnymi chmurami na przeciwległym krańcu horyzontu (widocznie tam w górze też nie ma jednomyślności), oplotło główkę dziewczynki świetlistą aureolą. Z daleka, przy słabym wzroku starego, trudno było odróżnić, co w tym złocie jest jasnym włosem, a co słonecznym promieniem.

— Módl się teraz, mały głupty — mruknął zgryźliwie stary — kiedyś sobie zrobiła wroga! Nawet jak ci Ona dopomóc, nie wyjdzie ci to na dobre.

Modląca się dziewczynka wierzyła jednak w dobroć Świętej Panienski. Fiołkowe spojrzenie pobożnie wlepiła w jej łagodną twarz i w uśmiechnięte dzieciątko na jej ręku.

— O, Matko Przenajświętsza, Maryjo Dziewico, odpuść mi ten grzech, bom przecie kulą rozdarła twe drogie ciało. Nie chciałam tego uczynić. Nie karz mnie, jako żem i tak bardzo biedna. Matki nie mam, a ojciec też nieszczęśliwy. Wiem, że siedzisz przy tronie Boga Ojca, który i Ciebie o radę zapyta, gdy nasz los będzie rozważał. Wiem, że Twój maleńki synek, gdy dorósł, poniósł za nas śmierć. Skoro boleść Twego serca była tak wielka, że cały świat ją podzielał, to Twoje serce musi być tak ogromne, że wszyscy się w nim pomieszczą, a więc i ja, biedna sierota. Wysłuchaj mnie zatem, Święta Paniensko, a gdybyś wszystkiego nie wiedziała, to zapytaj Pana Boga, który wszystko wie, niech zajrzy do mego serca, i on Ci rzeknie, żem dobra. Dowiedz się wszystkiego i otocz mnie łaską, i uratuj z tego strasznego położenia, w którym się

znalazłam w lesie. Przyślij ratunek, Przenajświętsza Dziewico...

Powtarzała te słowa bezgłośnie poruszając wargami, a może tylko w myśli, kiedy nagle coś w oddali zadzwoniło, jakby ministranci w czerwonych komeżkach niespodziewanie potrząsnęli małymi dzwoneczkami, jak to widywała w Osgyńcu przy ołtarzu, gdy się krzatali wokół księdza plebana.

Dziewczynka drgnęła, spojrzała dokoła. Quendla już nie było widać. Trudno wiedzieć, jak daleko zaszedł, ale te dzwonki to nie sen. Dzyń, dzyń, dzyń... rozlegało się coraz wyraźniej, coraz dźwięczniej, spoza najbliższego wzgórza, aż nagle wynurzyły się dwa czarne końskie łby, potem za nimi kryta rogożą furmanka, taka, jaką ze Spiszu kupcy wożą koronki do naddunajskich okolic. Te wozy, zwane „Molitoriszami”, znane były w całym kraju. Poza „Molitoriszami” takie dalekie drogi odbywali tylko olejarze i handlarze wosku, a także handlarze drobiem z komitatu Vas i garnarze z Kőrmöcbányi. Ludzie średniego stanu korzystali z tych wozów, kiedy się wybierali w daleką drogę. Imć pan Molitorisz wysyłał swoje wozy do samego Białogrodu, Budy i Wiednia, zabierając nadarżających się po drodze podróżnych. Rozwoził jesienią żaków i przywoził ich z powrotem na lato. To było ogromne przedsięwzięcie. Jazdy były tak ułożone jak rejsy statków na morzach. Co dzień wyruszały z Lewoczy cztery wozy, każdy w innym kierunku, i z góry było wiadomo, gdzie są postoje dla nakarmienia koni i w której gospodzie staną na noc, a wszystko musiało się dziać w oznaczonym czasie, żeby wsiadający po drodze podróżni wiedzieli, gdzie i kiedy czekać. Powracających do kraju podróżnych Molitorisz zaopatrywał nawet w pieniądze, które potem ściągał od rodziny w domu. Rada miejska Lewoczy ze szczególną surowością baczyła na pracę tego przedsięwzięcia przewozowego, ustanawiała, ilu podróżnych można zabrać na załadowany towarem wóz, a ilu z powrotem, kiedy powraca pusty. W razie konieczności można było wziąć o jednego podróżnego więcej, niż się mieści na wozie, ale że troska magistratu rozciągała się także na konie, w takim wypadku podróżni musieli kolejno iść piechotą obok wozu; kto jaką odległość ma przejść, pozostawiano im samym do decyzji (niech nie będzie całkiem iluzją to, że wolność uszczęśliwia obywateli).

Widocznie taka była i teraz sytuacja, gdyż obok krytej płachtą z rogoży furmanki dreptał krępy mężczyzna w pańskim, ale zniszczonym odzieniu. Droga biegła w dół i spocone konie szybciej zaczęły przebierać nogami, wóz żwawiej zaturkotał, dzwonki na końskich szyjach weselej zadźwięczały, przez co mężczyzna idący pieszo pozostał nieco w tyle. Teraz było widać, że za kapelusz zatknął sobie zieloną gałązkę. Nie przejmował się tym, że wóz umknął w dół, nawet sobie podśpiewywał, a leśne echo próbowało mu wtórować mieszając melodię.

Spiszu, oj Spiszu, kraino kochana,
Pięknie w nasze dzieje twa karta wpisana.

Dla Rozalii zbliżanie się wozu było jak cudowne widzenie. To Matka Boska zesłała pomoc. Ojej, pewnie zaraz obraz się rozwieje, zniknie. Zamknęła oczy, ale w dalszym ciągu słyszała dzwonki i stukot końskich kopyt. A może to prawdziwy wóz? Skądże, wszystko nagle ucichło, koniec cudu.

Otworzyła oczy. Furmanka zatrzymała się na drodze tuż przy niej, a smukły jasnowłosy młodzian wysunął się spod płachty i zeskoczył na ziemię.

— Co się tu stało, mościa panienko? — zapytał dźwięcznym głosem.

Serce Rozalki tak biło, a jakieś cudowne uczucie tak ją ścisnęło za gardło, że ledwie zdołała wyjąkać:

— Zbójnicy nas napadli.

— Od razu tak pomyślałem! Uprząż jest przecięta, zabrali konie. (Niespokojnie rozejrzał

się dokoła.) A co się stało z resztą podróżnych? Widzę, że panienka jest sama, biedactwo.

— Jest ze mną przyjaciel ojca. Poszedł do owczarni gdzieś w pobliżu, żeby zdobyć konie.

— A woźnica?

— On sam jest woźnicą.

Młody człowiek zauważył delikatną materię sukni młodej podróżnej, widział jej szlachetną postawę, toteż zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów i zapytał:

— Przyjaciel ojca? A panienka kim jest?

Rozalia zawahała się i zaczerwieniła po uszy. Po raz pierwszy przychodziło jej skłamać.

— Niech się mościa panienka nie boi, przecież chcę tylko pomóc.

— Nazywam się Rozalia Otrokocsy — szepnęła zdławionym głosem i mimo woli skłoniła się ceremonialnie, na dworską modłę, jak ją tego uczyła ciotka Katalin.

— A ja nazywam się Fabricius — odpowiedział młodzian i także się skłonił.

Przez ten czas wszyscy podróżni zeszli z wozu. Było to wesołe, przypadkowo dobrane towarzystwo, które rozkoszowało się jazdą o wiele bardziej niż ludzie podróżujący dzisiaj pociągami. Woźnica Tropko, który już tysiąc razy jechał tą samą drogą, opowiadał o wszystkich napotkanych ciekawostkach, nawet o drzewach-olbrzymach widocznych z wozu. Każde stare zamczysko, siedlisko sów i nietoperzy, przypominało mu przeróżne barwne legendy. Na tym oto drzewie powiesił się sławny Pál Szumrik. A na tamtej polanie odbył się krwawy pojedynek między Gáborem Andrássem i Péterem Balassą, bo obaj kochali się w żonie putnockiego burmistrza i jeden musiał pozostać na placu. Tutaj, w tym zagajniku, przed pięćdziesięciu laty młody pastuszek szukał grzybów. Grzybów co prawda nie znalazł, ale spostrzegł jakieś żelazne kółko. Kiedy zaczął je ciągnąć, z pulchnej ziemi wy dobył kociołek po brzegi napełniony złotymi monetami. Żelazne kółko było uchem kociołka. Ten chłopiec to pierwszy z rodu Szerencsych, dzisiaj jego syn jest żupanem w komitacie Torna.

W ciągu długiej drogi gromadka podróżnych stawała się niemal rodziną. Czasem w rodzinie wybuchały sprzeczki, ale tak czy owak, była to rodzina, a sprzeczki urozmaicały nudę. O ile Tropko był znawcą legendarnych szczegółów związanych z przemierzaną okolicą, o tyle imć pan Klebe, rewizor i totumfacki pana Molitorisza, zadziwiał znajomością jeografii, wiedział, jak się każda dolina nazywa i z czego która jest sławna. W Zsaluzsány pędzą wspaniałą gorkę z wytłoczyn, po drugim kubku człek jest pijany i zaczyna tańcować. W Livény dziewczyny słyną z urody, sam sułtan turecki przysyła tu co cztery lata agenta, który za ogromne pieniądze nabywa je od rodziców. Imć pan Klebe wszędzie już był, zna nazwy potoków, wie, który skąd spływa i ku jakiej rzece zmierza. Wie, co w którym łowić: w tym są raki, w tym pstrągi, a niżej karpie. Zna nawet taki potok, gdzieś w okolicy Majcy, gdzie znaleźć można złoty piasek, ale Niemcy, niech ich diabli wezmą (imć pan Klebe też jest Niemcem, a jednak to mówi), zwiedzili się i zakazali poszukiwania złotego piasku; sami szukają złota w okolicy.

Nagle zatrzymanie furmanki tak podziało na podróżnych, jakby wszystkie zasłyszane historie stały się nagle rzeczywistością. Co to? Co się stało? Napad zbójników! Piegowata, ale fertyczna dziewczyna, która się właśnie zgodziła jako pokojówka do Csákych i tam jechała, pisnęła i niemal zemdlona padła w ramiona młodego kotlarza. Obudzono nawet wędrownego zegarmistrza, który, puściwszy w ruch wszystkie zegary w pańskich siedzibach komitatu Gömör, przez cały dzień drzemał w bezruchu: „Zbudź się, mości panie Kindronay, zbójnicy napadli na podróżnych!” Zegarmistrz zerwał się i chwycił pod pachę skrzynkę ze swymi narzędziami.

Jakaś otyła jejmość, która już zdążyła zeskoczyć, klasnęła z przerażenia w dłonie.

— Boże mój! Już drugi raz mi się to zdarza! Gdzie oni są?

Nikt jej nie słuchał, chociaż tam, skąd wracała, wielce ją poważano. Była to bowiem uczona niewiasta z Lewoczy, sławna Wilnerowa, którą wezwano do jakiegoś pańskiego dworu na pomoc

bocianowi.

Rozalkę zasypano setką pytań, ona zaś patrzyła zdumiona na płachtę z rogoży, spod której wysuwali się coraz nowi podróżni. Jakiś dobrze prezentujący się jegomość, kupiec z Korpony, wyciągnął z kieszeni pistolet. Muskularny młody kotlarz podciągał rękawy.

— Gdzie oni są? W którą stronę uciekli? Czy nie mówili, że wrócą? Do stu diabłów, wcale bym się nie martwił, gdyby wrócili. Ilu ich było, panienko?

— Dwóch — odpowiedziała Rozalka.

— Tylko? — zdziwił się kotlarz i stracił humor. — Na pewno nie odważą się powrócić. Schowaj waćpan te pistolety.

— Chodźmy spać — zaproponował wędrowny zegarmistrz.

— Idź acan — zachęcał go drwiąco kotlarz. — Nawet jakby wrócili, tylko my dwaj się tu liczymy. (Owym drugim był kupiec z pistoletami.)

Ta uwaga nie spodobała się krępemu mężczyźnie, który szedł pieszo przy wozie i przed chwilą śpiewał. Był to imię pan Dániel Molicska, kantor z Roźniawy. Jechał do Lewoczy na próbę gardła, jako że tamtejszy kantor zmarł, delikatnie mówiąc, na jakies zapalenie, lecz odłożwszy na bok szacunek należny zmarłemu należy stwierdzić, że nie było to ani zapalenie nerek, ani mózgu, ani nawet płuc, lecz zapaliła się w nim gorzałka.

— Ejże, nie tak zadziornie, młodzieńcze! Ja także nie wypadłem sroce spod ogona. Kto wie, czy na zbójców nie posiadam lepszej broni niż pięść acana albo pistolety waszmości.

— Z pewnością czerwony nos waćpana — dowcipnie odparował kotlarz. — Ino że zbójnik nie boi się czerwieni.

— Myślę o psalmie „Bóg jest naszą silną twierdzą”. Kiedy go zaintonuję moim głosem, to w całym kraju nie znajdzie się tak nikczemny zbój, żeby nas tknął. *Probatum est.*

Postawny kupiec uśmiechnął się, podczas gdy Klebe i uczona niewiasta zadawali Rozalce pytania: W którą stronę zbójnicy odjechali? Co zabrali? Co mówili? Jak byli ubrani? Młodzi byli czy starzy? Czy opiekun dawno już poszedł i jaka jest nadzieja?

— Powiedział, że spróbuje kupić konie albo raczej osły; mówił, że juhasi mają przeważnie osły.

— A więc ma pieniądze, nie zabrali mu?

— Nie, chociaż chciał im dać.

— Jak to? Dawał im pieniądze, a oni nie chcieli?

Dziwne.

— Tak. Powiedział, że ma cztery forinty.

— Cztery forinty! — wykrzyknął wędrowny zegarmistrz. — To niewiele. Zaczynam rozumieć. Zbójnicy mają swoją dumę. Za takie pieniądze ja nawet nie tknę żadnego zegara.

— A mnie dziwi, że panienki nie chcieli — trajkotała uczona niewiasta lekceważącym tonem, przyglądając się przenikliwie dziewczeczce. — Rozbójnicy lubią takie małe dziewczynki. No cóż, mój Boże, różne bywają gusty. Kiedy ja byłam w tym wieku...

Fabricius doskoczył gwałtownie.

— Ejże, acani! Czyż acani nie widzisz, że to szlachetnie urodzona panienka?

— Widzę tylko, że jej nie ruszyli — mełła dalej ozorem Wilnerowa — i wiem, że za moich młodych lat zacy nie byli tacy butni, mości paniczu. Kurczak był wtedy kurczakiem. Co prawda byłam jeszcze kurczęciem, kiedy na jarmarku w Lewoczy, przed domem Teökego, w biały dzień, jakiś oficyjer labanców złapał mnie na siodło i ruszył galopem. Na moje szczęście (albo nieszczęście, kto to może wiedzieć?) mój świętej pamięci ojciec narobił krzyku, strażnicy miejscy wskoczyli na konie i puścili się w pogoń za nami. Jeden Pan Bóg wie, co by się stało, gdyby hajducy nie dogonili oficyjera. Kiedy prześladowcy byli już blisko, pocałował mnie w

same usta, drugi raz w policzek i z ciężkim westchnieniem (jakbym je teraz słyszała!) zsunął mnie na ziemię. No no, próżno się acanna podśmiewa... (te słowa były skierowane do piegowatej pokojówki), bo tak było najprawdziej, tylko że w owym czasie nie miałam na buzi żadnego piega, nawet wielkości ziarnka maku.

Totumfacki Molitorisza, imć pan Klebe, gniewnie przygryzł wąsa.

— Hm, jeżeli opiekun mości panny ma tylko cztery forinty, to niełatwo mu przyjdzie kupić osły. Paskudna historia, powiadam.

— Co z nimi zrobimy? — martwił się kotlarz. — Okrutnie mi żal tej ślicznej panienki.

— Zrobmy zbiórkę — rzucił dobrotliwy kupiec. — Na początek daję talara.

— Nie sędzę, by to mogło pomóc — wtrącił Fabricius — bo czy się ma w kieszeni cztery forinty, czy więcej, to całkiem obojętne, jeżeli się musi tkwić w lesie przy nadciągającej burzy, w takich okolicznościach! Jako chrześcijanie nie możemy inaczej uczynić, jak zabrać biedaków przynajmniej do najbliższej wioski, gdzie znajdą schronienie.

— Protestuję — ostro przerwał mu kantor — nasz wóz jest przepelniony, mamy jedną osobę ponad *numerus clausus*. Nie bądź acan taki wielkoduszny, młodzieńcze. I tak na zmianę jeden z nas musi iść piechotą, a kto byłby taki szalony, żeby jeszcze za tę dziewczuskę iść pieszo?

— Ja będę tym szaleńcem — odpowiedział Fabricius.

— Hm — mruknęła Wilnerowa — spodobała mu się ta mała kotka.

Rozalia spojrzała z wdzięcznością na Fabriciusa. Dopiero teraz spostrzegła, jaki z niego ładny młodzian, i cudowne ciepło ogarnęło jej serce. Już nikogo się nie bała.

Wszyscy spoglądali pytająco na Klebego. Stary rewizor wzruszył ramionami.

— Porządek to porządek. Ale jeżeli wszyscy się zgodzą...

— Głosujmy — nalegał dobrotliwy kupiec.

— Ja głosuję przeciw — upierał się kantor.

— Ejże, nie mędrkuj acan — starał się go ułagodzić kupiec podsuwając kapciuch z tytoniem. — Trzeba coś uczynić dla duszy.

Kantor z oburzeniem odepchnął tytoń.

— Nie ma na świecie nic, czym można by mnie przekupić, jak sobie coś postanowiłem.

Kupiec sięgnął do flaszki, której rzemień był uwiązany przy podkulku, i podał ją kantorowi.

— Z tego pociągnij acan, może zaczerpniesz miłości bliźniego.

Kantor uśmiechnął się. Najpierw potrząsnął flaszką, żeby sprawdzić, czy coś w niej jest. Niezgorzej zabalgotało.

— Jest — powiedział i przyłożył szyjkę do ust. Nie oderwał flaszki, póki nie wypił wszystkiego. Ile łyków tam było, wskazywało tylko poruszanie się wystającej grdyki.

— I co acan powiesz? — zapytał kupiec.

— Że było dobre.

— Nie o wino pytam, lecz o pomoc dla dziewczeczki.

— Dobrze będzie, powiadam.

Imć pan Klebe odświeżył sobie nos szczyptą tabaki koszyckiej i takie wyłożył rozumowanie:

— No cóż, dziewczeczka może by się jakoś zmieściła i bardzo bym chciał ją zabrać, ale to niemożliwe. Cała ta gadanina nie ma sensu. Panienka nie może jechać bez swego opiekuna. A jego w żaden sposób nie da się zabrać. A gdyby nawet się dało, tobyśmy go nie zabrali, bo go nie ma (znowu zażył odrobinę tabaki, co mu dodało rozumu). Trzeba by więc na niego czekać, kto wie jak długo, ale czy to byłoby roztropne i celowe teraz, kiedy wszelkie żywe stworzenie szuka schronienia przed nadciągającą nawałnicą? Gdybyśmy go jednak mogli zabrać, boby tu był, i gdyby nad naszymi głowami nie było tej groźnej chmury, to czy zgodziłby się porzucić swój wóz? Jasne więc, że nic nie możemy uczynić. Serce mi się kraje, ale rozum powiada: uspokój się.

— Tak jest, tak jest, ruszajmy! — nakłaniała woźnicę tęga jejmość.

Rozumowanie starego Klebego od razu zmieniło nastrój. Ani kotlarz, ani kupiec już się nie sprzeciwiali. Co prawda, to prawda. Molitorisz w tej sytuacji nic nie może uczynić.

— Niech wszyscy wsiadają! — nakazał Klebe.

Rozalia przerażonym wzrokiem spojrzała na Fabriciusa. Ten spokojnie zwrócił się do Klebego:

— Bardzo proszę, byś się waćpan zastanowił. Bardzo proszę.

— Już się zastanowiłem. Ruszamy. Wsiadaj waćpan.

Tropko podniósł bat. Kilka grubych kropel deszczu stuknęło o płachtę.

Fabricius podniósł głowę i ostrym, surowym głosem rzekł:

— Wobec tego rozkazuję waćpanu, mości Klebe, byś nie ruszał stąd, póki nie wydam dyspozycji. Zrozumiałeś waść?

Podróżni popatrzyli jedni na drugich. Boże wielki, ten żak zwariował. Ta mała czarownica rozum mu pomieszała. Stary Klebe zachichotał.

— Swemu kotu możesz rozkazywać — burknął kiwając z oburzeniem głową. — Patrzajcie, ludzie!

Fabricius wyciągnął z kieszeni jakieś pismo i podał je Klebemu.

— Czytaj waćpan.

Imć pan Klebe wziął je do ręki, przebiegł wzrokiem wypisane linijki, odwrócił na drugą stronę, znowu uważnie przeczytał, wreszcie staranie złożony papier zwrócił go Fabriciusowi i zdejmując kapelusz rzekł:

— Wypełnię rozkaz. Sługa uniżony waszej wielmożności.

Pismo wyrażało wolę cesarza i stwierdzało, że wybrany na rajcę miasta Lewoczy Antal Fabricius zostaje uznany za pełnoletniego, że może natychmiast objąć swój urząd i że przez wszystkich winien być uznany za rajcę sławetnego grodu.

Kantor i uczona niewiasta ze zdumieniem spostrzegli posłuszną uległość imć pana Klebego, który przecież lubił okazywać swą wszechwładzę na „Molitoriszach”.

— Chyba młody Fabricius zna jakieś czary — zauważyła gruba jejmość — że stary tak się ugiął.

Imć pan Klebe wciąż jeszcze nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia.

— E, kto zna czary, ten może najwyżej wiatrem lub chmurami kierować, on zaś może całemu miastu rozkazywać, jest ni mniej, ni więcej, tylko rajcą Lewoczy.

— Kto takie głupstwa plecie? — zachichotała jejmość.

— Ni mniej, ni więcej, tylko jego wysokość cesarz rzymski, Leopoldus.

Śmiertelna błądź okryła oblicze grubej jejmości, a niespokojnym spojrzeniem szukała wzroku kantora, który zdawał się mówić: „Coś mi się wydaje, że oboje trafiliśmy kosą na kamień.”

Zaiste, ta scena wywołała i wielkie zainteresowanie, i zdumienie. Na twarzyczce Rozalii odmalowało się coś w rodzaju triumfu, młody kotlarz znieruchomiał z otwartymi ustami, taki był zaskoczony przedziwnym działaniem ludzkich instytucji, które kilkoma wypisanymi słowami potrafią w wątłe ciało wlać taką moc, że wszyscy muszą słuchać. Stary Klebe zaś z zadowoleniem pocierał i szczypał podbródek, jakby to była materia, której gatunek chce sprawdzić.

— Hm, hm — powiedział po chwili — to jednak dziwne, że mości rajca od trzech dni z nami jedzie i nawet nie wspomniał o swym urzędzie. Może by waszmość zaoszczędził sobie różnych drobnych kłopotów albo nieprzyjemności, gdybyśmy wiedzieli, jaki nas zaszczyt spotkał.

Fabricius skromnie się uśmiechnął.

— Nie było ku temu potrzeby, mości panie Klebe. Za jazdę płacę tyle samo co wszyscy, nie mam więc innych praw i nie pragnę większej wygody. Co moje rajcostwo obchodzi „Molitorisza”? Kiedy jednak zobaczyłem, że towarzystwo i przedsiębiorstwo z Lewoczy zamierza w nieludzki sposób potraktować podróżnych potrzebujących pomocy, postanowiłem bez wahania użyć rajcowskiej łaski w imię dobrej sławy mego miasta. Tak uczyniłem, chociaż moja władza jest jeszcze bardzo świeża. A teraz musimy poczekać, aż powróci opiekun tej panienki, tego wymaga przyzwoitość.

— Jak wielmożny rajca rozkaże.

— O, już idzie. Spójrzij waćpanna, czy to on?

— Tak, to on — potwierdziła Rozalia. — Chyba nic nie wskórał.

Imć pan Klebe zeskoczył z wozu i dłoń przyłożył do czoła, żeby lepiej widzieć.

— Niech się w kota zamienię — wykrzyknął z ożywieniem — jeżeli to nie jest imć pan Gáspár Quendel, a jeśli nie, to sam diabeł przybrał jego ziemską postać.

Quendel już z daleka poznał Klebego.

— Hola, hop! — wykrzykiwał. — Klebe! Stary kamracie! Wreszcie będę miał z waści pożytek. *Altes Haus*.

Schodził po stoku zdyszany, czerwony na twarzy, wymachując grubym kijem. Kupiec z Korpony zapytał zmieszany:

— Czyżby to był sławny Quendel z Białej ?

— To on właśnie.

Kupiec wybuchnął takim śmiechem, że aż mu się brzuch trząśł, a z oczu pociekły łzy.

— A ja chciałem na jego intencję urządzić kolektę! Dla jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Jak się o tym ludziska w Korponie dowiedzą, to nawet niemowlęta przy piersi będą się ze mnie naigrawać. Cha cha cha! Zbiórkę chciałem dla niego robić. Bardzo proszę, nie wygadajcie się przed nim, bo chyba mi przyjdzie ze wstydu uciec w najgęściejszy las.

Quendel doszedł do nich i przyjaźnie potrząsnął ręką Klebego.

— Tak, tak, obrabowali mnie, przyjacielu. Nikczemni słowaccy zbójnicy zabrali mi oba konie. Możesz sobie waść wyobrazić moje położenie. A tu jeszcze dziewczątka, ta szlachetnie urodzona panienka pod moją opieką. I burza nad nami, i noc nadchodzi. Byłem bliski rozpaczy. Pozostała mi jedyna nadzieja: że zdobędę osły. Bo jak nie ma konia, to i osioł dobry. Możesz sobie waćpan wyobrazić moją radość, kiedym ciebie ujrzał. No no, przecież to mój stary przyjaciel, imć pan Klebe...

— Pięknie dziękuję — odpowiedział Klebe, wyraźnie dotknięty. — Inaczej mówiąc, jestem owym osłem, który jest dobry w braku konia?

— Skądże! Na honor, wcale nie. Na moju duszu. No no. Miałem na myśli osły juhasa, ale jemu jeden zbójnik porwał żonę. A raczej ona sama poszła za zbójnikiem. Że też niektórzy mają szczęście! A ten bałwan ma o to żal. Bo to było tak. Wszystko mi się z radości pomieszało. Otóż szukałem juhasa, żeby kupić jego osły, bo pomyślałem, że jak nie ma konia, to i osioł pociągnie moją furkę. Ale juhas nie ma osła, dlatego tak się ucieszyłem, kiedym waćpana zoczył... Jeśliś kiedy widział ludzką wdzięczność...

— Nie jam zasłużył na wdzięczność — protestował pan Klebe dość chłodno, wskazując Fabriciusa, który rozmawiał z Rozalką. — Do niego skieruj waćpan swoje słowa.

— Ojej! Toć to mały Fabricius. *Kristigot, Bruder*. To pocziwie z twojej strony. Azaliż do domu wracasz? No tak, już się skończyły nauki. *Vivant vacances!* Do licha, aleś ty wyrósł! (Odwracając się znów do Klebego zapytał.) No, co teraz zrobimy?

Klebe czekał na polecenie Fabriciusa.

— Pierwsze pytanie — powiedział młody człowiek. — Czy imć pan Quendel zechce tu zostawić furmankę, póki z najbliższej wioski nie przyślemy po nią koni?

— Raczej własne kości zostawię — odpowiedział Quendel. — Jak to sobie wyobrażasz?

— Wobec tego przywiążemy furmankę do dużego wozu.

— Ot co, tak jest najrozsądniej. Będzie też dosyć miejsca dla wszystkich podróżnych.

— A co z końmi, jak zwiększy się ciężar? I droga teraz prowadzi wciąż pod górę.

— Na mojej furce znajdzie się jeszcze trochę owsa — radośnie powiedział Quendel — to im doda ochoty, a jak konie nie dadzą rady wszystkich wieźć, to można pójść pieszo.

— Nawet jak wszyscy pójdziemy piechotą — sprzeciwił się pan Klebe wyraźnie zatroskany — konie pod górę ledwie uciągną dwa wozy. To stare koniska, mają po czternaście lat, a dyszlowy ma szczególnie słabe nogi

Nie tylko Klebe, ale także Fabricius i kupiec z Korpony — który starał się przypodobać krezusowi z Białej — ostrzegli Quendla, przechodząc na język węgierski, że podróżni są wrogo nastawieni i nikt nie zechce iść pieszo. Trzeba z nimi delikatnie postępować, żeby nie było jakichś nieprzyjemności albo nawet otwartego buntu, gdyż zapłacili za przejazd z tym warunkiem, że tylko jedna osoba będzie szła piechotą.

Quendel jednak lekceważąco strzelił palcami i odpowiedział również po węgiersku:

— Tere fere. Tak jest dlatego, że wy nie rozumieć, jak rządzić hołotą. Jak im coś się nie podobać, trzeba wymyślić coś, co im się jeszcze mniej podobać. Wtedy oni od razu się zgadzać na pierwsze. Ot, na przykład im się nie podobać, że cztery ludzie muszą iść piechotą. To wy im oznajmić, że tam gdzie być stromo, Klebe wyznaczyć, kto pchać wóz. To dla nich jeszcze być gorzej. A wtedy, jak powiedzieć, że tylko iść piechotą, to oni bardzo się cieszyć i iść pieszo.

Punctum.

Było w tym wiele rozsądku, więc nikt się nie sprzeciwił. Na razie uwiązali małą furkę za dużą i Quendel posadził Rozalkę na tylnej ławeczce, a sam zajął swe zwykłe miejsce na skrzynce. Wziął nawet bat do ręki, jakby poganiał koniki. Kupiec z Korpony ofiarował imć panu Quendlowi własne miejsce pod płachtą, bo tak znamienity mąż powinien być zabezpieczony przed dokuczliwością złej pogody, a imć pan Klebe inwitował panienkę na „Molitorisza”, ale żadne z nich nie zgodziło się skorzystać z tych uprzejmości. Wóz ruszył więc powoli, skrzypiąc jak barka, która ciągnie za sobą tratwę. Wyciągnięte końskie grzbiety i napięte ścięgna dowodziły, że dodatkowy fizyczny wysiłek nie sprawia im szczególnej przyjemności. Tymczasem po zachodniej stronie nieba zagrzmiało i huk przebiegł nad kilkoma komitatami jak beczka tocząca się po strychu albo jak skondensowany gniew bogów. Ale deszcz i teraz padał tylko pojedynczymi kroplami. Podróżni powrócili na swoje wysiedziane miejsca, jeden tylko Fabricius szedł pieszo, z ręką opartą na luźni małej furki. Na razie droga była równa, potem nawet biegła nieco w dół, tak że wszystko szło gładko. Fabricius miał młodzieńczy, lekki krok, podobny do kroku jelenia, mógł więc po drodze rozmawiać ze starym Quendem, który usiłował go przeegzaminować z tego, gdzie bywał i na jakich uniwersytetach się uczył.

— Znałem twego ojca, braciszku. Dzielny był z niego człowiek, wielka szkoda, że mu się zmarło. Ale twoją matkę dobrze zaopatrzył. Nigdy nie spotkał takiej mądrej głowy. Umiał na pamięć całe kalendarium i zawołania wszystkich szlacheckich rodów. Znał nazwy ciał niebieskich, Marsa, Jupitera i Burka. Z początku to ja się tylko dziwiłem, skąd mógł znać gwiazdy. Albo też... poczekaj, jak się nazywał pies tego jednookiego piekarza z przeciwka? Kastor? No tak, naturalnie. Tak samo nazywała się ta gwiazda. Kastor, a nie Burek. Jak ja chodziłem do szkoły, to zawsze mi się myliły te dwa psy. Bo twój ojciec mnie uczył. Znał wszystko na świecie, nawet takie rzeczy, które wystarczy, żeby Pan Bóg wiedział, jak zaćmienie słońca, pełnia księżycy, z czego będzie burza albo grad, to znaczy to, co Pan Bóg robi. Umiał

narysować, jak stały planety na niebie w tym momencie, kiedy tyś się urodził (sam widziałem u niego cały firmament pięknie wymalowany), ale przy tej wielkiej wiedzy w żaden sposób nie potrafił odróżnić grochu od owsa. *Ad vocem*, owies! Czy gdzieś po drodze nie słyszeliście, że mają dużo owsa na sprzedaż?

Fabricius przecząco potrząsnął głową, Quendel zaś gadał w dalszym ciągu:

— Jeszczem się nie wypytał, gdzie byłeś, gdzieś się uczył? Ach tak, na padewskim uniwersytecie? A przedtem w Heidelbergu i innych niemieckich miastach? Co zamierzasz w domu robić? Co, zajmować się sprawami publicznymi? Pięknie, pięknie, ale widzisz, wy, Madziarzy i luteranie, macie już takiego fiola. Wałęście się po diabłach i piekłach, gdzie nie potrzeba, a wielcy panowie, jak jadą do Anglii, to powracają z wiadomością, że tamtejsze niewiasty mają płaskie piersi...

— Ejże, ejże, mości panie Quendel...

Pan Quendel uderzył się po ustach.

— Ajaj, zapomniałem, kto za mną siedzi. Ale co prawda, to prawda. Czy wam coś daje to, co tam widzicie i czego się uczycie? Jaki to dla ciebie pożytek, żeś widział dużo cudzoziemców i ich urzędów? Nic z tym nie masz wspólnego. Pobożnie odwiedzasz miasto, gdzie Luter nauczał, widzisz miejsce, gdzie rzucił kałamarzem w diabła. Od tego czasu diabeł dawno stamtąd umknął, kto ma z tego pożytek, żeś tam był? Zamiast tego lepiej by było, żeby węgierscy żacy, jeżeli chcą się zajmować sprawami publicznymi, jeździli do Wiednia, bo tam są kałamarze, z których się wypuszcza diabły na Węgry. Nie do Berlina i Bolonii wam jeździć, braciszku, to tylko głupia moda. Nie daję więcej niż pięćdziesiąt lat, a młodzi będą ławą wędrować do Wiednia, gdzie załatwiane są sprawy waszego kraju. Tam w cesarskich garnuszkach i innych urzędowych kociołkach gotuje się wasz los. Tam patrzcie, która ręka co miesza i którą trzeba przywołać do porządku.

— W rzeczy samej dobrze waćpan mówisz.

— W moich oczach te wasze zagraniczne wojaże tak wyglądają, jakby ktoś postanowił wylatać własne podarte odzienie, więc jedzie popatrzeć, jak sąsiadka prasuje poszwy na pierzyny.

— Tak, tak — z roztargnieniem przytaknął Fabricius — ale przecież ogólne wykształcenie wymaga szerszych horyzontów.

— Wszystkiego i tak nie można się nauczyć — wtrącił Quendel.

— To zależy — dowodził Fabricius. — Wszystkiego, rzecz jasna, nie można wiedzieć, to zresztą wcale nie jest potrzebne. Jeżeli się przynajmniej dowiemy, czego inni ludzie też nie wiedzą albo nie mogą wiedzieć, to znaczy, że zdobyliśmy ogólne wykształcenie.

— O czym ty gadasz, chłopcze?

— Twierdę, że jest wiele dziwnych i tajemniczych rzeczy na ziemi, pod ziemią i pod niebem. I wszystko razem trzeba uważać za jedną domenę wyobraźni. Niektóre jej zakątki Nauka już zwiedziła, inne dopiero musnęło Przeczucie, a trzecia część to ziemia dziewicza, na której ludzki umysł jeszcze nie uczynił kroku. I właśnie te graniczne miedze trzeba znać, nie więcej. Na tym polega cała sztuka.

Imć pan Quendel nie umiał na to odpowiedzieć, ale też nie potrzebował, gdyż w tej chwili ważniejsze było co innego. Droga prowadziła teraz stromo pod górę, woźnica Tropko zsiadł z wozu i zaczął do tego samego namawiać całe towarzystwo:

— Proszę zsiadać! Gniada nie daje rady. Wio, Gniada! Wio, Szpak! Miejcie wzgląd na biedne koniki.

Niektórzy od razu wysiedli, jak kupiec, piegowata pokojowa i młody kotlarz. W tym ostatnim obudziła się odwaga i rzucił za siebie:

— Azali imć pan Quendel by też nie wysiadł? Przecie my przez niego wszyscy piechtą

idziemy.

— Co on gada? — nastawił uszu Quendel.

— Że waćpan też by mógł zsiąść.

— A on co za jeden? — zaczepnie zagadnął stary.

— Brám Mihály, czeladnik kotlarski.

— Co za zuchwałość! — odpowiedział Quendel władcym głosem, ubijając tytoń w fajce.

— Wytłumacz mu, że jako szlachcic nawet na królewską służbę mam się stawić konno. Rozalia! Cóż to, waćpanno? Cóż to znaczy?

Rozalka zręcznie jak wiewiórka przeskoczyła przez drabinę wozu, i to tak szybko, że stary spostrzegł się dopiero wtedy, kiedy już stała na ziemi, a jej spódniczki zaszeleściły niczym skrzydła sfruwającego z gałęzi ptaszka.

— Pójdę piechotą za imię pana Quendla. To przecież o wiele ucieszniej.

— Może tak, ale trzewiczki waćpanny zaraz przemokną — sprzeciwił się Fabricius — bo trawa już zamokła od deszczu.

(Droga bowiem nie była bita, znaczyły ją tylko koleiny zarośnięte lebiodą, trawą i paprociami.)

Przy wozie wszyscy szli gęsiego, gdyż droga była wąska. Fabricius przepuścił Rozalkę przed siebie, żeby móc przynajmniej na nią patrzeć. Była uroczym zjawiskiem. Jej smukła, zgrabna figurka poruszała się rytmicznie i z wdziękiem, a zarzucony na szyję jedwabny szal powiewał wokół głowy na wietrze jak rozdarty kwiat maku. Posuwanie się naprzód sprawiało jej jednak wiele trudności. Krzywo rosnące rosochate gałęzie drzew, wybijałe pędy dzikiej róży albo jakieś pnącza chwytaly idącą to z góry, to z dołu. Raz gałąź zahaczała o włosy, raz ciernista jeżyna chwytala fałdy spódniczki i nie chciała puścić. Ktoś mógłby sądzić, że jest niezdarna, toteż Rozalka wstydziła się, tak bardzo się wstydziła, że aż jej się robiło gorąco.

Naturalnie te wszystkie drobne przeszkody sprawiały mały ambaras Fabriciusowi, ale dzięki temu zrodził się między nimi nastrój koleżeństwa, jakby się znali od dawna. Kiedy we włosy Rozalki znów zaplątała się gałązka głogu, młodzieniec zaczął się z nią droczyć:

— No i znów bieda! Uważajże, mościa panno! Całe szczęście, że oczka nie drasnęła. A teraz co mam zrobić? Czy odciąć dziką różę, czy pukiel włosów? Jak sobie waćpanna życzysz?

E, nie kpj waćpan ze mnie już mi wstyd, że taka jestem niezdara. Zrób waćpan, jak będzie lepiej.

Koniec pędu dzikiej róży z jednym rozwiniętym kwiatkiem tak mocno się wczepił w warkocz oplatający wianuszkem głowę, że Fabricius nie usiłował go wyplątać (choć dotykaniem złocistych splotów stanowiło nie lada rozkosz). Ostrożnie uciał kozikiem gałązkę i w koronie włosów pozostała girlanda listków, kolców i różowych płatków jako ozdoba. Dziewczynce było w niej ślicznie.

Fabricius niemal pożerał wzrokiem złotą główkę w zielonym wianuszku. Szedł za nią i czuł, że się w nim budzi jedno pragnienie, że coraz głębiej wżera się w serce: „Tę dziką różyczkę muszę dostać.” Nie zostawi jej tam. Skądże. Zasuszy ją w książce, w tej samej, w której trzyma kwiatki lawendy od matki, ale niech najpierw gałązka przejdzie zapachem jej włosów.

Szedł za nią w milczeniu, póki znowu coś się nie przytrafiło. Stukały przed nim małe trzewiczki tup-tup tup-tup, potem odgłos stawał się coraz bardziej tępy w mokrej trawie i nawilgłej ziemi, klap-klap klap-klap. Aż i to ustało, Rozalka przystanęła i instynktownie cofnęła się do Fabriciusa.

— Cóż to? Czemuś waćpanna stanęła?

Rozalka podniosła na niego spojrzenie, w którym malował się strach.

— Spójrzyj waćpan — szepnęła drżąc na całym ciele i pokazując drogę przed sobą.

Fabricius roześmiał się.

— To tylko ropucha. Nic takiego. Zaraz ją odpędzę.

Dotknął ropuchy trzymaną w ręku trzcinką, a bestia kilkoma skokami zniknęła w gęstej trawie.

Teraz i Rozalka zaczęła się śmiać z własnego przerażenia, ale tym niemniej spoglądała na Fabriciusa jak na bohatera, który ją uwolnił od straszliwego niebezpieczeństwa, gdyż ta ropucha to na pewno jakaś czarownica... Zawsze tak jest w bajkach.

— Ejże, ejże, jak można tak się bać.

— Kiedy ona tak dziwnie na mnie patrzyła — broniła się panienka zasmuconym głosem.

— Mówię tylko dlatego — zauważył Fabricius łagodzącym tonem — że jak widzę, z waćpanny nie będzie dobry żołnierz, to znaczy żołnierzowa.

— No to co? — zachnęła się panienka przekornym głosem. — A czyż waćpan jesteś żołnierzem?

W tej samej chwili zaczerwieniła się jak rak. Spozrzęła, że strasznie niemądrze się odezwała, niby nic nie szkodzi, że nie będzie żołnierzową, bo przecież Fabricius też nie jest żołnierzem.

Ale Fabricius nie popuścił i nie zmienił tematu.

— Zdumiało mnie to, tym bardziej że waćpanna masz taką odważną twarzyczkę. No i przecież waćpanna wystrzeliła z pistoletu. Dobrze słyszałem huk.

— Skąd to waćpan wiesz?

— Imć pan Quendel mi przed chwilą opowiedział.

— To jest pan Quendel? — Córa Ewy nie mogła zapanować nad ciekawością.

Fabricius spojrział na nią zdziwiony (szkoda, że nie mógł jej spojrzeć prosto w oczy).

— Toś waćpanna nie wiedziała? — zapytał z niekłamanym zaskoczeniem.

Rozalka mieszała się i w milczeniu przyspieszyła kroku, żeby młody człowiek nie mógł za nią nadążyć. Rozsądna z niej była dziewczyna i zwykle umiała osądzić własne postępowanie i wypowiedziane słowa, ale dopiero po chwili.

Za późno, za późno! Fabricius zaczął coś podejrzewać. W tym wszystkim jest jakaś tajemnica. W jaki sposób panienka znalazła się w towarzystwie człowieka, którego nazwiska nawet nie zna? Dokąd jada? Kto mu powierzył odwiezienie jej? Co ma z nią zrobić? Trzeba to będzie wy badać. Przychodziły mu do głowy różne możliwości, ale żadna nie wydawała się prawdopodobna. Może była gdzieś na wychowaniu i teraz Quendel odwozi ją rodzicom? Jak się to jednak stało, że wsiadła na jego wóz nie wiedząc nawet, kim on jest? Może Quendel jest bliskim przyjacielem rodziców... ale w takim razie nie byłaby się dziwiła, że takie nosi nazwisko. O sobie powiedziała, że nazywa się Rozalia Otrokocsy! Otrokocsy! To tak brzmi jak wiele szlacheckich węgierskich nazwisk, ale w tej części kraju nie ma takiego rodu. E, co tam. To z pewnością jakaś całkiem prosta, zwyczajna historia. Najlepiej będzie, jak się samego Quendla zapyta. Kiedy więc Rozalia poszła naprzód, umyślnie zwolnił kroku, żeby się zrównać z drugą furmanką.

— Gdzieżeś znalazł, mości panie Quendel, tę dziewczynkę? — zapytał możliwie obojętnym tonem.

Stary chytrze do niego mrugnął.

— Ładne stworzonko, prawda? Istna perelka. Azaliż i tobie się spodobała?

— Nie mogę zaprzeczyć, że jest urocza, i dlatego pytam, skąd ją waćpan wziąłeś?

Quendel wzruszył ramionami i żartobliwie odpowiedział:

— Nawet król nie tłumaczy się z tego, jak zdobył twierdzę.

— Istotnie, ale waćpan nie jesteś królem.

— Niech Bóg broni, synku. Stary Quendel ma swoje rzemiosło i jest z niego zadowolony.

Być może i król jest ze swego zadowolony, ale tego nie wiem.

— Prawda, prawda, ale wobec tego nie spadnie waszmości korona z głowy, jak mi powiesz, kim jest ta panienka i dokąd ją wieziesz.

Na takie *dictum* Quendel spoważniał i już innym tonem odpowiedział:

— Wiele jest takich spraw, o których niekoniecznie trzeba mówić, i ta właśnie do nich należy. Jednego jednak nie będę przed tobą ukrywał, że ta dziewczuszka nie jest kąskiem dla takich jak my, wysoko rośnie, na stromej skale. Tam nie sięgniesz. Lepiej więc, żebyś o niej nie myślał.

Fabricius kilka razy świsnął w powietrzu trzymaną w ręce trzcinką. Cicho i jakby tęsknie powiedział:

— *Die Gedanken sind frei...*

Był teraz jeszcze bardziej przekonany, że w tej sprawie kryje się jakaś tajemnica. Może politycznej natury? Imre Thököly ma pasierbicę, Julię Rakoczanę... może to ona się gdzieś przekrada? Ale nie, tamta musi już być starsza. Szedł dalej zamyślony i słuchał imć pana Klebego, który także zsiadł z wozu, bo Gniada miała już wyraźnie dosyć swych końskich obowiązków. Co chwila stawała, rżała na znak, że domaga się spokojnej stajni, zapowiadając jednocześnie nadchodzącą burzę. Pan Klebe opowiadał tymczasem zgodną z nastrojem chwili straszliwą przygodę, która mu się przydarzyła właśnie w tym miejscu. Wędrował kiedyś sam, bez broni (miał tylko nieduży kozik), aż nagle z tej gęstwiny (ruchem krzaczastych brwi wskazał kierunek) wyszedł wielki czarny niedźwiedź o błyszczących ślepiach.

— Możesz sobie waćpan wyobrazić moje przerażenie, gdyż bestia szła prosto na mnie. Serce biło mi głośno, bo niedźwiedź szedł, szedł, raz się na chwilę zatrzymał, myślałem, że się drapał, i ziewnął nie spuszczając ze mnie ślepi. Serce przestało mi bić i puściłem się biegiem, a bestia tuż, tuż za mną. Czułem, jak ciężkie łapy coraz bliżej dudnią o ziemię, słyszałem zdyszany oddech, nie miałem odwagi się odwrócić, tylko biegłem i biegłem, niemal nieprzytomnie, aż nagle spostrzegłem, że przebiegł obok mnie...

— I co dalej? — pytali przejęci grozą podróżni.

— Minał mnie i nie pożał — odpowiedział po prostu pan Klebe.

— A waćpan, mości Klebe, coś waść uczynił? — wykrzyknął kantor.

— Ja też go nie zjadłem.

— Och! Ach! (Wszelkie znaki wskazywały, że nie są zadowoleni z zakończenia.)

— Całkiem po prostu spotkaliśmy się — dodał pan Klebe zadowolony — i żaden drugiemu nie uczynił krzywdy.

Fabricius przyspieszył kroku, żeby dogonić Rozalkę, i w samą porę znalazł się tuż za nią. Sączące się z gór żyły wodne i potoczki, które nabrzmiące deszczową wodą spływały teraz jak srebrne węże, tocząc kolorowe kamyki, w pewnym miejscu utworzyły na samej drodze kałużę. Była za szeroka, by ją przekroczyć, a skoczyć Rozalka nie miała odwagi, więc odwróciła się niezdecydowana i wyczekująco patrzyła na Fabriciusa. Chyba nic na świecie nie miało tyle słodczy co to urocze, bezwiedne oddanie. Fabriciusowi serce aż skoczyło. Och, ty śliczna dziewczuszko, schrupałbym cię! — wykrzykiwała jego dusza. Uśmiechnął się, aż mu w oczach zatańczyły wesołe chochliki. Schylił się szybkim ruchem, objął wiotką kibić i hop! — przestawił

panienkę na drugą stronę kałuży, ale poczuł przy tym bicie małego dziewczęcego serduszka i gorąca lawa przebiegła mu przez wszystkie żyły.

— Aj! — pisnęła Rozalka.

— Scholarzu, dostaniesz trzcinką po palcach! — pogroził Fabriciusowi Quendel, obstukując fajkę o luśnię.

— Gniewasz się waćpanna? — proszącym głosem zapytał Fabricius.

— Nie, nie, tylko się przestraszyłam — wyjąkała zdławionym głosem — ... że co? złego mnie spotka.

— Cóż by się mogło stać?

— Bo ciocia mówiła... zawsze mówiła — odpowiedziała zmieszana, jakby żałowała, że zaczęła się tłumaczyć — ...mówiła, że młodzieńcom nie wolno dotykać panienek, bo mogą je złamać... ciocia stale to powtarzała.

— Hm. A cóż to za ciocia?

— Moja ciocia, bardzo mądra ciocia.

— Ale jak się nazywa?

— Tego nie mogę powiedzieć — odpowiedziała smutnym głosem i potrząsnęła głową.

— Nie możesz waćpanna powiedzieć? To dziwne. A to dlaczego?

— Bo ojcu obiecałam. Przysięgłam mu.

— Nie dotrzymasz tego.

— Dotrzymam — odpowiedziała po prostu, ale w tym jednym słowie był taki ciężar, jakby marmurowy głaz uderzył o ziemię.

— Wobec tego z waćpanną dyskutować nie można, bo nie będzie mogła odpowiadać — z przekąsem zauważył Fabricius.

— Moja obietnica milczenia dotyczy tylko jednej rzeczy. I to do czasu, póki mnie ojciec z niej nie zwolni.

— W zawiłościach rozmowy z każdego punktu wiedzie droga do innego punktu i trudno będzie znaleźć taki kierunek, żeby nigdzie tego zakazu nie przekroczyć.

— Nie sądzę, by to było niemożliwe.

— Postawię na przykład całkiem obojętne, niewinne pytanie — chytrze zagaił młody rajca — i zobaczymy, czy waćpanna może na nie odpowiedzieć.

— Zależy od pytania — niechętnie zgodziła się dziewczeczka.

— Czy ojciec waćpanny wie, że odbywasz podróż z imię panem Quendlem?

— Z jego rozkazu wyjechałam.

— Doskonale. Ale mam jeszcze jedno niewinne pytanie. Czy mogę wiedzieć, dokąd waćpanna jedziesz?

— Wolno, ale nie powiem.

— Ani też, skąd waćpanna pochodzisz i gdzie mieszkasz?

— Ani tego.

Parę minut szli jedno za drugim nie odzywając się. Reszta podróżnych też kroczyła w milczeniu, słychać było tylko dzwonki zawieszane na końskich szyjach i dochodzące spod płachty zdrowe chrapanie wędrownego zegarmistrza.

Na jakimś odcinku droga była szersza, więc Fabricius mógł iść obok Rozalki.

— Nie mogę tej całej historii zrozumieć — nawiązał do poprzednich słów Fabricius.

— Lepiej waćpan uczynisz, jeśli mi zerwiesz tego cyklamena.

Młodzieniec spełnił rozkaz, ale nie odstąpił od zakazanego tematu.

— Wnioskuje, że zobowiązanie się waćpanny do milczenia dotyczy okoliczności rodzinnych albo też jakiegoś wydarzenia, które nie powinno wyjść na światło dzienne. Może

tylko przez jakiś czas. Prawda, że tak jest?

Rozalia w milczeniu przytaknęła śliczną główką.

— Co do mnie, to potrafię sobie takie okoliczności wyobrazić — mówił dalej młody rajca — i szanuję dochowanie tajemnicy...

Rozalia potrząsnęła główką, a przy tym ruchu spadł jeden płatek dzikiej różyczki.

— Nie bardzo to widać — powiedziała cicho.

— To dlatego — odpowiedział podniecony — że w postępowaniu waćpanny nie widzę logiki. Ja zaś, jako scholarz, we wszystkim szukam logiki.

Rozalia spojrzała spłoszona, gdyż wyczuła w jego głosie tłumiony gniew. Nie mogła zrozumieć, skąd ten gniew i nerwowość. No tak, skądże mogła wiedzieć, że jego zainteresowanie jest pierwszą oznaką kiełkowania maleńkiego ziarenka, z którego wyrasta miłość!

— Nie rozumiem — wybąkała.

— To ja waćpanny nie rozumiem. Na moje nic nie znaczące pytania, dokąd waćpanna jedziesz i skąd pochodzisz, odpowiadasz, że nie wolno ci na nie odpowiedzieć. Z tego jasno wynika, że nie życzysz sobie, bym wiedział, kim jesteś.

— No i co? Czy nie mam po temu prawa? — odpowiedziała dumnie, podnosząc głowę takim ruchem, jakby była księżniczką z królewskiego rodu. (Och, co za śliczna szyja!)

— Powiedzmy, że masz waćpanna prawo — oponował młodzieniec — ale to postępowanie jest w stosunku do mnie obraźliwe, a przecież nie dałem ku temu żadnego powodu.

— obraźliwe? W stosunku do waćpana? Przecież waćpan ujął się za mną i gotów był zdrzeć z całym towarzystwem. O Boże, jakież ja muszę mieć złe maniery!

— Rozalia Otrokocsy! — mówił dalej Fabricius jakby w gorączce, wpadając w ton deklamatorski. — Jak mam rozumieć to, żeś mi waćpanna z początku powiedziała rzecz najważniejszą, bo swoje nazwisko, potem jednak, kiedyś mnie nieco poznała, chcesz zimnym śniegiem zasypać drobne ślady prowadzące ku twojej osobie?

Rozalia zmieszała się. Ten argument był trafny i strzała zręcznie wymierzona. Zarumieniła się po same uszy, twarz jej płonęła jak rozgrzane do czerwoności żelazko. Kłamstwo. No tak, kłamstwo powraca i razi kłamcę jak oskarżyciel. Ale to się stało tak prędko! Któż by mógł przypuszczać? Cóż teraz powiedzieć nieszczęsnemu młodzieńcowi? Czy może: skłamałam podając swe imię, potem chciałam powiedzieć prawdę, aby okazać sympatię... Gdyby tak powiedziała, toby się tym samym całkiem zdradziła.

Milczała chwilę, po czym podniosła słodkie spojrzenie na młodego człowieka i łagodnie, ze smutkiem rzekła:

— Czemu waćpan chcesz mi zrobić przykrość?

— Ja? Przykrość? Waćpannie?

— Wobec tego nie pytaj o nic, bo gdybym przypadkiem wyrzekła słowa, których nie powinnam wyrzec, byłabym do głębi nieszczęśliwa. Czemu waćpan chcesz, bym je wypowiedziała?

Fabricius wzruszył się. Podczas tej krótkiej pieszej drogi razem odbytej objawiła mu się córa Ewy ze wszystkimi cechami i odcieniami jej istoty i charakteru. Cudowny materiał, w którym kryje się jeszcze możliwość ukształtowania się każdej kobiety: rysy, które zanikną, i takie, które się bardziej uwypuklą. Jest w niej naiwne dziecko, które nie całkiem rozumie, co znaczy powtarzane tak często przez ciotkę zdanie, że „młodemu ludziom nie wolno dotykać pańienek, bo mogą je złamać”. Ale jest w niej także embrión pełnej godności matrony węgierskiej, która rozumie świętość danego słowa i powiada: „Dotrzymam tego, co obiecałam.” We właściwym miejscu budzi się wytworna dama i przekornie pyta: „Czyż nie mam do tego prawa?” Jednak Fabriciusa najbardziej wzruszył ten przebłysk charakteru, który jej kazał przyznać się do własnej

słabości: „Nie pytaj waćpan, nie czyni mnie nieszczęśliwą usiłując ze mnie wydobyć coś, czego mi nie wolno powiedzieć.” Żal mu się zrobiło tej małej, czy to przez pychę, czy też dobroć, gdyż mógł sobie tłumaczyć, że tym samym mu się poddała. Poczł się zwycięzcą i tak się przejął własnym triumfem, że wypuścił rybkę z zanurzonej sieci. Kto wie, jak by to było, gdyby pan Klebe w tej samej chwili nie krzyknął zasapanym głosem, ledwie się wydobywającym ze storanych płuc:

— *Gott sei Dank!* Wreszcie jesteście na górze. Kto się zmęczył, może sięść na wóz!

W dole rozciągała się cudowna w swej dzikości panorama. Na tle szmaragdowej zieleni łąk, w głębokiej kotlinie trawnickiej płynął rozpędzony potok Ruszka, bez wysiłku poruszając po drodze liczne wodne młyny.

Widocznie Boska Opatrzność czekała tylko na moment, kiedy „Molitorisz” dosięgnie szczytu góry, gdyż teraz, jakby na jakiś tajemniczy znak, wyskoczył skądś ostry podmuch wiatru, potrząsnął drzewami i przegonił kłębiące się chmury aż na drugi skraj nieba. Zmęczone słońce poddało się boskiemu gniewowi i skryło za chmurą, a wraz z nim znikły złociste obłoczki, niczym stado owieczek zagnane niewidocznym bitem do czarnej owczarni. Na dolinę spadł szary mrok i wypełnił ją tajemniczymi kształtami. Tymczasem wiatr wzmógł się, przeszedł w orkan, wpił się w czupryny drzew, wykręcał je, obracał, jakby chciał je wwiercić w ziemię, szarpał nimi i uderzał. Drzewa z wyciem, szumem i trzaskiem rzucały się jedno na drugie, jakby się mocowały. Potok się znarowił i gnał spieniony wśród przerażonych traw. W delirium, do jakiego natura doprowadziła niebo, i ono z dziką furją zaczęło strzelać diamentową amunicją — gradem wielkości laskowych orzechów. Trwoga opanowała wszelkie żywe stworzenie. Dzikie zwierzęta pognały do swych pieczar, ptaki do dziupli, motyle uczepliły się spodu mięsistych liści, pszczoła wcisnęła się w kielich kwiatka, aby tam przeczekać nawałnicę. Podróżni naradzają się, gdzie można by w pobliżu znaleźć schronienie.

— Niedaleko stąd jest młyn, jedźmy tam! — nakazuje pan Klebe.

Z wielkim trudem udaje się dotrzeć do młyna. Gniada co prawda nie opiera się, bo jest ślepa na oba oczy i nie widzi, co się dzieje, ale dyszlowy Szpak zaczyna drzeć całym ciałem wobec sądnego dnia zainscenizowanego przez naturę, strzyże uszami, rży, staje dęba, ale nie chce ruszyć. Tropko, chcąc nie chcąc, musi zsiść i prowadzić go za uzdę przy pysku.

Tak dotarli do młyna. Była to rudera ze słomianą strzechą, przez którą tysiącem dziur wydobywał się dym, jakby wewnątrz zaczynało się palić, a tymczasem po prostu pieczono tam i gotowano, aż się wokół rozchodziły smakowite zapachy. Wędrowny zegarmistrz już z daleka to wyczuł i aż mlasnął językiem: Jak widać, Opatrzność nas w dobre miejsce przygnała. Czeladnik kotlarski spostrzegł za młynem kawałek ogródka, a w nim kilka słoneczników i na pół rozkwitłych malw. Są tu też dziewczyny — stwierdził. Gdy wjechali na podwórze, z sieni wybiegła stara niewiasta w białej zapasce, dzierżąc w ręce warzachew.

— Bóg was sprowadza, Bóg sprowadza — wykrzykiwała radośnie, jakby ich oczekiwała — proszę zsiadać, wszystko gotowe, wielebny ksiądz proboszcz już jest, a wieczerzę zaraz podamy. Jednak na widok gromady z pierwszego wozu i dziewczyny ze starym człowiekiem wysiadających z furki, przerażona wbiegła do chałupy: Boże święty, jakaś szarańcza tu zjechała.

Uroczystość była tego rodzaju, że młynarza, nazwiskiem György Gyurgyik, właśnie tego dnia o świcie, po dwunastu latach przerwy, żona obdarowała synem. Dotychczas miał tylko dwie dorastające dziewczynki, toteż był niepomiernie szczęśliwy, że urodził się dziedzic nazwiska. Jednocześnie zmartwił się, gdyż przybyłe ze zbożem do mielenia niewiasty orzekły, że niemowlę jest bardzo słabowite, więc nie należy zwlekać z chrztem. Może już za kilka godzin Pan powoła maleństwo do grona aniołków, a jeżeli bez chrztu i bez imienia zemrze, to przez setki lat będzie musiało błąkać się po czyścú.

Imć pan młynarz, choć nie odznaczał się szczególną pobożnością, był jednak przesądny. Paskudnymi przekleństwami protestował przeciwko temu, by Pan właśnie jemu miał zabrać syna, podczas gdy w kraju wiele jest dzieci, których ojcowie nie mogą lub nie chcą wychowywać, ale dla dobra potomka zgodził się, by go niezwłocznie ochrzcić. Niech się w domu zabierają do pieczenia i gotowania, a czeladnicy z młyna niech pogalopują jeden do Starovaca po księdza, drugi do Madraski po rodziców chrzestnych, którymi mieli być tamtejszy rzeźnik i jego żona.

Ksiądz już przyjechał, czeka od godziny, rzeźnik zaś zawiadomił przez przysłanego czeladnika, że wkrótce przyjadą. Chyba jednak nic z tego nie będzie, gdyż w taką burzę potok zwykle znosi mosty, a droga z Madraski, i tak niezbyt dobra, staje się całkiem nie do przebycia. O tym radzą i wzdychają młynarz z księdzem pociągając z gorzałki przeznaczonej na chrzciny. Siedzą w pierwszej izbie, gdzie właśnie obie córki młynarza krzątają się przy nakrywaniu do stołu i dokąd jeden po drugim wchodzi podróżni z „Molitorisza” przeprasząc, że z powodu walki żywołów zesłanej przez Pana Boga zjawili się tu nie proszeni.

— Ależ proszę, bardzo proszę — wykrzyknął wesoło młynarz — w dobre miejsce trafili waszmość państwo. Komu Bóg daje dziecko, temu i kuma znajdzie. Czy tak nie jest? Widocznie Pan Bóg mnie kocha, że się zatroszczył o wszystko. A jak kocha, to i dziecku nie zrobi krzywdy. Czy nie tak, wielebny ojcze?

Ksiądz trochę niepewnie przytaknął, że może tak jest istotnie. Młynarz tymczasem przesunął wzrok po przyjezdnych i od razu wybrał dwoje najładniejszych, najmłodszych i najlepiej przyodzianych, Fabriciusa i Rozalię. Uczyniliby mu wielką przysługę — wyjaśnił — gdyby się zgodzili trzymać do chrztu noworodka, któremu obiecano imię Bálint.

— Ojej, ale cóż to, chrzestna mateczka jest zupełnie przemoknięta. Magdalenko! — skinął na córkę. — Daj no panience coś suchego ze swego przyodziewku, póki jej suknie nie wyschną.

Rozalkę ujęła za rękę ładna, pucółowata dziewczuszka i zaprowadziła ją do wewnętrznej komory, gdzie z dobrym skutkiem odbyła się metamorfoza.

Nie trwało dłużej niż dwie lub trzy minuty, a już powróciły trzymając się za ręce. Dziewczęta, kiedy się choć raz jedna przy drugiej przebierze, z miejsca nawiązują przyjaźń. Jakby pokazanie się bez ubrania było jednocześnie wyjawieniem wszystkich sekretów.

Rozalka ślicznie wyglądała w stroju ni to chłopki, ni to mieszczi.

— Hej, co za gładka panienka! — wykrzyknął kupiec z „Molitorisza”. Nic dziwnego! Jakby lilia mogła nie być piękna (wiadomo, że to pański kwiat), choćby miała liście jak pelargonion (bo pelargonion to chłopski kwiat).

Spódniczyna była co prawda trochę za krótka, a nogi telepały się w wysokich butach, że ledwie mogła w nich chodzić, ale to niezdarne stąpanie też było pełne wdzięku. Staniczek natomiast był ciut za wąski w ramionach i ciasny z przodu, i to dopiero było zachwycające! (Nawet nie powiem dlaczego.) Za to niżej, nad biodrami, stanik był za szeroki, jakby chciał zwrócić uwagę tęsknych oczu na kibić cienką niczym u osy.

Wielebny ksiądz proboszcz, choć miał małe oczka, ledwie widoczne zza mięsistych policzków, i jak twierdził, zwracał je wyłącznie ku niebu, zauważył mimo wszystko, jak obszerne są cholewy z kurdybanu, i taką uczynił uwagę:

Utcunque! Należało w nie wetknąć wiecheć słomy. Ale i tak ładna jesteś, córko, jako że Pan Bóg taką cię stworzył. Zaiste, mogłyby zmądrzeć puste białogłowy i przekonać się, że źle uszyte suknie piękności popsuć nie zdołają. Zaprawdę powiadam wam, iż niewiasty wiele jedwabi i koronek niszczą, ale i to wam powiem, iż jedwabie i koronki podobnie postępują, inaczej mówiąc, wiele niewiast przez nie marnieje.

— Ale pomyślmy o chrzcinach — dodał po chwili. — Wpuścić trza owieczkę, która oczekuje u drzwi świętej owczarni. Przynieście dziecię! Niech się zbliżą chrzestni. Jakiej wiary

jesteś, młodzieńcze?

— Luteranin — oświadczył z dumą Fabricius.

— A waćpanna?

Fabricius, wyraźnie podniecony, wlepił w nią wzrok.

— Luteranka — odpowiedział za nią Quendel, na co twarz Fabriciusa aż się rozpromieniła.

— Jaka szkoda — zauważył pobożnie proboszcz — że w dwóch tak pięknych powłokach cielesnych zamieszkują dwie zbłąkane dusze. Wobec tego niech acan wybierze innych rodziców chrzestnych — zwrócił się do młynarza.

— Czegoś taki uradowany, synku, jakbyś znalazł czterolistną koniczynkę? — zagadnął Quendel Fabriciusa.

— Rzeknijcie, czy są wśród was katolickie chrześcijany? — zapytał niemal z urazą młynarz.

— Molitorisz ma wszystko — odpowiedział z zadowoleniem pan Klebe. — Oto na przykład jejmość pani Wilnerowa, uczona niewiasta z Lewoczy, która właśnie dopomogła w Gömör, by na świat przyszedł młody baron Nyáry. Bo jejmość do Nyárych była wzywana, prawda?

Jejmość skłoniła się i przytaknęła.

— Tak jest, od nich wracam.

— To ci dopiero szczęście — uradował się młynarz. — Oto prawdziwie uczona niewiasta. Wyraźny znak z nieba, że jejmość tu zesłało, nawet ślepiec musi to dostrzec. Zechciej jejmość spojrzeć na mojego jedynaka, razem po niego pójdziemy, dobrze? Ino przedtem skończymy z wyborem ojca chrzestnego.

— Chętnie nim będę — ofiarował się wędrowny zegarmistrz.

— A kim acan jesteś?

— Zegarmistrzem. Naprawiam wszystkie zegary w komitacie Gömör i na Spiszu, a także w okolicy. Nazywam się Jonás Kindronay.

Młynarz doskoczył do niego i uściśnął mu dłoń.

— Nie chodzi mi o szczegóły, przyjacielu, alem szczęśliwy, że będziesz moim kumem. Wobec Boga jesteśmy wszyscy równi, my katolicy, *punctum*. I piaskiem posypać.

Teraz przyniesiono noworodka w powijakach, Wilnerowa wzięła go na ręce i orzekła, że dziecina chyba wyżyje. Trzeba tylko dziecko chować w dobrym powietrzu i karmić dobrym mlekiem. Ksiądz zaraz dokonał obrzędu. Potem, zgodnie z ówczesnymi zwyczajami, włożono dziecko do wielkiego sita i rodzice chrzestni pohnęli je, żeby się wszystkie przywary wysiały. Następnie rozkruszono mu nad główką gruby kłós pszenicy. (Dojrzałej pszenicy jeszcze nie było, odłamano więc jeden kłós z zeszłorocznego wieńca dożynkowego.) Pszenica jest u ludu wiejskiego symbolem siły. Niech będzie silny i twardy jak dorodna pszenica. Bo dla węgierskiego chłopca siła jest wszystkim. Gdy chłop zachoruje i lekarz pyta, co go boli, przeważnie odpowiada: „Nie mam siły.” Z wyjątkiem całkiem wyjątkowych wypadków, nic nie umie powiedzieć o symptomach czy bólach. Nic go nie boli, tylko brak mu siły. A gdy nadchodzi śmierć, odchodzi siła. Kiedy śmierć staje w szerokich wrotach, siła wymyka się małą furteczką. I to jest koniec.

Podczas gdy chrzczono maleństwo, imć pan Quendel wysunął się na dwór, żeby swoją furkę albo przynajmniej skrzynię umieścić w bezpiecznym miejscu. Grad przestał padać, ale zawierucha nie ustała, coraz to silniejszy poryw wichru rzucał się na strzechę młyna i zabudowania gospodarskie. Dobrze byłoby gdzieś wtoczyć furkę — pomyślał Quendel i zaczął się rozglądać po większych i mniejszych szopach. Za młynem, przy piwnicy, spostrzegł coś w rodzaju wozowni. Podkraść się, żeby zajrzeć co to może być. Wrota były wybijane żelaznymi

ćwiekami. Pchnął jedno skrzydło nogą, ustąpiło, wszedł więc dla sprawdzenia, czy szopa jest pusta i czy na noc można by wstawić tu wóz. Ciemności panowały tam nieprzeniknione, ale coś czarnego poruszyło się. Już chciał wyskoczyć z powrotem na dwór, kiedy nagle poczuł na dłoni ciepły oddech i wielki ozór go polizał. Zaraz potem zarżał koń.

Ejże, przecież to Gniada. Jego własna Gniada. Poznał ją po rzeniu. Pobiegł szybko do kuchni po latarnię i przekonał się, że to rzeczywiście jego koniki, żywe i całe, chrupiące świeże sianko w głębokim skupieniu. No, jak się macie, kochane koniki, jak to dobrze, żeśmy się znów spotkali!

Kiedy pan Quendel powrócił do młyna, w głównej izbie goście już zasiedli do stołu i zaczęto roznosić jadło. Na początek przyniesiono smażone kurczęta. Obok Rozalki siedział Fabricius, którego całe towarzystwo niezmiernie honorowało, od chwili gdy się okazało, że jest rajcą miasta Lewoczy. Z początku nawet nie spostrzeżono, że brak jednego podróżnego, dopiero kupiec z Korpony powiedział: — Imć pan Quendel gdzieś się zapodział. Na to czarodziejskie nazwisko i młynarz, i wielebny proboszcz podnieśli głowy. Co takiego? Czyżby tu był sam pan Quendel? Tak, właśnie on. Niemożliwe! Prawdziwy Quendel? Naturalnie, prawdziwy. Fiu, niech to lichu! Ależ to ważna rzecz. Skoczył tedy imć pan Gyurgyik, chcąc odszukać gościa, ale ten właśnie wszedł do izby. Co żywo posadzili go na pierwszym miejscu, a pan młynarz z wielkiego szacunku własną dłonią przetarł jego talerz.

— Zaiste, aż za wiele szczęścia na jeden dzień!

Czeladnik kotlarski jadł z wielkim smakiem, aż mu pot spływał z czoła, pan kantor zaś i panna pokojowa usiłowali przełamać kostkę w kształcie ostrogi, żeby się dowiedzieć, które z nich będzie dłużej żyło.

Uczona Wilnerowa, która siedziała obok wielebnego księdza proboszcza, grzebała i przebierała w jadle, jak przystało na damę, podkreślając, że nie ma apetytu, a u wielmożnych baronostwa Nyárych odwykła od cięższych potraw. O Boże, ci magnaci! Tam wszystko jest inne. Może nawet kurze jajka mają inny kształt... Kupiec z Korpony napełnił sobie szklenicę i wzniosł ją w kierunku pana Quendla, ale ten nic nie zauważył. Najbardziej zadowolony był jednak pan Klebe. Kiedy przesuwiał wzrok po gościach, po swoich podróżnych, z największym zachwytem patrzył na wędrownego zegarmistrza, który z wielkim mlaskaniem biedził się nad kurzym kuprem. Pierś mu wezbrała dumą, a z czoła można było nieledwie wyczytać taki monolog:

„A co, nie mówiłem? Molitorisz coś znaczy, Molitorisz cieszy się szacunkiem u siebie i w całym kraju. Jak się tak złoży, że trzeba gdzieś stanąć, wszędzie skrzypią otwierane gościnnie wrota. Stary pan Molitorisz sadza po drodze swych podróżnych przy biesiadnych stołach. O tym przypadku też się wieść rozejdzie. Jak Stalovics z Koszyc to usłyszy, to chyba pęknie.” (Stalovics był właścicielem podobnego przedsiębiorstwa, które ostatnio powstało w Koszycach.) Stare niewiasty, wśród nich matka młynarza, przynosiły kolejne potrawy, najpierw pięknie obrumienione prosię, potem pstrągi, wyrażając za każdym razem wielkie ubolewanie, że nie spodziewały się tylu gości, i zastrzegając się, że jeśli ktoś będzie jeszcze głodny, to z obiadu zostało trochę faszzerowanej kapusty, a w piwnicy miska galaretki z nówek. Może komu podać? Przez cały czas obie córki młynarza donosiły dzbany wina, gdyż ani Magdalenka, ani Esterka nie siadły do stołu. Dla niewiast Magdalenka przyniosła w „gębacz” słodkiego ziołowego wina. Z dzbanka o dzióbku w kształcie ust nalano najpierw Rozalce, gdyż od razu poznano, że to najważniejsza osoba. Nastrój stawał się coraz cieplejszy. Imć pan młynarz do znudzenia powtarzał, że to dla niego najszczęśliwszy dzień, Pan Bóg nikogo tak nie kocha jak jego, Gyurgyika, i stale mu to okazuje, co jest bardzo piękne z Jego strony, ale nigdy jeszcze tak wyraźnie tego nie okazał jak dzisiejszego świętego dnia, i nawiązując do tego opowiedział dokładnie przebieg wydarzeń od samego rana, jak to o świcie przyszedł na świat mały Bálint, jak postanowiono niezwłocznie urządzić chrzciny, jak wysłał czeladnika konno po wielebnego

księdza plebana, któremu niech Bóg da długie życie (głośne stuknięcie szklenicami), drugiego czeladnika także konno pchnął do Madraski po rodziców chrzestnych, ci zaś z powodu burzy nie dojechali. Gadanie było strasznie nudne, bo ze cztery razy wszyscy już te szczegóły słyszeli, zresztą sami wiedzieli: we właściwym momencie zajechał „Molitorisz” przywożąc kuma i kumę, niech im także Pan Bóg da zdrowie. W taki sam sposób ongiś królowie ze Wschodu trafili do Betlejem, kiedy Pan Jezus się urodził, z tą tylko różnicą, że ich prowadziła gwiazda, a podróżnych błyskawice, i jeszcze z tą różnicą, że tutaj przybył tylko jeden król, król pieniądza z Białej, niech mu Pan Bóg da wszystko, czego pragnie, i tu, i w przyszłym życiu.

— Wystarczy jak mi da tutaj — wtrącił uczczony przez gospodarza gość, za zdrowie którego wszyscy opróżnili szklenice do dna.

— I z tą jeszcze różnicą — ciągnął imię pan György Gyurgyik, którego ferwor własnej wymowy wbił w niechrześcijańską pychę — że Jezus był tylko synem biednego cieśli i w stajni się urodził, podczas gdy mój Bálint do rodu Gyurgyików należy, który jest tak na Spiszu jak i w komitacie Abauj sławnym szlacheckim rodem... niegdyś nawet zawołaniem się chlubił...

Ksiądz proboszcz karcąco podniósł rękę.

— Gyurgyik, Gyurgyik, co asan wygadujesz, *per amorem Dei*?

— A cóż ja powiedziałem? — drgnął Gyurgyik. — Przecież ksiądz jegomość nie może twierdzić, że Jezus ze szlacheckiej rodziny pochodził.

— Był synem Bożym — odpowiedział pobożnie proboszcz.

— Pewnie, że i to jest coś — zgodził się młynarz. — Gyurgyikowie zawsze byli młynarzami — ciągnął — mój ojciec, dziad, pradziad, wszyscy byli młynarzami. Tylko że ongiś inne było młynarzowanie. Spośród młynarzy król wybierał wodzów. Kinizsi też był młynarczykiem. W naszym młynie służył. Jak ja to mówię, to tak było, *punctum*. I piaskiem posypać.

Imię pan Quendel niespokojnie kręcił się na stołku, palcami nerwowo bębnił w stół, raz i drugi uśmiechnął się sam do siebie; widać było, że jakiś figiel knuje.

Ledwie młynarz skończył, Quendel wstał i podniósł szklenicę, a raczej kubek, gdyż pito z pięknych wypalanych kubków, na których wymalowane były pelikany i tulipany. Podniósł kubek, potem go w powietrzu odwrócił, tak że zawartość chlusnęła na ziemię. W języku hulaków znaczyło to, że ten, którego zdrowie chciałby wypić, nie zasługuje na to.

— Opowiedziałeś acan — zaczął — o swym szczęściu, o urodzeniu syna i okolicznościach, w jakich doszło do chrztu, jednym słowem, wydarzenia dnia dzisiejszego, a jednak jedno pominąłeś...

— A co takiego? — wykrzyknął kupiec z Korpony. — Cicho, cicho! Chcemy usłyszeć!

— Zaszły pewne wstępne okoliczności... — podjął Quendel.

— Wiadomo — zachichotał młynarz — jak syn przychodzi na świat, to musiało się przedtem coś niecoś dziać, ha ha ha!

— Zamierzam tylko uzupełnić historię dnia dzisiejszego pewnymi szczegółami — tłumaczył krezus z Białej z taką poczciwą, głupawą miną, jaką tylko on potrafił przybrać, bo właśnie niezrównany był w tym udawaniu niedojdy. — Dlatego rzekłem „wstępne okoliczności”, gdyż będzie także mowa o następstwach (diabelski płomyk błysnął w jego oczach). Imię pana Gyurgyika bogowie kochają, ale dzisiaj i w stosunku do mnie byli łaskawi. (Pst! Cicho tam!) Otóż gdy jechałem przez lasy leskowskie, w okolicy owczarni z czerwonym dachem z gęstwiny leśnej wyskoczyło dwóch słowackich zbójników, rzucili się na moje konie, na moje dwa gniadosze i przeciąwszy uprząż umknęli.

— Wiemy o tym, wiemy!

— I nam sprawili niezgorszy kłopot — burknął kotlarz.

— Zrozpaczony stałem na drodze wraz z jejmościanką powierzoną mojej opiece...

— Ale nadjechał „Molitorisz” — dokończył zdania imć pan Klebe, popuszczając jednego guzika u kamizelki, gdyż rozdymała go albo duma, albo wieczerza. — „Molitorisz” się pojawił, „Molitorisz” ma ludzkie uczucia, „Molitorisz” przyjął podróżnych i tak jest zawsze, a tym razem nawet furkę pociągnął.

Imć pan Gyurgyik zaczął się niespokojnie wiercić.

— E, to nic wielkiego — odezwał się. — Wypijmy na tę okazję. Napełnijcie kubki! Tylko nie lewą ręką, ty niezdarco. Takie rzeczy zdarzają się też innym ludziom, nie tylko waszmość panu, który mógłby mieć własne stada... albo i ma. Dość już o tych gniadych, dość o kłopotach. *Punctum*. I piaskiem posypać. Może by zrobić grzanego wina?

— Ho ho! Mowy nie ma, dopóki... — sprzeciwił się imć pan Quendel, kórego wszyscy słuchali z wielkim zainteresowaniem, gdyż wylanie wina obudziło ich ciekawość. To zapowiadało burzę.

— Posłuchajmy więc, gdzie jest pies pogrzebany.

— Przysunąłbyś acan ten półmisek — rzekł kantor szturchając w łokieć zegarmistrza. — Widzę na nim łeb prosięcia. Jak można taki kasek zostawić! Jest wprost wrzuszający z tymi przymkniętymi ślepkami. Nie mogę dłużej na niego patrzeć, wolę go zjeść. Mam niezwykle miękkie serce.

— Słuchajcie, co powie imć pan Quendel! — włączył się wielebny ksiądz proboszcz. — Jeszcze nam przecież nie wytłumaczył, w jaki sposób Pan Bóg okazał mu dziś swą łaskę.

— Właśnie do tego doszedłem — ciągnął Quendel. —

Kiedy dotarliśmy do tego gościnnego schronienia, a w izbie przystąpiono do świętego obrzędu chrztu, łamałem sobie głowę, gdzie by tu wstawić moją furkę, żeby ją uchronić od deszczu. Pomyślałem sobie, że zbliża się noc, pod dachem będę mógł się na niej przespać. Wyszedłem więc na poszukiwanie jakiegoś odpowiedniego miejsca.

Twarz młynarza zasepiła się.

— Rozglądając się po zabudowaniach spostrzegłem obok piwnicy coś w rodzaju szopy...

Młynarz zerwał się niespokojnie, potem bez widocznego powodu znowu usiadł wlepiając wyzywający wzrok w mówiącego, niczym pogromca w krwiożerczą bestię.

— I co dalej? — zapytał tępym głosem.

Podniecenie młynarza wszystkim rzuciło się w oczy.

Nawet Rozalka je zauważyła. Strwożona szepnęła do Fabriciusa, że pan młynarz gniewa się na pana Quendla. Można się było spodziewać, że w każdej chwili gotów jest w niego rzucić dzbanem. Wszystkie oczy zawisły na gospodarzu. Jeden tylko Quendel tak się zachowywał, jakby nie spostrzegł zmieszania młynarza i jego zaciśniętej pięści. Ze zdumiewającym spokojem mówił dalej:

— Podeszedłem do szopy, kopnąłem wrota. Otworzyły się. I co ujrzałem?

Rzecz jasna, nikt nie usiłował zgadnąć. Zapadła grobowa cisza, a pytające i zaciekawione spojrzenia przenosiły się z młynarza na Quendla i z Quendla na młynarza.

Teraz jednak niespodzianka czekała towarzystwo: Quendel był poważny, za to twarz młynarza rozjaśnił szeroki dobroduszny uśmiech.

— Wyobraźcie więc sobie — wypowiedział wreszcie Quendel — że znalazłem tam swoje dwa gniade.

Powstał szmer zaskoczenia i zdumienia, nad który wybił się tylko jeden głos: wesoły śmiech młynarza.

Huknął potężnymi łapami w stół i tak się śmiał, że aż mu łzy pocięły z oczu.

— Co takiego? Dwa gniadosze, cha cha cha. Dobrze sobie, cha cha. Znalazłeś waćpan swoje

gniade, hi hi hi. To musiało być wzruszające spotkanie. Ale dobrze, żeś je waszmość znalazł, bo one na pewno same nie odnalazłyby waszmości, jako że oczy mają w nie najlepszym stanie. Chr... cha cha cha, he he he.

Tak się rozchichotał i przy tym zgrzał, że pot z czoła i całej twarzy ściekał mu na szyję. W roztargnieniu wypijał przy tym wino ze wszystkich kubków po kolei. Quendel natomiast mówił dalej, i to z gniewem:

— Nie próbuj asan w żart tego obrócić. Tutaj, w obecności tak szacownych gości, pytam, w jaki sposób moje konie znalazły się w twojej stajni? Na to odpowiedz, w przeciwnym razie ogłoszę cię złodziejem.

— No, tego by brakowało! — obruszył się młynarz. — Przecie przez cały dzień nie ruszyłem się z domu. Licz się waszmość ze słowami, mości panie Quendel, bo ze mnie dobry człek i lubię żarty, ale wszystko ma swoje granice.

— Ejże, do sakramenckiej cholery! — wykrzyknął pan Quendel. — Jeszcze asan śmiesz zaprzeczać? Tysiąc świadków sprowadzę, jak będzie trzeba, że to moje konie, cały komitat zna moje gniade...

— Wcale nie zaprzeczam, skądże. — I znowu gospodarzowi twarz wykrzywiła się uśmiechem. — Przeciwnie, cały wieczór przecież opowiadam o tym, że moi dwaj czeladnicy konno pognali, jeden po wielebnego księdza proboszcza do Starovacu, a drugi po kuma i kumę...

— Pognali, owszem, ale na moich koniach — grzmiał dalej Quendel.

— Pewnie, że nie na moich — przekomarzał się z nim Gyurgyik, dalej stosując swoją zuchwałą taktykę. — Chyba waópan nie myślisz, że trzymam konnych czeladników!

— Ale ich asan wysłałeś.

— Owszem. To prawda. Powiedziałem, że byłoby najlepiej, gdyby mogli pojechać konno. Oni zaś przebrali się za zbójników, na nogi nałożyli kierpce i ruszyli w tych strojach. Skąd wzięli konie, tego nie wiem. Cała sprawa to tylko zabawna przygoda. Czy warto się o to gniewać? Przy biesiadnym stole? Podczas chrzcin? Kiedy nam tu tak dobrze? Zresztą waćpan odnalazłeś swoje konie.

— No przecież, konie się odnalazły — zawtórował kantor i głośno kichnął.

— Pogódźcie się! — zaproponował zegarmistrz, jakby uznał za swój obowiązek podeprzeć kuma.

Imć pan Quendel zaciął się jednak i przecząco potrząsnął głową.

— Z koniokradem? Nigdy!

Fizjonomia młynarza nabrała koloru papryki, a usta mu drgały z wściekłości.

— Możesz waćpan mieć tyle pieniędzy co plew — wrzeszczał — i możesz w nich grzebać, ile chcesz, ale wara od mego honoru, bom członkiem jest Świętej Korony i nie może być na mnie nawet najmniejszej plamki, choćby takiej jak ziarno maku. Gdybyś był szlachcicem, tobym od asana zażądał satysfakcji, jak rycerz od rycerza.

Ten „asan” wyprowadził Quendla z równowagi. Dla szlachcica nazwanie go „asanem” to jak czerwona płachta na byka. Mały człowieczek stracił zimną krew i uderzył się w piersi.

— I ja jestem szlachcicem. Z dwoma zawołaniami, słyszysz asan? De Pászta et Alsókend, ale asan? Skąd jest asan?

— Co? Skąd? Zaraz, poczekaj asan, zaraz powiem.

Wykopał spod siebie krzesło, pobiegł do komórki i wydobył z kąta dwa zardzewiałe pałasze, których jelce sterczały z głębi przepastnego mózdzierza. Stał pośrodku izby w bojowej postawie.

— Zaraz zobaczymy, czyś szlachcic! — darł się teraz, aż bład z wściekłości. — Chodź tutaj! Wybieraj pałasz!

Kilku mężczyzn zerwało się, żeby go uspokoić.

— Gyurgyik, kochany Gyurgyik, miej waćpan rozum, na miłość boską! — wykrzykiwał pan Klebe.

Tymczasem pan Quendel, zmieniony na twarzy, cofnął się instynktownie za proboszcza; widząc jednak, że pochwyciono już pałasze i kotlarz z kupcem usiłują je wyrwać z rąk młynarza, nabrał odwagi i wystąpił naprzód żywo gestykulując.

— Chętnie bym stanął na ubitej ziemi, owszem, ale tego tak załatwić nie można. To wcale nie jest sprawa honorowa. Własnym honorem się klnę, to nie jest sprawa honorowa.

Córki młynarza piszczwały, któraś ze starszych niewiast wbiegła na tę wrzawę i zaraz wybiegła, a po chwili wpadli obaj młynarscy czeladnicy z podwiniętymi rękawami, bo im powiedziano, że w izbie się biją. Kotlarz, któremu się nie udało wyrwać pałasza z ręki Gyurgyika, objął go w pasie mocarnymi ramionami i tak trzymał w żelaznych kleszczach, że tamten nie mógł nawet drgnąć.

— Co takiego? To nie jest sprawa honorowa? — Młynarz wymachiwał rękami i zgrzytał zębami z bezsilnego gniewu. — Słyszycie, co ten tchórz wygaduje? Proszę, niech waszmościowie osądzą, czy to jest sprawa honorowa, czy nie.

— Jakżeż to nie sprawa honorowa? — wypowiedział swoje zdanie zegarmistrz. — Spór wiodą dwaj szlachcice i chodzi o dwa konie. Jeżeli to nie jest sprawa honorowa, to na świecie nie ma w ogóle spraw honorowych. Tak czy nie?

Ostatnie pytanie było skierowane do imć pana Klebego.

— Wcale nie — zaprzeczył tamten — teraz chodzi już o trzy konie.

— Jak to?

— Asan jesteś tym trzecim.

— Wypraszam sobie taki ton.

— Zaslugujesz asan na taki ton, bo zamiast gasić ogień, jeszcze go podsycasz. A ja zapadłbym się pod ziemię ze wstydu, gdyby się rozniosło, że wybuchła bójka między podróżnymi Molitorisza. Ale to nie ma nic do rzeczy, tak czy owak, sprawa nie jest honorowa. Niech waszmość zabierze głos, mości rajco.

— Oczywiście, to nie jest sprawa honorowa — odpowiedział Fabricius. — Imć pan Quendel tutaj odnalazł swoje ukradzione konie, ma więc rzeczowe powody do oburzenia. Czy imć pan Gyurgyik popełnił błąd, czy przestępstwo, o tym nie pałasz może decydować, tylko sędzia. Ale gdyby sprawa nie była takiej natury, już sama różnica wieku wyklucza spotkanie z bronią w rękę. Silny mężczyzna może posiekać słabego starca, ale to nie będzie rycerski pojedynek, tylko pobicie. W takich wypadkach najrozsądniejsze wyjście to doprowadzić do polubownej ugody.

Imć pan Klebe kiwał głową z bezgranicznym podziwem. — Co za trafne rozumowanie — mruczał. Ksiądz proboszcz był tego samego zdania co rajca, więc obaj zabrali się do uspokajania zwaśnionych. Fabricius mądrymi słowami starał się ułagodzić młynarza, ksiądz zaś mówił Quendlowi o chrześcijańskiej cierpliwości i przebaczeniu, trzymając go za połę mysiego surduta. Widocznie panu Quendlowi bardzo odpowiadało, że ktoś go trzyma, prawdopodobnie tego chciał i tego oczekiwał, niemniej jednak zaczął się wyrwać jak człowiek powstrzymany siłą, że niby jak można, co to znaczy, niech go ksiądz jegomość puści, to sprawa rycerska, duchowne osoby na tym się nie znają, itd.

Mimo wszystko Opatrzność postanowiła uwieńczyć powodzeniem starania pośredników i po wielu namowach i pertraktacjach oba rozwścieczone lwy zostały sprowadzone na pokojową ścieżkę. Ceremonia tego historycznego wydarzenia została ustalona w taki sposób, że imć pan Gyurgyik podejdzie do imć pana Quendla, w krótkich słowach przeprosi go za niedowarzony i niedopuszczalny żart (te dwa określenia musiały być wypowiedziane), na co pan Quendel

wyciągnie rękę (pamiętajmy, że Quendel ma pierwszy wyciągnąć rękę), a pan Gyurgyik nią potrząśnie, i wszystko będzie w porządku.

Tak się też stało. Młynarza jakoś zaciągnięto przed Quendla, jak wołu do rzeźni, i wybąkał jakieś słowa przeprosin, wówczas Quendel wyciągnął rękę, a Gyurgyik uścisnął ją, aż zatrzeszczała. Quendel skrzywił się i jednocześnie nachylił do ucha młynarza, po czym twarz tego ostatniego jeszcze bardziej się wykrzywiła niż twarz Quendla. Ten bowiem szepnął mu do ucha:

— W zagrodzie pod dębem widziałem kilka ładnych krów należących do waćpana. Dwie z nich chcę za tydzień zobaczyć u siebie w Białej, a do tego nową uprzęż na parę koni z warsztatu rymarza Petza w Lewoczy, w przeciwnym razie skieruję sprawę do wielmożnego żupana Görgeya.

Tego co prawda nie było w ustalonych punktach ugody, ale też słowa Quendla nie doszły do obcych uszu, pozostawiając tylko ślad w duszy imć pana Gyurgyika. Tymczasem obecni zaczęli wiwatować na cześć pokoju, pokój zaś to gałązka oliwna, a gałązkę należy przecieź podlewać. Dawajcie prędko dzbany z winem!

Pito więc dalej. Nastrój coraz bardziej się poprawiał. „Przynies tego mocniejszego, Magdalenka.” Mężczyźni się porozpinali, wszyscy jednocześnie gadali, tylko Gyurgyik gryzł się z powodu żądania Quendla (mimo wszystko trzeba było starego stłuc, aż go ręka świerbiała), a także z powodu urażonej miłości własnej. Nie mógł ścierpieć, że czeladnik kotlarski tak mu przytrzymał ręce, że nie mógł nawet drgnąć. Ośmieszył go do ostateczności! Dwie krowy i uprzęż jakoś wypoci dla tej pijawki, ale do śmierci dźwigać taki wstyd? Wprost nie do pojęcia, jak się to stało. Czy to diabeł, czy człowiek? Może zna jakieś wyuczone chwytty? Zwyczajnym sposobem nie mógłby tego dokonać.

Od tej chwili cały czas prowokował kotlarza.

— Jeśli z ciebie taki zuch, to spróbuj acan jeść wino.

— Czemu nie — butnie się stawiał tamten. — Ja się nikogo nie boję.

Na to imć pan Gyurgyik nalał wina do dwóch misek i obaj zaczęli łyżkami czerpać wino niczym polewkę.

Kiedy młynarz skończył i podniósł wzrok, kotlarz ocierał sobie usta nad pustą miską.

— Dobrze było, braciszku?

— Mogło być gorsze.

Według jednogłośnej opinii wypróbowanych pijaków nic tak prędko nie uderza do głowy i nie wchodzi w nogi jak wino zajadane łyżką; jest to cud natury i właśnie dlatego pija się wino z kieliszków. Tym niemniej obaj współzawodnicy bohatercko wygrali, tylko twarze im poczerwieniały i oczy patrzyły trochę na krzyż.

— Widzę, mości kotlarzu, że dzielny z ciebie człek, ale jestem pewny, że wydmuchanego jajka nie potrafisz ze środka izby wyrzucić za okno.

— Chciałbym to jajko zobaczyć.

Gyurgyik poszedł do kuchni i wkrótce wrócił z kilkoma wydmuszkami, po czym otworzył szeroko okno. Hej, to będzie wspaniała zabawa.

Młody kotlarz stanął pośrodku izby, zamachnął się mocarnym ramieniem, ale skorupki nie zdołał wyrzucić: spadła tuż przed oknem.

Wybuchła wesoła wrzawa. Kotlarz ze złością się, chwycił drugą wydmuszkę i rzucił ją z taką siłą, że omal sam się nie przewrócił, ale cóż, skorupka znowu spadła w odległości łokcia od okna, na czubek głowy jejmości Wilnerowej. (Szkoda, że nie zostało w niej żółtko.)

— Na to trzeba większej siły, młodzieniaszku — orzekł lekceważąco Gyurgyik i wzięwszy jedną z wydmuchanych skorupek wyrzucił ją bez trudu za okno.

Kotlarz kłął na czym świat stoi, drapał się w głowę i na głos się zastanawiał:

— Jak to może być?

Było tak, że młynarz ukrył między palcami bryłkę zmiękczonego wosku i przylepił ją do skorupki, która dzięki większej wadze mogła się przebić przez napływające z zewnątrz do izby powietrze.

Trudno było tego dojść, tym niemniej kotlarz domyślał się, że to nieczysta sprawa, i zastanawiał się, jak by się młynarzowi odpłacić. Powiedział, że i on zna pewną „sztukę”, i poprosił Magdalenkę, żeby przyniosła miseczkę przedniej mąki zmielonej na trzech kamieniach. Kiedy ją dostał, usypał z mąki pagórek, wymruczał przy tym jakieś abrakadabry czy zaklęcia, potem poprosił Wilnerową o złoty pierścionek z ametystem, który z lubością obracała na wskazującym palcu. Nie mogła go jednak zdjąć, podała więc kotlarzowi obrączkę.

— To obrączka mego nieboszczyka męża — powiedziała z westchnieniem. — Nie był szczególnie silnym mężczyzną, ale był dobry i umiał mnie ocenić.

Kotlarz umieścił obrączkę na czubku usypanej górkę w taki sposób, że połowa kółka sterczała swobodnie.

— No — powiedział — teraz niech ktoś spróbuje się nachylić i czubkiem języka wyjąć obrączkę z mąki.

Gyurgyik pogardliwie machnął ręką.

— Jam nie pajac.

Zgłosił się kantor. Popchnęła go do tego jedna chybiona i jedna budząca się miłość, odwieczna sprężyna różnych wielkich czynów. Spostrzegł bowiem, że piegowata pokojowa i czeladnik kotlarski mają się ku sobie, że pod stołem trzymali się za ręce, a jemu dziewczyna odpowiadała z roztargnieniem. Ta okoliczność z elementarną siłą skierowała jego zainteresowanie ku pulchnej wdowie, o której imię pan Klebe mówił podczas jazdy, że zebrała sobie ładny kapitalik, gdyż ze wszystkich zwierząt domowych bocian przynosi największe zyski. Podczas wieczerzy kilka razy w nią rzucił gałeczką chleba, na co niewiasta życzliwie mu pogroziła palcem, jakby mówiła: „Dobrze wiem, co z ciebie za szelma!” Kiedy zaś doszło do podniecającego zajścia i kłótni, zuchwale przycisnął stopą jej nogę. Wilnerową syknęła, spojrzała i zawstydzila go:

— Czy waćpan czegoś chcesz? Jeśli tak, powiedz to głośno.

Od tej chwili kantor umilkł, smętnie gładził czarną brodę i rzucał na wdowę pokorne spojrzenia. A oto nadarzała się wspaniała okazja, by jej wyjawić, czego chce: niebo natchnęło kotlarza tym pomysłem! On, kantor, uniesie językiem obrączkę (Pan Bóg mu w tym dopomoże), po czym szybko zamieni obrączkę na własną i powie: „Tego chciałem.” Jakaż to będzie wspaniała scena! Wszyscy się ze wzruszenia popłaczą.

No, niech i tak będzie. Skoro Gyurgyik nie chce stanąć w szranki, niech spróbuje kantor. Wszystkie spojrzenia na nim zawisły. Był bohaterem chwili. Córki młynarza wdrapały się na skrzynię, żeby nad głowami gości wszystko widzieć, nawet stare niewiasty wsunęły się z kuchni na wielkie widowisko.

Kantor zebrał się w sobie, jego krzaczaste brwi podbiegły na czoło, nachylił głowę nad miską z mąką, coraz niżej i niżej, wreszcie, kiedy była już tak blisko, że pył mączny zaczął się poruszać od jego oddechu, wysunął język (miał potężny czerwony język, jak brytan), podwinął sam czubek, już niemal dotykał nim obrączki i wszystkie serca zabiły przyspieszonym tętnem, kiedy filut kotlarz szybkim ruchem położył mu rękę na karku i przycisnął tak, że głowa zanurzyła się w mące, a złota obrączka spadła z czubka języka i stuknęła o dno miski. Kantor wściekły podniósł głowę, prychając i plując otrząpywał się z mąki, ale co tu gadać, czarna broda, wąsy, brwi i nawet włosy, wszystko było osypane mąką. Jednocześnie zaś rozległ się taki wybuch śmiechu, że

całkowicie zagłuszył dochodzący z zewnątrz klekot młyńskiego koła. Nawet śliczna Rozalka tak się szczerze i serdecznie śmiała, że Fabricius jakby ujrzał wesoły promień słońca wpadający do izby, chociaż przez okno zaglądał tylko mrukliwy, ciemny i tajemniczy las pogrążony w mroku nocy.

— Chamski dowcip — wycharczał kantor. — Za to mi asan zapłacisz!

Popatrzył dokoła, spostrzegł na belce pod powałą ciężką blachę na kołacze, chwycił ją i choć ledwie mógł uradzić, zaczął nią wywijać, póki Gyurgyik nie wyrwał mu jej z ręki.

— Przecież to był tylko żart, przyjacielu, nie trzeba się było dać nabrać. To ja powinienem się gniewać, że masz waćpan taką ogromną brodę i tyle mąki mi zmarnowałeś.

— Ależ to wspaniała broda — zaprotestował kupiec. — Jest tak czarna, że choćby dlatego zostaniesz waść wybrany w czarnym mieście.

— Ejże, mości Molicska — przyłączyła się Wilnerowa — lepiej byś nam coś ładnego zaśpiewał.

Może by to wszystko nie pomogło, gdyby kotlarz nie przewidział skandalu i zaraz po swojej sztuczce nie wybiegł z izby. To z kolei przyniosło pomyślny dla ogółu obrót sprawy, gdyż na dworze, wśród ludzi przybyłych ze zbożem do zmielenia, wypatrzył starego juhasa: ten, żeby się nie nudzić, miał przy sobie dudy. Kotlarzowi tylko tego było potrzeba. „Hej, stuletni dziadku, ciebie właśnie szukam!” Rzucił się na niego ściskając i całując w jeden policzek i w drugi, przy czym aż ziało od niego winem, ale w starym nie budziło to obrzydzenia, przeciwnie, raczej łaskotało i pobudzało fantazję.

— Bierz dudy i chodź asan za mną, możesz być pewny, że w dobre miejsce cię zaprowadzę.

Juhas podrapał się w głowę.

— Sam to widzę, ale muszę tu czekać na syna, który z taczkami przyjedzie, a worka nie zostawię tak na boskiej opiece.

Dla wyjaśnienia mrugnął w stronę krzątających się młynarczyków.

— E tam, zaniosę worek do izby, będziesz go asan miał stale na oku.

Kotlarz zarzucił sobie na plecy worek ważący około puda tak lekko, jakby to były otręby.

— Ho ho, dzielna matka asana wykarmiła — mruknął juhas i dał się popchnąć ku izbie.

Tam przyjęto go wybuchami radości. Imć pan Gyurgyik wykrzyknął:

— Bóg mnie kocha, przysłał dudziarza.

Nikogo to teraz nie uraziło. Jedni chwycili stół, inni krzesła i stolki. Kotlarz oparł worek o komin, po czym i on zabrał się do wynoszenia sprzętów. Załatwiono to w mig. (W miejsce gratów wstawiono kilka młódek, które czekały na zmielenie zboża.) Odezwały się dudy, kotlarz wyskoczył na środek izby i zatańczył „Za buczki” z takim ogniem, że nawet na dworze króla Światopełka piękniej nie tańczono. Nie zmęczył się jednak i kiedy skończył pierwszy taniec, objął kibić stojącej najbliżej Magdalenki. No, mimo wszystko lepszy jest czardasz! Dumnie i dostojnie obracał swą tancerkę, klepiąc się od czasu do czasu po cholewie z głośnym wykrzykiwaniem. Teraz i kantor się ruszył, by naprawić swoją niezręczność, i poprosił do tańca Wilnerową. Niewiasta trochę się wzbraniała, że dużo jadła i dwie haftki w staniku się urwały, ale w końcu się zgodziła. Nie mogła mu odmówić, tłumaczyła, bo imć pan Molicska przypominał jej kogoś z czasów dzieciństwa. (Molicska był strasznie ciekawy i przez cały wieczór nagabywał ją, aż wreszcie wyjawiała, że jej przypomina pewne miłe zwierzę. Kantor chciał się koniecznie dowiedzieć, co to było za zwierzę, nalegał i pytał, aż się wydało, że wielmożny pan baron Fechtig miał ulubionego karego wierzchowca, i jego przypominał pan Molicska.)

Nim jednak ruszył w tany niczym ciężka galera, już i Fabricius wywijał z Rozalką, bo juhas zagrał teraz żwawego. To ją puszczał, to znowu chwytał, o ile mu się udawało, gdyż panienka

wymykała mu się niczym motylek właśnie w chwili, kiedy chciał ją opasać ramieniem. Stukały-pukały za duże buty, mimo to jednak zgrabnie się obracała, aż upadła jej czerwona chusteczka, ale szyja nie pozostała odkryta, gdyż obsunęły się złote włosy. Kantor i kotlarz podeptali i poszarпали czerwoną chustkę, ich wielkie buciory coraz to przydeptywały drobne stopki panienki, ale nie narzekała. Może by tego nawet nie zauważyła, gdyby gospodarz znowu nie narobił zamieszania. Jemu też się zachciało ruchu, wpadł do drugiej izby, gdzie leżała położnica, złapał noworodka i zaczął z nim radośnie tańcować. Obie babcie wybiegły za nim błagając, by zostawił maleństwo w spokoju i nie wytrząsał z niego tej odrobiny duszy, która się w nim kołacze. Ale imć pan Gyurgyik zupełnie oszalał, potrząsał potomkiem i wyśpiewywał: „Siup, siup, hop, hop, tak się bawią Gyurgyikowie.” Stare kobiety uczepliły się jego ramion, żeby zabrać dziecko, jedna z lewej, druga z prawej, on jednak kręcił się w kółko jak zwariowane wrzeciono, a stare razem z nim się obracały. Jeszcze nigdy takiego widowiska nie oglądano.

Dobry humor aż tryskał, wszyscy się bawili. Nawet Quendel spostrzegł przez okno uroczą wiejską młodkę (wśród ludzi, którzy się zeszli do młyna). Miała piękne alabastrowe zęby, którymi się wciąż śmiała, i cudowne czarne oczy. Stała przy samym oknie trzymając się pod boki i kołysząc w takt muzyki. Stary hultaj Quendel pobiegł na dwór i wciągnął ją między tańczące pary. Kupiec z Korpony widząc, jak swawolnie się zachowuje człowiek, którego stawiał sobie za wzór, skłonił się przed małą Esterką i ruszył w tany. Istotnie nie miał nawet z kim porozmawiać, gdyż zegarmistrz, czując się jak we własnym domu (był przecież u kuma!), wdrapał się na piec i spokojnie drzemał.

Wszystko kłębiło się w roztańczonym wirze, tylko pokojowa podpieraała ścianę, co ją najwidoczniej gniewało, i trzeba przyznać, że nie było w tym żadnej sprawiedliwości, gdyż pomijając odrobinę piegów była fertyczną i miłą osobką. Podobnie bez żadnego zajęcia wałęsał się tu i tam pan Klebe, przepychany z jednego końca izby w drugi.

Kupiec chciał go zachęcić do zabawy, i okręciwszy swą leciutką tancerkę, której spódnice z szelestem ułożyły się w kwiat i wywołały powiew niczym wiatr, zagadnął go:

— No i co, mości panie Klebe? Hej, hej! Hejże ha! Prosimy do nas, jest jeszcze na składzie tancerka! — Mówiąc wskazał głową pokojówkę.

Pan Klebe pogardliwie wydał czerwone wargi, które miał zwyczaj stale przygryzać, jak ognisty rumak wędzidło. Do głębi oburzony przywołał kupca do porządku:

— Co waść sobie myślisz? Człowiek na moim stanowisku? W takim miejscu? Tylko tego by brakowało!

— E, wielkie rzeczy, przecież i rajca miasta Lewoczy tańczy.

— On może — odparł imć pan Klebe, dumnie zadzierając głowę — bo cokolwiek by uczynił rajca, miasto Lewocza będzie stało w miejscu, na którym stoi. Cóż by się jednak stało z Molitoriszem, gdyby jego ludzie zapominali o powadze i należytej godności, z jaką winni się nosić?

Ta wymiana słów nie uszczknęła miłości własnej imć pana Klebego ani jego uwielbienia dla Molitorisza, ale za to przypomniała kotlarzowi o jego zaniedbaniu w stosunku do pokojowej. Trzeba na jego pochwałę przyznać, że niezwłocznie porzucił Magdalenkę i pospieszył do towarzyszki podróży.

— Oto jestem, do usług asińdzki! — wykrzyknął stając przed nią.

— A mnie tu nie ma — odpowiedziała przekornie i pstryknęła końcem paznokcia o zęby (miała białe, drobnutkie zęby, jak ziarnka ryżu), co w języku niższych warstw oznacza, że mu daje kosza. — Wracaj acan do swojej niedojrzałej śliwki!

Zrozumiała, że czuła się obrażona, zważywszy drobne poufałości, jakimi ją obdarzał przy stole. W tym gniewie wydała się kotlarzowi ogromnie pociągająca (twarz jej poczerwieniała, aż

zniknęły wszystkie piegi). Zatoczył się po otrzymanym koszu, jak cielak uderzony toporem w łeb. Z tej rozpacz objął worek dudziarza i zaczął z nim tańczyć, wirować, jak z dziewczyną. Przytulał go i kołysał, raz unosił, raz znów opuszczał, jakby go w czymś zanurzał, hop-hop, hop-hop, aż worek zmiękł i zaczął się wokół niego unosić delikatny biały tuman.

Denerwowało to Fabriciusa, ale cóż począć z pijanym? Wolał opuścić krąg tańczących i wraz z Rozalką przysiedli na ławeczce opasującej piec.

— Czyś się waćpanna nie zmęczyła? — zapytał.

— Wcale nie, tylko nogi mnie bolą.

— To znaczy, żeś jednak zmęczona.

— Skądże, co innego nogi, a co innego dusza. Stopy mam obolałe od butów, a dusza chciałaby jeszcze tańczyć.

Rzeczywiście było po niej widać, że doskonale się bawi. Na twarzy malowało się rozochocenie, a nie znużenie, w oczach rozmarzenie, a nie senność; było to jak kosztowanie pierwszych słodczy wiosny.

— Czy masz waćpanna ochotę jeszcze potańczyć? — zapytał po chwili Fabricius.

— Chcę, żebyś waćpan tańczył — odpowiedziała Rozalka. — Powiedziałam przecież, że mnie nogi bolą.

— To znaczy, że chcesz, abym odszedł?

— Chciałabym sprawić radość Magdalence. Nie tańczy teraz.

— Czy mniemasz, że ucieszyłaby się?

— Tak myślę.

— Później z nią zatańczę, jak przestaną wyrabiać głupstwa.

Na to można było długo czekać, bo głupstwa się raczej mnożyły. Zegarmistrz ocknął się z drzemki i zaczął czapką gasić wszystkie kaganki i łojówki rozmieszczone po izbie, tak że zrobiło się całkiem ciemno. Ktoś rzucił prastare żartobliwe hasło: „Wolno całować!”

Rozległy się piski i śmiechy. Fabricius usłyszał szelest spódnicy i domyślił się, że Rozalka odsunęła się od niego. Chcąc się przekonać, wyciągnął rękę w kierunku dziewczyny i nagle dotknął dwóch wyprostowanych obronnie rąk, jakby wideł nadstawionych w kierunku spodziewanego natarcia. Fabricius ujął jedną rączkę i zamknął w swojej dłoni, chociaż Rozalka usiłowała ją wyrwać.

— Hop, mam ją — szepnął. — Teraz wiem, o coś mnie waćpanna posądziła. Myślałaś, że zechcę cię pocałować.

— Puść waćpan moją rękę... Ojej, złamie się.

— Jeszcze nigdy nie widziałem złamanych dziewcząt. Ale przyznaj się waćpanna, żeś tak pomyślała. Dlatego wyciągnęłaś ręce, żeby się przede mną bronić.

— No... przyznaję.

— Znowu coś, na co nie zasłużyłem — powiedział z wyrzutem.

— Czy ja waćpana obraziłam?

— Prawdę mówiąc tak, ponieważ...

— Och, nie bądź waćpan dzieckiem... (Zabawne było, że dziecko strofuje pana rajcę, aby nie zachowywał się jak dziecko, on zaś wcale się nie czuł dotknięty, raczej odwrotnie.)

— ...uważasz mnie waćpanna za gburę nie znającego dobrych obyczajów — dokończył swoją myśl.

— Niemądrze waćpan mówisz, same głupstwa — potrząsnęła głową Rozalka i w ferworze dysputy zostawiła rączkę w dłoni młodzieńca. — Gdybyśmy chcieli dochodzić wszystkiego, dlaczego jest tak lub inaczej, to już raczej waćpan mnie obraził.

— Chciałbym wiedzieć czym?

— Powiem, ale poczekajmy, aż zapłoną znowu kaganki.

Ksiądz proboszcz i pan Klebe zabiegali o to, wreszcie udało im się przywrócić jasność.

Rozalka jednak wciąż zapominała o zabraniu rączki.

— No, teraz powiem. Obraziłeś mnie waćpan tym, żeś nie miał zamiaru mnie pocałować. A dlaczego? Pewnie dlatego że nie jestem dla waćpana dość ładna. (Zmarszczyła czoło, żeby brzydko wyglądać, czerwone usteczka paskudnie wyduła.) Gniewam się, mości panie rajco. Jestem obrażona, mości panie rajco.

Wykrzywiła buzię w tak ucieszny i rozkoszny grymas, że jej się nosek zmarszczył, a serce pana rajcy omal nie pękło z zachwytu.

Zapalono kaganki, a płomyki wcale się nie chwiały. Płonęły równiutko jak wyciągnięte kurze jęczyczki, chociaż jedno okno, to, przez które rzucano wydmuszki, było otwarte. Najlepszy obserwator, imć pan Klebe, wykrzyknął:

— Wiatr ustał!

Wszystkie oczy skierowały się na okno, spojrzeli także Rozalka i Fabricius. Widać było na niebie błyszczące gwiazdy, a łagodne balsamiczne powietrze niepostrzeżenie wślizgiwało się do izby.

Pan Klebe wystawił głowę przez okno.

— Nigdzie nawet chmurki — powiedział. — Co miało padać, już się wypadało. Cudowna, łagodna noc. Za chwilę wszędzie księżyc.

— To jest rozstanie — szepnął Fabricius, jakby go siły opuściły.

Rozalia nie odpowiedziała, tylko westchnęła. Młodzieniec i to zrozumiał.

— Widzisz waćpanna, to właśnie mnie boli, z tym się nie mogę pogodzić. Rozstaniemy się teraz i może nigdy się nie zobaczymy, nawet wieści od waćpanny nie otrzymam. Gdybym mógł zapomnieć... ale czuję, że nie potrafię. Będę o waćpannie myślał jak o zjawie albo postaci ze snu. To smutne. Człowiek ujrzy jakiś krajobraz, skałę, drzewo lub kwiatek, które przykują jego uwagę, albo gwiazdę na niebie; nie należy do niego, nie może jej zdobyć, nie może dosięgnąć, ale przynajmniej zachowa w pamięci, wie, gdzie się ona znajduje, i to daje ukojenie. Wszystko ma swoje miejsce i dzięki temu miejscu nie wydaje się człowiekowi takie niedosiężne. Tylko przelatujący ptak do żadnego miejsca nie należy, pozostaje wiecznie obcy. Wierzaj mi waćpanna, że nie chcę narzucania się ani pusta ciekawość mnie skłoniły, by w drodze wypytywać o rodzinę waćpanny i miejsce, skąd pochodzisz. Nie chciałem się wkradać w tajemnicę waćpanny, lecz dodać coś do własnej tajemnicy.

— Do tajemnicy waćpana? — wybąkała z roztargnieniem Rozalka, jakby bezwiednie.

— Tak jest, i ja mam tajemnicę. Widzę, że się waćpanna dziwisz. Czy mam ją wyjawić?

— Nie, nie! — zaprotestowała. — Nie chcę o niej wiedzieć.

Zarumieniła się po same uszy. Wiedziała, o co chodzi.

— Prawdziwy tyran z waćpanny! — przekomarzał się z nią Fabricius, ale w jego tonie można też było wyczuć nieco goryczy. — Widzę, że postępujesz o krok naprzód. Dotychczas sama byłaś niema, teraz zaś ograniczasz także moją swobodę wypowiedzi.

— Co do mojej skrytości, nie uważaj jej waćpan za kaprys. To smutna konieczność. Gdybyś znalazł jej powód, pożałowałbyś mnie. Ale nic na to nie można poradzić. Nie wspominaj mnie z gniewem. Pomyśl waćpan, że bawimy się w chowanego. Ja się ukryję, waćpan będziesz mnie szukał.

— Czy wolno mi szukać? — uchwycił się skwapliwie tej myśli.

— Proszę bardzo.

— A jak znajde?

Rozalka przechyliła główkę na ramię, jakby nagle złamała szyję.

— To będziemy się śmiać... jak w zabawie.

— I co? — dopytywał się Fabricius. — I co? — powtórzył jeszcze raz, nie otrzymawszy odpowiedzi.

— I... — zaczęła Rozalka, ale utknęła — i... i... Pan Bóg jest dobry — dodała cicho zamierającym głosem i przymknęła oczy.

Poczuła w tej samej chwili, że jakaś ręka dotyka jej ramienia. Niemal się zerwała. Była to ręka imć pana Klebego.

— Przebierz się, ptaszyno — powiedział serdecznie. — Pewnie odzienie wyszło, a niebo jest czyste. Ksiądz proboszcz już kazał zaprzęgać, my też wyruszymy w imię boże, tylko się rozejrzę na podwórzu, czy wszystko w porządku.

Fabricius, który w tej chwili życzył panu Klebemu, aby się raczej znalazł w piekle niż tutaj (przerwał im rozmowę w najciekawszym miejscu), niemal warknął na niego:

— Panny Rozalki nic to nie obchodzi. Imć pan Quendel pojedzie wtedy, kiedy sam zechce. Czyś waćpan nie słyszał, że odnalazł swoje konie?

— Owszem, słyszałem — odpowiedział pan Klebe z nutką obrazy, ale zarazem z dumą, akcentując każde słowo. — Widocznie jednak mości pan rajca nie słyszał, że łobuzy poprzecinali uprząż i w lesie pogubili rzemienie.

— Hm, istotnie o tym zapomniałem — przyznał mu rację Fabricius bez najmniejszej urazy, że mu wytknięto zbyt pochopny osąd, gdyż nad wszystkim górę wzięła radość, że jeszcze będą jechali razem.

Rozalia tymczasem usłuchała rady imć pana Klebego i wymknęła się z Magdalenką, żeby zmienić sukienkę.

Mimo wszystko minęła jeszcze dobra godzina, nim udało się zebrać całe towarzystwo i ruszyć w drogę. Na wschodzie niebo już poszarzało, chłodny wiaterek czochrał czupryny drzew i budził miliony leśnych stworzeń.

Droga do pierwszej wioski, Jabłonki, odbyła się bez żadnych szczególnych wydarzeń. Podróżni przeważnie drzemali. Do „Molitorisza” uwiązana była furka pana Quendla, do furki odzyskane dwa gniadosze; wąż był długi jak litania i tak niezwykle, że w Jabłonce obszczeły go wszystkie psy.

W Jabłonce pan Quendel zdobył uprząż (od żupana Svábyego) i mógł się już odłączyć od towarzystwa, co się niestety nie odbyło całkiem gładko.

Imć pan Klebe zażądał zapłaty za dwie osoby. Pan Quendel natomiast dowodził, że ani on, ani panna Rozalka nie jechali „Molitoriszem”, wobec czego zapłata się nie należy.

— Zgadza się, ale jednak furę waćpana ciągnął „Molitorisz” — upierał się przy swojej racji pan Klebe.

— Owszem, ale „Molitorisz” miał pełną liczbę podróżnych, dozwoloną przez władze — twierdził Quendel — ergo, nic nie stracił; ergo, nie może więcej żądać.

— Tak, ale pasażerowie „Molitorisza” musieli iść piechotą na to, żebyś waćpan mógł sobie na furce palić fajkę, niczym basza turecki.

Na wzmiankę o tureckim baszy pan Quendel się wzdrygnął, ale nie ustąpił; w takich drobnych podłościach był mistrzem.

— Owszem, ale *odium* za to podróżowanie piechotą spadło na moją głowę — odparował. — Teraz tylko tego by brakowało, żebym ja znosił nienawiść, a „Molitorisz” na tym zarabiał.

Słowo do słowa, i tak zagadał pana Klebego, że nie zapłacił nawet złamanego grosza. Posadził Rozalkę na tylnej ławeczce, sam chwycił lejce, strzelił z bata i mała furka zaturkotała na krętej drodze.

Podróżni „Molitorisza” spoglądali za odjeżdżającym nababem z mieszanymi uczuciami. Na

zakręcie Rozalka odwróciła się, pomachała na pożegnanie białą chusteczką, po czym ją upuściła. Chusteczka upadła w pył na drodze.

Fabricius podbiegł, bo przecież chusteczka była dla niego przeznaczona, podniósł ją i wsunął za pazuchę. Furka była już daleko. Bez kłopotów dojechała do Lewoczy. Plan odwiezienia Rozalki najpierw do siostry Quendel odrzucił, gdyż tyle osób widziało go z Rozalką, że trudno było robić z tego tajemnicę, Rozalka też już wiedziała, że jedzie z panem Quendem. Co będzie, to będzie.

Jeszcze tego samego dnia Rozalka została przekazana pannie Matyldzie Klöster i wieczerzę jadła na pensji wraz z innymi panienkami. Z początku nowe miejsce pobytu nie zapowiadało się przyjemnie. Wyczuwała, że towarzyszki spoglądają na nią nieprzyjaznym wzrokiem i ze złośliwymi chichotami. Nie wiedziała dlaczego, bo gdyby wiedziała, nie czułaby się taka przybita. Patrzyły na nią nieprzyjaźnie, bo była od nich ładniejsza, a złośliwie chichotały z powodu biednej sukieneczki z perkalu, okropnie wygniecionej.

Temu jednak łatwo było zaradzić. Pan Quendel zostawił dużo pieniędzy i wyjaśnił, że musieli nagle wyjechać, nie było czasu na pakowanie i zabieranie podróжных sepetów, a to z pewnych powodów (tu pan Quendel położył palec na ustach, co miało znaczyć, że o tym sza!). Panią jest córką jego przyjaciela, niejakiego pana Mihálya Otrókocsyego, który nie chce, by wiadano, gdzie przebywa. (Znowu palcem dotknął ust, co dla panny Klöster sprzyjającej kurucóm, równało się informacji, że pan Otrókocsy naraził się w sprawach politycznych.) Jeżeli trzeba będzie więcej pieniędzy, panna Klöster tylko do niego, Quendla, ma się zwracać. Paniąkę zaś należy zaopatrzyć po wielkopańsku we wszystko, czego trzeba, i strzec jej jak własnej córki, to znaczy, gdyby panna Klöster miała córkę. Jaka zresztą szkoda, że jej nie ma! (Niech Bóg zachowa! — broniła się z rumieńcem stara panna.) Jednym słowem, należy się Rozalką serdecznie zająć, gdyż jej ojciec jest możnym panem, gdyby mógł się swobodnie obracać, to jego ręka daleko by sięgała.

Panna Klöster lubiła wszystko wiedzieć, a jeśli nie mogła wiedzieć, to lubiła się domyślać. Dla przyjemności domysłania się chętnie nawet zapominała o tym, co wiedziała. Zapominała albo nie wierzyła. Domysł był jej ulubionym przysmakiem. Wiedzieć o czymś — to tylko ją zadowalało, a domysł — podniecał. Zastanawiała się, gryzła go jak pies szpikową kość, objadała tak dokładnie, że nawet mrówka by się resztką nie pożywiła. Teraz też panna Klöster dorwała się do swego przysmaku, otoczyła więc Rozalkę szczególnymi względami, jak ktoś, kto posiada pięćdziesiąt białych owieczek, a nagle znajdzie się wśród nich jedna pstra, i od tej chwili tylko tą jedną się interesuje — pozostałe pięćdziesiąt to tylko dodatek.

Do poleceń imć pana Quendla zastosowała się niezwłocznie i od następnego ranka biedna Rozalia została wzięta w obroty. Właściciele najróżniejszych sklepów mijali się w drzwiach przynosząc materie, płótna, koronki i wstążki. Najręczniejsze szwaczki dwoiły się i troiły, jedna mierzyła kibić, druga wycinała i zszywała papier, żeby potem według wzoru kroić materie. To będzie *wiest*, tamto *briestel*, z tego zrobi się *janker*, z tamtego *jopgen*. Wrzawa podobna do gęsiego gęgania towarzyszyła wybieraniu wstążeczek na przybranie spódniczki i fartuszka. Na pensji panny Klöster zapanowało istne trzęsienie ziemi. Jejmość sama wybierała dodatki, mówiła, jakie guzy przyszyć tu, jaką kokardkę tam, jaki pasek dać w talii. Wszystko się kręciło wokół Rozalki. Wychowanki podglądały, jak się Rozalka przemienia w modną panią, i teraz już przyjaźniej się do niej uśmiechały.

— Pięknie wyrosła — powtarzała panna Klöster — wdzięczne zadanie coś dla niej szyć. Starajcie się kochaneczki, żeby wszystko było dobre i śliczne, nie usiłujcie poprawiać Pana Boga, bo nie potrzeba, tylko baczcie, by podkreślić to, co jej dał. Takich zasad się przestrzega na pensji panny Klöster.

Rozalce wydawało się, że jest w raju. Podskakiwała, cieszyła się i w ciągu paru godzin tak przywykła do nowego domu, jakby zawsze tu mieszkała. Była przecież jeszcze dzieckiem, a te wszystkie fatalaszki miały do niej należeć! Czującym wzrokiem głaskała tkaniny i koronki i tylko jeden raz westchnęła, czemu te sukienki nie mogły być gotowe już wczoraj albo przedwczoraj.

Panna Klöster chyba czwarty raz zapytała:

— Czy jesteś zadowolona? Czy nie pragniesz jeszcze czegoś?

Rozalka stale odpowiadała:

— Jestem szczęśliwa, całuję rączki, wszystko jest bardzo piękne.

Jednak ośmielona serdecznością przełożonej nabrała śmiałości i na ponowne pytanie odpowiedziała (byłoby lepiej, gdyby nic nie mówiła):

— Nie mogę się pogodzić z tym kolorem. Wszyscy powiadają, że mi do twarzy w niebieskim, a nic takiego nie mam. Wszystkie sukienki są czarne. Nikt mi przecież nie umarł. (Widocznie jej nie powiedziano o śmierci cioci Darvasowej.)

— No tak, rozumiem — odpowiedziała panna Klöster wzruszając ramionami. — Ale cóż robić, kiedy w innych sukienkach nie wolno się w Lewoczy pokazywać. Kto chce inaczej się ubierać, musi się przenieść do innego miasta.

Otoczyły ją przyjaciółki, bo już je miała, młode dziewczęta łatwo nawiązują przyjaźń. Każda nowa dziewczynka to dla nich nowy sekret, a bardzo lubią sekrety. Od nich otrzymała wyjaśnienie:

— My też chodzimy w czarnych sukienkach, chociaż nie jesteśmy w żałobie po nikim bliskim. Teraz odwrotnie, ktoś musi umrzeć, żebyśmy mogły zdjąć żałobne stroje.

— To ciekawe — zastanowiła się Rozalka — a któż to taki?

— Pewien wielki pan, Pál Görgey, który zabił burmistrza Lewoczy. Całe miasto okropnie jest na niego złe i nakazano, żeby wszyscy mieszkańcy nosili żałobę tak długo, póki nie dokonają na nim zemsty. Niechby go już diabeł porwał, żebyśmy wszyscy nie musieli się męczyć. Tobie to nic, masz jasne włosy i do twarzy ci w czerni, ale co ja mam powiedzieć? Mam czarne włosy i po prostu ginę w swoich sukienkach jak mucha w maku. Ale co ci się stało, czemu płaczesz?

— Coś mi wpadło do oka — wyjąkała cicho.

Odruchowo sięgnęła po chusteczkę, ale jej nie miała: przecież ją upuściła na drodze przy wyjeździe z Jabłonki.

Opadła zdruzgotana na krzesło. Wiedziała co prawda, że ojca tu nienawidzą, ale usłyszeć to było ponad jej siły. Serce jej się ścisnęło, ręce i nogi zdrętwiały, miała wrażenie, że nie zdoła się poruszyć.

O Boże — pomyślała — gdybym miała balsam ciotki Kataliny, którym się smarowała, gdy zasłabła albo coś ją zabolalo!

W tej właśnie chwili weszła jedna z dziewcząt pokojowych trzymając w ręce złożoną chusteczkę.

— Imć pan Fabricius przysłał to dla panny Otrokocsy, waćpanna zgubiła tę chusteczkę na drodze.

Żywo się zerwała, krew zewsząd napłynęła do serca i przyspieszyła jego bicie.

— Tak, tak, to moja chusteczka — zawołała zdławionym głosem i sięgnęła po nią gwałtownie. — Kto ją przyniósł?

— Hajduk.

— Dziękuję. W porządku.

Duże myślące oczy pozostały szeroko otwarte z zachwyty: Odnalazł mnie, odnalazł. Święta Panienska wskazała mu drogę...

Wesoło nuąc, tanecznym krokiem przebiegła przez wielki pokój prosto na balkon, gdzie w

drewnianych donicach rosły róże. Teraz właśnie kwitły. O takiej sprawie tylko z nimi można rozmawiać. Róże rozumieją, jaki cud się jej przytrafił.

A przecież nie było w tym żadnego cudu. Jejmość panna Klöster niemal codziennie odwiedzała panią Fabriciusową, wdowę, która mieszkała o trzy domy stąd. Od dawna były przyjaciółkami i lubiły omawiać codzienne wydarzenia. Panna Klöster zaszła tam poprzedniego dnia i opowiedziała, że stary pan Quendel przywiózł jej nową wychowaną. Młody rajca zwykłą koleją rzeczy dowiedział się o tym od matki i zaraz posłał chusteczkę, żeby Rozalkę powiadomić, że zabawa w chowanego skończona — teraz oboje będą się śmiać.

Rozdział dwunasty

(NIESPOKOJNE LATA)

Nadeszły niespokojne, niedobre lata nie tylko dla miasta Lewoczy, ale dla całego ludu Scytów — jak to powiedział ówczesny kronikarz. No cóż, trzeba je przetrzymać, przemienia się przecież w lata piękne, jako że czasy są jak kobiety, z tą tylko różnicą, że piękne kobiety z czasem prawie zawsze brzydną, a czasy, choćby najwstrętniejsze, stają się piękne. Nie zawsze co prawda, ale często. Stroją się w nowe szaty powoli i niepostrzeżenie, aż nagle stają w pełnym blasku i oślepiają nas. Tak samo było za czasów kuruców. Rany, jakie nam zadano, stały się źródłem siły, a te, które myśmy zadali — różami. Bóg mądrze to sprawił, że ręka, która w słusznej sprawie sięga po broń, odrasta, nawet jeśli ją odrąbać, jak odcięte członki salamandry.

Na razie jednak panował jeszcze spokój. Palatyn, księżę Pál Eszterházy, albo jak sam się pisał: Eszterhás, siedział sobie spokojnie na swym zamku we Fraknó, pośród malowideł i wymyślnych sprzętów. Był to pogodny, sympatyczny starszy pan, prawdziwe wcielenie węgierskiego chłopskiego rozumu, z dodatkiem najróżniejszych nowoczesnych wiadomości. Przy tym prawdziwy wielki pan, ale nie pyszałkowaty, może trochę gwałtowny, ale sprawiedliwy, nieraz kapryśny, ale zawsze roztropny. Jego hasło to: „Zawsze do celu.” (Choć tym celem był przeważnie on sam.) Arbuzy jadł dlatego, że czyszcza nerki, ogórki dlatego, że pomnażają kwasy żołądkowe, jeździł konno, żeby tłuszcz nie obrastał serca, spał dlatego, że sen daje ciału siłę, a jak nie spał, to dlatego, że brak snu hartuje; jednym słowem, należał do tych zatwardziałych mężów stanu, którzy przywykli czynić wszystko, co im sprawia przyjemność, a zarazem uzasadniać to, co czynią, więc pod koniec swej kariery wpadają w błędne przekonanie, że czynią tylko to, co ma należyte uzasadnienie.

Potrafił nawet uzasadnić nieszczęsną ustawę o dziedzictwie tronu węgierskiego przez Habsburgów, która na wieki oddała naród w ich jarzmo.

„Dotychczas Habsburgowie wyzyskiwali naszą ziemię jak dzierżawca obce włości. Jeżeli oddamy im ją na zawsze, będą ją nawozić i ulepszać. Jak nie oddamy, to i tak nie dostaniemy jej nigdy z powrotem, więc już lepiej oddać.”

Może tak myślał, bo był rozumny, tylko nie przyszło mu do głowy, że Habsburgowie nie są mądrzy. Habsburgowie od tego czasu tak samo postępowali z naszym krajem, jakby byli tylko użytkownikami, wysysając z niego całą siłę i nawet nie myśląc o żadnym nawożeniu. Dwugłowy orzeł o dwóch dziobach był raczej nastawiony na żarcie, a nie na nawożenie. Jakiś ochłap co prawda rzucił, ale tylko jemu, Eszterházemu. Tytuł księżęcy i dominium kapuvárskie.

Zatopiony był właśnie w pisaniu swojej książki „O trofeach rodu Eszterházycy”, kiedy wszedł György Inkey, jego główny sekretarz (który jeden jedyny miał o każdej porze prawo

wstępu do księcia) i patetycznym głosem oznajmił zdumiewającą wieść:

— Ekscelencjo, wybuchła wojna, nieprzyjaciel wkroczył do kraju.

Palatyn dokończył zdania, które właśnie pisał. Postawiwszy kropkę strząsnął inkaust do kałamarza, wetknął pióro za ucho i dopiero wtedy się odwrócił.

— Gdzie jest?

— Pewien spiski szlachcic nazwiskiem Bibok, z banderii tamtejszego żupana, przywiózł tę wieść. Pędził co koń wyskoczy, najpierw był w Budzie, sądząc, że ekscelencja tam przebywa. Podobno młody Rakoczy stoi już na granicy polskiej na czele polskich oddziałów, a może już jest w kraju. János Görgey i Tamás Esze z mniejszym oddziałem, zaprzysiężonym na wierność Rakoczemu — co ów Bibok na własne uszy słyszał — udali się na jego spotkanie.

— *Canis mater!* — wykrzyknął palatyn. — Czy to wieść prawdziwa?

— Nie mam wątpliwości. Rakoczy wszedł na Węgry.

— No, to i wyjdzie — odpowiedział z humorem palatyn. — W każdym razie napisz waćpan raport do jego cesarskiej mości, ja podpiszę i niech natychmiast wyruszy kurier.

Spokojnie odwrócił się i pisał dalej.

Inkey zaś, jak tylko mógł najprędzej, napisał raport, ze wszystkimi szczegółami przytaczając całą historię. Konny kurier zawiózł list do Wiednia, zabrał też podanie zawierające uniżoną prośbę Zsigmonda Biboka, do którego dołączony był pisemny rozkaz żupana Pála Görgeya aresztowania brata, na dowód, że nie jest to żadna zmyślona bajka. W podaniu Bibok, padając do nóg jego cesarskiej mości, błagał, by go przyjęto w należytym mu randze do wojska lub w inny sposób przyznano odszkodowanie, gdyż chcąc jak najszybciej dostarczyć tak ważną dla cesarstwa wieść, dniem i nocą pędził konno nie szczędząc własnego zdrowia i porzucił korzystną służbę.

Na meldunek nadeszła szybka odpowiedź, którą przywiózł cesarski kurier. Kiedy zsiadł z konia na zamkowym dziedzińcu, koń padł.

Cesarz wzywał palatyna do natychmiastowego stawienia się w Wiedniu i jednocześnie do wręczenia człowiekowi, który dostarczył wiadomości, załączonej sakiewki złota. Gdyby ów poza tym na coś zasługiwał, niech palatyn według własnego uznania umieści go na stanowisku, do jakiego by się nadawał.

Książę był wściekły, że musi jechać do Wiednia, brać udział w nudnych konferencjach i naradach wojennych (takie przesiadywanie na zebraniach szkodzi na woreczek żółciowy), tym niemniej wydał polecenia co do podróży i w zamku wszczął się wielki ruch. Nie zapomniał też o Biboku. Przeczytał przysłane z powrotem podanie i załączony pisemny rozkaz pojmania Jánosa Görgeya, potem kazał przywołać Biboka, który przebywał we Fraknó, i wypytał go o wszystkie szczegóły — na wypadek, jak mówił, gdyby jego cesarska mość chciał się jeszcze czegoś dowiedzieć.

Bibok szczegółowo opowiedział o swoich odkryciach, w jaki sposób wybadał, że w skrzyniach jest proch i broń, jak się ukrył w piecu i słyszał, co mówił Esze, i jak odbierał przysięgę od zgłaszającej się szlachty. Potem, jak doniósł o tym żupanowi, który go wysłał na czele małego oddziału, aby pojmał Jánosa Görgeya.

— Czemu więc waćpan nie pojmał Jánosa Görgeya zgodnie z rozkazem?

— Bo mi przyszło do głowy, że większy będzie pożytek dla jego cesarskiej mości, jeśli bez straty czasu pospieszę z tą wieścią.

— *Canis mater!* A dlaczego wać pomyślałeś o jego cesarskiej mości? — zapytał książę.

Wokół jego bezwąsych warg igrał dziwny pogardliwy uśmieszek, który wcale się Bibokowi nie podobał.

— Bo szczerze miłuję jego cesarską mość — odpowiedział wznosząc oczy ku pięknym

freskom na suficie.

— Tak? Hm. No dobrze. Proszę, jego cesarska mość przysłała waćpanu tę sakiewkę złota za donos, a oto i pisma waszmości.

Skinął na jednego z halabardników przy drzwiach i przez niego podał Bibokowi papiery i zieloną jedwabną sakiewkę. Zawsze, ilekroć przyjmował tak zwanych małych ludzi, rozmawiał z nimi z dużej odległości i w drzwiach stali wtedy halabardnicy. Nie z braku odwagi, lecz ze względu na palatyńskie dostojeństwo.

Bibok wziął sakiewkę, skłonił się, przy czym starał się ocenić zawartość. Wydała mu się bardzo lekka.

— Mości książę — odezwał się postępując zuchwale do przodu — ja o co innego prosiłem. Dla przysłużenia się jego cesarskiej mości utraciłem służbę.

— Owszem, w rozkazie jego cesarskiej mości jest o tym mowa i ja to załatwię.

Twarz Biboka zaokrągliła się, w oczach zapłonęła radość.

— Niniejszym mianuję waści palaczem w piecach kancelarii — rzekł Palatyn — z tym uzasadnieniem, że obecna kariera waćpana zaczęła się od pieca.

— Jego książęca mość raczy żartować z unizonego sługi.

— *Canis mater!* Nigdy nie mam zwyczaju żartować z takimi ludźmi jak ty. I jeszcze nie skończyłem, bo na dokładkę dostaniesz dwanaście kijów, a to dlatego, że w myśl otrzymanego rozkazu powinieneś był pojmać Jánosa Görgeya, a tegoś acan nie uczynił. Rzekłem.

Bibok syknął jak wąż, któremu ktoś nadepnął na ogon.

— Protestuję, wasza książęca mość! Jestem szlachcicem !

— Jeżeli acan protestujesz, to kara zostaje zwiększona o sześć kijów. Szlachcic nie ma zwyczaju włamywać się do skrzyń i szpiegować przez dziury w piecu. Przysłać tu zaraz ochmistrza!

— Zwrócę się do samego króla.

— Za to jeszcze sześć kijów. Obawiam się, że bardzo dużo ich zbierzesz, więc lepiej, żebyś się stąd wyniósł.

Nie było żadnego ratunku. Na samym środku dziedzińca zamkowego zaaplikowano Bibokowi dwadzieścia cztery kije, po czym wściekając się i przeklinając przysiągł, że zemści się na potężnym palatynie (śmiała się służba, że próżno pchła chce kasłać, kiedy nie ma płuc) i choćby miał nogi po kolana uchodzić, dostanie się przed cesarskie oblicze żądając zadośćuczynienia za gwałt popełniony na szlachcicu przez cesarskiego zastępcę.

Próżno jednak dotarł do Wiednia, przed oblicze cesarza Leopolda nie udało mu się dostać. Jego brzydka, poorana bliznami twarz budziła nieufność, a odnośny paragraf Złotej bulli * poszedł w zapomnienie. Co prawda nie całkiem na próżno udał się do Wiednia, gdyż poznał tam polskiego starostę Lubomirskiego, który właśnie bawił w cesarskiej stolicy. Podczas hulanki w karczmie doszło do bójki między nim a trzema morawskimi szlachcicami siedzącymi przy sąsiednim stole. Bibok wiedział tylko tyle, że Polak jest starostą w Białej na polskim Spiszu, i wiedziony swym cudownym węchem stanął po jego stronie. Chwyciwszy krzesło pobił nim i wyrzucił za drzwi morawskich panów. Starosta z wdzięczności przyjął Biboka na służbę i we wszystkim mu dopomógł. Nie miał co prawda dość wpływów, by mu wyrobić audiencję u cesarza, ale przyjął go i wysłuchał wszechmocny kanclerz.

* Złota bulla – zbiór postanowień zabezpieczających szlachcie wszystkie prawa będące dotąd prawami magnatów. Ustanowiona przez króla Endre II w 1222r.

Wytworny mąż stanu, zrozumiałwszy przebieg sprawy i okoliczności, rzekł z ubolewaniem:

— Niestety, nie mogę waćpanu w niczym pomóc. Coś dostał, tego ani ja, ani jego cesarska mość nie jesteśmy w stanie odebrać. Poza tym, dobrze zważywszy sprawę, palatyn ma pewną rację i nie jest wykluczone, że jego cesarska mość przychyliłby się do tego poglądu, gdybym mu wszystko wyłożył, gdyż waćpan istotnie powinienesz być pojmać owego Jánośa Görgeya.

— Ale wówczas nie byłbym mógł tak prędko donieść jego cesarskiej mości o zamierzonym najeździe.

— Nic by się nie stało, gdybyś waćpan nie doniósł — zauważył kanclerz z bładym uśmiechem. — I bez tego Rakoczy wkroczyłby do kraju, jak to zamierzył. Co pomoże wiedzieć, że jest w drodze, jeśli i tak nie da się temu przeszkodzić? Natomiast gdybyś waćpan pojmał Jánośa Görgeya, to Rakoczy nie zjawiłby się w kraju z Jánośem Görgeym, tylko bez niego

Było to takie proste i prawdziwe, że Bibok się zmieszał.

— No tak, teraz widzę, że powinienem był go pojmać — mruknął raczej sam do siebie — ale skazać na chłostę szlachcica, to jednak nie przystoi... Albo jest szlacheckie prawo, albo go nie ma, tak pozostać nie może.

Kanclerz wrzucił ramionami i zaczął nerwowo drapać się w perukę (tak zwaną „*allonge*”, dzięki której każda owalna twarz upodabniała się do Ludwika XIV). Bibokowi w antyszambrze powiedziano, że gdy kanclerz zacznie się drapać w perukę, oznacza to koniec audiencji.

— Jeśli chodzi o Jánośa Görgeya — powiedział na swój butny sposób — to go schwytam wtedy, kiedy zechcę.

— Oto właściwe słowo — wykrzyknął z ożywieniem kanclerz. — Chętnie tego słucham. A zatem schwytaj waćpan tego Jánośa Görgeya, a wtedy ja gwarantuję ci wspaniałe zadośćuczynienie za doznaną obrazę.

Z tym mizernym rezultatem Bibok opuścił Wiedeń ze swoim nowym panem, starostą, w służbie którego utknął w Białej zostawszy tam „za Polaka”. Raz był kompanem swego pana, i razem hulali, kiedy indziej sługą, łajnym w obecności pozostałej służby. Nie miał określonej płacy. Raz pod wozem, raz na wozie. Nie miał też konkretnie wyznaczonego zajęcia: ujeżdżał pańskie konie i bił się za swego pana, kiedy tak się złożyły okoliczności. Narajał mu dziewczyny, jak panu staroście któraś wpadła w oko; czyścił fajki i strzelby, zabawiał i spijał mu gości i za to wszystko, miast płacy, mógł do starosty mówić per ty, kiedy widział, że jest w dobrym humorze. Tylko ten kuszący przywilej sprawiał, że znosił służbę u kapryśnego starosty Lubomirskiego.

Mimo wszystko jednak Bibok siedział jak na szpilkach. Dochodząca aż tutaj wrzawa bitewna nie dawała mu spokoju. W ciągłym podnieceniu utrzymywały go wieści o postępach Rakoczego, o jednej i drugiej wygranej przez niego bitwie, o przyłączaniu się coraz to nowych możnych panów, o zajęciu Siedmiogrodu, o ruchach na Zadunaju. W tamtych czasach wojowanie należało jeszcze do przyjemności, podobnie jak polowanie, rybołówstwo czy inne sporty. Starzy Węgrzy, którzy już nie potrafili sami wciągać butów z cholewami, a co dopiero władać bronią, przyłączali się do wypraw wojennych, aby z wojskiem dzielić trudy życia obozowego, biedę i przygody. Ci wojenni „kibice” niewiele pomagali sprawie, raczej przeszkadzali jak zawalidrogci, mieli zawsze dużo bagażu, wymądrzali się i wciąż paplali, podrywając dyscyplinę i utrudniając szybkie poruszanie się oddziałów. Ale nie było rady, nie można się ich było pozbyć. Dla nich obóz wojenny był czymś w rodzaju klubu. Spożywanie przy ognisku duszonej baraniny, rozważanie różnych planów i forteli, opowiadanie nieprzystojnych facecji, a wszystko to podlane jakimś rekwizowanym winem — oto najsmakowitsze przyprawy szlacheckiego życia.

Czyż można się dziwić, że Bibok przy swojej awanturycznej naturze, niespokojnym

temperamencie, gorącej krwi i nienasyconych namiętnościami marzył, by znaleźć się tam, gdzie można się przechwalać, grabić i gwałcić? Ale jak to zrobić? Strona cesarska, gdzie liczył na otrzymanie prawdziwej rangi oficerskiej za swoje doniesienie, paskudnie się z nim obeszała. Jeszcze teraz zgrzytał zębami, kiedy mu się przypomniiał palatyn, a zwłaszcza jego propozycja, by został palaczem. Taki go wstyd ogarniał, że nawet Lubomirskiemu się do tego nie przyznał. Nie mógł zatem się zgłosić do wojsk cesarskich. A jeszcze mniej do kuruców. Z labancami przynajmniej sam zamknął rachunki. Ale kuruce jeszcze się z nim nie rozliczyli. Gdyby pojechał do Görgő, toby go Pál Görgey przychwycił; do wojska zgłosić się nie mógł, bo wszędzie znalazłby się ktoś, kto by go zdemaskował i wyjawiał, że zaglądał do skrzyń Tamása Eszego i podsłuchiwał przez dziurę w piecu, że doniósł o wszystkim żupanowi, a co gorsza, porzucił oddział i zawiózł palatynowi wiadomość.

Jednym słowem, Bibok nie mógł się ruszyć w żadną stronę i w Białej cierpiał męki Tantalą. Gdyby chociaż nie wiedział o rozgrywających się bitwach! Ale w Białej wszyscy o tym mówili. Przecież to wciąż było ciało tej samej matki, chociaż już bez czucia. Stale zjawiali się w Białej kupcy, a także uchodźcy, których domy spalili labance albo kuruce. Ta ziemia zdawała się bezpieczna. Za polską granicę uciekali przed karą żołnierze, którzy coś przeszkrobali, dochodziły tu więc wszystkie wiadomości. A już doniosłych wieści nie potrzeba było na konia sadzać, zawsze jakoś dofrunęły. Ale i drobne, nic nie znaczące nowinki także się przesączały. Raz na miesiąc w gospodzie „Pod Psem Wyjającym do Księżycy” zatrzymywał się „Molitorisz”, a podróżni, woźnica albo rewizor (co pół roku imć pan Klebe we własnej osobie) opowiadali o donioślejszych wydarzeniach po tamtej stronie granicy. Pan Bibok spędzał z nimi wieczór i o wszystko wypytywał, szczególnie jeśli mu się udało przychwycić samego pana Klebego. Co słyhać w Lewoczy? Kto umarł? Która panna wyszła za mąż? Po czyjej stronie stanęło miasto? Klebe miał nie lada rozum, o wszystkim wiedział, nawet o wewnętrznych sprawach rady i o praktykach urzędu komitackiego.

- Czy wszyscy jeszcze chodzą w czerni?
- A jakże, nic się nie zmieniło.
- Kto jest teraz burmistrzem Lewoczy?
- Wciąż jeszcze imć pan Nustkorb.
- Widocznie niemrawy człowiek, nic nie chce zrobić.
- Zrobiłby, ale nie może.
- Görgeyowi, rzecz jasna, nawet włos z głowy nie spadł?
- Zdrow jak ryba.
- A więc od tego czasu nie pokazał się w Lewoczy?
- Owszem — roześmiał się Klebe — ukazał się jako zjawa. To zresztą zwariowana

historia. Nieboszczyk burmistrz Kramler, niech spoczywa w pokoju wiecznym, został pochowany przy kościelnym murze. Stary zakrystian Plech przechodził tamtędy któreś nocy, nie wiem już z jakiego powodu, i nagle spostrzegł w świetle księżycy, że grób burmistrza otwiera się, niczym rozwierające się na dwie strony drzwi pokoju Mikłósa Bloma, i ze środka wynurza się jakaś postać. Patrzył jak urzeczony i w blasku księżycy, który właśnie to miejsce oświetlał, zobaczył, że z grobu wyszedł nie burmistrz, a właściwie burmistrz, ale pod postacią Pála Görgeya... wzrost, chód i postura — wykapany Görgey, jeżeli wierzyć staremu Plechowi, który naturalnie zaraz uciekł szcękając ze strachu zębami.

- Chyba się staremu łgarzowi przyśniło.
- Powiedziałbym to samo, ale nocny stróż Zernyeczkzy także poznał Görgeya, jak szedł od strony katedry, i puścił się jego śladem. Zjawa przy domu Mauksa skręciła w ulicę Solną, stróż za nią, duch zaczął biec, stróż za nim, wreszcie duch dobiegł do baszty i przelał przez mur, dzielny

stróż zdążył go chwycić za połę, ale tylko płaszcz pozostał mu w ręku...

— Bzdura.

— Pewnie że bzdura, ale okropnie powikłana, gdyż ów szary płaszcz rozpoznał kasztelan Grodkovszky nazajutrz rano jako należący do żupana. Powiedział nawet, że szył go krawiec Stefeczi. Zaniesiono płaszcz do krawca. Ten przyznał, że on go szył, i to dla jego wielmożności żupana. No i bądź tu mądry!

— A do grobu nikt nie zajrzał?

— Ależ naturalnie. Rzecz jasna wcale nie był otwarty, tylko pięknie porośnięty murawą. A na wierzchu leżało kilka zeschniętych leśnych kwiatków.

— Kiedy to było?

— Mniej więcej rok temu.

W Białej starosta był tylko pewnego rodzaju urzędnikiem, który miał sporą władzę i szanowano ją, ale mieszkał tam także prawdziwy magnat, baron Pálocsay. Wszystkie ziemie dokoła na odległość trzech dni piechotą należały do niego. Poza tym był spokrewniony z całą węgierską arystokracją. Sándor Károlyi, generał kuruców, był jego szwagrem. Dawny król Polski Stefan Batory też był jego krewnym. Teraz panowała inna dynastia, ale stały gość jakiejś knajpy w dalszym ciągu zostaje jej klientem, choćby się firma zmieniła. Tak samo członkowie rodziny Palocsayów, kiedy zjeżdżali do stolicy, przyjmowani byli w królewskiej rezydencji. Z wielką serdecznością witali ich starzy królowie i królowe, a także królewskie dzieci. Któż to przyjechał? No, kto tu jest? Czy to wujcio Palocsay?

Palocsay z Białej nigdy jednak nie jeździł do królewskich stolic, bo nie miał pieniędzy. Skąd by je brał? Pieniądze ma tylko hulaka który trwoni to, co mu ziemia daje, albo też łotr, który je różnymi sposobami wyciąga z kieszeni uczciwych ludzi.

Palocsay nigdy niczego nie sprzedawał. Kiedy się zjawiali kupcy, żeby kupić wełnę lub zboże, z reguły prowadził z nimi długie targi, ale nigdy nie dochodziło do kontraktu. Jeśli bowiem już się zgodzili zapłacić żadaną cenę i trzeba było tylko przybić umowę, wycofywał się ostrożnym zwrotem: „Jeżeli to jest dla asana tyle warte, to i dla mnie też.” I tak zboże zostawało w spichrzu, i leżały w nim wołki. Jego woły, krowy i owce zdychały niemal zawsze śmiercią naturalną, dotknięte uwiędem starczym, i nawet ich skóry nie dawały żadnego pożytku, gdyż i one były dla Palocsaya tyle warte co dla innych, więc pleśniały na strychu.

Jako prawdziwy Węgier, cynik i człowiek o prostej naturze, niczym się nie zajmował. Włóściami zarządzali rządcy, tak jak to rządcy, o bieliznę dbała daleka krewna Vitnyédiowa, na obiady i wieczerze chadzał „Pod Psa Wyjącego do Księżycy”. Karczma należała do niego, więc uważał ją za swoją kwaterę główną, a że podróżni przybywali głównie z Węgier, czuł się tam w domu, wśród swoich, tam grał swoją rolę magnata przy cygańskiej kapeli w czerwonych dolmanach, każąc muzykantom wygrywać smętne węgierskie piosenki „z czasów Imrusia” i zajadając zupkę zacierkową z kminkiem, bo już był bardzo stary. Jadał przeważnie na borg „Pod Psem Wyjącym do Księżycy”, a we wspinałym rodowym pałacu kucharze, kuchciki i lokaje gotowali tylko dla siebie. On sam zjawiał się tam tylko na nocy spoczynek.

Wcale nie było źle, że spichrze Palocsaya pełne były przechowywanego od lat owsa i żyta, gdyż na Węgrzech nastały czasy dziwnego gospodarowania wywołane piorunami narodowego gniewu. Umilkło na wieżach bicie dzwonów, które dotychczas oplakiwały zmarłych, a teraz zeszły na ziemię, aby ich przysparzać — przemieniwszy się w armaty. Biała płachta siewcy, z której czerpie ziarno, stała się ścianą żołnierskiego namiotu, a kosy przekuto na szable... wszystko się wywróciło. Nie siano koniczyny ani żyta, lecz krew, bo żniwem miała być wolność... Toteż uszy lewoczańskiej rady miejskiej mile połaskotała wieść, że w Białej stoją pełne spichrze. Wysłano niezwłocznie najmłodszego i najstarszego rajcę, Antala Fabriciusa i

Ambrusa Mostela, z nakazem, aby nie spoczęli ni w dzień, ni w nocy i doszli do porozumienia ze starym baronem Palocsayem w sprawie kupna zboża. W ten sposób Lewocza zdoła w każdym razie przetrzymać zimowe oblężenie, jeśli nie więcej, i z pewnością nadejdzie pora, kiedy zawartość tych spichrzów większe będzie miała znaczenie dla Lewoczy niż dla barona.

Posłowie przybyli do Białej, ale baron nie chciał słyszeć o sprzedaniu zboża, nawet brzydtko zwymyślał siwowłosego rajcę Mostela.

— Cóż waćpan myślisz, że to zboże ukradł? Teraz miałbym je roztrwonić, kiedy nigdzie nic nie ma, choć potrafiłem wstrzymać się od sprzedaży, kiedy cały świat się w nim nurzał? Co mam, niech tu zostanie.

Kto wie, kiedy nadejdą i jak długo potrwają chude lata. Ile to zboże jest dla was warte, tyle samo warte jest dla mnie. *Punctum*.

— Ejże, przeciwko temu protestuję, albowiem to nieprawda — wykrzyknął młody rajca z ożywieniem, co wzbudziło zdziwienie barona. — Wielmożny pan baron utuczy tym zbożem najwyżej własny brzuch, a my wyżyjemy przez zimę żołnierzy księcia Ferenca Rakoczego; szesnastego listopada rozwarliśmy dla nich nasze bramy, oni zaś gotowi są za naszą wspólną ojczyznę przelać krew na basztach i murach Lewoczy. Za naszą wspólną matkę, która wielmożnego pana barona najbardziej rozpieściła, gdyż wykroiła dla niego największą część własnego serca...

Fabricius tak namiętnie wyrzekł te słowa, że go Mostel skarcił spojrzeniem, jakby mówił: „Ej, Toni, Toni.” Ale Palocsay roześmiał się i przywołał karczmarza Ferencsika:

— Słyszałeś asan, co ten młody panicz gada? Jakoby tylko własny brzuch tuczył. Może i racja. Jedno jest pewne, że z niego gbur, bo mi to prosto w oczy rzekł. Jakże się zwiesz, *humillime*?

— Fabricius.

— I cóż byś dał, pytam, za moje zboże? Pogadajmy.

— Pierwsze słowo niech wasza wielmożność wyrzeczce.

— No dobrze — zgodził się stary. — Żeby żadna strona nie została pokrzywdzona, oddam zboże miastu Lewoczy za tyle samo takiego samego zboża, jakie zabierze z moich spichrzów.

— Zgoda — powiedział młody rajca, przybijając dłoń magnata.

— Zaraz, poczekaj — mówił dalej baron wstrzymującym ruchem podnosząc rękę — jeszcze nie skończył. W pierwszych sześciu spichrzach za pałacem jest pszenica, najprzedniejsze ziarno siewne, takie samo jak pszenica z Banatu, na każdym ziarenku jest podobizna Matki Boskiej. W kontrakcie zastrzegam sobie, żeby na zwróconym mi ziarnie też była Matka Boska!

— A to co takiego? — zapytał zaskoczony Fabricius. Popatrzył najpierw na Mostela: na twarzy starego rajcy dostrzegł przebłysk zrozumienia. Musiał już coś podobnego słyszeć.

— Jak to, nie wiecie, co to jest Matka Boska na pszenicy? — roześmiał się baron. — Proszę, tacy są miastowi ludzie! Co powiesz, Ferencsik, na to? Nigdy nie słyszeli o pszenicy z Matką Boską. Ciekawe. Skocz no asan i niech który z oficjalistów wyda garść takiej pszenicy, tylko leć na jednej nodze.

Dwaj lewoczańscy rajcowie popatrzyli jeden na drugiego, mrugnęli do siebie i wymienili półgłosem kilka słów, w których ustalili, że lepiej uniknąć takiej skomplikowanej ugody ze starym baronem, bo stać go na różne fortele, ot proszę, teraz też chce, żeby mu zwrócili jakąś katolicką pszenicę.

Chociaż Fabricius bardzo cicho wypowiedział te słowa, to jednak określenie „katolicka pszenica” wpadło baronowi w ucho i spodobało mu się.

— Cha cha cha! Katolicka pszenica? No, czegoś podobnego sam Kolonich by nie

wykoncypował, a co dopiero ja. Możemy nie wstawiać do kontraktu Matki Boskiej, jeżeli się waszmościowie boją tych słów. Po prostu dorodna i zdrowa węgierska pszenica ma na jednym końcu ziarna coś jakby znamię... Zaraz sami zobaczycie. My, starzy gospodarze, dobrze wiemy, że tylko ta nadaje się na ziarno siewne.

— To wszystko bardzo pięknie, wielmożny panie baronie, ale ze wszystkich sytuacji najlepsza jest jasna sytuacja. Jako stary człowiek — mówił Mostel — nauczyłem się od dawnych Rzymian, że *clara pacta boni amici*, nieraz sam się o tym przekonałem. Dlatego najlepszy jest brzęczący pieniądz: Biorę towar — płacę.

— Owszem, owszem — zgodził się baron — ze mnie też jest stary człowiek, ale od Rzymian i bliźnich nauczyłem się nie tylko dobrego, ale i złego. Paskudny ze mnie skąpiec i do tego podejrzliwy. Choćbym nie wiem za jaką sumę sprzedał zboże, stale bym się turbował, czy kto inny nie dałby mi więcej, i ta myśl odebrałaby mi sen. Czy to by waszmościów ukontentowało, że ja nie mogę spać? Na dokładkę zółć by mi się mogła wylać, bo jakby Lewocza zapłaciła gotówką, to znaczy że zapożyczyła się u Quendla, a po co ma Quendel tyć na mojej pszenicy?

Tymczasem zdyszany Ferencsik przyniósł garść zboża. Obaj rajcowie przyglądali się zaciekawieni pojedynczym ziarnom: na tym końcu, z którego najpóźniej odrywa się plewa, zarysowana jest wypukłość, w której z pewną dozą fantazji można się dopatrzeć postaci Matki Boskiej.

— Ale jak możemy przyjąć warunek, że oddamy pszenicę z takim znakiem na każdym ziarnku?

— Czy moja pszenica nie jest taka?

— Zaiste, tak jest, ale przecież...

— Tedy niewielka sztuka takie samo ziarno oddać — dowodził baron.

— A jeśli wielmożny pan baron albo spadkobierca zażąda od rady miasta Lewoczy, aby przekazała pszenicę ziarnko po ziarnku dla stwierdzenia, czy na każdym jest znamię?

— Zaiste, byłaby to długotrwała praca, ale wtedy albo ja, albo mój spadkobierca musiałby odbierać każde ziarno osobno, a Lewocza nigdy by nie zwróciła długu, gdyż trwałoby to ze sto lat.

Stary był uparty. Przekonywali go na wszystkie sposoby, tłumaczyli, że to głupie żądanie, ale raczej pozwolił sobie ubliżyć, niżby odstąpił od swego. Zmuszeni koniecznością, podpisali w końcu kontrakt, w którym było zastrzeżone, że miasto Lewocza zwróci in natura baronowi László Palocsayowi tyle samo pszenicy i w takim samym gatunku, jaką teraz otrzymuje.

Polityka starego barona polegała na tym, że spodziewał się lada dzień (czuł to po kwitnieniu paznokci albo swędzeniu ucha) miłej karteczki z Krakowa, z Wiednia lub z Sárospataku, żeby swój zapasik zboża niezwłocznie, w zamian za urzędową zapłatę, dostarczył na poparcie szlacheckiego celu niejakiemu

X-owi lub Y-owi (tu wymienione byłoby nazwisko któregoś generała). W takim wypadku mógł się na zawsze pożegnać ze zbożem i pieniędzmi, gdyż otrzymane pokwitowanie z podpisem X lub Y nadawałoby się tylko do wojennych pamiątek. Poza tym jedna ze stron walczących dałaby pokwitowanie jako zapłatę, a druga, nic nie dostawszy, miałaby pretensje i zapłaciłaby po swojemu. Roztropniej więc będzie tego rodzaju zapasy sprzedać solidnemu obronnemu miastu, które się i po wojnie ostoi, ale nie brać od niego pieniędzy, gdyż na skutek wojny choruje najpierw zdrowy rozsądek, a potem pieniądz.

W gospodzie „Pod Psem Wyjającym do Księżyca” nigdy nie bywało tak wesoło jak owej zimy, kiedy wożono zboże. Wtedy to imć pan Ferencsik dorobił się podstaw przyszłego piętrowego domu. Dla Biboka też nastąpiły dni pełne radości. W szynkowej izbie zawsze siadywało z

dziesięciu albo i dwudziestu ludzi z Lewoczy, którzy na dalekiej obcej ziemi chętnie z nim gadali o domowych sprawach przy szklenicy dobrego czerwonego wina.

— Powiedz asan, jak tam jest teraz, czy miasto cięgiem chodzi w czerni? A co z huzarami w czerwonych portkach, azali im przyzwolono tak się odziewać?

— No cóż, nie było rady.

— Ale niewiasty chodzą w czarnych sukniach, co?

— Hm. Nic to nie szkodzi. Kuruce i pod czarnym potrafią znaleźć białe.

— A jak stoi sprawa z Görgeyem?

— Królowna nie umarła, tylko śpi.

— Czy komitat w dalszym ciągu urządza sejmiki w Görgó?

— Cięgiem tam skrzeczą.

— Ot, głupie ludzie, jeżdżą tylko po to, żeby skórę Görgeya ratować.

Tu jednak lewoczańscy ludzie zakrzyczeli Biboka. Wcale nie są głupi. Jest całkiem inaczej. Hej! Warto jechać do Görgó. Takiej austerii jak Quendłowska gospoda w Görgó nie ma chyba drugiej w całej Europie. Co tam się teraz dzieje! Nie tylko szlachta zjeżdża z całego komitatu, ale i sascy patrycjusze z Lewoczy. Kto chce wydać wesołe przyjęcie, urządzić chrzciny albo srebrne wesele, ten zaprasza gości do Görgó i wszyscy chętnie jadą, bo poza murami nie obowiązuje żaden zakaz i miasto nie ma tam władzy.

Tak sobie gadano w zimowe wieczory. Biboka ten temat szczególnie interesował, ale fantazja prostych przewoźników skierowana była na inne rzeczy, które dla Biboka nie były istotne. Oni zdumiewali się szczęściem Quendla, którego gospoda tak wspaniale się rozwija, że dzierżawcy wzajemnie się przelicytowują ofiarując coraz większą arendę. Quendel zaś tak tylko na wariata postawił tam gospodę, żeby zrobić przyjemność żupanowi. Ale to taki człek, że jakby do bagna wrzucił złoty pieniądz, toby wyrósł cały sagan pełen złotych monet.

Od dwóch panów rajców przybyłych do Białej Bibok niewiele się dowiedział, gdyż nie toczyli z nim rozmów o polityce miasta (mógł tylko z ruchów głowy i wzruszenia ramion tego i owego się dorozumieć), a z przewoźnikami i woźnicami furgonów zbożowych (czasem jakiś ratuszowy woźny z nimi przyjeżdżał) on znowu nie chciał dyskutować; dopiero podczas karnawału jeden z narożnych stołów „Pod Psem Wyjąłym do Księżyca” zamienił się w istny raj. Przyjechał „Molitorisz”, a z nim pan Klebe. Jednakże wóz tuż pod miastem zsunął się podczas zawiei w przydrożny rów i naprawa trwała trzy dni, tyle mieli roboty kowal i kołodziej.

Przez te trzy dni z lubością pochłaniali nagromadzony materiał polityczny, przemieniając go w życiodajny poncz popijany przy wieczery. Umysł imć pana Klebego działał jak bardzo precyzyjna maszyna; z niezmiennym zachwytem mówił o sławetnej saskiej rasie i jej przyszłej wielkości, a najbardziej zapalał się przy winie; po czwartej szklenicy zwykle wybuchał płaczem.

— Zaraza się wkradła w naszą rasę. Nie ma już nic.

Burmistrz, ten Nustkorb, to osioł, tylko nie mów waćpan o tym nikomu, bo nie chcę, by się o tym ode mnie dowiedziano; i tak każdy się dowie po jego czynach. Burmistrz czuje, że winien coś uczynić, ale nic nie czyni. Mieszczanie czują, że rada z nich robi wariatów, bo każe chodzić w czerni, i wszyscy się w głębi duszy buntują. Ale tylko w głębi duszy, gdyż dalej chodzą w czerni, a więc i oni też nic nie czynią.

— Aliści w ten sposób magistrat nie utrzyma długo swego autorytetu — zauważył Bibok.

— Ten autorytet jest już tak dziurawy jak stuletni kozuch zżarty przez mole.

— Azaliż nic nie uczynią?

— Szarpią się to tu, to tam, ale nie ma wśród nich dobrej głowy.

— Bardzo chwałą owego Fabriciusa, który tu jesienią przyjeżdżał do barona.

Pan Klebe lekceważąco machnął ręką.

- Z niego nie wyrośnie przywódca.
- Czemuż to?
- Bo się zakochał w węgierskiej panience.
- Skąd waćpan wie takie rzeczy?
- Sam wiozłem tego podlotka „Molitoriszem”, kiedym raz wracał z Budy. To były piękne

czasy. Hm. Kiedys opowiem waćpanu o sławnej wieczerzy u młynarza w Leskowej. Właśnie podczas tej jazdy zaczęła się ich miłość. Potem można było wypatrzeć dalszy ciąg w miejskim ogrodzie, na deptaku pod basztami i wszędzie, gdzie ta śliczna dziewczyna postawiła nóżkę. Nie dlatego to mówię, że to czy owo, ale tu mnie boli, synu (wskazał na własną pierś), na honor powiadam, tu jest rana, która krwawi, bo widzę beznadziejny los mego miasta. Nie o to chodzi, że coś nie tak idzie, jak by człek chciał, bo przecież Pan Bóg nie pozwala sobie dyktować, ale coś powinno się już stać, to pewne. Albo niech mieszkańcy miasta rozprawią się z magistratem, albo niech magistrat rozprawi się z Görgeyem jak pająk z muchą... Wszystko miało prawo się stać, tylko nie to, co się teraz dzieje. Dotychczas jedynie komitacka szlachta jeździła do Görgő, do Quendlowskiej gospody, ale od ostatniej jesieni w niedzielne popołudnia zaczęły tam jeździć mieszczańskie familie. Już na granicy miasta zdejmują czarne opończe nakładane na odzież dla obojczych i w kolorowych wytwornych strojach zabawiają się w towarzystwie oficyjerów. Wyobrażam sobie, jak się Görgey w kułak śmieje. Ze swego okna doskonale widzi, co się wyprawia pod drzewami wokół gospody.

Koło północy, kiedy serca się otwierały, to choćby rozmowa toczyła się o dalekich sprawach, zawsze powracali do „morskiego węża”, gdyż sprawa Görgeya była punktem wyjścia i osią myśli wszystkich mieszkańców Lewoczy. Ostrożny z natury pan Klebe rzucał krwawymi słowami jak rewolucjonista i groził światu strasznymi rzeczami, jeśli się nie poprawi i nie pójdzie za jego radami. To prawda, że sytuacja jest trudna, i nie byłby w stanie powiedzieć w tej chwili, jak należy postąpić, ale przecież nie jemu za to płacą. Wstyd spada na Nustkorba. Natomiast Bibok po takich słowach jakby niechcący zawsze coś wygadał i nawet nie taił, że zna pewne arkana, które umocniłyby pozycję Sasów, i to bez najmniejszego ryzyka.

Gadał i plótl, aż wreszcie pan Klebe zaczął baczniej się przysłuchiwać i zadawać pytania.

- O jakich arkanach wać gadasz?
- To już moja rzecz.
- A w jakiej lekarni to sprzedają?

— Nigdzie nie sprzedają. Wcale nie chodzi o pieniądze. Co mnie obchodzi Nustkorb? Albo w ogóle Lewocza i Sasi?

— Każdy, kto uczciwy, pomaga uczciwym.

Bibok wzruszył ramionami i zrobił jeszcze bardziej tajemniczą minę, co podnieciło ciekawość pana Klebego. Nerwy poczciwego człeka tak były podrażnione, że w pewnej chwili wybuchnął płaczem. Powtarzał, że nie przeżyje tego, iż drogi przyjaciel z Białej (to znaczy Bibok), którego tak lubi i szanuje, nie darzy go całkowitym zaufaniem.

Bibok się rozczulił i wyciągnął doń obie ręce.

— Drogi przyjacielu, kochany panie Klebe, nie bądź dzieckiem. Jeśli nie chcę ci wyjawić pewnych drobnych sekretów, to tylko dlatego, że nie chcę waści kłaść na barki spraw, które może zaciążyłyby ci na duszy.

- Hm, ale waćpan coś przede mną ukrywasz.
- Bo co dla jednego stanowi lek, dla drugiego jest śmiertelną trucizną.
- To nie jest dla mnie całkiem jasne.

— Przecież tylko tak sobie gadamy — zauważył swobodnie Bibok. — Człowiek długo myśli i krótko gada albo dużo gada i nic nie myśli. Winko rozwiązuje język, a czas ucieka; a

sprawy stoją tak, jak stały. To wszystko. ,

— Smutne, że tak jest.

— Cóż by jednak ludzkość zyskała, gdyby tak nie było — filozofował Bibok. — Ot, na przykład pognałbym teraz w sukurs radzie miejskiej Lewoczy, albowiem znam sposób, dzięki któremu zdobyłaby przewagę. No dobrze, ale jednocześnie kto inny mógłby pospieszyć na pomoc Görgeyowi, bo zna sposób, o którym tylko on wie — i znowu stalibyśmy w tym samym miejscu co poprzednio. Nie jest dobrze, jak się chce poprawiać rządzenia Opatrzności.

— Innymi słowy stanęliśmy na tym — rzekł z wyrzutem imię pan Klebe odsuwając swoje wino — że waćpan nic nie powiesz. Zatem chodźmy spać. Hej, panie Ferencsik, płacę.

— Wieczór jeszcze młody — odpowiedział karczmarz odwracając się.

— Lepszy sen niż puste gadanie — zauważył Klebe.

— Od wczesnego snu lepsze wino — licytował Bibok.

— Ja idę spać — upierał się Klebe.

— E, co tam, zostańmy jeszcze. Hej, Hans!

Hans, nowy sługa sprowadzony z Wiednia, przybiegł prędko i jął wypytywać:

— Co podać waszmościom, piwa czy wina?

— Wina — odpowiedział Bibok. — Siadaj waćpan, mości panie Klebe, jak mnie tak kusisz, to chyba powiem wszystko... A ty, żółtodziobie, jeszcze tu stoisz?

— We flaszce czy z beczki?

— Wszystko jedno, przynieś z beczki.

— Kwartę czy gąsiorek?

— Jasne, że kwartę, ty wole oko.

— Młode ma być wino czy stare?

— Stare.

— Białe czy czerwone?

— Jak jeszcze o coś zapytasz, to ci tak dam po łbie, że się na dwoje rozpadniesz i będzie dwóch Niemców.

Zjawilo się wino, napełnili szklenice i przysunęli się do siebie.

— Görgey to nie jest człowiek godny zaufania — zaczął szeptem Bibok — znam wiele jego grzechów. Nie zasługuje na zaufanie ani labanców, ani kuruców, bo służy diabłu. Co by waćpan powiedział, gdybym oświadczył, że kiedy János Görgey, kuruc, podążał na spotkanie Rakoczego ku granicy Polski, a żupan się o tym dowiedział, to wydał rozkaz pojmania własnego brata?

— To straszne — syknął pan Klebe.

— Prawda, że okropne? Tak waćpan mówisz. A co by rzekł książę Rakoczy, gdyby się o tym dowiedział?

— No, co najmniej skróciłby go o głowę.

— A co by rzekło miasto Lewocza?

— Z pewnością by odetchnęło i zdjęło czarne szaty.

— Ot co. O tym mówię, szanowny panie Klebe, do tego zmierzam. Że Lewocza zakończyłaby sprawę z Görgeyem i dalej spokojnie prowadziła własne interesy.

— Istotnie — odparł pan Klebe ochryplym głosem — gdyby taki rozkaz pojmania Jánosa Görgeya gdzieś był.

— Owszem, jest.

— Ale gdzie?

— Ja wiem, gdzie.

— A w jaki sposób można by go zdobyć?

Bibok oparł się łokciami o stół, na wielkich dłoniach złożył głowę i wykrzywiwszy usta od

ucha do ucha spoglądał na uczciwą, zdumioną twarz pana Klebego.

— Trzeba by ten papier kupić. Kiedy chodziło o życie — kupili życie od Palocsaya. Teraz mogą kupić śmierć od tego, kto ją trzyma w szkatułce. Gdyby tylko imć pan Nustkorb był mądry.

Klebe opuścił głowę i spoglądał na dym snujący się po izbie, który unosił jego myśli na swych błękitnych skrzydłach; wzrok tępo wlepił w okopcone ściany. Po jakimś czasie położył włochatą rękę na ramieniu Biboka i ochryplym głosem wyszeptał:

— U kogo się teraz znajduje ten papier?

— Zgaduj, mości panie Klebe.

— Czyżby u...

Bibok się uśmiechał.

— Tyle mogę rzec, że jest w złym miejscu.

— Wobec tego może się mylę, ale czemu to jest złe miejsce?

— Gdyż znajduje się bliżej wymienionego Görgeya niż Nustkorba.

— Hm, to istotnie niedobrze...

— Ale każdą drogę można naprostować, hm...

— A jaki jest ten rozkaz? Czy autentyczny? Czy własnoręcznie podpisany przez Görgeya?

— Nie ma na nim najmniejszej plamki, jest jak kwiat leliji.

Imć pan Klebe zaczął ziewać i przeciągać się, oczy mu się zwięziły w szparki, język z trudem się obracał, ale mimo to wyłożył swoje myśli:

— To ciekawe sprawy. Dziwni ludzie. A na świecie dzieją się różne ciekawe rzeczy poza „Molitoriszem”. No cóż, to wielka pchła, hm... Bardzo wielka pchła. Trzeba by ją wpuścić imć panu Nustkorbowi do ucha, co?

— Waćpan powiadasz, że pchła? — roześmiał się Bibok.

— No, tyle że ze złota. Tak, tak, ze szczerego złota. Dużo chyba waży, hej! Na ile waćpan oceniasz jej wagę?

Tego wieczoru nic więcej na ten temat nie zostało wyrzeczone ani też nazajutrz, ale że rozmowa pozostawiła ślad w głowie starego Klebego, widać to było po roztargnieniu, z jakim naradzał się z kowalem i kołodziejem, którzy naprawiali „Molitorisza”. Kiedy zaś trzeciego dnia żegnał się z Bibokiem, rzekł znacząco:

— Niczego nie twierdzą, gdyż nie odpowiadałoby godności mojej pozycji powiedzieć więcej niż tyle, ile właśnie trzeba, ale mniemam, iż wkrótce usłyszysz waćpan o mnie.

Imć pan Bibok zatarł ręce (które w tym czasie zdobne były w liczne pierścienie).

— Po prawdzie to nie siebie mam na myśli, tylko sprawę. O tym pewnie waćpan usłyszysz.

Bibok wzruszył ramionami.

— Usłyszę albo nie usłyszę, tego nie można wiedzieć. To zależy i od waszmości, i ode mnie.

— Jak to? — zapytał przyciszonym głosem pan Klebe. — Od waćpana też?

— Miewam czasem przytępiony słuch — oświadczył arogancko Bibok.

— To znaczy, że...

— Że wtedy należy o wiele głośniejszy krzyknąć — roześmiał się Bibok.

— Hm, dobrzem waści zrozumiał.

Pan Klebe z tym odjechał i do wiosny nie dał o sobie znać. Zresztą Bibok wcale nie był ciekaw jego osoby. Pędził teraz jedwabne życie. Coraz bardziej panował nad lekkomyślnym, wesołym starostą; wywiedził się różnych jego sekretów i tym go trzymał w garści, a nawet nim rządził; jednym słowem powodziło mu się w Białej jak pajakowi w osadzie pełnej komarów. Tej zimy bowiem Biała, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, przemieniła się w istny raj. Coraz to powstawały oddziały zaciężne, które przechodziły granicę dla przyłączenia się do wojsk

Rakoczego w obronie zagrożonych Węgier. Krew nie przemienia się w wodę, nawet serce porzuconego, opuszczonego dziecka ciągnie do matki. Król Zygmunt oddał Polakom w zastaw tylko ziemię, ale nie powietrze, które pozostało węgierskie, kiedy się oczyściło z miazmatów. Mężczyźni wyruszyli w świat, ale w Białej pozostały piękne mieszczki. Gdybyż tylko one! Ale w mieście, którego wojna nie dosięgła, schroniły się piękności z innych części kraju. Kto mógł, ten wywoził do Białej żonę, córkę i co tylko miał cennego. Było niemal tak jak przed stu laty, kiedy Ostrzyhom mieszkał w Komarnie, gdyż całe miasto tam się schroniło przed Turkami. Było dwóch burmistrzów, dwie władze, dwa kościoły, tylko cmentarz był jeden. Trzeba było się nim dzielić.

W Białej zebrano się niewiast tyle, że można by trzy miasta obdzielić, mężczyzn w sile wieku natomiast w ogóle nie było. Cmentarz nie był potrzebny, ale każdy mężczyzna miał wysoką cenę. Stąd owe pierścienie na palcach Biboka.

Poza tym ta cizba uchodźców dawała niezgorsze dochody. Starosta umiał się z nimi obchodzić. Stworzenie, gdy musi ratować własną skórę, chętnie pozwala się strzyc i oddaje trochę runa, starosta zaś miał do tego celu bardzo delikatne nożyce, aż przyjemnie było nimi pracować. A co na tym polu stało się wspólnym skarbem ludzkości, to w niejednym wypadku zrodziło się w głowie Biboka.

Bibok pozwalał co prawda staroście na zbieranie śmietanki ale dzięki własnym, coraz to wzrastającym wpływom potrafił sobie zapewnić niezgorsze dochody. W mieście tak dalece zdawano sobie z tego sprawę, że kto chciał cokolwiek uzyskać od starosty, przedtem musiał posmarować Biboka. Tak powszechnie w to wierzono, że w Krakowie ukazała się karykatura, która przedstawiała starostę Lubomirskiego w postaci muła w haftowanym czapraku i bogatej uprząży, z Bibokiem na grzbiecie. „Pod Psem Wyjącym do Księżycy” też ktoś powiesił podobny mizerny rysunek, co rozgniewało starostę. Kazał go spalić i ukarał imię pana Ferencsika grzywną. Karczmarz zapłacił pięćdziesiąt polskich talarów. Z tej sumy podobno piętnaście trafiło do kieszeni imię Biboka.

Bibok był panem, jego potęga dochodziła do zenitu. Kiedy pewnego pięknego wiosennego dnia przechadzał się po mieście ze starostą, na placu targowym zagadnęła go jakaś stara niewiasta mówiąc, że ma dla niego wiadomość z Lewoczy.

- Od kogo, babko?
- Od imię pana Klebego.
- I cóż mi kazał powiedzieć mój przyjaciel Klebe?
- Że dzwon na ratuszowej wieży w tych dniach się odezwie.
- Nic więcej?
- Prosił tylko, żeby i waszmość dał mu wiadomość.

Bibok gniewnie przygryzał wargi.

— Powiedz mu, babko, że Lewocza jest daleko i głos dzwonu tutaj nie donosi. I że mam teraz oba uszy zatkane bawełną.

Sięgnął do kieszeni i dał starej talara.

Lubomirski, który tego dnia był w złym humorze, zauważył zgryźliwie:

- Oj, Bibok, Bibok, w czymś niedobrym maczasz palce.
- Ja? Z czego to wnioskujesz?
- Nie może być czysta sprawa, o której ci donoszą w taki zakwefiony sposób, a twój respons jest równie przewrotny.
- Nie rozumiem, wielmożny panie.
- Ty byś nie rozumiał! Dobrze sobie. Ale ja rozumiem. To jasne, jaką bawełną są zatkane twoje uszy, przecież wiadomo, że w całej Europie ty masz najbardziej wyostrzony słuch.

— To po prostu taka kwiecista mowa. Wynik klasycznego wykształcenia, jakie otrzymują Węgrzy. Język Węgry i języczek pszczoły stale sięgają do kwiatów.

Starosta mimo to burczał, bo był okropnie zły. Poprzedniego wieczoru wrócił właśnie z Krakowa i skarżył się, że przegrał w karty. Wtedy z reguły bywał opryskliwy. Bibok nie przejął się za bardzo i pocieszał go:

— Postaramy się w domu to wyrównać. Jeszcze nie wyszło źródło, z którego płyną pieniądze.

Nieco później zaczęły jednak dochodzić z Krakowa bardziej niepokojące wiadomości. Kupcy i podróżni przybywający stamtąd twierdzili, że starosta przegrał wręcz bająnskie sumy, w Krakowie za ludzkiej pamięci niczego podobnego nie widziano. Ale i tym się Bibok nie zaniepokoił. Wiedział, że pieniądze się „zarobi”, na słowo honoru się zarobi. A przy tej pracy, choćby suma była nie wiem jak wielka, człowiek się nie spoci. Nic by zresztą nie było, najwyżej trochę nieprzyjemności, gdyby wieść o tej wielkiej przegranej nie doszła do króla. Król zaś lubił, by go uważano za dobrego króla (że też nawet królowie mają takie drobne ambicjki), więc wysłał do Białej wysokiego urzędnika, który miał spaść jak jastrząb i skontrolować starościński skarbiec. I to by jeszcze nie było nic złego, bo wysłannikiem był hrabia Stramoński, także znany jako namiętny gracz. Gdy się zjawił w Białej, zasiedli obaj ze starostą do kart, grali przez całą noc i Lubomirski uczciwie oskubał hrabiego. Nie można mu tego zresztą brać za złe, bo gdyby on został ograny, toby nie mógł przegranej zapłacić. Hrabia miał mu to za złe, czemu nie można się dziwić, gdyż weszło w zwyczaj, że przy okazji takich pieniężnych kontroli bezwarunkowo wygrywał. Jeśli jest taki narodowy zwyczaj, należy go szanować. I z tego niewinnego głupstwa wynikła cała bieda. Hrabia rewizor bowiem nie sprawdzał kasy, gdzie z reguły nigdy nie znajdował wiele więcej, niż miał nazajutrz zabrać jako wygraną, lecz zaczął grzebać w księgach i doszukał się, że starosta od piętnastu lat oszukuje państwo i króla.

Hrabia Stramoński narobił wiele hałasu, zawiesił pana starostę w urzędowaniu, opieczętował jego papiery i ruchomości, odprawił służbę, a wraz z nią i Biboka, który musiał się zaraz wynieść ze starościńskiej siedziby jako zły duch Lubomirskiego. Na miejsce starosty rewizor mianował tymczasowego zastępcę, sam zaś ze starostą jako więźniem udał się do Krakowa, gdzie począwszy od króla wszyscy byli zdumieni nie tym, że zostały popełnione nadużycia, ale że się wydały.

Od tej chwili sprawy Biboka zaczęły kuleć. Przez jakiś czas tkwił jeszcze w gospodzie „Pod Psem Wyjającym do Księżycy”, ale pozbawiony protektora i źródła dochodów powoli liniał; przedtem miał długie ręce dzięki władzy, teraz palce mu się wydłużyły, uwolnione od pierścieni.

Lubomirski, jak wiadomo, w pół roku później powrócił na swoje starostwo czysty jak lilia (powiadano, że cała historia była komedią zagrana przez niego i hrabiego Stramońskiego, gdyż w inny sposób nie zdołałby się pozbyć Biboka). Czy to prawda, czy nie, to nie ma znaczenia, natomiast faktem jest, że Bibok nie doczekał powrotu swego dobrodzieja, jakiś czas żył jeszcze na borg u Ferencika, a kiedy zabrakło pierścionków i możliwości pożyczek, na samym końcu zniknęła także owa bawelniana wata, która mu nie dawała słyszeć dzwonów dzwoniących w Lewoczy.

Bibok nie należał jednak do ludzi, którzy łatwo się poddają losowi.

Postanowił, że zdobędzie pieniądze, po czym na własny rachunek coś przedsięwzięmie. Zaświtało mu w głowie, że odszuka braci, gdziekolwiek by byli, po czym sformuje komput i będą wojować na własny rachunek. Czemu bowiem nie miałby się usamodzielnic? Do tego nawet najlichszy robak ma prawo. W ten sposób rodzą się fortuny, przygody, wodzostwa.

Na to jednak trzeba przede wszystkim dotrzeć do starego Klebego i zamienić rozkaz pojmania na gotówkę. Jest on przecież pieniądzem od czasu, gdy Klebe przekazał mu

wiadomość. (Chyba wtedy zwariował, że dał odmowną odpowiedź!)

Wszystko sobie z góry obmyślił, a miał nie lada talent organizacyjny. Kiedy się wynosił z opieczętowanego starostwa, uratował z własnymi rzeczami dość zniszczony strój, noszony przez pomniejszych polskich urzędników. Stanowiło to teraz pożyteczne przebranie, w którym śmiało mógł się puścić w podróż po Spiszu. Znano ten strój i nikt go nie niepokoił. Biedaczysko — mówiono i jeszcze dawano jeść i pić. O polskich urzędnikach powszechnie wiedziano, że mają tylko tyle, ile ukradną. A jak ma biedaczek kraść będąc w podróży?

Bibok chciał się dostać do Lewoczy. No tak, ale to nie było wskazane, to za ciasne dla niego podwórko. W Lewoczy bowiem panują teraz kuruce, mógłby się natknąć na jakiegoś niebezpiecznego znajomka i jeszcze oberwać. Poza tym niewygodnie byłoby na miejscu targować się o cenę, gdyby nie chciał wydać dokumentu, gotowi mu go siłą odebrać, nikt teraz nie dba o zachowanie form.

Inaczej mówiąc, nie może jechać do Lewoczy, a raczej nie może przekroczyć bramy miejskiej. No dobrze, więc dokąd? Bo przecież za murami miasta władzę sprawuje Görgey, teren jest zatem niebezpieczny. Ale przynajmniej rozległy.

Pomyślał o karczmie w miejskim ogrodzie. Z opowiadań Klebego wiedział, że w tym roku wziął ją warendę pewien rzeźnik z Koszyc, Péter Kárász, który poprzednio prowadził gospodę Quendla w Görög, ale wygryzł go stamtąd więcej dający arendarz. Do tego Kárásza postanowił się udać. Tam się przyczai, zanim ubije interes. W karczmie na piętrze są ze dwie izby dla przyjezdnych. Nawiaże znajomość z karczmarzem, pogadają sobie o sprawach i ludziach w Görög. Bibok dawno nie miał żadnych wiadomości ani o ojcu, ani o żonie.

Wszystko sobie z góry obmyślił i niemal tak się to odbyło.

Pewnego dnia o szarym brzasku stanął Bibok przed imć panem Kárászem i poprosił o izbę.

Karczmarz był Węgrem o dobrze zaokrąglonym brzuchu i zadzierzystym wąsie. Właśnie stał w sieni i patrzył na wschodzące słońce ziewając przy tym tak szeroko, jakby zamierzał je połknąć.

— Dzień dobry!

— A dzień dobry! — mruknął odruchowo pan Kárász. — O co chodzi?

— Proszę o izbę w gospodzie.

— Izbę? — zdziwił się karczmarz. — A niby po co?

— Bardzo jestem zmęczony.

Pan Kárász nawet nie odpowiedział, tylko ruchem krzaczastych brwi wskazał ławki stojące w ogrodzie.

— Rozumiem, ale chciałbym się przespać.

Teraz pan Kárász końcem cybucha machnął ku szmaragdowej murawie, gdzie stóg świeżego siana rozsiewał balsamiczne wonie. Nawet król chętnie by się tam przespał.

— Kiedy chciałbym spać w łóżku.

— Hm — zachnął się pan Kárász — możeś waćpan z cukru?

— Całą noc wędrowałem.

Teraz pan Kárász bacniej się przyjrzał podróżnemu i z uwagi na panujące niespokojne czasy poddał go badaniu.

— Waćpan co za jeden?

— Jestem Polakiem.

— Tylko?

— Chwilowo niczym innym.

— A czemu waćpan nie pójdzie do miasta?

— Bo nie chcę.

— A czemu waćpan nie chce?
— Nie asana to rzecz.
— Racja — przyznał pan Kárász i dopiero teraz jego niechęć ustąpiła. — Na jak długo chcesz waćpan zająć izbę?
— Na dwa albo trzy dni.
— Czyżby waćpan zamierzał tyle czasu w gospodzie spędzić?
— Owszem.
— Może waćpan ma tu jakieś sprawy?
— Mam.
— Właśnie tutaj?
— Tak.
— Co waćpan zamierzasz robić?
— Będę się starał ujeździć Szczęście.
— To i mnie waćpan zawołaj, jak pochwycisz kantar. Czyś waćpan przyszedł pieszo?
— Tak.
— Niestety, kochaneczku, nie mam żadnej izby, ale jeżeli nie pogardzisz małym śniadankiem, to zechciej je ze mną spożyć. Hej, Ewka, gołąbeczko, uwarz nam polewki z bryndzy! — krzyknął w stronę ganku.

Bibok niezadowolony drapał się w głowę, ale cóż miał robić? Śniadanie trzeba przyjąć. Od zmęczenia silniejsze było tylko uczucie głodu, na myśl o stawie miał ochotę rzeć.

Po słowach imię pana Kárásza w domu zrobił się ruch, po chwili on sam wszedł do środka i wyniósł na rękach małego chłopczyka.

— Kucharka jeszcze śpi, reszta służby także — powiedział. — Późno się pokładli, bo w karczmie zabawiali się oficyjerowie, kuruce. Święto było, dzień świętego Piotra i Pawła. Nim moja niewiasta uwarzy polewkę, ja muszę być piastunką.

— Najmłodszy? — zapytał Bibok.
— Jedyny. Nie ma drugiego.
— Niech go Bóg ma w swej opiece. Ale jakiś blady, mizerny...
— Ot, dlatego serce mnie boli. Od jakiegoś czasu dzieciak w oczach marnieje, z dnia na dzień chudnie i wciąż jest smutny. Chyba go złe oko zauroczyło.

— Nic na to nie robicie?
— Robimy, a jakże. Okadzaliśmy, odczynialiśmy uroki, moje konie nic innego nie robią, tylko przywożą znachorki i uczone niewiasty z całego Spiszu, a potem je odwożą do domu.

— Daj no to dziecko, mości gospodarzu. — I Bibok wziął malca na ręce, przyłożył ucho do piersi, obejrzał język, pomacał tętno.

— Nic mu nie jest, zdrów jest jak listek rozmarynu — orzekł.
— Oby niebiańskie *oraculum* przez usta waszmości przemawiało. Coś jednak musi być z nim niedobrze...

— Właśnie nad tym łamię sobie głowę. Coś jest, ale to nie jest w dziecku.
— Jak to waszmość rozumiesz?
— Weźmy na przykład listek rozmarynu, który czuć pluskwą. Przecież to nie jest zapach listka, tylko pluskwy, która po nim łąziła.

— Coś w tym jest — zgodził się Kárász. Widząc zaś, że z mądrym człekiem ma do czynienia, nie mógł się oprzeć i skoczył do piwnicy po flaszkę dobrego starego wina. Tymczasem Bibok zabawiał dzieciaka, pokazywał mu młynek z palców, gadał do niego, tak że wróciwszy z piwnicy pan Kárász zobaczył synka roześmianego i nawet jakby zarumienionego. (Ojciec nie musiał wiedzieć, że przybysz go parę razy uszczypnął w liczko.)

— Popatrz asan na malca, ledwie się w moje ręce dostał.

To rzeczywiście był cud. Błady mizeraczek klaskał na widok młynka i śmiał się.

— Daj! — wołało dziecko słabym głosem, wyciągając chudziutkie rączyny.

Przez ten czas uwarzono już polewkę na owczej bryndzy, sławną polewkę juhasów. Podawała ją chuda niewiasta o żółtej, wysuszonej twarzy i zapadniętej piersi. Kiedy zjedli polewkę i podała im jeszcze zimnego mięsa, wyszła. Zaraz po pierwszym stuknięciu się kubkami, Bibok przyjaźnie zapytał:

— Czy to matka dziecka?

Kárász skinął twierdząco głową.

— Czy malec z matką sypia?

— Tak, zawsze z matką.

— Oto i bieda. Od razu tak pomyślałem. Niewiasta nie ma zdrowego ciała. Dziecko powinno spać osobno albo też przy jakiejś zdrowej, mocnej dziewczynie służebnej. Małe ciało przejmuje siłę i barwę dorosłego ciała. Zając jest bury jak gruda, na której śpi, zielona żabka ma barwę liści, wśród których żyje. Przyjrzyj się asan, ot, na przykład, ludziom z cechu rzeźników i masarzy: prawie każdy rzeźnik i masarz jest tęgi, mocny i czerwony na gębie, a to dlatego że cały dzień przebywa wśród zdrowych zwierzęcych ciał.

Ten ostatni argument przemówił do Kárásza.

— Co to, to prawda. (Podał rękę Bibokowi.) Muszę rzec, żeś mi waćpan jasność w głowie uczynił. No tak, niewiasta słabuje, a taka z niej była ładna dziewczucha. (Aż mlasnął językiem nad tymi wspomnieniami.) No i kaszle. Spróbujemy. Mamy tu jedną tęgą dziewczuchę z Kieżmarku, aż się na niej ciało trzęsie, a twarz pali od gorącej krwi jak rozżarzone żelazo. Dziecko będzie spać przy niej. Jest i druga dziewczucha w kuchni, zgrabna jak łania... Niech mały na zmianę śpi raz z jedną, raz z drugą, niczym turecki królewicz. (Roześmiał się.) Trochę wcześniej chłopaczek zaczyna, co? Pokażę waści te dwie dziewczyny, rzeknij, która lepsza. Zaraz się zbudzą. Ale o cóż to jeszcze chciałem zapytać... jak się waść zwie?

— Antal Tropski.

— Ja się nazywam Péter Kárász — przedstawił się karczmarz, przy czym ponownie podali sobie ręce. — Aha, już wiem. Chciałem się zapytać, ale powiedz waść szczerze, czy chrapiesz?

— Nie.

— A kaszlesz?

— Nie.

— Na honor prawdziwie rzekłeś?

— Prawdziwie.

— No to zaprowadzę waści do izby.

— Do głowy mi nie przyszło, żeś waćpan taki krotochwilny — roześmiał się Bibok. — Mniemałem, iż nie ma tu w rzeczy samej żadnej izby dla podróżnych.

— Po prawdzie nie ma. A przynajmniej nie powinienem nikomu najmować, aleś mi waść dobrodziejem, wlałeś mi w serce ociupinę nadziei; jakem ujrzał, że malec się uśmiecha, tobym i koszulę z grzbietu oddał. Tedy zajmij waść tę izbę i wyśpij się do woli, mości panie Tropski.

Pośrodku budynku dobudowano „górną izbę”, jak wtedy nazywano piętro. Były tam wszystkiego dwie izdebki, do których od tyłu prowadziły schody. Przeważnie izby te zajmował sam karczmarz, jeśli miał większą rodzinę, ale i w czarnych księgach Polizei można o nich znaleźć wzmianki. Opowiadano sobie ze zgrozą, że z tych izb korzystały osoby mieszczańskiego stanu odmiennej płci, aby się w sekrecie spotykać. Nici niejednej miłosnej przygody tutaj prowadziły. Rada miasta już kiedyś postanowiła rozebrać nadbudówkę i dawno by tych izb nie było, gdyby mądrym słowem nie uratował ich stary rajca Mostel. Tak rzekł: „Zaiste, najlepiej

uczynicie, jak każecie spalić wszystkie łoża i piernaty, albowiem w nich dokonują się najbardziej niemoralne uczynki.” Wobec czego senat w umowach z arendarzami wstawiał paragraf, że izb w górnym rzędzie nie wolno używać dla bezbożnych celów.

Czy imć pan Mostel rację miał, czy nie, jeden Pan Bóg wie. To tylko jest pewne, że dróg miłości nie zagrodzą żadne rowy ni kałuże wykapanie przez hipokryzję. Amora nie można się pozbyć rozwalając jego siedziby. Trzeba natomiast przyznać, że owe dwie izdebki wraz z przypisywanymi im pikantnymi historyjkami nie były budującym widokiem dla młodych dziewczątek, które tu przychodziły na popołudniowe przechadzki. Takie młódki wszystko w domu słyszą. A jaki mają bystry rozum! Samo to, że wejście do izdebek znajduje się w zaniedbanej części ogrodu za gospodą, że rosną tam gęste krzaki i pnącza niczym w puszczy, dodaje im tajemniczości: „Pst! Sza! Na paluszkach!” — zdają się szeptać splątane zarośla. Zasłonięte firankami okienka, wyglądające na rozciągającą się przed budynkiem część ogrodu, kryją coś bezwstydnego, a pnące się po murze fiołkowe akacje wydają dziwną, zmysłową woń... A może tak się tylko wydaje?

Imć pan Bibok wyspał się jak należy w jednej z izdebek, rzuciwszy się na łóżko w butach i odzieży. Kiedy się zbudził, dochodziło południe. W ogrodzie było wciąż pusto, gdyż życie zaczynało się tu dopiero w porze poobiedniej; wybrał się najpierw na długą przechadzkę i rozważał, jak i przez kogo posłać wiadomość imć panu Klebemu; postanowił, że i on znajdzie jakąś starą kobietę, jako że sam diabeł, gdy boi się gdzieś pójść, posyła niewiastę.

Spotkał wkrótce staruchę (taką człowiek zawsze znajdzie na swej drodze), która zbierała różne zioła na leki i czary. Za kilka srebrnych monet zgodziła się udać do pana Klebego, którego znała, i przekazać wiadomość, żeby się wieczorem zjawił w miejskim ogrodzie, gdzie czeka przyjaciel z Białej, który przybył tylko po to, żeby usłyszeć lewoczański dzwon.

— Piękne to słowa, trzeba przyznać — uznała stara kobieta z szacunkiem patrząc na człowieka, który z tak daleka odbył pielgrzymkę w tak wzniosłym celu.

Była najwyraźniej wzruszona i z pewnością po drodze zechciałaby każdemu opowiedzieć, jakiego pocziwego człeka spotkała... że są jeszcze na świecie pobożni ludzie. Bibok przestraszył się i prędko wyjaśnił, że jest ludwisarzem w Białej i dostał zamówienie z Wiednia na odlanie dzwonu dla kościoła Świętego Stefana, który ma mieć taki sam głos jak dzwon w Lewoczy. Zaczął się nawet obawiać, że teraz kobiecie wszystko się pomiesza i nie potrafi przekazać jak należy wiadomości. Poleciał jej więc, żeby po rozmowie z imć panem Klebem wróciła tu i zdała mu sprawę ze swego poselstwa, a wtedy otrzyma drugą część obiecanej sumy.

Było to mądre posunięcie, jako że owej drugiej połowy pieniędzy pan Bibok w ogóle nie miał. Teraz zafrasował się, gdzie i co będzie jadł na obiad. Nie może się w karczmie zdradzić, że brak mu pieniędzy. Za miastem znajdowały się tu i ówdzie rozrzucone domostwa, kurne chaty (w owym czasie mało było chat posiadających kominy), ale należały przeważnie do bogatych mieszczan i mieszkali w nich parobcy i fornale pracujący na grochowych gruntach. Bez pieniędzy nic tam się nie da zrobić. Mimo wszystko niezbyt się przejmował własną sytuacją. Był do takich trudności nawykły jak leśne zwierzę. Tygrys, jeleń czy wilk nie ma własnego kucharza. Żywi się tym, co się nadarzy. Bydełko domowe, stojące przed pełnym żłobem, nie wie, co to znaczy...

Poszedł jednak w kierunku karczmy, a po drodze znalazł jeża. Hej, jest! Będzie obiadek. Jeż to świetny upominek dla chudego malca. Znowu zacznie się śmiać, a od tego śmiechu wszystkie saganki i kociołki zaskwierczą.

Zadowolony schylił się i wetknął jeża do kieszeni: „Chodź, brzydal!”

Był doskonałym znawcą ludzi i rzeczywiście dobrze kalkulował. „Mały brzydał” wyczarował wspaniały obiad, jako że mizeraczek łaskawie przyjął podarowane zwierzątko. Bibok w

odpowiedniej chwili zapytał, czy mógłby dostać obiad, na co imć pan Kárász oznajmił, że nie mają zwyczaju podawać w karczmie obiadów, gdyż goście zjawiają się dopiero po południu i wieczorem, ale chętnie go przyjmą tym, co dla siebie przygotowali, a chuda arendarzowa co żywo dodała jeszcze jedno danie, cynaderki z mózdzkiem.

Przy stole rozmowa potoczyła się przyjaźnie: Co słysząc w mieście? Czemu wszyscy chodzą tu w czerni? Jak się zachowują kuruccy oficerowie? Czy interes za murami dobrze idzie? Podobno imć pan Kárász był przedtem w Görgő?

Imć pan Kárász odpowiadał raz krócej, raz obszerniej, zależnie od tego, czy sprawa była dla niego miła, czy nie, zawsze używając ostrożnych ogólników, niczym biskup. Gdy rozmowa zesłała na Görgő, niemal zupełnie zamilkł.

— Asan miałeś w arendzie gospodę Quendla?

— Aha.

— Podobno świetnie szło?

— No, no.

— Co to za człowiek ten Görgey?

Kárász poruszył się niespokojnie.

— Czy waszmość bywał w Görgő?

— Nie, nigdy tam nie byłem, ale miałem kiedyś komilitona, który z tej wioski pochodził, i dużo mi o swoich stronach opowiadał.

— Tak?

— Nazywał się Zsiga Bibok — ciągnął gość. — Może powrócił do Görgő?

— Nie, ale mówiono mi, że to łotr i infamis, jeżeli o tym samym mówimy.

— To mnie dziwi — odpowiedział gość poważniejąc — gdyż ten, któregom znał, był ogólnie uważany za poczciwego człeka.

— Umknął z Görgő — stwierdził obojętnym tonem Kárász.

— Pewnie wróci w swoje strony — dopowiedział gość.

— Czekają już tam na niego wrony — rzucił karczmarz.

— Dlaczego wrony?

— Bo będą miały z niego pożytek.

— W jaki sposób?

— Bo jak wróci, to go powieszają.

Bibok wytrzymał tę przepowiednię bez mrugnięcia okiem, tylko odrobinę zbladł.

— Czyżby miał na sumieniu jakąś gardłową sprawę? — zapytał trochę zmienionym głosem, jakby niewidzialna ręka ścisnęła mu krtań. — Może świętokradztwo?

— Przeciwnie, same świętości praktykował, wciąż mu było za mało — krotchwilnie odpowiedział karczmarz.

— Nie rozumiem asana.

— Ten łotr dwa razy się ożenił, a małżeństwo to świętość, więc gromadził świętości, i w tym nie byłoby nic złego. Cała bieda w tym, że kiedy się drugi raz żenił, pierwsza żona jeszcze żyła, a teraz są tu obie.

Na twarzy i czole gościa pojawiły się krople potu.

— Niemożliwe — wyjąkał, ale zebrał się w sobie czując zdziwione spojrzenie karczmarza. — Kto by to pomyślał o tej kobiecie... chciałem powiedzieć, o moim przyjacielu Zsigmondzie! Coś podobnego!

— Taki go koniec czeka... (Tu pan Kárász palcem przejechał po własnej szyi.) — Wielmożny żupan wyraźnie zapowiedział, że powiesić każe tego Biboka na pierwszym drzewie.

— Okropne. Okropne... — mrucał Bibok do siebie. Pociągnął dobry łyk z zielonego

dzbaną, ale wino przestało mu smakować. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

— To prawda — zgodził się pan Kárász. — A jaki będzie tego skutek? Zamiast pomóc nieszczęśliwym kobietom, prawo jeszcze większej biedy im narobi. Teraz mają na dwie jednego męża, to znaczy, że jedna nie ma męża. Prawo zaś tak to naprawi, że i druga straci męża, więc *summa summarum* będą dwie niewiasty bez mężów.

Mówiąc spostrzegł, że gość zbyt się zasepił, spieszenie więc skierował rozmowę na co innego. Bibok jednak nie odzyskał humoru, po chwili zaczął się skarżyć na ból głowy i poszedł na górę do swojej izdebki. Imć pan Kárász nie mógł się go nachwalić wobec żony: „Jakiż to dobry człowiek z tego Tropskiego, aż mi przykro, żem go tak zasmucił sprawą Biboka, bo to jego dawny kompan.”

Do wieczora Bibok nie ruszył się z izby. Ale nie należał do ludzi, którzy łatwo ulegają przygnębieniu. No, czegoż miałby się obawiać? Tutaj nie wpadnie w ręce Görgeya. Jest od niego dalej, niż gdyby uciekł za morze. Tym niemniej trzeba się nieco mieć na baczności. Byłoby źle, gdyby go poznano. Jego pobyt w karczmie Kárásza stałby się niemożliwy.

Na dworze było duszno, nawet przez żebra okiennic letnie słońce mocno przygrzewało. Upał nie dał mu zasnąć, a pod wieczór wzmagające się hałasy, wrzawa, szczekanie naczyń i rozlegające się śpiewy przeszkadzały w snuciu dalszych planów. Z sąsiedniej szopy wynoszono coraz więcej stołów i krzeseł na otwartą przestrzeń przed karczmą. Półkole utworzone przez obsadzone gośćmi stoły rozszerzało się z każdą chwilą. Imć pan Karász i kilku młodych pomocników, wszyscy złani potem, choć bez kurtek na koszulach, uwijali się między stołami roznosząc wino i piwo. Obie dziewczyny służebne podawały pieczone mięso, którego przyjemny czosnkowy zapach dochodził aż do Biboka, przyglądającego się przez szpary w okiennicy pstrej gromadzie. Dobrze wypasieni mieszczanie zbili się w pobliżu kręgielni i przy akompaniamencie głośnych wiwatów obalali kręgle. Ktoś stuknął dziewiątkę i kazał przynieść antałek piwa. Właśnie z radosnymi wiwatami odbito czop. Dorodni huzarzy spijali różne wina z olbrzymich dzbanów. Był wśród kuruców nawet generał Andrassy (Bibok go poznał) w otoczeniu innych wyższych oficerów, twarz miał od trunków tak czerwoną jak szkarłatne sukno. Karczma i jej otoczenie stanowiły wesoły obraz, pełen życia. Przy każdym długim stole, gdzie zebrała się większa gromada, bez przerwy wznoszono toasty, poprzedzane nie kończącymi się oracjami. Z tego można było poznać, że ci przemawiający żołnierze są w rzeczywistości sędziami trybunałów przebranymi za żołnierzy. Nieco dalej, w pobliżu kęp kwiatów, zebrał się krąg gapiów spośród co ciekawszych mieszczan, którzy przyszli tylko na przechadzkę. Ci z zachwytem patrzyli na rozbawionych wojaków. Wśród widzów były też odziane w czerń matrony i panienki ze swymi guwernantkami, łobuziaki z terminu i czeladnicy, skąpi mieszczańscy patrycjusze, którzy grosza z garści nie wypuszczają, żeby cokolwiek wypić w karczmie, bo przecież taniej kosztuje przynieść wino do domu. Tutaj przychodzili tylko odetchnąć świeżym powietrzem wśród zieleni, jak mówili o miejskim ogrodzie.

Imć pan Kárász dorwał się do kopalni złota. Istotnie miejski ogród doczekał się złotych czasów. Pod wieczór schodziło się dosłownie całe miasto, gdyż spędzanie tu wieczoru weszło po prostu w modę. Przepowiedział to już poprzedni ogrodnik miejski, Tamás Mulzinger, któremu rada miasta robiła wymówki za to, że rosną tam same pospolite kwiaty, jak malwy, rozmaryn i mięta, że nie stara się zdobyć nowych gatunków dla podniesienia zainteresowania ogrodem. Rada miejska nawet uchwaliła czterdzieści forintów na sprowadzenie cebulek z Homonny, Terebeszu albo nawet z kraju Holendrów, jeżeli na to starczy pieniędzy, ale Tamás Mulzinger tylko kręcił głową i jeszcze na łożu śmierci półprzytomnie powtarzał: „To nic nie warto. Musi przyjść samo z siebie. Trzeba poczekać, aż w ogrodzie zakwitną huzarzy.”

Wtedy brzmiało to jak majaczenie w agonii, a teraz proszę, sprawdza się! Ależ mądry był ten

Mulzinger!

Lewocza ze szczególnym uniesieniem przyjmowała kuruców, gdyż bili się o wolność, a w tym była też wolność wiary, za którą lewoczańscy Sasi wszystko by oddali. Niewiasty zaś dlatego za nimi przepadały, że byli piękni, one zaś, od czasu sprawy Kramler—Görgey, okropnie się wypościły. Uprzykrzyły im się żałobne stroje, na mdłości się zbierało od czarnej barwy, nic więc dziwnego, że coś je kłuło koło serca na widok czerwonych portek i żółtych kurdybanowych cholew.

To, że wojsko lubiło popijać, jak zresztą w owych czasach prawie wszyscy, nie nie przeszkadzało. W czasie wypraw wojennych, w życiu obozowym, kiedy nie ma porządnego kucharek, gorzałka podtrzymuje ducha. Zresztą całe życie na Węgrzech toczy się pod tym znakiem. Góry dają żelazo i wino: człowiek żelazem i winem pracuje. Doliny i łąki należą do zwierząt. Wszyscy sławni ludzie tego okresu dużo pili. O Imrem Thökölym powiadano, że przy uroczystych okazjach potrafił sam wypić niezgorszy antałek wina, chyba ze sto kwart. Imć pan Mihály Apafi tym się wsławił, że wszelkie wydawane przez niego po obiedzie rozkazy uważało się za niebyłe. Palatyn Eszterhazy kazał sobie na noc stawiać przy łóżku szklenicę wina. Jenerał Andrassy często spraszał do siebie znanych z mocnych głów pijaków i razem pili, póki wszyscy goście nie leżeli pod stołem. Była to era pragnienia, najdłuższa, gdyż trwała kilkaset lat. Wszystko było słomianym ogniem, tylko miłość do wina wykazywała przedziwną stałość. Poeci i pieśniarze śpiewali chwałę wina. Chorzy na różne dolegliwości leczyli się winem. Na ciężkie choroby pito ciężkie wina, jak tokajskie maślacze, na pomniejsze niedomagania wystarczały soki pospolitszych gatunków. Po co do wróbla strzelać kartaczami? Bohaterowie idą podchmieleni do bitwy, a po bitwie piją na umór. (Kto ma przy sobie manierkę, ten i podczas bitwy pociąga.) Zresztą drzewo genealogiczne win też się rozrosło i kwitło. Gatunki wina oznaczano nie tylko według górskich okolic, z których pochodziły, jak to się teraz czyni, lecz narodowy smak rozróżniał wiele subtelnych odcieni; było wino pałacowej barwy (siller), obrokowe, księżowskie, niemieckie (kwaskowate), mszalne (wyśmienite), pisarskie, o smaku dzikiego bzu, tureckie ciągnące, maślacz i wiele innych. Rzecz jasna, do takich rozgałęzionych winnych rodzin trzeba było odpowiednich okazji (długie noce i imieniny albo godzenie się po bójce). W podobny sposób rozmnożyły się dla zrównoważenia pijackiego bezwładu ceremonie i toasty: zwyczajne „na zdrowie” („zdrówko waćpana”, „w ręce waćpana”), kosztowanie, picie towarzyskie, picie na braterstwo, na pożegnanie, strzemienne, kielich ponaglący i na przypieczętowanie kupna-sprzedazy itd. itd. Było to tak zmyślnie wykoncypowane, żeby człowiek nigdy nie mógł przestać i nigdy się nie znudził.

Bibok, także urodzony hulaka, nie bez pewnej zazdrości spoglądał na rozbawionych wojaków, którzy z coraz węższymi oczami, ale z coraz większą fantazją, w stadium tak zwanego *amabilis confusio** szumieli, gestykulowali, czkali, wymachiwali rękami i zataczali się przed karczmą. Hej, gdybyż i on był wśród nich! Bo cóż, to jest dopiero piękne życie!

Chociaż nie przypuszczał, by imć pan Klebe już nadszedł, postanowił wyjść mu naprzeciw drogą wiodącą do miasta albo też i poczekać gdzieś na uboczu. Czapkę nasunął głęboko na oczy i zaczął schodzić po drabiniastych schodkach, u stóp których siedziała młoda piastunka z mizernym dzieciakiem zabawiając go wierszowaną bajeczką. Chłopaczek słuchał i gałązką wiklinową szturchał jeża.

Kogut, kwoka, sześć kurczątek,
To bajeczki jest początek.

* przyjemnego podniecenia (łac.)

Potem ciełę obok krowy,
I już doszłam do połowy.
Wreszcie kot i myszka mała,
Oto jest bajeczka cała.

Piastunka była jeszcze dziewczynką, zgrabniutką i miłą. Twarz miała o nieregularnych rysach, ale przyjemną dla oka, z zadartym noskiem i brwiami zrosniętymi nad wielkimi jak u sarny oczami, z wysokim wypukłym czołem i włosami jasnymi jak len.

Bibokowi wydała się miła, ale szczególnie pociągający był polski akcent, z jakim recytowała niemiecką bajeczkę. Toteż zagadnął ją po polsku:

— Czemu nie opowiadasz małemu Kárászowi bajeczki po węgiersku?

— Nie umiem po węgiersku — odpowiedziała dziewczynka, podnosząc łagodne spojrzenie na potężnego mężczyznę, którego widziała w południe, kiedy jadł obiad z gospodarzem.

— Skąd jesteś, asanno?

— Z Görgő — odpowiedziała, uśmiechając się na wyraz „asanno”, który wypowiedział po polsku.

— Z Görgő? — powtórzył Bibok z mimowolnym odruchem zdziwienia. — A jak się nazywa twój ojciec?

— Zsigmond Bibok — odpowiedziała smętnie.

Poczuł, jakby potężna pięść ugodziła go w samo serce. Zatoczył się i ledwie mu się udało zejść ze stromych schodków. Uciekać, musi stąd uciekać, bo jak ta mała jeszcze raz spojrzy na niego, a on na nią, to Bóg jeden wie, co się stanie. Tchu mu brakło. Poczuł przyspieszone bicie serca i ból w krzyżu. Łatwo było wszystkiego się domyślić. Ta mała, która przybyła tu z Krakowa z matką, jest jego dzieckiem. W jakiś czas potem, jak porzucił tę Polkę, dowiedział się, że powiła bliźnięta, dwie dziewczynki, ale ich nigdy nie widział i nie słyszał o nich. Reszty też mógł się domyślić. Jeżeli matka oddała córkę do służby, to znaczy, że są w biedzie. Nawet takiego człowieka jak Bibok ta wiadomość zbiła z nóg. Z ponuro opuszczoną głową powłókł się w odludną część ogrodu, gdzie mało kto chodził. Słońce nawet ze skały wyciąga źdźbła trawy, a uczucie ojcostwa jest niewiele mniejszą siłą. Zaczął teraz snuć plany, że jak otrzyma od miasta dużo pieniędzy za posiadany dokument, to znaczną ich część przeznaczy dla tego miłego dziecka. Te myśli stopniowo uśmierzyły wyrzuty sumienia.

Wzdłuż wysypanej żwirem alejki stały drewniane ławki, ofiarując zmęczonym odpoczynek. Tylko gdzieniegdzie umieszczono wielkie kamienne ławy pod rozłożystymi lipami, kasztanami i platanami. Ich ozdobą były wyryte napisy w języku niemieckim, czasem dowcipne, czasem filozoficzne, czasem tylko pomysłowe. Niektóre ławki były wręcz sławne. Przy stawie znajdowała się na przykład „ławka uczniowska”: „Otwórz tu książeczkę, poucz się troszeczkę.” Na miejscu przeznaczonym dla starców taką wyryto sentencję: „Niech zmęczony starzec chwilę tu zabawi, a pieniądze miastu swojemu zostawi.” (Była to, jak widać, subtelna aluzja.) W parku stała też ławka zakochanych z takim ziębiącym zdaniem: „Bóg wszystko widzi. Mama wszystkiego się dowie.”

Bibok usiadł w ustronnym miejscu, w pobliżu wejścia od strony miasta. Gałęzie starej lipy sięgały tu niemal ziemi i zasłaniały siedzącego, ale on sam przez jakąś szparę miał na oku wszystkich wchodzących, tak że pana Klebego mógł od razu spostrzec. Tutaj także stała kamienna ława, przeznaczona dla lewoczańskich mieszczan: „Lepiej stać niż chodzić, lepiej siedzieć niż stać.” Ale te głupstwa w najmniejszym nawet stopniu go nie bawiły, znał je zresztą z

dawnych lat. Siedział sobie czekając zachodu słońca, gdyż nie liczył na wcześniejsze przybycie pana Klebego. Myślał teraz o małej piastunce i usiłował w wyobraźni odtworzyć jej rysy (Och, trzeba było przynajmniej zapytać, jak ma na imię!), ale ilekroć mu się zdawało, że już, już stoi przed nim, nagle przy ostatnim szczególe wizerunek się rozpadał, jak pęka bańka mydlana, po której nic nie zostaje.

Niedługo się cieszył samotnością, gdyż po chwili przysiadł się gadatliwy staruszek, który na wszelkie sposoby usiłował nawiązać rozmowę. Usta mu się nie zamykały, gadał, co mu ślina na język przyniosła, i to bez sensu, bo sam sobie przeczył w następnym zdaniu.

— Mamy piękne lato, mociumdzieju, chociaż mogłoby być ładniejsze, te ciągłe deszcze wcale mi się nie podobają. Wciąż trzeba moknąć. Biedni są żołnierze w obozie wojennym. Oj, oj. Ale przecież człowiek to nie chomik. Czy nie prawda? Jeżeli o to chodzi, to ziemia wcale nie nawilgła. Wczoraj chciałem wbić palik na swoim podwórzu... a mam ładny domek na ulicy Garncarskiej, otóż wyobraź sobie waćpan, że o parę cali od powierzchni ziemia jest jak kute żelazo. Można powiedzieć, że panuje susza.

W tym momencie powstało jakieś zamieszanie. Z różnych krętych alejek ludzie spieszyli ku miejscu, gdzie siedział Bibok. Wkrótce się okazało dlaczego. Panna Matylda Klöster zjawiała się ze swymi wychowanekami, a to było zawsze sensacją. Śliczne panienki ze szlacheckich rodów, uroczyste kwiatki z diabelskiego ogrodu, budziły zachwyt patrzących. Nawet stare serca mocniej biły na ich widok.

— Waćpan nie jesteś tutejszy, prawda?

— Nie.

— Widzę to, gdyż nie nosisz czarnego stroju. Ale nam się dostało. Pod rządami takiego tępego magistratu. No, ale po tym, co teraz waćpan zobaczysz, to ci się zda, żeś do rajy trafił.

Zaszeleściły spódnice, jakby stado ptaków wzbilo się w górę. Rozszedł się łaskotliwy zapach pelargonii i chłodny wietrzyk zakotłosał lipowymi gałęziami, ale mimo to człowiek miał wrażenie uroczystej ciszy, która nagle zapadła w przyrodzie, tak, że słyhać było tylko stukot piętnastu par trzewiczków na żwirowej alejce, i sam ten stukot zdawał się muzyką.

Cisza? Wcale nie, bo wrzawa przy karczmie nabrzmiała do nieznośnego hałasu; nie było też kwiatowego zapachu, przeciwnie, sąsiedni jesion obsiadły jakieś podłużne owady o złotozielonych pancerzach, od których rozchodził się obrzydliwy odór. Wszystko było takie samiuśkie jak przedtem, z wyjątkiem idących z panną Matyldą Klöster jej wychowanek, a tym widokiem upijały się oczy. A od pijanych oczu pozostałe zmysły też trochę zwariowały.

Starszy mężczyzna filuternie mrugnął do Biboka. Lokalna duma jest znacznie silniejsza niż jakakolwiek inna.

— No, i co waćpan na to powiesz? Hm? Okno wystawowe, hm. Coś takiego tylko w Lewoczy istnieje, co? Cha, cha. To już nie dla nas, *to tempi passati*. Co?

Przechodzące panienki działały na zasadzie magicznej siły wielkiego widowiska. Same czarodziejki. Ładna dziewczyna to nie rarytas, na Węgrzech w każdym krzaku się znajdzie. Pojedynczo nie robi wrażenia. Kto się na przykład zachwyca pięknym wierzchowcem? Ale kto by się nie zagapił na cztery jednakowo piękne konie idące paradnym krokiem? A co dopiero widok całej stadniny! Obraz w ogrodzie byłby naprawdę wesoły i migotliwy, gdyby panienki nie były od stóp do głów w czerni, a tak widz miał wrażenie, że jest świadkiem żalobnego konduktu, ciążył nad tym obrazem melancholijny nastrój, który wchłaniał wrażenia pozostałych zmysłów.

— Ładne — mruknął Bibok machinalnie, jak człowiek zatopiony w pilnej pracy.

Rzeczywiście dokonał w tej chwili błyskawicznej pracy. Wyobraził sobie małą piastunkę, ubraną w podobną do tych czarną, koronkową suknię, i patrząc na przechodzące obok po dwie lub trzy panienki z każdą usiłował ją porównać. I — o dziwo — ona była najładniejsza ze

wszystkich. Tymczasem stary gadatliwy jegomość wskazał mu śliczne, filigranowe dziewczątko:

— To chyba najbogatsza ze wszystkich, Katica Blom. Bibok ocenił ją jednym spojrzeniem. Niech mnie ogień pochłonie, jeżeli i od tej nie jest ładniejsza! — pomyślał, po czym głośno, z zaciekawieniem spytał:

— A która z nich jest panną Quendel?

— Już wyszła za mąż — odpowiedział wszechwiedzący jegomość.

Bibok niemal się zmartwił. Korona by jej z głowy nie spadła, gdyby poczekała, żeby i ją mógł porównać z małą piastunką. Ale nagle aż go odrzuciło na oparcie ławki i pozostał tak z otwartymi ustami.

Nadchodziła najpiękniejsza. Idąc rozmawiała z dorodnym porucznikiem kuruców. (Biada ci, mała piastunko!) Dziewczyna była niemal tego samego wzrostu co młody oficer, głowę trzymała wysoko jak łania, sprężyste ciało miało zwinne ruchy jaszczurki, a do tego śliczna delikatna twarzyczka, świeża jak rozchylająca pierwsze płatki róża tuż po wschodzie słońca. To już nie dziewczyna, to coś więcej, po prostu zjawisko.

— Fiu! — syknął Bibok. — Ajaj! (Nic więcej nie dodał, w tych dwóch dźwiękach był podziw i rezygnacja.)

— To niejaka Rozalia Otrokocsy — wyjaśnił gadatliwy staruszek. — Ładna koteczka, co?

Bibok przyjrzał się młodemu oficerowi. Poznał go.

— Czy ten oficyjer to jej narzeczony?

— Nie sądzę. To tylko wielbiciel numer dwa, który przy niej się uczy, jak do panienki smalić cholewki. Nazywa się Görgey. Ale nie jest synem owego Görgeya, który nam tyle złego uczynił. Jego ojciec to uczciwy Węgier. Młodzieniec też jest porządny, bardzo go chwala. Atoli śliczna Rozalka nie dla niego rozkwita. A przynajmniej wieść głosi, że jej mężem będzie młody Fabricius. Ciekawe, że właśnie ten Görgey w pojedynku odciął Fabriciusowi kawałek ucha, a teraz skaczą koło tej samej panny.

— Słyszałem, że Fabricius jest w Lewoczy bardzo lubiany.

— To nasze oczko w głowie.

— Czegóż to się po nim spodziewają?

— Wszystkiego. Doskonale sobie radzi. Ma wszystko, czego się wymaga od dzielnego człowieka, nie brak mu ani cnót, ani wiedzy, ani niczego.

— Tylko kawałek ucha — roześmiał się Bibok, zirytowany przesadnymi zachwytemi starego.

— Właśnie to odcięte ucho jest podstawą jego popularności. Dzięki temu został rajcą, gdyż jego nienawiść dla Görgeya musi być o tyle większa od nienawiści innych.

Bibok ironicznie się uśmiechnął.

— Ejże, moglibyście już porzucić te bojowe mrzonki, przecież w istocie niczego od Görgeya nie chcecie. Rada miejska robi tylko wiele hałasu, ale nic z tego nie wynika. Nic zresztą uczynić nie może. Odczeka, aż sobie umrze na uwiad starczy dożywszy sędziwego wieku, a wtedy krzykną: „Bóg jest naszą silną twierdzą, oto zniszczył śmiertelnego wroga Lewoczy!”

Stary jegomość chciał coś odpowiedzieć, ale zza zakrętu ukazała się znowu pensja panny Klöster; panienki zdążyły już okrążyć staw i dojść do najdalszej alejki z klombem, na którym rosły rzadkie kwiaty: pełne, czyli jak wówczas mówiono, podwójne fiołki, goździki, maki, jakieś kwiaty w kształcie kłosów, słynne ozdobne krzewy i najpiękniejsze ze wszystkich nowe kwiaty — tulipany uzyskane ze słynnego ongiś cudownego ogrodu arcybiskupa. Zachwycone tymi kwiatami dziewczęta widocznie jeszcze raz tam zmierzały, ale już w powiększonym gronie, gdyż oto u boku panny Otrokocsy znalazł się Fabricius. Spostrzegłszy go, staruszek, zamiast odpowiedzieć Bibokowi, zadowolił się cichym, znaczącym ostrzeżeniem:

— Pst! Przyszedł.

Bibok spojrział, ale w drugą stronę, i dostrzegł idącego z miasta zasapanego imć pana Klebego. Zdjęty przerażeniem, wbił wzrok w gadatliwego staruszka.

— Skąd waćpan wiesz? — wyjąkał zdruzgotany.

— Przecież widzę — odpowiedział wszechwiedzący starzec.

Na szczęście wyłoniła się już grupa panienek i Bibok ponownie dostrzegł pannę Otrokocsy wziętą teraz w dwa ognie, gdyż po prawej jej ręce kroczył Gyuri Görgey, a po lewej jasnowłosy smukły Fabricius, którego znał z Białej.

Zrozumiawszy sytuację zerwał się i pospieszył naprzeciw panu Klebemu, którego objął i uściskał, choć tamten był najwidoczniej z tego niezadowolony z uwagi na swoje porządne, czyste czarne ubranie, tak nie pasujące do brudnego, zatłuszczonego odzienia Biboka.

— Ojej, nie uduś mnie waćpan. Aj, kości mi trzeszczą. Mości panie Bibok, opamiętaj się! Jeszcze mnie waść zabrudzisz!

— Musiałem przybyć w przebraniu — tłumaczył się Bibok i puścił go.

— Dałeś mi waćpan znać, więc jestem.

— Bardzo się cieszę. Ale chodźmy w pole, mam dużo do powiedzenia. Tam można swobodniej rozmawiać.

Wyszli z ogrodu i miedzą wzdłuż grochowego pola Jánosa Flangera skierowali się ku miejscu, gdzie moczono konopie.

Pan Klebe odezwał się pierwszy:

— I co, namyśliłeś się waćpan?

Bibok chwilę milczał, jakby to wyznanie z trudem mu przychodziło, po czym westchnął i rzekł:

— Bieda jest złym doradcą, często daje takie rozkazy, od których serce się odwraca. Zdecydowałem się dopomóc czcigodnym lewoczańskim mieszczanom, by zrzucili czarne stroje... jeśli mi dobrze zapłacą.

— Masz waćpan to pismo przy sobie?

— Jest tutaj. (Uderzył się w pierś.)

— Czy zechciałbyś mi je pokazać?

— Czemu nie?

Z wewnętrznej kieszeni wyjął złożony na czworo kawałek czarnej ceraty, a z niej pożółkłą kartkę. Pan

Klebe dokładnie się przyjrzał pismu i pieczęci, po czym oddał dokument.

— W porządku. Ile waćpan za to żądasz?

— Czteryście złotych dukatów.

— To dużo. Co waćpan myślisz...

— Żupańska głowa to nie dynia — dowodził Bibok. — Nie oddam taniej. Jeszczem nie zwariował.

— Żupańskie głowy w obecnych czasach spadły w cenie — targował się pan Klebe.

— Ale przecież nie chodzi o samą głowę, lecz także o honor miasta Lewoczy — argumentował Bibok.

— Ho, ho, ale czterysta dukatów to suma, która nie w każdej skrzyni się znajdzie.

— Wszystko jedno, ani grosika nie opuszczę — stawiał się Bibok. — Nie mogę. Choćby przez wzgląd na samego Görgeya! Kto jak kto, ale ja tego nie mogę uczynić. Okazał mi życzliwość, pomógł mi, dał rangę pułkownika. Takiego człowieka należy uszanować. Nie mogę go sprzedać poniżej czterystu dukatów. Musi to waćpan przyznać.

Imć pan Klebe niczego nie chciał przyznać. Z godnością wzruszył ramionami.

— Ostatecznie co mnie to obchodzi. To nie moje pieniądze. Tylko dlatego chcę coś z tej sumy stargować, żeby moje działanie przyniosło wynik. Bo jak już pracuję dla historii, to nie chciałbym, aby kontrakt nie doszedł do skutku z powodu paru głupich dukatów. Ja przecież nie mam z tego żadnej korzyści. Ale jak stary Klebe na zawsze zamknie oczy, niech ludzie na pogrzebie powiedzą: „Porządny był z niego człek, przecież on wyciągnął Lewoczę z opresji, chociaż nie wszyscy o tym wiedzą.” Może mnie nawet pochowają przy kościelnym murze (aż mu oczy rozbłyły z dumy), całkiem możliwe, ale to bardzo mizerna korzyść. Mówię tak, bo nie wiem, skąd magistrat weźmie czterysta dukatów, żeby nie trzeba było publicznie się z nich rozliczać. Miejska kwoka jest dobrą noską, prawda, ale tyle pieniędzy to jednak horendalnie dużo. No cóż, powiem burmistrzowi i co będzie, to będzie.

Długo jeszcze potem pertraktowali, siedząc na kamieniu w pobliżu miejsca, gdzie moczono konopie. Wtedy właśnie Bibok popełnił ogromny błąd, prosząc pana Klebego o małą przyjacielską pożyczkę. Prosił zaledwie o trzy talarzy do czasu, aż sprawa zostanie załatwiona, przy czym opowiedział, że poprzedniego dnia w karczmie w Blinicy, kiedy po dobrym obiedzie trochę się zdrzemnął, ukradziono mu sakiewkę.

— Co takiego? — wykrzyknął pan Klebe, wręcz wzburzony. — Waćpan grosza nie masz, a jednocześnie nie chcesz nic opuścić z czterystu dukatów? Czy widziano gdzieś na świecie podobną lekkomyślność? Człowieku, człowieku, chcesz zmarnieć z głodu, bo cię ogarnął głód pieniędzy! Niesłychana czelność stać bez grosza i takim tonem domagać się stosu złota! Tak? Dobrze, żem się dowiedział, żeś bez szeląga. To całkiem zmienia sprawę. Obniżysz swoje żądanie o sto dukatów czy nie?

— Nie ma mowy, przecież podałem powody.

— No to i trzech talarów nie dostaniesz, ostań z Bogiem.

— Ustąpię... — wycharczał Bibok.

— Teraz wierzę, że będzie kontrakt — zacierał ręce pan Klebe, wyraźnie zadowolony.

(Wmówił w siebie, że znowu uratował sto dukatów dla miasta. O tyle większa jego zasługa, i warto będzie go pochować pod kościelnym murem.)

Teraz już szybko uzgodnili pozostałe szczegóły. Klebe obiecał, że jeszcze tego wieczoru, choćby nawet było bardzo późno, zawiadomi burmistrza o przybyciu Biboka i poprosi o decyzję na jutrzejszy dzień.

— W jaki sposób dowiem się o wyniku? — zapytał Bibok.

— Gdzie mam przyjść?

— Zatrzymałem się tutaj w gospodzie, pod nazwiskiem Antal Tropski. Dostałem izdebkę na pięterku. Niech waćpan nie zapomni: Antal Tropski.

Kiedy się rozstali, Bibok nie mógł sobie darować tych stu dukatów. Stary Klebe wycygał akurat tę część, którą zamierzał przeznaczyć dla małej piastunki. Powróciwszy do gospody poszedł na górę do swojej izdebki, bo nie miał odwagi zasiąść wśród gości w karczmie. Powiedział panu Kárászowi, że boli go głowa i prosi, żeby mu na górę przysłał coś lekkiego, jakieś resztki odpowiednie dla chorego.

Po dłuższej chwili mała piastunka przyniosła mu łeb prosięcia, talerz kaszy z gęsina i wino w dzbanku o wąskiej szyjce (wszystkie inne naczynia, powiedziała, są potrzebne na dole).

Bibok był dla dziewczynki serdeczny, zapytał, jak ma na imię.

— Nazywają mnie Mili.

— Chodź, podejdź bliżej, Mili. Cóż to, boisz się mnie? Ejże, tak, tak, zaraz cię ubodę, pogryzę, ham! I zjem.

Wielką czerwoną łapą dotknął jedwabistych włosków i kilka razy je pogłaskał... było to dziwne, słodkie uczucie.

— Ależ przyjemne masz włoski, Mili. Czy masz rodzeństwo?

— Jedną siostrzyczkę.

— Gdzie jest?

— W Görgő.

— Czy i ona jest w służbie?

— Nie, tylko ja jestem w służbie. Siostrzyczkę wziął do siebie pewien wielki pan i tak ją rozpieszczają jak bogatą panienkę. Podobno ten pan ma córkę, która kiedyś powróci do domu, i siostrzyczkę wyuczają na pokojową dla niej.

— A siostrzyczka jak ma na imię?

— Wanda.

— Czy jest tak samo ładna jak ty?

— Na pewno ładniejsza, bo tamten pan widział nas obie, i wybrał Wandę. Gdybym ja była ładniejsza, toby mnie wybrał.

— A jak się ten pan nazywa?

— Pál Görgey.

Bibok sposepniał, poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Było to u niego przemijające zjawisko, jak u innych czkawka, wystarczyło wypić łyk wina i przechodziło. Tak też uczynił, przytknąwszy do ust wąską szyjkę dzbana. Ale zżymał się wewnątrz. To jednak okropne, że zgodziłem się opuścić te sto dukatów. Takiego dobrego człowieka wydać za trzysta dukatów? Nigdy! Raczej zdechnij z głodu, Zsigmondzie Biboku! (Zaczął sobie targać włosy i biegać po izbie jak oszalały dzik. Przestraszona Mili wymknęła się na dół.) Ale przecież chodzi o to, żeby go powiesili. Wszystko jedno, nie powinienem był oddać części przeznaczonej dla małej piastunki.

Do północy się nie kładł, senność nie przychodziła. Ostatni goście opuścili karczmę o dziesiątej, bo musieli dostać się do miasta przed zamknięciem bram, Bibok zaś chodził i chodził, aż dudniły jego ciężkie kroki.

Nazajutrz imć pan Klebe zjawił się zaraz po obiedzie, zastał Biboka kończącego obiad przy stoliku pod kasztanem. Rozmawiali szeptem. Pan Kárász spostrzegł, że załatwiają jakieś sprawy, więc się nie przysiadł.

— Siano czy słoma?

— Jeszcze nic. Imć panu Nustkorbowi bardzo się cała rzecz podoba. Przed południem wezwał do siebie kilku co znaczniejszych rajców i przedstawił im swój plan. Burmistrz czuje, że musi działać, opinia całego miasta mocno go naciska. Rajcowie byli tego samego zdania — naturalnie narada odbyła się przy drzwiach zamkniętych i wszyscy przysięgli milczenie. Tylko ja wiem o tym, gdyż zostałem zaproszony do zielonego stołu. Byli więc zdania, że należy dokument nabyć. Jeden tylko Fabricius się sprzeciwiał, i to stanowczo.

— Głupi szczeniak!

— Jeżeli ktoś unicestwi ten plan, to tylko Fabricius. Powiada, że nie jest to postępek godny Lewoczy. Lewocza, jeżeli chce się zemścić, to o własnych siłach.

— Dureń!

— O własnych siłach, a nie przez zdradę i denuncjację. Kogo nie zabije poniżenie, ten zginie na śmietniku, gdy zdejmie płaszcz własnej godności.

— Nie mogli go wyrzucić?

— Pięknie argumentował. Prawda, że i burmistrz się nie dawał. To człek o wielkim rozumie. Zgodził się, że to może prawda w odniesieniu do poszczególnych osób, bo człowiek jest z krwi i ciała, a krew się gotuje i ciało się od niej rozgrzewa, ścięgna się napinają, ale miasto składa się z budynków i innych dóbr zebranych przez wiele pokoleń, i nie wolno tego

zaprzepaścić jednemu pokoleniu przez to, że w złym momencie uniesie się pychą. Owszem, powiedział, zaspokojenie zemsty to w tej chwili publiczna konieczność, sam jest tego zdania, ale uważa, że władza winna uczynić to z jak najmniejszym ryzykiem. Jeżeli można posłużyć się intrygą, to intryga też jest dobra. Co prawda sława to piękna rzecz, ale los miasta nie po to jest złożony w ręce rady miejskiej, żeby się stroiła w cnotliwe uczynki, które brzmią jak triumfalny dźwięk dzwonów, ale potem się okazuje, że to niestety dzwon pogrzebowy, i że... jakoś bardzo pięknie się wyraził., zaraz, poczekaj waćpan...

— E tam, do diabła z pięknymi wyrażeniami — przerwał mu Bibok zniecierpliwiony — co mnie to obchodzi... Powiedz waćpan raczej, coście postanowili.

— To, że dzisiaj po godzinie dziesiątej imć pan burmistrz przyjdzie tu do waćpana osobiście, do izdebki na górze, i jeżeli papier uzna za odpowiedni, zapłaci trzysty dukatów.

Twarz Biboka rozpromieniła się z radości.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — powiedział zartobliwie, ściskając dłoń starego Klebego.

Nie trzeba chyba mówić, z jaką niecierpliwością oczekiwał wieczoru. Godziny wlokły się jak jeszcze nigdy. Żeby zabić czas, wyszedł na pola i w las, łąził długie godziny i snuł różne plany, a do gospody powrócił dopiero, kiedy się ściemniało. Karczma i teraz była pełna gości z miasta, domownicy dwoili się i troili, nawet mała piastunka roznosiła piwo. Tym razem Bibok nawet nie myślał o wieczerzy, tak go podniecała myśl, że nazajutrz będzie posiadaczem trzystu dukatów. Poszedł na górę, położył się na ławie z dwiema skórzanymi poduszkami, która uzupełniała sprzęty gościnnej izby. Zapalił fajkę i marzył sobie wdychając dym, chociaż znawcy twierdzą, że palenie fajki po ciemku nie jest przyjemnością. Takie bezmyślne twierdzenie może wyjść tylko z ust ludzi, którzy uważają palenie za widowisko.

Jak długo stary awanturnik tak marzył, tego sam nie wiedział. Ale w pewnej chwili posłyszał, że zgrzytnął klucz w zamku sąsiedniej izby i ktoś wszedł. Pozostał tam i widocznie przemierzał ją tam i na powrót, gdyż rozlegały się ciężkie kroki, przytępione dzielącą obie izby ścianą. Bibok zaniepokoił się. Kto to może być i po co przyszedł? Musiał wejść po schodach na palcach, bo dopiero zgrzytnięcie klucza w zamku zwróciło jego uwagę. Jeżeli wchodził na palcach, to znaczy, że coś mu nakazywało zachowanie ostrożności. Trochę podejrzana historia. Może pan burmistrz knuje jakąś zdradę? W tamtej izbie mogą być ukryci hajducy i drabanci, żeby w chwili przekazywania papieru wpaść na umówiony znak, powalić go i zabrać dokument siłą. Nie mógłby nawet nigdzie złożyć skargi.

Kiedy człowiek ma dużo czasu, różne rzeczy przychodzą mu do głowy, szczególnie jeśli z domieszką fantazji przewiduje przyszłe wydarzenia. Musiało już być późno, goście się powoli rozchodzili. Bibok wyjrzał przez okno, właśnie wstawało towarzystwo od ostatniego stołu. Tylko pan Kárász siedział jeszcze na dworze i przy bocznym stoliku obliczał wpływy, brzęczące monety „*pro libertate*”, które odkładał po dziesięć i wrzucał do stojącego na stole koszyka.

Noc była cicha i pogodna, jedna z owych letnich jasnych nocy, które trwają tak krótko, że nie warto na nie trwonić czarnej farby. Bibok nasłuchiwał. Tylko żaby rechotały w stawie, gdzie moczono konopie. Doprawdy burmistrz mógłby już przyjść. W miarę jak czas mijał, Bibok stawał się coraz bardziej nerwowy.

Podszedł do drzwi, żeby je nieco uchylić. Przez szparę usłyszy kroki burmistrza i w porę otworzy mu drzwi, żeby lepiej widział strome stopnie i żeby przypadkiem nie trafił do sąsiedniej izdebki, zakładając, że to nie żaden podstęp. Na razie tak trzeba na to patrzeć.

Uchylił drzwi, ale okno też było otwarte, więc przeciąg zatrzasnęła okiennicę i zgasił łożówkę, która czerwonym jęczyzkiem paliła się na stole.

Zły na to zdarzenie zamierzał właśnie odejść od drzwi, gdyż ponowne zapalenie łożówki

stanowiło dość skomplikowane zadanie, kiedy posłyszał u stóp schodów szelest kobiecej sukni (może to mała piastunka?) i skrzeczący szept:

— Ostrożnie, mościa panienko. Trzymaj się waćpanna poręczy i uważaj, gdzie stąpasz nóżką! (Hm, to jednak nie piastunka.)

Bibok miał wzrok, którego sowa mogłaby mu pozazdrościć (przez pół roku siedział w Smyrnie w ciemnym lochu więziennym, tam mu się wzrok wyostrzył). Przywarł jednym okiem do wąziutkiej szparki w drzwiach.

Własnym oczom nie chciał wierzyć. Czy to sen? Po stopniach wchodziła widziana wczoraj najśliczniejsza panienka. Ta, którą gadatliwy staruszek nazwał Rozalią Otrokocsy. To ona, nie ma wątpliwości, poznałby ją wśród tysiąca dziewcząt. Ho, ho, a więc to tak, panienczko! Przychodzimy na miłosne schadzki do ogrodowej gospody? Taka młodziutka! Z taką anielską buzią! Oj, wy białogłowy! Aleś ty mądry, Zsigmondzie Biboku, żeś im nigdy nie wierzył i, jak się dało, każdą zdradzałeś. Wchodź na górę, wchodź (Och, jakie maleńkie ma stopki!), tam już czeka twój Seladon. (Do diabła, dobrze byłoby znaleźć się w jego skórze.) Objija się po tamtej izbie jak wygłodzony lew. Żebyś pękł, i to w sam dzień własnych imienin!

Jeszcze jedno spojrzenie w dół, i zauważył niedużego mężczyznę wyglądającego na rękodzielnika, którego bolały zęby. Żeby dentyści nie łamali sobie głowy nad cudownie bystrym wzrokiem Biboka, musimy zaznaczyć, że ból zęba mógł być równie dobrze bólem ucha, jako że widział po prostu chustkę, którą tamten miał owiazaną twarz. Podły rajfur! — mruknął do siebie Bibok. — Że też ma sumienie sprowadzać tu tę dziewczuszkę. Nawet w Biboku krew zawrzała na takie łajdactwo. Głęboko westchnął, że świat jest taki zepsuty, po czym ostrożnie się cofnął i zabrał do zapalenia łożówki, teraz już znacznie uspokojony. Bo mimo wszystko lepiej, że świat jest zepsuty, niżby jego osobisty interes miał ktoś zepsuć.

Wcześniej przygotowana żarząca się huba wymagała wielu zabiegów i rozdmuchiwania, nim żdzbla pociętej słomy się zajęły. Kiedy się z tym uporał, znowu usłyszał na schodach kroki. Podbiegł do drzwi i otworzył je dość szeroko, żeby światło wskazało drogę idącemu.

Masywna, tęga postać drapała się po schodach, które trzeszczały pod jej ciężarem. To z pewnością burmistrz — pomyślał Bibok i wyszedł przed drzwi.

Mężczyzna doszedł na górę zasapany. Lekko uchylił kapelusza.

— Chciałbym się zobaczyć z imć panem Tropskim.

— To ja — odpowiedział Bibok. — Proszę wejść.

Przybyły wszedł i zdjął szary płaszcz bez rękawów, sięgający kostek.

— Jestem burmistrzem Lewoczy.

— Czy we własnej osobie, czy też waszmość przyszedłeś w jego imieniu?

— We własnej osobie.

— Witam waszmość pana. Proszę usiąść.

— Już dosyć dziś siedziałem — powiedział przybyły i swobodnie się przeciągnął. — Zresztą chcę szybko sprawę załatwić. Już minęła *hora canonica*. Trzeba też trochę pospać.

— Chyba mnie wasza miłość zaszczycisz tym, że usiądziesz — nalegał Bibok — przynajmniej po to, żeby mi snu nie odebrać.

— Kiedy po to właśnie przyszedłem — odrzekł burmistrz — żeby zabrać stąd sen. Nie sen waszmości, ale własny, jeżeli istotnie jest do nabycia.

— Mam nadzieję, że tak, jeżeli obaj o tym samym myślimy.

Po długich namowach imć pan Nustkorb usiadł jednak na ławie. Pochwę z pistoletem, która mu się obsunęła na brzuch, przesunął nieco do tyłu. Nagle nadstawił uszu, gdyż posłyszał przez ścianę z sąsiedniej izby szmer głosów i kroków.

— Co to za pomieszczenie tu obok?

— O ile wiem, druga izba, także wynajmowana przejezdny.

— Zdaje się, że teraz ktoś tam jest.

— Małe spotkanie zakochanych — uśmiechnął się Bibok.

Burmistrz zmarszczył brwi.

— Przecież Kárász wie, że mu tego zakazano.

— Toteż nie Kárász ma tu spotkanie.

— A kto taki?

— Widziałem tylko białogłową, jak wchodziła na górę.

— Ależ to skandal! — oburzył się burmistrz. — Nie można na to pozwolić.

— *Juventus ventus* * — uspokajał go Bibok, który wykorzystał okazję, żeby się popisać łaciną. — Na te rzeczy lepiej przymknąć oczy.

— Gdybym się mógł dowiedzieć, kim jest ta białogłowa.

— Co mi waszmość da, jak powiem? — żartobliwie zapytał Bibok.

— Byłbym waćpanu bardzo wdzięczny, przyjacielu.

— Jeżeli mości pan burmistrz obieca, że jej nie wymierzy żadnej kary, to powiem. Bo jest prześliczna i żal by mi było dziewczuki.

— Do diaska! Po cóż bym się pytał, gdybym nie zamierzał jej należycie ukarać.

Bibok wzruszył ramionami.

— Wobec tego zachowam tajemnicę dla siebie.

Przystąpili do sprawy, która imć pana burmistrza tu sprowadziła. Najpierw chciał obejrzyć dokument. Kiedy go uważnie przeczytał, oświadczył rozczarowany, że niewiele jest wart, tym niemniej może dałoby się go wykorzystać, toteż oferuje zań dwieście pięćdziesiąt dukatów, i to tylko dlatego, że nie chce, by fatyga Biboka poszła na marne.

— Raczej go połknę — oświadczył krótko Bibok.

— Daj Boże, niech pójdzie waćpanu na zdrowie — szyderczo odpowiedział burmistrz.

— No, no, do tego przecież nie dojdzie — zmienił taktykę Bibok. — Wobec tego, że wasza miłość obniża cenę o pięćdziesiąt dukatów, to i ja odstąpię pięćdziesiąt. Teraz nie oddam tego za mniej niż trzysta pięćdziesiąt dukatów.

Ta odpowiedź zmieszała imć pana Nustkorba. Wydała mu się dziwna po tym, co mu doniósł Klebe, że Bibok jest zupełnie bez pieniędzy. Widocznie coś się w międzyczasie stało.

— Czyżby w nocy spadł tu wielki deszcz, że cena tak urosła?

— Sąsiedztwo jest tak bliskie, czemu nie miałbym zaoferować kupna samemu Pálowi Görgeyowi?

Ta nowa perspektywa dała burmistrzowi do myślenia, widać było, że mięknie.

— No cóż, niech to piorun strzeli, zgadzam się. Skoro już Klebe na tę sumę przystał, dam trzysta dukatów. Powróćmy do punktu, na którym stanęliśmy.

Trochę zbyt łatwo się zgodził. Bibok nie był człowiekiem, który w strzaskanej łupinie zostawia orzech.

— Niezmiernie żałuję, mości panie burmistrzu, ale jestem zabobonny i w ciągu całego życia ani razu nie powróciłem tam, gdzie już byłem.

Nicpoń tym razem powiedział prawdę. Istotnie nigdy tego nie uczynił, bo z pewnością nie wyszłoby mu to na zdrowie.

— To znaczy, że za trzysta waćpan nie sprzedasz?

— Właśnie.

* Młodzieńcza namiętność (łac.)

Nustkorba rozdrażniło to niepowodzenie na polu oszczędności, więc sięgnął teraz do swych zdolności przekonywania i ciepłego głosu.

— Mości panie Tropski czy Bibok, drogi przyjacielu! (Wstał i poufale położył mu dłoń na ramieniu.) Zastanów się waćpan. Trzysta dukatów to wielka suma. Król Zygmunt dał w zastaw szesnaście miast spiskich za trzydzieści siedem tysięcy kóp srebrnych groszy. Pomyśl, ile ulic przypadłoby ci za owe trzysta dukatów...

Rozgorzała zacięta walka, istny pojedynek dwóch targujących się stron. Każdy usiłował wymacać słabe miejsce drugiego. Przy tych potyczkach zadawano też rany. Padały takie epitety jak kutwa, skapiradło, dusigrosz, liczykrupa, sknera. Wzajemnie tracili dla siebie szacunek, a potem znów się bratali. Burmistrz dwukrotnie nakładał płaszcz i ruszał ku drzwiom, przy czym dorzucał dziesięć dukatów, aż w końcu Bibok się zastanowił, że to przecież i tak byłyby pieniądze małej piastunki, więc rzekł:

— Dodaj waszmość jeszcze pięć dukatów, i *punctum*.

— Niech będzie — odparł burmistrz i przybił dłoń Biboka. — A więc trzysta dwadzieścia pięć.

Potem wziął dokument i starannie go schował do skórzanego pularesu mruczając pod nosem: No, wreszcie tu trafiłeś. Odetchnął głęboko.

— Poczekaj teraz waszmość, skoczę po pieniądze.

Bibok popatrzył zaskoczony.

— Gdzież one są? — spytał ogłupiały.

— Zostawiłem je u hajduka, który czeka przy ogrodowej bramie.

— Co to, to nie! Zwracaj waść papier.

— Ależ ja tu zostawię swój płaszcz.

— Na co mi płaszcz waszmości?

— Tak waszmość szanujesz burmistrza Lewoczy?

— Czy ja wiem, czy waszmość jesteś naprawdę burmistrzem? Każdy może to powiedzieć.

A nawet jeśli tak, to szanuję waszmość pana tyle samo, co waszmość mnie, przecież nie miałeś odwagi przynieść z sobą pieniędzy sądząc, że zmierzasz do zbójceckiej jaskini.

— Jest w tym racja — przyznał burmistrz i zaczął się rozpinać, żeby oddać papier.

— No, daj waszmość spokój, jestem szlachcicem i nawet mój dwudziesty pradziad nie był bürgerem. Ot, żeby waści oszczędzić wchodzenia po schodach, zejdem razem po pieniądze.

Nustkorb skinął głową, że dobrze, na co Bibok otworzył drzwi i puścił gościa przed sobą. Ten stąpał ostrożnie, patrząc, gdzie postawić stopę na obcych deskach, i nie zwracał uwagi na nic innego. Nagle Bibok szturchnął go w bok.

— Spójrzaj waszmość! — szepnął.

Nieco się spóźnił, ale zdążył jeszcze zauważyć kobiecą postać znikającą z lewej strony za węglem budynku. Zniknęła, rozwiła się jak kłębowisko mgły. Ale była to kobieta, zaszeleściły suknie, a drobne krzaki poruszyły się dotknięte przez materię. Cień niewiasty zarysował się na ścianie kurnika, potem na dachu, wreszcie rozpostarł się olbrzymią plamą na murawie.

— To ta? — zapytał z ożywieniem Nustkorb.

— Tak.

— A gdzie współnik?

— Poszedł tamtędy, pod samym murem, trudno było go dostrzec. Ale jeszcze wyraźnie słysząc oddalające się kroki. Pst!

Zatrzymali się na górnym ganku, o ile to w ogóle zasługiwało na nazwę ganku. Było to raczej coś w rodzaju rusztowania z desek, bez żadnej poręczy, sięgające od jednych do drugich drzwi, między którymi znajdowały się drabiniaste schody.

Przez chwilę nasłuchiwali. Z dali dochodził stukot oddalających się różnych kroków, jedne były lżejsze, drugie cięższe, ale można się ich było raczej domyślać. Mieszały się z nimi inne nocne szmery, jak przebiegający kot, skacząca ropucha, czy muskający ścianę nietoperz. Raz i drugi coś brzęknęło czy stuknęło, jakby ostroga lub szabla uderzyła o żwir alejki albo o cholewę buta. (Kiepski jestem, jeżeli to nie ten wczorajszy oficer — pomyślał Bibok.)

- Ptaszki wyfrunęły — powiedział głośno — a więc chodźmy, mości panie burmistrzu.
- Czy waść naprawdę wiesz, kim jest owa niewiasta?
- Rzecz jasna, a miejskie kumoszki wiele by dały, żeby się dowiedzieć.

Burmistrz był zadowolony, że już załatwił nieprzyjemną sprawę. Dokument schowany za pazuchą tak go rozgrzewał, że aż odtajał, a krotochwilny nastrój wręcz z niego tryskał.

— Słuchaj, przyjacielu, i ja mam w domu niewiastę, której nie będę się mógł dostatecznie wytłumaczyć z dzisiejszej nocnej włóczgi. Niechbym jej tak zaniósł kęs słodczy, *intelligitur*: jakąś pikantną plotkę.

- Dobrze, ale daj waćpan parol, że burmistrz się o tym nie dowie.
- Niech będzie. Nie uznam tego za wykroczenie.

Bibok nachylił się do ucha Nustkorba:

- To panienka z pensji, szlachecka córka.
- Niesłychane! — pokręcił głową burmistrz.
- Nazywa się Rozalia Otrokocsy.

Nustkorb roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

- Ejże, daj waćpan spokój! Kawalarz z waści. Cóżżeś to wymyślił!
- Niech mnie ziemia pochłonie, jeżeli to nieprawda.

Tymczasem zeszli ze schodków i nagle Bibok spostrzegł na murawie jakiś dziwny przedmiot w kształcie główicy buzdyganu. Był jednak większy, ciemny, z białą nasadą. Dotknął go czubkiem buta, żeby sprawdzić, czy to metal, ale był miękki. Schylił się zaciekawiony.

- Co to takiego? — zapytał Nustkorb.
- Jakiś dziwny kwiat. Z pewnością ta panienka go zgubiła.
- Pokaż waćpan! Do diabła... — mruknął do siebie burmistrz oglądając kwiat podobny do róży — przecież to georgia.

Georginie, zwane wówczas różami georginii, były zupełną nowością. W Lewoczy tylko jejmość pani Fabriciusowa miała w ogródku przy domu dwa krzewy, które wszyscy podziwiali.

Wiadomość podana przez Biboka nabrała w oczach burmistrza cech prawdopodobieństwa.

Młody Fabricius przyniósł lub posłał pannie Otrokocsy georginię, która tutaj wypadła jej z włosów albo odpięła się od stanika. Hm. To byłoby okropne. Poczciwy burmistrz aż zbladł. Nie. To jednak niemożliwe... Tym niemniej dobrze byłoby ich dogonić.

Spieszył ku wyjściu w kierunku miasta, gdzie z gęstwiny wynurzył się miejski hajduk. Burmistrz kazał sobie podać sakiewkę z pieniędzmi, po czym odprawił hajduka, a sakiewkę wręczył Bibokowi.

- Przelicz waćpan. Jest tu trzysta dukatów.

Bibok oderwał pieczęcie i grube nici, którymi woreczek był zaszyty. Zagłębił rękę, pomacał monety, wyczuł delikatny rysunek, w czubkach palców poczuł łaskotanie i jakieś ciepło bijące od szlachetnego kruszcu. Na chybił trafił wyciągnął jedną monetę, przyjrzał jej się przy świetle księżyca, paznokciem przeciągnął po krawędzi, czy nie jest okrojona, po czym wziął ich całą garść i przeliczył, wrzucając po jednej do czapki. Następnie wziął jeszcze jedną garść i liczył dalej:

- Siedemdziesiąt dwa, siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt cztery... — Nagle mu się znudziło, wrzucił wszystko z powrotem do woreczka i z zamierzoną swobodną naiwnością

powiedział: Jeżeli te były dobre, to i reszta jest taka sama.

— Widzę, żeś się waćpan nie urodził handlarzem. Wyciągnij teraz rękę — rzekł Nustkorb ze śmiechem i wyliczył mu na dłoń pozostałe dwadzieścia pięć dukatów.

— Dziwne — powiedział tymczasem Bibok, spojrzawszy na piéterko — w izdebce zakochanych jeszcze jest światło.

— Może zostawili zapaloną łożówkę? (W głębi duszy westchnął: Biedny Fabricius!)

— Nie, nie, został tam jeszcze sam Seladon, zmyliły nas posłyszane kroki. Widzę cię przesuwający się w oknie. O, w tej chwili zgasło światło. Teraz dopiero opuści gniazdko. Uchodźmy stąd!

— Poczekam — rzekł Nustkorb z nagłym postanowieniem. — Chcę temu człowiekowi zajrzeć w twarz.

— Odważny nawet w kościele gwizdże. Ale na co się to waszmości przyda?

Burmistrz nie odpowiedział. Dumny błysk w oku byłby wyjaśnieniem, ale Bibok nie mógł tego dostrzec.

— Jeszcze się waszmość wplączesz w jakąś nieprzyjemną sprawę. Taki człowiek może być gotów na wszystko.

— Ho, ho, któż by śmiał się porwać na burmistrza Lewoczy?

W tej samej chwili rozległy się kroki zza węgła. Już idzie! Nustkorb ukrył się za gruby dąb, Bibok natomiast przywarł do muru.

Żwirowaną aleją nadchodził wysoki, barczysty mężczyzna w butach z cholewami. Pelerynę tak zarzucił z prawej strony na lewe ramię, że zakrywała mu częściowo twarz.

Wynurzywszy się zza budynku przystanął na chwilę, uważnie się rozejrzał, po czym szybkim krokiem ruszył ku wyjściu. Nustkorb wstrzymał oddech.

Kiedy tamten znalazł się przy dębie, wyszedł zza pnia i zastąpił idącemu drogę.

— Dobry wieczór waszmości. Proszę, zatrzymaj się na chwilę.

— O co chodzi? — zapytał obcy, zaskoczony.

— Chcę wiedzieć, kim waszmość jesteś i co tu robisz.

Przy tych słowach śmiało położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

— Precz, śmiałku! — I twarda pięść ugodziła przytrzymującego go Nustkorba w okolicę serca, tak że się zachwiał i zrobiło mu się słabo.

— Mátyás! Bibok! — krzyknął. — Do mnie! Już!

Bibok wahał się, nie wiedząc, co zrobić z woreczkiem złota, ale podniecony przygodą wcisnął sakiewkę do czapki i wrzucił do krzaka bukszpanowego. Hajduk zaś, pędząc przez zarośla, runął na ziemię potknąwszy się o własną szablę, ale zaraz się zerwał.

Obcy spostrzegł niebezpieczeństwo. Odrzucił pelerynę i w świetle księżycy, które mu padało na twarz, Nustkorb go poznał.

— Pál Görgey! — wyjąkał i serce zaczęło mu szybciej bić.

Przerażenie wycisnęło perlisty pot na czoło Biboka, ręce mu zdrętwiały, nogi wrosły w ziemię, nie był w stanie się ruszyć. Szczęście z nieoczekiwanej zdobyczy odebrało także Nustkorbowi zdolność rozsądnego działania.

— No, wreszcie wielmożny żupan dostał się w nasze ręce! — wykrzyknął. — Poddaj się, mości panie!

— Jeszcze nie — odpowiedział spokojnie Görgey i szybkim ruchem podniósł do ust zawieszony na szyi gwizdek, który wydał ostry, przenikliwy głos.

Nustkorb od razu się zorientował, co oznaczał ten gwizd. Chcąc przeszkodzić żupanowi, błyskawicznie się na niego rzucił i zaczął go dusić, pochwyciwszy za szyję. Görgey bronił się potężnymi pięściami, ale był niemal bezradny, gdyż od tyłu przytrzymał go hajduk, który

próbował podstawić mu nogę i powalić na ziemię.

— Trzeba go żywego dostarczyć do Lewoczy — dyszał Nustkorb i aż mu oczy rozbłysły na tę myśl niczym świętojańskie robaczki. — Hej, Bibok, hej, dopomóż nam! — zachęcał skamieniałego w bezruchu awanturnika. — Dalej, do nas!

Ale było już za późno. Rozgorączkowani walką nie spostrzegli, że na głos gwizdka okolica się ożywiła. Z oddali rozległ się tętent kopyt końskich, bliżej zaś poruszyły się łany kukurydzy i pola obsiane makiem. Zewsząd wynurzali się konni i piesi żołdacy Görgeya. Bibok zaczął uciekać jedną alejką, ale już mu uzbrojeni ludzie wyskoczyli naprzeciw, skręcił na przełaj przez klomb kwiatowy w drugą alejkę, ale i tam zabiegli mu drogę. Preszton z wyciągniętą szablą pędził już na czele komputu. Burmistrz Lewoczy wyciągnął pistolet, ale zaraz mu go wyrwano z ręki. Preszton zamachnął się szablą.

— Czy mu łeb rozwalić, proszę waszej wielmożności?

Görgey już miał skinać głowę, żeby to uczynił. Stał zdyszany, nie mogąc złapać tchu, w oczach zapaliły się dzikie błyski, ale przypomniało mu się wiszące nad nim fatum, wynikające z niepohamowanego gniewu. Opanował się więc i wycharczał raczej, niż rzekł:

— Teraz nie! Daj spokój, Preszton! Co do burmistrza, to się po drodze namyślę, ale tego łotra Biboka schwytajcie i sprowadźcie żywego lub umarłego.

Opuścił ogród i wskoczył na czekającego konia. Dorzucił jeszcze:

— Poszukajcie mojej peleryny i przywieźcie burmistrza wraz z hajdukiem.

Żupan pogalopował drogą wiodącą do Görgő. Świeży powiew stopniowo ostudził wściekłość kłębiącą się w głowie i w sercu.

Teraz był zadowolony, że nie uległ pierwszemu wybuchowi gniewu i kazał oszczędzić burmistrza. Nustkorb cieszy się przyjaźnią oficerstwa kuruców, szczególnie jenerał Andrassy bardzo go lubi, kto wie, czy sam nie podjąłby się zemsty, a wtedy nie byłoby wyjścia. To wariactwo dolewać oliwy do już wygasającego ognia. Tak rozumował Görgey i postanowił, że całkowicie wystarczy trochę ośmieszyć lewoczański magistrat (niech się w całym komitacie uśmieją). Chodził mu po głowie pomysł, żeby zawieźć burmistrza do Görgő, przebrać go w babskie suknie, na głowę dać czepek i nazajutrz, w biały dzień, odesłać furmanką do Lewoczy z rozkazem, aby go na placu targowym wysadzono z wozu. (To było największe ośmieszenie, jakie wówczas mogło spotkać mężczyznę.)

Nieco później i z tego zrezygnował. Przecież i to byłoby dolewaniem oliwy do ognia, tyle że w mniejszej ilości. Niedowarzony żart, niegodny poważnego człowieka. Bo właściwie czemu żywi nienawiść do Nustkorba? Burmistrz przecież chciał go tylko pojmać. A czy jakikolwiek burmistrz Lewoczy w dzisiejszym stanie wzajemnych stosunków nie chciałby tego samego? Tak, biednemu Nustkorbowi włos z głowy nie może spaść z tego powodu. Żupan więc szybko zrezygnował ze swych planów. Byłoby to nierozumne. No i przynajmniej Marjákowa nie straci kiecki i czepka, które musiałyby opuścić właścicielkę.

Wysforował się dość daleko naprzód, całkiem się uspokoił i zawróciwszy konia przyłączył się do komputu.

Burmistrza i hajduka prowadzono pieszo. Nustkorb szedł zupełnie złamany i przez całą drogę nie wyrzekł słowa. Bibokowi związano ręce i jadący konno János Sari trzymał koniec linki. Od czasu do czasu jeździec spinał konia ostrogami, żeby ruszył galopem, a wtedy i Bibok musiał biec. Sapał jak miech kowalski, z czego ów János Sári śmiał się do rozpuku. Bibok szedł z gołą głową i kiedy odzyskiwał głos (wtedy, gdy koń szedł stępa), biadał, że czapkę porzucił w ogrodzie i że jest w niej ogromny majątek, cały stos złota, błagał, żeby go tam poprowadzono z powrotem, dobrze za to zapłaci.

Śmiali się i nikt nie uwierzył.

— Na cóż ci, dziadku, tyle złota? Strawę masz zapewnioną do śmierci.

Kiedy Görgey podjechał, wrzasnął na nich wielkim głosem:

— Cóż to za porządek, że szanownemu burmistrzowi każecie iść pieszo jak byle włóczędze? Tego się nie spodziewałem, Preszton, że jesteś aż taki głupi. Naucz się, że pan nawet w piekle jest panem. Kto z was ma najgorszego konia?

Ja! Ja!

Pięciu się zgłosiło, że ich konie są najgorsze, nie wiedząc w jakim celu żupan się pyta. Wreszcie ustalono, że koń Ferenc Kissa jest najgorszy.

— Zsiadaj, chłopcze. Odstap go mości panu burmistrzowi. Proszę, mości burmistrzu, dosiądź tego konia. Chętnie bym waści dał najlepszego, gdybym się nie obawiał, że nas opuścisz, czego bym nie mógł odżałować.

Jednocześnie oznajmiono Görgeyowi, że pojmany Bibok pokornie prosi, by mu pozwolono pod strażą powrócić do miejskiego ogrodu, gdyż w krzaku bukszpanu porzucił czapkę pełną złotych dukatów.

— Ejże, skąd by je wziął? Kłamie łotr, jak zawsze.

— Powiada, że burmistrz może zaświadczyć.

Burmistrz przecząco potrząsnął głową. On nic o tym nie wie.

— Widocznie szczwany lis knuje ucieczkę. Nie puszczę go na krok — postanowił żupan. — Ale na wypadek gdyby to jednak była prawda, może wam podać, gdzie to jest. Plichta, Rajnald i Kapánczy niech zostawią konie i wrócą tam na piechotę, żeby przeszukać wskazane krzaki.

(Rozkaz był rozumny. Görgey znał swoich ludzi, wybrał więc największych nicponiów, ale zatrzymał konie wiedząc, że jak nie znajdą pieniędzy, to pieszo powrócą, ale gdyby je znaleźli, to i konie by wraz z nimi przepadły.)

Spiął konia ostrogami i popędził naprzód do Görgő. Kiedy oddziałek dotarł z więźniami do zamku, zdążył się już przebrać i przyjął burmistrza na dziedzińcu.

— Witam, mości burmistrzu. Proszę się pofatygować do środka.

W sali zamkowej już było nakryte do wieczery. Marjákowa wystąpiła z uwarzoną na chybcika ucztą, po której nawet panujący oblizalby wargi. Żeby nie być sam na sam z gościem, Görgey kazał przywołać kilku palestrantów, którzy wesołymi anegdotami zabawiali burmistrza. Z piwnicy trafiły na stół najlepsze wina ze złocistych gron dojrzałych w Somlyó i Tokaju w roku 1682, a więc pięćdziesięciosiedmioletnie, czyli liczące sobie tyle samo lat co burmistrz. Ta delikatność (albo może samo wino) tak rozkrochmała gościa, że jego ponury humor w widoczny sposób się rozwiewał, mimo straszliwej niepewności, co go u groźnego oligarchy czeka. W duszy modlił się do Boga: Niech się stanie wola Twoja, sącząc przy tym świetne wino. Rozmowa toczyła się o całkiem obojętnych sprawach, o tegorocznej pogodzie, o stanie upraw grochu, o losach wojny, o dziwnych wydarzeniach, jak na przykład o tym, że w Érsekújvárze wyrojone pszczoły obsiadły armatę Istvána Bertóthyego, a to na pewno dobry znak. Że w Sárospataku pewien scholarz zapadł w sen, z którego jeszcze teraz, po sześciu miesiącach, nie można go zbudzić. Śpi, a jednocześnie widzi odległe rzeczy, tak że jeśli go ująć za rękę i zapytać, gdzie na przykład jest w tej chwili Heister, on dokładnie odpowiada, że w namiocie pod Pozsonyem. Co robi? Goli się. Tak samo wie o cesarzu i o każdym, o kogo zapytać. Sprawdzono to. Każde słowo scholarza okazuje się najprawdziwszą prawdą. Miejscowy burmistrz w asyście rajców i skrybów zapisał godzinę i minutę, kiedy i co powiedział o uczynkach poszczególnych osób, tam zaś podobnie urzędowe persony zapisały, co i kiedy dane osoby robiły. Wszystko dokładnie się zgadzało: słowa scholarza i uczynki owych osób... Ostatnio rozeszła się wieść, że Bercsényi zabierze go do obozu i wykorzysta jego jasnowidztwo dla celów wojennych.

— Nie bardzo mi się podoba, że Węgrzy pokładają nadzieję w rojach pszczół i w śpiących scholarzach.

Jednym słowem, przy szklenicy mówiono o różnych sprawach, tylko o dzisiejszym wydarzeniu nie padło ani jedno zdanie, nie uczyniono o nim nawet wzmianki. Jakby dwóch obojętnych względem siebie ludzi przypadkowo spożywało wspólnie wieczerzę, zabawiając się wyciąganiem z kosza na śmiecie nieistotnych plotek i wieści. Tak zeszło niemal do świtu, aż oczy Nustkorba zaczęły się w widoczny sposób zwięzać.

Görgey uprzejmie zauważył:

— Gdybyś się, mości burmistrzu, znudził, to na dziedzińcu stoi zaprzężony powóz. Możesz waszmość odjechać, kiedy zechcesz. Nie chciałbym, żeby jejmość pani burmistrzowa zbytnio się niepokoiła nieobecnością małżonka.

— Mogę pojechać do domu? — wyjąkał zdumiony burmistrz.

— A cóż waszmość mniemałeś? Nie miałem zaiste żadnego innego zamiaru, jak tylko po przyjacielsku stuknąć się z waszmość panem szklenicą z okazji tego niespodziewanego spotkania.

Nustkorb zmieszany drapał się w brodę, a głowa mu aż spotniała.

— Ciężki mój los, bardzo ciężki...

Wstał, pożegnał się z panem domu i palestrantami, po czym niepewnym krokiem wyszedł. Görgey odprowadził go do powozu zaprzężonego w cztery wspaniałe ogiery. Hajduk burmistrza, Mátyás, siedział na koźle obok stangreta. Kiedy burmistrz już wsiadł, Görgey jeszcze raz wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Dobrej nocy życzę waszmość panu burmistrzowi i daj Bóg, byś jak najprędzej znów dostał się w moje ręce.

— Dobranoc — odpowiedział burmistrz — i bacz, wasza wielmożność, byś się w moje ręce nie dostał, gdyż skończyłoby się to całkiem inaczej.

Na wschodzie zaczęło szarzeć. Samo słońce jeszcze się nie wyłoniło, tylko skrawek purpurowego płaszcza zaczął rozpychać chmury.

— Kukuryku! — zapiał gdzieś w podwórzu kogut o zadziornym głosie.

Rozdział trzynasty

(ZMARŁY BURMISTRZ PO RAZ OSTATNI SIĘ PORUSZA)

Ze strony Görgeya pojawienie się w ogrodowej gospodzie miejskiej było zuchwałym przedsięwzięciem, ale musiał to uczynić, i to nie po raz pierwszy. Świętej pamięci Darvasowie z Osgyánu za obopólną zgodą pozostawili cały swój majątek małoletniej Rozalii Görgey, tymczasem Darvasowie z Abaúj, wywodzący się z tej samej linii co zmarli bezpotomnie Darvasowie z Kishontu, zaskarżyli testament do sądu. Procesu co prawda nie wygrali, ale się wywiedzieli, że Görgey gdzieś ukrywa córkę, a chytry doradca prawny chcąc mu dokuczyć (albo też uwierzywszy w to) rozpoczął drugi proces wnosząc, że Rozalia Görgey w ogóle nie istnieje albo też już nie żyła wówczas, kiedy Darvasowie zmarli, a więc nie mogła po nich dziedziczyć. Co się z nią stało, czy umarła, czy co innego się zdarzyło, o tym Darvasowie z Abaúj nie mogli się wypowiedzieć, ale twierdzili z całą pewnością, że zniknęła z Osgyánu jeszcze przed śmiercią obojga Darvasów i od tego czasu nikt jej nie widział.

Założywszy, choć nie przyznając, że dziewczynka żyje, rodzina Darvasów i tak ma wielkie zastrzeżenia co do identyczności Rozalki, a właściwie nie tyle sami Darvasowie, co ich doradca, człek bez skrupułów. Ślina jego przewrotnego języka z reguły opluwa (dobrze potrafi celować) najwrażliwszy punkt i pali jak żrący ług. Czyż nie przytoczył w aktach, że wymieniona Rozalia Görgey jako noworodek była karmiona piersią Jánosowej Görgey razem z jej nieco wcześniej urodzoną córeczką, a ponieważ jedno z niemowląt zmarło, już w tym momencie powstaje wątpliwość co do identyczności Rozalii. (Och ty łotrze, kauzyperdo, jaki diabeł ci to podpowiedział?) Już wtedy mogło dojść do oszustwa.

Dla każdego rozsądnego człowieka były to tylko wykrętne argumenty prawne, ale Pála Görgeya raniły w samo serce. Sąd w ogóle nie wziął pod uwagę tej okoliczności i ograniczył się do wyjaśnienia, czy wymieniona Rozalia Görgey żyje, czy też nie; postanowił więc, by świadkowie mogący udowodnić jej tożsamość stawili się wraz z nią osobiście przed sądem.

Niewdzięcznym zadaniem było w tych krytycznych czasach obalić całą skomplikowaną budowlę ukrycia Rozalki. Ale tak dużej fortuny nie można było odrzucić. Nie mówiąc już o tym, że żupanowi przydałyby się jakieś nowe dochody, gdyż spór z Lewoczą nadwreżył jego kieszeń.

Dowiedziawszy się o postanowieniu sądu, wezwał do siebie bratanka.

— Powiedz, Gyuri, czy znasz niejaką pannę Rozalię Otrokocsy?

Młody człowiek zaczerwienił się.

— Czemu się pytasz, stryj aszku?

— Dowiesz się. Pytam, czy ją znasz?

— Z widzenia.

— Co to za osoba? — dopytywał się Görgey z miną pozornie obojętną.

— Najśliczniejsza panna w Lewoczy.

Żupan popatrzył na niego podejrzliwie, czy przypadkiem czegoś nie wie albo się nie domyśla, ale na twarzy młodzieńca malowała się taka uczciwość i szczerłość, że chytrość by się na nich potknęła.

— Może ci się podoba? (Gyuri jeszcze bardziej poczerwieniał.) Co to za familia, co wiesz o tych Otrokocsych?

— Nic nie wiem — odpowiedział młody człowiek.

— Za to ja wiem. Ta panna to twoja stryjeczna siostra.

— Moja stryjeczna siostra?

— Tak, moja córka, Rozalka.

Gyuri stał z otwartymi ustami. Görgey wyjaśnił, czemu ją pod przybranym nazwiskiem umieścił na pensji panny Klöster i czemu należy sekretu w dalszym ciągu dochować. Wtajemniczył także bratanka w komplikacje procesowe i dlatego stało się palącą potrzebą, by Rozalka stawiała się przed sądem w Koszycach w towarzystwie świadków mogących poświadczyć jej identyczność. Zlecił młodemu człowiekowi, by odwiedził Rozalkę, przekazał jej list i polecenie przygotowania się do drogi. Zgłosi się po nią stary Quendel i pod pretekstem, że rodzice chcą ją mieć na kilka dni u siebie, zawiezie do Koszyc.

— Byłbym ci bardzo zobowiązany — powiedział na zakończenie żupan — gdybyś i ty wybrał się tam, rzecz jasna, osobno, i w razie potrzeby dopomógł im w Koszycach.

Gyuri skłonił się.

— Uczynię wedle twych rozkazów, mości stryju.

Tak się też stało. Quendel zabrał Rozalkę z pensji i w obecności świadków z Osgyánu (wśród nich był także imć pan Varga z żoną) zostało udowodnione w sądzie, że Rozalia Görgey żyje i przyjmuje zapisany spadek.

Görgey już wtedy przewidział, że nim się proces spadkowy zakończy, konieczny będzie niejeden podpis poświadczony przez świadków i trzeba będzie różne sprawy omówić. W tym celu nakłonił wiernego arendarza Quendlowskiej gospody, imć pana Kárásza, żeby w Görgő pozostawił zastępcę, sam zaś wziął w arendę karczmę w lewoczańskim ogrodzie. Takim to sposobem żupan miał możliwość spotkania się z Rozalką, gdy tego wymagały okoliczności i gdy zdołał porozumieć się z Quendlem, gdyż on był jedyną osobą uprawnioną do zabierania jej z pensji.

Podobnie odbyło się opisane poprzednio spotkanie. Imć pan Quendel przyprowadził Rozalkę do gospody (to on był owym cierpiącym na ból zębów rękodzielnikiem), później zjawił się także Gyuri Görgey i obaj powrócili z nią do miasta, po złożeniu potrzebnych podpisów i omówieniu dalszych kroków procesowych.

Wtedy to Görgey, uszczypnąwszy córkę w policzek, zapytał:

— I cóż, kiedyż to waćpanna zjedzie do domu?

— Od pana ojca zależy — odpowiedziała schylając posłusznie głowę.

— Wobec tego już teraz. Zabiorę cię z sobą.

Rozalka zbladła.

— Aha! Przestraszyłaś się, prawda? No, to ślicznie. Moja panno, na pewno już sobie znalazłaś wielbiciela.

Rozalka pokraśniała, odwróciła oczy i milczała.

— Nie, nie, ja tylko żartowałem — ciągnął poważnie żupan. — Pozostań tam jeszcze jakiś czas, ale mam nadzieję, że to już nie potrwa długo, zbliża się pora, kiedy będziesz mogła zamieszkać w domu.

To wszystko nie miało szczególnego znaczenia w oczach obecnych ani też to, że przyjrząwszy się długo i w milczeniu Rozalce z boku i na wprost, tak się odezwał do Quendla:

— Popatrz, stary, ale dobrze się przyjrzyj, ile jest podobieństwa między tym ciotecznym rodzeństwem.

Stary Quendel popatrzył na młodzieńca, jakby go teraz po raz pierwszy zobaczył, po czym potrząsnął przecząco głową:

— Ja tam nic nie widzę.

Któż by się tym przejął? Często jakieś słowo wydaje się rzucone na wiatr, a w istocie jest ciężkim kamieniem, który znękana dusza stara się za wszelką cenę strącić.

Tak się tedy odbyło owo spotkanie w karczmie i zakończyło w niemal wesołym nastroju dla

wszystkich, z wyjątkiem Biboka. Görgey był zadowolony, gdyż potrafił nad sobą zapanować, burmistrz także mniemał, że tanio się wywinął, żołdacy zaś z pewnością znaleźli złoto, gdyż nie pokazali się już w Görgő.

Tym niemniej trzeba przyznać, że jeśli chodzi o Nustkorba, żupan nie mógłby wymyślić gorszej kary, nawet gdyby go wsadził do piekła. Tam bowiem płonąłby dla niego ogień pod jednym kotłem, tu zaś rozgorzało całe miasto. Jak pożar rozniosła się lotem błyskawicy wieść — najpierw tłąc się wolniutko, potem już z trzaskiem i coraz prędzej — widocznie szerzona przez palestrantów komitackich — że burmistrz Lewoczy w ubiegły wtorek wieczerał w Görgő z żupanem. Popijali i dyskutowali do białego ranka. W mieście zaszumiało jak w ulu. Czy to możliwe? Czy jest Bóg na niebie, że się takie rzeczy dzieją? Najbardziej zrównoważeni Sasi wygrażali pięściami. Niewiasty chciały drzeć na sobie szaty (te czarne). Zdrajca nam każe przez tyle lat nosić żałobę, a sam po cichu urzęduje z Görgeyem hulanki! Całe miasto wrzało niezadowolaniem. Na murze domu Nustkorbów przylepiano paszkwile, wybijano szyby, wieczorami podniecona ciżba zbierała się pod oknami improwizując kocią muzykę. Wśród motłochu można było także dostrzec siwe głowy szanowanych mieszczan, a na dużym rynku rozlegały się okrzyki: Nustkorb precz z urzędu! Jazda do Görgő!

Pod naciskiem opinii publicznej rada musiała się wtrącić i wezwała imć pana burmistrza, który nie śmiał się w ogóle ruszyć z domu, aby zwołał nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej. Rada też chce się dowiedzieć, ile jest prawdy w tej gadaninie. Czy rzeczywiście w ubiegły wtorek wieczerał z Görgeyem?

Imć pan Nustkorb przyznał, że był na wieczery w Görgő, ale *vi coactu*.

Imć pan Bibera zerwał się rozsierdzony, parszcząc jak kot:

— Jak można kogoś zmusić do spożycia wieczery? Tylko gęsi siłą się tuczy!

— Należy to tak rozumieć, że byłem na tej wieczery nie jako przyjaciel żupana, lecz jako więzień.

To wprawiło panów rajców w osłupienie. A to co nowego? Co też waszmość nam tu opowiada? Gdzie? Kiedy? W jaki sposób? Przecież to rzecz niemożliwa.

Wtedy imć pan Nustkorb krótko opowiedział, że udał się dla dobra miasta do karczmy w ogrodzie miejskim na spotkanie z pewnym obcym człowiekiem, przez ostrożność umówił się na godziny wieczorne, ale teraz nie chce zagłębiać się w szczegóły. (Okrzyki: Wiemy! Wiemy!) Ograniczy się do tego, że już wychodząc z ogrodu niemal w bramie natknął się na kogoś. Kto to był? Sam żupan Görgey we własnej osobie. (Niespokojne poruszenie. Okrzyk Bibery: Co on tam robił?)

— Tego nie wiem — zachnął się burmistrz. — Nie wyjawiał mi tego. Idź waść sam i zapytaj, może odpowie.

Teraz już bez przeszkód imć pan burmistrz opowiedział, jak się rzucał na żupana, żeby go schwytać żywego, podczas szamotania krzyknął na hajduka Mátyása Platza, ale nim ten podbiegł, żupan dmuchnął w gwizdek, czemu w żaden sposób nie dało się przeszkodzić. Na to gwizdnięcie ze wszystkich stron nadbiegli ukryci w zaroślach żołdacy żupana i, pojmannwszy jego i hajduka, zawiedli ich do Görgő. — Tam zaś kierowany fantazją, zamiast mnie wtrącić do lochu, kazał z sobą spożyć wspaniałą ucztę, a po wieczery czterokonnym powozem odesłał do Lewoczy. Nic na to nie mogłem poradzić.

— Postąpił po wielkopańsku, trzeba to przyznać — mruknął pod nosem Donát Mauks.

— Istotnie waść tu nie zawiniłeś, mości burmistrzu — orzekli panowie rajcowie rozważywszy dokumentnie całą sprawę. — Teraz jednak musisz się zastanowić, jak tę wieczereę strawić, bo całe miasto aż się jeży.

* porwany siłą (łac.)

— Pogłaszczemy je na uspokojenie — oświadczył pewny siebie burmistrz — gdyż mam na to sposób. (Poklepał się przy tym po kieszeni.)

— Zaiste, coś należy uczynić, i to *citissime* — dorzucił rozsądny rajca Mostel.

W ratuszowej piwnicy natomiast, gdzie zwykle po każdej naradzie panowie rajcowie opróżniali szklenice dla przypieczętowania powziętych postanowień, młody Fabricius nawet nie starał się ukryć, że w jego oczach położenie wygląda ponuro. Jako że wino rozwiązuje język, rzucał aluzje w tym duchu, że imć pan burmistrz uczyniłby najlepiej dla godności miasta, gdyby nie naśladował krzyku orła, lecz zachował się jak ślimak, „Który miękkie różki wciąga do swej chałupki”. Inaczej mówiąc, dzielny młodzieniec podsuwał myśl o rezygnacji burmistrza. Był bowiem przywódcą grupy nieprzejednanych i żywił obawy, że gniew ludu miejskiego stopniowo ostygnie i obelga wyrządzona przez Görgeya przyschnie na wieki do honoru miasta. W uczynku Görgeya bowiem widział nie tylko nieprzemyślany odruch jego gwałtowności, lecz taką samą pogardę dla mieszczan, jaką żywiła cała pyszałkowata szlachta.

Imć pan Kripélyi wychyliwszy czwartą szklenicę wina przychylił się do zdania Fabriciusa.

— Dobrześ rzekł, panie bracie. Miastem winni teraz rządzić nie roztropni mężowie, lecz gniewni.

I rzeczywiście imć pan Nustkorb był teraz rozgniewany, przynajmniej na Fabriciusa i Kripélyiego.

— Nie można głową przebijać muru. Powiadacie, że miasto aż szumi. Czynię swoją powinność wedle własnego sumienia i nic mnie to nie obchodzi. Co z tego, że tłum szumi? Wasze uszy są winne, a nie tłum. Czyż bowiem muszla nie szumi, jak ją przytknąć do ucha? Jeśli zaś zechcecie zobaczyć, co w niej szumi, to się przekonacie, że jest całkiem pusta.

Fabricius pokiwał głową.

— Wobec prawdy każde porównanie kuleje, mości burmistrzu.

— Żadne porównanie nie kuleje tak jak obecna prawda waszmości wobec wszelkich porównań — odparował Nustkorb.

Imć pan Nustkorb dobrze umiał władać językiem.

— Ciekaw jestem dlaczego — zapytał uszczypliwie Fabricius.

— Po prostu dlatego, drogi chłopcze, że gdyby waści nie było na świecie, tobym nie stanął do walki z Görgeyem, a raczej nawet bym go nie spotkał.

— To się stało przeze mnie?

— Przez kogoś, kto jest waści miły.

Fabricius zamyślił się.

— Co waszmość chcesz przez to powiedzieć? — spytał zmieszany. — O kogóż to chodzi?

— O śliczną dziewczynę, może najpiękniejszą na świecie, he he he.

Teraz z kolei imć pan burmistrz śmiał się uszczypliwie. Fabricius był najwyraźniej zdenerwowany i uderzył dłonią w stół.

— Dość tego. Gadanie waszmości nijak mi się nie podoba.

— Mości panie rajco, bacz na swe słowa — upomniał go z godnością Nustkorb. — Mówisz do burmistrza miasta Lewoczy.

Fabricius opanował się, pokornie schylił głowę i uderzył się w piersi.

— *Mea culpa*. Wybacz, mości panie burmistrzu, gorąca krew mnie poniosła.

Nustkorb położył mu rękę na głowie i wzruszonym głosem rzekł:

— Taka jest miłość, synu. Rozpoznaję ją w tobie. I ja kiedyś byłem młody... Nie mówmy o tym, jam nic nie rzekł. Napijmy się jeszcze tego dobrego czerwonego wina. Trzeba jednak przedtem coś zjeść, żeby wino miało podkład. (Zawołał karczmarza.) Przynieś acan gomółkę dobrej bryndzy!

Skosztowali bryndzy, żeby wino miało po czym się wśliznąć, popili, rozmawiali o tym i owym, ale Fabricius był milczący, jakby mu kto mowę odjął. Odezwał się dopiero o wiele później, gdy służa Nustkorbów przyszła z surowym poleceniem jejmości burmistrzowej. Przeszła się uwarzona strawa, imć pan burmistrz niech zaraz wraca do domu albo niech jedzie na obiad do Görgó, biada takiemu miastu, którego sprawy załatwia się w winiarni.

W takich wypadkach Nustkorb zżymał się, ale wstawał i szedł do domu. Nikt mu tego nie miał za złe, gdyż pozostali członkowie rady także się rozchodzili pod przemożną domową presją.

Tym razem jednak burmistrza ogromnie oburzył ordynans małżonki, by pojechał na obiad do Görgó, gdyż wywołało to wesołość obecnych, a przynajmniej uśmiechy pod zawieszonymi wąsami rajców. Chętnie by wymierzył z miejsca policzek rumianemu rajcy Kätchenowi, ale „dalekowzroczność”, z której zawsze słynął, nakazywała umiar, wobec czego ograniczył się do gorzkiego westchnienia i ruszył do domu. Raz i drugi ze świstem machnął trzymaną w rękę trzcinką, a w sercu wrzał gniew. Co takiego? I żona także? Poczekaj!

Nie zauważył nawet kroczącego obok Fabriciusa, póki nie usłyszał jego głosu.

— Teraz jesteśmy sami, mości burmistrzu, powiedz mi zatem to, o czym napomknąłeś w piwnicy ratuszowej.

— Hm... — wybąkał niechętnie. — Że tego... Mam powiedzieć? Lepiej, bym nic nie mówił. Mniemam, iż tak będzie roztropniej. A jeżeli mam coś rzec, to ci rzeknę, byś się nie żenił, synu. Nie jestem złym człowiekiem i nie dam ci złej rady.

Fabricius chwycił go za rękę i ścisnął z taką siłą, że burmistrzowi omal krew nie wytrysnęła spod paznokci.

— Możeś coś słyszał?

— Hm, owszem, coś niecoś. Ale puść moją rękę.

— O Rozalii? — dopytywał się martwym, drżącym głosem.

— Tak, o niej.

— Nie zabijaj mnie waść, mów prędko.

— W karczmie ogrodowej na pięterku, gdzie się z owym człowiekiem targowałem co do ceny dokumentu, z sąsiedniej izdebki dochodziły odgłosy kroków i rozmowa. Zaniepokojony zapytałem, co tam się dzieje. Ów człowiek odpowiedział, że to schadzka miłosna. Jako że w kontrakcie z Kárászem twardo jest zastrzeżone, iż nie ma prawa na to pozwalać, zacząłem owemu zadawać krzyżowe pytania, żeby się wywiedzieć, kto tam jest. Odrzekł, że tylko niewiastę widział, jak wchodziła po schodach, i że jest nią Rozalia Otrokocsy.

Młody rajca zbladł.

— Nikczemna potwarz — wycharczał wściekły.

— Jam był tego samego zdania — mówił dalej burmistrz — i jeszcze teraz... chociaż...

— No, mów waść, muszę ten puchar do dna wychylić, żeby go potem komuś rzucić w twarz. (Oczy miał przekrwione, a ręce tak mu drżały, jakby trzymał sito i coś przesiewał.)

— Wychodząc i ja widziałem wymykającą się kobiecą postać, naturalnie jej nie poznałem, nie miałem pojęcia, kim jest, natomiast...

— Jeszcze coś wiesz? — syknął młodzieniec.

— Znalazłem po jej przejściu różę, która widocznie wypadła z jej włosów, różę georginię.

— Kiedy to było? — zapytał ponuro Fabricius.

— We wtorek późnym wieczorem. Sprawa mnie właśnie z twego powodu zaciękała, toteż postanowiłem poczekać u wyjścia z ogrodu, żeby spojrzeć w oczy bohaterowi miłosnego spotkania, o ile się nie oddalił wraz z niewiastą. Doczekałem się nadejścia żupana Görgeya, który widocznie także przebywał w gospodzie. Wydaje mi się, że odbywał naradę z tym szubienicznikiem Kárászem. W swoim czasie ostrzegałem, by mu nie dawać w arendę ogrodowej

karczmy, bo się kuma z komitatowymi ludźmi. No, jestem na miejscu. Popatrz, przyjacielu, co z mego domu zrobiono!

Wszystkie trzy okna od strony ulicy były wybite, a ściany zapaprane paskudnymi napisami i rysunkami. Najtrudniejszym do zniesienia konterfektem była jednak żywa głowa jejmość pani Nustkorbowej, zdobna w biały czepiec. Gniewnym wzrokiem spod ściągniętych brwi wpatrywała się w ulicę. Miała krótki wzrok i nie dostrzegła jeszcze małżonka, ten ją jednak zobaczył i starał się odprawić młodzieńca, żeby nie był świadkiem jakichś nieprzyjemnych epitetów. Podał mu rękę.

— Tu się pożegnamy, młody przyjacielu.

— Nie odejdę, dopóki mi waszmość nie powiesz, gdzie znajdę owego człowieka — rzucił zdyszonym głosem Fabricius, a dłoń, którą ujął Nustkorb, była rozpalona jak żelazo w kuźni.

— Jakiego człowieka?

— Owego obcego z Białej, który widział wchodzącą tam Rozalkę.

— Trudno będzie go znaleźć.

— Odszukam go, choćby był pod ziemią — odpowiedział młodzieniec zawziętym tonem.

— O właśnie, jest w Görgő, w którymś z zamkowych lochów.

— I tam dotrę — oznajmił Fabricius i tak wałnął pięścią w słup podtrzymujący podcienie domu Nustkorba, że odpadł z niego płat tynku.

Odwrócił się i jak wichher przebiegł obok straganów i budek bednarzy, a Nustkorb spoglądał za nim zafrasowany. — Chyba zbyt głęboko wbiłem w niego ostrogę — mruknął i krzyknął za nim:

— Nie działaj zbyt pochopnie! Łatwiej przecież od koszuli się dowiedzieć, jak bije serce, niż od opończy.

Fabricius udawał, że nie słyszy. Przechodnie pozdrawiali go unosząc czapki i kapelusze, nie odpowiadał na powitania. Gadał sam do siebie i gwałtownie gestykulował. Ludzie szeptali jedni do drugich:

— Chyba wstał dzisiaj lewą nogą. Albo też coś się wydarzyło w radzie miejskiej.

W radzie niewiele się co prawda zdarzyło, ale nawet ta odrobina dała pole do puszczenia w ruch fantazji. Wyjawiona prawda o wspaniałej uczcie w Görgő dzięki szczegółowi, że Nustkorb nie był gościem, lecz więźniem żupana, całkiem inaczej naświetliła wydarzenie.

Całe miasto gubiło się w domysłach, co żupan robił w miejskim ogrodzie? Czy po to się tam udał ze zbrojnym komputem, żeby pojmać imć pana burmistrza? Jeżeli rzeczywiście chciał go uwięzić, to czemu go potem wypuścił? To także była zagadka nie do rozwiązania. Ale jeśli Görgey wybrał się tam z zamiarem pojmania Nustkorba, to wciąż jeszcze pozostaje druga zagadka mogąca przyprawić człowieka o obłęd, po co burmistrz wybrał się tam ciemną nocą, przecież wiadomo, że ma zwyczaj chodzić spać z kurami. Chyba nie po to tam poszedł, żeby się dać schwytać! Tylko trzech czy czterech wtajemniczonych rajców znało powód zagadkowej wyprawy burmistrza, ale i oni podejrzewali, że jakiś szpieg znacznie wcześniej powiadomił żupana o tym zamiarze, ten zaś spieszenie wyruszył ze swoją drużyną. Kto mógł być tym szpiegiem, no, kto? Może ten sam — myśleli wtajemniczeni — od którego Nustkorb kupił ów dokument? Jeżeli tak było, to podstęp był niewiarygodny! Sprzedał dokument Nustkorbowi, Nustkorba sprzedał Görgeyowi, ów zaś w ten sposób dokument odzyskał... Ale nie, bo przecież Görgey puścił Nustkorba do domu i nie odebrał mu dokumentu. Tego żaden ludzki mózg nie jest w stanie rozwiązać.

Tymczasem zachowanie się Görgeya życzliwie nastroiło szerokie warstwy ludności. Trzeba przyznać, że z niego prawdziwy pan. Pojmał burmistrza, mlekiem i miodem uraczył, potem czterokonnym powozem odesłał do domu. Jednym słowem, okazał miastu szacunek. No cóż, to

nie jest zły człowiek. Tylko ci, którzy lubią przesadzać, ci, co trzymają z Fabriciusem, argumentowali i teraz przeciwko niemu, że to jest nowe poniżenie dla miasta. Tak jakby mówił: „Miałem w rękach waszego burmistrza, mogłem z nim zrobić, co chciałem, ale go wam oddaję, zjedźcie go sobie albo zróbcie z nim, co wam się podoba, bo nie boję się ani jego, ani was.”

Wszystko jedno. Mogli wmawiać w mieszkańców miasta różne różności, a jednak spod wymuszanej urzędowej nienawiści zaczęła kiełkować pewna sympatia dla Görgeya. Kasztelan Grodkovszky w tym czasie wysłał właśnie do Görögó umyślnego z relacją o różnych sprawach i w postscriptum do żupana dopisał: „Ugoszczenie pana burmistrza i odprawienie go z Görögó do domu wielkie *gaudium* tu wywołało i wiele dobrego nastroju, co powiedziawszy, chociażem ni zielona żabka, ni pogański czarodziej, ni prorok (ostatnim był chyba Habakuk), muszę rzec, iż nienawiść do waszej wielmożności wyparuje niebawem niczym gotująca się woda w saganie. Mniemam, iż w niedługim czasie będziesz wasza wielmożność mógł wjechać do miasta bez nijakiego *periculum* albo nawet przy wiwatach i wkroczyć do siedziby komitatu, skąd nie strach, ale mądrość nakazała ci banicję. Ale już i mądrość czuje w nogach podagrę. *Datum et supra.*”

To, co wyszło spod pióra imć pana Grodkovskiego, kołatało się także w bystrym rozumie burmistrza. Ziemia zaczynała mu się palić pod nogami, czuł, że musi działać.

Miasto posiadało winnice na tokajskich górach. Pod pozorem dopatrzenia, czy wycięto dziczki i podwiązano owocujące pędy, wyjechał z Lewoczy i udał się prosto do Sárospataku, gdzie przebywał dwór księcia.

Nie z pustymi rękami się wybrał: miał przy sobie dokument kupiony od Biboka oraz złotą ostrogę, którą w ubiegłym roku pasąca się pod lasem świnia ryjem wygrzebała z ziemi. Świniarz przyniósł ją do ratusza i została przez wszystkich uznana za ostrogę króla Światopelka.

Ostroga była mu potrzebna, gdyż imć pan Nustkorb zamierzał wystąpić jako dyplomata. Do samego Rakoczego nie mógłby i nawet nie chciał się dostać. Wiadomo było, że książę nie lubi takich spraw. Niejednokrotnie mawiał ze smutkiem do deputacji, które przybywały z oskarżeniami i podejrzeniami wobec różnych osób: „Zdrajców nie potrzeba sztucznie hodować, albowiem sami licznie się rodzą.”

Księcia można było tylko pośrednio do czegoś nakłonić. Dlatego Nustkorb zamyślał pozyskać jakiegoś wpływowego patrona i jeszcze w domu upatrzył sobie do tej roli wielkiego ochmistrza dworu, Györgya Ottlyka. Dla niego wiozł ostrogę wraz z pokorną suplikacją skierowaną przeciwko żupanowi Pálowi Görgeyowi, odmalowującą krzywdę wyrządzoną miastu Lewoczy. Adresatem był György Ottlyk nie tylko dlatego, że słynął jako namiętny zbieracz różnych rzadkich przedmiotów, ale że był on jedynym ziomkiem na dworze księcia. Drugi, podkanclerz Zsigmond Jánoky, teraz właśnie niedomagał.

Ochmistrz był wielkim panem o wytwornych manierach i gładkiej mowie, a uśmiech miał wręcz urzekający. Mówiono, że w tej wąsatej, żywej postaci mieszka dusza pięknej kobiety. Życzliwie przyjął Nustkorba, ostrogę i petycję, która w pięknym stylu przedstawiała, jak żupan postawił miasto w trudnej sytuacji przez zamordowanie burmistrza. Od tego czasu panuje ni to pokój, ni wojna, nieszczęsna rada miasta nie ma wpływu na ludność, odwrotnie, jest stale przez mieszkańców nakłaniana do zemsty i przez to nie ma siły do żadnej pożytecznej działalności. Nie może się zemścić ani też zapomnieć. To tak jak ze spuchniętą nogą, w której tkwi kolec. Tak więc miasto zwraca się z uniżonym błaganem do księcia miłościwie nam panującego, do wielkiego wodza węgierskiego Izraela (sic), aby swą najwyższą mądrością zechciał ten kolec usunąć i przychylnie spojrzeć na swych wiernych poddanych. Należy wspomnieć, że wymieniony wyżej żupan Görgey nie jest wcale „koszerny” (sic), na dowód czego, jako wierni stronnicy miłościwie nam panującego księcia, w załączeniu przedstawiamy rozkaz, który wydał w samych początkach tej świętej wojny jednemu ze swych zbirów; nie zawahał się wystąpić

przeciwko własnemu bratu, kiedy ten ze zbrojnym oddziałem i furgonami załadowanymi bronią spieszył ku polskiej granicy.

Imć pan Ottlyk z roztargnieniem słuchał rozwlekłych wyjaśnień dotyczących faktów opisanych w petycji, ale z zainteresowaniem oglądał ostrogę, jak przystało na prawdziwego zbieracza. Następnie wyraził wątpliwość, czy mogła należeć do Swiatopełka, gdyż ten z całą pewnością chodził w łapciach. Zlecił burmistrzowi, by przeprowadzono dalsze poszukiwania w tym miejscu, gdyż obojętne, z jakich czasów pochodzi znaleziony przedmiot i jakiego ludu jest wytworem, ludzkość zawsze chodziła na dwóch nogach, wobec czego powinna się w pobliżu znajdować druga ostroga. Gdyby coś znaleźli, niech zaraz zawiadomią księcia. A co do prośby Lewoczy, to przedstawi ją ze słowami poparcia łasce jego książęcej mości. Następnie zyczliwie odprawił lewoczańskiego burmistrza.

Powróciwszy do domu Nustkorb chwalił się na wszystkie strony, że doprowadził do porządku miejską winnicę i pełen najlepszej nadziei oczekuje winobrania.

Zaiste, po kilku tygodniach nadszedł wynik opatrzony pieczęcią panującego. Imć pan Nustkorb drżącą ręką zerwał pieczęć. Z rulonu wyleciała petycja złożona przez burmistrza wraz z załącznikiem, a na odwrocie książę własnoręcznie napisał:

„Inkryminowaną wielmożnemu żupanowi Görgeyowi sprawę kazawszy sobie przedstawić i zbadawszy ją, jesteśmy zdania, iż pojmanie brata podyktowane było bardziej braterską miłością niż wrogimi zamysłami, czy to wobec rodzonego brata, czy naszej osoby, albowiem ordynans pojmania nie rozciągał się ani na naszego stronnika imć pana Tamása Eszego, ani też na furgony wiozące proch i broń. Tym samym dał dowód uczciwych wobec nas zamiarów tudzież wierności. Jako że zatrzymaliśmy w naszym obozie jego hajduków i konie, dla wyrażenia naszej życzliwości ślemy teraz w podarunku jednego z najpiękniejszych ogierów naszej stajni w Pataku wraz z bogatym rzędem. Dostarczenie ogiera powierzamy imć panu Segennyeyemu. Miastu Lewoczy natomiast radzimy, by się pogodziło ze swym losem i nie szukało nowych wrogów, gdyż ma ich pod dostatkiem.

F. P. Rakoczy.”

Książę w pośpiechu własnoręcznie napisał odpowiedź na odwrocie petycji. W kancelarii zaś z lenistwa nie przepisano jej i nie nadano woli panującego odpowiedniej formy. Po prostu imć pan Aszalay podpisał się i postawił datę: *Sárosptak, anno 1707, Julii 18*. Potem zwinął wszystko w rulon i posłał burmistrzowi Lewoczy.

List przywiózł ten sam konny, który prowadził pięknego wierzchowca do Görgő. Ależ to był wspaniały rumak, nawet najmniejszej wady nikt by się w nim nie doszukał. Czarny jak aksamit, o smukłych, zgrabnych nogach niczym kasztelanka, a oddech miał gorący jak smok.

Po przeczytaniu pisma imć pana Nustkorba ogarnęło takie wzburzenie i zawrót głowy, że obawiano się ataku serca. Na szczęście list zastał go w domu i natychmiast posłano do znajdującej się w sąsiedztwie łaźni miejskiej po balwierza, który puścił mu krew, podczas gdy jejmość pani burmistrzowa stale zmieniała małżonkowi na skroniach okłady z ręczników maczanych w zimnej wodzie.

Powoli, powoli przyszedł do siebie i przeklinał pomysł jazdy do Pataku, bo dzięki niemu Görgey dostał tak cenny upominek. Boże wielki! Ależ będzie śmiechu w Lewoczy, jak się o tym ludzie dowiedzą!

Ale się nie dowiedzą. A przynajmniej nie dowiedzą się, że kary ogier od księcia Rakoczego jest odpowiedzią daną Lewoczy. Nie powie tego nikomu, raczej pozwoli się poćwiartować. Jeżeli ma się to wydać, to nie teraz, ale znacznie później, kiedy nie będzie mogło zaszkodzić. Bo przecież Nemezis nie śpi i musi dopaść Görgeya, to tylko kwestia czasu. Dopadnie go tym

bardziej, że teraz jej się wywinął. Ostroga Światopełka nic nie wskórała. A przecież wygrzebała ją świnią, należało sądzić, że przyniesie szczęście. No tak, jeśli spojrzeć z drugiej strony, to istotnie przyniosła szczęście, ale Görgeyowi. Hm, napisane słowo może się jednak okazać śmiertelne. Żupan wyszedł co prawda czysty jak lilia po zanurzeniu w kuruckim sosie, ale chciałbym wiedzieć (to znaczy Nustkorb chciałby wiedzieć), jak będzie wyglądał, gdy się go zanurzy w labanckim sosie. On, Nustkorb, uczyni to, żeby nie wiem co, choćby miał nawet sięgnąć do własnych talarów. Sposób na to ma, gdyż księżęca kancelaria (ładne tam panują porządki!) przez pomyłkę albo niedbalstwo odesłała przy piśmie rozkaz pojmania Jánoša Görgeya, można więc z tym próbować szczęścia w Wiedniu.

Żona imć pana Nustkorba pochodziła ze sławnej mieszczańskiej rodziny Studentów. Prawdziwe ich nazwisko brzmiało Protmow, ale o tym w mieście niemal zupełnie zapomniano. Była to ongiś bogata rodzina, ciesząca się dużym mirem i wpływami na sprawy miasta, i do dziś dnia by tak było, gdyby jej członkowie się nie uczyli. Poświęcili się nauce i nauka zniszczyła rodzinę. Było to tak: pod koniec XVI wieku Jakub Protmow, zebrawszy jako handlarz bydlą ogromną fortunę, stworzył fundację, której dochody przeznaczył dla młodych Protmowów pochodzących z Lewoczy, tak że każdy uczący się, od początku pobierania nauk aż do ich ukończenia, otrzymywał dwa tysiące złotych dukatów rocznie. A że Protmowowie trudniący się dotychczas handlem i rzemiosłem mieli wrodzone zamiłowanie do pieniędzy, więc zaczęli teraz naukę w wieku lat sześciu i kontynuowali ją w różnych miastach, krajach i uniwersytetach do ostatnich granic ludzkiego życia, umierając jako studenci bezpotomnie gdzieś daleko w świecie, w Padwie, Bolonii, Getyndze, Lipsku, Halle czy też diabli wiedzą gdzie.

Obecnie żyło już tylko trzech Protmowów. Jeden z nich tak długo się uczył, póki nie zwariował, i nie wiadomo gdzie się po świecie wałęsał, drugi bez przeszkód studiował na różnych uniwersytetach (no cóż, dwa tysiące dukatów to dużo pieniędzy), trzeci zaś, István, mieszkał w Lewoczy i był czymś w rodzaju urzędnika-wolontariusza w magistracie pod pretekstem, że studiuje administrację miejską. Inaczej mówiąc, uczył się i otrzymywał owe dwa tysiące dukatów. Był zresztą wykształconym człowiekiem, dużo wiedział i znany był z przebiegłości. Jego siostrą była Borbála, żona Nustkorba. István Student do czterdziestego roku życia studiował w wiedeńskich szkołach, znał doskonale tamtejsze stosunki, jego więc wybrał burmistrz, aby pojechał do Wiednia i poprzez dawnych szkolnych przyjaciół, którzy obecnie zajmowali poważne stanowiska w Burgu, doręczył pokorną lewoczańską petycję jego cesarskiej mości, naturalnie w odpowiednim sosie. Teraz zostało podkreślone, że chociaż Jánoš Görgey z Tamássem Esze wieźli proch i broń do polskiej granicy z przeznaczeniem dla wojsk Rakoczego, to jednak spiski żupan nie uważał za stosowne zatrzymać furgonów i Eszego lub przynajmniej donieść o tym cesarzowi, toteż od Rakoczego otrzymał w nagrodę pięknego karego ogiera z rzędem nabijanym złotem.

Imć panu Istvánowi Studentowi zadanie przypadło do gustu, jako że lubił powtarzać, iż jego umysł jest nastawiony na dyplomację; odpowiednio zaopatrzony w talary ruszył po kilku dniach do Wiednia „Molitoriszem” pod szczególną opieką imć pana Klebego. Zatrzymał się w gospodzie „Pod Dwoma Gąsiorami” na Ringu i zabrał się do swej pajęczej roboty. Już po dwóch tygodniach napisał, że poznał pierwszego lokaja jego cesarskiej mości, który co dnia ubiera monarchę. W połowie września wysłał wiadomość, że pismo Görgeya nakazujące pojmanie brata wraz z wiernym opisem wydarzenia leży już na cesarskim biurku. Ponieważ jednak biurko jako takie nie pracuje, a cesarz bardzo rzadko, imć pan szwagier musi się uzbroić w cierpliwość.

Szwagier czekał i czekał otrzymując różne uspokajające wiadomości, przesyłane ustnie za pośrednictwem ludzi z Lewoczy, a ułożone w sposób jasny dla Nustkorba, ale tak, by oni tego nie rozumieli. Na skrzypce założyłem nową strunę. Zasiane ziarno dojrzewa. Już ostrzę kosę. Można

będzie zdjąć suknie, zapona złamana. (Inaczej mówiąc, lewoczańskie niewiasty przestaną wkrótce nosić żałobne suknie.)

Nustkorb wszystko rozumiał i słał w podobny sposób wiadomości przez jeżdżących do Wiednia kupców. Żaby nieustannie skrzeczą. (To znaczy, że mieszczaństwo szemrze.) Koń podskakuje, błyszczą strzemiona. (Görgey bardzo jest pewny siebie.) W sąsiedztwie także popiskują myszy. (Czyli że i w komitacie odzywają się przeciwko Görgeyowi niezadowolone głosy.)

Istotnie byli tacy, którzy nie dawali spokoju Görgeyowi, żeby wreszcie zwołał sejmik komitacki do Lewoczy. Albo — albo. Powinien się pogodzić z wrogami albo rozstać z przyjaciółmi. Nic nie może trwać wiecznie. Nie po to przodkowie postawili w Lewoczy gmach komitatu, żeby się stał królestwem szczurów.

Zapowiadało się jakieś starcie. I z jednej, i z drugiej strony wrzało niezadowolenie. Nawet ślepy mógł dostrzec, że coś musi się stać. Powietrze było duszne i nastąpiła owa nabrzmiąta przerażeniem tajemnicza cisza, która w przyrodzie zapowiada burzę. Niewidzialne siły zdawały się wywierać nacisk na ludzi, by wreszcie doprowadzili do jakiegoś rozwiązania.

Czemu właśnie to było ważne? Działy się przecież rzeczy brzemiennie w nieszczęścia. Gościńcami dudniły wozy i armaty przemierzając cały kraj, białe namioty wykwitwały na polach a pstrągi pluskały się w czerwonych od krwi potokach. Ale na tym skrawku ziemi dominował zatarg z Görgeyem. Jak to możliwe? Jeden Pan Bóg wie. Może wtrącił się ów potwór, którego dotychczas nigdy i nigdzie nie usiłowano poskromić, potwór zwany Modą? Nakazano noszenie czarnych strojów, on zaś buntuje się i za karę zniszczy miasto Lewoczę wraz z całym spiskim komitatem.

Kiedy dochodziło już do wrzenia, na początku października niespodziewanie powrócił z Wiednia István Student, i to z wręcz ponurą miną.

— Siano czy słoma? — zapytał Nustkorb.

— Słoma.

Nustkorb zagapił się na szwagra szklanymi oczyma.

— Cóż się stało?

— Cesarz tak widzi sprawę, że Görgey z wierności dla cesarza nawet własnego brata chciał pojmać i że należy go wynagrodzić.

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Sam byłem zaskoczony, ale to fakt. Hrabia Trautmansdorf wysłała mu przez sekretarza nominację na radcę dworu. Przybędzie tu dzisiaj lub jutro.

Pan Nustkorb zwiesił głowę.

— To ja mogę odejść — oświadczył i od tej chwili popadł w absolutną apatię.

Siedział w domu z łokciami rozłożonymi na stole i głową na dłoniach, milcząc całymi godzinami i nie odpowiadając na żadne pytania. Nie był nawet smutny, tylko nic nie mówił. Porzucił dawne przyzwyczajenia, odłożył tabakierkę, nie sięgał nigdy do dzbana z winem, tylko od czasu do czasu sam do siebie mówił: „To ja mogę odejść.”

Dokąd to chciał odejść, dokąd? Jejmość pani burmistrzowa załamywała ręce, nawet szwagier był przerażony, że Nustkorb coś złego ma na myśli. Starannie pochowano wszelkie narzędzia i broń, którymi mógłby sobie zrobić krzywdę. Nic innego, tylko sam Belzebub w niego wstąpił. Trzeba go wykurzyć. Jejmość burmistrzowa usiłowała tego dokonać przez okadzenie dymem z macierzanki zwanej „materina duszka”, czyli „matczyna dusza”, aby zaś pobudzić zanikłą chęć

pozostania na tym świecie, dała mu wypić naparu z „ludzkich serc”. *

Widocznie okadzenie i napar przywróciły burmistrzowi chęć do działania, gdyż zaczął się zbierać do drogi, i to nie tej, której się najbliżsi obawiali, czyli na grzbiecie konia świętego Michała znajdującego tylko drogę na cmentarz. Wybierał się w drogę, w którą się zabiera sakwę, w niej słone obarżanki, wędzoną słoninę i pieczoną cielęcinę z czosnkiem. Oświadczył bowiem, że wobec zbliżania się dnia Wszystkich Świętych pojedzie do Kieżmarku po epitafium burmistrza Kramlera, które leniwy kamieniarz dopiero teraz skończył, choć przed pięcioma laty je zamówiono. Dodał jeszcze, że musi jednak coś uczynić, aby ludziom zatkać usta. Mógł to co prawda załatwić ratuszowy woźny, ale burmistrz postanowił jechać osobiście.

— No proszę, jak moje zioła pomogły! — uradowała się jejmość.

Istotnie pomogły, gdyż doprowadzony do ostateczności burmistrz postanowił ruszyć w drogę, żeby uciec od tych naporów i okadzania.

Ale i w tym nie miał szczęścia.

Owa płyta nagrobna, przeznaczona do wmurowania w ścianę kościoła, udała się wspaniale. Majster kamieniarski József Tomis tak wiernie odtworzył w czerwonym marmurze postać Károly Kramlera w burmistrzowskim płaszczu i kołpaku na głowie, że kiedy to ujrzał woźnica József Kuptor, który za tamtych czasów został przyjęty do służby w ratuszu, odruchowo zdarł czapkę z głowy i wyjąkał „Niech będzie pochwalony” (jako że był katolickim chrześcijaninem). Potem także, kiedy czterech ludzi załadowało płytę na furmankę, przez całą drogę z największym szacunkiem odnosił się do owiniętego w płachtę kamienia nagrobnego. Obok płyty wymościł dla burmistrza Nustkorba wygodne miejsce do siedzenia i z dumą zauważył, że za tysiąc forintów nie sprzedałby honoru, który go spotkał, by wieźć na jednym wozie dwóch lewoczańskich burmistrzów. Żadnemu woźnicy od początku świata nic podobnego się jeszcze nie zdarzyło.

Już dwa dni wiózł obydwu burmistrzów, płyta była ciężka, a że lały ulewne deszcze, drogi rozmokły i koła grzęzły w bezdennym błocie. Wlekli się więc noga za nogą. O tej porze roku dzień jest krótki, a po ciemku nie sposób się zapuszczać na takie złe szlaki. Znajdowali się już niedaleko Lewoczy, dojeżdżali do kamienia granicznego wioski Dravec, kiedy dyszlowy źle stąpnał przy stromym skraju drogi i osunął się zadem w rów. Kuptor natychmiast zeskoczył, żeby konia wyciągnąć, ale było już za późno. Ześlizgując się, koń pociągnął za sobą wóz, boczna drabina pękła z trzaskiem, imć pan Nustkorb tylko pisnął i zleciał do płytkiego rowu, ale za nim z głuchym hukiem podążyła olbrzymia kamienna płyta i przygniotła go na śmierć, nawet krzyknąć nie zdążył. Na wrzaski woźnicy przybiegli ludzie z wioski, ale spod płyty wydobyto już tylko

* W owym czasie baronowa Sándrowa Károlyi napisała list do męża przebywającego w wojennym obozie, aby jej przysłał „worek ludzkich serc”, gdyż wysuszone i utarte, podane w winie, dobrze robią dzieciom. Historyka, który wyszperał ten list, ogarnęła zgroza na tak dzikie obyczaje i naiwne zabobony. Bóg strzegł, że nie skompromitował wobec cudzoziemców naszych przodków, którzy jeszcze na początku XVIII wieku zjadali ludzkie serca. Owemu poczciwcowi nie przyszło do głowy, że jest to ziele o kwiatku w kształcie serca, zwane dzisiaj także serdecznikiem, które prawdopodobnie nie rosło w okolicach Nagykároly, tam natomiast, gdzie przebywał Károlyi ze swymi chorągwiami, można je było zbierać workami.

krwawe zwłoki lewoczańskiego burmistrza. Ani furze, ani koniom, ani woźnicy, ani płycie nie się nie stało.

Kuptor owinał ciało w płachtę i przerażony pogonił jak mógł koniska do Lewoczy. Wpadł tam na odwieczerz, a że była niedziela i dość ciepło, odziane w czerń tłumy mieszczan falowały na ulicach. Przez białą płachtę przesączała się krew, odzież woźnicy cała była zaplamiona.

— Co to? Co się stało?

— Burmistrz nie żyje. Poprzedni burmistrz zabił nowego.

Ponura wieść rozeszła się lotem błyskawicy, a szczegóły wydarzenia od bramy do bramy nabrzmiewały coraz to nowymi spostrzeżeniami, niczym śnieżna kula.

— Poprzedni burmistrz zabił obecnego, bo przecież obecny zabił tamtego.

— ... Niech Pan Bóg oddali nieszczęścia od miasta Lewoczy.

Rozdział czternasty

(PEWNE UWAGI O MOCY MACIERZYŃSKIEGO SPOJRZENIA I O PODNIECANIU MIŁOSNYCH UCZUĆ)

Dzisiejszy młodzieniec, kiedy go spotka zawód miłosny, a zielonooki potwór draży serce — albo szuka śmierci, albo ugania się za sekundantami, albo też zamyka się w pokoju sam na sam z piękną dziewczyną, której na imię „Muza”, i wylewa z siebie wiersze ociekające wszystkimi cierpieniami świata.

Fabricius usłyszawszy o schadzce Rozalii nie uczynił nic podobnego, chociaż był złamany. Gdyby słońce spadło z firmamentu i potoczyło się do kałuży, mniej byłby się zdziwił. Ale to było więcej, niż gdyby tylko słońce zniknęło z nieba. To on był wytracony ze swego własnego ja. Znalazł się na obcej planecie, pogrążony w nieszczęściu. Nękało go uczucie otepienia, pustki, beznadziejności, nogi pod nim drżały i w głowie huczało. Stare domy z podcieniami zdawały się przed nim cofać z uroczystym pomrukiem. Koła załadowanych towarami furmanek stękając na kocich łbach skrzypiały: Ro-za-lia, Ro-za-lia. Tu i tam spoza wybrzuszonych okratowań okiennych uśmiechały się do niego znajome dziewczęce buzie i ten widok wywoływał taki ból, jakby niewidzialna ręka wyrywała mu ze skroni żyły, ściskając jednocześnie serce.

Poszedł prosto do domu, jak lunatyk, nieświadomie, po prostu z przyzwyczajenia. Na którymś rogu natknął się na jadącego konno Mikłósa Błoma, wystrojonego jak na bal. Tamten krzyknął:

— Jak się masz, Rici! Serwus, Rici! (Tak przyjaciele nazywali Fabriciusa.) Jadę na małą przejażdżkę w stronę kuźni. Przyjedź i ty. Urządzamy majówkę z wiejskimi pięknościami. Już nie daję rady, ale co ma człowiek robić. Serwus, Rici!

— Obrzydliwy kundel! — syknął przez zęby Fabricius.

Doszedł właśnie do domu i tak kopnął zieloną bramę, że się omal nie rozleciała.

Jejmość Fabriciusowa czekała na syna z obiadem. Na stole zjawiała się jego ulubiona potrawa, kurczak zapiekany z kaszą, jako że tego dnia pieczono chleb, więc w piecu i tak rozpalono. Młody rajca nie tknął jednak jadła, był błądy i nerwowy.

— Czy aby jaka chorość cię nie naszła, synu? — zaniepokoiła się matrona.

— Tylko głowa mnie trochę boli.

— Może ci liście chrzanu do czoła przyłożyć? To dobrze robi, wyciąga bólenie.

— Nie wyciągnie tego ani chrzan, ani nawet sześć wołów.

Po obiedzie nie poszedł jak w inne dni do magistratu, tylko siadł przy oknie w swojej izbie i gapił się na przepływające obłoki. Szły równo, łączyły się, rozdzielały, znowu zbijały w gromady. Coś się w górze szykowało, znać było jakiś pośpiech, aż wreszcie pod wieczór wybuchła burza, niebo drgnęło, a wielka Kierująca Ręka zabazgrała sklepienie niebieskie zygzakami błyskawic. Tego było Fabriciusowi trzeba. Burza w duszy, burza w przyrodzie. Niech wyje wichura, niech grzmi w niebie. Niechby się wszystko strzaskało.

Nie wziął nawet płaszcz, wybiegł z domu, jak stał, i minawszy miejską bramę, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami straży, popędził w kierunku gęsto podszytego lasu. Rozsierzona przyroda była teraz najlepszym towarzyszem. Kiedy się tak we dwójkę wyzłócili i wyszaleli, ciężar przygniatający mu duszę jakby nieco zelżał.

Długo błakał się samotnie, dopiero późnym wieczorem powrócił do domu i matkę zastał już w łóżku. Nie oczekiwała go, gdyż często wieczorami zachodził na pensję panny Klöster albo przesiadywał z innymi rajcami w ratuszowej winiarni.

Sługa chciała mu podać wieczerzę, ale tylko machnął ręką, że na nic nie ma ochoty. Długo przemierzał swoją izbę tam i na powrót, wsłuchiwał się w szum deszczu, który dopiero teraz rozpadał się na dobre, potem zajrzał do pokoju matki.

- Spisz już, pani matko?
- Nie. Czy chcesz czegoś, synu?
- Chciałem ci tylko życzyć dobrej nocy.

Podszedł do łóżka, siadł na brzeżku, ujął rękę starej niewiasty, pocałował ją i dalej trzymał w swojej bez słowa. Fabriciusowa mimo woli przesunęła się bliżej ściany, syn zaś pochylił się i przytulił głowę do jej piersi jak w dzieciństwie, jedną nogę też wyciągnął na łóżku.

- Ojej, nie przyciskaj tak mocno.
- Mamo, jak się tak przytuliłem, to od razu mniej boli głowa.
- Idźże, ty pochlebco! Może myślisz, że ciepło matki wyciągnie z twojej głowy to, czego sześć wołów nie mogłoby wyciągnąć?

— Nie tylko tak myślę, ale wiem na pewno.

Po tych słowach wycalował ze wszystkich stron miłą, mądrą twarz matki.

Z udanym gniewem poprawiła sobie koronkowy nocny czepek, który się przy tym całowaniu przekrzywił, i roześmiała się.

— To ci dopiero dostojny rajca, który przy matce chce spać. Gdyby ludzie to wiedzieli, sama nie wiem, co by w mieście gadano. — Głęboko westchnęła i po chwili podjęła: — Zaiste, cudowne to były czasy, kiedyś był malutki i zawsze ze mną spał, jak ci różności bajałam, a tyś mi o swoich sekretach szczebiotał. Spryciarz był z ciebie nie lada! Sznurkiem przywiązywałeś mi nogę do swojej nocnej koszuliny, żebym nie mogła podejść do twego starszego braciszka, kiedyś już spał. Musiałam wyczekać, aż mocno zaśniesz, wtedy odwiązywałam sznurek i zaglądałam do drugiego łóżka, gdzie spał twój brat.

— Jednym słowem, jejmość mnie oszukiwała.

— Tak jak ty mnie teraz oszukujesz — wykrzyknęła nagle. — Na Boga, co ci jest, Antal? Płaczesz?

Pogłaskała syna po twarzy i poczuła, że jest wilgotna.

— Przyszedłem, żeby przed mamą serce rozewrzeć. Nie mam do kogo pójść, jeno do twojej łaskawości. Dopomóż mi, pani matko, jeśli zdołasz. Mój własny rozum posłuszeństwa odmawia. Słabość we mnie wzięła górę. Kiedym silny, wierzę w siebie. Kiedym słaby, do twojej się mądrości uciekam jak krucha dziecina. Mam zabobonną wiarę, że moja słabość ustanie, gdy do niej macierzyńskiej miłości przydam. Proszę cię, matko, wysłuchaj mnie.

— Dobrze, dobrze, mów, synku. Tutaj złóż głowę. (Pogłaskała jego jedwabiste włosy.) Kto

ci zrobił krzywdę? Gdzie boli? Co boli? Niczego się nie obawiaj, nie pozwolę, by cię skrzywdzono.

Fabricius otworzył przed nią najgłębsze zakamarki serca. Zaczął od wyznania swej miłości do Rozalii Otrokocsy (Wiedziała od razu — wtrąciła matrona.), która się w jego sercu obudziła od pierwszego spotkania, a potem rosła, rozrastała się, aż stała się silniejsza od wszystkiego na świecie. Czy Rozalka go kocha? Nie mówili o tym. Nigdy jej otwarcie nie wyznał swego uczucia. Do tej chwili był jednak przekonany, że i ona go kocha. Tysiąc cudnych słów kołacze mu w głowie jak zaczarowane dzwoneczki, one podtrzymują w nim tę wiarę. Jakaś aluzja, czułe spojrzenie, westchnienie albo mimowolny gest czy nagły rumieniec. (Och, jaki zapas słodczy uskładała pamięć młodego rajcy! Ale to wszystko zaczęło topnieć w gwałtowny sposób, kiedy mu dzisiaj imć pan Nustkorb powiedział o owej schadzce w miejskim ogrodzie.

Jejmość aż się uniosła na łokciu. Była mocno przejęta opowiadaniem, którego cierpliwie wysłuchiwała do końca.

— Do stu tysięcy fur beczek! — wykrzyknęła, gdyż była wojowniczą niewiastą. — To takie straszne, że wręcz nie do wiary. Ów człowiek Nustkorbowi nakłamał.

(Rozalia była ulubienicą jejmości Fabriciusowej.)

— Mamo, o jedno zapytam. Tamtej niedzieli w ogródku rozkwitły dwie róże-georginie. Jedna z nich zniknęła, co się z nią stało?

— W poniedziałek albo też we wtorek wstąpiły do mnie panna Matylda z Rozalką. Różę dałam Rozalce.

— O widzisz, w tym jest cała bieda. Ów człowiek z Białej pokazał wtedy w nocy naszą różę zgubioną u stóp schodków przez niewiastę, która miała tam schadzkę.

Oboje umilkli. Matrona westchnęła i nie odzywała się. Padający wciąż deszcz aż dudnił o dach. — Czy to nie grad? — zapytała. Potem znowu milczeli. Wreszcie obojętnym tonem, sucho, zadała jedno pytanie jakby tylko po to, by wypróbować swój głos:

— Bardzo ją kochasz?

— Życ bez niej nie mogę. — Głos młodzieńca był nabrzmiął uczuciem. — Szczenę.

— E, androny pleciesz. Mój syn musi być mądrzejszy. Zdaje ci się tylko. Wiele mam doniczek, ale nigdy jeszcze kwiat, nawet najpiękniejszy, tak się nie rozrósł, żeby doniczkę rozsadził. Tyś nie z mięszu chlebowego ulepiony i nawet nie z gliny. Z żelazaś wykuty. Tak wszyscy powiadają. Bądź więc taki i głupstw nie gadaj.

— Nie gniewaj się, pani matko, przed kim miałem serce rozewrzeć?

— Dobrze, dobrze. Obaczymy, jak to jest. Jutro doprowadzę wszystko do dobrego końca. Albo tak, albo siak.

— Co chcesz, pani matko, uczynić?

— Jeszcze nie wiem, ale wszystko naprostuję. A teraz idź, mości rajco, wyśpij się, jeno pierwej podsuń mi swój uparty łeb, bym go ucałowała.

Fabricius powrócił do swojej izby i wyciągnął się na łóżku w ubraniu, bo był przekonany, że i tak nie zdoła zasnąć. Tymczasem był widocznie tak zmęczony długimi zmaganiem z wichurą albo też pieczęć macierzyńskiego pocałunku rzuciła jakiś czar, dość że prawie od razu zapadł w głęboki sen i do późnego ranka płał się w niebiańskiej rosie, która ciało i duszę obmywa z wszelkiego znużenia.

Nazajutrz jejmość Fabriciusowa ledwie się mogła doczekać popołudnia. Nałożyła czarną jedwabną suknię, do niej potrójny rząd jednakowych bielutkich wschodnich pereł, do czarnego koronkowego czepca wpięła szpilki o złotych łebkach wielkości soczewicy i nie zapomniała o zausznikach ze szmaragdami, które musiała niemal siłą wbijać w uszy.

Uroczysty strój rzucił się Fabriciusowi w oczy.

— Cóż to, pani matko, wyruszasz jak na podbój świata!
— Po prawdzie, synu, sama nie wiem, dokąd wyruszam. Wstępuję na schody, których ani dolnych, ani najwyższych stopni nie widzę.
— Nie rozumiem — odpowiedział młodzieniec, który, choć usiłował to ukryć, był wyraźnie zdenerwowany.

— Przecież gdybyś się odrobinę zastanowił, tobyś zrozumiał, drogi synku, bo i w tobie mieszka sprawiedliwa dusza, moja i twego nieboszczyka ojca. Jak mniemasz, dokąd i po co idę? To jasne, że chcę kogoś położyć na szalę, by się przekonać, ile jest wart.

Fabricsius bez słowa skinął głową.

— Czy mam do tego prawo? Mam, ale muszę mieć w pamięci, że są dwie szale i dwa rozwiązania, zależnie od tego, która szala przeważy. Albo panienka zostanie moją synową, albo też diabłu będzie zaślubiona, amen.

— Ojej, pani matko, co też mówisz!

Gorzko westchnął i myśląc o tych dwóch możliwościach mienił się na twarzy, która przybierała to jedną, to drugą z najpospolitszych barw życia: czerwoną i białą. Najpierw poczerwieniał jak burak, potem zbladł jak ściana.

Jejmość pani Fabricsiusowa nawet na niego nie spojrzała, tylko wydawała surowe polecenia służbie na czas swojej nieobecności. Mają na wszystko baczyć, pozmywać uważnie statki, żeby niczego nie potłuc, bo będzie źle, żebraków nie wolno wpuszczać do sieni, bo kradną, ale jakby który się zjawił, to niech mu na podsienie wyniosą pajdę chleba. Ancsura niech zajrzy do pasieki, czy pszczoły się nie wyroiły. Gdyby tak się stało, niech skoczy po obarzankarza Jánosa Kocha, żeby schwytał rój. Zsuzsi niech nakarmi tuczne gęsi i nie zapomni dać im wody. Potem utrzymajcie mak, tylko przedtem trzeba dokładnie wyszorować makutrę. A w ogóle to niedługo wrócę do domu.

Żołnierskim krokiem zeszła po schodach, wyprostowana, szeleściły na niej jedwabie, a piękne śnieżnobiałe włosy wymykały się spod czerni. Była takusienka — powiadali ci, którzy obie widzieli — jak świętej pamięci księżna Siedmiogrodu. Można by jedną wziąć za drugą. Z tą różnicą, że jejmość Fabricsiusowa była o wiele surowsza od Anny Bornemisszy. Co rzekła, to dla prostych dusz brzmiało jak słowo Opatrzności. Gdy ją gniew ogarnął, marszczyła brwi i była jak groźne szczyty górskie, wśród których się urodziła, kiedy zaś jej twarz odzwierciedlała dobroć serca, przypominała górską połoninę w jesiennym słońcu.

Młody rajca nasłuchiwał z góry oddalających się kroków. Nagle urwały się. Wyjrzał przez okno na podwórze i ujrzał matkę przed lilipucim klombem, zrywającą ostatnią różę-georginię. Inne jeszcze spały otulone przylistkami pączków.

Jejmość długo nie wracała. Fabricsius szukał sobie na różne sposoby zajęcia, ale nigdy jeszcze czas mu tak wolno nie mijał. Pszczoły istotnie się wyroiły i zawisły na czereśniowej gałęzi; imć pan Koch przyszedł i strząsnął je do barci. Fabricsius przyglądał się temu, po czym powrócił do swojej izby, wziął do ręki Stary Testament i otworzył na ślepo: trafił na rozdział o trzech Żydach wrzuconych do rozżarzonego pieca. Tym razem wcale ich nie żałował, gdyż sam się czuł jak w rozpalonym piecu, nawet chętnie by się z nimi zamienił, gdyż o nich wiadomo, że nie spłonęli, a jego los jest niepewny. Zbierało się już na odwieczerz, a pani matki wciąż nie było widać. Wyjął jakieś papiery, które powinien przejrzeć, ale nic nie rozumiał, czarne litery tańczyły mu przed oczyma jak zwariowane. Zaczął się bawić z psem Popradem, aż wreszcie Poprad nadstawił uszu, co znaczyło, że skrzypnęła furka od ulicy, warknął raz i zamilkł. Już wiedział, kto przyszedł. Teraz i Fabricsius posłyszał szelest jedwabnej spódnicy, serce mu gwałtownie zabiło, na progu stanęła matka.

Zdjęła mantylę i położyła na krześle, potem odpięła perły. Fabricsius nie miał odwagi

spojrzeć, żeby z jej twarzy wyczytać odpowiedź, raczej odwrócił się nieco niepewnym, zdławionym głosem zapytał:

— Jak stoimy?

— Poczekaj, zdejmę tylko zausznice, bo okrutnie mi ciąży. Naucz się być cierpliwym. Hej, Zsuzsi, chodź no tu na chwilę. Rozluźnij sznurówkę, bo się uduszę. Och, taki sztafirunek to nie dla starych niewiast. Lepszy jest miękki fotel i bochenek białego chlebaka. No, możesz odejść, Zsuzsi. O co pytałeś, synku?

— Co się stało?

Fabriciusowa rozsiadła się w fotelu, ale nim odpowiedziała, jeszcze raz krzyknęła na służę:

— Przynies moją robótkę, ty zielona żabo. O, dobrze. A teraz skocz do piwnicy po marchewkę dla kanarka, niech śpiewa. (Kiedy pozostali sami, zwróciła się do syna.) Wiesz, że nie lubię gadać o ważnych sprawach, póki nie siedzę całkiem wygodnie. Druty i głowa pracują zawsze razem. Albo razem chodzą, albo razem stoją.

— Dziękuję. A ja tu cierpię jak na torturach.

— A idźże, głuptasie, przecież to dziewczątka jest niewinne jak świeżo narodzone jagnię. Promienna radość odmalowała się na twarzy młodego rajcy.

— Och, matulu, mateczko kochana!

— Nie ma na niej nawet tyciej plamki co dotknięcie pająka na liliowym płatku.

— Jak to więc było, po co chodziła na spotkanie do karczmy?

Fabriciusowa wzruszyła ramionami.

— Albo ja wiem, co to było?

— Azaliż pani matka nie zapytała? — zdumiał się Fabricius i twarz mu pociemniała.

— Wypytałam o wszystko, ale mowa to w końcu tylko mowa.

— To jak jejmość możesz powiedzieć, że jest niewinna? — wybuchnął gniewnie.

— Bo widziałam.

— Widziałaś jejmość? — powtórzył szyderczo. — Jak się to widzi?

— Można ujrzyć, tylko oczu potrzeba... matczynych oczu. Próżno się z powątpiewaniem uśmiechasz, mości panie rajco. Jest na świecie taka wiedza, która stoi ponad tym, co można wyczytać z książek i wykazać ze zgromadzonych dowodów albo zeznań świadków. Spojrzenie matki w głąb duszy się wciska. Matka takie rzeczy widzi, choćby była ślepa. Jak nie inaczej, to węchem wyczuje grzech u synowej.

— O, matko! Obyś prawdę rzekła.

— Tak też jest. Miłość sprawia te cuda. Co ciebie ma zabołec, to zawczasu moje serce przebija. Jeżeli teraz ci powiadam, że Rozalia jest niewinna, to nie jest rzucanie słów na wiatr, a gdyby ktoś się odważył twierdzić coś przeciwnego, ten ze mną będzie miał do czynienia, do stu tysięcy fur beczek!

Rękami wzięła się pod boki i wyzywająco powiodła wzrokiem dokoła, jakby pokój był pełen niewidzialnych wrogów, chociaż w tym momencie jedyny człowiek, który wątpił, już się poddał.

Po tym wstępie jejmość opowiedziała szczegóły odwiedzin. Młody rajca spijał jej słowa chciwie jak wysuszona ziemia krople rosy.

— Otóż udałam się tam, ale już w domu obmyśliłam plan. Nie poszłam z pustymi rękami. Zabrałam ostatnią kwitnącą georginię, bo jak wiesz, tutejsze niewiasty wierzą zabobonnie, że która sobie ten kwiat wepnie we włosy, to ją w tym roku poproszą o rękę. A jak wepnie dwa, będzie miała dwóch starających. Więc dobrze. Poszłam z tą georginią, wychowanki były prawie wszystkie na ganku, mało im oczy nie wyskoczyły, tak się wpatrywały w mój kwiat. Wszystkie aż piszcza, żeby wyjść za mąż. Zapytałam o Rozalkę, powiedziały, że haftuje w pokoju panny Matyldy. Istotnie obie tam były. Gadałyśmy o tym i owym, jak to zwykle bywa, aż chytrze

naprowadziłam rozmowę na georginię pytając, komu mam ją dać. „Waćpanna już jedną ode mnie dostała, prawda?” Na co panienka z uśmiechem odrzekła, że dostała, wpięła ją we włosy, a potem zgubiła, to znaczy, że i wielbiciela straciła. „Ciekawe, gdzie też ją waćpanna mogła zgubić?” — zapytałam, jak to sobie wcześniej umyśliłam. Roześmiała się, aż ukazały się na brzoskwiniowych liczkach dwa śliczne dołeczki. (Gdybyś je widział, Toncsi!) „Wiem, zgubiłam ją w karczmie, w ogrodzie miejskim, kiedy imć pan Quendel... kiedy to było, ciotko Matyldo?” „We wtorek wieczorem, a raczej już w nocy” — odpowiedziała panna Matylda. Udałam ogromne zdziwienie. „W nocy? Niepojęte! Co waćpanna w nocy w karczmie robiła?” Podniosła ku mnie czyste spojrzenie i widać było po swobodzie i spokojnej dumnie malującej się na jej twarzy, że nie uważa moich słów za wścibskie dociekanie, lecz raczej za podziw dla jej odwagi. „Musiałam podpisać wobec świadków dokument w sprawie schedy.” „Cóż to byli za świadkowie?” — zapytałam. „Imć pan Quendel — odpowiedziała — i György Görgey.

Młody senator zerwał się, jakby go wąż ukąsił.

— György Görgey — powtórzył z ponurą miną. — Dobrze to wiedzieć.

— Nie wyobrażaj sobie żadnych okropnych rzeczy, przecież wszystko jest jasne.

— Niby pod jakim względem jasne?

— Oczywiście pod tym, że Rozalia jest niewinna.

— Z czego to wnosisz, pani matko?

— Powiedziałam już, że z jej spojrzenia i prostego, otwartego sposobu mówienia o owej wyprawie do miejskiego ogrodu. Gdyby była w czymś winna, nie zachowałaby się tak spokojnie.

— Jesteś, pani matko, najlepszą niewiastą na świecie, ale tych spraw nie rozumiesz. Z tej historii ja wyczytałem coś zupełnie przeciwnego.

— Jak to?

— Uważam to za niewłaściwe i mam pretensję do jejmość panny Matyldy Klöster, że na to zezwoliła.

— A to dlaczego? Zjawił się imć pan Quendel i w ważnej sprawie zabrał z sobą wychowankę. Czy nie jest obowiązkiem panny Matyldy zastosować się do tego?

— Na to zgoda, ale skąd się wziął Goyrgy Görgey?

— Tego to już doprawdy nie wiem, ale nie uważam, by to było istotne.

— Coś tu czuć zgnilizną, coś śmierdzi! — wykrzyknął z goryczą rajca. Dłońmi ścisnął sobie skronie jakby w obawie, że głowa mu pęknie, a oczy nabiegły krwią. — W głównych zarysach opowiadanie może być prawdziwe. Oczywiście, ten stary łotr Quendel mógł zabrać Rozalkę, ma ku temu prawo, ale jaki był powód, mamó, zastanów się nad powodem! To przecież naiwna bajeczka. Jakiś papier trzeba było podpisać w obecności świadków. W porządku. Ale dlaczego w ogrodowej karczmie, nocą, w miejscu o złej sławie, gdzie odbywają się miłosne schadzki? Czy nie można było tego uczynić na pensji panny Klöster?

Fabricsiusowa roześmiała się tak szczerze, że aż łzy jej stanęły w oczach.

— O, ty zwariowany chłopaku! Czemu mi przerywasz, nim wysłuchasz do końca. Przecież właśnie na tym stanęłam. Dlatego tam się udali, że dokument musiał być podpisany w obecności samego żupana.

Jasne. Jakież to jasne. Młody rajca stuknął się w czoło. Teraz wszystko rozumie! Cały obraz zarysował się wyraźnie. Racja, był tam przecież i żupan, właśnie wtedy pojmał Nustkorba. Zrozumiałe, że żupan nie mógł się pojawić w mieście ani też pokazać się tam w biały dzień.

Fabricsiusa ogarnął nagle taki dobry humor, że roztańczonym krokiem podbiegł do jejmości i wyładował radość całując ją raz po raz.

— Daj spokój. Udusisz mnie. Nie skacz jak polny konik, siądzże spokojnie, niech ci i resztę opowiem.

- To jeszcze jest reszta?
- O najważniejszym dopiero teraz się dowiesz.
- Dzięki, pani matko. Jestem już całkiem uspokojony. Reszta mnie już nie obchodzi.
- Kto wie, może cię obejdzie. Posłuchaj, co się potem stało. Zapytałam Rozalkę: „Czy żal było waćpannie zgubionej georginii?” Uśmiechnęła się biedactwo i tak odpowiedziała:

„Owszem, żałowałam jej, ale tylko kwiatka, nie wielbiciela.” „To zrozumiałe — odrzekłam — boć waćpanna tylko georginię straciła, ale żeś ją już wpięła we włosy, to kawaler pozostanie.” „Moja Rozalka w to jednak nie wierzy” — wtrąciła Matylda. „W tym wypadku w każdym razie tak jest, to pewne — dowodziłam — bo już przysłał swaty.” Obie pytająco na mnie spojrzały. Wydawało im się, że gadam od rzeczy. „Swatka jest już w tym domu — ciągnęłam — to ja, kochana Rozalko, i proszę, byś została żoną mego syna.”

Twarz młodego rajcy zapłonęła.

— Matko, jeśli rzeczywiście takeś uczyniła — wykrzyknął ochryplym, zdławionym głosem — to...

- Tak uczyniłam, przeciwnie wyraźnie rzekła. W takim razie co?
- W takim razie zuchwałość postąpiła, albowiem ta sprawa jeszcze nie dojrzała.
- Jak to, nie dojrzała? Przecież ona ciebie kocha.
- Tak rzekła? — wyrzucił z siebie jak w gorączce.
- Nie rzekła tego, ale nie umiała ukryć.
- Mów, mów! Co się potem stało?
- Jej twarz tak samo zapłonęła jak twoja w tej chwili, ale nim się dało odmówić Ojciec nasz, zniknęła nagle z pokoju, anim spostrzegła, kiedy wyszła.

— I co? I co potem?

— Szukałyśmy jej z Matyldą. Obeszliśmy cały dom, wołałyśmy ją po imieniu, nigdzie ani śladu.

— Boże, Boże!

— E, nie obawiaj się, nie przepadła. W końcu znalazłyśmy ją w spiżarni. Siedziała na worku z mąką i płakała, gorzko szlochała. Przytuliłam ją do siebie, położyła mi głowę na podołku (jaką śliczną ma główkę!), wypytywałam, jaką mam ci zanieść odpowiedź, ale nic nie mówiła, tylko płakała i płakała bez opamiętania... o, widzisz, aż zawilgła mi spódnicę.

Młody rajca niepewnie spoglądał na matkę.

— Powiadasz, pani matko, że płacze, więc jak to rozumieć?

— Prościzek z ciebie, synu! Serce białołowy objawia się w oczach, jej podłosc w uczynkach, chytrość na czubku języka. Rozalka płacze, bo serce ma pełne miłości, ale ty leć i otrzyj jej łzy.

Nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Przebrał się w ładniejszy strój i pospieszył w sąsiedztwo. Rozalka przestała płakać, już z podwórza usłyszał jej dźwięczny głosik, akurat śpiewała wesołą niemiecką piosenkę z akompaniamentem gitary.

Salon był już pełny. O tej porze zjawiali się na pensji panny Klöster odwiedzający, bo był właśnie piątek. Przychodzili wytworni kurucy oficerowie i młodzieńcy z miejscowych patrycjuszowskich rodzin, a także przyjaciółki panny Matyldy. Przy takich okazjach w dużym salonie urządzano domowe koncerty.

Któraś z pańdek deklamowała, inna śpiewała, trzecia tańczyła. Powszechna zazdrość towarzyszyła tym, których zapraszano na spotkania. Panna Klöster zawsze umiała wynaleźć coś miłego, jakąś niespodziankę, budzącą podziw obecnych, o której długo mówiono nie tylko w mieście, ale w całej okolicy. Szczególnie zimą wykazywała niesłychaną pomysłowość. Ubiegłego roku koło Gwiazdki sługi wniosły do salonu dwie balie i dzieże pełne wody; Boże

święty, co to będzie? Zaraz potem wbiegły panienki z podwiniętymi rękawami i podpiętymi spódniczkami i zabrały się do prania — właśnie miały się wykazać umiejętnością prania — cóż za rozkosz na to patrzeć! Kiedy indziej goście zastali delikatne kruche stworzenia przy kołowrotkach.

Rozalia była dzisiaj roztargniona. Na widok wchodzącego Fabriciusa upuściła gitarę. Miklós Blom skoczył, podniósł i podał jej, ale taka była zmieszana, że zapomniała słów piosenki. Panienki chichotały, aż wreszcie któraś odpowiedziała jej następną strofkę i Rozalka dośpiewała do końca, ale jakoś bezbarwnie i matowo, jakby nie własnym słodkim i dźwięcznym głosem.

Po koncercie zabawiano się w różne gry. „W środku owieczka, za kołem wilk”, potem „Podróż kwiatu lotosu”. Choć w salonie siedziały dostojne matrony, które bacznie śledziły, co się dzieje, panna Matylda umiała tak pokierować zabawą, że jej chrześniak mógł od czasu do czasu zamienić kilka zdań z Rozalką. Do takich improwizowanych programów każdy się przyczyniał, jak potrafił. Młody porucznik kuruców Imre Révay produkował się sztuką brzuchomówstwa, naśladując rozmowę między generałem Andrássem i starą Vinkoczową, u której stał na kwaterze. Do łez można się było uśmieć. Potem Miklós Blom pokazywał sztuczki, których go nauczyli wałęsający się po kraju Turcy. Potrafił wywołać powódź albo raczej jej pozory. Wszystkim się wydawało, że przez okno wdziera się woda, aż niewiasty zaczynały unosić spódniczki, jeśli nie wiedziały, że to tylko kuglarska sztuczka.

Pestkę melona wetknął w jakąś papkę, oblał to różowym płynem i oto roślina zaczęła rosnąć, wypuszczać listki, kwitnąć, i na oczach widzów już tworzyły się maleńkie owoce.

Kuglarzowi potrzebny był mały stolik.

— Rozalko, przynieś stoliczek z mojego pokoju.

Panna Matylda wmieszała się w grupkę gości i szepnęła Fabriciusowi:

— Idź, synku, pomóż Rozalce nieść stolik.

Fabricius niepostrzeżenie zniknął, ale gdy stanął w drzwiach, Rozalka, tak jak poprzednio gitarę, tak teraz wypuściła z rąk niesiony stolik i zaczęła drzeć jak osika.

— Ojej, waćpan tutaj?

— Rozalio — odezwał się młodzieniec — nie gniewasz się waćpanna na moją matkę, że tak zuchwale postąpiła?

Rozalia wyciągnęła do niego rękę.

— Miałabym się gniewać? Jam przez nią taka szczęśliwa!

— A więc kochasz mnie waćpanna? Naprawdę kochasz? — rzucił namiętnie Fabricius.

— Czyż waćpan tego dotychczas nie wiedział? — W jej głosie brzmiała rozmarzona melancholia, ale krył się także lekki wyrzut.

— Miałem nadzieję, lecz pani matka nie przyniosła pewnej odpowiedzi.

— Bo jeszcze zbyt wcześnie.

— Jeśli jednak kochasz mnie waćpanna...

— Muszę przedtem zawiadomić kogoś, czyja zgoda jest nieodzowna.

— Kimże jest ów ktoś? — wykrztusił Fabricius.

— Mój ojciec, który poza mną nie ma nikogo na świecie.

— Zamieszka z nami, Rozalko. Będę jego sługą, zdmuchnę każdy pyłek z miejsca, na którym zechce usiąść.

Rozalia westchnęła i nic nie odpowiedziała.

Ogarnął ją bezbrzeżny smutek i uczucie chłodu przy którym wszystkie kwiaty wydawały się zwarzone mrozem. Niemal gwałtem wyrwała się z tego ponurego nastroju.

— Bierzmy stolik i chodźmy prędko.

Kiedy go nieśli, roześmiała się nagle.

— Ot i proszę, jesteśmy teraz jak koniki. Wio!
Usiłowała nawet naśladować rzenie konia: Ihaha!
...No cóż, Rozalka to wciąż jeszcze duże dziecko.

Fabricius nie czuł się zadowolony z tej rozmowy ani z całego rozwoju sytuacji. Niby wszystko gotowe, ale w szwach pozostała fastryga, którą trzeba po kawałku wyciągać. Gniewało go, że nie może z Rozalką porozmawiać w cztery oczy i wyjaśnić niektórych rzeczy. Chętnie wyprawiłby do piekła całą tę pstrą gromadę, która tak dobrze się bawiła. Raz i drugi próbował nawiązać poufalszą rozmowę z Rozalką, ale to jeszcze bardziej pogmatwało sprawę.

— Rozalio — odezwał się szeptem podczas kuglarskich pokazów — napiszesz waćpanna do ojca, prawda?

Panienka skinęła twierdząco głową.

— Czy nie mógłbym się do niego udać?

— Nie.

— Czy i teraz nie możesz mi waćpanna czegoś więcej o nim powiedzieć?

— Jeszcze nie — odparła i znów posmutniała.

Miał jeszcze raz sposobność zamienić z nią kilka słów. Panna Kldster wspomniała: „Dziś jest dzień urodzin Rozalki”, wobec czego zbliżył się do stojącej w zagłębieniu okiennym panienki i złożył jej życzenia.

— Szczęścia mi waćpan życzysz? — odpowiedziała machinalnie. — To bardzo rzadki ptak. Trudno go schwytać. Kto wie, gdzie lata.

— Rozalio, powiedz mi waćpanna tylko jedno, żebym się wyzbył niepokoju. Jeśli jegomość ojciec waćpanny z takiego czy innego powodu odrzuci moją personę, czy waćpanna mnie się wyrzeknie?

Rozalia pomyślała chwilkę, po czym rzekła:

— Nie przypuszczam, by tak się stało. Tutaj w grę wchodzi większe potęgi niż wola mego ojca, która chyba nie jest silniejsza od mojej, chociaż nigdy nie próbowała położyć obu na szalę. Jedną rzecz zdradzę waćpanu — szepnęła tajemniczo. — Matka Boska postawiła waćpana na mojej drodze, ale czy dla mego dobra (głos jej zadrżał, a twarz okryła się śmiertelną bladością), tego jeszcze nie wiem. Przedtem w pokoju jejmościanki powiedziałam, że słowa matki waćpana uszczęśliwiły mnie. Omyliłam się. Czuję nad sobą szum skrzydeł złowróbnego upiora. Mimo wszystko jam nieszczęśliwa.

Fabricius popatrzył na nią ze zdumieniem. Co ona opowiada o Matce Boskiej? Przecież jest luteranką. Czyżby radość odebrała jej rozum? A może to gra wybujałej wyobraźni? Hm, albo po prostu jest jeszcze dużym dzieckiem.

Zbliżała się właśnie gromada młodzieży. Blom zaczarował srebrnego talara, który zniknął, a teraz podbiegł do Rozalki i wyjął talara z jej złocistych włosów.

Fabricius był wściekły, że im przerwano rozmowę, i bez pożegnania wysunął się z salonu. Ilekroć źle się czuł albo coś go rozdrażniło, zawsze starał się wydostać na świeże powietrze.

Już miał opuścić dom, kiedy na podwórzu dojrzał wchodzącego kuruca, prostego żołnierza, który wymachiwał wielkim bukietem kwiatów.

— Komuż to asan niesiesz te kwiaty?

— Jejmościance pannie Otrokocsy.

— A od kogo?

— Od porucznika Gybrgya Görgeya.

— Ach tak? — Fabricius był już dostatecznie zdenerwowany, a tej dodatkowej porcji już znieść nie mógł. Domyślił się, że bukiet jest przysłany z okazji urodzin Rozalii, co znaczy, że oficer o tym wie, oczywiście, Rozalka mu to powiedziała, podczas gdy jemu, Fabriciusowi, nie

napomknęła ani słowem.

— Pokaż asan te kwiaty — huknął groźnie na żołnierza.

Żołnierz podał mu bukiet, Fabricius zaś wrzucił go po prostu do studni znajdującej się pośrodku podwórza.

— Powiedz asan imię panu porucznikowi, że jego kwiaty sprawiły wielką przyjemność żabom.

W Lewoczy były już wtedy urządzenia wodociągowe, a ze starych studzien korzystano tylko w razie jakichś zakłóceń w działaniu wodociągu.

Żołnierz, jako że pochodził z Lewoczy, znał młodego rajcę i nie śmiał zaprotestować. Odwrócił się na pięcie i udał się do piwiarni, w której właśnie siedział porucznik z większym towarzyszem. Usłyszawszy opowieść żołnierza Görgey nie przestał sączyć piwa z kufla, tylko rzekł:

— Coś mi się zdaje, że mości rajcę drugie ucho śwędzi.

Porucznik miał mocne nerwy, nie wpadł w gniew, tylko zaczął się zastanawiać nad tym wypadkiem. Zrobiło mu się ciepło koło serca i nagle zapragnął samotności.

Zapłacił i wyszedł. Komilitoni spojrzeli po sobie. Z tego na pewno będzie spotkanie na ubitej ziemi! Zaczęli rozważać szanse pro i contra. Ale Görgey nie myślał o pojedynku. Postanowił zaliczyć wydarzenie do gatunku niesmacznych żartów. Niech Bóg broni, żeby pojedynkiem narazić na szwank dobre imię Rozalki!

Pragnął jednak samotności. Wesoły porucznik i samotność! Coś go ciągnęło, żeby się znaleźć na miejscu, gdzie nie ma nikogo, gdzie szumią drzewa. Wyruszył na daleki spacer poza miejską bramę, żeby spokojnie całą sprawę przemyśleć.

A więc Fabricius pozwolił sobie na taki grubiański uczynek. Ale dlaczego? Wytłumaczenie może być tylko jedno: jest zazdrosny o Rozalkę, i to zazdrosny przez niego! Przecież on (Görgey) nie dał ku temu żadnego powodu, a zatem jasne, że powód dała Rozalka i to stwierdzenie zachwiało nagle jego wewnętrzną równowagę. Sam bowiem nie myślał dotychczas o miłości, bardzo lubił kuzyneczkę, widział w niej śliczną krewniaczką i nic więcej: Co za niespodziewane odkrycie! Kto by przypuszczał? Serce w nim wzbierało i pełnymi płucami wciągał balsamiczne powietrze. Miał wrażenie, że w przestworzach grają triumfalne trąby. Wywoływał z przeszłości wspomnienia pewnych westchnień, spojrzeń i gestów, które przesuwały się przed oczyma duszy niczym barwne muszle, w których mógł być znaleźć perły, gdyby je wówczas na gorąco zechciał otworzyć.

Tak jak sen przychodzi nie wiadomo skąd i nagle nakazuje powiekom, by się zamknęły, tak jak zjawia się odurzenie — podobnie niespodziewanie, bezgłośnie przychodzi miłość. Ani nie wkracza, ani nie przylatuje, a już jest. Może nawet już była, nim się zaczęła, bo przecież i odurzenie nie zaczyna się od pierwszej kropli wina, lecz od którejś następnej, tylko nie bardzo wiadomo od której.

Często się spotykał z Rozalką, gdyż na życzenie żupana stary Quendel zaprowadził go osobiście na pensję panny Klöster i Gyuri został tam przedstawiony, aby mógł być stałym pośrednikiem między ojcem i córką. Stara panna była przekonana, że wielce przez nią szanowany pan Quendel zamyśla za niego wydać Rozalkę, i z początku zachęcała młodego Görgeya, widząc w tym dla siebie interes. Po jakimś czasie jednak spostrzegła, że jej chrześniak Fabricius zbyt głęboko zagląda w modre oczęta panienki, i wtedy przekazała całą sprawę starej firmie, czyli Panu Bogu, jako że małżeństwa są podobno w niebie zawierane.

Gyuri często towarzyszył kuzynce na przechadzkach, toteż stykał się również z Fabriciusem, który z widocznym ogniem nadskakiwał Rozalce. Nigdy się jednak nad tym głębiej nie zastanawiał i nawet mu nie przyszło do głowy, by wspomnieć o tym wielbicieleu stryjowi, który

co kilka dni wypytywał go o zdrowie i nastrój córki. Nie przypisywał tym zalotom szczególnej wagi. Uważał Fabriciusa za kapryśnego wielbiciela, którego wszystkie uczucia podniesione są zawsze do wielokrotnej potęgi. Jeżeli kogoś lubi, to jego serce zamienia się w płonący stos; jeżeli się złości, w jego mózgu szaleje dziki orkan; kiedy jest łagodny, przypomina owieczkę, a kiedy twardy — stal. Jednym słowem dobry chłopak, tylko brak w nim pośrednich uczuć. Taki człowiek — myślał nieraz Gyuri — albo zajdzie bardzo wysoko, albo zginie na szubienicy. A co do tego, że kręci się koło Rozalki, to warte śmiechu. Biedny Fabricius, dobrze trafił. Ależ rozdziawi gębę, jak się dowie, że jejmościanka Rozalia Otokocsy jest córką żupana Pála Görgeya. To jeszcze jeden okrutny figiel spleatany przez los, nic więcej.

Najokrutniejszym figlem jest jednak ten, przez który cierpi Rozalka. Fabricius przynajmniej nie wie, kim jest jego ukochana, Rozalka zaś wie, że musi nosić żalobną suknię dlatego, że miasto nie dokonało jeszcze zemsty na jej ojcu. Biedna maleńka, jak ofiarnie znosi swój los. Jak uprzedzająco miła jest dla Fabriciusa, chociaż wie, że młody człowiek, który jej prawi dusery na przechadzkach, w ratuszu obmyśla sposoby, by zgubić jej ojca. Gyuri niejednokrotnie podziwiał opanowanie kuzynki, jej siłę ducha w odgrywaniu roli narzuconej przez rodzicielską troskliwość. Miał dla niej głębokie współczucie, pod którym chyba od dawna tkwiło maleńkie ziarenko, które zakiełkowało od pierwszego słonecznego promienia.

Samotność! To największa gaduła. Ile mu teraz naopowiadała! Gyuri poczuł się jak odrodzony. W głowie szumiały mu piosenki, jakby był scholarzem wracającym z majówki. Spojrzał na rozgwieżdżone niebo i po raz pierwszy zauważył, że postać widoczna na tarczy księżycy dźwiga wiązkę chrustu (objawiła się wyobraźnia). Mignęła spadająca gwiazda. Zagapił się na nią, leciała i leciała skośnie przecinając firmament, aż spadła na górę Scheibena. W co się tam zamieni? W puszystą trawę-ostnicę, w kwiat czy też rozwieje się w nicości? (Pierwszy raz zaczął się nad takimi rzeczami zastanawiać.) Jakby zrodziły się w nim nowe zmysły, a dawne wysubtelniały chwytając najdrobniejsze drgnięcia. Miał wrażenie, że ziemia dyszy, a liście oddychają. Wydawało mu się, że słyszy szmer wywołany przez osę śpiącą w płatkach dzikiej róży, kiedy przewraca się na drugi bok w swej ślicznej miękkiej łożnicy... Te wszystkie wrażenia w niewypowiedziany sposób odmieniły świat, który stał się nagle ciekawy i godny uwagi.

Kiedy powrócił do swego mieszkania w siedzibie urzędu komitackiego, stojący na straży Vlaszinko powitał go wiadomością, że przychodziło do niego dwóch panów.

— Co powiedzieli?

— Że przyjdą jutro rano.

Gyuri domyślił się, o co chodzi. Z pewnością rozpowiedziano już po mieście jego uwagę o drugim uchu Fabriciusa, i dumny młody rajca tego nie przepuści.

Z rana zjawili się Miklós Blom i Sebastyén Trück, pisarz magistracki, domagając się wyjaśnień w imieniu swego mocodawcy. Gyuri roześmiał się.

— Ejże, mości panowie, przecież to nie żadna obraza honoru, że kogoś swędzi ucho.

Sebastyén Trück wdał się w zawiłą argumentację.

— Owszem, mości poruczniku, to nie jest obraza, jeżeli się rzeknie ot, tak sobie. Ale wypowiedziane tonem groźby i zważywszy, że wymienionemu już odcięto kawałek ucha — śmiem twierdzić, iż należy te słowa uznać za obrazę.

Porucznik skłonił się i rzekł:

— Uważam, iż teraz, kiedy tyle krwi przelewa się pro *libertate patriae** i wciąż jest jej za mało, byłoby rozrzutnością marnować choćby kroplę *pro aure senatoris*.** Niemniej jednak, jeśli moi panowie inaczej postanowią, gotów jestem stanąć na placu. Za godzinę przysię swoich sekundantów.

O rycerską przysługę poprosił imć pana Györgya Grodkovskiego i Mihálya Horanskiego, komitackiego pisarza. Czterej sekundanci zasiedli razem, przez całe popołudnie radzili przy niezliczonych kufiach piwa.

Świadkowie Görgeya dowodzili, że większej obrazy doznał porucznik, gdyż posłane pewnej damie kwiaty Fabricius z niewiadomego powodu wrzucił do studni. Ta argumentacja całkiem wyprowadziła z równowagi Miklósa Bloma.

— Co za ludzie! Boże mój, Boże! Ślą róże albo nie pozwalają ich doręczyć. A ja i bez tego już nie daję rady.

Sebastiyén Trück widocznie z góry postanowił, że będzie się we wszystkim sprzeciwiał przedstawicielom komitatu, gdyż jako intrygant doceniał, jak tego rodzaju sprawy podnoszą popularność. Wygadywał więc różne głupstwa, ot, że kwiat to tylko martwy przedmiot, podczas gdy ucho rajcy to część składowa samego rajcy, a więc coś urzędowego, i na kpiny z tego ucha należy patrzeć pod całkiem innym kątem. Wyrzucenie bukietu to tylko bezprawne naruszenie własności, a nie obraza, podczas gdy aluzja do ucha to obraza i zamach przeciwko władzy.

Mihály Horanszky niesłychanie się oburzył tym dowodzeniem.

— Słuchaj waćpan, jeżeli powiedzenie, że kogoś śwędzi ucho jest obrazą i zamachem, to jestem zmuszony natychmiast popełnić zamach przeciwko sobie samemu. Oświadczam wręcz, że śwędzi mnie ręka, kiedy waćpan gada, wobec czego najrozsądniej uczynisz, jeśli zamilkiesz.

Tego było dla Trücka za wiele, wybuchnął gniewem, wyskoczył przed Horanskiego i zaczął mu przed nosem wymachiwać rękami, otworzywszy jednocześnie śluzę grubiaństwa i zaraz obaj przeszli do czynów, co nie jest postępowaniem godnym szlachcica. Błom i Grodkovszky rozdzielili ich. Ponieważ narada sekundantów zrodziła uboczny pojedynek, złotej kobyłe, jaką była sprawa Fabricius-Görgey, pozwolili się wymknąć z zagrody rycerskości powiadając, że nie ma dostatecznie ważnego powodu do pojedynku. Postanowili więc, że Fabricius wyrazi ubolewanie z powodu skonfiskowania bukietu, Görgey zaś odwoła uwagę o uchu Fabriciusa, po czym po przyjacielsku podadzą sobie ręce, rzecz jasna, przy okazji przyjemnej wieczerzy, na której będą obecni również sekundanci, oczywiście, o ile pozostaną przy życiu.

Jedno jeszcze było konieczne, a mianowicie by nowo urodzony pojedynek odbył się przed ową wieczerzą. Pokłóceni sekundanci, przemienieni w przeciwników, szybko się oddalili i każdy dosłał po jednym sekundancie do pozostawionego na miejscu. Przy dalszym popijaniu piwa i wygadywaniu niedowarzonych bredni ustalili, że pojedynek ma się odbyć we wczesnych godzinach rannych w pobliskim lesie, na szable, do pierwszej krwi. O zimną pieczeń na śniadanie i gorzałkę z wytłoczyn zatroszczy się Miklós Błom.

Wszystko odbyło się jak należy, z wyjątkiem tego, że zrodziły się wątpliwości przy interpretacji „pierwszej krwi”. Doszło do sprzeczki i o tym w Lewoczy dużo jeszcze było potem gadania. Na szczęście gadanie to nie krew. Stało się bowiem tak, że przy pierwszym starciu (walkę prowadził Błom) Trück, który chyba nigdy jeszcze nie miał szabli w dłoni, zaczął nią tak szaleńczo wymachiwać w lewo i prawo, w przód i w tył, że jakimś sposobem zadrasnął w rękę własnego sekundanta, Bloma, który odskoczył i wrzasnął:

* za wolność ojczyzny (łac.)

** za ucho rajcy (łac.)

— Uważaj, do diabła, przecież mnie ciąłeś. Patrz, krwawi! (Istotnie z wierzchu dłoni Bloma spływała krew.)

Na to Trück opuścił szablę.

— No, co to znaczy? — zapytał zaskoczony Horanszky, rycersko wstrzymując w pół ruchu zamierzone cięcie.

— Jest! — wyjąkał zdyszany Trück.

— Co jest?

— Pierwsza krew — odrzekł spokojnie Trück, co spowodowało taki wybuch śmiechu Horanskiego, że aż mu w krzyżu strzyknęło.

Śmiech jest zaraźliwy. Sekundanci śmiali się do rozpuku, nawet Trück, choć sam nie wiedział dlaczego, także wybuchnął śmiechem, na co Horanszky zawołał:

— Dość tych błazeństw! Serwus, skrybo! Istotnie mądrze to wykoncypowałeś.

Takiego wesołego pojedynku jeszcze w Lewoczy nie było, od czasu jak powstała. Całe miasto chodziło roześmiane. Natomiast Sebastyén Trück nic sobie nie dał wytłumaczyć, do śmierci dowodził, że zawsze stosuje się do przepisów, że w regule pojedynku nie było powiedziane, czyją ma być owa pierwsza krew (choć on sam czuł się jak krwiożerczy lew), że uważał za swój rycerski obowiązek zaprzestać dalszej walki na widok pierwszej krwi. To jedyne słuszne stanowisko. Nic o tym nie ma w kodeksie honorowym, ale tego żąda sumienie uczciwego mieszczanina. *Punctum*.

Tegoż dnia odbyła się u „Starego Gambrinusa” wieczerza na przypieczętowanie pojednania. Fabricius i Görgey siedzieli obok siebie, stukali się szklenicami, ale pozostał mimo wszystko pewien chłód i obcość. Jakby między nimi siedział jakiś cień, a oni wskroś niego podawali sobie ręce. Ogniste wino, ciepłe słowa, męskie postanowienia — nic nie zdołało tego cienia odegnać, a nawet jakby od tego wieczoru zaczął się coraz bardziej rozrastać i gęstnieć.

W małych miastach żadna tajemnica się nie ostoja. Rozalia wkrótce dowiedziała się o wydarzeniu z bukietem. To był bardzo nieładny postępek w stosunku do Gyuriego. Nieznośny Fabricius! Ale właściwie ten niesprawiedliwy postępek jej się podobał. No tak, szalony Fabricius też jej się podobał. Prawdę mówiąc była tą całą historią zachwycona. Tylko że wrzucenie bukietu do studni było niedorzecznością. Jakie śliczne musiały być te róże. Fabricius chyba nie ma wcale serca, że ich nie pożałował. Owszem, ma serce, przecież to ono ku niej się skłania, a skąd mógł wiedzieć, że Gyuri jest jej stryjecznym bratem? Czuła jednak, że Gyuri to porządny chłopak i należy mu się od niej zadośćuczynienie. Dlatego kiedy następnym razem Gyuri ją odwiedził, była dla niego o wiele serdeczniejsza i miłsza niż kiedykolwiek przedtem.

No i z tego wynikła bieda, o ile można nazwać biedą coś, co komuś sprawia przyjemność. Gyuri po raz pierwszy spoglądał na Rozalkę tak, jak się patrzy na niewiastę. Czuł, że ogarnia go przedziwna, słodka rozkosz. Oczy mu rozbłyły, kiedy poczuł w swej wielkiej dłoni małą, miękką rączkę, którą przez chwilę trzymał. A co dopiero, kiedy jej suknia raz i drugi musnęła jego nogę. Przez całe ciało przebiegały mu potoki rozszalałej krwi i ze zdumieniem pytał sam siebie: „Gdzie miałem dotychczas oczy i serce?” „Tam były — mogłyby mu odpowiedzieć jakiś tajemniczy głos — gdzie i twoja próżność. Fabricius zbudził próżność, ona zaś otworzyła ci oczy i serce niczym zręczny ślusarz.”

Serdeczność i życzliwość Rozalki przyczyniły się do przyspieszenia wzrostu uczuć porucznika. Zresztą w miłości nie ma nigdy zastoju: albo rośnie, albo topnieje, ale nigdy nie spoczywa. To zaś pogmatwało całą sytuację. Rozrastały się dwie miłości wśród trzech osób, nie jedna obok drugiej, lecz jedna kosztem drugiej. Fabricius też nie mógł się zadowalać na dłuższą

metę „kradzionymi” melancholijnymi rozmowami na pensji. Bezradna miłość ciągle się domagała: więcej! więcej! Panna Matylda często zabierała z sobą Rozalkę na podwieczorek do ciotki Francki, to jest jejmości Fabriciusowej, gdzie obie starsze panie mrugały do siebie porozumiewawczo i odchodziły coś obejrzyć do komory albo do piwnicy, zostawiając młodych we dwoje. Ich nieobecność trwała zwykle dość długo, bo przecież to już właściwie narzeczeni, należy im się trochę miodu. Rzecz jasna, młodzi wykorzystywali te rajskie chwile i dręczeni wieczną niepewnością wzajemnie sobie przysięgali, że nigdy nikogo innego żadne z nich nie pokocha. Potem kolejno odrzucali chłodne towarzyskie maniery, codziennie coś: będąc w cztery oczy mówili sobie po imieniu i same przysięgi już im nie wystarczały. Więcej, więcej! Doszli do pogroźek i grózb.

— Kochanie, zabiłbym cię, gdybyś mnie zdradziła.

— Siebie bym zabiła, Antal, gdybyś mnie przestał kochać.

I jeszcze więcej, coraz więcej. Nie z daleka rzucali do siebie te słowa, lecz całkiem z bliska, trzymając się za ręce lub obejmując albo nawet (ale o tym nikt nie powinien wiedzieć) pieczętując to i owo ukradkowym całusem. Ponieważ na życzenie Rozalki nikomu nie wolno było wspomnieć o zamierzonym małżeństwie, póki nie zawiadomi o tym ojca, wobec zewnętrznego świata ich wzajemny stosunek był pozornie niezmienny. Z tym było najtrudniej: powracać od większej swobody do ograniczonej. Kiedy pensja odbywała przechadzkę i Fabricius szedł przy Rozalce, mogli sobie szeptem rozmawiać, przekomarzać się, rzucać czułe słówka; jeśli jednak przyłączał się do nich Gyuri, panienska od razu wyskakiwała z przedsionka raju (dopiero co tam byli) i w zewnętrznym świecie ani rusz nie mogła sobie znaleźć miejsca. Rozmawiając z Fabriciusem była zmieszana, skąpowana, bojaźliwa, a bała się głównie tego, że Fabricius się zdradzi. Dlatego raczej z Gyurim paplała wesoło, bez skąpowania (żeby odsunąć wszelkie podejrzenia) i wtedy Fabricius wydawał się przy nich natrętnym zawalidrogą, jakby przysłowiowym piątym kołem u wozu, owym nieszczęsnym trzecim, który tylko przeszkadza radośnie gruchającej parze.

Fabriciusa też mierzila ta sytuacja (może go nawet gniewała), kiedy więc gdzieś na ulicy dostrzegł Rozalkę z Gyurim, kłaniał się chłodno, oficjalnie i nie podchodził do nich.

W taki to sposób miłość Gyuriego żywiła się cudzą miłością, która nie mogła wyjść na światło dzienne. Ta fałszywa sytuacja wprowadziła w błąd młodego porucznika. Nie tylko on pograżał się coraz głębiej, ale z dnia na dzień był coraz bardziej przeświadczony, że i Rozalka go kocha, że wystarczyłoby jedno jego słowo... ale tego słowa nie wolno mu i nie wypada wypowiedzieć, póki nie oznajmi o tym ojcu albo przynajmniej matce, a także stryjowi Pálowi. Należał jeszcze do owych dawnych, szlacheckich młodzieńców, którzy za grzech uważali zawrócić pannie w głowie.

Postanowił sobie co prawda, że pojmie Rozalkę za żonę, ale wiedział, że dokonanie tego nie będzie łatwą sprawą. Nie z powodu wojny, gdyż do wojny wszyscy tak przywykli, jakby jej wcale nie było. Toczyła się bowiem nieustannie. Mimo wojny — a nawet właśnie dlatego że jest wojna — ludność musi się rozmnażać.

Prawdę mówiąc, wojowanie nie było wówczas takie uciążliwe jak dzisiaj. Było w nim trochę zabawy, dawało wiele przeżyć i nie wiązało człowieka całkowicie. Wojska labanców poruszały się powoli, a więc i kuruce mieli na wszystko czas. Latem podczas upałów część oficerstwa rozjeżdżała się pod różnymi pretekstami — udawali się do domu, żeby odpocząć w chłodzie. Zimą zaś i brygadierzy pozwalali sobie na kilkudniowe skoki, to na świniobicie, to na zrobienie porządków w inwentarzu. Poza znaczniejszymi bitwami, w które zaangażowane były duże jednostki, toczyły się przeważnie jesienią drobniejsze utarczki i potyczki. Zwykle rozrywki szlacheckie urodzonych ulegały zmianie tylko o tyle, że miast na zajęcia czy dziki, gromadzili się

na łowy przeciw Niemcom. Wiosenne zaś obozy bardzo szlachcie odpowiadały, gdyż o tej porze roku w domu nie ma jeszcze roboty i nie ma już zwierzyny, a Niemcy są.

Samo miasto Lewocza nic a nic dotychczas nie ucierpiało z powodu wojny*. Kurucy oficerowie zjawiali się i znikali z miasta, jakby to był salon, wszędzie ich było pełno, ale nie wtrącali się do spraw miejskich, ożywiali tylko interesy i pełnili rolę drożdży w zasępionym, żalobnym mieście.

Trudność więc nie łączyła się z wojną. Mars chętnie odstępował trochę czasu małemu brzdącowi z łukiem, Amorowi: „Proszę cię bardzo, braciszku, mamy czas.” Co prawda lewoczańskie kalendarium, jedyna drukowana węgierska wyrocznia, taką dawało na bieżący rok przepowiednię:

Dwanaście nieba znaków tak się ukształtuje,
Że więcej ludzi zemrze, niżli zachoruje.

No cóż, to jeszcze nic złego, byleby większość stanowili labance. Inne są kłopoty z zawiązywaniem łańcuchów Hymena. Znalazłoby się dość narzeczeńskich par, księży dla dokonania obrządku, kapel cygańskich, nawet na miodowy miesiąc można wykroić trochę czasu, ale trudno zebrać weselnych gości. Inaczej mówiąc rodziny są rozproszone. Gdzie, na przykład, Gyuri mógłby teraz odnaleźć ojca? Jeden Pan Bóg wie, dokąd go zagnał wojenny wicher albo rozkaz księcia! Niemałym zadaniem byłoby choćby dotrzeć do Toporca bez narażenia skóry, żeby porozmawiać z matką.

W takim samym ślepych zaułku utknęła sprawa Fabriciusa. Rozalia wciąż milczała na temat ojca, ani panna Klöster, ani jejmość Fabriciusowa nie zdołały z niej nic wydobyć, chociaż pożerała je ciekawość. Zgodziła się jednak, by przygotować spotkanie z ojcem, gdyż nadzieję na jego zgodę mogła mieć tylko w wypadku, gdy sama z nim porozmawia. Zgodnie z surowym rozkazem ojca jedyną drogą było wysłać do niego Quendla, a więc należało najpierw jego odnaleźć i wezwać. Mogła to co prawda uczynić także za pośrednictwem Gyuriego, ale tego nie chciała, później zaś, kiedy dla obu zakochanych serc sprawa stała się pilna, Gyuri gdzieś zniknął, podobno wybrał się do Toporca i po drodze wpadł w ręce labanców. Fabricius robił, co mógł, żeby trafić na ślad Quendla, rozesłał na wszystkie strony gońców, przemierzali pół kraju, i nic. Kto wie, gdzie teraz Quendel przebywa. Może w szabadkańskim lesie odgrywa znów Turka, o ile nie odstąpił od tej wiary?

Tak mijały dni i tygodnie, aż nadszedł czas, kiedy jeden po drugim zaczęły spadać ciężkie ciosy. Na polach myszy straszliwie się rozmnożyły, za ludzkiej pamięci nie znano takiej plagi (dobrze było w owym roku być kotem). Pożarły wszystko, co zostawiły wojska. Dwa razy wybuchły w Lewoczy pożary i pochłonęły niemal pół miasta. Niewiele brakowało, a całkiem by spłonęła mała oficyna drukarza Brewera, stopiła się jednak część ołowianych czcionek. We wrześniu wybuchła jakaś paskudna zaraza wśród drobiu, w ogromnym promieniu wokół miasta nie pozostała ani jedna skrzydlata sztuka, co sprawiało wiele kłopotu gospodyniom, gdyż nie było jajek. Większy żywy inwentarz zarekwirowały wojska labanców, wszędzie gdzie kwaterowały, a tam gdzie nie było labanców, rekwirowali kuruce, co dla samych zwierząt domowych było obojętne. Do Lewoczy zaczęła zaglądać bieda, a w ślad za nią pojawiły się przestępstwa, kradzieże, rabunek, rozbijanie sklepów i różne bezprawne poczynania; kat Joachim Fleck nie mógł podołać pracy i zażądał od rady przydzielenia mu jednego czeladnika i jednego terminatora.

* Sławne oblężenie przez wojska Löffelholza miało miejsce później, w roku 1710, kiedy dowódcą był generał Andrassy.

Ponieważ imię pan Fleck był bardzo popularną osobistością, więc dostał, czego chciał.*

W tym całym zamieszaniu wymachująca lewą ręką Opatrzność postanowiła nie spoczywać, gdyż krótko przed dniem Wszystkich Świętych zwała nagrobek burmistrza Karolya Kramlera na nieszczęsnego Nustkorba, tak że na dobitkę miasto Lewocza znalazło się bez burmistrza.

Niczym ciężka, gęsta mgła padł na miasto mrok zabobonnego strachu. Oto palec Boży! Wszyscy byli tego zdania, wszyscy to powtarzali, tylko wytłumaczenie było różne. Jedni tak widzieli sprawę: przecież Karoly Kramler umarł za sprawą Nustkorba, dlatego jego kamienna postać przygniotła swego następcę. Wyciągano więc wniosek, że Görgey wcale nie jest tak bardzo winny, toteż należałoby zdjąć żałobę. Donosić trzeba tę żałobę do pogrzebu, a potem ją zrzucić.

Drudzy znów rozumowali inaczej: poprzedni burmistrz dlatego zabił obecnego, gdyż Nustkorb okazał się bezradny i nie potrafił go pomścić. Wobec tego albo teraz, albo nigdy! Niebo ostrzega miasto Lewoczę, by się wzięło w garść i przywdziało strój grozy...

W oparciu o te dwa poglądy już na pogrzebie, w którym wzięło udział całe miasto, ukształtowały się dwa stronnictwa. Zwolennicy pokojowego rozwiązania mówili o Mostelu.

Ktoś spośród grupy wojowniczych miał jednak zastrzeżenia:

— Jeżeli się chce prowadzić wojnę, trzeba na przywódcę wybrać nie najstarszego, lecz najmłodszego.

— Brednie — rzucił Krisztalnyik, bogaty kotlarz. — W takim razie należałoby wybrać Fabriciusa. — A czemu nie? — wtrącił się z przeciwnej grupy Konrad Königmayer, rymarz. — Rozumu ma po temu dość.

* W owych czasach kat, a szczególnie kat miejski, nie był jeszcze postacią, którą ludowa fantazja ubierała w szkarłatny i nurzała w bagnie wszelkich okropności. Kat był niemal urzędnikiem, uzupełniającym składnikiem miejskiej legislatury. Nienawiść, pogarda i obrzydzenie w dużej mierze odpadały dlatego, że pojęcie kata nie było nieodłącznie związane z pozbawianiem życia.

Były miasta, które zatrudniały kata, ale nigdy nikogo nie skazywały na śmierć: były zaś inne, jak na przykład Korpona, którym przyznane było „ius gladii” (prawo miecza), ale nie utrzymywały kata, więc ewentualnego delikwenta radością przekazywały innemu miastu, aby tam wykonano wyrok.

Warto było być w dobrych stosunkach z katem, gdyż w owych czasach nikt nie mógł być pewny, czy nie dostanie się w jego ręce. Do niego trafiały też różne drobniejsze przestępstwa. Rozpusta lub nieudana miłosna przygoda były karane czy to ucięciem ucha, czy ręki. Do kata należały także zupełnie niewinne funkcje. Niewieście, która zesła z prostej drogi, strzygł włosy przy samej skórze, skazanego na banicję wyprowadzał za bramę i tam wypalał na nim pieczęć rozpalonym żelazem. Jednym słowem, zasięg jego funkcji rozciągał się na różne dziedziny życia, dlatego każdy starał się być z nim w dobrych stosunkach. Przecież wiele od niego zależało, mógł bowiem albo bezwzględnie, albo łagodnie egzekwować wyroki sądy miejskiego, które w wypadku wykroczeń, w dwóch trzecich polegały na obcinaniu różnych części ciała.

— Rozum to ma — dorzucił Lőrinc Ludman, mistrz cechu szewskiego — ale do tego trzeba mieć i brodę.

— Zaiste, jeśli tylko tyle trzeba — zachichotał znany kpiarz László Makhálovsky, stary otyły szlachcic, który zjechał na pogrzeb z Makhálfalvy — to ja waszmościom przyślę starego kozła, niech będzie burmistrzem.

— Pst, pst — uciszano ich, gdyż wielu napawało się pięknym barytonowym głosem kantora Daniela Molicski, który zaczął wzruszająco żegnać dostojnego zmarłego, i to po węgiersku, z uwagi na kurucką władzę. Boże, jakież on ma cudowny głos!

Sz szczególnie białogłowy zachwycali się jego śpiewem, ale były i całe gromady ludzi, którzy wzruszyli się do łez. Podobała się nadzwyczajnie następująca strofa:

Niech nie płacze lud Lewoczy,
Burmistrz na sąd boski kroczy,
Przy tronie boskim zasiądzie,
Za wami wstawiać się będzie.

— Prawdziwie pocziwy był z niego człek!

— Otóż to! A kiedy żył, tośmy go przeklinali.

Niewiasty ocierały fartuszkami oczy, mężczyźni spoglądali jedni na drugich i kiwali głowami, że owszem, podoba im się pieśń kantora. Imć pan Klebe aż się rozszlochał i sąsiadom z lewej i prawej powtarzał dumnie, aż głos mu się załamywał:

— To ja go przywiozłem do Lewoczy. Co za skarb ma w gardle! Prawdziwy skarb. „Molitoriszem” przyjechał już parę lat temu. Przez całą drogę śpiewał konikom. Nawet owsa im nie było trzeba. Ale słuchajcie dalej!

Kantor w dalszym ciągu zawodził w imieniu zmarłego:

Żegnaj, ratuszu lewoczański,
Zhańbiony przez czyn żupański...

Cizba żałobników niespokojnie zafalowała. Jakiś skrzeczący głos zawołał:

— Hej tam, kantorze nicponiu, nawet tu nie wahasz się acan podburzać przeciwko szlachcie, w obecności nieboszczyka?

Wszystkie spojrzenia szukały tego, do kogo należał głos. Był to nikt inny, tylko stary Quendel, stojący u boku potężnego kasztelana Grodkovskiego, pośrodku grupy składającej się z ludzi komitackich. Jego ostry głos poznał z daleka Fabricius i przepychając się w kierunku głosu dotarł do właściciela.

— Po całym kraju waszmość pana szukamy, mości panie Quendel.

— I czegoż to, *amice*, ode mnie chcecie? — spytał zagadnięty obojętnym tonem. — Jestem.

— Jejmościanka Rozalia Otrokocsy chciałaby z waszmość panem się zobaczyć.

— Skąd to wiesz? — zachnął się mrukliwie stary.

— Bo mi sama rzekła.

— Czymże jesteś dla niej?

— Wielbicielem — odrzekł wesoło Fabricius.

Quendel pomachał rękami, jakby chciał odpędzić lecący ku niemu rój komarów.

— No dobrze, dobrze. Nie gadaj, nie tłumacz, jużem to i owo słyszał, ale nic nie chcę wiedzieć. Dość. Chciałaby ze mną pogadać? Zajrzę tam. Żebym tylko nie zapomniał. Wpiszę do swego kalendarium.

Przy tych słowach wyjął z kieszeni dużą chustkę i związał na niej supeł, chociaż już ich było z dziewięć, każdy o innym znaczeniu.

Jago ruchliwa natura nie wytrzymała długiego stania w jednym miejscu. Odszedł więc od komitackiej gromadki i wmieszał się między kupców i rękodzielników. Tu sprzedał jesienne owcze runo, tam oferował owcze skóry, chciał też sprzedać swoje domy w Lewoczy (może już przeczuwał przyszłe obłężenie), bogatego browarnika Jánoša Köprecza namawiał na kupno gospody w Görgő (w tym też objawiał się jego niezwykły węch), od Tobiáša Kneppla kupił wieprze, od bednarza Mátyáša Ranettera pięćdziesiąt dużych beczek dla swojej piwnicy w Tokaju — jednym słowem, wykorzystał żalobne zgromadzenie dla własnych interesów, a jednocześnie w sobie właściwy bezceremonialny sposób wsadził swoje trzy grosze w plany wyboru nowego burmistrza. Irytowała go szczególnie możliwość wybrania Fabriciusa.

— Tego by tylko brakowało. Niedojrzały smarkacz! W czyjeż głowie wyrósł ten grzyb? Zadufany w sobie Konrad Königmayer poczerwieniał i uderzył się w piersi.

— Jam to rzekł, i co? A teraz jeszcze raz powtórzę. Czemu nie miałbym powtórzyć? Mam prawo głosu i oddam swój głos, na kogo chcę.

Quendel lekceważąco machnął ręką.

— I tak nic z tego nie będzie.

— Czemu nie ma być? — wtrącił Lőrinc Ludman, starszy cechu szewców. — A jak większość tego zechce?

Quendel był przedziwną mieszaniną skromności i pychy, teraz dumna strona jego natury wzięła górę.

— Mnie tam wszystko jedno, kogo lewoczańskie mieszczaństwo obierze swym burmistrzem, nic mnie nie obchodzi, czy konopnym sznurem się opasze, czy złotolitym pasem. Burmistrz Lewoczy to dla mnie pchła. Może nawet mniej niż pchła, bo pchła potrafi mnie ukąsić, a lewoczański burmistrz nawet tego nie potrafi. Ale jakbyście chcieli tego niedowarzonego wyrostka, tego pyszałka Fabriciusa wybrać burmistrzem, to ja na to nie pozwolę.

Tego nie mógł w milczeniu słuchać nawet lekarnik József Gyglas, choć człek był z niego poczciwy.

— Oho, ależ to wielki pan z waćpana — powiedział uszczypliwie — od czasu jak ci szlachecki patent nadano.

Starego Quendla jednak już nie było w pobliżu, zdążył się przebić przez ciżbę ku tkaczom, gdzie rozpoczął targi z chorążym cechu o tegoroczne zbiory lnu, podczas gdy pozostawieni sami patrycjusze pomstowali dalej na niego.

— Co za zuchwalec!

— Stary kozioł do wszystkiego się wtrąca!

— Powiada, że nie pozwoli! Niech na swoim podwórku rozkazuje!

Bogaty kotlarz Krisztalnyik, który przed pół godziną dla żartu rzucił myśl o wybraniu Fabriciusa na burmistrza, teraz ostro obciągnął kataną i zasapał.

— Co takiego? On nie pozwoli? Właśnie dlatego będę głosował na Fabriciusa!

— Ik auk * — dodał kozusznik, imię József Bujdosó, pochodzący z Debreczyna, który przez dwadzieścia pięć lat nie wyuczył się więcej niż dziesięciu czy piętnastu niemieckich wyrazów, i to pożał się Boże jak!

— Hm, ale czemuż on tak bardzo nienawidzi Fabriciusa? — zastanawiał się złotnik Lőrinc Greff. — Niepojęte!

* Zniekształcone niemieckie ich auch – ja również.

— Jego młodości nienawidzi, bo tego kupić nie może.

Jednym słowem, nim uroczystości pogrzebowe dobiegły końca, wiadomość o groźbach Quendla rozeszła się jak pożar lasu i wzbudziła ogólne oburzenie. „Czegóż on wtyka nos w nasze sprawy? Że niby on nie pozwoli? No, chcielibyśmy to zobaczyć!”

Imię Fabriciusa, jakby dostało skrzydeł, przenosiło się z jednych ust na drugie i tak krążyło przez całe popołudnie i wieczór, spowite w irytujące groźby Quendla.

Stary Quendel nawet się nie domyślał, jaką popularność wyrobił Fabriciusowi własną niepopularnością. Po pogrzebie odwiedził Rozalkę, z którą jednak nie mógł swobodnie porozmawiać, gdyż w salonie były przez cały czas obecne jejmość Fabriciusowa i panna Matylda. Rozalia poprosiła, by zechciał ojcu dostarczyć list, który poszła napisać do swego pokoju, a tymczasem obie starsze panie go zabawiały.

Rozalka szybko powróciła z zapieczętowanym listem. Obie panie na wszystko pilnie baczły i chytre spojrzenia wpiły w kopertę, żeby coś wypatrzeć. Ale nie było na niej ani nazwiska, ani adresu, ani nazwy miejscowości. Rozalka napisała tylko:

„List ten proszę doręczyć memu Panu Ojcu do rąk własnych. Ibi, ubi.”(Było to wówczas powszechnie używane oznaczenie położenia geograficznego.)

Wewnątrz zaś treść listu brzmiała:

„Czcigodny Panie Ojcze!

Bogu dzięki, zdrowa jestem i proszę, nie gniewaj się, że Pana Ojca niepokoję, ale jest coś bardzo ważnego, co chciałabym osobiście powiedzieć. Tatuńciu! Bardzo chcę z Panem Ojcem porozmawiać, chyba umrę, jeżeli to się nie stanie bardzo prędko. Jest mi tu bardzo dobrze. Ale stało się coś ogromnie ważnego. Całe moje życie zależy od tego, co Pan Ojciec powie. Proszę, obmyśl coś, abyśmy się mogli wkrótce spotkać, ale prędko, bardzo prędko, nie pozostawiaj mnie długo w niepewności, ręce Twoje całując pozostaję

posłuszną córką Rozalka”

Panienska była tego dnia wesola. Podała list Quendlowi, po czym kazała mu wyciągnąć jedną dłoń, którą ujęła w swoją, a drugą kilka razy klepnęła starczą, pomarszczoną rękę, i to z głośnym plaśnięciem. Stary aż przymrużył oczy, takie to dotknięcie było rozkoszne.

— A to jest napiwek dla waszmości. Jeszcze o jedno proszę: żebyś tego listu nie wetknął w jakąś boczną kieszeń, tylko jak najprędzej dostarczył memu ojcu.

Stary poruszył się.

— Prędko? Hm. (Chytrze mrugnął lewym okiem na znak, że chce oszukać wsłuchane w ich rozmowę stare jejmoście.) Co waćpanna uważa za prędko? Pewnie byś chciała, żebym zaraz jutro epistołę dostarczył, a przecież dwór ojczulka leży o dobre dziesięć dni drogi stąd, jeżeli nie więcej.

Po tych słowach pożegnał się i godzinę później już był w Görgó, na zamku swego przyjaciela żupana.

Rozdział piętnasty

(W KTÓRYM AUTOR, MIMO WŁASNEJ CHEĆCI, KOŃCZY OPOWIEŚĆ ZGODNIE Z KAPRYSEM OPATRZNOŚCI)

Jedna niewiasta potrafi wiele zamącić, a co dopiero dwie! Kiedy Polka Zsigmondowa Bibokowa trafiła do Görgő w poszukiwaniu męża, wedle reguł arytmetyki wszystko dało się sprawiedliwie podzielić. Było dwóch mężów i dwie żony. Dawnej przypadł stary Vince, który był na miejscu, drugiej zaś Zsigmond, którego nie było. Niewiasty żyły w zgodzie, jedna drugiej współczuła i obie razem przeklinały nieobecnego. Od czasu jednak kiedy Görgeyowi udało się pojmać Biboka i zamknąć go w zamkowym lochu, między dwiema żonami wybuchły kłótnie o to, do której powróci imć pan Zyga, kiedy się wydestanie z więzienia.

W całej wsi wszyscy sobie nad tym łamali głowy, z wyjątkiem żupana, ten bowiem wiedział, że Bibok już nigdy nie wyjdzie na wolność. Zebrano przeciwko niemu wszystkie dowody — podwójne małżeństwo, różne zdrady, nawet wykorzystanie niewinnego rozkazu zatrzymania Jánoša Görgeya, na którym to dokumencie tak źle wyszła Lewocza. Głowa Biboka dojrzała do katowskiego topora.

Żupan już to był postanowił, gdyż takiego łotra szkoda karmić podczas chudych lat, kiedy wielu uczciwych ludzi głoduje. Chciał możliwie prędko doprowadzić do egzekucji, postanowił wkrótce zwołać sąd komitacki do Görgő, bieda polegała na tym, że komitat nie miał kata.

Wysłał więc skrybę do Lewoczy, aby się porozumiał z imć panem Joachimem Fleckiem, miejskim katem, i zapytał, czy nie zechciałby za dobrą zapłatą wybrać się któregoś popołudnia do Görgő i dokonać ostatniej posługi na pewnym delikwencie.

Joachim Fleck jednak, jako człowiek o prawdziwie lewoczańskich uczuciach, oświadczył obrażony, że ani mu się śni. Nie ma na świecie takiej sumy, za którą wykonałby wyrok na komitackim skazańcu, oswobadzając tym samym komitat od złoćyńcy.

Po tej patriotycznej odpowiedzi popularność mistrza Flecka jeszcze bardziej wzrosła w Lewoczy, żupan zaś, mając inne pilne sprawy na głowie, odłożył na jakiś czas rozprawę Biboka.

Niewiasty jednak nie spoczywały, posyłając do więzienia w sekrecie różne smaczne kąski: ciastka z kukurydzianej mąki, marcepany i gęsie udka — gdyż polska żona Biboka została kucharką u arendarza Quendlowskiej gospody i różne smakołyki zyskały jej nie lada sławę. Więzień odpłacał się miodowymi słówkami, zależnie od wartości lub smaku przysłanego jada albo też od własnego humoru, wyrażając swe uznanie to jednej, to drugiej, służba zaś, która pośredniczyła, powtarzała jego słowa, wskutek czego obie niewiasty i miejscowa opinia były w coraz większej niepewności, która z nich jest bliższa jego sercu.

Położenie jeszcze się pogorszyło, kiedy pod koniec lata stary pan Vince umarł na rozstrój żołądka, co było wielkim wstydem, gdyż tylko chłopci umierają na to w porze dojrzewania śliwek, szlachcic zaś umiera zimą, kiedy się jada kielbasy i kaszanki.

Pozostał więc jeden mąż i dwie żony. Co z tego wyniknie? Obie są prawowitymi małżonkami, a jedna na dokładkę jest także macochą. Ta, z którą wcześniej się ożenił, była także żoną innego, druga natomiast pozostała tylko jego żoną. Jedna urodziła mu dwie córki, druga tylko braci. Mózg ludzki nie był w stanie się rozeznąć, po której stronie jest słusność.

Każda z nich była jednak przeświadczona, że gdy ją ujrzy, to przy niej zostanie. Jak to niewiasty, wyklócały się na ten temat, kilka razy skakały sobie do oczu i szarpały się za włosy. Trzeba jednak stwierdzić, tak między nami, że problem był raczej akademicki, zaledwie podsycany strzępkami miłości. Albowiem między jasnowłosą Polką i arendarzem Quendlowskiej

gospody nawiązały się pewne czułe nici, Bibokowej zaś, szczególnie po śmierci starego Vincego, kiedy objęła jego włości, wystarczyło skinąć palcem w stronę okolicznej szlachty, co też uczyniła. Rozpieszczanie nieszczęsnego więźnia było wyłącznie współzawodnictwem miłości własnej obu niewiast. Więzień był tylko pretekstem do kłótni, czego najlepszym dowodem petycja, którą wspólnie skierowały do żupana, aby imć pana Zsigmonda Biboka zwolnił przynajmniej na dwa tygodnie z więzienia. Chodziło im o to, by Bibok powiedział, którą wybiera, niech się cała wieś przekona! Żupan, rzecz jasna, nawet nie chciał o tym słyszeć. Wieś zaś bezustannie pobudzała pychę obu niewiast. Szelma Bibok tymczasem, siedząc w lochu, wyczuwał widocznie sytuację. Tak mówił i tak dawkował słowa, żeby utrzymywać równowagę.

Vincowa Bibokowa namiętnie pragnęła w tym sporze wziąć górę. Tak dalece, że postanowiła uczynić to, na co się przedtem nie zdobyła ani z miłości, ani z rozpaczy. Zebrała trochę manatków, kazała zaprząć konie i tak rzekła:

— Choćbym miała nogi do kolan uchodzić, pokażę tej Bibokowskiej (bezwstydna Polka tak się kazała nazywać), kto ja jestem.

Ruszyła prosto do Sárospataku na dwór księcia Rakoczego. Tam dotarła do wielmożnego żupana Csákyego, rzuciła się przed nim na kolana i tak go wzruszyła łzami, prośbami i rozpaczą malującą się na bladej twarzy, że znany z miękkiego serca magnat obiecał jej wstawiennictwo w uwolnieniu męża.

Csáky nie śmiał jednak wprost zadrzeć z potężnym żupanem, którego starszy brat cieszył się wielkimi względami księcia (książę zwracał się do Jánoša Görgeya per „Ojczę”). Rozpisał więc listy do kilku co znamienitszych spiskich panów, w których donosił, że na dworze krążą wieści o tym, jakoby jego wielmożność żupan Pál Görgey trzymał w lochach swego zamku więźniów ze szlacheckich rodów, co stanowi naruszenie szlacheckich przywilejów, i książę nie mógłby na to patrzeć pobłaźliwie. „Byłoby więc dobrze, gdyby waszmość wpłynął na jego wielmożność, aby zawczasu wypuścił owych delikwentów, nim wieść o tym się rozniesie, albo żeby ich kazał przenieść do więzienia komitackiego w Lewoczy, gdzie jest ich właściwe miejsce. Słuszną drogę zawsze wskazuje prawo. *Utcunque* dobrze byś waszmość uczynił napominając żupana, ale nie mówiąc, że to ode mnie wyszło, gdyż jego wątroba by tego nie zniosła, lecz byś wspomniął *amabiliter* *, iż czas byłby przerwać zabawę w chowanego i przywrócić urzędowanie w Lewoczy, albowiem z tego wywodzą się różne nieporozumienia i opóźnienia, co w czasach wojennych nie jest obojętne, podobnie jak szabla ma swe miejsce w pochwie, a ksiądz nie wygłasza kazania siedząc na studni z żurawiem, lecz stojąc na ambonie.” Itd.

Te listy wywołały znaczne poruszenie. Ich siłą było to, że wyszły z książęcego dworu. Każdy lubi czuć się klawiszem poruszonym przez palec panującego, choćby tylko pośrednio. Owe klawisze zaczęły grać wszystkie jednocześnie. Nie dlatego, by szczególnie wysoko stawiano Csákyego, ale każdy chciał zaimponować tym, że reprezentuje „wolę dworu”. Sami w to nie wierzyli, ale wystarczało im, by drobna szlachta w to uwierzyła. W polityce bowiem pozór jest rzeczywistością. Drobna szlachta zaś zawsze lubiła być echem znamienitszych panów. Tak więc nagle coś zaczęło silnie falować. Nie pojedziemy do Görög! Z jakiej racji mamy tam jeździć? Czy dlatego, że Quendel zbudował gospodę? Żupan nie jest przecież królem. Zresztą i król jeździ tam, gdzie zbierają się stany, a nie odwrotnie. Nie ma w tym żadnego sensu. Do pewnego stopnia można to nawet uważać za tchórzostwo. Cóż to za komitat, który nie ma odwagi zbierać się we własnej siedzibie?

* łaskawie (łac.)

Pálowi Görgeyowi prędko doniesiono o tych nastrojach; nie wiedział co prawda, skąd wieje wiatr, ale spostrzegł, że wieje. Jak postąpić? Wahał się. Po prostu poczekać: wiatr ustanie, liście na drzewach przestaną się poruszać. Dobrze będzie jeszcze z rok albo dwa przetrzymać. Pośród takich rozważań zastał go list Rozalki. Rozalka prosi o rychłe spotkanie. Ciekawe, co też chce mu powiedzieć? Wyczuwał jej niecierpliwość i podniecenie. Powód musiał być ważny, skoro zdobyła się na list. Od czasu jak zjechała do Lewoczy, ani razu do niego nie pisała. Nie tęskni za domem. Píše, że jej dobrze, co znaczy, że chce tam pozostać. Ni serce, ni instynkt nie ciągną jej ku ojcu — o ile on jest jej ojcem. Wszystko jedno, musi się z nią zobaczyć, jeśli sobie tego życzy. Ale w jaki sposób? Czy ściągnąć ją przez Quendla w jakieś neutralne miejsce, czy samemu udać się do Lewoczy? Wciąż się jeszcze wahał. Panom komitackim, którzy go zwykli informować o lewoczańskich nastrojach, listy żupana Csákyego w sztuczny sposób i poza ich świadomością odmieniły soczewki w oczach; nagle wszystko zaczęli widzieć inaczej. Wierny Grodkovszky także donosił, że Lewocza już ostygła i otrzeźwiała, że niewiastom sprzykrzyły się czarne suknie, że patrycjuszy ogarnęło zabobonne przerażenie po niezwyklej śmierci Nustkorba, któremu się teraz przypisuje śmierć Károlyja Kramlera, gdyż mógł być z rany wyleczony (rzecz jasna, nie ma mowy o zwróceniu uzyskanego dzięki jego krwi pola!); kupcy zaś i rękodzielnicy szemrzą i narzekają na zastój w interesach przez to, iż zabrakło komitackich zjazdów i sejmików, co jest wynikiem zacierzenia w gniewie. Przyjazd żupana na zjazd komitacki zostanie przyjęty dziękczynną hosanną. Ale Görgey wciąż jeszcze się wahał.

Kiedy jednak w jakiś tydzień po liście Rozalki w Görgő ponownie zjawił się stary Quendel z jakimś brzuchatym kupcem, któremu sprzedał gospodę, Görgey powziął nagłe postanowienie.

— Pojadę do Lewoczy.

Od razu wydał polecenia, by palestranci zwołali na trzydziestego listopada do siedziby komitatu sejmik komitacki w sprawie wydatków wojennych.

— Przecież siedziba komitatu jest w Lewoczy!

— Oczywiście — odpowiedział twardo.

Nie przywiązywał wielkiej wagi do informacji i pozorów, tylko do własnych obserwacji. Nie przejmował się niezadowoleniem szlachty ani doniesieniami z urzędu komitackiego, nawet list Rozalki nie przechylił szali, ale fakt, że Quendel wyzbywa się gospody, zadecydował. Ślepo wierzył w jego węż, nadszedł koniec epoki Görgő. Uczynił jak oblegający Akwileję Atylla, który już miał odstąpić jej murów, kiedy ujrzał bociana z małym bocianiątkiem w dziobie, uchodzącego z miasta. Oho, ten bocian wie! Pozostał więc, nazajutrz zdobył i obrócił w perzynę Akwileję.

Pewna ostrożność jednak nigdy nie zawadzi. W pismach zaproszeniowych do szlachty po tej stronie Lewoczy kazał napisać, że kto i tak musi jechać przez Görgő, niech się tu stawi we wczesnych godzinach rannych. Z uwagi na wojenne czasy i inne okoliczności z Görgő *cum gentibus*, całym towarzystwem, wjadą do Lewoczy.

Była to wielka sensacja! Wieść rozeszła się z szybkością błyskawicy. Lewocza, Lewocza! Tym słowem pozdrawiano się przy spotkaniu lub mijaniu na gościńcu. Powtarzano to z taką dumą, jakby to były czasy Botonda* przed wyprawą na Bizancjum. W urzędzie komitackim przystąpiono do wielkich porządków,

* Botond — wódz plemienia węgierskiego, bohater wielu legend z X w.

czyszczono, urządzano pokoje, przestawiano piec w komnacie żupana, wstawiono nowe drzwi i okna. Miasto obojętnie przyglądało się tej krzątaninie. Nic zresztą dziwnego, gdyż mieszczaństwo miało własne sprawy: na dwudziestego piątego listopada wyznaczone były wybory nowego burmistrza.

Naprzeciw siebie stały dwa silne stronnictwa. Stary Mostel nie zgodził się kandydować, odprawiając posłów takimi to mądrymi słowami:

— Coś mi się widzi, że dla waszmościów nie ma różnicy między laską burmistrzowską a kulami dla chromego. Laska to nie kule, kule to nie laska, chociaż i jednym, i drugim można kogoś zdzielić i można się podpierać, aczkolwiek nie całkiem tak samo.

Roztropny starzec chciał tym sposobem powiedzieć, że pozostanie przy kulach.

Donát Mauks to uczciwy i energiczny człowiek, bieda tylko w tym, że szlachcic. István Student, szwagier zmarłego burmistrza, w naukach przewyższał wszystkich, ale bieda w tym, że gotów był przyjąć wysoki urząd jedynie pod warunkiem, że będzie się uczył burmistrzowania (oczywiście z powodu owego stypendium w wysokości dwóch tysięcy forintów). Na to jednak nikt się nie mógł zgodzić, nie można aż tak stroić sobie żartów z prawa. W jaki bowiem sposób mógłby się uczyć burmistrzowania będąc sam burmistrzem, od którego właśnie miałby się tego uczyć? Przecież fotel burmistrzowski to najwyższy stopień, na który można się wspiąć.

Pomyślano więc o Gosznovitzerze, którego nawet własny pies nie lubił. Stronnictwo bojowe wysunęło przeciwko niemu Fabriciusa i teraz jeden Pan Bóg wie, co będzie i jak będzie. Grupa popleczników Fabriciusa z dnia na dzień pęczniała, gdyż po jego stronie stanęły niewiasty i ulica. Ulica nie ma prawa głosu, ale zagrzewa wyborców. Podobnie jak winorośl nie ma kwiatu, a jednak pod wpływem jej soku rozkwitają umysły.

Imć pan Quendel, który przebywał teraz w Lewoczy, gdyż sprzedawał posiadane tu domy (a miał ich cztery), aż kipiał ze złości na widok rozmnażania się stronników Fabriciusa. Do dnia wyborów burmistrza odwołano zakaz muzykowania, wobec czego całe miasto szumiało i huczało od rzepolenia różnych domorosłych kapel. Zniesiono godzinę zamykania piwnic i winiarni, cechy bawiły się i piły dniem i nocą. Imć pan Gosznovitzer otworzył swoją piwnicę dla popierających go cechów i wino lało się darmo. Jejmość Fabriciusowa też miała rozum na swoim miejscu. Kolejno odwiedzała majstrowe, których mężowie byli członkami rozszerzonej rady wyborczej, okazując przyjaźń i serdeczność żonom zwykłych szewców i ślusarzy, co jej zyskiwało popularność. Wino Gosznovitzera wyparowywało z głów szewców i ślusarzy, ale wspomnienie odwiedzin patrycjuszowskiej wdowy na długo pozostawiało uczucie odurzenia pod czepcami małżonek. Gosznovitzer rozdawał swoim zwolennikom ciepłe szale z czerwonej, białej i zielonej przędzy, co pozwalało im z daleka rozpoznawać, podobnie jak szlacheckie obozy wojenne po barwnych pióropuszcach; Fabriciusowa natomiast stawała pod bramą szkoły i rozdawała dzieciom wracającym do domu, czarne patyki lukrecji. Kiedy dzieciaki zjawiały się w domu z upapranymi buziąmi, padały hałaśliwe pytania: „Ojej, co ci się stało, kochanie, czym sobie tak pobrudziłeś buzię?” „Lukrecją, którą dostałem od cioci Fabriciusowej...” Zrozumiałe, że takie słodkie słówko z dziecinnych ust wywołuje więcej ciepła niż najpiękniejszy indyjski szal.

Dzięki takim to niewieścim podstępom zwyciężył Fabricius. Wiele też dopomógł Quendel swymi sprzeciwami. Od początku do końca asystował przy głosowaniu. Namawiał, przekonywał, straszył, ale nic nie pomogło. W samo południe (stary dzwon na wieży kościoła Świętego Jakuba akurat się odezwał, jakby wydzwaniał „amen”) imć pan Mostel ogłosił wynik: większością dziewięciu głosów burmistrzem miasta Lewoczy wybrany został Antal Fabricius.

Potężne wiwaty zatrzęsły dostojnymi murami. Na dany znak wystrzelono z moździerzy na górze Scheiben. Jednocześnie trębacz miejski zatrąbił radosny hejnał.

Sebastyén Trück otworzył jedno z okien wielkiej sali i donośnym głosem krzyknął do

zebranej ciżby:

— Miasto Lewocza ma nowego burmistrza! Cieszcie się, mieszczanie, i słuchajcie Antala Fabriciusa!

Z zewnątrz odpowiedziano wiwatami, podobnymi do uwolnionego z pęt orkanu. Wiertelnicy dosiedli koni, których grzywy przyozdobiono wstążeczkami, i pognali do swoich kwartałów, żeby tam przy dźwięku trąb ogłosić wynik wyborów.

Imć pan rajca Mostel postawił wniosek, żeby wysłać delegację po nowo obranego burmistrza. Okrzykami wybrano jej członków i przez złośliwość wśród nich także skonfundowanego Quendla, który się bronił rękami i nogami.

— *Nix nux*. Nie pójde, chyba że od razu wybieriecie dla burmistrza piastunkę.

Po tej złośliwości uznał, że lepiej będzie szybko się z sali ulotnić.

Gorączkowa radość ogarnęła miasto. Taki chłopak na burmistrzowskim stolcu! To takie miłe. Ludziska biegali tam i sam, wykrzykując przy każdej bramie: „Zwyciężył mały Fabricius!” Albo jak kto wolał: „Gosznovitzer przegrał!”, gdyż można się na dwa sposoby cieszyć tym samym wydarzeniem.

Fabricius czekał na wynik głosowania w jednej z komnat ratuszowych. Na wieść o zwycięstwie pierwsza jego myśl pobiegła ku Rozalce, a pierwszy wydany hajdukowi burmistrzowski rozkaz brzmiał:

— Skocz do jejmościanki panny Klöster i... nie, czekaj. Leć do jejmość mojej pani matki i rzeknij, iż dziewięcioma głosami przewagi zostałem burmistrzem.

Kiedy jejmość Fabriciusowa to usłyszała, pobiegła w te pędy do panny Matyldy Klöster i chociaż wiał zimny wiatr, zapomniała zarzucić na ramiona chustkę. Zastała Rozalkę samą i żartobliwie przed nią dygnęła:

— Witam jejmość panią burmistrzową.

Panienka się zmieszala, nawet zbladła, i jakoś mimo woli jej się wyrwało:

— Ależ, mamoo...

Jejmość poczuła, że radość ogarnia jej serce, a wraz i niewymowna słodycz. Przecież owo mimowolne słowo z ust Rozalki było dowodem, że w myślach uważa ją już za matkę. Objęła panienkę w pół, przytuliła do siebie i głośno się rozplakała. Na to i Rozalka nie mogła powstrzymać łez. Płakały obie, łzy kapały im z oczu jak groch, chyba w całym mieście tylko one dzisiaj płakały, bo imć pan Gosznovitzer pewnie przeklinał.

Kiedy się już wyplakały, Fabriciusowa odsunęła od siebie Rozalkę, ale tylko po to, żeby lepiej jej się przyjrzeć; w taki sposób odsuwa się od oczu jakiś ładny albo miły przedmiot.

— Cieszysz się, gołąbeczko? — zapytała, bacznie się wpatrując w zapłakaną buzię.

— Czy to dobrze? — zapytała nieśmiało Rozalka.

— Ależ oczywiście, ty głuptasie! — odpowiedziała triumfującym tonem matka.

Rozalka siadła na stołeczku przy jejmości, pochyliła główkę na jej kolana i zadrżała.

— Tak się boję, tak bardzo się boję...

— Czegóż to się boisz, córeńko, czego? Lewoczański burmistrz to potężny pan. Niczego nie potrzebuje się bać, to jego ludzie się boją. Kto śmiałby zrobić krzywdę jego narzeczonej?

Tak długo głaskała złociste włosy i główkę opartą na swych kolanach, aż spostrzegła, że Rozalka już nie płacze, tylko równiutko oddycha i przestała się bać, bo zasnęła.

Stary Quendel nie czekał ukazania się nowego burmistrza ani złożenia przez niego przysięgi. Ulotnił się z sali i jeszcze tej nocy pojechał do Görgeya. Zawiadomił go o wyborze Fabriciusa na burmistrza, niech tego szczeniaka pokręci. Żupan przyjął wiadomość obojętnie, raczej dla formy zapytał, co to za człowiek.

— Niedowarzony smarkacz.

- To czemu go wybrali?
- Z powodu ucha — wyjaśnił Quendel.
- Nie rozumiem.
- To jest tak, że twój *Cousin* odciąć jemu ucho w *duellum*. Ten młody Gyurko Görgey.

I dlatego Fabricius być popularny.

- Nie wiedziałem o tym.
- Człowiek często być popularny — dowodził swojej racji Quendel — dlatego że czegoś nie mieć, a rzadko dlatego że coś mieć. Ot, na przykład Fabricius nie mieć ucha.
- Słyszałem, że ma rozum.
- Ale on go zostawiać u swojej jejmości pani matki. Dzielna niewiasta, dobry żołnierz. To ona zrobić syna burmistrzem.
- Jakież mi jeszcze wieści przywozisz?
- Ja nic więcej nie wiedzieć.
- Czy ludzie mówią o tym, że zamierzam pokazać się w Lewoczy?
- Nikt nawet nie wspominać.
- Czyś nie widział mojej córki?
- Już nie.
- Proszę, wstąp jutro i uspokój biedactwo, że przed upływem tygodnia tam będę i może już się nie rozstaniemy.

Quendel przecząco potrząsnął głową.

— Ja cię przepraszam, wielmożny radco dworu, ale nie móc tego uczynić, bo jak panienka mnie dawać list, to stara panna nadstawiać uszy, a ja skłamać, że do tatusia daleko, dziesięć dni drogi. Niech sobie zgadywać. Tak myślałem. Więc ja teraz być daleko, w Siedmiogród, nie móc iść do panienki.

- Wobec tego niech Gyuri do niej pójdzie.
- On nie być w Lewoczy.
- Gdzież on jest? — zdziwił się żupan.
- Ajajaj, gdzie on przez ten czas być. W tamten miesiąc on pojechać do jejmość pani matki, do Toporca, a jak wracać, to go złapać labance. Ojciec się dowiedzieć i załatwić, że hrabia Bercsényi wymienić go za dwa oficjery niemieckie, ja powiadam że on być wart pięć Niemców. Panicz być teraz wolny, ale już nie wrócić do Lewoczy, bo jego regiment wyjść z Lewoczy gdzieś niedaleko, do Kohlbach. Gyuri tam być.

- To znaczy, że w Lewoczy nie ma już wojska?
- Oj, białogłowy bardzo się teraz smucić — zaśmiał się imć pan Quendel.
- Skoro już mowa o białogłowach, to przyznaj się, kiedy ostatni raz byłeś w Szabadce, w swoim zamku, mości baszo? — zainteresował się Görgey.

— Nawet o tym nie wspominać. *Finis*, koniec, *Schluss* — odpowiedział melancholijnie stary handlarz. — Teraz ja już nic nie kochać, tylko pieniądze. Wierzaj mi. Od wszystkiego człek się odkochać, wszystkiego mieć dosyć, tylko pieniędzy nie dosyć. Czerwone usta, zgrabne nóżki, białe rączki, ogniste oczy. Co to za osioł kazać wierzyć ludziom, że warto biegać i wariować przez to? Czy świętojański robaczek nie jest piękniejszy od piękne oczy, a kto biegać za robaczki świętojańskie? Także poziomka być smaczniejsza od czerwone usta, a nikt nie szaleć za poziomka. Czy nie tak być? Tak być. Piękne kobiece ciała — fiut! Ale pieniądz to gorąca namiętność, co trwać na wieki wieków, amen.

- Ejże, nie udawaj, żeś taki chciwy, boś nie taki.
- A jestem. Właśnie taki. Co jest warte więcej niż pchła, ja dla siebie zagarniać. Jak można i jak nie można też. A może nóżka niewiasty jest więcej warta niż pchła? E, pchła

przynajmniej nie potrzebować trzewików. No, może nie tak? Na pewno tak.

Kiedy się zbliżała data sejmiku, dzień w dzień przyjeżdżał z komitackiego urzędu na wieczerzę ktoś z nowinami i nocował na zamku.

Następnego dnia zjawił się na odwieczny główny pisarz, Ferenc Korotnoky.

— W Lewoczy panuje spokój.

Trzeciego dnia przyjechał Budaházy:

— Nic nowego.

Czwartego dnia nikt nie zawitał, co znaczyło, że wszystko bez zmian.

Ostatniego dnia zadudniła na dziedzińcu mała bryczka Quendla, który przywiózł z sobą także Grodkovskiego. Tylko oni dwaj przyjechali z Lewoczy, ale dziedziniec zamkowy pełen był pojazdów, a zamek gości: kto mieszkał dalej, przyjechał już dzisiaj, żeby nazajutrz wyruszyć ze wszystkimi.

Przed wieczerzą zeszli się wszyscy na zaimprovizowaną naradę. Grodkovszky referował sytuację. Jego zdaniem wszelkie obawy były malowanymi strachami. Urząd komitacki łśni czystością. Marjákowa już tam jest i czyni przygotowania do jutrzejszego obiadu, który zostanie podany w wielkiej sali. Jego wielmożność żupan mógłby wjechać do miasta choćby sam, bez poczty, nikt by nawet małym palcem nie kiwnął. Miasto jest jak spokojne jezioro, tylko kilka żab rechoce na brzegu, ale wystarczy, by posłyszały zbliżające się kroki, i siup!, wskoczą do wody i skryją się w szuwarach.

Stary Quendel nerwowo bębnił palcami o stół w czasie tego referowania i tylko od czasu do czasu mrucał:

— No... no...

Żupan zaniepokojony zwrócił się do niego:

— Coś mi się zdaje, że imć pan Quendel inaczej myśli.

— Myślę tak, widzę tak, ale mnie jedno się nie podobać. Od wczoraj wszystkie rajce tajemniczo biegać. Jak w gorączce. Zbierają się, mają ważne miny, tak się oni zachowywać, jakby oni ciągnąć niewidoczny drewniany koń, w którym schować żołnierzy, jak w tym... w tej... już nie pomnę, gdzie to być. A już nowy burmistrz to nie być całkiem czysty i ja mieć wrażenie, że chociaż my nic nie widzieć, to oni jakieś piekło wymyślić.

Zakrzyczano Quendla. Cóż oni mogą zrobić? Co może nowy burmistrz uczynić? Co on umie! Ślepy jeszcze jak nowo narodzone kocię. Nie tylko drapać nie potrafi, ale nic dokoła nie widzi. Nie można twierdzić, że kiedyś tam, później, nie będzie z nim kłopotów, jak się rozejrzy, ale teraz mu wystarcza, że się cieszy nowym urzędem jak chłopak pierwszym kozikiem, z którym się jeszcze nie umie obchodzić.

Po naradzie podano wieczerzę, przy wieczerzy wypito trochę wina, tak że położenie stało się całkiem różowe, nawet wymaginowane zmarszczki wygładziły się w umysłach, każdy spokojnie udał się na nocny spoczynek jeszcze przed północą, bo nazajutrz trzeba było wstać. Chyba nikt poza żupanem nie myślał o krakaniu starego Quendla.

... A tymczasem stary Quendel miał zupełną rację, i może w tej samej chwili, o tej samej minucie, jejmość Fabriciusowa tak mówiła do Rozalki: „Czyś nie spostrzegła, gołąbeczko, jak tajemniczo zachowuje się Antal? Coś go gnębi, jakieś kłopoty czy plany, a może niebezpieczeństwo... bardzo mi się to nie podoba.”

Przez pierwsze dwa dni po wyborze nowy burmistrz był najwidoczniej szczęśliwy, aż miło było na niego spojrzeć, matczyne serce wprost pęczniało z radości. Dobry humor z niego tryskał, szumiał jak nowo odkryte źródło, spływające po barwnych kamykach. Tym wyraźniej więc rzuciło się w oczy, że trzeciego dnia, odwrotnie niż to się stało z naszym Panem Jezusem Chrystusem, który wzniósł się ku niebu, dusza burmistrza utraciła skrzydła. Stał się ponury i

niespokojny, całymi godzinami siedział zamyślony wpatrując się przed siebie, wzdygał się na każdy szelest, w nocy nie mógł spać, do rana przewracał się w łóżku, przez cały dzień nie można było z niego słowa wydobyć. Gdy się matka dopytywała, co mu jest, odpowiadał wymijająco: „Sprawy publiczne to wielka rzecz. Nie na niewieście głowy. Dowiesz się, pani matko, jak się stanie.” Rajcowie, którzy przychodzili i wychodzili, prowadząc za zamkniętymi drzwiami tajemnicze narady (jakby w ratuszu nie mieli tego dość), zachowywali się dziwnie, jakby dusze pod prześcieradłem skrywali.

Czwartego wieczoru, w środę, nic nie rzekłszy synowi, jejmość Fabriciusowa zaprosiła gości, chcąc, by się rozerwał. Towarzystwo nie było liczne, ale zeszyli się same życzliwe i wesołe osoby. Przyszedł Miklós Blom i Feri Greff, wystrojona panna Matylda Klöster, zalotna wdówka Teoköwa, ojej, byłbym zapomniiał o Rozalce, to jasne, że i ona była obecna, no i jeszcze jejmość Donátowa Mauksowa z dorastającym synem i dwiema córkami na wydaniu (Mauksowych córek chyba nigdy w Lewoczy nie zbraknie).

Towarzystwo doskonale się bawiło, ale burmistrz był milczący i roztargniony, nawet z Rozalką ledwie zamienił kilka słów, potem nagle, słysząc dzwonenie *Bierglocke*, zerwał się od stołu przy trzecim daniu, przeprosił miłych gości i oznajmił, że musi wyjść, wzywają go sprawy miejskie, i to natychmiast. Pocałował matkę w rękę i zapowiedział, że nie wróci na noc, bo dużo ma zajęć, a rano musi bardzo wstąpić, więc nie warto wracać do domu i rozbierać się. Gdzieś tam się zdrzemnie w ubraniu. Oczy płonęły mu fanatycznym ogniem, chmura bohaterstwa zaciemniła czoło.

Fabriciusowa z niezadowoleniem przygryzła wargi.

— Sam wiesz, synu, co czynisz, ale...

Burmistrz srogo zmarszczył brwi.

— To rzecz postanowiona — rzucił głosem nie dopuszczającym sprzeciwu.

— Ten to będzie umiał rozkazywać — szepnął Blom do swej sąsiadki Teökowej.

Jejmość Fabriciusowa nie dokończyła zdania, burmistrz przeciął je ściągnięciem brwi niczym nożycami.

Rozalka spoglądała zaskoczona. Jeszcze nigdy nie wydał jej się taki piękny.

Przechodząc obok niej nachylił się za oparciem gotyckiego krzesła i szepnął:

— Jutro się zobaczymy. Dobranoc, kwiatuszku, śpij spokojnie.

Stał tak blisko, że od jego oddechu poruszyło się kilka złotych włosków i połaskotały mu wargi... Był tak blisko, a jednak tak daleko, jakby ich rozdzielało wielkie morze.

Fabricius poszedł, ale towarzystwo wesoło się bawiło do dzwonu nakazującego nocną ciszę. Nikomu nic nie przyszło do głowy, najwyżej to, że nowa miotła dobrze miecie. Młody człowiek z nieco zbyt dużym zapalem zabiera się do wszystkiego. Tak bywa z początku, ale tylko po samym wierzchu władza powleczone jest miodem, po jakimś czasie przekona się, że pod spodem jest wiele gorczy.

Fabriciusowa wzdychała, że boi się nocą zostać sama w dużym domu, i wyprosiła u panny Matyldy Rozalkę. Na tym goście się rozeszli. Rodzinę Mauksów odprowadził do domu Feri Greff, jejmość Teökową zaś Miklos Blom, a z każdą gromadką szedł sługa z latarnią.

Noc była paskudnie ciemna, mglista, niemal się lepiała do człowieka jak kłajster. Miasto zdawało się spać. Panowała taka cisza, że kiedy ze stojącej przed domem Gyglasów lipy spadał zeschnięty liść, na sąsiedniej ulicy słyhać było szelest. Tylko w niewielu oknach się świeciło, błyszczwały tu i tam niczym sowie ślepie, ale na ratuszu wszystkie się jarzyły. Tam czuwano.

— Marnują świece — powiedział Blom.

— Nie martw się waćpan o miasto — zachichotała piękna wdówka — da radę.

— Czy to ma być przytyk?

— Skądże znowu, nic podobnego.

Pożegnała się z Błoniem przed bramą, poszła na górę, zaraz się położyła i niemal od razu zasnęła. Wkrótce po północy zbudził ją jakiś okrutny hałas. Z rynku dochodziły dziwne pomieszane odgłosy. Po ścianie przesuwały się to światła, to cienie. Dudniły ciężkie kroki, jakby stapały olbrzymie nogi: to żołnierze. Były jednak i inne odgłosy. Zaczynała je rozróżniać. Ten stukot to młot, a tamten zgrzyt to piła. Lecz straszliwy huk, od którego ziemia dudni i drży, a sprzęty w pokoju trzeszczą, co to może być? Ojej, to chyba armata.

Z początku jejmość tylko się bała, wciśnięta pod pierzynę, i aż się ze strachu spociła, ale potem, kiedy te wszystkie odgłosy zlały się w jeden hałas, zaczęła się zastanawiać i snuć różne przypuszczenia, które już w wielu mądrych głowach wywołały zamieszanie.

Przestała się bać. Gdybyż tylko się bała! Miast tego ogarnęła ją ciekawość. I chociaż niemal śmiertelnym skokiem było zerwanie się z ciepłego łóżka (ale któraż niewiasta nie ceni bardziej wiadomości od życia?), przebierając szybko nogami po zimnej posadzce podbiegła do okna i otworzyła szeroko okiennice.

Przy świetle migocących pochodni i ledwie mrugających latarni, których szkiełka na zimnym powietrzu zachodziły parą, dostrzegła (albo też wzrok ją mylił?) wielką ciżbę zebraną na rynku. Tyle się tam kręciło postaci co na jarmarku, chociaż zaledwie majaczyły jak cienie. Po lewej stronie domyśliła się wielkiej odczopowanej już beczki, zapach gorzałki zmieszał się z wilgotnym powietrzem i doszedł do jej wrażliwego nosa. Wokół beczki tłum był gęściejszy, hałas też niezgorszy. W kierunku głównej bramy posuwały się ciężkie działa na wozach ciągnionych przez woły, a dokoła uwijali się ludzie w kurtkach z bawolej skóry. Był to widok fantastyczny i wzbudzający grozę. Naprzeciwko balkonu ratuszowego, na prostokątnej powierzchni okolonej latarniami, wrzała gorączkowa ciesielska praca, słychać było świszczący zgrzyt pił, uderzenia siekier, ale wszystko się zlewało, łączyło w jeden szum, pozwalało się raczej domyślać niż ogarnąć cały obraz. Tylko wiertelnicy w katanach z bawolej skóry byli rzeczywistością. Dwóch właśnie przechodziło tuż pod oknem, na głowach mieli czapy z baraniego futra a w rękach halabardy.

Teókowa wychyliła się: na co się ciekawa niewiasta nie odważy!

— Hej, dobrzy ludzie, co tam się dzieje?

Halabardnicy podnieśli głowy. Jeden z nich, młody i mocarnej postawy, dostrzegł w oknie coś białego (nocny czepek i kaftanik), a po świeżym głosiku poznał, że to jakaś młódka. Stuknął drzewcem halabardy o mur, po czym życzliwym tonem odpowiedział:

— Lepiej o tym nie wiedzieć, kotuniu, nie nagabuj więc nikogo!

W ów trzydziesty poranek listopada oligarcha z Görgő obudził się w złym humorze. Nie dawał mu spać gwar dochodzący z podwórca — rozmowy woźniców, turkot wozów, wybuchające tu i tam kłótnie. Zresztą cała sytuacja budziła w nim jakiś niepokój. Był sam na siebie wściekły. Gdzie ja mam rozum, żeby przez komitacką szlachtę dać się wciągnąć w sprawy, na które nie mam najmniejszej ochoty? Przecież mogę sobie żyć spokojnie jak ryba w wodzie i nikt by mi nie narzucał swej woli. To złudzenie, że ja tu wszystkim rozkazuję. Owszem, rozkazuję ludziom, ale nade mną panują okoliczności; a że okoliczności są wynikiem ludzkiego działania, zatem właściwie jestem pod rozkazami innych...

Gorzko filozofując wciągał buty z cholewami i nakładał podawany przez Presztona paradny strój magnacki. Był już gotów i zamierzał właśnie przyczepić do rapci szablę o rękojeści zdobnej w opale, kiedy nagle ktoś szarpnięciem rozwarł drzwi.

Odrzucił się gniewnie, któż to śmie tak do niego wpadać? Był to Gyuri Görgey.

— No, czego chcesz? — zapytał ze złością. — Nie mogłeś poczekać, aż wyjdę?

Jak na długi okres niewidzenia, powitanie nie było zbyt serdeczne.

— Mam coś ważnego do powiedzenia, drogi stryju.
— Wiem o twoich przygodach, Quendel mi o nich powiadał.
— Ale ja chcę powiedzieć coś, czego stryju jeszcze nie wie.
— No to wystękać, co tam masz.
— Chciałbym to w cztery oczy oznajmić — wyjąkał Gyuri, teraz już zmieszany.
— Na miłość boską, co to za ceregiele?
— Widzę, że nie w porę się wybrałem — rzekł Gyuri ze smutkiem — może kiedy indziej to uczynię. — Z tym ruszył ku drzwiom.

— No, nie odchodź. Preszton, zostaw nas! Jestem zirytowany, jedziemy do Lewoczy.

— Wiem. Ja też się przyłączam.

— To i dobrze. Ale teraz wreszcie gadaj.

Gyuri stanął w uroczystej pozie, wyprężył się po żołniersku.

— Czcigodny stryju, wielce mi mości żupanie dobrodzieju! Tak jak strumyk podąża ku kwiecistej łące...

Sławny żupan spiskiego komitatu tupnął w podłogę

— Cóż to, zwariowałaś?

— Ja?... Ja nie, skądże... ale może... przecież...

— Rzeknij jasno i krótko, czego chcesz. Nigdy przedtem nie byłeś takim fajtlapą.

— Stryj jegomość zupełnie mnie zbił z pantałyku. Nie miej mi więc za złe, że powiem całkiem po prostu, żebyś mi oddał Rozalkę.

— Rozalkę? Po co?

— No przecież za żonę.

Żupan mimo woli aż syknął, twarz mu się zmieniła, oczy wyszły na wierzch jak u ważki.

— Chcesz ją za żonę? O nieszczęśniku, przecież...

Żupana ogarnęło straszliwe zdenerwowanie. Patrząc bowiem na chłopca widział w nim taką samą roztropność pomieszana z naiwnością, jaką zaobserwować u Rozalki, i właśnie pomyślał, jacy są do siebie podobni, zupełnie jak rodzeństwo. Wyznanie młodzieńca spadło na niego jak nowy cios, jak grzech, jak coś sprzecznego z naturą. Kiedy mu się wyrwały słowa: „O nieszczęśniku...”, myślał właściwie: „I to jeszcze na mnie spada?” Tak się w niego wczepiła ta myśl, że chyba się nigdy nie zdołał od niej uwolnić, gdyby w zmieszaniu, jakie go ogarnęło, nie zadał niemal bezwiednie pytania, które okazało się zbawieniem:

— Czy twoi rodzice o tym wiedzą?

— Oczywiście.

— Jak to? — wyrzucił z siebie ogarnięty gorączką. — Powiadasz, że wiedzą? Czy to prawda?

Ta wątpliwość dodała przestraszonemu młodzieńcowi odwagi.

— Nie zwykłem kłamać — odparł.

Podniósł głowę, dumnie spoglądając na żupana, który nagle tak się zmienił, że trudno go było poznać. Cała jego twarz promieniała radością.

— I cóż oni rzekli?

— Pani matka dała mi swe błogosławieństwo, ojciec w liście z obozu wojennego wyraził radość.

Sercem Pála Görgeya zawładnął niebiański spokój. Przepadły mary o mglistych skrzydłach, które od lat krążyły wokół niego. Jedno słowo je rozpedziło. Niewidzialny młot roztrzaskał głaz, który mu przygniatał duszę. Kamień w proch się obrócił i pomieszany z różowymi obłokami rozpląnął się w powietrzu bez śladu. Żupan poczuł się lekki jak motyl i wesół jak w latach dzieciństwa.

Posiadł nagle wszystko, czego mu brakowało: wesołość, szczęście, chęć do życia, świeżość i nabrał nawet ochoty do dzisiejszej wyprawy. Ale głosu nie mógł z siebie wydobyć. Poruszały mu się usta, lecz nie wypowiedział słowa, tylko w milczeniu objął młodzieńca, wycalaował go, omal mu kości ze szczęścia nie pogruchotał. Wstrzymywana przez tyle lat miłość, która się zebrała w srogim sercu, znalazła nagle ujście i wydobyła się na powierzchnię. Z oczu popłynęły łzy, łzy dobroci, i dopiero po dłuższej chwili zdołał swoją wolę przybrać w słowa:

— Niech Rozalia będzie twoją, a ty zostań i moim synem. Zamieszkacie oboje u mnie.

Ujawszy go pod rękę wprowadził do gości siedzących przy śniadaniu w sali jadalnej.

— Oto mój przyszły zięć. Poprosił o rękę mojej córki, a ja wyraziłem zgodę.

Podczas śniadania był wesół, niemal wyskakiwał ze skóry, żartował, tryskał humorem, ze wszystkimi się przekomarzał.

— Nie podoba mi się, że jest w takim doskonałym humorze — szepnął Imre Máriássy do Abhortisa — to nie wróży nic dobrego.

— Ejże, to znaczy po prostu, że człek z niego odważny — odparł Abhortis.

Podczas śniadania żupan poganiał wszystkich do wyruszenia.

— Pospieszcie się, mości panowie, czas na nas!

— Tatarzy nie gonia, zdążymy — wtrącił Jób Andreánszky, któremu okropnie smakowały kuropatwy na zimno.

— Wy tak, bo na was w Lewoczy czekają z owacjami, a na mnie czeka kto inny.

Siedzący obok siebie Mihály Kubinyi (z Hozelecu) i Grodkovszky wymienili spojrzenia.

— O co mu chodzi? Nie rozumiemy — powiedzieli szeptem.

— Ja rozumiem — wyszczerzył zęby Quendel, który zajadał po przeciwnej stronie stołu. Zasłoniwszy twarz serwetką rzucił porozumiewawcze spojrzenie żupanowi.

Teraz rzeczywiście wszyscy zaczęli się zbierać. Żupan umyślił wystąpić w tym doniosłym dniu z wielką pompą i omówił już uprzednio wszystkie szczegóły z ochmistrem, który wydał odpowiednie zarządzenia.

Przodem jechał hajduk Páli Bencsik z miedzianym rogiem u boku, za nim dwaj latarnicy na wypadek, gdyby przyszło wracać nocą. Żupan dosiadł karego ogiera otrzymanego w darze od księcia Rakoczego. (Może Sasi odważyliby się porwać na żupana, ale tego konia nie będą śmieli tknąć.) Jak pięknie i dumnie wyglądał na koniu! (Nie suknia zdoła człowieka, ale Bóg świadkiem, że wierzchowiec.) Na jego twarzy malował się radosny uśmiech, czuł się jak młodzieniec i dla kawału chciał przed wyruszeniem przeskoczyć starą Presztonową. Jakże tańczył pod nim wspaniały rumak, jak potrzasał grzywą, jak dzwoniły i dźwięczały niezliczone kółka, sprzączki, srebrne i złote krążki zdobiące siodło i wysadzaną błękitnymi kamieniami uzdę!

Żupanowi towarzyszył dorodny huzar Pista Pemetete w stroju jak gdyby z litego srebra, tyle było na dolmanie wymyślnie naszytych pasamonów. (Jaka szkoda, że poczet nie pojedzie przez wieś, niechby go tam podziwiano.) Za nimi jechało dziesięciu zwyczajnie umundurowanych huzarów z dobrze wyostrzonymi szablami (przez całe wczorajsze popołudnie je ostrzyli), a przewodził im Preszton, już za stary na towarzyszenie swemu panu przy takiej gali. Zresztą nigdy nie miał tak pięknej postawy jak István Pemetete.

Za pocztem żupana sunęła gromadą szlachta, niewielu tylko konno: trzej Abhortisowie na siwych wierzchowcach i wszyscy w jednakowych strojach. Imre Namessanszky z Ábrahámfalvy dosiadał dychawicznej klaczy, która co sto kroków przystawała, żeby się wykasłać. Żartobliwie nastrojony żupan ochrzcił z tego powodu jeźdźca mianem „ehuehu”. (To z pewnością do niego przylgnie.) Pięknie tańczącego konia miał Kristóf Atzél z Kisfalvy, tyle że ślepego na jedno oko; Gyuri Král z Lefkowców jechał na starym siwym ogierze i przysięgał na wszystkie świętości, że jest to ten sam, którego dosiadał József podczas swej koronacji w Pozsony. Jakab Ludman z

Adusfalvy miał tak łagodnego wierzchowca, że niejedyn pocziwy kanonik dobrze by za niego zapłacił. Klacz Ferencza Zalaya pięknie trzymała łeb, a Jakab Ribarszky miał konia, którego chód zachwycał patrzącego. No cóż, po koniach poznać biedę, wszystkie dobre konie pod siodło dawno już były w obozach wojennych. Pięknych zaprzęgów natomiast nie brakowało. Czwórka ogierów Jóba Andreánskiego (O Boże, ale się tym wielkim panom dobrze dzieje!) i gniade dwulatki Máriássyego, i para ogromnych kasztanów Matyása Kyszela (ciekawe, gdzie je zdobył?), dalej płochliwe konie Jekelfalussyego i wiele innych, było na co popatrzeć — aż do Quendla. Ten jechał na samym końcu bryczką zaprzęzoną w dwa wynędzniałe koty. Czy nie osioł z niego? Gdyby chciał, toby przecież mógł całą stadninę zaprząć...

Ciągnęli gościńcem niczym długi pochód wojska. Gdy całe towarzystwo mijalo pole zagarnięte przez Lewoczę, stary Preszton poczuł ostry ból w sercu.

— Hej! — krzyknął do huzarów, którym przewodził — wkraczamy na ziemię wroga. Szable z pochew!

Jakby stado kuropatw zerwało się do lotu, dziesięć szabel z chrzęstem wyszarpięto z pochew. Błysnęłyby w słońcu, gdyby słońce świeciło. Gdzieś tam świeciło, ale mgła nie chciała przepuścić jego promieni, pogoda była nijaka, ani pochmurna, ani jasna, raczej smętna. Pola były ogołoczone, same grudy, gdzieniegdzie tylko sterczały łodygi po zebranych makówkach. Lasy już nie szumiały, strumień Durst nie gawędził, lecz mrucał. W powietrzu krążyły gawrony i krakały. Czasami kłusujący na przedzie Görgey ploszył całe stado, odfruwaly albo wlatywały mu nad głową i znów opadały na pole. Gdy podjeżdżali do miasta, Görgey, który daleko wysforował się naprzód, wstrzymał Kruka (takie imię nosił książęcy ogier). Pierwszy dołączył do niego Gyuri.

— Teraz już rozumiem list Rozalki — powiedział wesoło żupan. — Kilka dni temu napisała, że chce mi donieść o czymś, co zaważy na jej przyszłości. O to chodziło.

— Rozalka tak napisała? — zdziwił się młodzieniec.

— Quendel przywiózł mi jej list. Przedtem nie rozumiałem, teraz jest dla mnie jasny.

Gyuri zasępił się.

— Za to ja teraz nic nie rozumiem — rzekł zmieszany.

— Jak to?

— Bo Rozalce nic dotychczas nie wyznałem.

— Niemożliwe! Nie zmówiliście się?

— Z nią nie mówiłem.

— Ale przecież ją chcesz za żonę — roześmiał się Görgey.

— Wiem, że mnie kocha.

— No, jeżeli ty wiesz, to ona z pewnością wie jeszcze lepiej, że ją kochasz, ma po temu rozum.

I znowu wybuchnął śmiechem, rozbawiony kłopotami i kłopotnikami młodych. Tymczasem dogoniła ich większa grupa towarzystwa: Mihály Zanathy na wspaniałym angielskim ogierze o przyciętym ogonie, Kristóf Atzél i Ferenc Zalay. Usiłowali piąć się w górę wśród komitackiej szlachty, więc chcieli się żupanowi przypodobać.

— W dobrym jesteś humorze, wielce mości żupanie powiedział jeden z nich.

— Bom szczęśliwy — odparł Görgey i głęboko wciągnął w płuca wilgotne powietrze, przesycone zgnilizną. — Świat jest piękny, moi mili.

W jego oczach wszystko zdawało się radosne. Nawet gawrony były miłe i taką ładną miały czerń.

Kristóf Atzel, by się przypodobać, pospieszył także z komplementem:

— Obyś to w dobrą chwilę wyrzekł, bo zaiste tak zdrowo i młodo wyglądasz, mości żupanie, jakbyś nie wydawał dziewczyny, ale ją dostał.

Żupan uśmiechnął się.

Niemal tak jest, ale o tym nigdy się nie dowiecie — pomyślał.

Wśród rozmów dotarli do górnej bramy miasta. We mgle mało co było widać, ale opadający ku ziemi dym z kominów pozwalał węchem wyczuć bliskość zabudowań. Jadący na przedzie Bencsik dostrzegł już bramę.

— Brama jest zawarta! — krzyknął.

— Zadmij w róg — rozkazał Görgey.

Gdy róg umilkł, z wewnątrz odezwał się chrypliwy głos:

— Kto tam?

— Jego wielmożność Pál Görgey, żupan komitatu spiskiego z poczem panów komitackich!
— odkrzyknął Bencsik.

— Zaraz, zaraz...

Kruk niecierpliwie tańczy, staje dęba (książęcy koń nie przywykł do czekania), Görgey klepie go po zadzie, głaszcze po szyi, jakby mówił: „Zaraz otworzą nam bramę, koniku.”

Rzeczywiście z trzaskiem i chrzęstem opadł zwodzony most, a brama ze zgrzytem się rozwarła.

Görgey spiął konia i skoczył naprzód, już zadudnił pod nim most, już minął bramę, kiedy nagle z jej sklepienia runęła żalazna krata i odcięła wjazd. Przestraszony koń stanął dęba, Görgey zachwiał się w siodle, przy czym spadł mu kołpak z czaplim piórem. Odwrócił się, chcąc go pochwycić, i przy tym ruchu zrozumiał, co się stało. Zobaczył za kratą wykrzywione oburzeniem twarze i groźnie podniesione pięści. Słyszał okrzyki bezsilnego gniewu: „Zdrada! Podła zdrada!” Zaraz potem ujrzał gromadę wiertelników miejskich w skórzanych kaftanach, z sześciu chwyciło wierzchowca za uzdę, jeden z napastników wbił dzidę w brzuch konia, który śmiertelnie ranny jeszcze raz stanął dęba i boleśnie zarżał. Görgey nie stracił przytomności umysłu, wyszarpnął szablę z pochwy i straszliwym ciosem odciął rękę strażnikowi, który usiłował zrzucić go z siodła. Ale już dopadło go ze dwudziestu innych. Dysząc zemstą i wściekłością ściągnęli go na ziemię. „Mamy cię wreszcie, łotrze!”

...Zza kraty widzieli to wszystko krewni, przyjaciele i stronnicy żupana, nie mogąc nic uczynić.

— Nie ważcie się go tknąć! — zagrzmiął rozkazującym głosem woźny ratuszowy, Kristóf Guttfinger.

Rozległ się pomruk niezadowolenia.

— Zali mamy go oszczędzać? Przecie zabił naszego burmistrza, nam się jego skóra należy — darł się żądny krwi masarz Márton Hornbost.

— Tak ma być, pomnijcie, że wielki pan zawsze jest panem — odparł woźny, ale widząc, że te słowa wywołują sprzeciw, chytrze mrugnął i dodał: — No, przecie w jednym kawałku musi być postawiony przed obliczem rady. Zawieźcie go do ratusza, i to szparko!

Położenie było beznadziejne. Cały rynek, o ile można było dojrzeć we mgle (która zresztą zaczynała się przerzedzać), zatłoczony był hajdukami i strażnikami w skórzanych katanach. U wylotu ulic wiodących do dolnej bramy stały armaty (sławne armaty Thökölyego, przy których kręcili się puszkarze. Mowy nie było o jakiegokolwiek szybkiej pomocy, choćby się nawet zebrało tyle samo szlachty. Żupan poddał się losowi i dumnie wyprostowany szedł śmiało wśród prowadzących go hajduków.

Nie odezwał się ani słowem w swojej obronie (przecież nie może się wdawać w pertraktacje z hajdukami!), tylko upomniął się o kołpak.

— Poszukajcie mego kołpaka — powiedział na pół z pogardą, na pół rozkazująco. — Dam raczej pięćdziesiąt forintów za skofię, gdyby ktoś miał się czuć pokrzywdzony.

Woźny przytaknął.

— Leć, Pohánka — nakazał jednemu z hajduków — znajdź kołpak jego wielmożności, choćbyś miał go spod ziemi wydostać.

W ratuszu, kiedy odźwierny rozwarł szeroko drzwi i woźny wprowadził Görgeya, zapadła cisza jak w kościele. Wszyscy patrzyli na żupana.

Rada w pełnym składzie obsiadła zielony długi stół, brak było tylko Kripélyiego. (Zawsze go brzuch bolał, ilekroć miała zapaść decyzja w ważnej sprawie.)

Miejsce przewodniczącego zajął młody burmistrz. Siedział poblady, zmierzwione jasne włosy opadały mu aż na ramiona (widocznie dzisiaj jeszcze nie widziały grzebienia), ale w oczach błyskały iskry triumfu.

Przed nim na stole leżało kilka zapisanych kartek papieru. Nieco poza nim, niemal pośrodku sali, widać było oszkloną gablotę, a w niej zabalsamowaną rękę Karolya Kramlera. Ta ręka była w tej chwili najbardziej żywa: ona miała zadać cios, nadszedł jej dzień.

Młody burmistrz odezwał się uroczystym głosem, który zabrzmiał jak dzwon pogrzebowy:

— Czy waćpan jesteś jego wielmożnością żupanem Spiszu, panem na Görgó i Toporcu, Pálem Görgeyem?

— Tak jest — odpowiedział bezbarwnym głosem żupan.

— Czy wasza wielmożność zastrzeliłeś burmistrza Lewoczy, imć pana Károlya Kramlera, którego ręka, jako *corpus delicti*, tu oto jest widoczna?

Mówiąc sięgnął ku gablocie i obrócił ją tak, by oskarżony mógł dojrzeć jej wnętrze.

— Strzeliłem do niego — odpowiedział krótko Görgey nie obracając wzroku na gablotę.

— Czy jest coś, co wasza miłość możesz przytoczyć na swą obronę?

— Jest.

— Słuchamy.

Görgey szarpnął gniewnie delię, która mu się osunęła z ramienia.

— Z waszmościami nie będę dyskutował. Jesteście dla mnie niczym. Wyłożę swą obronę, gdy stanę przed właściwymi sędziami.

— Tak nie będzie — odparował burmistrz. — Albowiem właściwym trybunałem dla waszej wielmożności jest w tej chwili rada miasta Lewoczy. Mości rajco — zwrócił się do imć pana Donáta Mauksa — wyszukaj wać sześćdziesiąty paragraf.

Przed Donátem Mauksem leżała gruba księga oprawna w fioletową skórę, o narożnikach z emaliowanego srebra, a w każdym narożniku osadzony był szmaragd wielkości laskowego orzecha. Zwała się ta księga *Zipser Willkühr* i stanowiła najcenniejszy skarb Lewoczy. Tu były zapisane wszystkie prawa i przywileje przysługujące Sasom.

Donát Mauks nerwowo przewracał karty pergaminu. Wiedział, że wszystko należy załatwić szybko, *cito citissime*, ale właśnie ta świadomość powodowała niezręczność. „Do licha, psia tego... nie mogę znaleźć — bąkał zawstydzony — o, wreszcie jest.”

— Przeczytaj wać głośno — nakazał burmistrz.

— Czy mam wstać?

— Nie. Możesz czytać siedząc.

Imć pan Mauks zażył szczyptę tabaki i odczytał sześćdziesiąty paragraf.

— „*Ab unszer Lewthe einer wunth wurde von eynem Edlingen ader von seyner holden in eyner Stadt ader Margkte ader Dorffe szo soli er sein sach suchenn mitt eynem Rechten in des eygens hatterth do es ym geschehen ist...*”

Przez cały czas czytania Görgey obracał na palcu pierścień, w którym błyszczał opal o pięknym ogniu.

Fabricius przełożył tekst pisany starsosaskim językiem na potoczną mowę:

— „Jeśli ktokolwiek z naszych ludzi zostanie zraniony przez szlachcica lub jego poddanego czy to w mieście obronnym, targowym czy na wsi, winien szukać sprawiedliwości u tego, kto włada miejscem, gdzie go skrzywdzono.” Tak mówi Zipser Willkühr. Ziemią, gdzie został zabity burmistrz Kremler, włada miasto Lewocza. To chyba jasne.

— Zakładam protest!

Burmistrz tylko wzruszył ramionami i skinął na woźnego, aby wyprowadził oskarżonego do sąsiedniej sali. Jak będzie trzeba, zostanie wezwany.

Narada trwała zaledwie piętnaście minut, może nawet krócej.

Woźny, który czekał na uchwałę, został posłany po oskarżonego. Otworzył drzwi i zawołał:

— Jego wielmożność Pál Görgey niech wejdzie!

Głos woźnego najwyraźniej drżał.

— Proszę podejść bliżej — rzekł burmistrz, którego twarz miała uduchowiony wyraz, przypominający lunatyka.

Görgey podszedł niemal do samego stołu.

Do tej chwili burmistrz cały czas siedział, teraz jednak wstał, wziął do ręki zapisany papier, ale raczej mówił, niż czytał:

— W imieniu Boga i królów, którzy miastu Lewoczy nadali przywileje!

Krzeseła skrzyknęły i zaszumiały togi rajców, gdyż wszyscy wstali. Tak przystoi, gdy przemawia Bóg i dawni węgierscy królowie.

— Rada miasta Lewoczy — mówił dalej burmistrz, jakby upojony własnymi słowami i poczuciem kryjącej się w nich władzy — rozpatrzywszy sprawę zbrodni popełnionej wobec spoczywającego w Bogu burmistrza Lewoczy Károlya Kramlera, wydaje następujący wyrok: Szlachetnie urodzony pan na Görgő i Toporcu Pál Görgey, żupan komitatu spiskiego, który rozmyślnie pozbawił życia wymienionego burmistrza Lewoczy w obrębie włości miejskich, zostaje skazany na ścięcie. Wyrok zapadł ośmioma głosami przeciwko dwóm.

Görgey chwycił się za głowę. Tego się nie spodziewał.

— Czy zdajecie sobie sprawę, że to morderstwo? — zapytał tak groźnie, jakby to on był oskarżycielem.

— Oko za oko — mruknął Gosznovitzer.

— Jednocześnie rada nakazuje — ciągnął Fabricius, w którym nienawiść i piekielne pragnienie zemsty coraz bardziej wzbierały, im bliżej czuł zadośćuczynienie — aby wyrok został wykonany natychmiast. Wezwać kata!

Görgey był zdruzgotany. Sam wyrok nie przeraził go zanadto, miał nadzieję, że szlachta komitacka wedrze się do miasta i coś przedsięwzięmie albo może Gyuri pogalopuje do Kohlbachu i ściągnie tu wojsko kuruckie. Ale żeby mu natychmiast mieli ściąć głowę, to niesłychane.

Śmiertelny pot wystąpił mu na skronie. Usta drżały, kiedy wypowiadał życzenie, aby mu pozwolono pożegnać się z córeczką.

Rajcowie popatrzyli jedni na drugich, stary Mostel pożałował żupana i wstawił się za nim.

— Może dałoby się to uczynić, mości burmistrzu.

— Nie — odparł twardo Fabricius. — Raz wydany przez radę wyrok nie może być zmieniony.

Wobec tego woźny wyszedł po kata, który się kręcił w przedsionku. Był to człek o kulistej głowie i twarzy pokrytej śladami ospy, krępy i muskularny. Taka poczciwość malowała się na tej twarzy, że przypominał raczej odpustowego kantora niż kata.

— Będzie coś? — zapytał obojętnie woźnego i ziewnął, jako że tego ranka wcześniej wstał.

W przedsionku kręcił się także Pohánka z odnalezionym kołpakiem żupana.

— Hej, hej — podrapał się melancholijnie w głowę woźny biorąc kołpak od hajduka —

wkrótce nie będzie go na co włożyć.

Z tych słów i kat dorozumiał się wszystkiego. Wraz z woźnym wszedł do sali.

— Mości panie kacie — rzekł burmistrz do wchodzącego. — Przejmij skazanego i wykonaj wyrok. Niech Bóg będzie litościwy dla jego duszy.

Podczas tej ostatniej wymiany zdań członkowie rady zgodnie ze zwyczajem niemal chyłkiem opuścili salę przechodząc do innej, aby nie asystować przy niemiłej scenie wyprowadzania skazanego.

Po kilku minutach przeszli na ratuszowy balkon w samą porę, by z dostojnym okrucieństwem patrzeć na egzekucję. Na pospiesznie skleconym w ciągu nocy szafocie, przy wiwatach gromady wiertelników w skórzanych katanach, mistrz Fleck błyszczącym toporem ściał głowę Pála Görgeya, najlepszą głowę w całym komitacie.

Kiedy głowa odpadła od tułowia, mistrz Fleck schylił się i podniósł ją wysoko (opowiadał potem, że była tak ciężka jak wykuta z żelaza), potem obniósł kilka razy wokół szafotu wykrzykując stentorowym głosem, który donosił aż na sąsiednie ulice:

— Tak kończą ci, którzy z Lewoczą zadzierają!

Wiertelnicy znowu wznieśli okrzyki, jako że tylko oni byli tu obecni, gdyż dla innych mieszkańców miasta zamknięto dostęp na rynek.

Poza mieszkańcami Lewoczy było najwyżej kilku przyjezdnych, którzy od poprzedniego dnia przebywali w mieście i przypadkiem zajęli kwatery w domach otaczających rynek. Ci nieliczni stali się świadkami straszliwego dramatu. Kto rozsądniejszy, ten powiadał: „Oto zuchwalstwo wołające o pomstę do nieba. Będzie jeszcze z tego płacz, nie tylko tutaj.” Jeden tylko obcy, przybyły z daleka, był najwyraźniej zadowolony. Stał ze swymi dziećmi, ładną dziewczuszką i chłopcem łobuziakiem, który nieustannie dmuchał w ogon drewnianego konika, gdyż ukryty był w nim gwizdek. Ojciec tak perorował:

— Widzisz, Magdalenko, zawszem mówił, iż Pan Bóg mnie darzy szczególną miłością. Dzisiaj na przykład cośmy ujrzeli? Kto inny chętnie by zapłacił setki forintów za takie widowisko. Samo ścięcie to już nie byle co! Ale ścięcie żupana? Czegoś takiego może nawet król nie widział. Nie gwizdź wciąż, Gyurgyik, przecież ci zabroniłem, bo ktoś gotów pomyśleć że ci każę gwizdać na tych, co wiwatuja, i zechcą mnie pobić.

Otworzono ulice. Nadszedł żupański poczet, zatrzymany przed bramą, ale za późno, już po wszystkim...

Pierwszy wpadł na rynek Quendel, który ze zmienioną twarzą wbiegł do ratusza, do sali z balkonem, gdzie znajdowali się rajcy, i zwymyślał ich najgorszymi wyrazami. Już chcieli wezwać hajduków, żeby go wyrzucili, kiedy się rzewnie rozplakał nad stratą najlepszego przyjaciela. To ich ułagodziło. Wszystkich rajców przepajała duma. Pod balkonem wiertelnicy zaintonowali psalm „Bóg jest naszą silną twierdzą”, a za każdym razem, gdy w oknie dostrzegli twarz burmistrza, wybuchały gromkie wiwaty. Cóż mogło rajcom przeszkadzać, że taki stary dziadyga jak Quendel leje łzy? Przecież oni wpisali dziś wiekopomny czyn do historii miasta Lewoczy.

A stary Quendel chlipał i zrzędził:

— Mordercy jesteście, źli z was ludzie, Pan Bóg was ukarze. Powiadacie, że jesteście chrześcijanie, a nie ma w was ani odrobiny miłosierdzia. Słyszałem, że nieszczęsny żupan prosił tylko o jedno, żebyście mu pozwolili pożegnać się z córką, a wyście nawet na to nie pozwolili, poganie. O Boże, Boże, cóż to dziewczątka teraz pocznie? A taka jest śliczna. To chyba najpiękniejsza dziewczuska w Lewoczy. I taka dobra. Przecież ją znasz, Fabricius.

— Nie znam — rzucił niedbale Fabricius.

— Jakże nie znasz? Tyle że pod innym nazwiskiem. To przecież Rozalia Otrokocsy.

Rajcowie zerwali się przerażeni: Fabricius zbladł śmiertelnie i runął na posadzkę.

— Na Boga, co mu się stało?

Imć pan Donát Mauks skoczył do drzwi i krzyknął na hajduków:

— Wody, żywo dawajcie wody, burmistrz nam zemdłał...

Czarne miasto to powieść, która się co prawda rozgrywa na tle wydarzeń historycznych i autor powołuje się nawet na autentyczne wydarzenie z kroniki rodu Görgeyów, ale fabuła i wszystkie związane z nią okoliczności są fikcyjne.

Niemniej jednak tło historyczne jest tu rzeczą istotną. Czemu więc Mikszath tak mgliście wspomina sytuację ówczesnych Węgier, czemu ledwie muska te sprawy, czemu o bohaterach walk wolnościowych mówi jakby mimochodem, jak o postaciach marginesowych, nawet wtedy, kiedy ich działalność ma związek z fabułą i wpływa na rozwój wypadków?

Należy pamiętać, że w czasie kiedy Mikszath pisał Czarne miasto, Węgry wciąż jeszcze były częścią składową monarchii austro-węgierskiej, a władza cesarska nie lubiła, by wspomniano bohaterów walczących z uciskiem austriackim, przywódców powstań czy też wydarzenia zapisane w kronikach patriotycznych i w sercach wszystkich Węgrów.

Węgrzy zatem znali te wydarzenia i wystarczała najmniejsza aluzja, by każdy wiedział, o co chodzi. Obcy czytelnik gubi się jednak w tych zawikłanych sprawach, trudno mu zrozumieć zmiany sytuacji politycznych i wojennych, wpływających na takie czy inne posunięcia bohaterów powieści.

Rzecz dzieje się pod koniec XVII wieku i aż dziw, że nie ma nawet wzmianki o polskim królu Janie III Sobieskim, którego zwycięstwo pod Wiedniem zapoczątkowało ostateczny odwrót Turków z Europy — a więc, zdawałoby się, wyzwolenie Węgier spod tureckiego zaboru. Konieczne tu jest krótkie naszkicowanie położenia Węgier od pamiętnej klęski pod Mohaczem w r. 1526, po której kraj rozpadł się na trzy części. Mniej więcej trzecia część Węgier, od Adriatyku po granice Polski wraz z całą dzisiejszą Słowacją do Karpat Wschodnich, znalazła się pod panowaniem Habsburgów, druga część stanowiła zabór turecki, trzecia zaś — Siedmiogród — pozostała samodzielnym księstwem, zależnym jednak od sułtana. Przez niemal 150 lat toczyły się wojny między Turcją i Austrią, która wykorzystywała terytorium Węgier jako pas obronny, nieustannie pustoszone przez wojska to jednej, to drugiej strony, a w okresach pokoju traktowany jak kolonia i wyzyskiwany do granic możliwości.

W tej sytuacji duże znaczenie miało księstwo siedmiogrodzkie, które się stało głównym ośrodkiem węgierskiego życia narodowego i kulturalnego. Triumfy święciła tu reformacja, a szczytowym okresem znaczenia Siedmiogrodu było panowanie Stefana Batorego, do czego walenie przyczynił się jego wybór na króla Polski.

Tak więc Siedmiogród był niejaką ostoją, tam chronili się wszyscy prześladowani przez cesarza i jego stronników zwanych labancami — i szlachta, i gnębieni straszliwymi ciężarami chłopci. Ci zbiegowie, zwani kurucami, stanowili trzon armii powstańczej, którą dowodził młody szlachcic z Górnych Węgier, Emeryk (Imre) Thököly. Zdołał on wyzwolić 13 komitatów i kilka miast królewskich na terenie północno-wschodnich Węgier i sprawował tam władzę udzielnego księcia przez siedem lat (1678-1685). Szukał oparcia przeciwko Habsburgom na dworze francuskim i polskim, ale spotkał się z brakiem zainteresowania. Thököly nie miał innego wyjścia jak szukać oparcia w Turcji, co mu jednak odebrało popularność w kraju.

Postać Thökölyego wiele razy się przewija przez fabułę Czarne miasto, mowa jest o uznaniu, jakim się cieszył wśród szlachty spiskiej, z westchnieniem wspomniane są czasy jego panowania.

Wiosną 1683 roku armia turecka pod wodzą Kara Mustafy ruszyła przeciw Austrii. Po stronie Turków stanął Thököly, a także książę siedmiogrodzki Apafi i chan tatarski. Armia austriacka dawnym zwyczajem wycofała się aż pod Wiedeń, gdzie Turcy ponieśli sromotną klęskę dzięki przybyciu wojsk Sobieskiego, które się połączyły z wojskami księcia Karola Lotaryńskiego. Thököly zabiegał o poparcie Sobieskiego dla zawarcia odrębnego pokoju z cesarzem, ale nie było to na rękę Habsburgom. Toteż już w roku 1685 księstwo Thökölyego zostało zlikwidowane,

tylko żona księcia, Ilona Zrinyi, jeszcze przez trzy lata broniła się w Munkaczu.

Turcy stopniowo wycofywali się z Węgier, tak że całe Węgry znalazły się pod panowaniem habsburskim. Podpisano pokój w Karłowcach (1699), który oznaczał koniec panowania tureckiego, ale nie przywrócił Węgrom niepodległości. Thököly uszedł do Turcji, gdzie wraz z żoną pozostał do śmierci.

Tu rozpoczyna się drugi okres historyczny stanowiący tło Czarnego Miasta. Gdy bowiem po upadku Munkacza Ilona Zrinyi dostała się z dziećmi w ręce wojsk cesarskich, syn jej z pierwszego małżeństwa, Ferenc II Rakoczy, został oddany pod opiekę jezuitów, aby go wychowali w duchu katolickim i niemieckim. Nie odniosło to jednak skutku. Gdy w roku 1700 powrócił na Węgry, zaczął organizować spisek antyhabsburski. Spisek został jednak wykryty, przyjaciel Rakoczego Miklós Bercesenyi zdołał ująć do Polski, sam Rakoczy jednak znalazł się w więzieniu w Wiener Neustadt. Zbiegł stamtąd i schronił się w Polsce, gdzie go odszukali wysłannicy oddziałów chłopskich, które się samorzutnie tworzyły w Górnych Węgrzech.

Walki Rakoczego były powstaniem zakrojonym na wielką skalę. Toczyły się przez osiem lat, od 1703 do 1711 roku. Armia kuruców, złożona w większości z chłopów, dokazywała cudów, ale równie wielkim cudem było zorganizowanie i utrzymanie tej armii, składającej się z 52 pułków kawalerii, 31 pułków piechoty i 6 batalionów artylerii. Rakoczy zdołał założyć szkołę wojskową, uruchomić przemysł wojenny, zorganizować zakłady szewskie, krawieckie itp. Uzyskał poparcie szlachty i częściowo magnatów, tak że sejm 1707 roku uchwalił detronizację Habsburgów i proklamował niepodległość Węgier. Główną podporą jego rządów byli jednak chłopci. Ale nie zdołał przeprowadzić całkowitego uwłaszczenia chłopów pańszczyźnianych, gdyż nie mógł zlekceważyć oporu szlachty i magnatów, którzy widzieli w tym zamach na własne przywileje i egzystencję. Wprowadził jednak znaczne ulgi, przede wszystkim dla tych chłopów, którzy walczyli w jego szeregach.

Taka była w zarysie sytuacja polityczna i wojskowa w latach, w których rozgrywa się akcja Mikszáthowskiej powieści. Ale autor napomyka o innych jeszcze wydarzeniach historycznych, sięgając w przeszłość o dalsze dwieście pięćdziesiąt lat. Taką sprawą są dzieje szesnastu miast spiskich, oddanych w zastaw królowi polskiemu.

Działo się to na początku XV w. Po śmierci jednego z najznakomitszych królów węgierskich, jakim był Ludwik Andegaweński zwany Wielkim, a panujący w Polsce jako Ludwik Węgierski, Węgry stały się widownią nowych walk o tron. Ostatecznie królem został narzeczony starszej córki Ludwika, Marii, Zygmunt Luksemburski. Młodsza córka, Jadwiga, została żoną króla Polski, Władysława Jagiełły. W tym okresie Turcy opanowali już Półwysep Bałkański i stopniowo posuwali się na północ, zajęli Księstwo Serbskie i zagrażali Węgrom. Krucjata — zainicjowana przez Zygmunta Luksemburczyka, a poparta przez rycerstwo angielskie, niemieckie, burgundzkie i francuskie — skończyła się sromotną klęską wojsk chrześcijańskich pod Nikopolis (1396 r.). Wtedy Europa zachodnia straciła po prostu zainteresowanie walką z półksiężycem, paktowano nawet z Turkami. Na szczęście dla Węgier państwo tureckie miało akurat własne kłopoty, gdyż zostało zaatakowane przez Mongołów. Moment był odpowiedni na wypędzenie Turków z Bałkanów, ale ani magnaci, ani szlachta węgierska nie byli skorzy do udziału w wojnie poza granicami kraju.

Tymczasem król Zygmunt osiągnął wreszcie cel, do którego dążył, a mianowicie koronę niemiecką, i przestał się zajmować sprawami węgierskimi. W czasie panowania Zygmunta Luksemburczyka Węgry straciły Ruś Halicką na rzecz Polski, a także zwierzchnictwo nad Mołdawią i Wołoszczyzną, Wenecji oddały Dalmację, Turcji Serbię i zwierzchnictwo nad Bośnią. Poza tym, potrzebując pieniędzy na wojnę z Wenecją, król oddał w zastaw królowi polskiemu Władysławowi Jagielle (1412 r.) szesnaście miast spiskich za cenę 37 000 kóp

srebrnych groszy.

Tak przedstawiała się sprawa owych miast spiskich, będących pod zwierzchnictwem Polski, w czasie kiedy rozgrywa się akcja powieści. Oczywiście zabiegi kupca Quendla o wykupienie tych miast przez spłacenie długu korony węgierskiej to czysty wymysł autora. Ale jest to niewątpliwie złośliwy przytyk do metod stosowanych przez dwór wiedeński, który za pieniądze był skłonny do nadawania szlachectwa i do zawierania nieczystych transakcji z podejrzanymi figurami.

Skąd jednak Mikszáth wziął sam temat, w jaki sposób wysnuł tę fantastyczną opowieść zakończoną tragicznym ścięciem Pála Görgeya? Punktem wyjścia było zdarzenie przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie w rodzie Görgeyów, a pierwszy raz opisane dopiero w r. 1904 w *Dziejach rodu Görgeyów* pióra Istvána Görgeya. Z rodowej legendy nie wynika jednak, kiedy miał miejsce ów zatarg między miastem Lewoczą a żupanem, zatarg, którego początkiem było naprawdę zastrzelenie ogara przez burmistrza, za co rozwścieczony magnat zastrzelił burmistrza z okrzykiem: „Pies za psa!” Według kroniki spór między miastem i oligarchą ciągnął się całymi latami, ale tragiczne zakończenie wymyślił pisarz. W trakcie pisania spotykał się z przyjaciółmi, wśród których był także István Görgey, autor *Dziejów swego rodu*. Orzekł on, że takie zakończenie powieści to absurd, bo przecież żadna rada miejska nie ośmieliłaby się ściąć żupana. Na tę uwagę Mikszáth wykrzyknął: „Co takiego? Absurd? Jeżeli tak, to właśnie zetnę głowę żupanowi Görgeyowi. Nie okażę mu łaski, nawet za grosik!”

Rzecz jasna, żyjący wówczas członkowie rodu Görgeyów kwestionowali takie odmalowanie postaci żupana, jak to uczynił Mikszáth. Pisarz uprzejmie, ale stanowczo rozprawił się z tymi pretensjami oświadczając, że rozegrane w nie określonym dokładnie czasie wydarzenie wziął tylko za punkt wyjścia całkowicie zmyślonej fabuły, że bohatera mógłby równie dobrze nazwać Mihályem Nagy, że wybrał okres walk Rakoczego, aby lepiej „stworzyć iluzję prawdziwości tego wydarzenia”, i że wcale mu nie chodziło o utrwalenie historii jakiegokolwiek rodu, lecz o odmalowanie atmosfery epoki. Pisarz bowiem własną fantazją wypełnia luki dziejów, poszerza lub ścieśnia, dodaje lub przemilcza — zależnie od własnego wyczucia.

Czarne miasto drukowane było najpierw w formie odcinków na łamach „*Vasárnapi Újság*” (Gazeta Niedzielną) od 18 października 1908, ostatni odcinek ukazał się 2 stycznia 1910 r. Pierwszy przekład, na język niemiecki, był także najpierw publikowany w niemieckim dzienniku wychodzącym w Budapeszcie „*Neues Pester Journal*”, w tłumaczeniu Ludwiga Wechslera. Dopiero po śmierci pisarza powieść ukazała się w formie książkowej (1911 r.), tak że autor nie mógł już wprowadzić poprawek i wygładzić drobnych sprzeczności, które się wkradły w druk odcinkowym.

Camilla Mondral

